

Szabo Magda

STAROŚWIECKA HISTORIA

Ta książka napisana została dlatego, że parę lat wcześniej kupiłam w pewnym sklepie ze starociami niebieski dzbanuszek, wśród kwiatów lotosu straszyły na nim pióra dwa łabędzie.

Nie potrzebowałam żadnego dzbanka, a już najmniej takiego z łabędziami. Natychmiast pożałowałam zakupu, już w pakowalni. W domu nie postawiłam go z inną porcelaną, bawiłam się myślą, że go podaruję, mamy bowiem przyjaciela, który zbiera secesyjne drobiazgi. W końcu jednak nie dałam go nikomu, tylko postawiłam w kuchni. Nawet dziesiątki lat pobytu w stolicy nie wyleczyły mnie z prowincjonalnej zapobiegliwości, na ewentualne zakłócenia w dopływie prądu czekają u nas zawsze napełniona lampa naftowa i świece, zaś przed brakiem wody, co rzeczywiście niekiedy się zdarza, staram się zabezpieczyć, trzymając ją w różnych naczyniach, z przeznaczeniem do różnych celów. Mam zawsze pełny czerwony dzbanek do podlewania oleandrów* plastikowe wiadro z wodą do gotowania i mycia, porcelanowy dzbanuszek napełniłam z myślą, że będę z niego brała wodę na kawę i herbatę. Czasami nawet używałam go. Rzadko. Rzadko są kłopoty z wodą. Niezbyt przejmowałam się tym dzbankiem, ale kiedy pewnego razu spostrzegłam, że ktoś go ruszył z półki, gdzie zawsze stoi, i nie widzę go, wpadłam w nieuzasadniony gniew i odstawiłam go na miejsce.

W tych latach przyłapywałam się często na tym, że robię coś takiego, co jest do mnie niepodobne. Wysyłałam życzenia imieninowe i noworoczne takim krewnym, którym jeszcze jako dziecko wytłumaczyłam, że między innymi dlatego tak gorąco pragnę być osobązarabiającą na życie i niezależną, aby wreszcie

skończyć z tym nonsensownym składaniem życzeń, którego wymagali moi rodzice, wskrzesiłam pogrzebane przed wiekami przyjaźnie i dla mnie samej było to równie zaskakujące jak dla tych ludzi, do których nagle zaczęłam się uśmiechać, jak gdyby nic się nie wydarzyło w ciągu ostatnich trzydziestu czy czterdziestu lat. Liczba moich krewnych zastraszająco wzrosła, decydowałam się na wieczory autorskie na dalekiej prowincji, bo nagle zaczęłam być ciekawa miejsc, gdzie urodzili się moi rodzice, chodziłam na pogrzeby, na msze żałobne, na chrzciny, rozszerzył się krąg ludzi, z którymi utrzymywałam stosunki, przyjmowałam odrzucone zawsze dotąd zaproszenia, byłam świadkiem na ślubie mojej młodej kuzynki w kościele Św. Macieja, na rodzinnym przyjęciu, gdzie zebrały się nas nieprzebrane tłumy, jak pogodna ryba pływałam w oceanie gości, których znałam od chwili moich własnych czy też ich narodzin i spośród których nikt - taktownie - nie spytał, gdzie też się podziewałam w okresie między dzieciństwem a dniem dzisiejszym, że nie było mnie widać, i jaki jest powód, że tak nagle wróciłam. Najbardziej zaskakujące było to zainteresowanie, z którym -- dla niego samego też nieoczekiwanie - zwróciłam się ku starszemu ode ni nie o niemal dziesięć lat bratu. Gdy spotykaliśmy się, gdy byliśmy razem, przedstawialiśmy dla osób postronnych widok wręcz szokujący, bo zaśmiewaliśmy się i wygłupiali, przy akompaniamencie nie istniejącej gitary wyśpiewywaliśmy nigdy nie słyszane melodie i jak rodzeństwo, które odnalazło się po długiej rozłące, wypowiadaliśmy jak szyfr dla nas tylko zrozumiałe tajemnicze słowa, które dla innych nie miały sensu.

Pewnego razu, kiedy wpadł do nas i miał mniej czasu niż zazwyczaj, wyszedł ze mną do kuchni, kiedy szykowałam herbatę, żeby i przez ten czas rozmawiać. Zawsze śmieszyło go to mikroskopijne pomieszczenie, którego każdy centymetr był obudowany, dziwił się, jak można w nim gotować. Byłam do niego odwrócona tyłem i tylko wyczułam, że porusza się, coś zdejmuje: najbliżej było pudełko z herbatą, pomyślałam więc, że to ono go zaciekało. Ale kiedy spojrzałam, zobaczyłam w jego ręce dzbanuszek z labędziami, obracał go ostrożnie, żeby nie rozlać wody. „Gdzie sklejenie?” - zapytał mój brat. Spojrzałam ze zdumieniem. Jeśli wymyślił nową zabawę, nie znałam

reguł. „Nie do wiary! - rzekł. - W Peszcie go kleili? Żadnego znaku po stłuczeniu." „To? - zapytałam. - Przecież to jest nowe. Oczywiście zakładając, że w komisie są nowe rzeczy. Dlaczego myślisz, że był stłuczony? Niedawno go kupiłam, nie ma jeszcze roku." „Idź do diabła - burknął niemal ze złością. - Przecież sam go stłukłem." I poszedł do pokoju niosąc dzbanek, a ja za nim z herbatą, i podczas gdy ją nalewałam, wciąż jeszcze miałam wrażenie: bawi się. Dopiero kiedy już usiedliśmy przy stole i mój brat opowiedział pozostałym, gdzie w naszym mieszkaniu przy ulicy Świętej Anny stał ten dzbanuszek, który on w dzieciństwie stłukł, ale potem ktoś go widocznie po mistrzowsku skleił, zrozumiałam, że nie ma mowy o żadnej zabawie, po prostu mówimy o różnych dzbanuszkach, które w okresie, gdy je produkowano, musiały mieć tysiące rodzeństwa. W mieszkaniu przy ulicy Świętej Anny mieliśmy dzbanek z łabędziami, mój brat go stłukł, wyrzucono skorupy, zapomnieliśmy, zapomniałam. W każdym razie ja na pewno. Ale ten ktoś, kto ostatnio wysyła życzenia noworoczne, chodzi na śluby, na konfirmacje, msze żałobne, szuka rodziny, składa wizyty, zaprasza gości, ten ktoś całkiem mi obcy, nie zapomniał. Ten ktoś pamiętał dzbanek, który jest oszustwem, mirażem, kłamstwem, czymś zupełnie innym niż ów dzbanek, który stłukł się niegdyś i stał w jego domu, jest jednak identyczny, a więc trzeba go kupić, trzeba go przynieść do mieszkania, bo przecież musi być tam, gdzie ten ktoś żyje, w jego pobliżu.

To był ten dzień, kiedy przyznałam się, że przegrałam bitwę. Wszyscy przegraliśmy, Elek Szabó, Lenke Jablonczay i ja, nasza trójka, która niegdyś, jak grupa spiskowców, zawarła przymierze. „Byłaś tu z nami bardzo szczęśliwa - powiedział pewnego wieczoru mój ojciec, kiedy rzeczowo dyskutowali, jak to będzie w przyszłości, gdy już ich zabraknie, jak gdyby ustalali menu na następny dzień - nawet za bardzo. Trzeba będzie zburzyć, rozebrać scenę. Kiedy nas już nie stanie, nie wolno ci zatrzymać ani mebli ani niczego innego. Musisz porozdzielać, porozdawać rzeczy." „Wszystko, słyszysz? - wtrąciła się matka. - Moje książki też. Większość moich książek z okresu panieństwa to i tak bzdury. Zrozumiałaś? Nie chcę, żebyś się oglądała za siebie. Patrz naprzód! Nie chcę, żeby stoliczek do szycia, jakaś stara szafa... Chcę, żebyś się śmiała. Żebyś uwolniła się od nas,

żebyś nie cierpiała. Obiecujesz?" Obiecałam. Wraz z nimi zniknął dom, mieszkanie, meble, przedmioty - niemal wszystkie przedmioty, tak jak chcieli. Kiedy nie zostało już prawie nic, co mogłoby mi przypominać tamto życie, do którego nie było powrotu, zaczęłam odszukiwać krewnych, żeby w ich twarzach rozpoznawać kształt warg, łuk czoła, wykrój oczu któregoś z moich rodziców, szukałam ludzi, którzy ich znali, pamiętali ich głosy, żarty, piosenki, odziedziczyłam po nich przyjaciół, sto-; sunki, spotkania z tymi, którzy widywali ich w określone dni tygodnia, i chodziłam na te spotkania zamiast nich. W sklepie też pewną ręką sięgnęłam po przedmiot, którego wspomnienie już dawno zatarł we mnie czas, ten czas, który miał władzę tylko nad moją świadomością, ale nie nad instynktami. Po niebieskiej, porcelanowej wodzie przy płynęli zmarli, powrócili do domu na grzbietach łabędzi, z pewnym skrzepowaniem, ale zadowoleni, bo naprawdę uczynili wszystko, żeby mi pomóc, ale nie udało się. I znów byliśmy razem wszyscy troje, matka, ojciec i ja, a ja, żeby móc dalej żyć, napisałam najpierw Starą studnię, teraz zaś Staroświecką historię.

Staroświecka historia jest dzieckiem chrzestnym Endre Illesa.

Od chwili ukazania się Starej studni namawiał mnie, abym napisała książkę o mojej matce. Pociągało mnie i odpychało to zadanie. Broniałam się. Powiedziałam, że wprawdzie znam historię życia mojej matki, nieraz mi ją opowiadała, ale to bardzo staroświecka historia. „Doskonały tytuł” - oznajmił Endre Illés i przysłał mi umowę. Schowałam ją, żeby nawet na nią nie patrzeć: zanim nadeszła, zdążyłam już odkryć w przyszłej pracy pierwszą przeszkodę, odstraszały mnie trudności, nawet taka pozornie nieważna sprawa, że dwie fotografie moich dziadków, które zawsze stały w sypialni ciotki i które chciałam jeszcze raz obejrzeć, po prostu zniknęły, jakby pochłonęła je ziemia. Mój starszy brat, który pamiętał naszą matkę całkiem młodą, zwyczajnie odradzał mi pisanie, nie chciał, aby nasza rodzina stała się tematem powieści, na dodatek dostaliśmy stypendium amerykańskie, trzeba było wkrótce zbierać się w drogę. Chyba tego nie napiszę - mówiłam sobie i podczas niemal pięciu miesięcy,

które spędziliśmy w Ameryce, zbierałam materiały w bibliotece uniwersyteckiej w stanie Iowa do starożytnego tematu, który nęcił mnie już od czasów studenckich. Gdy - bardzo zresztą rzadko - przychodziła mi na myśl Staroświecka historia, postanawiałam, że napisanie tej książki uzależnię od matki, już ona da mi znak. Jest do tego zdolna.

Dała znak.

Dała mi znak zupełnie w swoim stylu, pewnego styczniowego dnia, koło północy. Rano wystartowałam z La Guardia w Nowym Jorku, żeby wrócić do Iowy, wymówić, posprzątać, oddać mieszkanie i przeprowadzić się z rzeczami na Broadway. Wybrałam się w drogę bez bagażu, z cienką książką, ale dotarłam tylko do Milwaukee, gdzie utknęliśmy w zamieci śnieżnej. „Iowa nie przyjmuje - powiedział dyspozytor - całe lotnisko pod lodem.” „Kiedy będzie przyjmować?” „Nie wiadomo. Możliwe, że jutro. Może dopiero za tydzień. To wina pogody, a w środkowych stanach zima jest bezlitosna.”

Nie miałam nawet szczoteczki do zębów, przecież wracałam do domu, do naszego stałego amerykańskiego domu, w którym wszystko na mnie czekało, przybory toaletowe, w kuchni żywność zamrożona w stopniu zaprogramowanym odpowiednio do przewidzianego terminu spożycia. W hallu lotniska sprawdziłam, który hotel może wysłać po mnie samochód, jeśli zechcę się w nim zatrzymać; sypał śnieg. Zaczęłam telefonować, wreszcie w „Red Tape Inn” powiedzieli mi, że już wysyłają wóz. Podczas lądowania w Milwaukee wywrócił się na mnie jakiś pijak, chwycił się mojego futra, które pękło w szwie na ramieniu, nie miałam bagażu, męża zostawiłam w szpitalu w Nowym Jorku, z bladą ze zdenerwowania, wzburzoną twarzą nie budziłam chyba w ludziach zaufania. Pokój był zimny, przez szparę pod drzwiami wychodzącymi na podwórze sypał się do środka śnieg, telewizora nie można było włączyć, wszystkie gałki miał ukrecone. Nie wiedziałam nawet, gdzie właściwie jestem, w jakim stanie, w jakiej części Ameryki.

Wtedy już od tygodni żyłam w straszliwym napięciu i kiedy pomyślałam, co na mnie czeka w najlepszym wypadku po powrocie do Nowego Jorku, dostałam dreszczy. Szczękałam zębami, ale nie z powodu zimna, mimo iż rzeczywiście marzłam, były to sygnały nerwów, tylko że nie mogłam ich zrozumieć.

Poszłam na herbatę, potem wróciłam do zaśnieżonego pod progiem pokoju i zadzwoniłam do Iowy, wcale nie byli zdziwieni, że nie przyleciałam, nawet nie czekali, wiedzieli, co się dzieje na lotnisku. Jak zawsze, od chwili gdy mąż dostał zawału, napisałam karteczkę, którą położyłam przy łóżku, żeby wiedzieli, kim jestem, względnie kim byłam, i kogo trzeba zawiadomić w Iowie, gdybym przypadkiem umarła. Już po południu szalała wichura, a co dopiero w nocy, tej najdłuższej nocy mojego życia. Książkę, którą wzięłam na drogę, dawno skończyłam, telewizora nie umiałam włączyć, dygotałam na łóżku nie rozbierając się nawet.

Zawsze gdy miałam jakieś poważne kłopoty, nie tylko za jej życia, lecz także po śmierci, zaczynałam myśleć o mojej matce. Tak samo teraz. Nie znałam człowieka tak odważnego i silnego jak ona. Czułam, że gdyby tu była, od razu potrafiłabym zasnąć, nie wiałby wiatr, przestałby sypać śnieg, nie byłoby tej nedorzecznej, głuchej i ślepej nocy w Milwaukee, którego nawet nie widać z okna, a przez szczelinę wychodzących na czarne podwórze drzwi mogę tylko ocenić bezlitosną siłę zimy.

I nagle zjawiała się u mnie matka. Przyszła tak jak zawsze i powiedziała ze śmiechem: „Karolina Gerhardinger”*.

Musiała mi to powtórzyć kilka razy, bo nie rozumiałam.

„Karolina Gerhardinger -- powiedziała moja matka. - Założycielka Zgromadzenia Sióstr Szkolnych Notre-Dame zorganizowała w ciągu dziesięciu lat dziesięć klasztorów. Działały nie tylko w Debreczynie, nie. Również w Stanach Zjednoczonych, w Kanadzie i nawet w Puerto Rico. Słuchasz? W czasie swej misjonarskiej działalności utworzyła pięć prowincji zakonnych z pięcioma klasztorami macierzystymi, są to Milwaukee, Baltimore, Saint Louis, Mankato i Watertown. Ale zastępczyni głównej przeoryszy zawsze ma siedzibę w Milwaukee. W Milwaukee. W Milwaukee.”

W recepcji dali mi papier, dużo papieru, paliłam papierosy i pisałam do rana. I co kwadrans dzwoniłam na lotnisko; gdzieś koło piątej powiedzieli, że Iowa już przyjmuje, ale muszę

wymienić bilet, bo stąd mogłabym wylecieć dopiero po południu, a gdybym cofnęła się do Chicago, będę miała wcześniejszy lot. Kiedy wystartowaliśmy z Milwaukee, majaczyła w dole wielka woda. Karolina Gerhardinger - pomyślałam i w próżni nad jeziorem Michigan ujrzałam spacerującą w pięknym porządku zakonnice z debreczyńskiego kościoła, na samym początku szła Stillmungus, pośrodku Charitas, a na końcu kroczyła sama błogosławiona Karolina Gerhardinger, trzymając za rękę moją matkę, i obie na zmianę wykrzykiwały słowo: „Milwaukee!”

Tej nocy w Milwaukee próbowałam podsumować, co wiem o życiu mojej matki. Zaczęłam od miejsca i czasu jej narodzin, a skończyłam na tym styczniowym dniu, kiedy zostawiła mnie w świecie, który bez niej stał się całkiem nierzeczywisty, mówiąc: „Miałam tyle tajemnic.”

Zrazu pisałam porządnie, jak w ankiecie, zważając, na czasowy i logiczny porządek danych, później pisałam byle jak, w miarę jak przypominały mi się poszczególne momenty jej życia, które trwało niemal osiemdziesiąt trzy lata. Dużo o niej wiedziałam, samą mnie zdziwiło, jak dużo. Później, kiedy już zabrałam się do pracy i zaczęłam czytać dokumenty, listy, rozmawiać z naocznymi świadkami jej młodości, zaskoczyło mnie coś wręcz przeciwnego: jak mało właściwie o niej wiem.

Kiedy już w domu wyciągnęłam amerykańskie notatki i próbowałam na ich podstawie zrobić konspekt książki, którą miałam napisać, okazało się, że z tym, co mam, do niczego nie dojdę. Nie tylko bowiem pojawiły się luki, których wypełnienie w początkowym okresie wydawało się zupełnie beznadziejne (przecież tej, o której ta książka miała opowiadać, nie było już przy mnie, i nie mogła powiedzieć mi tego, czego sama za życia nie mówiła, ja zaś - choć wtedy jeszcze mogłam - nie pytałam[^] ale zrozumiałam też, studiując z konieczną przy pracy trzeźwością firmowy papier listowy „Red Tape Inn” w innej scenerii niż rozszałała, nierealna noc w Milwaukee, że Lenke Jablonczay nie żyła osiemdziesiąt dwa lata i parę miesięcy, lecz zmarła młodo, równo pięćdziesiąt lat i dwanaście tygodni wcześniej niż w rzeczywistości, piątego października 1917 roku, tego dnia, w którym urodziła się jej córka. Żyła niecałe trzydzieści tTzy

lata, rzucając się na pręty klatki, raniąc ręce i czoło, niemal trzydzieści trzy lata towarzyszyła jej nieśmiała nadzieja, że może jednak odnajdzie gdzieś swoją własną drogę. Piątego października 1917 roku Lenke Jablonczay zakończyła swoje samodzielne życie, przyjęła do wiadomości, że nie może się stać jej udziałem cudowna miłość, którą знаła z powieści i która marzyła się jej, pojęła również, że nie może zostać ani pianistką, ani pisarką, ani w ogóle nikim. Potem już nie czekała na zmianę: przykuła się do nowo narodzonego dziecka. W dniu kiedy dała mi życie, Lenke Jablonczay przestała żyć i, choć oddychała jeszcze przez ponad pięćdziesiąt lat, od tej pory już tylko jej córka miała swą historię, Lenke Jablonczay -- nie.

„Miałam tyle tajemnic¹ - powiedziała na pożegnanie.

Kiedy zaczęłam pracować nad Staroswiecką historią, zaskoczyło mnie, jak bardzo miała rację. „Byłam sierotą po żyjących rodzicach” -- słyszałam od niej często. Ale dlaczego? Przecież jej ojciec i matka żyli! Co się stało z jej matką, o której nawet nie wypadało u nas wspominać? A z ojcem, który, jak twierdziła, nie miał twarzy, tylko grzechy? Co takiego zrobił Kalm&n Jablonczay? József Palfy starszy zawstydził mnie, kiedy podczas jednego z moich pobytów w Debreczynie zapytał, jak oceniam wiersze i prozę ojca mojej matki, a ja nie wiedziałam, co odpowiedzieć, bo nie czytałam ani jednej linijki. A przecież wtedy było mi to już potrzebne, chciałam wiedzieć, co to był za człowiek, dlaczego rozpadło się małżeństwo moich dziadków, i w ogóle jaka jest - bez zaślepionego osądu mojego dziecięcego oburzenia i dziecięcej głupoty - prawda o postaciach przewijających się przez życie mojej matki.

Zbierałam materiały jrfk detektyw. Bywały miesiące, kiedy rozproszona niemal po całym kraju rodzina oraz liczne parafie katolickie i kalwińskie szperały w starych dokumentach, prowadziły rozmowy z żyjącymi jeszcze świadkami, aby rzucić światło na pewne punkty zwrotne życia dawno zmarłych ludzi, które zdeterminowały niegdyś los mojej matki. Wyruszyłam na poszukiwanie fotografii bez iskierki nadziei, wiedząc, że wszystkie porządne rodziny wyrzuciły już dawno ze swych albumów zdjęcia ludzi, których wyglądu byłam ciekawa, a i moi kuzyni nie zostawili mi wątpliwości, że te, które widziałam w ich

dawnym mieszkaniu, zginęły podczas przeprowadzki. A przecież chciałam spojrzeć w oczy mojej babce, syrenie z Sírret", która, jak przypuszczałam, była powodem, że pod stopami Lenke Jablonczay przez całe życie chwiała się ziemia, a także tego, że kiedy zostawałyśmy same w domu i ja - bardzo rzadko, bo żadne z nas, członków rodziny, nigdy nie byłę zbyt uczuciowe - przytulałam się do matki, ona przyciskała twarz do mojego policzka i mówiła coś, czego nikt by się nie spodziewał: nie „córeczko", lecz „mamo".

Potem miałam już wszystko, co było mi potrzebne. Wielebny Meszaros wśród zapisów w księgach metrykalnych w Fu- zesgyarmat natrafił na coś, co dawało odpowiedź na najważniejsze pytanie Staroświeckiej historii, znalazła się też kuzynka przechowująca fotografię osoby, która w swoim czasie przysporzyła tylu bezsennych nocy w pewnym domu przy ulicy Kismes- ter w Debreczynie. Odnalazł się także tom opowiadań mojego dziadka, dwa zeszyty wierszy, a nawet jego dziennik wraz z księgami gospodarskimi mojej prababki Jablonczayowej, Z których tak dokładnie mogłam zrekonstruować ich życie i obyczaje, że tylko dla porządku porównywałam wpisy z notatkami w dzienniku. Byłam w miejscu urodzenia „syreny z Sírret" i mojej matki, w Fiizesgyarmat, trzymałam w ręce dzbanuszek, z którego ochrzczono je obie, czytałam słynne dzieło dziadka Emmy Gacsáry, wielkiego Gacsaryego, Kronikę fiizesgyarmacką, i dziennik teściowej Lenke Jablonczay, ale najbardziej pomogła mi córka przyjaciółki mojej matki, Belli, dostałam od niej kompletną korespondencję jej matki i mogłam w niej przeczytać opis uroczystości ślubnej moich rodziców oraz dowiedzieć się, kto stał za nimi przy stole Pańskim. Znalazłam kuzynkę, która doskonale pamiętała rozkład domu przy ulicy Kismester, pamiętała wiele epizodów z panięskich lat mojej matki, знаła Józsefa, a w tym, na co nie znajdowałam wytłumaczenia i nie miałam dokumentów, pomogły mi dziennik i tomiki wierszy mojego dziadka. Z córką Belli zestawiliśmy lektury Lenke Jablonczay, niemal wszystko, co było mi potrzebne, wyszukałam u handlarza książek na targu, a książkę, która wywarła tak wielki wpływ na życie mojej matki, Drogę do Złotej Krainy, przepisano dla mnie z rocznika 1894 „Kis lap". Rozmawiałam też w domu opieki społecznej -gdzie jaodnalaz-

łam - z najmłodszą, jedyną żyjącą jeszcze siostrą mojej matki. Kiedy minęło zdziwienie, że widzi mnie po upływie czterdziestu lat, uzupełniła brakujące części historii, a mój brat, który tak się wzdrygał przed myślą, że nasza matka zostanie bohaterką powieści, pod koniec znajdował nawet przyjemność we wspomnieniach. Kiedy miałam już zebrany cały materiał, Agancsos* ze Starej studni odnalazła na moją prośbę i uporządkowała porosły zielskiem i zapadnięty grób „syreny z Sarret”, przy którym jako studentka drugiego roku stałam na jej pogrzebie, rozdrażniona i obojętna, myśląc, że tylko jej, tylko takiemu potworowi, mogło przyjść na myśl, żeby absorbować nas swoim pogrzebem, podczas gdy u Petrovaych odbywa się właśnie prywatka. Przy najbliższej bytności w Debreczynie sama odwiedziłam ten grób. Zakłopotana stałam długą chwilę przed nagrobkiem mojej babki, potem ustawiłam na nim lampki: czterdzieści płomyków oświetlało tego sierpniowego popołudnia długi sen Emmy Gacsary. Pielący tuż obok robotnik z Zarządu Cmentarza patrzył na mnie jak na wariatkę. Mojej matce nie zapaliłam lampek. Nie można oświetlić blasku.

Skene

Scena, na której postaci Staroświeckiej historii odegrały swe role, jest niemała: dwa komitaty dawnego obwodu zacisań- skiego -- Bekes i Hajdu.

Obszar Bekes wynoszący trzy tysiące sześćset siedemdziesiąt jeden kilometrów kwadratowych to nie kończąca się równina, której powierzchnia jest niemal równa z poziomem morza. Od północy i wschodu przecina go siecią system wodny Keresz; Keresz Biały, Czarny i wpadający do Berettyó Keresz Potrójny, czyli Szybki, bardzo pilnie wymagają regulacji. Problemy związane z Kereszem Białym i Czarnym próbowano rozwiązać w latach dwudziestych ubiegłego stulecia za pomocą kanału o długości niemal trzydziestu kilometrów, przystąpiono też do osuszania bagnistych łąk nad Kereszem Szybkim, a także nad Berettyó -- nie bardzo się to wtenczas udało.

Sírret*, jak sama nazwa wskazuje, to okolica bagnista. Ten osobliwy twór geologiczny, którego część przylegająca do Fiizesgyarmat nazywa się Nagysírret**, odegra znaczną rolę w życiu wielu postaci Staroświeckiej historii. Dla każdej z nich nazwa ta oznacza co innego: dla Lenke Jablonczay - miejsce budzące wstręt, choć tam przyszła na świat; dla jej matki, Emmy Gacsary - raj utracony; dla jej. prababki po kądzieli - śmierć moralną; dla ojca - wspaniały triumf, który dał mu niezależność; dla dziadka Jablonczayego - upokorzenie i bezradność; dla jej pradziadka - bezchmurną młodość; dla babki po mieczu - ostatnią nadzieję pochłoniętą przez grzeszne bagno; dla jej

ciotek, Parek - szatańskie trzęsawiska, na których urodził się ten błędny ognek, ich szwagierka; dla jej ojca chrzestnego, handlującego dziwolągami morskimi kupca Leidenfrosta -- scenę wielkiej przygody jego życia; dla jej drugiego męża, Elka Szabó - czarodziejski, baśniowy świat, przez który do swego przyszłego domu, kalwińskiej plebanii w Kóróstarcsa, jechała niegdyś jego szesnastoletnia matka, od pół dnia będąc już mężatką.

Osady czwartorzędowe, w których natrafiono na kości ssaków kopalnych, pokrywa piasek, glina i próchnica. Zimy są tu nader mroźne, lata upalne, to jedna z najsuchszych okolic kraju. Zarówno w bagnistym, podmokłym Sírret, jak i na twardszych terenach brak skały i kamienia, zatem w okresie kiedy rodzą się bohaterowie tej historii, nie ma jeszcze regularnych, przejezdnych o każdej porze roku dróg i poruszanie się czy to powozem, czy pieszo lub nawet konno jest trudne nie tylko tam, gdzie grunt jest grząski, lecz właściwie wszędzie. Rzeki są spławne tylko teoretycznie, przez Keresz Potrójny może wprawdzie płynąć parowiec, ale przez Białą i Czarną tylko barki ciągnięte przez konie, względnie tratwy, zaś nurt Berettyó jest tak powolny, że ledwo da się przezeń płynąć łodzią.

Teren lessowy i obszary nawiedzane przez powodzie, obfitość wody i wielkie połacie lasów to idealne miejsc? do zamieszkania, a bagna, nawet jeśli kryją się nad nimi wilki, to najlepsza obrona. Już w epoce kamiennej żyli tu ludzie, a jak świadczą wykopaliska, przez brody na rzekach przeprawiali się kolejno Trakowie, Scytowie, Celtowie, Sarmaci, Jazyngowie, Wandalowie, Goci, Hunowie, Gepidzi, Awarowie i Słowianie. Jedno i plemion madziarskich natychmiast osiedla się na tym terenie, a w trzynastym wieku powstaje już skupisko zagród i aparat administracji komitatu. Władzę kościelną w królewskim komitacie Bekés, na terenie między Berettyó, Keresz, Vcker, Korógy, strumieniem Magócsi i moczarami, sprawuje biskup waradyński, którego dwaj archidiakoni rezydują do najazdu tatarskiego w Békés i Szeghalom. Centrum komitatu jest gród w Bekes, wokół którego znajduje się sto czterdzieści zagród zamieszkałych przez chłopów pańszczyźnianych, pa' robków i służbę zamkową. W Staroświeckiej historii mówi się dużo o Fuzesgyarmat: to osada sług zamkowych z okresu

Arpadów. Na scenie w 1241 roku pojawiają się jeźdźcy Batu- -chana, a spustoszenia, których dokonują, są godne zapamiętania: jeszcze w pięćdziesiąt lat po odejściu Mongołów świadczą o ich pobycie zrównane z ziemią zabudowania. Miną wieki, zanim komitat znów się zaludni, a rolę grodu w Bekes, który wciąż jeszcze silnie odczuwa skutki najazdu tatarskiego, przejmie wzniesiony przez bana macsówskiego, Janosa Maróthyego, gród w Gyula. Po wymarciu rodu Maróthyich bogaty komitat z prężną administracją, której podlegają dwa miasteczka i siedemdziesiąt jeden gmin, zmienia kolejno właścicieli; na początku XVI w. Władysław II Jagiellończyk oddaje gród gyulański Jerzemu Brandenburskiemu, który po Mohaczu przyłączył się do Ferdynanda*, od niego zaś przejmuje gród Imre Czibak, biskup waradyński, poplecznik rodu Zapolyich. Miną trzydzieści trzy lata, zanim znów stanie się własnością Ferdynanda; król w miejsce utraconego właśnie Temesvaru** przekształca Gyulę w twierdzę nadgraniczną i Gyula zostaje fortem aż do czasu zdobycia jej przez Turków, kiedy to nadchodzi kres rządów węgierskich.

W latach 1566-1694 historia komitatu przypomina wizję Kafki, a jej łagodniejszymi fazami są najazdy tatarskie, płonące wsie, wleczeni na arkanach mieszkańcy, grabieni doszczętnie wieśniacy. Prawdziwym dramatem jest zarządzenie, po którym można się spodziewać, że jeśli zostanie dokładnie wykonane. Turcy opuszczają gród Gyula. W 1687 roku Liga Święta nakazuje mianowicie, aby komitat przestał istnieć; niech opuści go cała ludność, niech Bekes wymrze, aby wygłodzić stacjonujący w Gyula garnizon i stacjonujące w komitacie tureckie jednostki administracyjne. Do 1695 roku komitat po prostu nie istnieje, gdy jakaś rota turecka zdąży do twierdzy gyulańskiej, konie biegną przez bezludne wsie i osiedla * tylko wilki wyją w zaroślach, ani śladu zasiewów, bydła ni ludzi. W ostatnim roku XVII w., po upadku twierdzy gyulańskiej, cesarz Leopold reorganizuje komitat Bekes i na wyzwolonych wreszcie terenach powstaje trzydzieści jeden gmin, ale komitat nadal nie

może się rozwijać, bo ludność popiera Franciszka Rakoczego i znów musi uciekać przed stojącymi po stronie cesarza Serbami.

Po roku 1711 na nowo trzeba zaludniać komitat, bo zamieszkanym jest zaledwie dziewięć osad, a pełny stan ludności komitatu wynosi niecałe dwa tysiące sześćset osób. Z wyjątkiem kilku folwarków właścicielem wszystkiego jest fiskus, skarb królewski, a majątek w Gyula, dawną posiadłość bana macsówskiego, Maróthyego, dostaje szef aprowizacji armii, baron Harruckem. (Barona, kiedy nie był jeszcze baronem, jego ojciec, mistrz tokarski z Schenkefeld, przeznaczył do stanu duchownego, na szczęście wuj-proboszcz poznał się na jego prawdziwych talentach i polecił go na rachmistrza do rachuby dworskiej, gdzie młody człowiek zrobił karierę. Podczas wojny tureckiej zajmował się aprowizacją armii, cztery lata nadzorował prace przy fortyfikacjach twierdzy w Aradzie, podczas hiszpańskiej wojny „sukcesyjnej” został szefem zaopatrzenia armii południowej walczącej we Włoszech, potem zaś radcą kamery. Po powrocie do kraju, popierany przez Jenó Szavojaiego, reorganizuje aprowizację i zamiast zatrudniać przedsiębiorstwa prywatne, bierze je pod zarząd dworski. Wtedy cesarz Karol VI podnosi go do rangi rycerza cesarstwa rzymskiego i w ten to sposób dziesięć lat później otrzymuje Harruckem ze skarbu królewskiego dobra w komitatach Bekes, Csongrad i Zarand: Gyulę, Szeghalom i Fiizesgyarmat. Parę lat później zostaje obywatelem węgierskim, baronem i nadżupanem komitatu Bekes.)

W 1732 roku z córką Harruckerna żeni się radca cesarski József Agost Wenckheim i przez to małżeństwo z Harrucker-ówną trafia do Staroświeckiej historii nazwisko, które podobnie jak Sarret wpływa w jakiś sposób na życie wszystkich jej bohaterów, a w rozmowach antagonistów i protagonistów, którzy niekiedy nawet nie znali się wzajemnie, stale powracającym motywem będzie nazwisko Wenckheim. W uszach Lenke Jablonczay brzmi ono równie wstrętnie jak wszystko, co może przypominać jej matkę, choć Emmie Gacsary aż do dnia jej śmierci, ilekroć je usłyszy, przywodzi na myśl odsuniętą firankę, zza której patrzy, jak toczy się ulicą Nagy wspaniała, zaprzężona w piękne konie kareta baronowej Wenckheim; przy karecie

jedzie wierzchem dziediec, a iluż panów im towarzyszy, ilu pięknych panów, którzy przybyli tu z dalekich stron! Prababka po kądzieli Lenke Jablonczay, kalwinka Rakhel Banyay, patrzy na to nazwisko niechętnym okiem, bo gdyby nie Wenckheimowie, nie kręciłoby się po Fiizesgyarmat i Szeghalom tylu przeklętych inżynierów i surowa prawica boża nie wymierzyłaby w jej uczciwy dom tak straszliwego ciosu, natomiast pradziadek Lenke Jablonczay odparłby każdy z tych zarzutów, bo gdyby nie Wenckheimowie, piękny empirowy kościół nie dostałby lśniącej tarczy, pod której ochroną słynny kaznodzieja spokojnie głosił słowo boże. Uszom babki po mieczu Lenke Jablonczay to nazwisko przywodzi na myśl największą porażkę jej życia, jej ojcu zaś namiętą i spełnioną miłość, głos skowronka, upojne lato w dobrach Wenckheimów; dla jej dziadka i pradziadka po mieczu oznacza słodycz ziemi i uczucie, że jest się także człowiekiem, nie tylko utrzymankiem Marii Rickl. Rejestruje także w pamięci to nazwisko drugi mąż Lenke Jablonczay, który już w ich wspólnym mieszkaniu zatrzymuje się często przed portretem młodego mężczyzny w wysokim kołnierzyku „vafermórdef\ tulącego do piersi książkę: z obrazu spogląda na niego geometra Janos Szabó, mierniczy Wenckheimów, który co wieczór po całodziennej pracy w Szeghalom czy Fiizesgyarmat przewracał karty Eneidy.

Po drugiej stronie sceny znajduje się komitat Hajdu. W jego niegdysiejszym herbie płonie słońce, dymi broń, opancerzone ramię podnosi miecz, smok wgryza się we własny ogon. Granicami Hajdu są komitaty Szabolcs, Bihar, Jasnagykun- szolnok, Heves i Borsod; teren jest tu płaski, sto dziesięć, sto dwadzieścia metrów nad poziomem morza, a w zachodniej części nad Cisą położony jest nawet jeszcze niżej - zaledwie dziewięćdziesiąt metrów. Gleba to less aluwialny, tłusta próchnica ria przemian z sołonzakami i są tu także bagna. Natomiast rzek jest mało, Cisa ledwie muska granice komitatu, a jedyna większa rzeka to Hortobagy, która omijając Debreczyn łączy się przy Nadudvar z Kereszem i skręcając w Kóselyszeg wśród puszt Debreczyna, Elep i Alomzug przyjmuje w swój nurt strumień Kosely. (Nazwę Kóselyszeg również często słyszy Lenke Jablonczay w domu przy ulicy Kismester, jej pradziadek wyniósł swój ateizm z tego majątku.) Kosely był tylko długi, ale

płynął leniwie i zanikał na Sarret, podobnie jak wszystkie wody na tym terenie. Okolice Sarret i Hajdusag, owe puszy, znikome zbiorniki wodne, moczary dające schronienie ponad trzystu gatunkom ptaków - dawna kraina szuwarów - określały szanse życiowe bohaterów Staroświeckiej historii, dyktowały groźne role postaciom, które często same ich nie rozumiały, a bóg władający losem tych ludzi nosił w tragedii całkiem prozaiczne imię: Towarzystwo Regulacji Wód.

Przez miliony lat falowało tu niegdyś morze, a później na dawnym dnie morskim jego mieszkańcy zmieniali się równie często jak w Bekes, dotarły tu opiewane przez Horacego dackie wojska Cotyso, byli Awarowie i Sarmaci o jaszczurzych oczach. W okolicach Debreczyna w II w. naszej ery stacjonował garnizon rzymski, sarkofag małej córeczki ich wodza odnaleziono na tym samym cmentarzu, na którym Lenke Jablonczay jako świadek ekshumacji bez lęku i obrzydzenia spojrzył na szkielet swojego teścia, nawet w grobie ubranego w duchowny strój i nakrycie głowy. W czasach zanim przyszli tu Węgrzy, buszowali na tych pusztach Menmarótowie, po przybyciu Arpada w bogatych jeszcze w wodę rzekach poił swe stada plemię wodza Onda. Po zorganizowaniu państwa prowincja przechodziła kolejno na własność każdego następcy tronu, i żyli tu jego słudzy przeznaczeni do czynności nie protokolarnych, lecz. praktycznych: kuli broń i tresowali sfory królewskie. Prowincja długo związana była z najlepiej zorganizowaną, najznacniejszą osadą okolicy, Debreczynem, ale po bitwie pod Almosd na rozkaz Bocskaiego* stała się terenem przeznaczonym pod osiedlenie dla „aniołów” księcia - hajduków, i aż do roku 1876 stanowiła odrębny obwód hajducki z rezydencją w Bószór- meny.

Był bowiem już najwyższy czas, aby dobrym słowerń*. przywilejami czy wreszcie groźbą nakłonić „aniołów” do osiedlenia się gdzieś na stałe, gdyż mimo że w okresie ważnych przełomów rzeczywiście korzystnie wpływali oni na układ sił, to jednak spośród swych niebieskich patronów spokrewnieni byli co najwyżej z wojowniczym Michałem.

kiedy to znacznie ożywił się handel rogacizną, w wyniku wyjątkowego i niebezpiecznego trybu życia stali się naprawdę odrębną warstwą społeczną. Przepędzanie stad przez granicę i strzeżenie ich wymagało nadzwyczajnej siły, zręczności ! odwagi; poganiacze musieli stawiać czoła zarówno oddziałom królewskim, które bezprawnie rekwirowały bydło, jak i polującym na łup rozbójnikom czy wilkom. Kiedy handel bydłem osłabł, a potem na pewien czas w ogóle ustał z powodu sytuacji wojennej, dawniejsi bohaterowie bezdroży stracili pracę i chleb i wielu z nich stało się tak groźnymi włóczęgami, że w 1514 roku parlament zmuszony był zakazać im noszenia broni, gdy zaś ktoś przyłapał ich na łamaniu tego zakazu, mógł z nimi zrobić, co mu się żywnie podobało. Tymczasem znaczenie hajduków malejąc jednocześnie rosło. Mianowicie w rozdartym na trzy części kraju zapewnieniem spokoju na poszczególnych terenach lub, w miarę potrzeby, napaściami na inne tereny zajmowali się cudzoziemscy najemnicy - otóż hajducy byli co najmniej tak samo dobrymi żołnierzami i zabijakami jak najlepiej wyszkoleni najemnicy i mieli też nad nimi tę niezaprzeczną przewagę, że znali każdą przeprawę i każdą ścieżkę i z szatańską pewnością poruszali się po nieprzebytych dla cudzoziemców moczarach. Po Mohaczu, kiedy znów wzrosło zapotrzebowanie na bezlitosną siłę i odwagę hajduków, część ich chętnie przystała do wojska i, jak niegdyś stad, teraz strzegła to Zapolyi, to znów Ferdynanda. Kiedy na scenę wkroczył Bocskai, mieszkańcy okolic Deb- reczyna, które wzięły potem od hajduków nazwę*, bali się ich tak samo jak Turków, Tatarów czy Niemców - właśnie w oddziałach osławionego Belgiojoso „aniołowie" pustoszyli miasta węgierskie. Bocskai okazał się geniuszem dogadując się za plecami włoskiego hrabiego z dowódcami oddziałów hajduckich, bo zanim garnizon z Nagyvaradu** zdołał się połapać, hajducy uderzyli na armię Belgiojoso z taką siłą, że hrabia z zasłanego trupami pola bitwy pod Almosd rzucił się do panicznej ucieczki przez góry Tokaj. Rok później książę Bocskai podarował swoim piechurom leżące w komitacie Szabolcs miejscowości, puszczy i folwarki, nadając im również prawa

i przywileje szlacheckie. Hajducy konni otrzymali darowizną w rok później, było to Szoboszló należące wtedy również do komitatu Szabolcs wraz ze wszystkimi znajdującymi się na tym terenie majątkami.

Za następcy Bocskaiego, księcia Gabriela Batorego*, okazało się wkrótce, że ani piesi, ani konni hajducy osiedleni w Szabolcs nie nadają się na sąsiadów garnizonu z K&lló, książe kazał więc „aniołom” przenieść się do Bószorniczy i w ten sposób z siedzib hajduków, których sprowadzono tu z Kallo, oraz tych, których od razu umieszczono w Szoboszló, powstał tak zwany obwód hajducki, municypium o randze równej komitatowi, które przez swoich posłów brało udział w parlamencie i wystawiało wojsko w razie pospolitego ruszenia. Tryb życia, zachowanie i słownictwo tych ludzi pozostawiało oczywiście wiele do życzenia, na starej szlachcie ci na wpół dzicy „aniołowie”-szlachcice musieli zapewne robić takie wrażenie, jakie odniósłby książe Esterhazy, gdyby w Izbie Magnatów ktoś przedstawił mu się w ten oto sposób: „Jestem książe Kovács**.” Podatków „aniołowie” nie płacili, sądy i władzę wykonawczą sprawowali poprzez wybieranych urzędników, na których czele stał kapitan hajduków. Obwód hajducki istniał jeszcze na parę lat przed przyjściem na świat Lenke Jablonczay. W 1876 roku przyłączono do niego część komitatów Bihar i Szabolcs oraz miasto Debreczyn, i powiększony w ten sposób teren został nazwany komitatem Hajdu, a jego stolicą- w miejsce Bószormeny - stało się położone centralnie dawne miasto- -państwo purytanów, kupców i uczonych, Debreczyn, rozsiadły między podmokłym, bagnistym Sírret, piaszczysto-lesistym Nyirseg i jedną z najbardziej zbożodajnych okolic kraju.

BPSifs

Pośrodku sceny znajduje się to właśnie miasto. Lenke Jablonczay znała jego historię jak własny życiorys. „Miasto przygnębiające w nastroju” - pisał o Debreczynie angielski botanik Townson, który odwiedził Węgry w 1793 roku, i zastanawiał się w swoim dzienniku: „Jakim okoliczność-

cipm zawdzięcza swoje powstanie, nie wiem. Niepojęte, co mogło skłonić trzydzieści tysięcy ludzi, aby wybrali na miejsce zamieszkania okolicę, gdzie nie ma ani źródła, ani rzeki, ani budulca." Dla Townsona byłoby nader pożądane, aby nie istniały zaświaty ani zgodne z teologią, ani z wyobrażeniami osób prywatnych, bo uczony zajmował poczesne miejsce na liście osób, które Lenke Jablonczay miała zamiar odszukać po śmierci. Szykowała się na to spotkanie, aby mu powiedzieć, że nie powinien był się zastanawiać, co strzeliło tym ludziom do głowy, aby właśnie tu wybrać sobie siedzibę, tylko raczej mógłby pomyśleć, w jaki sposób przetrwała ta drzemiąca w pierścieniu wód powierzchniowych, puszt, lasów i sadów kalwińska Walkiria, którą od ostatecznej zagłady chroniło wyłącznie to, że zawsze znajdowali się ludzie, którzy kochali ją ponad życie. Czego on chce od tego miasta? Że nie jest dość piękne? Dziwne, przecież w każdym ćwierćwieczu znajdowała się jakaś „dobrotliwa” ręka lub jakiś naturalny żywioł, które równały je z ziemią. Że nie ma w nim dzieł sztuki? Niech tylko angielski uczony dobrze poszuka w zagranicznych muzeach, może znajdą się tam wraz z innymi skarbami wywiezionymi z tego kraju. Że to właściwie wieś? Na dachu Kolegium, bratniego instytutu uniwersytetów w Oxfordzie, Utrechcie, Lejdzie i Zurychu gnieździ się sowa Ateny, a nocą na ulicy Nyomtató, jeśli dobrze wyteżyc słuch, można jeszcze usłyszeć odgłos kroków wielkich typogra- fów, którzy oddali Debreczynowi w obronę prześladowaną w miastach królewskich węgierską mowę. Nie spodobało się to miasto mister Townsonowi? Ale co on o nim w ogóle wiedział? Czy szukał śladu dawnego domu bana Rofaina nie opodal ulicy Var, czytał o mistrzu Dózszy, czy zainteresował się, jakie to arcydzieła rękodzielnictwa wiozły na wszystkie strony świata za panowania dynastii Anjou znakomite i nadzwyczaj silne cechy? Czy prześledził kolejność panów Debreczyna? Skądże znowu, przecież on nawet nie wie, co to jest ten fiskus, któremu przypadło w udziale miasto po wygaśnięciu rodu Dózsów, i co słyszał o królu Zygmuncie*, jeszcze dobrze, jeśli obił mu się o uszy sobór konstancjeński i nazwisko Husa, ale co mister

Townson wie o mniej dramatycznych epizodach z życia Zygmunta, nie o tych trzydziestu szlachcicach* zdążających do iBudy, lecz o ustawicznych kłopotach finansowych, bo korona [i gronostaje kosztują, a gdy król jest w potrzebie, może zastawić nie tylko jakieś piękne miasto, ale również taką przygnębiającą w nastroju jednostkę geograficzną jak Debreczyn.

Przygnębiające w nastroju... A czy ma jakieś powody do radości? Czy ma się cieszyć, że niczym żelazna rękawica albo złoty puchar przechodzi to na własność serbskich despotów, to znów dalej, że go oddają, biorą, kopią jak piłkę, i czy to naprawdę szczęście, że jego nowi panowie, ród Hunyadich, to dobrzy gospodarze? Król Maciej** pozwalałaby opasać się kamiennym murem, ale nie przychodzi mu na myśl, że pod całym bezkresnym puszczańskim niebem nie ma ani jednej skały, z której można by wyrąbać kamień, do obrony pozostaje więc miastu wąska fosa i wiara, siła rozumu i solidarności. Z czego ma się cieszyć? Może z klęski pod Mohaczem? Albo z tego, co je spotyka za rządów nowego pana, Balinta Tóroka? Jeszcze dobrze, że mister Townson, kiedy sporządzał swoje zapiski, nie widział prawdziwie purytańskiego Debreczyna, tylko ten ograbiony, podejrzliwy i posępny w okresie spisku Martinovicia***, co by bowiem powiedział, gdyby poznał to dromwellowsko surowe miasto w czasach jego świetności, w czerni, z posępnymi pieśniami, pod ciężkim cieniem Meliusa****. Przygnębiające w nastroju? Debreczyn, który należy do szolnockiegosandzaka wilajetu egerskiego, po to, aby zapewnić sobie byt po Mohaczu, musi służyć trzem panom. Zarówno król węgierski, jak i książę siedmiogrodzki, a także Turek ściągają z miasta kontrybucję, a ono stojąc w puszczy, wśród wód powierzchniowych zmuszone jest płacić podatek, którego zawsze zbiera się za mało, przyjmować resztki bezdomnej ludności ze zniszczonych osad, wysyłać

towary od Istantulu po Norymbergę, żeby tylko zdobyć pieniądze, których wciąż żądają od niego możnowładcy, wykładać swoje towary na jarmarkach Wenecji, Londynu i Augsburga i chronić sen mieszkańców nie mając ani murów, ani twierdzy, rozglądać się na trzy strony, niekiedy grzebać za jednym zamachem trzy tysiące ofiar dżumy, niekiedy bronić się przed taką chmarą szarańczy, że trzeba ją rozpędzać wystrzałami z armat, walczyć z wolą królewską, z najemnikami cesarskimi, poznać hrabiego Belgiojoso, podupać w okresie wojen religijnych, gościć generała Strassoldo, przed którego przyjściem mieszkańców Debreczyna chroniło dwa i pół tysiąca domów, a po jego odejściu zaledwie czterdzieści dziewięć. Przygnębiające w nastroju? Mister Townson na pewno nie słyszał o Caraffie. Pełni twórczej inicjatywy najemnicy Strassolda przykuwali debreczyńczykom ręce i nogi do głów, innym biedakom układali na ciałach niewielkie stosy, wieszali ich za palce, piłowali żelaznymi piłami, zdzierali ścięgna z nóg, zrywali paznokcie. Biegnie przez pola niebiańskie Lenke Jablonczay, a botanik Townson ucieka, i Lenke wykrzykuje za nim, że tu już w 1565 roku istniało Towarzystwo Kupieckie, którego umowy miały moc obowiązującą aż po brzegi Oceanu Atlantyckiego, ale historia tak igrała tym miastem, że tylko cudem jeszcze żyje, i woła też, że uciekający król szwedzki nie był tak wymagający jak mister Townson, bo zatrzymał się w domu tutejszego sędziego i, mimo że nie był chyba w dobrym humorze po przegranej bitwie pod Połtawą, całą noc czytał, bo nie mógł się nasycić istic księżęcą biblioteką swego gospodarza, i że sam cesarz Józef I* też czuł się tu nie najgorzej, a kiedy ktoś w tym przygnębiającym mieście chciał odpędzić od niego tłoczące się staruszki, zawołał: „Zostawcie, to mój lud!”, i czytał też potajemnie Kalwina we wspaniałej bibliotece Kolegium. Tutejsi profesorowie mogliby zyskać światową sławę, gdyby zgodzili się zostać na zagranicznych uniwersytetach, które ofiarowywały im katedry, ale woleli wrócić, bo tu jest inna woda i inny wiatr i tylko tu jest dom. Biegnie mister Townson, a za nim Lenke Jablonczay i wciąż woła, żeby posłuchał do końca, przecież nie

było go już na świecie, kiedy w tym mieście powiedziano Habsburgom, żeby sobie poszli z Bogiem*, i to tu jest ten plac, na którym kamienie strzegą kroków Kossutha**, i to tu był ten dom, należący Właśnie do jej rodziny, gdzie wielki książę Konstanty, który przybył na czele armii carskiej, słuchał muzyki Karolya Boki i nie miał nawet pojęcia, że ten Cygan w poszarpanym odzieniu oplakuje na głównym placu miasta poległych w bitwie debreczyńskiej synów: „Kiedyś się jeszcze rozwidni, nie zawsze będzie tu noc...”, i nie rozumiał także, dlaczego tam na ulicy płaczą, choć ta muzyka ma tak piękną melodię.

Przygnębiające w nastroju miasto! - oburza się I^enke Jablonczay - przecież tu urodził się Csókonai***, a pusztan-skie niebo opiera się na pąkach róż i narcyzach. Biegnie mister Townson, nie ma odwagi się zatrzymać, a przecież Lenke opowiada już o Wielkim Lesie i o tym, że ulicą Piać jeździ kolejka, prekursorka przyszłego tramwaju, że w Wielkim Lesie jest pawilon Dobosa, jest strzelnica, kantyna, basen, restauracja i jest już tyle szkół, mnóstwo, coraz więcej. Miasto, które ma w herbie feniksa, otrząsnęło się. Biogal****! - wykrzykuje Lenke Jablonczay. - Drukarnia Alföldzka, Instytut Atomowy, a przed Wielkim Dworcem drapacze chmur! Czy pan wie, mister Townson, co to są drapacze - co pan w ogóle wie? Nic! Biegnie, wciąż biegnie, zmęczył się już i jest przestraszony, ale Lenke Jablonczay wciąż goni, pędzi w ślad za nim i śpiewa to samo, co śpiewała nosząc pod sercem drugie dziecko: „Ciemnowłosa dziewczynko, cyt, cyt, cyt...”, bo jest już zadowolona, odpłaciła panu Townsonowi za przygnębiające w nastroju miasto.

Postacie Staroświeckiej historii wzdłuż i wszerz przemierzały sceny życia innych postaci, nie mając nawet pojęcia, że w przyszłości połączy je pokrewieństwo.

Gdy gromadziłam materiały potrzebne do napisania historii mojej matki, z magiczną konsekwencją ukazywały mi się

Debreczyn i okolicie, a także majątek Wenckheimów w Bekes. Lenke Jablonczay urodziła się w Fiizesgyarmat, ale również tam żyła, umarła i jest pochowana wraz z żoną dziadek jej drugiego męża, Elka Szabó, urodzonego także w komitacie Bekes, w Kóróstarcsa, Janos Szabó senior, inżynier i, aby to powiązanie było jeszcze wyraźniejsze, pracodawcą Janosa Szabó był - ten sam i mniej więcej w tym samym czasie - majątek Wenckheimów, który zatrudnił w charakterze administratora pradziadka Lenke Jablonczay. Mniej więcej dwadzieścia lat po tym jak teść Lenke Jablonczay, Janos Szabó junior, skończywszy studia na zagranicznym uniwersytecie wprowadził się na plebanie w Kóróstarcsa, pracował w Sarret dziadek Lenke Jablonczay, inżynier Kalmsn Senior, który właśnie tam, w okolicy Fiizesgyarmat i Szeghalom przywiózł syna, praktykanta mierniczego, Kalmana Juniora, ojca Lenke Jablonczay, przyszłego męża Emmy, wnuczki kuzynki Istvana Gacsaryego. W tym samym komitacie mieszkał i pracował także dziadek po kądzieli drugiego męża Lenke, inżynier Elek Dabasi Halasz, i mieszkali tam również sławni kuzyni teścia Lenke Jablonczay: autor Złotej Trąbki - Gyula Sarosy, twórca pieśni ludowych - Lajos Szakal i malarz Albert Szakal, który dzięki Wenckheimom mógł studiować w monachijskiej Akademii Sztuk Pięknych. Kiedy poeta Sarosy przeniósł się już gdzie indziej, zawsze pisywał do krewnych w Sarret, aby przysyłali mu czaple pióra do kapelusza. (Często jeszcze wtedy spotykana szlachetna czapla chętnie rozwija skrzydła, także w poezji Kalmana Juniora, ojca Lenke Jablonczay.) Wysyłają mu te pióra nie tylko krewni z Bekes, ale także jego ojczym, notariusz z Fiizesgyarmat, Pal Szanthó, zaprzyjaźniony z rodziną Gacsarych. Agyai-Szabó, Varady- -Szabó, Jablonczayowie i Gacsaryowie parają się mniej więcej podobnymi zawodami, mają takie same zainteresowania i podobne wykształcenie, jeśli w którymś z dwóch komitatów dochodzi do przypadkowego spotkania, wymieniają ukłony, kiwają sobie głowami z łóż piękno teatru debreczyńskiego, który zbudowano w stylu mauretańsko-bizantyjskim; po jednej stronie wynajmują łóżeczko członkowie rodziny Szabó, po drugiej dziadkowie Lenke Jablonczay i cała rodzina Marii Rickl. Ani purytańscy Gacsaryowie, ani należąca do ewangelicko-reformowanego Kościoła helweckiego rodzina Szabó, ani gorliwi

rymscy katolicy Jablonczayowie i Ricklowie nie podejrzewają nawet, że nadejdzie taki dzień, kiedy ich krew, różne światopoglądy, przynależność polityczna, maksymy gospodarcze i przekonania religijne zostaną nieoczekiwanie stopione w jedną bryłę w ogniu miłości oznaczającej dla nich wszystkich katastrofę, i że na ich nieszczęście zostanie zawarte małżeństwo, w którego początkowym okresie nieugaszona żądza sprowadzi na świat jasnowłosą, smukłą jak kwiat, długonogą, zielonooką Lenke Jablonczay, która miast odziedziczyć po matce temperament, zareaguje na perspektywę pożycia małżeńskiego, na pocałunek bliską omdlenia odrazą i będzie uciekać, ilekroć jakiś mężczyzna urzeczony jej wykształceniem, humorem, rozumem i urodą zechce się do niej zbliżyć.

Kiedy Lenke Jablonczay przystąpiła do niełatwego zadania usiłując zorientować mnie w rodzinie mojego ojca, musiała mi oczywiście także wyjaśnić, kim są jej krewni. Zrazu nie wydawało się to trudne. Z domu jest Jablonczay, pochodzi ze starej, znanej rodziny i nie wychowywali jej rodzice, tylko dziadkowie, a dokładniej mówiąc babka, którą wspominała z niesłabnącą miłością, mimo że dawno ją już utraciła. Mieszkała za to w Debreczynie, i to niedaleko nas, córka tej babki, Gizi, na której temat dużo mówiło się w Starej studni, i ta właśnie Gizella Jablonczay, najbrzydsza z trzech sióstr mojego dziadka, była pierwszą z Jablonczaych, którą dobrze sobie zapamiętałam, i stała na samym czele listy sporządzonej przeze mnie po starannym namyśle jeszcze w dzieciństwie, zawierającej nazwiska osób, z którymi nie chciałam się spotykać, gdy dorosnę. Jedyne, co jeszcze wtedy musiałam przyznać tej osobie, to to, że choć niesympatyczna, była jednak realna, można się z nią było spotkać, kiedy się zapragnęło. Gizella Jablonczay była najpierw z mężem, potem bez niego, miała mieszkanie, przyjaciółki, dziwaczne stworzenia z omszałymi twarzami, co więcej, miała nawet przyjaciół, z którymi grywała w taroka i kałabriaka, nie należała do tej drugiej części rodu Jablonczaych, którzy rozpływali się we mgle od razu, gdy tylko zaczynałam o nich mówić.

Jak się bowiem okazało, Lenke Jablonczay miała czworo rodzeństwa, dwie siostry i dwóch braci; siostry, moja ukochana ciotka Pelikan i ciotka Irén, żyły w osiągalnej odległości, ale

bracia, moi wujowie, a także ich matka przebywali w jakimś tajemniczym świecie, niby bohaterowie bajek, i to, czego zdołałam się wywiedzieć na ich temat, prawie nic minie mówiło. O jednym z wujów wiedziałam tylko, że ilekroć zaczynał się uczyć, natychmiast dostawał torsji, o drugim zaś, że pewnego razu w Pałlag zrzucił go koń. To były skąpe informacje, budziły podejrzenia swoim ubóstwem. „Twoi wujowie? - rzekła Lenke Jablonczay tak obojętnie i bez żadnego nacisku, że od razu zrozumiałam: skoro jej głos brzmi tak nijako, trzeba będzie dobrze uważać, bo na pewno nastąpi coś ważnego. - Mieszkają w Peszcie. Nie przyjeżdżają tu.” Na pytanie czym się zajmują, jakie mają zawody, obróciła sprawę w żart i powiedziała, że mieszkają z babcią. Na wspomnienie babci natychmiast zaszufladkowałam nigdy nie widzianych wujów, bo o babci miałam własne zdanie, była osobą nierealną i niepożądaną. Cóż to musi być za kobieta, jeśli pozwoliła, aby wszystkie jej córki wychowywała teściowa, zapewne kocha tylko chłopców, niechże więc sobie trzyma swoich synalków, skoro jest tak niesprawiedliwa. Pogardzałam też Emmą Gacsary z innego powodu: niezależnie od wszelkich problemów, w jakie w latach dwudziestych obfitowało życie urzędników państwowych, każdego miesiąca wysyłało się do tej zagadkowej staruszki pieniądze. Wysyłało się, ale z jakim komentarzem! Słyszałam niezliczoną ilość razy, kiedy posyłało mnie na pocztę, żebym tylko nie zapomniała o przekazie, wszystko lepsze, niż żeby pieniądze spóźniły się do babci, bo gotowa sama po nie przyjechać. „Mimo wszystko, chętnie bym zobaczył tę panią - mawiał niekiedy ojciec i chichotał niegodziwie, ale potem poważniał, bo nie poznawałyśmy się na jego dowcipie. - Czy ktoś mamę ostatnio widział?” „Nikt - odpowiadała niechętnie moja matka. - I nie zobaczy.” Babcia na szczęście nie pokazywała się u nas, tylko raz w życiu dała o sobie znać, przysłała mi pocztą książkę pod tytułem Czarodziejka z gór.; oprawny w czerwone płótno tomik był w doskonałym stanie, widocznie przechowywano go w wielkim poszanowaniu. Zadedykowała mi ten podarunek pięknym, śmiałym pismem: „Magdusi - Babcia.” Moja matka, która do tego stopnia kochała wszystko, co drukowane, że niechętnie wyzywała się nawet gazet, chwyciła książkę i bez słowa wrzuciła ją do pieca. Niemal pół wieku później szperając w książkach na targu przy

ulicy Nagykőrösi odnalazłam i kupiłam Czarodziejką z gór, a po przeczytaniu odstawiłam ją między ulubione książki z bezradnym smutkiem, jaki odczuwa się, gdy za późno doręczą nam jakiś list, już po śmierci nadawcy, gdyby zaś przyniesiono go w porę, może jeszcze udałoby się uratować życie piszącego..

Na szczęście poza babcią i dwoma mitycznymi wujami miałam w bród innych krewnych. Jablonczayowie właściwie nazywali się Pethes, ale już od niepamiętnych czasów używali jako nazwiska swego przydomka szlacheckiego. Mieszkali w Siedmiogrodzie, a także w komitacie Peszt, w Jaszag, w okolicach Komarom, w Gyóngyós, w Peszcie, istniała też linia kecskeniecka; ich drzewo genealogiczne było wyjątkowo rozłożyste, a korzeniami sięgało czasów dynastii Arpadów. Terez Csebi Pogany, która była w czternastym pokoleniu potomkinią Anny, córki Beli IV*, wyszła za Janosa Jablonczayego Pethesa, i w piętnastej generacji po najeździe tatarskim Jablonczayowie z dumą powoływali się na to, że w ich żyłach krąży półtorej kropli krwi Arpadów. Byli rozmaici w pełnym tego słowa znaczeniu, i nawet nie mogli być do siebie podobni ani pod względem wyznania, ani też przekonań politycznych, bo pewien kapitan rozwiązanego w 1876 roku i przekształconego w komitat obwodu hajduckiego, Janos Jablonczay, o którym matka często nam opowiadała, miał z pewnością całkiem inną mentalność niż żyjący w tej samej okolicy, w Nyirseg, Janos Jabłoń czay, który na rok przed wizytą pana Townsona był asesorem sądowym, potem zaś stolnikiem królewskim, a pewien Jablonczay, który pod koniec XVII w. zostaje skazany na galery za kalwinizm, musi mieć niewiele wspólnego z innym Jabloncza- ym, Lajosem, który w cztery lata po wydaniu Ucieczki Zalana** podarował dużą sumę plebanii rzymsko-katolickiej w Szobosz^ ló. Byli wśród Jablonczaych wyżsi urzędnicy, oficerowie armii cesarskiej, a także szeregowi Kossutha. Lenke Jablonczay odziedziczyła miłość do Petófięgo po swoim dziadku, oficerze honwedów, który wyruszył na pole bitwy w Mezobereny, podobnie jak jego ukochany poeta. Zamordowany w 1849 roku

József Jablonczay z Siedmiogrodu i jego syn zakończyli życie tak samo jak Pal Vasvári*, obydwóch zabili Rumuni i pozostały po nich w Bibliotece Telckiego w Marosvasarhely** tylko herb i pieczęć. Dzieciom Lenke Jablonczay, dopóki były jeszcze małe, z całej rodziny imponował poza galernikiem tylko kapitan hajduków, zachwycali się jego herbem i podobał im się też przywilej kapitana. W herbie na zielonym polu widniał mocno sfatygowany, chyba już martwy baran, wyglądający, jakby powieszono go na sznurku, zaś przywilej polegał na tym, że w obwodzie hajduckim, będącym samodzielnym municypium i posiadającym prawo miecza, on właśnie - kapitan - decydował o wykonaniu wyroków śmierci. Wiele lat później, kiedy nie chronił nas już dom rodzinny i spotkaliśmy się z bratem, stwierdziliśmy ze śmiechem, że każde z nas pamięta to wszystko, co opowiadano nam w dzieciństwie. Mój brat był przez pewien czas oficerem.

„Teraz miecz należy do mnie” - oznajmił, ja zaś, której w karierze pisarskiej wciąż w jakiejś formie jawił się baran, poinformowałam go, że mnie, jak widać, dostał się baran, więc niech kaźcie pilnuje swego.

Kiedy mój brat umierał, siedziałam na skraju jego łóżka. Próbował rozmawiać, ale ledwo można go już było zrozumieć. Bezlitosna choroba, która najpierw pozbawiła go nogi, potem oślepiła i sparaliżowała, dosięgła tego dnia ośrodków mowy. Syn Lenke Jablonczay mówił z trudem, i wszystko, o czym chciał nas poinformować, sprawiało wrażenie nieczytelnych sygnałów podświadomości, bo przecież przytomny konający nie będzie chyba mówił o kapitanie i mieczu. Córka Lenke Jablonczay kiwała jednak głową i odsuwając kołdrę w miejscu amputowanej nogi widziała dawny pokój swojego brata, gdzie siedząc na kozetce dzielili się spuścizną po kapitanie, i wiedziała, że to nie kapitańskim mieczem, lecz chirurgiczną piłą tak całkiem niepotrzebnie obcięto mu nogę.

Naszli matka znacznie więcej opowiadała nam o galerniku, radcy królewskim, Beli IV czy kapitanie niż o swoim ojcu, o którym, gdy ją wypytywaliśmy, mówiła z przymusem, ale za to dziwnie, bo raz twierdziła, że był ziemianinem, to znów, że nikim, albo urzędnikiem w peszteńskiej fabryce Ganz, lub ito było najzabawniejsze, najbardziej absurdałne - kierownikiem kąpieliska. (Kalman Jablonczay nie mieszkał ze swoją córką, nasza matka widywała go rzadko i prawie nie znała.) Za to często mówiła o swoim dziadku, Kńlmśnie Seniorze, a także

O pradziadku Imrem, którzy mieszkali w Debreczynie przy ulicy Kismester, w domu wniesionym w posagu Seniorowi przez jego żonę, Marię Rickl. Postać Seniora, oficera honwedów z okresu walk wolnościowych, i postać Imrego zachowały się w pamięci małej Lenke w ten sposób, że obydwaj zawsze tylko siedzą, trzeba ich obsługiwać i, jak mawiała babka, są beżytecznymi samcami, potrafią robić tylko trzy rzeczy: wojnę, długi i dzieci. W domu przy ulicy Kismester odwiedzała obydwóch, przecież przez długi czas tylko z nimi mogła dzielić swoje osierocenie: wszyscy troje byli osobami zbyt ciężkimi, ciężarem dla rodziny, karą bożą wymierzoną Marii Rickl. Przykuty do fotela tabetyk, a nie - jak mówiono mojej matce - reumatyk Senior i sparaliżowany w następstwie wylewu, którego dostał po ataku wściekłości, paskudnie klnący ateista Imre jawili się w opowiadaniach mojej matki niczym dwa nieruchome anioły. Kalman Senior zabawiał wnuczkę historiami z mitologii i poezją Petófięgo i z nieskończoną cierpliwością i łagodnością starał się ją wyleczyć z kompleksów; z labiryntu wiecznego strachu, w którym tak długo błądziła Lenke Jablonczay, prowadziła do pokoju Seniora bezpieczna, widna ścieżka, gdzie nie szły za nią groźne afekty małomiasteczkowych Medei.

Jej pradziadek Imre, sprośny Antychryst w szamerowanym surducie węgierskim, znał zadziwiająco wulgarne słowa, Lenke Jablonczay dziwiła się, że nie pada rażony gromem, kiedy takim potokiem przekleństw i wyzwisk obrzuca swoją synową, Ricklównę, która skazała go na

wygnanie do pokoju w tylnym skrzydle, jak gdyby to on był winien, że cudowny Kóselyszeg, wielki majątek ziemski zdobyty wytrwałą pracą całego życia, z którego cieplarni wyczarowywał na świąteczny Bożenarodzeniowy stół świeże poziomki i melony, jego syn Kalman, który w czterdziestu powozach wysłał do pałacu nad

brzegiem Kosely orszak ślubny na swoje wesele z Marią Rickl, przegrał w karty do ostatniego żywego skrawka ziemi, aż w końcu wszystko poszło na licytację, a on, niegdyś bogaty ziemianin, został na łaskawym chlebie u kupcowny. Na domiar złego musi żyć w mieście, gdzie nie widać ani pszenicy, ani skowronków, ani dzikiego ptactwa, i gdzie nie widuje w ogóle nikogo poza lekarzami i służbą, najwyżej tę malutką dziewczynkę, a niekiedy także tę drugą, tę urodzoną starą pandę, długonosą, najmłodszą córkę marnotrawnego syna Kślmśna, Gizellę.

Rzeczywiście obaj paralitycy mieli poza Lenke jeszcze jednego stałego gościa: Gizellę. Wkradała się do nich, gdy jej zawzięta matka odwiedzała akurat rodzinę lub jechała na cmentarz; najmłodszą z trzech sióstr, zwanych ironicznie Parkami, gorąco kochała Seniora, który stale czytał i deklamował wiersze, od którego zawsze mogła coś usłyszeć o walkach wyzwolenczych i Petófim, i z tą samą litością, z jaką później leczyła każde chore stworzenie, czy to człowieka, czy zwierzę, i przynosiła do domu każdego bezpańskiego, wypędzonego psa lub kota, spoglądała także na dziadka, na jego siwe kędziory, nie wiotczące-nawet w dziesiątym dziesiątku lat potężne uda i słuchała jego zadziwiających przekleństw, bo jeśli cokolwiek w życiu mogło zaimponować trzeciej Parce, to tylko odwaga. Imre Jablonczay, pradziadek Lenke i dziadek Gizelli, śmiało i wcale nie nabożnie wzywał śmierć, sama Parka-Gizella czekała na nią podobnie ponad pół wieku później, spoglądając ironicznie na księdza zmrużonymi oczami, a potem odwróciła się plecami do ostatniego namaszczenia wlepiając wzrok w ścianę. Dom przy ulicy Kismester był czymś więcej niż zwykłym miejscem zamieszkania, był straszliwym domem Bernardy Alba, gniazdem dzikich namiętności, straszliwą sceną. Córka Lenke Jablonczay szczerze się zdziwiła, kiedy po przeprowadzce do Pesztu pojęła, że miejsce, w którym ona i jej rodzice spędzili dzieciństwo, uważa się w stolicy za miasteczko spokojną i naiwną, i że istnieją ludzie, którzy wierzą w ducha, że prowincjusze to łatwowierni mieszkańcy idyllicznych okolic. Ona zachowała we wspomnieniach tajemnicę rodzinnego miasta, zagadki i namiętności kryjące się za opuszczonymi żaluzjami, żywiołową siłę prowincji.

O babce, która ją wychowała, żonie Seniora, i jej rodzinie

wywodzącej się od Józsefa Antala Rickla, urodzonego w 1748 roku w Soos, syna Janosa Rickla, administratora dóbr Leopolda i Anny Borbali Wagner, a od 1812 roku obywatela Debreczyna, i w ogóle o Ricklach opowiadała Lenke Jablonczay dużo i chętnie, nie tak jak o peszteńskich braciach i tajemniczej matce, o której skłonna była zdradzić tylko tyle, że pochodziła ze znanej, zamożnej i cieszącej się wielkim poważaniem rodziny, ale potem straciła majątek i nie udało się jej też małżeństwo, i jeśli nawet nie miała prawnego rozwodu ze swoim mężem Kalmanem Juniorem, to aż do śmierci pozostawała z nim w separacji. To było wszystko, co dzieci Lenke Jablonczay zdołały ustalić na temat swojej babki, o której nawet ciotka Pelikan mówiła niechętnie i tylko raz wyrwało się jej; „Mama i ojciec to były lepsze typki!”, natomiast dość szybko zdołaliśmy się połączyć w dziejach rodziny Ricklów i życie Marii Rickl, która wychowała naszą matkę, wydawało się nam całkiem przejrzyste. József Antał, urodzony jeszcze w Soos, kupiec, syn Janosa, administratora dóbr Leopolda, musiał widocznie przez pewien okres swego życia mieszkać w Peszcie, bo Anselmus Rickl pierwszy, dziadek Marii Rickl, żony Seniora, na osiem lał przed spiskiem Martinovicia (w spisku oczywiście brał także udział jeden z Jablonczaych i oczywiście stracił wszystko, co posiadał, a na dobitkę porzucił też swą kalwińską wiarę: Kuf-stein* cieszył się bowiem złą sławą, Rada Namiestnicza jeszcze gorszą, i aż przykro pomyśleć, jak podczas tej całej sprawy musiał się bać nasz krewny, który sprawował urząd radcy królewskiego!) przebywał w Peszcie, gdzie poślubił Rosinę Ivanics, którą przywiózł potem do Debreczyna i otworzył wielki sklep kolonialny w najpiękniejszym budynku miasta, obok małego kościoła. Do tego sklepu często przychodziły Parki, a także mała Lenke, której wzrok przykuwała nieodparcie zwisająca od sufitu na linie olbrzymia, wypchana, czarna ryba.

Sklep cieszący się dużym powodzeniem znano swojego czasu w Debreczynie jako sklep „Pod Tureckim Cesarzem”; Anselmus i Rosina nie tylko kupowali i sprzedawali towary, ale przyjmowali też rozmaite zlecenia. Ich wozy jeździły po całym

kraju z towarem i przyjmowały przesyłki, zwłaszcza szczególnie cenne. Kazinczy* w swojej korespondencji niejednokrotnie wspomina o panu Ricklu, za którego pośrednictwem spodziewa się otrzymać cenne książki. Syn Anselmusa Rickla, Anselmus drugi, który urodził się już w Debreczynie, „szanowany i poważany” członek powstałego w szesnastym wieku Towarzystwa Kupieckiego, był takim bogaczem, że już nie w przerośni, lecz dosłownie mierzył swe srebro na korce i pojął za żonę pannę z Debreczyna, Marię Józefę Brunner, córkę ławnika miejskiego. Ślub Anselmusa drugiego z Brunnerówną odbył się w 1841 roku, osiem lat później ich siedmioletnia córeczka Mari - babka Lenke Jablonczay -- przeżywa po bitwie debreczyńskiej okupację rosyjską i od niej, naocznego świadka, Lenke dowiaduje się o tym, że w domu Ricklów, który był najpiękniejszym domem w mieście, zarezerwowano kwatery najpierw dla księcia Paskiewicza, potem zaś dla hrabiego Riidigera. Maria Rickl opowiadała wnuczce, że hrabia Rudiger stawiał na parapecie okna swoje czako, aby było widoczne z ulicy i aby nikt nie ośmielił się niepokoić domu, w którym mieszka wysoki oficer rosyjski. Siedmioletnią Mari Rickl nieodparcie pociągało to niecodzienne nakrycie głowy i Rudiger przyłapał ją kiedyś, jak je głaskała, pozwolił jej bawić się nim, ilekroć tylko zechce. W 1912 roku zrobiono Marii Rickl zdjęcie, siedzi w wiklinowym fotelu ? patrzy w obiektyw; jest w żałobie, ma sięgający niemal kolan żałobny naszyjnik i nie uśmiecha się, ale też nie jest ponura, spogląda trzeźwo spod zadziwiająco wielkiego kapelusza, jak gdyby jeszcze raz chciała uważnie przyjrzeć się temu światu, na którym od tak dawna już przebywa. Lenke Jablonczay powiedziała, że oddałaby wiele lat ze swojego życia, gdyby jakimś cudem mogła zobaczyć swą siedmioletnią babkę w domu Ricklów, jak wbiega między siedzących przy obiedzie oficerów rosyjskich, przed którymi wcale nie odczuwa strachu, w sięgających kostek majtkach z falbankami i czaku Riidigera na głowie.

Anselmus drugi miał pięcioro dzieci, oprócz Marii jeszcze trzy córki, a syna, Anselmusa trzeciego, zabrało zapalenie płuc. Zostały cztery dziewczynki, cztery zadziwiająco bogate istoty, i cały Debreczyn wiedział, że dostaną jednakowy posag: po sto tysięcy forintów w gotówce -- to była taka suma, że wprost nie można sobie wyobrazić, ile by to było na dzisiejsze pieniądze - po jednym domu w mieście i po jednej posiadłości wiejskiej. Majątek Anselmusa drugiego podczas walk wolnościowych nie tylko nie zmalał, ale wzrósł, Anselmus pracował niezmiennie sam, żona pilnowała subiektów, a kiedy ich wnuki, Kśłmśn Junior i Parki, odwiedzały sklep „Pod Tureckim Cesarzem”, żaden z subiektów nie śmiał ich niczym poczęstować, dopóki najmłodsza Parka, najsprytniejsza z nich wszystkich, nie zaczynała tańczyć pośrodku sklepu, żeby odciągnąć uwagę dziadków, i skrzywienie desek pod tupiącymi trzewiczkami nie pochłonęło odgłosu otwierania szuflady. Maria Jozefa Brunner znała wartość pieniądza i wiedziała, jak można go utrzymać. Wraz z mężem starannie księgowali rezultaty całodziennego utargu, byli właścicielami jednej z maszyn parowych w mieście, wynajmowali młyn, ale nie skąpili też na cele kulturalne, zwłaszcza na teatr. Codzienne wizyty w teatrze były ich stałą przyjemnością. Później, kiedy nikt się już tego właściwie nie spodziewał, urodził się syn, spadkobierca, ale tego nie ochrzczili już Anselmusem. Przygotowania do obchodów tysiąclecia państwa wprawiły w euforię kraj na długo przed nadejściem wielkiego dnia - chłopca nazwano Gezą*.

Długo wydawało się, że bilans walk wolnościowych zamknęli zyskiem: kupili za psie pieniądze nieruchomości, których właściciele zubożeli lub poszli na tułaczkę. Podczas gdy niemal w każdym domu ktoś miał powód do płaczu, debreczyńskich Buddenbrooków nie dosięgła żadna strata, rano i wieczorem na kłęzniku krytym fioletowym aksamitem prosili Królową Niebios, aby rozpostarła swój płaszcz także nad sklepem „Pod Tureckim Cesarzem”. Potem, pewnego dnia, szczęście, które odwróciło się od całego kraju i jego mieszkańców, uleciało też z domu przy ulicy Piać, a powodem był ktoś taki,

kogo nigdy by o to nie posądzali, najmądrzejsza z ich córek, najbardziej podobna do ojca, Maria. Czego nie sprawił ani upadek rewolucji, ani terror po kapitulacji pod Yilagos*, dokonała szesnastoletnia panienka: Maria sprowadziła na dom Ricklów niepokój, strach, klęskę.

Dziewczyna poznała Kálmána Jablonczayego i zakochała się w nim z gwałtownością wręcz nieprzyzwoitą. To była większa katastrofa, niż gdy córka królowej Anglii zaręczyła się z młodym oficerem nie najwyższej rangi. Anselmus drugi i Maria Brunner znali Jablonczaych, kto ich zresztą nie znał w okolicy! Nie liczyło się, że ojciec przyszłego zięcia, Imre, jest bogaczem, a sam narzeczony spadkobiercą powszechnie podziwianego, wzorowo prowadzonego majątku w Kóselyszeg i szczyli się też dyplomem, bo ojciec wysłał go na studia do Budapesztu, gdzie skończył inżynierię wodno-ładową. Anselmus drugi i Maria Brunner patrzyli z przerażeniem, jak przed ich oknami pod niebieskookim, ciemnowłosym, smukłym, pięknym mężczyzną tańczy koń. Kupcom na zięcia przystoi kupiec, a nie ziemianin, którego rodzina wywodzi się od Arpadów i ma więcej pychy niż niejeden książę. Czego on chce, dziewczyny czy pieniędzy? Ale przecież sam jest bogaty, a po śmierci ojca dostanie mu się cud-majątek w Kóselyszeg. Czego Kálmán Jablonczay może chcieć od Mari? Mari jest tylko mądra, tak mądra, że to już nawet nie przystoi dziewczynie, ale choć ma zaledwie szesnaście lat, nie jest ładna, tańczy bez gracji, włosy ma rzadkie, a u fotografa tak ścisła różę, którą jej włożono do ręki, jak gdyby trzymała główkę czerwonej cebuli. Co ich do siebie ciągnie, jakie czary? Bóg nie pobłogosławi tego związku, nie może pobłogosławić, ten Imre Jablonczay miał też drugiego syna, lumpa i karciarza, Belę, po którym już dawno ślad zaginał, jego żona była jakąś tam baronówną, ale co to musieli być za ludzie, skoro jedno z dzieci zostało kaleką, bo go nie pilnowano, ojciec znikł, a dziewczynka spadła po prostu ze stołu, jak gdzie indziej spadają talerze.

Anselmus grozi, Maria Brunner argumentuje, a Mari stoi przed nimi prosta jak trzcina i pozwala się im wygadać. Mari

odziedziczyła siłę po nich obojgu i jest zakochana, nikt nie przeszkodzi jej w tym, na co się szykuje, ona chce być Jablon- czayową, żoną Kalmana, pod którym tańczy koń, i bawi ją zgnębienie ojca, który rankiem w dzień ślubu Schodzi do jej pokoju mówiąc, że każe natychmiast zaprzęgać i wyjada, miał straszny sen, widział ją w zebranych łachmanach, niech więc zrezygnuje z młodego Jablonczayego, cóż z tego, że podczas rewolucji był najpiękniejszym oficerem honwedów; każdy, kto go zna, mówi o nim: grand seigneur. Czy można czuć się bezpiecznie przy boku grand seigneura? Mari tylko macha ręką, przypina wianek i stwierdza trzeźwo, że czuje w sobie tyle żywotności, aby, gdy jej mąż, który na razie jest jeszcze bogaty, znajdzie się w opałach, wziąć cugle w ręce. Co do filiera żąda swego posagu, domu i majątku w Pallag, potem wsiada do przysłanej po nią z Kóselyszeg, zaprzęzonej w białe konie karety, za którą ulicą Piać podąża do kościoła przy ulicy Świętej Anny orszak ślubny składający się z trzydziestu dziewięciu powozów, olśniewając oczy gawiedzi koliami, pióropuszcami i klamrami, w których lśnią kamienie z tysiąca i jednej nocy.

Anselmus drugi miał oczywiście rację. Kóselyszeg niedługo został w rękach Jablonczaych, poszedł pod młotek; trudne lala. klęski żywiołowe i ta gotowość Kalmana Seniora, z którą przyjmował każde zaproszenie na partyjkę kart, stawał u boku wszystkich przyjaciół, którzy znaleźli się w tarapatach, i starał się zaspokajać życzenia nie tylko własne, lecz także ludzi, którzy go otaczali, nie mogły przynieść w rezultacie nic poza licytacją. Jedyne człowiek, który potrafiłby powstrzymać ten wóz pędzący nieuchronnie ku przepaści, nie mógł już nic pomóc, tylko w dalszym ciągu wygrażał wielkimi pięściami i tak już przeklinanemu Bogu: Imre Jablonczay, dawny administrator Wenckheimów, właściciel Kóselyszeg, który stworzył raj na puszczy, bezradny i sparaliżowany oczekiwał pewnej katastrofy. Kiedy bowiem jego najpiękniejszą winnicę wybił grad, wybiegł między bruzdy i wygrażając niebu tak długo przeklinał władze niebieskie, które zniszczyły mu plony, aż ze wzburzenia powalił go atak apopleksji i nigdy więcej nie stanął na nogi. Udzielanie Kalmanowi rad z fotela było tak samo daremne, jak gdyby próbował wstać i wyjść. Kálman z wyższością odrzucał wszelkie jego propozycje i z równie sztywną uprzejmością kwitował

uwagi Anselmusa, że powinien rządzić się inaczej. Sto tysięcy posagu Marii Rickl topniało z każdym dniem, i zanim Mari, wtedy już matka czworga dzieci, prawie stale zajęta rodzeniem, karmieniem oraz pielęgnacją teścia, zdołała się połapać, poszło niemal w całości na długi Kalmana. W odpowiedzi na wyrzuty żony Senior zdejmuje ze ściany sztucer i mówi, że z labiryntu długów honorowych zawsze jest jakieś wyjście, on nie ma zamiaru żyć i myśleć jak kramarz. Mari jedzie do domu Ricklów, gdzie nie spotyka się ani ze złośliwym zadowoleniem, ani ze współczuciem; Anselmus żałuje tego, co się stało, ale jego sklep, który stanowi zabezpieczenie dla rodziny na przyszłość, nie pójdzie na pańskie fanaberie Kalmána Jablonczayego, Mari ma jeszcze trochę pieniędzy, oni też postarają się ułatwić jej to czy owo, ale ani im się śni pomagać zięciowi. Niech zlicytują majątek i niech Jablonczay przestanie wreszcie zachowywać się jak udzielny książę. Oczywiście, jeśli Mari chciałaby wrócić do domu, przyjmą ją choćby z wszystkimi dziećmi, ale nie chcą tu ani Seniora, ani tego Błuźniercy. O tym zaś, żeby ona, praktykująca katoliczka, w której rodzinnym domu zawsze robi się ołtarz na procesję Bożego Ciała, mogła się rozwieść, nie może być nawet mowy, ale nie zamkną przed nią drzwi, gdyby wróciła bez męża.

Mari jednak nie wraca. Nie dlatego że wciąż jeszcze kocha męża i darzy go zaufaniem, córka Anselmusa po prostu nie lubi tracić, Maria Rickl nigdy nie pozbyła się nawet zepsutego guzika, a co dopiero męża. Sama z adwokatem wzięła udział w licytacji Kóselyszeg, teścia usunęła do odległego pokoju, żeby nie słyszał młotka, Senior wyjechał gdzieś na jedynym koniu, jaki im pozostał, a kiedy wrócił, ziemia, po której stąpał koń, była już cudzą własnością. Mari podbijała cenę, szantażowała nabywcę, Senior patrzył z nienawiścią, jak się wykłóca, argumentuje i jak jest gwałtowna. Ze szczątkami, jakie udało się im uratować po zatonięciu okrętu, przyjechali na ulicę Kismester, do debreczyńskiego domu, wniesionego w posagu przez Mari, i przywieźli też ze sobą paralytyka; trudno było słuchać jego przekleństw i szlochu, kiedy wykręcając bawoli kark oglądał się z powozu za utraconym Kóselyszeg.

W dniu przyjazdu Maria Rickl zaczęła się emancypować i drogo ją to kosztowało. Oznajmiła, że poczynając od dziś

przejmuje na siebie rolę głowy rodziny i nic bez jej zgody nie może się tu dziać. Pieniądze, które są w tym domu, należą do niej, Senior jest żebrakiem i to od niej będzie od tej pory dostawał na swoje wydatki. Majątek w Pallag ma jeszcze czystą hipotekę, chyba bezbożny ojciec nauczył go W Kóselyszeg, co to jest praca na roli, niech więc zarządza sprawami Pallag, ponadto ma przecież dyplom, a w całej okolicy same wody powierzchniowe i moczary, niechże się więc włączy do prac przy melioracji. Seniora można było właściwie bez trudu nakłonić do pracy w Pallag, nie uląkłby się też melioracji, ale obwód elektryczny łączący małżonków zostaje przerwany raz na zawsze. Choć mogło się to wydawać dziwne, piękny Senior kochał Marię Rickl i sam, wtedy jeszcze bogaty, nie ożenił się z nią dla pieniędzy, tylko po prostu wydawała mu się inna niż wszystkie znajome panny, bardziej twarda, szorstka, nie taka pastelowa: interesująca. Senior w tych dniach jest tylko pozornie zrównoważony, w rzeczywistości bardzo mu wstyd, chętnie obiecałby nawet, że odtąd będzie się pilnował, starał się unikać wszystkiego, co mogłoby znów naruszyć stabilność ich egzystencji, gdyby tylko usłyszał choć jedno dobre słowo, że co się stało, już się nie odstanie i dostał choć jeden znak, że Mari mu wybacza, bo przecież kiedyś tak bardzo się kochali. Ale kiedy Mari mówi tylko, że przejęła władzę w tym domu i sama zajmie się też wychowaniem dzieci, a Senior pojmuję, że ma już tylko czekać na rozkazy, że trzy córeczki i synek mają słuchać jedynie Mari, i gdy żona wyrzuca mu, że poza ruiną finansową sprowadził jej jeszcze na kark ojca, który nie nadaje się do współżycia z ludźmi, i Bóg miał właściwie słuszość odbierając mu władzę w nogach, coś w nim pęka. Senior nie słuchał rad i próśb ojca, ale uwielbiał go i wiedział, co dla tego starca, który całe życie spędził na wolności, musi oznaczać paraliż, fotel i łaskawy chleb. Do tej pory żal mu było Mari, teraz jego współczucie zwraca się wyłącznie ku ojcu, którego gniew z czasem słabnie, i który bezradnie tęskni, aby ujrzeć syna. Kiedy już także i Senior zasiada na zawsze w fotelu, nawet to zostaje mu odebrane, już nigdy więcej się nie zobaczą. Mari nie pozwala na przesuwanie foteli tam i z powrotem. Wiele lat później ich łączniczką staje się mała Lenke. Jablonczayowie na swój powściągliwy sposób zapewniają się wzajemnie, że cokolwiek było, pozostaną soli

darni i właściwie nie mają nic wspólnego % Ricklówną. Tego dnia, kiedy Maria Rickl ograniczyła kompetencje Seniora mówiąc z nim, jak gdyby był ekonomem, Senior w milczeniu wyszedł z pokoju. „Nie poprosił nawet o wybaczenie, nie powiedział ani słowa” jg opowiadała wiele lat później Maria Rickl swej wnuczce Lenke. „Jak gdybym wtedy po raz pierwszy ujrzał twoją matkę - usłyszała w półmroku pokoju chorego Seniora trzecia Parka. - Głowiłem się, czy te pieniądze były naprawdę aż tak ważne. Powinna była wyjść za kupca.”

Mari wystartowała do nowego życia niemal od punktu zerowego, aby pokazać wszystkim samcom, tak samo temu imieniem Anselmus, jak i dwóm własnym trutniom, że da sobie bez nich radę i wychowa dzieci na ludzi. Nie było już zakochanych małżonków, został słaby mężczyzna, który wkrótce zaczął chorować, i została też mocna kobieta, która była tak silna, że odpychała tym ludzi i nauczyła swoje trzy córki, aby nie ufały mężczyznom, bo żaden z nich nie jest towarzyszem i podporą, lecz nicponiem, marnotrawcą, wręcz zbójem. Nie wierzy jej tylko najmłodsza z córek, Gizella. Ona jedna rozpoznaje Janusowe oblicze Seniora, który jednocześnie udaje rozbawionego francuskiego markiza i Oniegina, Seniora, który czyta, deklamuje i opowiada o tajemnicach gwieździstego nieba, który wszystko wie, wszystko zria, widział Petófię, brał udział w walkach, śpiewa, gra na fortepianie, potrafi zorientować się w każdym terenie i z którego oczu promieniuje ku niej tyle miłości: długie lata nikt z taką dobrocią i zrozumieniem nie spojrzy w brzydką twarz Gizelli. Kiedy w połowie lat osiemdziesiątych dyskretna choroba nie pozwala mu już pracować w majątku ani przy melioracji i musi przeprowadzić się do skrzydła dla chorych, Mari nie ma dla niego nawet odrobiny litości. Ale Gizella nigdy nie zapomina, że to od ojca słyszała po raz pierwszy o Byronie i Lermontowie, o Mglawicy Andromedy, o światłach Paryża, o sprawie Arkadii*, o wojnie trojańskiej i, choć przez całe życie odczuwała skutki beznadziejnej biedy, w którą wpędził ich wszystkich niedorzeczny styl życia ojca.

stała przy nim do śmierci z niesłabnącą wiernością. Kiedy Senior, niczym Kafkowski karaluch, zostaje wygnany do tylnego skrzydła w sąsiedztwo ojca, Kślmśn Jablonczay Junior już od dawna wodzi matkę za nos i wymierza jej taki cios, po którym Maria Rickl nie może się już podnieść. Mari ufała tylko jednemu samcowi, własnej krwi, i mija nadzieję, że Junior przez rozsądne, bogate małżeństwo dźwignie rodzinę do dawnego poziomu, a wtedy ona znów jak równa z równymi zasiądzie przy stole Anselmusów w domu Ricklów. Ale Junior, miast ratować rodzinę, utopił resztki rozumu w obrzydliwych moczarach Sarret. Wówczas odwróciła się także od niego i zabroniła, aby mu ktokolwiek pomagał lub choćby wdawał się z nim w rozmowy. Znowu jedna Gizella ma czelność być nieposłuszną, Gizella zawsze skłonna jest nadstawiać karku za tych, których kocha, a Seniora i Juniora kocha z jednakową mocą. Odziedziczyła po matce nieładną twarz, jej przekorę i siłę, ale ma ciemnoniebieskie oczy ojca i brata, oczyma śledzili gwiazdy, gdy zapadał zmrok, a także ich nieodpartą potrzebę, aby tylko tak, dla własnej przyjemności, mamrotać pod nosem strofy wierszy i starać się w wyobraźni doścignąć wiatr na dzikim puszczańskim rumaku.

Aczkolwiek Maria Rickl pisała starannie i ze znośną ortografią, to nie prowadziła jednak dziennika, jak jej syn Kalman. Nie zostało też po niej wiele zdjęć, bardziej wiarygodny jej portret niż fotografie, uwieczniające młodzieńką narzeczoną z różą w ręce, wdowę w żalobnym stroju, z małym koczkiem na czubku głowy i nosem jak trąba, czy staruszkę, która spod modnego kapelusza chłodno spogląda w obiektyw, stanowią jej księgi gospodarskie, które Lenke Jablonczay przechowała przez dwie wojny światowe. Córka Anselmusa drugiego zapisywała wydatki z dokładnością ce do krajcara, nie zapominała nawet, za ile ofrankowano jakiś list lub ile dała człowiekowi z małpką czy stawiającej karty Cygance i ile kosztowało ją obejrzenie wypchanego rekina. Kupczówna często dawała na cele dobroczynne, częściej, "niż można by się tego po niej spodziewać, niemal na każdej stronie ksiąg można znaleźć świadectwo tych datków. Dawała pieniądze żebrakom, stowarzyszeniu kobiet, studentom kalwińskim, płaciła na loterię honwedów, na Muzeum, na sztandar straży ogniowej, na dziew

częta harfiarki, na biednych aktorów, na akcje stowarzyszenia kobiet, na benefisy aktorskie, na dziewczynki z domu sierot, na pogorzalców, na rannych z Bośni, a także wspierała zebrzące zakonnice i inwalidów wojennych. Wpisy zdradzają również, co w domu przy ulicy Kismester grywali na fortepianie firmy Bechstein Kalman Junior i trzy Parki, a później przyszła spadkobierczyni nut, Lenke Jablonczay, dopóki nie posłano jej do szkoły muzycznej. Maria Rickl zapisywała ceny nut, stąd wiemy, że w salonie Jablonczaych grywano: lAszló Hunyadi-go, Las, las, gęsty las, Morceaux de Salon, Węgierskie pieśni ludowe, Traviatę, Małego księcia, Dzwony z Corneville, Cam-panellę, Marsz turecki, Fausta, Pieśń Molinaryego, Świągot ptaków. Kupowano więcej nut niż obrazów czy dzieł literackich, wśród zapisków uwidocznione są jedynie dwa kupione (na raty) pejzaże, i choć w każdym roku występuje prenumerata „Mode-welt”, a każde dziecko dostaje poza podręcznikami elementarz niemiecki, Deutsches Lehrbuch, gramatykę francuską, różne książki ilustrowane i Książkę Flóri (tę kupują wielokrotnie, pierwszą dla Juniora), katechizm, książeczkę do nabożeństwa i śpiewnik -- poza dziecinną książką o Kinizsim* znajdujemy tylko wzmiankę o .zakupie kalendarza i książki kucharskiej. Z pieniędzy wydanych na literaturę piękną rozlicza się kupców- na w swoich księgach tylko raz: 13 lipca 1879 roku płaci oszałamiającą sumę za ozdobne wydanie dzieł Petófięgo: siedemnaście forintów i dwadzieścia krajcarów. (Cena kłębka czerwonej bawełny do cerowania wynosi dwa krajcary, całego salami - dziewięćdziesiąt, srebrnego pierścionka - jeden forint, a nowa krynolina Marii Rickl kosztowała zaledwie cztery forinty czterdzieści krajcarów.)

Na dzieci wydawała Maria Rickl dużo: poczynając od płótna do bandażowania pępuszków, czepeczków, nocniczków i grzebyków, niemowlęta otrzymywały kawałki korala do gryzienia, które miały ułatwić ząbkowanie, płócienne śliniaczki, czapeczki, zasypkę, zgrzebne płótno; płacono za przekłucie im uszu, kupowano śpioszki, lalki, zajączki, czekoladki przeciwko robakom, Maria Rickl opłacała mamkę, kupowała pończoszki, ręczne koronki, holenderskie płótno, pikę, grzechotki, lepsze

pończoszki, batyst, płótno na koszulki, miodowniki, koszyczki, niezliczone łokcie tkanin ubraniowych, cajt, aksamit, skórzane buciki, sukienne i słomkowe kapelusze. Kalman dostaje kompletny strój honweda, buty z cholewami, liczne kamizelki, marynarki, spodnie, dziewczynki otrzymują parasolki, sukienki, -potem maszynę do szycia, zaś Kalm&n strój salonowy, a gdy kończy siedemnaście lat - rękawiczki balowe, bilety na wieczorki na przystani i na wszystkie bale. Na wychowanie dzieci Maria Rickl nie żałuje niczego, kupuje rysiki, tabliczki, kajeciki egzaminacyjne, zeszyty, teczki, poza przyborami szkolnymi ma jeszcze wiele innych wydatków, płaci nie tylko chesne za czworo dzieci, ale również za lekcje prywatne, za naukę rytmiki, lekcje francuskiego, płaci nauczycielce muzyki, wychowawcy syna i wychowawczyni córek, a ponadto każdego roku daje nauczycielom prezenty, jednym w złocie, innym w naturze. Kupcówna całkiem wyraźnie nie ma zamiaru zmieniać trybu życia, do jakiego przywykła w domu rodzinnym i w Kóselyszeg, wręcz przeciwnie. Z jej zapisków wynika, że wszędzie jeździła dorożką - do matki, do siostry Róży, na cmentarz, na wieczorki do Kasyna, na bale, na koncerty, do złotnika, do cyrku, do teatru, na wystawy, do galerii obrazów, do Pallag z dziećmi, na spacer do lasu, i pamiętała też o wszystkich uroczystościach rodzinnych Anslmusów, do których nie żywiła urazy, że niegdyś pomogli jej tylko dobrą radą. Maria Rickl doszła do wniosku, że stanowisko rodziców było uzasadnione, nieuzasadniona była pycha i powieściowy sposób bycia Jablonczaych, i była w wystarczającej mierze Ricklówną, aby znajdować radość w tym, że widzą, jak sobie radzi. Znosi matce na imieniny ozdobną sakiewkę, aksamitny stroik na głowę, obrus, mantylkę, na urodziny chustkę z angory, przykrywkę na kasztany*, ojcu na Gwiazdkę haftowane pantofle, później wieniec na grób, starszej siostrze Rózie haftowane podwiązki, drugiej siostrze portfelik na klucze, Gizic batystowe chusteczki. Sama też ubiera się ładnie, kupuje kosmetyki, woalki, koronkowy kapelusz, kapturek, gorset, czepki, kołnierzyki, pióra i perły do włosów, rękawiczki balowe, odświętne pantofle, aksamitny kaftanik,

perfumy, wachlarz i jedwabną parasolkę. Regularnie w każde Świąto Zmarłych jeździ dorożką na cmentarz katolicki - zapala trzydzieści lampek - rozdziela między zmarłych członków rodziny wieńce i z równą regularnością zamawia co tydzień fryzjerkę do domu, co kwartał stroiciela fortepianów i sumiennie zapisuje w rubryce wydatków, że w ciągu trzech lat dwukrotnie kupiła wkładkę, a raz nawet całą tresę z trzech splotów na uzupełnienie swych rzadkich włosów. Prowadzi ożywione życie towarzyskie, zgadza się zostać matką chrzestną przy bierzmowaniu i kupuje dziewczynie złoty krzyżyk, jest też obecna na ślubie swej kuzynki, Natalii Drahoty, którą obdarowuje haftowaną szkatułką. Kiedy dziewczęta zaczynają dorastać, chodzi z nimi na Kranzchen, na wieczorki, kupuje im białe gorsety, szpilki i kwiaty do włosów, bilety wizytowe, koronkowe chusteczki, bordiurę na parasolki, dwóm starszym każe zrobić fotografie, które rozsyła rodzinie. Bywają wszędzie tam, gdzie tylko istnieje nadzieja, że zostaną zauważone, chodzą na bale do stowarzyszenia kobiet, do Towarzystwa Kupieckiego i na bale maskowe; dopóki są małe, zabiera je co rok na bale dla dzieci. Juniorowi kupuje zawsze na Wielkanoc wodę różaną na śmigus, po jakimś pojedynku - łód na ranę i pędzel do rozprawiania lekarstwa. Pokazują się na każdym pikniku, balu w stowarzyszeniu kobiet, wieczorku prawników i lekarzy, zabawie u kupców i urzędników, na wszystkich loteriach i co wieczór w teatrze. Dwie starsze Parki cieszą się dużym powodzeniem, ale Gizella jest niestety nieładna, młodzi ludzie chcą z nią tylko rozmawiać, nie tańczyć, nikt nie dostrzega jej pięknych, wymownych oczu, za to wszyscy słyszą kłujące, zjadliwe, niekiedy wręcz niegodziwe uwagi; dziewczęta drżą przed języczkiem Gizelli, chłopcom zaś nie przychodzi nawet na myśl, że Gizella też jest kobietą, a przecież gdy rzucając uszczypliwe uwagi ściska kurczowo swój bukiet i dowodzi, jak to głupio tak się kręcić po dusznej sali, omal nie pęknie jej serce, tak bardzo chciałaby usłyszeć dobre słowo, zobaczyć oczy błyskające na jej widok - długo nic stanie się to jej udziałem.

Maria Rickl wydawała też sporo na lekarza i lekarstwa dla czworga dzieci, męża i teścia. Ona sama poza położeniem, kiedy to obdarowuje akuszerkę i kąpielową, nie wydaje na swoje choroby. Czytelniczka jej ksiąg gospodarskich najbardziej zadziwia, że

tak dokładnie i plastycznie przedstawiła historię swojego życia córka Anselmusa drugiego, o której wszyscy, którzy ją znali, mówili, że nie interesuje się literaturą. Dopóki istniał dawny związek między nią i tak ukochanym, tak starannie wychowywanym synem, wpisy mówią zawsze o Kalmanku i bije z nich wprost szczęście, że Kalmanek znów mógł coś dostać - wysokie buty, piórniki, łyżwy, piłkę, wiosenne, letnie, jesienne lub zimowe ubranie, farby, brystol do rysowania, nowy kapelusz, zeszyt. Później Kalmanek staje się Kalmanem, jego imię znika z ksiąg i latami nie ma na jego temat nic poza kilkoma notatkami, że w domu przy ulicy Kismester kupiono znaczek pocztowy -- rzadko wysyłało się listy do kogo innego. O zerwaniu stosunków można się dowiedzieć z księgi z roku 1881, choć nie ma tam ani słowa o tym, co zaszło. Kślman wraca wtedy z Grazu bez grosza przy duszy, ma dwadzieścia jeden lat i matka w upokorzonej, zawiedzionej miłości niemal policzkuje go sumą, którą mu daje: „Mojemu synowi Kślmanowi 10-go: 25 krajcarów, 16-go: 20 krajcarów.” Człowiek z małpką dostał w swoim czasie czterdzieści.

Mimowolna stylistka wypowiada też swą opinię o mężu. Dopóki trwa miłość, mąż dostaje dużo - fajkę, jedwabny krawat, etażerkę, żardinierę do pokoju, kiedy natomiast więzy małżeńskie rozluźniają się, podarunki nabierają wyraźnie praktycznego charakteru. Mąż zaczyna nagle dostawać flanelowe skarpetki, potem onuce i jeszcze tylko dziewczęta starają się ratować sytuację, jedna z Parek haftuje coś ojcu na stolik, a Gizella dostaje siedemdziesiąt cztery krajcary na „upominek gwiazdkowy dla ojca”. Po onucach przychodzi płótno na koszule i kalesony, to samo zresztą dostaje Bluźnierca, którego Maria Rickl nienawidzi tak bardzo, że niezdolna jest nazywać go teściem i zawsze pisze o nim: starszy pan. Starszy pan również dostaje płótno na koszule i kalesony. Podarunki dla męża od czasu zupełnego ochłodzenia stosunków składają się już niezmiennie z tuzina bądź pół tuzina chustek do nosa wzbudzając w czytelniku ksiąg uzasadnione podejrzenie, że Kalman Senior cierpiał na chroniczny katar lub nieustannie płakał, niszcząc dwanaście chustek rocznie. Zapiski Marii Rickl to groźna lektura. Córka Anselmusa drugiego kupuje bilet na wieczorek Wesołych Starszych Panów, podczas gdy w domu czekają na nią

dwaj rzadko weseli starsi panowie, przykuci do swoich foteli, i każdy z nich dostaje już tylko płótno lub chustki, a kiedy K&Iman Junior, ojciec Lenke Jablonczay w 1881 roku wkracza między wesołych staruszków Marii Rickl, jej podarunek gwiazdkowy dla niego jest taki sam jak dla innych samców wyrzuconych z serca kupcówny: pół tuzina chustek do nosa.

Nasza matka nienawidziła swoich rodziców. Słowo „nienawiść” nigdy nie zostało wypowiedziane, sami odgadliśmy, co kryje się pod jej niejasnymi wyznaniem. „Ledwo ich znałam...” (Jak to możliwe, jej ojciec umarł, gdy mój brat był już na świecie, babkę widziałam na własne oczy, otworzyłam jej drzwi, nie mając pojęcia, kim może być ta strasznie wyglądająca kobieta, która stała za progiem i na mój widok z uśmiechem, który rozjaśnił nagle jej obrzękłą twarz, powiedziała: „Jesteś na pewno córką Lenke, Magusią.”) „Ojciec nas nie kochał...” Długo głowiliśmy się nad tym dziwnym stwierdzeniem, nie rozumieliśmy, co też właściwie mogło się wydarzyć w domu Jablonczaych. Bo oczywiście zdarza się, że matka nie troszczy się o córki i w końcu staje się dla nich niemal obca, bywa też, że ojciec nie kocha swoich dzieci, ale to jednak było niezwykle, tym bardziej że córki Juniora nie były w tym względzie jednomyślne. Co do Pirocki - ciotki Pelikan - kiedy umarła i przejrano jej szuflady, okazało się, że do śmierci przechowywała wszystkie utwory Kálmána Jablonczayego, coś zatem musiało ją wiązać z tym tajemniczym człowiekiem, że nie wyrzuciła tego, co jej starsza siostra Lenke cisnęłaby nie czytając do pieca. Również młodsza ciotka, Irén, gdy spotykała się z moją matką, zadawała stereotypowe pytanie: „Wysłałaś pieniądze biednej mamie, Lenke?”, i w jej głosie nie było rzeczowego zainteresowania, tylko współczucie. Kiedy po śmierci ciotki Pirocki spuścizna po Kálmánie Jablonczayem dostała się w moje ręce i przeczytałam, co pisał, znalazłam dla niego usprawiedliwienie. Tylko dla pełności obrazu wypytywałam krewnych i odwiedziłam miejsca, gdzie żyli Gacséryowie i Jablonczayowie, bo właściwie

po zakończeniu lektury wiedziałam już, że moja matka myliła się, to nie jej rodzice byli obojętni i odpychający, leczona brzydziła się nimi, tylko że nawet w duchu nie ośmieliłaby się tego sformułować, przecież jeszcze i dziś dziwimy się, gdy ktoś nienawidzi ojca i matki, a cóż dopiero w czasach dzieciństwa Lenke Jablonczay, kiedy nie wolfo było mówić o wielu takich rzeczach, które już teraz nie stanowią tabu. Zrobiło mi się smutno, kiedy pomyślałam, że to wszystko - w końcu co to takiego było, o czym wszyscy w czasach mojego dzieciństwa milczeli? - zrozumiałam dopiero teraz, a nie wtedy gdy żyła jeszcze moja matka. Gdyby Lenke Jablonczay przeczytała spuściznę po swoim ojcu, odnalazłaby ten dowód, którego nigdy nie szukała, ale który mógłby nadać inny kierunek jej życiu, i gdyby go dostała w ręce we właściwym czasie, inaczej myślałaby też o matce, którą czyniłaby odpowiedzialną za swoje porażki, przede wszystkim za to, że nie mogła zostać żoną cudownego Józsefa, i której nigdy nie dała szansy obrony.

My, wnuki, mieliśmy najdziwniejsze informacje o naszym dziadku.

Pierwszą naszą informatorką była matka, która, jeśli tylko mogła tego uniknąć, nigdy o nim nie mówiła. Za czasów mojego dzieciństwa, kiedy szliśmy razem na cmentarz, zaobserwowałam, że zawsze całuje krzyż Marii Rickl i gładzi też granitową płytę, na której wyryte są nazwiska Kalmsna Seniora i Imrego Bluźniercy, ale nigdy nie dotyka złoconych liter: Kalman Jablonczay Junior. Jeśli kiedykolwiek rozmowa schodziła na jej ojca, matka zawsze starała się zmienić temat, a gdy jej się to nie udawało, mówiła tak różnie, że zauważałam to już jako małe dziecko. Ze słów matki wynikało, że jej ojciec ożenił się młodo i nierozważnie, był karciarzem, grywał na wyścigach, tracił pieniądze, zresztą rzadko się z nim spotykała. Wie na jego temat tyle, że kończył studia techniczne za granicą, był inżynierem, tak samo jak Kálmán Senior, przez pewien czas pracował w Peszcie w fabryce Ganz i był bardzo biedny, ale czasami gospodarował też na wsi i był kierownikiem kąpieliska. Jeśli dodać do tego jeszcze to, co słyszałam od ciotki Piroski, że mój dziadek był lepszym typkiem, łatwo zrozumieć, że wytworzyłam sobie niezbyt pociągający portret Kálmána Juniora. Później, w miarę jak dorastałam, zaczęły zastanawiać mnie różne sprzeczności w je-

go zyciorysie. Skoro skończył studia za granicą i pracował u Ganza, to dlaczego nie w charakterze inżyniera, tylko urzędnika, a skoro już został urzędnikiem, to jakim cudem mógł gospodarować na wsi, a jeśli już, to dlaczego w metryce mojej matki w rubryce „zawód ojca” napisane jest „posesjonat”, i czego jako posesjonat szukał w kąpielisku? Matka przed zbliżającą się śmiercią, sama już po osiemdziesiątce, zachmurzyła się kiedyś bez żadnego powodu i popijając kawę zauważyła, że ostatnio często przychodzi jej na myśl Junior, może powinna była zachowywać się wobec niego serdeczniej, bez uprzedzeń, w końcu był przecież jej ojcem. „Diabła tam był - odparłam rozdrażniona - przecież sama opowiadałaś, że wystarczyło jedno słowo, aby cię na ęawsze oddał, kiedy twoja babka powiedziała, że chce cię wziąć na wychowanie. Piękny mi ojciec, nieodpowiedzialny, podły.” „A jednak - zamyśliła się matka - teraz już sama nie wiem. Może się myliłam.” „Myliłaś się? -- spojrzałam na nią - odkąd tylko pamiętam, nie miałaś dla niego jednego dobrego słowa, co cię teraz napadło? Własna matka wyrzekła się go, to był straszny typ.” Wybiłam jej z głowy te niespodziewane wyrzuty sumienia, matka umilkła i nigdy więcej nie rozmawialiśmy już o moim dziadku. Portret podłego Kalmana Jablonczayego był tak doskonały, że powinnam była wcześniej nabrać podejrzeń: nie ma w życiu tak idealnych form. Pewnego razu, kiedy byłam młodą dziewczyną, zrobiłam jakąś bezczelną uwagę na temat Jablonczaych, i Gizella, trzecia Parka, która właśnie u nas była, skoczyła na mnie jak ryś. „Co ty o nas wiesz? -- krzyknęła i głos miała zmieniony z gniewu. -- Co ty o nas wiesz, ty cholerna Szabó?” To była wielka scena, obydwie mamy bowiem urozmaicony słownik, w końcu jednak młodsza siostra mojego dziadka opuściła pole bitwy, gdzie w ariergardzie chichotał obłudnie Elek Szabó, a matka, niczym parlamentarzystka, biegała od jednej strony do drugiej. Z bramy, niczym ostatni wystrzał armatni, rozległo się jeszcze: „Jeśli wbrew temu wszystkiemu, co d w życiu dogryzie, zostaniesz taka miła; taka dowcipna i taka zdolna, możesz się do mnie zgłosić!” -- i sylwetka Gizelli czerniała już na ulicy Hunyadięgo. Moja matka była chmurna, ja triumfująca. „Nie miałaś racji” -- powiedziała matka. „Od ciebie wiem, jaka to była solidna firma” -- odparowałam. „Nic

nie wiesz - rzekła z nieszczęśliwą miną. - Nie jestem już nawet pewna, czy aby ja sama wiem. Obym ci była nigdy o nas nie opowiadała. Może się myliłam. Gizi jako siostra mojego ojca znała go lepiej niż ja, dłużej. Ja byłam tylko zranionym i słabym psychicznie dzieckiem. Gizi mogła go lepiej ocenić, a ona go uwielbiała." „Uwielbiała - teraz już ja atakowałam - jakby można było uwielbiać twojego ojca, sama opowiadałaś, że słysząc, jak rzeźni w agonii, marzyłaś, żeby się to już wreszcie skończyło, bo wydaje takie straszne dźwięki, a dla ciebie nie stanowi to żadnej różnicy, czy żyje, czy też umarł, bo dla ciebie zawsze był zmarłym!" Tylko spojrzała na mnie, niemal błagalnie, żebym nie przypomiwała jej tego, co mówiła, a ja jątrzyłam dalej: „Od ciebie wiem, że nie można go było kochać, a jeśli Gizi go jednak kochała, mówi o tym tylko po to, żeby nas denerwować." „Ale naprawdę - szepnęła matka - wszystkie siostry go uwielbiały, pamiętam, a Gizi najbardziej. Wielbiła go. Gizi była Melindą." „Jaką znów Melindą?" - zainteresowałam się. „Melindą. Każdy w tym domu miał jakiś pseudonim, po swoim dziadku odziedziczyłaś tę pasję, żeby wszystkim nadawać nowe imiona. Gizi była Melindą. Twój dziadek też miał niezliczoną ilość pseudonimów, ale ja ich nie znam. Wiem tylko, że Gizi była Melindą." „Melindą? - patrzyłam na nią z niedowierzaniem. -- Dlaczego akurat Melindą?" „Mieli swoją piosenkę - szepnęła ze smutkiem moja matka i jej żalony głos tak bardzo nie licował z tym, co mówiła, że do dziś dźwięczy mi w uszach. - Gizi tańczyła na stole wśród szklanek, a twój dziadek klaskał w dłonie i śpiewał: «Och, Melindo, dlaczego jesteś taką kurwą, och, dlaczego, skoro się możesz obejść bez tego?»" „Co takiego?" - wykrzyknął mój ojciec z zachwytem. „Tak śpiewał" -- wyjąkała matka. Elek Szabó walił się po kolanie, dusił się wprost ze śmiechu, ten, kto choć raz widział trzecią Parkę ubraną wiecznie na czarno, w dziwnym kapeluszu ozdobionym wyleniałym ptasim łebkiem, dźwigającą tajemnicze przedmioty w nicianych szydełkowanych torbach, naprawdę mógł sobie kojarzyć z Gizellą Jablonczay wiele pojęć, tylko tego jednego nie: kurwa. „A co ona na to? - zaśmiewał się mój ojciec. - Zrobiła mu awanturę? No mówże!" „Tego też nie powinnam była opowiadać -- odparła ze smutkiem moja matka. - Ze wszystkiego robicie sobie kpiny. Gizi odpowiadała piosen-

ką: «Dlatego jestem taką kurwą, och, dlatego, że widać nie mogę się obejść bez tego.» I nie ma w tym nic do śmiechu." Ojcu zrobiło się niemal słabo z radości, za to ja spoważniałam, bo nie wychodziła mi łamigłówka: coś naruszało porządek. Twarz trzeciej Parki zmieniła się w jednej chwili, i od razu podejrzliwie pomyślałam o jej życiu erotycznym. Co mogło o sobie wiedzieć to rodzeństwo, skoro śpiewało takie piosenki, widocznie trzecia Parka też była lepszym typkiem, jak moi dziadkowie. „Niechże cię Bóg ma w opiece - rzekła matka - to straszne, jak ty nic nie rozumiesz. Oni się tak bawili. Ty też lubisz się bawić i masz to po swoim dziadku. Gdyby Gizi naprawdę była dziwką, twój dziadek by ją zabił."

Lepszy typek. Karciarz. Koniarz. Inżynier. Urzędnik. Rolnik. Kierownik pływalni. Wesolek. Posesjonat. Stróż moralności. Nie kochał swoich dzieci, ale, jak widać, kochał siostry. To jednak nie przeszkadzało mu być tym, kim był, nie dbał o własną rodzinę, a moją matkę podarował jak niepotrzebne szczenię. Nie miał serca. „Kślmśn Jablonczay? - zapytała najmłodsza z moich ciotek, właśnie ta, która nosiła inne nazwisko. - Mówisz o moim ojcu takie bzdury? Nie było lepszego, bardziej kochanego i czulego człowieka." Oczy jej wypełniły się łzami i popłynęły słowa o ojcu, który był taki, jak człowiek w dzieciństwie wyobraża sobie Boga, miał tak absolutną władzę, był tak nadzwyczaj dobry, tak chętnie obdarowujący, taki mądry, kochany, niezapomniany. O, gdyby ojciec nie umarł tak młodo, gdyby mógł żyć! Moja nielegalna ciotka płakała, a kiedy podniosła zapłakaną twarz, zakłuło mnie w sercu, tak bardzo przypominała mi matkę.

Lenke Jablonczay starannym wysiłkiem całego życia zatarła prowadzące do szanowanego, mieszczańskiego domu ślady dwojga „lepszych typków", niełatwo mi było naszkicować postacie, których nigdy nie widziałam. Jaki był w końcu ten Junior, mający córkę, która nim gardziła, a także drugą, która go ubóstwiała, mający siostrę, która kochała go nad życie, i matkę, która się go wyrzekła? Była w jego życiu kobieta, która poświęciła mu wszystko - matka mojej nielegalnej ciotki - i inna, która od niego uciekła - moja babka, Emma Gacséry. Nie miałam nawet jego portretu, po matce zostało wiele albumów pełnych fotografii rodzinnych, ale nie zachowała ani

jednego zdjęcia swoich rodziców. Wiedziałam o istnieniu pewnego portretu, który mógłby mi w pewnym sensie pomóc, pamiętałam, że ciotka Piroška trzymała fotografię swoich rodziców w swojej sypialni. To zdjęcie zniknęło po śmierci ciotki, ponieważ jednak jej syn i córka bardzo chcieli mi pomóc w napisaniu Staroświeckiej historii, przysłali mi wszystkie stare zdjęcia, które udało im się wyszukać, i w ten sposób odnalazła się Maria Brunner, żona Anselmusa drugiego, w szamerowanej krynolinie, i Imre Bluźnierca, ubrany jak Mihály Csokonai Vitez, z brodą jak stary Kossuth. Fotografię mojego młodego dziadka odkryli Nagybskayowie, to oni zawieźli mnie do owdowiałej kuzynki mojej matki i podczas rodzinnego podwieczorku, kiedy, już przeszło godzinę przeglądałam najróżniejsze albumy, ujrzałam nagle dwie zwrócone ku sobie twarze, młodego mężczyzny w kapeluszu z podwiniętym rondem i bardzo eleganckim garniturze w pepitę i młodziutkiej kobiety, która miała na głowie kapelusz przystrojony z boku woskowymi czereśniami. Kuzynka mojej matki pod każdym zdjęciem napisała, kogo przedstawiają, ale domyśliłabym się i bez tego. Z twarzy Kalmana Jablonczayego patrzył na mnie mój brat, twarz Emmy Gacsóry była moją młodą twarzą. Kiedy pisząc już tę książkę zabrałam ze sobą do Sőrret zdjęcie Emmy, aby w ten przynajmniej sposób, zaklęta na papierze, mogła jeszcze raz wrócić do miejsca, gdzie kiedyś była szczęśliwa, w pobliżu kościoła jej słynnego dziadka-kaznodziei, na ulicy Nagy, pewien bibliotekarz spytał mnie przed wieczorem autorskim: „Czy to pani matka?” Zrobił zabawną minę, kiedy odpowiedziałam mu, że babka.

Oprócz zdjęć rodzinnych przysłały mi dzieci ciotki Piroški również to, co dzięki ich matce zostało ze spuścizny po dziadku: tomiki poezji Kálmána Jablonczayego, tom opowiadań, dziennik. Jadąc do Sőrret szukać śladów mojej babki, Emmy Gacsóry, miałam już pewne wyobrażenie o Kálmánie Jablonczaym Juniorze. Kiedy człowiek przeczyta tom opowiadań, sto siedemdziesiąt dziewięć wierszy i dziennik, to jeśli nawet nic jest krótka i rani skórę dłoni, już ją trzyma i zbliża się do Minotaura w Labiryncie.

Jeden spośród trzech tomików, które dostałam, to wydany w Debreczynie, drukowany w drukarni Csokonaiego zbiór

opowiadań, Świat puszy, ilustrowany przez Mih&ly Tótha Kónyvesa, dwa pozostałe to bruliony. Pierwszy pochodzi z czasów kawalerskich, jest w sztywnej okładce, elegancki, niebieski ze srebrną winietą, na której widnieje nazwisko K&szlms&na Jablonczayego, drugi jest już z uboższego okresu życia, to zwyczajny, gruby szkolny brulion w kratkowanej okładce, z własnoręcznie wyciętą i naklejoną nalepką w kształcie chmurki, na której starannie wypisał obwiedzione niebieskim atramentem, wycieniowane niebieskim ołówkiem litery: Poesie. Na końcu pierwszego zeszytu jest dziennik. Tygodniami wczytywałam się w jego wiersze i listy miłosne mojej babki, które również znalazłam w tym brulionie. „Kiedy uwolnisz mnie z tego nudnego więzienia? -- wypłakiwała się na czerpanym papierze. - Wciąż o tobie myślę. Dziś przed południem biała myszka wyciągnęła mi los.” Nie wstydziłam się zrobić rejestru imion panien i mężatek, które mój dziadek uwiecznił kaligraficznym pismem w latach 1876-1906, od szesnastego roku życia do ostatniego zapisu. (Pisał przeważnie czerwonym atramentem, przyozdabiając drobnym wzorem kwiatowym niedyskretne informacje.) Mężatki oznaczał też tajnym szyfrem -- znałam (już jako babki i prababki) niemal wszystkie osoby z szacownych rodów debreczyńskich występujące w tym rejestrze -- studiując więc 'dziennik mojego dziadka głowiłam się, jak można by rozszyfrować kryptogramy i co oznaczają tajemnicze znaki. Jest wśród nich kształt krzyża, jest znak podobny do bety, pochyla, przekreślona litera „v”, jest „p” i „c” z kropką pośrodku. Tylko do dwóch znaków napisał wyjaśnienie: „u” z kropką pośrodku oznacza: od dawna mnie nie interesuje, a z dwiema kropkami: Auch nicht. Zrazu zastanawiałam się także, dlaczego tak często zmienia się w brulionach charakter pisma, potem i to stało się proste, pod paroma wierszami niemal nieczytelnym maczkiem wyjaśnił tajemnicę: „Przepisywał mój przyjaciel G&szta Sten- czinger; przepisywała moja siostra Ilona, moja siostra Gizella, moja siostra Margit, mój przyjaciel Lajos Gref.”

Dziadek w czasach kawalerskich kochał się w następujących paniach:

Mariska Kov&szcs, R&szza Bruckner, Ilona Balogh, Veronka Szab&sz, Mari Fazekas, Milly Kontay, Irma Fucks, Ilka Gutt- mann, Piroska Csanady, Mariska K&szlms&nchey, Terka G&szll,

Natalia Drahota (przy jej imieniu dopisał później: nie trzeba), Laura Guttmann, Janka Zagyva, Margit Csanády, Ilonka Csának, Mariska Nánássy, Ilka Makó, Paula Zucker, Ella Varga, Ilonka Csanády, Zsófia Lowenberg, Erzsike Orosz, Róza Nánássy, Zsuzsika Piránszky, Irén Filotás (ta daje mu pierścionek, przyjmuje dar z największym spokojem, aby później ofiarować go swojej siostrze Margit), Erzsike Nánássy, Nina Beszler, Linka Fehér, Erzsike Nagy, Gizella Révész, Teréz Hubay, Mariska Nagy, Anna Márkus, Szerena Kállay, Erzsike Riedl, Agnes Ferenczy, Anna Budhásy, Gizella Szepessy, Melánka Grósz, Ilona Pallay, Piroška Sesztina, Erzsike Beke, Piroška Balogh, Ilka Vojnovics, Irma Gótl, Irma Segenweiss, Mariska Kubinyi, Jozefa Brunner, Gizella Mezey, Gabriella Lux, Paula Otte, Roza i Ida Brunner, Erzsike Sóvágó, Ilona Sesztina. W rejestrze brak przygodnych znajomości z Pallag, Nagyhegyes, Wiednia i Grazu, choć zapewne również musiało być ich niemało.

Mając dwadzieścia dwa lata zawarł fatalny związek małżeński, a Emma Gacsóry występowała na liście jako jego pięćdziesiąta siódma wielka miłość. To tragedia ich obojga, że tomik wierszy w sztywnej okładce trafił dopiero w moje ręce, a nie w ręce mojej babki. Nie byłoby tego tak szalonego lata w Sírret, żądzy młodego ciała, bo ostudziłaby je świadomość, że młody poeta po prostu przekreśla dedykację wiersza dla jednej panny i, nie wprowadzając żadnych zmian, poświęca go drugiej, trzeciej, czwartej. Mieszkające z nim przy ulicy Kismester kobiety znały Kálmána Jablonczayego, to, że nie ma człowieka, który mniej nadaje się do małżeństwa, wiedziała nie tylko córka Anselmusa drugiego, ale także smarkate siostry Kálmána Juniora, które dziedziczyły po nim miłosne dary ofiarowywane mu przez piękne, młode damy i z dumą przepisywały podniecające poezje starszego brata. Z utworów mojego dziadka wynika, że i on sam nie miał złudzeń wobec własnej osoby. To jest najbardziej zaskakujące w jego wierszach i dzienniku: sam zdawał sobie sprawę, że jest niezdolny do wierności, że nie potrafi oprzeć się żadnej pokusie, a z pozostałych fragmentów powieści okazuje się, że jeszcze na rok przed ślubem co dzień podoba mu się inna panna i co dzień z inną chciałby się żenić. Dopóki Kóselyszeg jest jeszcze w rękach Jablonczaych, dopóki Imre Blúznierca nie jest na łaskawym chlebie, a także Senior ma

autorytet w domu Anselmusów i w oczach Marii, jest ktoś, kto hamuje Juniora: dwaj starsi Jablonczayowie. Kiedy natomiast rządy w domu przejmuje Maria Rickl, nawet nie przychodzi jej na myśl, że wraz z ojcowskim autorytetem zniweczyła też wiarę syna w siłę Seniora, w wartość jego wskazówek, wagę rad i zakazów. Syn Seniora z miłością i współczuciem patrzy na ojca, który z głowy rodziny został zdegradowany do rangi ubogiego księcia małżonka, dlaczego jednak miałby obawiać się człowieka, o którym ciągle słyszy w domu, że zupełnie nie nadaje się do kierowania wspólnotą rodzinną? Junior boi się tylko matki, która po rozczarowaniu, jakie spotkało ją w małżeństwie, tak radykalnie zrzuciła z siebie wraz z miłością całą czułość, jak po ciężkiej chorobie człowiek zmienia ubranie i bieliznę. Niestety Marii Rickl brak wycucia psychologicznego - Lenke Jablonczay zapłaciła za to kiedyś wysoką cenę - i nie pojmuje, że jej syn nie znajdzie sobie ideału w poprawnym towarzystwie Anselmusów. Junior kocha bohaterów i skoro nie może już wielbić Imrego Błuzniery i Seniora o podciętych skrzydłach, musi szukać ideału poza domem. Z tomu opowiadań wynika, że jego ideałami są okrutni mężczyźni, surowi synowie natury, puszczańscy rozbójnicy. Z pusztą jest zresztą związany niezwykle silnie, oplakuje ją przez całe swoje późniejsze życie, jej bezkresne niebo, roślinność, krzaki głogu, derenie, rozsnutą w krzakach mgłę, orła, który unosi się nad okolicą, nawet mieszkając w Peszcie słyszy jeszcze krzyk zająca, krakanie kruka, nigdy nie pogodzi się z miejskim kurzem, letnią spiekotą ani z ludźmi, mieszkańców puszczy uważa za prawdziwszych i szlachetniejszych, i jedyne harmonijne okresy jego życia upływają zawsze w mniejszych skupiskach ludzkich, na puszczy, w majątku pod Debreczynem. Szesnastoletni chłopak, jak wynika z jednej z jego nowel, mógł jeszcze na własne oczy widzieć rozbójników, poznać ich szlachetne pobudki i posępną godność: teren działania Marciego Zólda, bagno, w którym rozbójnicy puszczy ponieśli tak straszliwą śmierć na oczach swych prześladowców, przypomina Kóselyszeg. Podczas gdy Senior leżąc na trawniku w Pallag opowiada swoim dzieciom historie z mitologii greckiej, Junior wodzi oczami za dziewczynami z puszczy i wyobraża sobie przy tym, że jest szlachetnym rozbójnikiem, galopuje na swym dereszku przez ukochane okolice

Hajdusg, Nyirsg i Ssrret w towarzystwie innych zbójników i ściska żonę karczmarza. Ten piszący wiersze chłopak jest miłośnikiem alfdldzkiej ziemi, żal mu wilków z powodu myśliwych i myśliwych z powodu wilków, dostrzega też ich wspólnego wroga: straszliwą puszystańską zimę. I młody poeta jest też stale zakochany, tę skłonność ma niemal od urodzenia, jak inni rodzą się z białą cerą czy jasnymi włosami. Pierwsze jego poezje pochodzą z okresu, gdy miał szesnaście lat, z grubego zeszytu wyziera smarkacz, który o każdej kobiecie myśli, że to już ta właściwa, i kłamie bez zająknięcia obiecując wieczną miłość pięciu pannom jednocześnie. „Mej miłości wierz, dziewczyno, nie sądz, że jest płocha, twą osóbkę precudowną serce wiernie kocha” - pisze obok wielkiego monogramu i zaraz dopisuje przeznaczoną na własny użytek zjadliwą uwagę: „Spodoba mi się ona, jak wszędzie gotowana soczewica, cha, cha, cha!” Na tej samej stronie zapewnia Margit Csanády, że przyjedzie do nich, bo: „Tyś pszczółą, co nie usiedzi na jednym kwiecie, żądlisz miodnymi wargami i dalej lecisz.” Pod spodem znów dysonansowy dopisek: „Jak w maju będzie karnawał!” Przeklina jednocześnie Rózę, Ellę, Mariskę i Margit, bo wydaje mu się, że nie oddały mu się, że nie oddały mu bez reszty swych serc; jemu codziennie wolno zmieniać swoje wybranki, ale nie może znieść, gdy którejś z nich spodoba się ktoś inny i gdy odwróci się od niego. Kobieca niewierność to jedna z powracających w zeszycie trosk, i jest tam również wiersz, którego treść: uwiedzenie niedoświadczonej to żadna radość - sprawia wrażenie, jak gdyby na horyzoncie majaczyła już jego przyszła żona. Jego fantazja erotyczna jest zawsze czujna, wiersze i zapiski nie ukazują obrazu nieszczęśliwego młodzieńca w bladej poświacie księżyca, śmieje się, dobrze je i pije ten prowincjonalny Don Juan, zawraca dziewczętom w głowach i właściwie znakomicie się bawi, tylko czasami w wierszach i dzienniku zamyśla się nad tym, że może jednak nie wszystko jest w porządku. Ale przecież nie może skończyć z tym, czego zakosztował, ma wielu przyjaciół i wiele jest też w ówczesnym Debreczynie możliwości zabawy, jeździ się na pikniki, na wieczorkach' i lekcjach tańca zawiera się nowe znajomości, zawsze można kogoś spotkać na imieninach, kuglarze oferując swe podniecające produkcje wabią na rynek, odbywają się wieczorki kościelne i korporacyj-

I są jarmarki, jarmarki, panorama, koncerty, jest teatr, rodzinne i kościelne święta urządza się przyjęcia, stowarzyszenia dobroczynne miewają różne pomysły i, jeśli już nie co innego, to organizują przynajmniej loterie, płynie debreczyńskie wino, a dziewczęta są wprost cudowne. Jest taki moment w jego życiu, kiedy idzie obejrzeć panoramę przy ulicy Piać, obecnie Armii Czerwonej, i wędrując się rozmyśla o swej kolejnej wybrance, Rózie Szabó. Tymczasem z okna naprzeciwko wychyla się panna Veronka Szabó, przyszła ciotka Elka Szabó, drugiego męża Lenke Jablonczay. Przyszły ojciec Lenke Jablonczay i przyszła szwagierka jej przyszłego teścia wymieniają uśmiechy nad budą kuglarzy i żadne z nich nie wie, co im przyniesie przyszłość.

Senior ożenił się w 1858 roku mając dwadzieścia osiem lat, nie był więc zbyt młody w porównaniu ze swą narzeczoną, szesnastoletnią Marią. Troska Anselmusa byłaby uzasadniona, nawet gdyby Jablonczayowie nie mieli takiej skłonności do koni. Przeszłość Seniora, o której nader wymownie świadczy tablica, który w przyszłych latach przykuje go do fotela, nie mogła stanowić w Debreczynie tajemnicy i Anselmus zapewne nie raz słyszał w męskim towarzystwie, jakim to uwodzicielem był Senior. Ale nikt z tych, którzy widzieli kiedyś na mojej szyi miniaturę przedstawiającą Seniora, nie skwitował jej milczeniem, przybliżali ją do oczu i wzdychali: „Cóż to był za mężczyzna!” Tak jak mojego pradziadka Seniora wyobrażałam sobie zawsze Jókaitowskiego Rudolfa Szentirmayego*. Właśnie bohaterowie okresu reform** musieli mieć taką szlachetną urodę jak ten inżynier wojskowy z czasów walk wolnościowych, na którego odgłos kroków - jak opowiadała Gizella - konie w kósze Yszegskiej stajni podrywały łby i zaczynały parskać. Cóż znaczyły wobec takiej urody wszystkie skarby sklepu „Pod Tureckim Cesarzem”, argumenty Anselmusów, nauki klasztoru w Szatmar, gdzie uczyła się Maria Rickl, obietnice wywiezienia jej z Debreczyna-gdzieś daleko, na długą wycieczkę do Włoch, groźby, że ani się obejrzy, jak pójdzie z torbami. Maria

Rickl z tą miłością znalazła się w wirze namiętności gwałtowniejszym od każdej burzy i wspomnienia tego dzikiego porywu, przekształconego przez małżeństwo w związek fizyczny, strzegło najstarsze z jej czworga dzieci, jej duma, światło jej oczu, jej przekleństwo i nieszczęście, urodzony w 1860 roku Junior.

Po K&Imanie Juniorze zostały trzy fotografie. Na jednej stoi w hutach z ostrogami i stroju węgierskim, uśmiecha się dumnie opierając jedną dłoń na biodrze. Na drugim zdjęciu, ślubnym, jest niemal tak ujmujący jak jego ojciec, ma na sobie garnitur w pepitę, jasne baki przyszyte są zgodnie z wymogami mody, szeroki krawat przytrzymuje szpilka, a na głowie ma okrągły, niewielki kapelusz z podwiniętym rondem i zatkniętym piórkiem. Ma na tym zdjęciu dwadzieścia dwa lata, promieniuje z niego siła, uroda i powaga, kto widzi trzecią fotografię, na której ma zaledwie czterdzieści lat, nie może wprost uwierzyć, że ogląda tego samego mężczyznę. Jeśli dwudziestodwuletni K&Imśn przypomina swego pięknego ojca, to ten starzejący się jest podobny do matki, ma grubo ciosane rysy Marii Rickl. I nie to jest smutne w tym zdjęciu, że uwieczniło koniec młodości, lecz że ukazuje również koniec odwagi: w obiektyw patrzy przedwcześnie postarzały, załamany mężczyzna o nabrzmiałej twarzy i zgaszonym spojrzeniu. Ta twarz już wie, że nie ma ucieczki ani pomocy, że życie zbliża się ku końcowi i nic już się w nim nie uda. Z twarzy młodego Juniora można niemal wyczytać, że ten chłopak jest poetą. Czterdziestoletnia twarz należy do człowieka, który już nawet nie ma siły czytać, straszliwe życie, straszliwa matka i straszliwy los jego żony pochłonęły wszystkie jego siły i nie zdarzy się już taki cud, który mógłby wyprostować jego zgarbione plecy.

K&Imśn Junior wyrasta w ciepłe podwójnej miłości, której część winna była przypaść jego zmarłemu kilkumiesięcznemu braciszki, jest w tym domu jedynym chłopcem. Clioć córka Anselmusa drugiego ma własne zdanie na temat wszystkich mężczyzn, jest jednak na tyle zaślepioną matką, że tego samca, który powstał z jej krwi i kości, uważa za coś lepszego niż trzy Parki razem wzięte. Wiele się po nim spodziewa, zwłaszcza po licytacji K&Imelyszeg czeka na bogatą synową, z której pomocą

będzie można znów podnieść tę szalę wagi, która tak nisko opadła z winy Seniora. W dzieciństwie poza szkołą polerują Juniora nauczyciele tańca i sportu, języków i muzyki, żeby nadawał się nawet dla księżniczki, gdy dorośnie. Nikt zrazu nie przejmuje się tym, że w szkole realnej nie osiąga oszołamiających wyników. Czyż mogą liczyć się oceny, skoro chłopak jest duszą każdego towarzystwa i nie ma znacniejszego wieczorku w Debreczynie bez jego wierszy i żarcików? Ma wdzięk, który podbija nie tylko serca kobiet, ale i mężczyzn, a ileż w nim fantazji!

Maria Rickl na początku z zachwytem obserwuje sukcesy syna, młody Jablonczay jest wszędzie mile widzianym gościem. Oczywiście przy ulicy Kismester też ciągle zbiera się towarzystwo, trzeba kolejno powydawać za mąż trzy Parki, a w tym celu przyjmowanie ludzi jest nieuniknione. I prowadzi też córki wszędzie tam, gdzie mogą spotkać młodych ludzi. Kontaktów towarzyskich, właśnie ze względu na Parki, nie można ograniczyć nawet wtedy, gdy Maria Rickl uprzytamnia sobie, że Junior nie jest po prostu uroczym chłopcem, duszą towarzystwa, młodym poetą, któremu już w wieku szesnastu lat „Bolond Istók” zamieścił jeden z wierszy, lecz dziwkazem, któremu stale grozi oblanie egzaminów, wyrostkiem, który nie dba o naukę, tworzy tajne stowarzyszenia, spędza noce z kompanami Bóg wie gdzie, każe się nazywać to hrabią Hektorem, to znów Mukim Darvasym. I dość słabą pociechą za haniebne wyniki w szkole jest fakt, że nie ma panny, która nie czułaby się zaszczycona wyborem na mużę Juniora. Na szczęście żadna z nich nie wie, że młody poeta ofiarowuje jednocześnie ten sam wiersz trzem lub nawet czterem pannom i zaledwie tyle zadaje sobie trudu, że dopasowuje go do osoby przerabiając kolor oczu i włosów, jak krawiec konfekcyjny garnitur. Jeśli nawet Maria Rickl jest złym psychologiem, to jednak szybko orientuje się, że Juniorowi nie wystarczają westchnienia, że chłopak nie czeka tylko na to, aby panny wysłuchiwały jego pieśni, raczej czeka na nie w łóżku, i gdyby jeszcze tylko tyle, ale on kusci je obietnicami małżeństwa. Plotki dochodzą do sklepu Anselmusów, Maria dowiaduje się od matki, że Junior każdej, która mu się podoba, wysyła liściki z oświadczeniami. Aż strach pomyśleć, że pewnego razu któraś może wziąć na serio głupotę tego szczeniaka, ale

równie dziwne byłoby, gdyby któraś nie wzięła jej na serio, nie potraktowała propozycji Jablonczayego, wnuka Anselmusów, jako wyróżnienia. Oczywiście o małżeństwie nie wolno mu na razie myśleć, musi z tym poczekać, aż zmądrzeje. Z wielkim trudem przeciąga go przez maturę, każe mu na ochotnika odsłużyć rok w wojsku (płaci za niego mały majątek, panowie ochotnicy odpowiednio do swej pozycji bawią się przez cały rok) i żeby go czymś zająć, daje mu po powrocie do Debreczyna pracę w sklepie Anselmusów, raz za ladą, raz w kantorze, a potem wysyła go do Bószórmény na protokolanta przy jakiejś komisji z dziennym wynagrodzeniem cztery forinty pięćdziesiąt krajcarów. W Bószórmény rodzi się tyle wierszy miłosnych, że trzeba natychmiast sprowadzić poetę do domu, zanim znów obieca jakiejś dziewczynie małżeństwo. Umieszcza go ponownie w sklepie, niech będzie na oku, choćby się nawet bronił rękami i nogami. Teraz przydałoby się, aby pokierował nim ojciec, poradził dziadek, ale Bluźnierca tylko pali fajkę i wali się po sparalizowanym kolanie, tak go bawi zdenerwowanie kup- cówny, a księżę małżonek wzrusza ramionami, uśmiecha się i gdy tylko może, spędza noc w Pallag. On nie jest panem domu, nie ma głosu, dlaczego więc ma być za coś odpowiedzialny, on też nie był pustelnikiem, tak żyją młodzi. Maria Rickl wpada w panikę, chłopak rzadko przychodzi do domu, chłopak pije, chłopak ucieka z kantoru, a jeśli nie ucieka, to staje za ladą i za darmo pakuje panienkom po pół kilograma cukierków - kupiecki wnuk! Córka Anselmusa nie zwykła prosić o radę, ale teraz idzie do matki, przed którą i tak nic się nie ukryje, Anselmusowa wie nawet, że znajome panienki Kalmana dostają w torebkach darmowych cukierków wiersze. Maria Brunner od dawna obserwuje już młodego Jablonczayego i uważa, że najwyższy czas, aby ukrócić jego samowolę, ma już dość tych listów adresowanych na hrabiego Hektora, to znów na Mukiego Darvasyego alias Kalmána Jablonczayego, który nigdy nie czeka na zamknięcie sklepu, tylko ucieka, latem włóczy się pod domami znajomych panien, zimą zaś przywiązuje im do łyżew bukieciki najdroższych, cieplarnianych kwiatów. Zgodnie z radą matki Maria Rickl po jednej z takich przebulanych nocy bierze się ostro do syna i sprawia mu takie lanie, że Gizella wiele dni robi hrabiemu Hektorowi okłady, a potem zapowiada, że

koniec z jablonczayowskim stylem życia, niech się szykuje, bo we wrześniu wyjeżdża do Wiednia i zaraz zaczyna studia na politechnice w Grazu. Gdy skończy, zadecydują, co będzie robił, bo to już pewne, że nie nadaje się na kupca, ale w komitacie potrzeba inżynierów, znajdą mu jakieś odpowiednie zajęcie, gdzie będzie mógł wykorzystać to wszystko, co wbiją mu do głowy na uczelni, a jak przyjdzie pora, ona sama wyszuka mu żonę, bardzo bogatą, bardzo zadaną pannę, którą przyjmą z radością zarówno bogaci członkowie znanej i szanowanej w całym kraju rodziny Ricklów, jak i dumni ze swej historycznej przeszłości Jablonczayowie. Dość orgii i hulanki, syn ma rozwiązać tajne stowarzyszenia, koniec flirtów, kłamliwych wierszy, ma sobie zapamiętać, że miarka się przebrała. Maria Rickl jest mądrą kobietą, sporo też wie o Juniorze, a jednak za mało, nie ma na przykład pojęcia o tym, że w Pallag, Nagyhegyes, Halás i wszędzie tam gdzie znajdują się majątki Ricklów, nie ma takiego stogu, w cieniu którego nie leżałby Junior z tymi, które zechciały zaspokoić jego niepohamowaną żądzę, nie wyczuwa w stałe zmieniającym ideały i potrzebującym też związków fizycznych Juniorze, że ma nad nim władzę coś takiego, czemu nawet jej silna ręka nie może zaradzić. Maria Rickl wyobraża sobie, że zna chłopca, ale tylko klnący i rechoczący Imre wie, jaki on jest naprawdę. Paralytyk poznaje go, przecież to nowe wcielenie jego syna Béli, który gdzieś się ulotnił, niech się kupcówna piekli, nie tylko on musi być nieszczęśliwy. Siostry pakują bratu manatki, debreczyńskie piękności ronią Izy, ale nie ma ratunku. Junior musi wyjechać, Wiedeń dotychczas wszystkich ujarzmił, a Graz to klasyczne miejsce do zgubienia mlecznych zębów. Jako eskortę dają mu Armina, który ma zostać kupcem, a jest synem adwokata Gyuli Leidenfrosta, prawnuka, osiadłego w Debreczynie byłego oficera cesarskiego, Ferencza Xaveriusa Leidenfrosta, niech skończy Akademię Handlową, podczas gdy Junior będzie studiował na politechnice.

Pierwszego września 1880 roku Junior wyjeżdża z Węgier, od razu przepuszcza w Wiedniu wszystkie pieniądze, a to, co matka przysłała mu co miesiąc na mieszkanie i utrzymanie, wystarcza za ledwie na parę dni. potem żyje z kredytu/który zapewnia mu w stolicy walca dobre imię i autorytet, jakim cieszy

się Anselmus Rickl. Junior zawsze był najlepszy w wypracowaniach, listy, które wysyła do domu, mówią o znakomitych postępach w nauce, nie ma kto sprawdzić, czy pisze prawdę, rodzina cieszy się z optymistycznych wieści, nikt nic odwiedza Juniora. Za to pierwszego października 1881 roku Maria Rickl widzi w domu syna, który zostawiwszy za sobą urosłe do niebotycznych rozmiarów długi i obłany egzamin, który miał być dla niego ostatnią próbą, wraca jak zbity pies. Junior po raz pierwszy w życiu widzi tę twarz, którą jego ojciec poznał w dniu licytacji Kóselyszeg, na marnotrawnego syna patrzy Gorgona, bo Maria Rickl wreszcie pojmuje, że Kalmšn Junior nie tylko nie odziedziczył nic z trzeźwości Anselmusów, ale nigdy nie stanie się pomocą, podporą dla rodziny, na zawsze pozostanie ciężarem, na zawsze problemem, i że ma teraz na karku dwie córki na wydaniu (z Margit na szczęście ożenił się już młody bogaty Szikszay, niegdysiejszy „Henryk Herczeg”), tego dwudziestoletniego erotomana, który ma za sobą jeden skończony, jeden nie skończony i jeden ledwie zaczęty semestr, męża, który jest nim tylko z nazwy i który częściej przebywa w Pallagpuszta lub w terenie przy pracach regulacyjnych niż w domu, oraz klnącego, sparaliżowanego teścia i że mając trzydzieści dziewięć lat jest sama ze swymi kłopotami. Może sobie Junior pisać całe tomy wierszy, jej i tak nie wzruszy. Niech się wynosi, niech stanie w panoptikum wśród innych domowych potworów, jest tam już Błużnierca, jest marnotrawny ojciec, on też od tej pory będzie tam miał swoje miejsce. Znowu napisał nowy wiersz? „Wśród szumiących trzciny, w cieniu zielonych wierzb spoczywa rzeka Berettyó, niby uroczą kobietą w łożu ze śnieżnych pian” Zatem, skoro to łożo jest ze śnieżnych pian, jak to określa, niech rusza pracować z ojcem, niech reguluje te piany, zamiast wypisywać poezje. Junior pojedzie z radością, nudzi go dom przy ulicy Kismester, ma dość bezustannych batalii, pojedzie z ojcem, zobaczy puszczańskie niebo, ognie Sírret, znowu rozciągać się będzie przed nim równina po górzyściej okolicy Styrii. Maria Rickl nawet nie przeczuwa, co robi, kiedy wyprawia go w drogę. Jest trochę spokojniejsza: chłopakiem zajmie się teraz Senior, nie będzie ani Klubu „Świst”, ani Sowiej Kompanii, może nauczy się czegoś przy ojcu i będzie z niego, skoro już nie może zostać inżynierem, choć praktykant

Wjątek z kroniki Istvana Gacsaryego

Opis Fuzesgyarmat:

„...Lasuw okolicy brak, ale communitas ma gaje wierzbowe na wysepkach Macskas i Dagó. Nie opodal miasta, na skraju \ak\ bucsańskiej kazał dziedzic sadzić las dębowy, z jakim rezultatem, pokaże czas.

"Wody bieżące: rzeka Berettyó ogranicza okolicę biegnąc od wschodu ku północy, a potem skręcając na zachód; na południe odchodzą od niej liczne martwe odnogi, są tam tówmeż rozlewiska i strumienie, a to: Macska, Csonka, Józsi -- ten ostatni skręca na południe i przy końcu ulicy Nagy wybudowano na nim kamienny most -\>raz Nagy przecinający miasto. Jest już uregulowany i widoczny jedynie jako canalis. Pławiska i potoki: D&gó, Macskas, Kettós, J&ny, Kertek alatt való, Hal&d, Osverty, Monostor, Kecskes, Antal i Tóviskes.

Także wody rzeki Hortobagy tu, na bucsańskiej puszczy, wpadają do Berettyó; na wschód od Keresza Szybkiego i Berettyó odchodzą odnogi Csik, Abajd i Peterke, ale w tych jest woda tylko podczas dużych powodzi, normalnie ich koryta są łąkami. Na tych wodach nie ma żadnych młynów, zostały zlikwidowane przez komitat, to znaczy przez regulację wód."

Na „regulacją wód” obydwaj Jablonczayowie przybyli właściwie w dobrych humorach. Imię Imrego Błuźniery wciąż jeszcze miało tyle uroku w dobrach, którymi niegdyś zarządzał, mierniczy, nędzny początek, ale dopiero początek, potem małżeństwo, żona, którą wybiorą mu Anselmusowie, i jakoś weźmie się go w ryzy. Powóz wyjeżdża z olbrzymiej bramy przy ulicy Kismester. Nie biją dzwony, nie odzywa się róg, nic się nie dzieje. Maria Rick\ nie powiewa chusteczką, męża już od dawna nie kocha, na syna jest tak wściekła, że miałaby ochotę bić go po twarzy, a nie machać chustką. Kiedy rygluje bramę, nie ma pojęcia, że jeden z bohaterów Staroświeckiej historii wyruszył właśnie ku swemu przeznaczeniu.

że mógł polecić do pracy przy regulacji zaczynającego dopiero niedomagać syna-inżyniera i wnuka. Senior opuściwszy dom przy ulicy Kismester czuje się tak samo wyzwolony jak jego syn-praktykant, dla nich obu lepiej teraz być z dala od Debre- czyna.

To zresztą ostatnia próba w życiu Seniora, żeby się gdzieś uplasować, bo w dziewięć lat później już nie żyje, a kiedy po zakończeniu pracy w Sarrét wraca do domu, jego koniec jest nieunikniony. W przyszłości wspomnienie o regulacji przywodzić będzie na myśl Marii Rickl podwójną porażkę: Senior, choć według niej był wałkoniem, rozrzutnikiem, człowiekiem o miękkim sercu i marzycielem, to jednak kochała go kiedyś i, choć okazał się własnością niegodną zaufania, należał do niej, tylko do niej. Kupcówną niechętnie rozstawała się z tym, za którego zapłaciła niegdyś tak wysoką cenę i którego posiadała przez parę lat w bezchmurnym szczęściu. Maria Rickl wierzyła do śmierci, że gdyby nie ta przekłeta regulacja, Senior nigdy nie znalazłby się obok Imrego w skrzydle paralityków, widocznie tam musiał zapaść na zdrowiu i dlatego nie mógł już dłużej stawiać oporu paskudnej chorobie, a gdyby nie wypędziła wraz z nim tego nieroba, kłamcy i fantasty Juniora, także Kślman młodszy nie zawarłby tak niedorzecznego małżeństwa.

Administracja majątku dała inżynierom kwaterę w Szeg- halom, Junior i Senior, mieszkają tu razem i gdyby hrabia Hektor mógł choć raz usiedzieć w miejscu, całe jego życie potoczyłoby się inaczej. Ale Junior, w parę dni po tym jak rozpoczął pracę u boku ojca, już chciałby się wyrwać z Szegha- lom i oto jedzie na spacer do leżącego parę kilometrów dalej Fiizesgyarmat. To, co tam następuje, jest tak samo prawidłowe jak przeplatanie się dni i nocy; chłopak - który jest wciąż w kimś zakochany i zawsze myśli: „to już ta ostatnia” - i dziewczyna - która, odkąd dojrzała, nie robi nic, tylko czeka na królewicza z bajki, przybysza z dalekich stron, światowca, który dostarczy jej innych przeżyć niż purytańscy kawalerowie z jej towarzystwa - musieli się spotkać wiosną 1882 roku. Ich gwiazdy były od siebie tak samo oddalone jak gwiazdy Romea i Julii. Byłoby wbrew naturze, gdyby się w sobie nie zakochali.

Kaznodzieja Istvan Gacsary urodził się w 1791 roku na łonie świętego zboru w Fiizesgyarmat i „doszedłszy szczęśliwie do syntaksy, w 1804 roku wbrew woli matki i opiekuna” został uczniem Kolegium Debreczyńskiego, gdzie Ćzsaias Budai poznał się na jego talentach. Przeszedł tu zwykłą drogę najlepszych uczniów, był instruktorem, preceptorem poetów, był nauczycielem drugiej klasy, kontraskrybą i seniorem, a nauki uniwersyteckie kończył na tej samej uczelni w Getyndze, dokąd urodzony mniej więcej w tym samym czasie geometra Janos Szabó wysłał swego syna teologa, przyszłego teścia Lenke Jablonczay, prawnuczki Istvana Gacsaryego. Studiuje w Marburgu i Heidelbergu, później, w 1818 roku, obejmuje „placówkę” duszpasterską, żeni się, bierze za żonę córkę kaznodziei z Bereattyóujfalu i wychowuje pięcioro urodzonych mu przez nią dzieci, cztery córki i jednego syna Karolya, który zostanie w przyszłości mężem Emilii Siró, ojcem Emmy Gacsáry, opiekunem sierot w Fiizesgyarmat, człowiekiem, który „przychodzi i odchodzi”, jak zwykła o nim mawiać starsza córka. Istvana Gacsaryego już podczas nauki w Kolegium pociąga myśl o twórczości literackiej, ale dopiero jako niemłody już pastor zabiera się do wielkiej i ważnej pracy, spisuje „własnoręcznie z wiarogodnych źródeł, ze skrzętnym staraniem i zapałem patriotycznym, fiizesgyarmacką kronikę świętego zboru wyznania helweckiego od najdawniejszych czasów aż po dzień dzisiejszy” i z niewinną dumą nazywa się kaznodzieją-patriotą, bo jest równie żarliwym Węgrem jak gorliwym pasterzem trzody Kalwina. Jego kronika to nie tylko chluba Síró, ale stanowi też

ważny dokument epoki i nie bez wzruszenia czyta się jego posłanie dla przyszłych pokoleń: „Scripta ferunt annos, scriptis Agamemnona nostis, ta owo idea powodowała mnie, abym jako patriota dla dobra synów mej ojczyzny, a także jako szczególny miłośnik nauk i starożytności zaczął jako Dawid rozmyślać o dawnych dniach i przy pomocy tych oto skromnych w kompozycji i objętości zapisków wydobył z mroku zapomnienia wielce zacnych i zasłużonych mężów, których co pewien czas zsyłał nam Bóg, a którzy, w większości obróciwszy się w proch, nie oplakani i nieznani drzemią w ciemnej nocy śmierci, i w ten sposób przekazał pamięć o nich potomnym. Nie szczędząc trudu, wśród pilnych spraw i zajęć urzędowych starałem się dociekliwym wzrokiem odnaleźć to wszystko, co kiedykolwiek zostało ujęte w piśmie i zachowało się na temat naszego zboru i miasta, aż po najmniejszy, zakurzony i zbutwiały strzęp papieru. I tak powoli powstawał ten świetny zbiór, który przekazuję wam, synowie mej ukochanej ojczyzny, z serdeczną prośbą, abyście go strzegli i prowadzili dalej z wdzięcznością i szacunkiem dla waszych zgasłych ojców, którzy będąc u steru dla was to właśnie pracowali z pożytkiem, abyście także i wy wstępując w ich ślady ten zbor i to miasto, które oni od skromnych początków z łaski bożej wynieśli tak wysoko, starali się rozwijać i powiększać, i przydawać im jeszcze świetniejszego blasku. Czego, synowie mojej ukochanej ojczyzny, pragnie żarliwym sercem wierny wam do końca swego życia, dla was żyjący i umierający, przekazujący nawet waszym najodleglejszym w czasie potomkom swe duszpasterskie błogosławieństwo syn waszej ojczyzny
Kaznodzieja István Gacsóry”

Drugi mąż Lenke Jablonczay, Elek Szabó, pisał nie tylko wiersze i opowiadania, ale parę lat przed śmiercią wyszło spod jego pióra kilka takich dłuższych i krótszych utworów, które mogłyby stanowić podstawę jego życiorysu. Napisał swoją Starą studnię, wszystko to, co wiedział o rodzinie i scenie swego

Pracują opiewają dzieje, dzięki nim poznasz Agamemnona (łac.).

dzieciństwa: Kóróstarcsa, a także o sobie jako dziecku, i naszkicował też kilka ciekawych postaci swych krewnych. Te utwory powstawały bez żadnych ambicji literackich, Elek Szabó pragnął w życiu wielu rzeczy, pierwszych wydań książek, nasion egzotycznych kwiatów, widoku Rzymu i Genewy, tylko nie sukcesu, nie lubił żadnych form publicznych wypowiedzi i tak samo chodziły mu ciarki po plecach, gdy źle lub dobrze pisano o książkach jego dziecka. Te wspomnienia powstały tylko po to, aby jego córka mogła się zorientować w przeszłości ojca i poznać postacie, które się przez jego życie przewijały/Jest wśród tych wspomnień pewien opis, który daje wiarogodny obraz jednego z miejsc akcji Staroświeckiej historii, przedstawia w nim Elek Szabó podróż poślubną swoich rodziców, którzy dwa lata przed urodzeniem się jego przyszej teściowej, Emmy Gacsóry przejeżdżali przez tę okolice, gdzie Maria Rickl wypędziła Kalmana Juniora do pracy przy regulacji wód.

Wyjątek ze wspomnień Elka Szabó:

„Podróż poślubna pastora z Kóróstarcsa.

Jest maj roku 1863, wielkie ożywienie w Kóróstarcsa. Ludzie przystają na rogach ulic i szeroko gestykulując coś sobie opowiadają. Młody, niedawno wybrany pastor z Kóróstarcsa przywozi dziś z Debreczyna żonę. Przeważnie rozprawia się o tym, że młoda pastorkowa musi odznaczać się niezwykłymi zaletami ciała i duszy, skoro przywożą ją tu aż z odległego o sto dziesięć kilometrów miasta. Dowiedziano się od superintendenta, że powóz z młodą parą zjawi się na przystani około dziesiątej przed południem, gdzie przeprawi się promem z przeciwległego brzegu. Młodzi małżonkowie (w przyszłości mój ojciec i moja matka) wyruszyli z Debreczyna poprzedniego dnia powozem mojego dziadka po kądzieli, który zawiózł ich do Fiizesgyarmat. Tam zatrzymali się u dziadka po mieczu - był w majątku inżynierem - a następnego ranka wyruszyli resorowanym powozem dziadka do Kóróstarcsa, dokąd odprowadził ich również dziadek.

Nie opodał Fiizesgyarmat zaczyna się, a raczej kończy

Sarret, okolica jest bagnista na skutek wylewów Kereszów i Berettyó. Na początku naszej historii zaczęto ją osuszać, a wtedy tu i ówdzie ujrzały światło dzienne duże złoża torfu. Te bagna były ulubionym miejscem wszelkiego ptactwa wodnego. Siadywały tu, a nawet budowały gniazda, tak rzadkie już dziś białe czaple. Pamiętam, że w dzieciństwie wspinając się na pailce wyciągaliśmy szyje, żeby zobaczyć stojące na szafie szklane naczynie, w którym tkwił pęk czaplich piór. Pamiętam także pewien Ust, w którym kuzyn mojego ojca, poeta Gyula Sírrossy, prosił o przysłanie czaplego pióra - zapewne do kapelusza. Osuszone s&rreckie bagna zapalały się niekiedy, może od żaru ognisk pasterskich, i tliły się latami rozsnuwając dymy bez płomieni, jako że w niektórych miejscach złoża torfu miały osiem, a nawet dziesięć metrów grubości. Droga dla wozów często prowadziła wzdłuż takich dymiących od lat torfowisk. Siedzący na koźle musieli bardzo uważać, żeby któryś z koni nie wdepnął w żar. Doświadczeni, starzy woźnicy już po kolorze ziemi poznawali, gdzie trzeba pilnować koni, można sobie wyobrazić, z jaką trwogą i niepokojem rozglądała się młoda mężatka, która dotąd nie знаła podobnych niebezpieczeństw, gdy na pytanie, dlaczego tak tu pachnie dymem, usłyszała od mojego ojca, że przecież droga wiedzie wzdłuż płonących od lat bagien..." Dziewczynka, która przyjdzie na świat w dwa lata po tym, jak powóz weselny przyszedł teściów jej córki przejeżdża mimo płonących bagien, jest dzieckiem tego Sírret, dokoła jej kołyski osychają, tłą się i dymią moczary, rozciąga się nad Fuzesgyarmat bezkresne niebo, widać równiną puszczy i połyskliwe zwierciadło wody, które w tamtych czasach odbija jeszcze wygięte luki szyj gnieźdzących się w sitowiu łabędzi, czapli, żurawi i pelikanów, i można też spotkać kryjące się w szuwarach witki. Wspomnienia jej dzieciństwa wiążą się z tym osobliwym, częściowo jeszcze istniejącym światem wodnym, ogląda wydry, tisy, egzotycznie piękne ptaki, słucha wycia drapieżników, które w mroźne zimy podchodzą nawet na rynek w Fuzesgyarmat i rzucają się na stojące przed kościołem konie. 3ej dziadek, kaznodzieja-patriota Istvan Gacsary, kronikarz Sarret, jest duszpasterzem znanym i szanowanym nie tylko

w małym świątku kalwińskim, lecz na terenie całego kraju, ojciec, którego z powodu „wyczerpania sił witalnych i apopleksji” traci dziewczynka mając zaledwie siedem lat, to równie słynny znawca praw i opiekun sierot, a jego śmierć, która nastąpiła, kiedy dzwoniło na południe, jak potwierdza wpis w księgach metrykalnych, pogłężyła w prawdziwym smutku i żałobie całe Fiizesgyarmat. Jej matka nazywa się Emilia Siró i trzy lata później podąża za mężem do grobu - zabiera ją gruźlica - zostawiając pod opieką swych rodziców dwie córki. Dziesięcioletnia Emma Gacsóry i dwa lata młodszą od niej Erzsébet, sieroty bez ojca i matki, zostają dziedziczkami znanego w całym kraju ngg\viska, które zobowiązuje. Rodziny Gacsórych, Sirów i Banyaych, od których pochodzą, zamiast herbowych zwierząt mogłyby sobie ryć na tarczach Biblii, gęsie pióra lub dyplomy uniwersyteckie; ich dziadek po mieczu pisze kronikę, zaś dziadek po kądzieli to też chluba Sarret, cieszący się wielkim autorytetem organizator szkolnictwa dla kobiet, Daniel Siró. Począwszy od siedemnastego wieku ich krewni występują w księgach metrykalnych, jest wśród nich superintendent, starosta, pastor, nauczyciel, prawnik, profesor.

Tak jak w pamięci Juniora zachował się żywy obraz jego rodziców, tak we wspomnieniach dziewczynki zacierają się portrety ojca i matki. Ojciec rzadko pokazywał się w domu, był działaczem społecznym, bez reszty pochłaniała go ochrona prawna komitackich sierot, Karoly Gacsary, wychowanek Kolegium Debreczyńskiego i zagranicznych uniwersytetów, jeździł nie tylko po okolicy, lecz po całym kraju, zwłaszcza po komitacie Pest-Buda, gdzie konferował z innymi prawnikami i z pasją wykonywał swe obowiązki. W pamięci Emmy Gacsary pozostał jako człowiek, który stale jest w drodze. Kiedy siedmioletnią dziewczynkę zaprowadzono do ojcowskiej trumny, przyglądała mu się ciekawie. Nie przeniknęło do jej świadomości pojęcie śmierci, choć rozbrzmiewały wokół niej posępne kalwińskie pieśni, zrozumiała tylko, że ten, który dotychczas stale tylko przyjeżdżał i wyjeżdżał, zatrzymał się nareszcie. Mała Emma nie wiedziała jeszcze tego, co tak dobrze wiedziała już dorosła Emma Gacsóry gromadząca na gruzach swego życia wspomnienia i opowiadająca je swej najmłodszej córce, Iren: niepokój

Karolya Gacsaryego to było ściganie cienia, które tak często zdarza się u dzieci sławnych ludzi; niełatwo być bowiem synem wielkiego htvana Gacsaryego,

O matce, choć znała ją trzy lata dłużej niż ojca, nie zostały jej prawie żadne wspomnienia.

Emilia Siró przechorowała cały okres małżeństwa i jej mądry, zawsze na czarno ubrany ojciec postawił między nią i dziewczynkami swoją żonę, Ráskhel Banyay. Daniel Siró, apostoł oświaty publicznej z Sarret, był nie tylko wybitnym pedagogiem i organizatorem szkół, interesował się także naukami przyrodniczymi i już wtedy domyślał się zakaźnego charakteru gruźlicy.

Dziewczynki rzadko więc widywały matkę, w pamięci Emmy utrwaliła się pościelona kozetka i współżęca na niej matka, którą mogły witać tylko od drzwi. Ta wiotka istota, o której Emma tak często opowiadała swoim córkom Iren i Pirosce, z niewiadomych przyczyn nigdy nie nosiła odpowiednich do łóżka luźnych rzeczy, tylko ciężkie brązowe lub czarne suknie i mysie czepki na głowie. Ruszała się mało, często kaszłała, potem pewnego dnia zniknęła z domu na zawsze i, całkiem tak samo jak nieboszczyk Károly Gacsary, nie zostawiła po sobie duże j pustki.

Natomiast śmierć dziadka Siró, który opuścił je półtora roku przed Emilią, pobudziła Emmę Gacsary do spazmatycznego płaczu: Daniel Siró sam uczył obydwie wnuczki, jego szczupłą, mądrą twarz widywały przy wieczornych modlitwach i wczesnych przebudzeniach, Erzsebet Gacsary, późniejsza matka chrzestna Lenke Jablonczay, często opowiadała Pirosce, z jaką nadzieją i oczekiwaniem uczył je dziadek i czego się spodziewał, zwłaszcza po starszej wnuczce, Emmie. „Twoja matka była mądra - mówiła Erzsebet Gacsary - twoja matka była nadzwyczaj mądra i wciąż tylko czytała." Daniel Siró włożył cały swój talent pedagogiczny w poszerzanie horyzontów myślowych obu osieroconych wnuczek i kształtowanie ich charakterów i kiedy półtora roku przed córką opuścił trzy bezradne istoty, śmiertelnie chorą Emilię i dwie dziewczynki, ich los wzięła w swoje ręce jego żona, córka rejenta zTurkeve, Ráskhel Banyay.

Jej ręce były tak samo twarde i pewne jak ręce Marii Rickl i równie mocna i gorąca była jej wiara, choć czciła Boga według innego obrządku. Ráskhel Banyay szanowała metody pedagogiczne męża, a jeszcze bardziej nazwisko teścia swojej córki,

chluby Sírrot, Istvana Gacsryego. Gacsryówny musiały się we wszystkim wyróżniać właśnie przez to nazwisko, aby pokazać, że to, co zostało im dane przez Boga, zużytkowują ku jego chwale i chwale swojego Kościoła, a trzeba przyznać, że Bóg dał rodzinie dużo, nie tylko w talentach, ale także w majątku, bowiem Gacsryowie, Sirówie i Bányayowie należeli do tych wyjątkowych rodzin kalwińskich, dzięki którym mądrej gospodarce czekały na obie sieroty dobrze zagospodarowane, dochodowe majątki oraz poważny kapitał, dziewczynki były więc bardzo bogate, nawet według miary Anselmusa drugiego. Na babkę wraz z wychowaniem wnuczek spadła wielka odpowiedzialność, miała nie tylko uformować ich dusze, ale także ustrzec, a może nawet pomnożyć ich majątek. Rakhel Bányay nie cofnęła się przed żadnym z tych zadań, miała swoje wyobrazenie na temat, jaka powinna być panna z porządnego kalwińskiego domu i jak ma się przygotować do życia. Na Węgrzech nierzadko spotykało się kobiety w typie Rakhel Bányay, które w powieściach Jókai zaszczyca się mianem wielmożnej pani; te matrony były odważniejsze i silniejsze niż niejeden mężczyzna. István Gacsry pisał w swojej Kronice, że podczas epidemii cholery w 1831 roku magistrat - w przewidywaniu, iż epidemia ogarnie też miasto, werbował do pracy nie mężczyzn za pieniądze, lecz odważne i ochotniczo zgłaszające się kobiety, które zbierały chorych, umieszczały ich w odosobnieniu i nawet uleczyły wielu z nich ze śmiertelnej choroby. Zresztą w Sarret kobiety były nie tylko śmiałe, nie należały też do rzadkości takie, które swoją wiedzą daleko przewyższały przeciętnie wykształconych mężczyzn: kronika Gacsryego w początkach lat trzydziestych wspomina o dawno już istniejących subsydiach, które tutejszy dwór przeznaczył na pobory dla nauczycieli zajmujących się odpowiednim wykształceniem dziewcząt.

Na temat tego dworu, który według zapisków był łaskawy i przychylny wobec zreformowanego Kościoła ewangelickiego i jego sług, Rakhel Bányay miała własne zdanie. Goście barona Wenckheima przejeżdżali powozami przez ulicę Nagy, najpiękniejszą ulicę Fiizessgyarmat, gdzie znajdowały się domy rodziny Siró i Gacsrych - w kościele słynnego dziadka wygłaszał już wtedy kazania wielbny Benjámín Csaányi - i ledwo można było odpędzić od okien obie dziewczynki, które biegły tam natych-

miast, gdy tylko rozlegał się turkot kół. Całkiem zaś zbyteczne jest gapienie się na powozy lub ludzi, którzy w nich siedzą, sfera, do której należą goście barona, nie jest sferą Sirów ani Gacsaty. Babka dość pewną dłoń wytyczyła granice, w których miały się poruszać Emma i Erzsebet, jak dorosną; gdy przyjdzie pora, będzie się wpuszczać do domu naukowców, pastorów, inżynierów, którzy pracują w komitacie, i innych pożytecznych ludzi. Młodsza Erzsebet cofa się posłusznie, gdy Rakhel Bányay zwraca jej uwagę, ale Emma, jeśli nawet pozornie ustępuje, od razu skrada się z powrotem do okna i wygląda przez odsunięte firanki. Wtedy Rakhel Banyay z miłością i bez gniewu - jak dla dobra dzieci radzi Pismo Święte - bije małą, która ucieka z płaczem, ale przy najbliższej okazji, gdy tylko ukazuje się powóz baronowej, znów sterczy przy oknie, przygląda się oficerom jadącym konno po obu stronach powozu, kapeluszowi baronowej, jej woalce i kolorowi sukni. Trzeba całej czujności Rakhel Banyay, aby utrzymać z dala od domu te płóche romansidła, w których autorzy zamiast o miłości ojczyzny i pokoju życia rodzinnego piszą o niemoralnych przygodach miłosnych i nie wstyd im nawet stawiać swych bohaterów w tak niedwuznacznych sytuacjach, w których młodzieniec i panna całują się w usta, choć nie są nawet po słowie. Jeśli dziewczęta chcą czytać, mają dość książek w osieroconym pokoju dziadka, jest tam Petófi, Arany*, jest Tompa**, klasycy węgierscy, od których czytelnik może się nauczyć tylko dobrego. Daniel Siró zwrócił uwagę żony na to, co zauważył ucząc obie wnuczki: Erzsebet zadowala się tym, co usłyszy, nie obchodzi jej żadne dalsze szczegóły, Emma natomiast jest ciekawa, a interesuje ją zwłaszcza wszystko to, co nie należy do lekcji -- jaką suknię ślubną miała Gizella żona świętego Stefana***, i dlaczego książę Imre**** nie miał dziecka. Między inne książki zaplątał się pozostały jeszcze po ich matce romans opisujący zbytkowne

życie arystokratycznych kochanków i rozpustną noc, spędzoną w oszklonym, okrągłym pawilonie w ogrodzie pachnącym kwiatami pomarańczy; Rákhel Bányay kocha książki, niechętnie też niszczy cokolwiek, co przypomina jej przedwcześnie zmarłą córkę, to plugastwo musi jednak spalić, bo gdziekolwiek by nie schowała, Emma zawsze wytropi książkę i czyta. Arystokraci, książęta, czar włoskich nocy - tylko tego brakuje Emmie Gacsóry, aby do reszty nabiła sobie głowę niepożądanymi i niebezpiecznymi myślami. Dziewczyna i tak ma niesłychane pomysły, pewnego razu -- pod nieobecność babki - zmienia urządzenie domu; Rákhel Bányay po powrocie dowiaduje się, że zawołała jednego z parobków i kazała mu poprzestawiać wszystkie meble. Babkę, gdyby wiara nie zabraniała jej podobnych uczuć, z pewnością ogarniałaby duma za każdym razem, kiedy wchodziła do swego domu, którego ogród kwiatowy był przedmiotem podziwu całego miasta; dawni koledzy uniwersyteccy Istvána Gacsóryego 4 mieszkający w różnych krajach Europy zaprzyjaźnieni z nim pastory systematycznie zaopatrywali Gacsórych w fachowe książki i czasopisma oraz nasiona kwiatów. Zachwycało się ogrodem Rákhel Banyay całe Sarret, tak jak wszyscy podziwiali jej spiżarnię, esencje kwiatowe, kompotierki, starannie prowadzone księgi gospodarskie; podwórze z olbrzymim spichlerzem, pomieszczeniem na kukurydżę, stajnią i oborą było obrazem równie nieposzlakowanej czystości jak sam dom-, w którego salonie każdy gość mógł od razu wy відчуć, że znalazł się w domu kogoś ważnego. Przecież na półkach bibliotecznych', obok reprezentantów jeszcze nawet nie stuletniej, a już nieśmiertelnej literatury narodowej, można było zobaczyć klasyków niemieckich, francuskich, angielskich i autorów starożytnych, a ze ścian spoglądały na nowo przybyłych portrety poważnych mężów w narodowych szamerowanych strojach lub we frakach. Emma poprzestawiała meble, za portrety Kazinczyego* i Berzsényiego** pozatykała pawie i czaple pióra i plotła coś o białej sukience z falbankami, którą powinna wkładać przy gościach, zamiast tej brązowej z lustry.

i nie miała też na sobie fartuszka, który obowiązana była nosić od rana do wieczora. To wpływ tego romansidła - pomyślała Rakhel Banyay. „Bez miłości ta ziemia jest Syberią, a nasze życie apatią, jak to mądrze, że kochamy - szepnęła wierna dama do towarzystwa w uszko młodej księżny. - Gdyby księżna zechciała przespacerować się po parku, mogłaby tam spotkać pana kapitana. Proszę, niechże mi będzie wolno okryć twoje ramiona, księżno, tym koronkowym szalem...” Jako lekarstwo polecane przez Biblię Rakhel Banyay zastosowała różgę, dziewczynka uciekła z krzykiem, nazwała babkę tyranką, na co Róshel Banyay po prostu zamknęła ją na klucz i cały dzień nie dawała jej jeść. Babka była rozumną kobietą i, jeśli nawet jej własne życie erotyczne w latach młodości okazało się prymitywne i od dawien dawna było skończone, czujność, z jaką strzegła losu sierot, kazała przeczuwać niebezpieczeństwo. Erzsébet nie trzeba nawet hamować, pochłaniają ją drobne obowiązki domowe, jest łagodna, pogodna i posłuszna, za to Emma jest nieobliczalna, wybuchowa i wprost płonie jak Sarret, w którym przysłała na świat. Rakhel Banyay znała, już kogoś, kto tak połykał romanse i kto nawet przykuty do łóżka nie chciał zrezygnować z czytania; Emilia zносиła swój los, słaba na ciele, ale buntująca się w duchu, i nie wstydziła się ronić grzesznych i gorzkich łez, kiedy lekarz, całkiem słusznie, zabronił jej, jako suchotnicy, pożycia małżeńskiego. Erzsébet to córka mądrego, trzeźwego Karolya, Emma -- swojej matki, tylko że Emma tryska zdrowiem i nie prześladowuje jej choroba, jak tę nieszczęsną Emilię, na którą właśnie choćby dlatego nie można było się gniewać, przecież wiadomo, że im bardziej słabną siły, tym dziwniejsze myśli podszeptuje choremu świadomość przemijania.

Rakhel Banyay, na której poza pomnażaniem majątku sierot spoczywała odziedziczona po mężu i córce odpowiedzialność nie tylko za ich wychowanie, lecz także za ułożenie całego ich przyszłego życia, całkiem tak samo przyjmowała zaproszenia, składała wizyty i uczestniczyła w imprezach towarzyskich, które uważała za odpowiednie, jak dbająca o przyszłość trzech córek na wydaniu Maria Rickl. Jednakże jej starsza wnuczka nie znalazła sobie męża ani wśród młodzieńców zapraszanych na wieczorki, którzy czując na sobie władczy wzrok przyzwoitek

prostowali się sztywno na krzesłach, ani wśród gości zapraszanych na spokojne domowe uroczystości. Junior, który już po tygodniu miał tak dość Szeghalom i prac przy regulacji, że w licznych wierszach mówił o rozpaczliwej samotności i wyzwalającej śmierci, która nawet dobrze, jeśli przedwcześnie go zabierze, poprosił ojca, aby pozwolił mu przynajmniej zwiedzić okolicę, niemożliwe, aby w całym komitacie panowała tak przytłaczająca nuda jak wśród inżynierów. Tu, gdziekolwiek okiem sięgnąć, roztaczają się dobra Wenckheimów, zna komitat z opowiadań dziadka, niechże mu więc ojciec pozwoli jechać. Senior nie dba o to, że przez parę godzin zostanie sam, Kalmšn młodszy wypożycza więc konia i rusza na pierwszą wyprawę do Fuzesgyarmat. Jest niedziela i wiosna niezwykle wczesna, niemal brutalna, podobna raczej do lata, kiedy Junior na koniu wjeżdża na ulicę Nagy, rozlega się bicie dzwonów. Kśmšn dostrzega kościół i wydaje mu się ogromny, większy nawet od Wielkiego Kościoła w Debreczynie, chyba można by w nim zmieścić całe Węgry Wschodnie, kto widział taki olbrzymi, taki przepiękny empirowy kościół? Na rynku jest studnia i żelazny słup z pierścieniami, Kalmšn przywiązuje konia, rozgląda się. Wierni zdążają właśnie na nabożeństwo, długimi czarnymi szeregami znikają w drzwiach kościoła, w rękach kobiet zamykane na klamkę śpiewniki, kwiaty w psalterzach i chusteczki. Wszyscy przyglądają się Kalmšnowi, sądząc po jego cholewach i stroju, do konnej jazdy, jest pewnie którymś z gości barona. Hrabia Hektor rzuca ogniste spojrzenia miłym buziom i jest zadowolony, gdy nie unikają jego oczu.

Na losach całych pokoleń zaważył fakt, że Rakhel Banyay nie zaniedbywała kościoła nawet wtedy, gdy uzasadniała to choroba kogoś z rodziny, bądź jej własna. Tego dnia mianowicie powinna była zostać w domu, gdyż poprzedniego wieczoru tak fatalnie chwyciła w kuchni wielki nóż, że zraniła się silnie i straciła dużo krwi, w końcu kościół to takie miejsce, dokąd dwie dziewczynki mogłyby iść bez niej, i tak będzie tam cała rodzina, więc na pewno znajdzie się ktoś, kto mógłby im towarzyszyć. Tylko że ciało, nawet chore, nie może być ważniejsze od duszy, chuda postać Rakhel Banyay ukazuje się więc wśród spieszących do kościoła. Psalterz ściska w lewej, zdrowej

ręce. Po jej prawej stronie idzie Erzsebet, po lewej Emma. Wszystkie trzy spostrzegają stojącego na rynku młodzieńca z koniem i wszystkie trzy na jego widok natychmiast odwracają oczy, dziewczynki dobrze wiedzą, czego wymaga od nich bliskość kościoła ich dziadka. Ale serce hrabiego Hektora uderza mocniej pod doskonale skrojoną kamizelką i młody człowiek ma wrażenie, że to wszystko, co dotychczas odczuwał wobec panien, stanowiło zaledwie preludium do prawdziwego dramatu jego życia. Preludium? Gdzież tam! Było gamą bębniącą na lichym fortepianie. Jego los wypełni ta dziewczyna, która właśnie zbliża się do kościoła w towarzystwie ponurej matrony - Rakhel Banyay liczy tej wiosny sześćdziesiąt cztery lata, Emma Gacsary szesnaście - ubrana jest w skromną, stalowoszarą suknię, oczu jej nie widzi, bo utkwiała wzrok w ziemi, tylko profil, nieprzenikniona jest ta dziecinna twarz, gładka jak u śpiących. Śpiąca królowna - myśli hrabia Hektor i galopuje już na rumaku fantazji, który nie da się uwiązać do żadnego żelaznego pierścienia. Śpiąca królowna z Sarret, która odkąd żyje, czeka, aby ktoś ją przebudził. Tylko jak to zrobić? Ráskhel Banyay w czarnym czepku, sucha jak szczapa, naprawdę nie sprawiała wrażenia osoby, która mogłaby usunąć z drogi śpiącej królowny i hrabiego Hektora tę niebagatelną przeszkodę, polegającą na tym, że się nie znali. Hektor decyduje się więc od razu. wybiera jedyną możliwą drogę, która może go zaprowadzić do dziewczyny: wchodzi z wiernymi do kościoła. Jak długo żyje, nie był jeszcze w kościele kalwińskim, rozgląda się ciekawie, nie ma tu ani ołtarza, ani figur, ani obrazów, niczego, co w jego świadomości wiązało się dotąd z pojęciem świątyni, a poza tym, gdy oni w domu idą na mszę, cała rodzina siedzi obok siebie w jednej ławie, tu zaś wierni rozdzielili się na dwie części, a i te są jeszcze rozbite według wieku, całe szczęście, że nie pchał się do przodu, kawalerowie, jak widać, stoją grzecznie z tyłu. Matronę i dwie panny widzi dobrze z miejsca, gdzie przystanął, pośrodku kościoła jest jakiś stół, wokół niego obita aksamitem bariera; naprzeciw tego stołu stoją wszystkie trzy, głowy spuszczone, dłonie splecione do modlitwy na psalterzach, modlą się. Hektor jest urodzonym komedianem, on też splata dłonie i zastanawia się, w jaki sposób z nabożnego młodzieńca ma się stać mile widzianym wielbicielem. Szeptać zapewne nie wy pa-

da, ale przecież musi jakoś zacząć. Jakiś młody człowiek w jego wieku stoi tuż obok, przewraca kartki psalterza i zgromadzeni zaczynają podniosłą pieśń. Hektor jeszcze się nie zdecydował, czy ma otwierać usta, w końcu to nic trudnego udawać śpiewanie takiej posępnej, powolnej pieśni, gdyby się bardzo skoncentrował i zobaczył tekst, mógłby ją naprawdę wykonać bez przygotowania, przecież uczył się muzyki. Sąsiad zerka na niego i kiedy spostrzega, że Junior nie ma psalterza, podsuwa mu swój. Hektor dziękuje szeptem i łamie sobie głowę, jak ma zapytać o to, czego chce się dowiedzieć. Ślepe narzędzie losu, młody mężczyzna, rozwiązuje za niego ten problem i ledwie poruszając wargami, jak gdyby pokazywał komuś obcemu jakieś dzieło sztuki, piramidę w Gizie lub mauzoleum Kossutha, szepce do niego robiąc podbródkiem ruch w stronę tego stołu czy też ołtarza, przed którym stoi stara kobieta z dwiema dziewczynami: „Panie Gacsśry”. Muki Darvasystoi przez całe nabożeństwo, śpiewa gorliwie, zanosi modły, a ponieważ jest tuż przy drzwiach, tnoże opuścić świątynię jako pierwszy, wierni jeszcze nawet nie ruszają się z miejsc, niektórzy odmawiają w duchu ostatnią modlitwę, kiedy Junior galopuje już z powrotem do Szeghalom, aby się dowiedzieć, kim też może być ta urocza istota, którą pokazują ludziom w ten sposób, jak pokazuje się lokalne osobliwości. Ojciec wie także i to, Senior urodził się w Mezóberény i w ogóle -- czego ten Senior nie wie? Muki Darvasy jest szczęśliwy, nie dociera do niego wprawdzie, co to jest ta słynna Kronika, ale wymyślił już, w jaki sposób pozna dziewczynę.

Spośród córek Emmy Gacsary najczęściej widywała się z matką Pirooska Jablonczay i Emma Gacsśry opowiedziała jej kiedyś, jak poznała Juniora. Muki pogalopował do Fuzesgyarmat, przywiązał konia do jodły rosnącej przed domem przy ulicy Nagy 520 i, jak gdyby go zaproszono, wszedł do ogrodu, gdzie spotkał się oko w oko z Róskhel Banyay. Przedstawił się jej, powiedział, że jest inżynierem i pracuje wraz z ojcem przy melioracji Sőrrét, i że właściwie niepokoi wielmożną panią z powodu Kroniki wielbnego pastora Gacsśryego. Mianowicie od dawna już planuje napisanie do „Debreceni Hírlap” serii artykułów o wybitnych postaciach z Węgier Wschodnich, tysiąckroć przeprosza za swoje natręctwo, ale nie może sobie

wyobrazić tego rodzaju przedsięwzięcia bez artykułu o Istvanie Gacs&rym.

Rakhel Banyay, która znała na pamięć znaczną część Biblii, była święcie przekonana, że próżność to brzydka cecha ludzkiego charakteru. Nawet w czasach gdy była śliczną dziewczyną, z rzadka spoglądała w lustro i nie interesowała się świecidełkami, nigdy więc nie spostrzegła, że sama nie jest pozbawiona tej ułomności. Emilia Siró nudziła się z Karolyem Gacs&rym, który był od niej starszy o dwadzieścia lat, i właściwie wymagała od niego tylko jednej rzeczy, na którą mężczyzna o nie całkiem zdrowych skłonnościach seksualnych rzadko miewał ochotę, teścia natomiast, wielkiego Gacsaryego, który był zresztą jej ojcem chrzestnym, zwyczajnie się bała. Za to w oczach Rakhel Banyay genialny kronikarz o minie udzielnego księcia i posturze atlety był w porównaniu z małym i wątłym D&nielem Siró ideałem wiecznej młodości, powiedziała więc swojej córce Emilii, że skoro spotkała ją takie wyróżnienie i dostała się do rodziny Gacs&rych, naprawdę nie powinna chcieć od życia niczego więcej. Jakże Karoły może być nudny, skoro i on jest wielkim uczonym? Dwadzieścia lat różnicy wieku? No to co? O ile starszy, o tyle mądrzejszy. A zresztą nie w tym rzecz, niech nie zapomina, kogo dostała za teścia. Chuda ręka otworzyła więc drzwi ganku przed Mukim Darvasym. Emmę zastali w salonie, gdzie nie miała nic do roboty i gdzie nikt jej nie wołał; stała przed portretem dziadka. „Słyszałam przez okno, o czym rozmawiali -- opowiadała Emma Pirosce - i wiedziałam, że nie zawołają ani mnie, ani Erzsébet, więc sama stanęłam pod portretem, bo zawsze pokazywali go każdemu, kto interesował się dziadkiem Gacsarym. Ty też zrobiłabyś to samo na moim miejscu, bo był tak piękny, tak światowy, tak podniecający, jak bohater jakiejś powieści. Nie rozumiałam tylko, dlaczego ten wspaniały chłopak interesuje się dawno zmarłym kaznodzieją. Ale kiedy wszedł i spojrzał na mnie, natychmiast domyśliłam się, że nie przyszedł tu dla Kroniki. Stałam więc pod portretem zaczerwieniona po uszy, a z zakłopotania i ze szczęścia nie mogłam się nawet poruszyć. Babka przedstawiła mi go, ja się ukloniłam, i on się uklonił.” Emma Gacs&ry znała wielu młodych ludzi, którzy przesiani przez sito R&skhel B&nyay mogli bywać w ich domu, ale tamci.

jeśli się już odezwali, mówili o podróżach zagranicznych, omszałych gmachach uniwersyteckich, bibliotekach i słynnych profesorach, o Getyndze i Utrechcie, o wielkiej auli w Lejdzie, o piękności krajobrazu, który zachwyca przybysza z dalekich stron patrzącego w dół z zamków w Heidelbergu czy Marburgu. Ale cóż obchodził Emmę Gacsary pachnący pergaminem świat kalwińskiej młodzieży, skoro ona śniła o balach, koronkach i namiętnych przygodach miłosnych? Młodzieniec, który przestąpił próg ich domu, był przystojniejszy od młodego barona i wreszcie mówił o czymś, co ją obchodziło. „Inżynier” Jablonczay znał Wiedeń i towarzystwo wiedeńskie, a choć wiemy z jego dziennika, że od razu przehulał całe pieniądze i niemal przymierał głodem, można sobie wyobrazić, co opowiadał prowincjonalnej panience o wymyślonych balach i salonach, zaprzyjaźnionych księżętach i wrażeniach z dworskich bali. To zaś, co mówił o Grazu, wzbudziło także zainteresowanie Róskhel Bónyay. Stara kobieta lubiła pracowitych węgierskich studentów, którzy osiągali w nauce wyniki lepsze niż Austriacy. („Ojciec nie był właściwie kłamcą - powiedziała niepewnym tonem ciotka Piroška - tylko widzisz, to był poeta i to fantazja unosiła go w chmury.”) Ponadto Junior potrafił robić jeszcze coś, czego nie umiał żaden z bywających u Gacsórych młodych ludzi: pisał wiersze. Emma Gacsóry miała pamiętnik, tak jak wszystkie panny z jej sfery w tamtym czasie, do którego znajomi młodzieńcy wpisywali pełne uszanowania strofy, zachęcające do patriotyzmu i bogobojności, a uznawane już za śmiałe, jeśli jakiś egoista, zamiast wspominać niebo czy naród, robił niewyraźne aluzje, że pragnąłby, aby jego imię i pamięć pozostały w sercach domowników, gdziekolwiek burzliwy ocean życia rzuci łódź losu panienki. Ale przestrogi Nowego Testamentu, wielkiego stylisty Pawła, a nawet utwory klasyków poezji patriotycznej natychmiast straciły urok, kiedy Kósmón Jablonczay poprosił Emmę o jej pamiętnik. Junior grzecznie narysował kilka kwiatków i napisał parę linijek, które każdy mógł przeczytać bez zgorszenia, dziewczyna jednak znalazła ponadto ukryte wśród kart pamiętnika wiersz, przeznaczone dla niej i ta poezja zachwycała ją i zakłopotala zarazem, bo nikt jeszcze nigdy nie pisał miłosnych wierszy do Emmy Gacsóry. Skąd mogła wiedzieć szesnastoletnia panienska, że te poezje przecho-

dziły w Debreczynie z rąk do rąk, że co najmniej trzydzieści panien znalazło je w torebkach cukierków, w zaproszeniach na bal i zarękawkach, a także kiedy czyta: „twa osobkę przecudowną serce wiernie kocha”, lub że jej wargi to „istny rubin”, nie wie, że nad tymi żarliwymi wierszami gorączkowały się już w Debreczynie Ilonka Baiogh, Róza Bruckner, Róza Nšnssy w sukni z niezapominajkami, Mariska Kovács, Irma Fuchs, Mili Kontay i jeszcze wiele innych, nawet wyglądająca przez okno Veronka Szabó, w której zresztą, w sposób urągający jego wiekowi, kocha się namiętą, zmysłową miłością siedmioletni synek pastora z Korostarcsa, Elek, przyszły mąż Lenke Jablonczay.

Na podstawie Księgi dobrego tonu Rózy Kalocsy, dzieła, które określiło sposób wychowania wielu pokoleń, nietrudno zrekonstruować grę, która odbyła się w domu przy ulicy Nagy 520. Emma Gacsóry, którą babka uczyła, jak należy stać, siedzieć i chodzić, a także tego, o czym wolno rozmawiać, gdy w salonie są mężczyźni, zapewne zachowuje się tym bardziej nienagannie („pierwszy warunek to prosta postawa, ale należy też pamiętać, aby nie była sztywna. Młoda paniąka powinna na siebie uważać, również gdy siedzi, zakładanie nogi na nogę to brzydki zwyczaj, którego surowo zabrania dobry ton. W obecności starszych dam młode panny powinny unikać przechylania się w tył na oparcia krzeseł...”), im więcej ma do stracenia. Dziewczyna wie, że panna, która jest gospodynią domu, nigdy „sama nie prowadzi rozmowy”, lecz przy pomocy zręcznych zwrotów „czyni ją ogólną” i „stara się ukazać w jak najlepszym świetle wybitne cechy różnych gości”. Wie, że jej obowiązkiem jest odprowadzić kobietę, mężczyznę zaś tylko w przypadku, jeśli jest niedołącznym starcem, i że dopóki nie wyjdzie za mąż, nie wolno jej usiąść na kanapie, nawet gdyby poprzedniego dnia spadła w spiżarni z drabiny i bolała ją każda kosteczka. Musi wybrać twarde krzesło o niewygodnym oparciu, siedzenie na kanapie przysługuje tylko znacznie starszym pannom lub mężatkom. Matka, wychowawcy, Anselmusowie polerowali Juniora według tych samych prawideł, a szkoła Marii Rickl nie stawiała mniejszych wymagań niż szkoła Róskhel Bányay, młody Jablonczay nigdy więc nie zapomina wchodząc do domu w Fuzesgyarmat, że: „Słusznie ściąga na siebie zarzut braku kultury

młodzieniec, który w obecności dam huśta się na krześle lub podczas rozmowy trzyma ręce w kieszeniach spodni. Nie wypada kłaść łokci na stole, podpierać głowy ręką, a kołysanie nogą jest przykre także dla innych, podobnie jak każdy hałas, ciche nucenie czy bębnienie palcami, należy też wystrzegać się pochylania ku sobie głów, szeptów i śmieszków." Dwa stworzone do burzliwych uczuć i namiętnej miłości młode ciała siedzą w niewygodnych pozycjach nie opodal siebie w nieposzlakowanym czystym salonie, gdzie patrzą na nich Rakhel Bányai, dawno zmarli przodkowie i stylizowane portrety klasyków literatury węgierskiej. Hrabia Hektor jest wielkim aktorem, przeżył już dość dziwnych historii, nie sprawia mu więc najmniejszej trudności rola nabożnego i pracowitego inżyniera z Debreczyna, którą kreuje dla tej cudownej dziewczyny, i znów myśli, że jeszcze nigdy nie spotkał podobnej i że ta już na pewno będzie stale świecą gwiazdą na ciemnym niebie jego życia. Emma Gacsáry zaś spotkała właśnie po raz pierwszy w życiu młodzieńca, na jakiego zawsze czekała, i boi się, że może go utracić, jeszcze zanim go zdobędzie, uważa więc na każdy gest. Rákshel Bányai niczego nie podejrzewa, Emma chyba wie, że sporo wody upłynie w Dunaju, zanim wybierze jej męża, a ten młody Jablonczay, jeśli nawet jego matce coś tam zostało z majątku, to ze względu na ojca nie nadawałby się nawet do towarzystwa, gdyby Bóg nie obdarzył go jakimś dziecinnym, ujmującym wdziękiem. Nie jest niebezpieczny, niech sobie u nich bywa, przepaść, która ich dzieli, jest tak głęboka, że Emmie na pewno nie przejdzie przez myśl, żeby ten chłopiec mógł być kimś innym niż - dopóki praca trzyma go w Sárret - przypadkowym gościem, któremu nigdy nie dość słuchać i zapisywać tego, co Rákshel Bányai opowiada o epizodach z życia wielkiego Gacsáryego i co po powrocie do Debreczyna on opisze w artykule. Jablonczayowie to bigoteijni katolicy, więc z góry wiadomo, że młodzi nie mogą mieć ze sobą nic wspólnego, choć ten chłopak - co trzeba mu przyznać - jest obiektywny i wyznając inną wiarę interesuje się postacią wielkiego kaznodziei. Jego szczęście, że nie przychodzi tu z powodu dziewczyny, bo wówczas choćby nawet był jeszcze miłszy, ona i tak dałaby mu do zrozumienia, że jego obecność jest tu niepożądana; próżno trzymałby tak grzecznie kłębek wełny, podczas gdy ona opowiada mu o teściu

swojej córki, daremnie udzielałby jej niekiedy nawet niegłupich rad na temat ziemi, zasiewów i spraw gospodarczych, na których, jak widać, zna się co nieco. Rakhel Banyay ma bowiem wielki talent do pozbywania się z domu młodych ludzi, którzy według niej nie powinni spotykać się z Emmą. Muki Darvasy jest jednak doświadczonego myśliwym, uczy impulsywną i nierozważną Emmę czujności i ostrożności. Babka już śpi, kiedy odbywa się dalszy ciąg rozmowy, prowadzonej w jej obecności niemal wyłącznie na temat osoby i pracy Istvana Gacsaryego; urzeczony psy wymachując ogonami z radosnym skowytym wpuszczają co noc Juniora skradającego się na podwórze lub pod okno Emmy Gacsary - każdy Jablonczay jest urodzonym pogromcą zwierząt, przez całe życie towarzyszyły Imremu, Seniorowi, Parkom, Juniorowi i wszystkim jego dzieciom oraz wnukom oswojone jednym dobrym słowem obce psy i prężące w górę ogony koty. Junior otrzymał w życiu wiele pocałunków, ale takich jak te jeszcze nigdy i także ten ogień, który buchał od Emmy Gacsary, w niczym nie przypominał płochliwego oddania małych wieśniaczek, spotykanych w majątkach Ricklów lub w Pallag. Natura nie stworzyła tej dziewczyny do westchnień i marzeń, Kalman Jablonczay, którego boli jeszcze porażka poniesiona w Wiedniu i oschłość matki, czuje, że wreszcie został oceniony tak, jak na to zasługuje. Ta dziewczyna to prawdziwa perła, trzeba ją utrzymać, ale przede wszystkim trzeba ją zdobyć. Wszystkie jego dotychczasowe porywy były tylko naiwnym wstępem, dopiero teraz wie, co to miłość i żądza.

Panny z Debreczyna miały całe świty adoratorów, były przyzwyczajone do pięknych słówek, w życiu Emmy Gacsary po raz pierwszy zrywa się burza namiętności, która wydaje się jej czymś bardzo światowym. Kalman, jak wiemy z jego dziennika, bez wahania oświadczał się każdej pannie, co było jedną z głównych przyczyn gniewu jego matki, na szczęście w Debreczynie znały go zarówno córki, jak i matki, nikt nie brał poważnie jego wynurzeń. „Jest pan wielkim dzieckiem” -- rzekła nietaktowna Róża Nanassy, kiedy zabrzmiało wyznanie połączone z oświadczeniami. Pobłażliwy uśmiech Róży boli do dziś i niewątpliwie jak balsam na ranę działa fakt, że Emma Gacsary nie uważa go za wielkie dziecko i, kiedy mówi jej, że ją kocha i nie może bez niej żyć, pragnie, by została jego żoną, jest

święcie przekonana, że nawet nie mogłoby stać się inaczej, sam Bóg przeznaczył jej tego cudownie pięknego młodzieńca o pasjonującej przeszłości, on ją stąd zabierze, a ponieważ hrabia Hektor taktownie nie wspomina, że jego sytuacja materialna jest nie tylko niepewna* ale po prostu żadna -- ani posady, ani własnego majątku, ani pieniędzy - dziewczyna wyobraża sobie, że nie zatrzymają się aż do wielkiego Debreczyna, skąd pojedą do Pesztu, stamtąd do eleganckich przyjaciół Kálmána w Wiedniu, może nawet do Paryża, a gdy wrócą z podróży poślubnej, z pewnością dostanie się do towarzystwa Wenckheimów - Kalman ją tam wprowadzi. Pożądanie, które w niej wzbudza, opanowuje bez reszty dojrzałe do miłości ciało i choć nie wypada tego Czynić bez błogosławieństwa kościelnego, bez ślubu, Emma Gacsary uważa, że tylko bierze i daje zadatek na należne im obojgu szczęście, przecież i tak będą małżeństwem, na co zda się opór, skoro młody mężczyzna błaga ją tak rozpaczliwie i grozi, że jeśli mu nie ulegnie, skończy ze sobą. Te groźby są tak samo niepoważne jak inne frazesy, które mają zawrócić jej w głowie, w Debreczynie żadna nie zwróciłaby na nie uwagi, ale Emma widzi tylko, że Junior ma sztucer, z którym włóczy się po zaroślach - co będzie, jeśli skieruje go prosto w swoje serce? Rzecz jasna, to usprawiedliwienie jest tylko częścią wymówką, prawda wygląda zupełnie inaczej; już nie tylko Kálmán ma dość pocałunków, po których nic nie następuje, dziewczyna chyba jeszcze goręcej pragnie, aby dać to, o co ją tak proszą. Szczęście Juniora jest co najmniej tak samo wielkie jak jego zaskoczenie, kiedy tej nocy gdy Erzsebet dostaje wysokiej gorączki i Rakhel Banyay zabiera ją do siebie, do osieroczonego łóżka Dánielą Siró (pielęgnacja, ochrona zdrowia sierot to jedyna rzecz, w której stara kobieta przesadza bardziej niż należy, nie może zapomnieć smutnej spuścizny" Emilii, jej morderczej choroby i przedwczesnej śmierci), Emma otwiera okno swego pokoju i Junior może wejść między nigdy dotąd nie widziane, pokryte barwnym, kwiecistym perkalem i ozdobione białym muślinem meble, w pobliżu stoliczka do szycia i wąskiego panieńskiego łóżka. Spełnienie miłości przesycane jest lękiem i oszołamiającą rozkoszą, dziewczyna, którą trzyma w ramionach, nawet w swym niedoświadczeniu i niewinności jest doskonałą kochanką. Junior wie dobrze, że nie mógłby pojąć jej

za żonę, nawet gdyby urodził się pod szczęśliwszą gwiazdą, nawet gdyby był bardziej samodzielny, Maria Rickl niejednokrotnie powtarzała, że sama wybierze mu towarzyszkę życia, gdy już przeboleje zawód, jaki jej sprawił wracając z Grazu bez dyplomu. Me jako przygoda ta miłość jest najpiękniejszym podarunkiem w jego dotychczasowym życiu. Wąskie łóżko pachnie suszonymi ziołami Rakhel Banyay, lawendą w tiulowych saszetkach, i szkoda, że to stworzone do miłości dziecko o miękkich wargach nie może być niczym więcej, tylko epizodem w jego życiu, naprawdę chętnie by się z nią ożenił. Ale o tym nie może być nawet mowy, to wręcz niemożliwe, więc to, co się stało, niech pokryje wieczny mrok. Kalman z góry układa pożegnalny wiersz, który zostawi dziewczynie, i z góry martwi się swoim przyszłym cierpieniem, które ogarnie go, gdy będzie musiał rozstać się z Emmą.

Tak jak i w innych sprawach, Emma Gacséry nie przypominała dotychczasowych miłostek Juniora również pod tym względem, że nie była ani dziewczęco nieśmiała, ani powściągliwa. Nie znała ani życia Juniora, ani jego rodziny, zwłaszcza matki, i z niemal niestosownym pośpiechem ponaglała go, aby powiedział Rakhel Banyay o swoich zamiarach i uregulował wreszcie ich związek. Emma choćby dzisiaj wyruszyłaby w podniecający świat, gdzie Junior, jak sam opowiada, ma wstęp do wszystkich eleganckich domów, nie rozumie więc, na co on czeka, dlaczego nie ogłasza wszem i wobec o ich zaręczynach. Ich romans zaczął się 28 kwietnia 1882 roku -- tego dnia zapisał Junior w swoim dzienniku: „Moja mała żona, Emma Gacséry.” Biegają wypełnione miłością tygodnie, Kalmán modli się na przemian, by nadszedł już sierpień, kiedy zakończą prace w rejonie Fuzesgyarmat, to znów, aby czas stanął w miejscu, bo dziewczyna, którą po wyzdrowieniu Erzsébet co noc bierze w ramiona w ogrodowej altanie, żyje w bajce, nikt nigdy z takim nabożeństwem nie słuchał kłamstw i marzeń Kálmána Jablonczayego. Zostanie tajemnicą ich dwojga, czym zwodził Emmę przed nadejściem tragicznej chwili, czym motywował, że wciąż jeszcze zwleka z oświadczeniami i nie deklaruje się przed Rakhel Banyay. W ostatnim jednak tygodniu lipca otrzymują brutalną przestrożę: Emma zdaje sobie sprawę, że jest w ciąży. Dziwne, bo wcale nie jest tak przerażona, jak powinna, wręcz przeciwnie-

nie. Jak opowiadała najmłodszej ze swych córek, Irén, doznała właściwie ulgi, bo wiedziała, że teraz już nie można dłużej zwlekać z zaręczynami. Tym, kto wpada w panikę, jest Muki Darvasy. O radę nie może prosić nikogo, poza Seniorem, to, co się stało, jest męską sprawą, ojciec też chyba nie był w swoim czasie taki święty, naradzą się wspólnie, co można by zrobić. Najlepiej byłoby uciec, i to natychmiast, ale jak może tu Zostawić to pełne wdzięku, uroku i miłości stworzenie w „hańbie”, jak powiedziałyby zgodnie Maria Rickl i Rakhel Bśnyay? Maria Rickl! Rśkhel Bśnyay! Boi się tak samo jednej jak i drugiej. Junior znów coś kłamie, uspokaja niezbyt zaniepokojoną dziewczynę, która w radosnym podnieceniu czeka na jego deklarację i błyskawiczny ślub, potem w Szeghalom opowiada Seniorowi, co mu się przytrafiło. Ojciec ożenił się mając prawie trzydziestkę, chyba musiał się kiedyś znaleźć w podobnej sytuacji. Co w takim przypadku powinien zrobić mężczyzna?

W ciągu dwudziestu dwóch lat swojego życia Junior rzadko zważał na coś innego poza swą żądzą i fantazją. Teraz dreszczem przejmuje go reakcja ojca: choć całymi tygodniami wysłuchiwał epizodów z życia wielkiego kaznodziei, to jednak dopiero teraz, z rozpaczy Seniora pojął, kim są w końcu Gacsśryowie i kogo uwiódł w nieszczęsnej chwili. Senior i Junior patrzą na siebie przerażeni, w myślach obydwu pojawia się nie podejrzewająca niczego w Debreczynie matka i ta druga, równie naiwna, w Fiizesgyarmat. Dziadek Emmy to chluba Sśrrćt, jej ojciec także i jeśli nawet dziewczyna zachowała się nierozsądnie, nie można jej oddawać w ręce podejrzanych akuszerok z Pesztu (hrabia Hektor myślał i o tym) ani też zostawiać we wstydzie. Trzeba się oświadczyć o jej rękę i trzeba się z nią ożenić. Senior o mało nie dodaje: „A potem Boże bądź miłociw nam wszystkim.” Ojciec i syn uzgadniają między sobą, że na razie ani słowa o okolicznościach, które czynią to małżeństwo nieuniknionym, bo gdyby się cokolwiek wydało, Rśkhel Bśnyay znienawidzi Juniora, a Maria Rickl Emmę. Jablonczayowie naradzają się przy winie, jak będzie mądrzej; postawić Marię Rickl przed faktem dokonany czy też poprosić ją o zgodę, której na pewno nie udzieli, i wówczas postąpić wbrew jej woli. Decydują się na to drugie, Kślmsn wraca konno do

Fuzesgyarmat i mówi Emmie, że ma już błogosławieństwo ojcowskie, więc teraz naprawdę potrzeba już tylko odrobiny cierpliwości z jej strony, bo właśnie jedzie do Debreczyna uzyskać zgodę matki. Pojedzie i zaraz wróci, a od razu po powrocie z ulicy Kismester przywiezie z Szeghalom ojca, aby w jego imieniu porozmawiał z Rakhel Bśnyay.

Kiedy Hektor jedzie do domu, ma wrażenie, że to, czego pragnie, wcale nie jest takie niemożliwe. Mądry Senior pouczył go, aby nie przestawał argumentować, że smutny fakt różnicy wyznania - na wieść o czym zapewne spadną na jego głowę najstraszniejsze gromy - owiewa złotym dymem bogactwo panny Gacsśry, Kalman będzie mógł gospodarować w jej majątku i przestanie przysparzać matce kłopotów, przecież sama chciała go ożenić z taką zamożną dziewczyną.

Maria Rickl wysłuchała wszystkiego, a potem oćwiczyła syna kijem. Istotę jej wypowiedzi zachowała w pamięci trzecia Parka -- Gizella, wierny paż starszego brata: Maria Rickl oświadczyła, że dwudziestodwuletni nicpoń, który co sekunda kocha się w innej pannie, nie może się ożenić nawet wtedy, gdy znajdzie sobie dziewczynę z dobrej i bogatej rodziny, bo ściągnie tragedię i na nią, i na siebie. Jeśli ktokolwiek na świecie, to na pewno ona, matka, wie, komu dała życie. Kślmśn jest zmienny w uczuciach, nie zna samego siebie, szkoda byłoby unieszczęśliwiać nieznajomą, niewinną dziewczynę. Kalman jako ziemianin? Kalman zarządzający majątkiem? Już on by nim zarządził do ostatniego filiera, bo jakże mogłaby go pohamować lub służyć mu radą szesnastolatka, obydwójce szastaliby tylko pieniędzmi. Nie puści go już z domu, koniec melioracji, ożeni się z tą, którą ona sama mu wybierze, inaczej do reszty zejdzie na psy. Zresztą nie ma o czym mówić, Gacsśryowie to bojowi kalwini, a ona ma dość kalwinów. Jeśli nawet panna Gacsśry jest piękna jak gwiazda na niebie -- nie zliczy, o ilu już takich pięknościach słyszała od Juniora - to musi być strasznie głupia, jeśli choć przez minutę brała poważnie takiego pędziwiatra jak jej syn. Niech się wynosi do swojego pokoju, a już ona sobie porozmawia z Seniosem, nie po to powierzyła mu syna, aby pozwalał mu na tak nedorzeczne przygody.

Trzecia Parka oddaje uwielbianemu bratu swoje oszczędności, aby jeszcze tej samej nocy mógł uciec z powrotem do

Sórrét. Junior jedzie do ojca i od tej chwili wydarzenia następują po sobie w błyskawicznym tempie, bo na wieść o ucieczce Juniora Maria Rickl każe zaprzęgać, aby osobiście porozmawiać z dwoma samcami w Szeghalom.

Senior, którego najchętniej także by obila, nie ma już żadnego argumentu, wyznaje więc prawdę: dziewczyna jest w ciąży i, choć to przykre, Junior musi się żenić. Scena, która następuje między mężem i żoną, zostanie w pamięci Seniora jako jedna z najstraszliwszych, a zwycięstwo, które odnosi, jest pyrrusowym zwycięstwem. Maria Rickl ustępuje wreszcie, ale skłonna jest rozmawiać tylko z babką, nie chce nawet widzieć tej kalwińskiej dziwki, nie odwiedza też Róskhel Bónyay w jej domu, prosi ją do siebie do Szeghalom, podczas gdy Junior ukrywa się w Fuzesgyarmat.

Tymczasem w Fuzesgyarmat Emma popłakuje, jest przewrażliwiona, tęskni za hrabią Hektorem i starej kobiecie nietrudno pojąć, dlaczego tak się zachowuje. Róskhel Bónyay chmurzy się: czyżby zawróciła sobie głowę kronikarzem swego dziadka? Emma, której Junior powiedział, aby uważała się za jego narzeczoną, nie widzi więcej powodów, aby robić tajemnicę, i wyznaje z płaczem, że się zaręczyli, że kocha Kóslmana Jablonczayego. Róskhel Bónyay zrazu nie wpada nawet w gniew, bo to, co słyszy, jest tak absurdalne, że tylko macha ręką i oświadcza, że Emma wyjdzie za tego, kogo przeznaczył jej Bóg, a jest niemożliwością, aby jako towarzysza przeznaczył jej właśnie Jablonczayego. Już ona wie lepiej - woła Emma. - Są nierozłączni na śmierć i życie. Teraz babka oburza się i oznajmia, że jeśli jeszcze kiedyś zobaczy młodego Jablonczayego, wyprosi go z domu za to, że zawrócił Emmie w głowie, na co dziewczyna, którą jej stan czyni pobudliwą, krzyczy, że i tak zostanie jego żoną, babka nie zdoła jej w tym przeszkodzić, a zresztą może się dowiedzieć, że młody Jablonczay gwizdże na zjełczałą kronikę starego Gacsóryego, od początku bywał w ich domu tylko dla niej i babka, chce czy nie, musi ją wydać za Juniora, bo nie ma wyjścia. Te słowa, które skierowała do skamieniałej, zdruzgotanej Róskhel Bónyay, przypieczętują los dziewięciorga małych Jablonczaych i sprowadzą nieszczęście na męża i żonę.

Nielegalny ślub miał miejsce 28 kwietnia 1882 roku, legalny 2 września, zgodnie z zasadami bon tonu, po trzech zapowiedziach. Nie ma już żyjącego świadka spotkania obu pań, ale scenę można zrekonstruować. W tej jednej chwili zaważyła się wiara dwóch kobiet, legły w gruzach ich pragnienia, cele i osiągnięcia, Rókhel Bónyay musiała patrzeć na matkę Kóslmóna Jablonczayego z taką samą nienawiścią jak Maria Rickl na tę kobietę, która wychowała Emmę Gacsóry. Ta głupia, egzaltowana podfruwajka ukradła jej syna, awraznim całą dalszą nadzieję, Junior będzie teraz w swoim żywiole, będzie mógł wyrzucać pieniądze garściami, marnotrawić, póki ich starczy. Uczyć, zapewne, nie będzie się już nigdy, pracować także nie, gdyby przynajmniej ta Gacsóry była garbata, trzymałaby klucze od skrzyni z pieniędzmi, aby, gdy braknie forintów, nie zostać na lodzie; ale jest ładna, tak ładna, że to osobna zniewaga, trzy Parki będą przy niej wyglądać jak trzy mole. Senior, który w Sórret zaczyna chorować, jest w oczach Marii Rickl równie wstrętny jak syn, którego utracił; martwy Senior, martwy Junior i oby martwą była również ta dziewczyna, która sprowadziła na nich to całe nieszczęście, która uwierzyła zakłębom zakłebanego smarkacza, rozpustna wnuczka kalwińskiego kaznodziei. Nie chce ich widzieć nigdy więcej, nie przyjedzie na ślub, Emma nie zostaje przedstawiona w domu przy ulicy Kismester, a gdy wreszcie dochodzi do poznania, tylko trzecia Parka skłonna jest z nią rozmawiać. Ślubowi Emmy Gacsóry we wspaniałym kościele jej dziadka, gdzie kazanie wygłasza wielebny Benjśmin Csónki, towarzyszy niekompletny orszak weselny, bo nie ma tam Jablonczayów, tylko Senior, któremu już wszystko jedno i który na tę godzinę, aby zrobić przyjemność pięknej synowej i ukochanemu, postrzelonemu synowi, ubiera się w czarny, uroczysty strój węgierski. Jest piękny wrześniowy dzień, promieniejąca podwójną siłą witalną narzeczona uśmiecha się, jest bogata, niezależna, a matczynym przekleństwem Marii Rickl i lodowatą postawą Rókhel Bónyay, która już nigdy przy niej nie stanie, jak gdyby umarła, przejmują się tyle co chmurką, która przepływa nad kościołem. Połyskują empirowe ozdoby, aksamit barierki otaczającej Stół Pański ma kolor owocu granatu, hrabia Hektor, który przynosi dispensę debreczyńskiej plebanii na zawarcie ślubu według obrządku kalwiń-

skiego - nowy cios w serce Marii Rickl - stoi nieco zakłopotany, gdy pastor czyta im słowa apostoła Pawła o miłości. Spośród jego dawnych przyjaciół i kompanów do szklanki tylko jednego przywiodła na ślub w Fuzesgyarmat ciekawość: stoi tu młody kupiec Leidenfrost i jego wzrok zatrzymuje się na rozpalonej z podniecenia twarzy czternastoletniej dziewczynki, Grzscbet Gacsry. Jeden ze świadków, aptekarz Gyula Korniss, stoi za Emmą, drugi - ziemianin z Szeghalom, przyjaciel Seniora, József Borsody - za Kślmśnem. Junior automatycznie notując w pamięci słowa kaznodziei, że miłość wiele wybacza i trwa wiecznie - myśli o tym, że matka go przekłęła, że nie może już nigdy wejść do swego domu, najwyżej gdy Gizella nocą otworzy mu okno. Ale po kiego licha miałby jechać do domu, przynajmniej na razie? Emma jest bogata, jej olbrzymi majątek to tłusty czarnoziem pierwszej klasy, ma też mnóstwo gotówki - rankiem w dzień ślubu babka bez komentarzy oddała mu za pokwitowaniem zadziwiająco wielki spadek Emmy Gacsry i dodała też, że mają do dyspozycji dom. Tylko bowiem ze względu na chorobę jej córki Emilii przeniosła się przed laty do Gacsrych, aby służyć pomocą zięciowi i wychować dziewczynki. Ich własny dom stoi pusty już niemal od czternastu lat, dziś, gdy tylko skończy się uczta weselna, ona znów w nim zamieszka. Cały majątek swej żony otrzymał dziś rano i Rśkhel Bśnyay, z suchymi oczami i bez uwag poprawiając welon i wianek Emmy, zakończyła swą wypowiedź słowami, że gdyby nawet miała ujrzeć któreś z nich zebrzące na ulicy, nie dostaną ani filiera więcej. Nic już się im nie należy.

Na córkę Kśrolya Gacsryego czekała po powrocie z podróży poślubnej bogata wyprawa; przyjaciele z Fuzesgyarmat i dalsi krewni mieli nadzieję, że zgodnie z przyjętym obyczajem będą ją mogli obejrzeć, ale Rśkhel Banyay nikogo nie zachęcała do oględzin, tylko Erzscbet, nieprzytomna z przejęcia, szperała w świeżo przysłanych rzeczach starszej siostry; Erzsebet, która oplakała wyjazd Emmy, miała wrażenie, że wraz z nią zniknęły z domu radość i pogoda. Dziewczynka wiedziała wszystko o okolicznościach pospiesznego ślubu, a pierwszą informatorką była sama Emma, z którą, chyba właśnie przez to ich sieroctwo, były bardziej zżyte, niż to zazwyczaj bywa wśród sióstr. Erzse-

bet denerwowała się, przeżywała wraz z Emmą każdą fazę tego lata, a ponieważ Emma była raczej wniebowzięta niż przerażona, wyniosła z tego okresu przeświadczenie, że tylko w ten sposób można się oddać jakiejś namiętności, w takiej gorączce, jako ofiara takiej nawałnicy uczuć, i jeśli do tej pory nie zwracała uwagi na młodych ludzi, to teraz sama z tego właśnie punktu widzenia zaczęła oceniać przez wychodzące na ulicę okna przechodniów, rozważając, który z nich mógłby obudzić w niej takie zainteresowanie jak Kalman w Emmie; pod wpływem opowiadań i dość naturalistycznych wynurzeń Emmy zaczęła Erzsebet interesować się sprawami, które dotychczas nie istniały w jej myślach.

Nawiasem mówiąc, okoliczności towarzyszące małżeństwu siostry poznała z ust babki, Rakhel Bśnyay nie zawahała się poinformować czternastoletniej wnuczki o tym, co się wydarzyło. Stara kobieta powiedziała jej: Emma nie jest już przyzwoitą panną, tylko dla pozorów muszą z nią utrzymywać stosunki, aby na nią, Erzsebet, nie padł nawet cień podejrzenia. Jeśli nie będą się pilnować, fałszywy krok Emmy może zmarnować także szanse niewinnej Erzsebet. Niech sobie jednak zapamięta, że gdyby nie ona, Erzsebet, którą babka chciałaby w swoim czasie uczciwie wydać za mąż zgodnie ze swymi planami, to zerwałyby z Emmą wszystkie kontakty; ani Gacsaryowie, ani Sirówie, ani Banyayowie nie utrzymywali nigdy stosunków z wyuzdanymi niewolnicami ciała. Dlatego tylko młodsza siostra mogła oglądać wyprawę Emmy, a mieszkańcy Fiizesgyarmat doszli do wniosku, że ten nietakt jest właściwie kontynuacją wszystkich dziwactw, które miały miejsce w związku z małżeństwem Emmy Gacsary. Mieszkańców Fiizesgyarmat również wychowano według książki Róży Kalocsy, tak samo więc jak Rśkhel Banyay wiedzieli, że nie należy zbyt pochopnie wychodzić za mąż, przyspieszenie terminu ślubu daje powody do domysłów, zaś Emma Gacsary ledwo w kwietniu zdążyła poznać młodego debreczyńczyka i, zanim miasto zdołało się połapać, co w trawie piszczy, już wyczytano zapowiedzi, a zaręczyn po prostu nie było lub, jeśli były, to w tak szczupłym gronie rodzinnym, że nie zaproszono nawet sąsiadów. Róza Kalocsa napisała, jak należy się zachować, jeśli rodziny narzeczonych nie znały się dotąd bliżej: w takim przypadku pierwszą wizytę

powinna złożyć rodzina narzeczonego, a przecież nikt w Fuzesgyarmat aż do dnia ślubu nie widział starszego Jablonczayego, zaś przyszła teściowa nie pokazała się nawet w kościele, co więcej, poczmistrz nie wiedział też nic o obowiązującym w takim przypadku liście, którego można by się spodziewać po Kśłmsnowej Jablonczay i w którym, jak nakazuje obyczaj, powinna była powitać Emmę jako przyszłą córkę. Nikt nie wiedział, kiedy i w jaki sposób oświadczono się o dziewczynę, niekompletny orszak weselny otworzył ostatecznie tamę nawet nie tyle złośliwym, co spłoszonym domysłem: Gacs£rych lubiono w mieście, nie było przyjemnie patrzeć na zatroskaną twarz milczącej, prostej jak trzcina starszej pani i przykry był też widok rozpalonej Emmy, w radości i ogniu tej dziewczyny kryło się coś niedobrego i niestosownego.

Wyprawa Emmy Gacsary przybyła z debreczyńskiego sklepu Lajosa Vśrady-Szabó. Dla młodej mężatki, która wróciła z Wiednia i Paryża, przysłano następujące rzeczy: trzy tuziny koszul,

dwa tuziny damskich majtek, ozdobionych suto haftami i wstawkami, '
dwadzieścia suto zdobionych spódnic, wśród nich także z trenem,
dwa tuziny kaftaników nocnych, dwa peniuary,
sześć tuzinów chusteczek do nosa,
dwa tuziny podwójnych kompletów bielizny pościelowej,
sześć dużych i trzy małe poduszki,
trzydzieści sześć prześcieradeł,
dwie kapy gobelinowe,
jedna serweta na stół,
osiemnaście czepków nocnych,
sześć obrusów i trzydzieści sześć serwetek na co dzień,
sześć obrusów z serwetkami na rozmaite okazje,
siedemdziesiąt dwa ręczniki,
sto osiem ścierek kuchennych,
cztery duże i cztery mniejsze dywany,
firanki koronkowe na osiem okien,
trzy kołdry atlasowe z monogramem,
trzy atlasowe pierzyny,

trzy piernaty, cztery poduszki dla służby, dwie kołdry dla służby, jeden tuzin bielizny pościelowej dla służby, dwa tuziny ręczników dla służby. Ze szczegółami wyprawy spotykamy się w osobliwym miejscu: w twardo oprawionym tomiku wierszy Kálmána Jablónczayego. Ta sama ręka, która kazała ciągnąć wróżbę białej myszce, która pisała: „Nic nowego, całe popołudnie czytałam, a bohaterem powieści jesteś ty. Znów zaczynam się bać wieczoru, ale uspokaja mnie świadomość, że dotrzymasz obietnicy”, liczy później brudną bieliznę i nie znajdując pod ręką odpowiedniego papieru, bo książki gospodarskiej, jak Maria Rickl, nie ma, nigdy nie miała i mieć nie będzie - Emma Gacsírny nie nadaje się na gospodynię -- bierze zbiorok wierszy męża, który wydaje się odpowiedni, żeby w nim coś zanotować. Gdzie się już wtedy podzielała ta miłość, to uczucie, które przewyciężyło cały wstyd, obyczaj, wychowanie i połączyło ją z tym debreczyńskim młodzieńcem, który umiał nawet pisać poezje! Emma już dawno przeczytała treść zeszytu, który nigdy nie powinien był dostać się w jej ręce, ale Kalman Jablónczay nie miał dość siły, aby zniszczyć, ani dość rozsądku, aby przynajmniej schować swoje utwory, i Emma wie już to, czego wiosną 1882 roku nawet nie podejrzewała. Wie, kim jest Muki Darvasy i jak erotyczna wyobraźnia, szukająca wciąż nowego ideału, gnała go od jednej panny do drugiej. Tak więc na jednej ze stron brulionu w sztywnej okładce, między wierszem do Margit Csanak a wierszem do liki Guttmann, wpisuje wyrok śmierci na ich małżeństwo:

Pranie, 28 października:

trzy prześcieradła,

osiem obrusów,

osiem serwetek,

siedem poszewek na poduszki,

trzy podpinki na kołdry,

sześć ręczników,

dwadzieścia jeden damskich koszul, dwadzieścia dwie męskie koszule, jedenaście par majtek,

szesnaście spódnic, szesnaście chustek do nosa, czternaście par pończoch, osiem par onuc, trzy ścierki do kurzu, trzy ścierki kuchenne, siedem par kałesonów.

Ani Maria Rickl, ani Róskhel Bányay nie spodziewały się niczego dobrego po tym małżeństwie, a przecież świadomi swej winy bogowie uśmiechali się tego dnia, kiedy zostało zawarte.

Panna jest piękna i bogata, młodzieniec zakochany, lubi też ziemię i, jeśli w ogóle zna się odrobinę na czymkolwiek, to właśnie na gospodarce, przecież tyle czasu spędził w majątku Jablonczaych. Gdyby spośród nich dwojga przynajmniej jedno miało zdrowy rozsądek, mogliby się uratować przed tym, co ich czeka. Ale Senior, który mógłby im poradzić, który lubi synową i jest bezstronny, teraz już gwałtownie podupada na siłach, zaś Maria Rickl nie rozmawia z synem i nie chce nawet poznać synowej. Maria Rickl nie rzuca słów na wiatr i, skoro oświadczyła, że nie dopuści do znajomości swoich uczciwych córek z tą kalwińską rozpustnicą, to oznacza, że nie ma powrotu do domu przy ulicy Kismester. Juniora zrazu nie martwi to wygnanie, Paryż i Wiedeń przynoszą tyle nowych wrażeń, a wzorowa gospodarka Róskhel Banyay tak niewyczerpane, wydawałoby się, zasoby gotówki, że 16 listopada 1882 roku zapisuje w dzienniku: „Rozmawiam z żoneczką w ciepłym pokoju. Jestem szczęśliwy i niezależny.” Pośrodku szaroniebieskiej kartki kaligrafuje swoje nazwisko, pod nim kwiat z dwoma listkami, a poniżej: „Moja kochana Emma.” Na tej samej stronie dziennika przybywają 11 listopada 1906 roku nowe słowa: „Jakże nędzne stało się życie po 24 latach. Żona mi się skurwiła i wegetuję sam.” Przyszłość w dniu 16 listopada 1882 roku okryta jest jeszcze mrokiem, Junior pławi się w szczęściu i z łatwością znosi rozłąkę z Parkami, z Imre Bluzniercą oraz złe wieści, których wyklętemu idolowi dostarcza wierna Gizella- -Melinda: Senior nie może już chodzić bez laski, a gdy idzie, jakoś dziwnie wyrzuca nogi. Część majątku Emmy, którą tak sa-

mo jak część majątku Erzsebet oddano w dzierżawę za połowę plonów, mogłaby zapewnić taki dochód, że przy minimalnym staraniu można by go nie tylko utrzymać, ale i powiększyć: K&lman jednak, jak gdyby w jego żyłach nie płynęła ani jedna kropla kupieckiej krwi Anselmusów, daje dzierżawcy wolną rękę, czego Rakhel Banyay nigdy nie robiła, i wraca do Fuzesgyarmat jedynie po to, by wypocząć po hulankach. W Peszcie życie jest bardziej podniecające i, dopóki pozwala na to stan Emmy, oboje biorą udział we wszystkich rozrywkach, chodzą do opery, do teatru, do kasyna, bywają na wyścigach konnych, grywają w karty, Emma potrząsa ciemnymi lokami i jest tak zalotna i roześmiana w swych kosztownych koronkach niczym Violetta Verdiego. Kiedy zaś zabawy zaczynają ją już męczyć, wracają do Fuzesgyarmat, Rakhel Banyay asystuje przy narodzinach wnuka, Erno Jablonczayego, „wczesniaka”, który przychodzi na świat po niecałych ośmiu miesiącach. Babka bierze też udział w chrzcinach, wniebowzięta Erzsebet niańczy malutkiego siostrzeńca, na chrzciny nie przyjeżdża nikt z zaproszonych debreczyńców, tylko Leidenfrost, który był także obecny na ślubie i któremu na tej osobliwej uroczystości rzuciła się w oczy niezwykła uroda Erzsebet Gacsary. Leidenfrost zostaje jeszcze parę dni po weselu, ale Rakhel Banyay pilnuje, aby nawet na chwilę nie zostawić go sam na sam z młodszą wnuczką, od której młody człowiek wprost nie może oderwać oczu. Leidenfrost jest katolikiem, poza tym krewnym Ricklów, nie uda się im jeszcze raz wyprowadzić jej w pole, nikt więcej pod żadnym pozorem nie wkradnie się do jej domu. Stosunki między domami Gacsarych, Jablonczaych i Sirów, których nie zrywa się właśnie ze względu na Erzsébet, cechuje z obydwu stron powściągliwa uprzejmość, Emma jest obrażona, że Róhel Bányay patrzy na nią jak na powietrze, a także dlatego że nie zostawia jej nawet na chwilę sanie j z młodszą siostrą - jak gdyby była trędowata¹. Kalm&n pisze drwiące epigramy o babce żony i odczytuje je Emmie.

Gdy Ernóke ząbkuje, babka często pomaga uspakajać marudzące dziecko, Emma ciągle po nią posyła lub biegnie z maleństwem sama, oczywiście ząbkowanie małego to tylko pretekst. Emma, nie wiadomo skąd, jest urodzoną matką, ma

wrodzony instykt opiekuńczy, ale w inny sposób nie może spotkać się z Erzsébet, a ma do niej bardzo pilną sprawę, którą należałoby omówić: miody Leidenfrost zapłonął miłością i w liście do Kálmána pyta, czy nie mógłby i on wziąć pisklęcia „z tego samego gniazda”. Erzsébet cała w gorączce miota się po kuchni, wszystko leci jej z rąk, Kálmán w imieniu kuzyna i przyjaciela rozmawia ze starszą panią, podczas gdy drżąca szwagierka w wypiekach czai się w sąsiednim pokoju, scena kończy się taką awanturą, że młodzi natychmiast pakują się i wraz z dzieckiem wyjeżdżają z Fiizessgyarmat. Erzsébet w milczeniu przyjmuje to do wiadomości, babka zakleja i otwiera jej listy, starannie rewidując nadchodzące od Emmy przesyłki. Choć Emma znów jest w ciąży, to jednak młodzi, zamieszkawszy z dzieckiem i piastunką „Pod Królową Angielską” w Peszcie, bawią się cały sezon, w lecie wypoczywają nad morzem, a tymczasem Muki Darvasy i Leidenfrost w ożywionej korespondencji planują wyzwolenie Erzsébet z babczynej niewoli. Sposób znajduje popierająca z całego serca małżeńskie plany Leidenfrosta Emma: w dzieciństwie miały swój tajny alfabet, wymyśliły go wspólnie w celu obrony przed czujnością Rakhel Banyay, kreśli więc litery tego alfabetu na karcie z zabawnym widoczkiem, babka i tak nie czytuje zbyt uważnie widokówek, no bo cóż takiego można napisać na odkrytej karcie? Bohomazy donoszą wzruszonej Erzsébet: Paczka. Od Emmy często przychodzą paczki, Erzsébet czeka teraz z bijącym sercem, czuje, że cokolwiek znajdzie w paczce, odbije się to na całym jej życiu. Emma przysłała młodszej siostrze peniuar, a pod podszewką zaszyty jest list hrabiego Hektora: niech będzie gotowa. Emma, aby urodzić drugie dziecko, którego spodziewają się w połowie listopada, przyjedzie wkrótce do domu, a wtedy on, hrabia Hektor, pomoże nieprzytomnemu wprost z miłości Leidenfrostowi w osiągnięciu celu. Jablonczayowie przyjeżdżają w pierwszym tygodniu października z małym Ernó i piastunką do domu Gacsarych w Fiizessgyarmat, Leidenfrost jest już wtedy w Szeghalom. Zakochani mają możliwość zamienić ze sobą parę słów dzięki temu, że do ukrywającego się w domu Gacsarych Leidenfrosta, Muki Darvasy przemycą szwagierkę, którą przyprowadza babka, aby w jej obecności spotkała się ze starszą siostrą. Po raz ostatni Junior próbuje wspomnieć o ewentual-

małżeństwie Erzsebet, Ríkhel Banyay oświadcza, że jej U u Jablonczay ch po ostatniej beczelnej I gdyby nie to, że powinna uważać na Emmę, która czeka rozwiązania, o Leidenfroście zaś nic chce nawet słyszeć. Jeśli Junior nie ma ochoty, aby powtórzyła się tamta nieprzyjemna scena, niech zmieni temat. Hrabia Hektor i Leidenfrost decydują się więc; to, co umyślili, Hektor uważa za doskonały żart: Armin Leidenfrost jeszcze tej samej nocy porwie dziewczynę powozem Juniora. W Fuzesgyarmat nie mogą się pobrać, całkiem wykluczone, aby udało się im nakłonić następcę wielkiego \stv&na Gacsaryego do jakiegokolwiek naruszenia przepisów, ale w Debreczynie na pewno da się wszystko od razu załatwić. Kościół Świętej Anny jest rodzinnym kościołem Leidenfrost ów, Jablonczaych i Ricklów, tam choćby pojutrze mogą zostać mężem i żoną, a wtedy starsza pani może robić, co zechce. Muszą się spieszyć, tym bardziej że wkrótce zjawi się już nowe dziecko, a oni mają być rodzicami chrzestnymi. Muki oczywiście, jak zawsze, tak i tym razem jest w błędzie twierdząc, że uciekinierzy mogą się natychmiast pobrać, wielbny ksiądz żąda od szesnastoletniej zaledwie narzeczonej zgody rodziców bądź opiekunów. Erzsébet dygocząc cały czas ze strachu czeka u Simonffych, krewnych babki Leidenfrosta, na wieści z Fuzesgyarmat. Ríkhel Bányay nie każe im zbyt długo czekać. Zgodę na zawarcie związku małżeńskiego przywozi hrabia Hektor, to on jest jednym ze świadków na ślubie młodej pary. Właściwie Hektor jest rozczarowany, Ríkhel Bányay rankiem po ucieczce, kiedy znalazła list pożegnalny Erzsébet. nie przyszła do nich, o nic nie prosiła ani nie pytała. Gdy na prośbę Leidenfrosta Muki zebrał całą odwagę i ośmielił się do niej pójść, zastał starszą panią przy codziennych zajęciach, także jego powitanie przyjęta jak zwykle, nie zrobiła żadnej uwagi na temat wnuczki czy Leidenfrosta, tylko powiedziała, z którym adwokatem mają nawiązać kontakt w sprawie przejęcia majątku Erzsébet.

Ceremonia odbywa się w kościele przy ulicy Świętej Anny i asystuje przy niej już więcej członków rodziny -- drugim świadkiem narzeczonego jest Geza Rickl -- i jeśli nawet mieszkańcy domu przy ulicy Kismester demonstracyjnie ignorują ślub. to jednak ktoś spośród nich kryje się w mroku kościoła:

■
Melinda-Gizella. Pierwsze publiczne wystąpienie młodej pary to chrzciny drugiego dziecka Juniora i Emmy Gacsńry, urodzonej 17 listopada 1884 roku Lenkc Jablonczay: są jej rodzicami chrzestnymi.

Mieszkają w domu Gacsńrych, stamtąd wśród dzikiej wichury niosą starannie otuloną jasnowłosą dziewczynkę do kościoła jej dziadka. Erzsébet po przyjeździe próbuje zobaczyć się z babką, ale Rakhel Bśnyay nic wpuszcza jej do domu. To, o co dbała przed i po ślubie Emmy, nie obchodzi jej już, stoi niewzruszona w progu cała w czerni i na zawsze wypędza młodszą wnuczkę ze swego domu, który zhańbiła ucieczką. I zarazem każe też przekazać Emmie, że i jej nie chce już widzieć. Nie chce nawet zobaczyć noworodka; podczas gdy nad jasną główką Lenkc Marii Jablonczay rozbrzmiewają słowa ceremonii chrztu, do namiętnej nienawiści babki z ulicy Kis- mester dołącza się namiętna nienawiść prababki z ulicy Nagy w Fuzesgyarmat.

Zaledwie Emma staje na nogi, hrabia Hektor natychmiast daje sygnał do wyjazdu: z powrotem, jak najprędzej z powrotem do cudownego, olśniewającego Pesztu! Nie jadą sami, lecz tym razem w towarzystwie nowożeńców, dla Leidenfrostów będzie to podróż poślubna pod wielkodusznym patronatem Jablonczaych. Leidenfrostowie, onieśmieleni w pierwszej chwili ogromną sumą pieniędzy, jaką dostali do rąk - zwłaszcza wciąż jeszcze zgnębiona zachowaniem babki Erzsébet - w zaskakującym tempie przywykają do nowego życia, oni też lokują się „Pod Królową Angielską” obok Jablonczaych, a młoda pani Emma z wyższością i pewnością siebie prowadzi młodszą siostrę po salonach fryzjerskich i salonach mód. Erzsébet po raz pierwszy w życiu włącza się w prawdziwie „wielkoświatowe” życie, Leidenfrost, który dopiero zaczął parać się kupiectwem, zostawia sklep pod opieką matki i również po raz pierwszy bierze udział w pasjonujących, zapierających dech bataliach karcianych, po raz pierwszy gra na wyścigach i poznaje złotą młodzież peszteńską. Wszyscy są szczęśliwi, wszyscy doskonale się bawią, dobrze im się żyje, nawet piastunce, bez której Emma nigdy nie wyjeżdża, ale na którą nigdy też nie zrzuca najważniejszych czynności. Sama karmi dzieci, nawet gdy oczy kleją się jej do snu, a gdy któreś z nich niedomaga, ucieka z teatru, od

zielonego stolika i pędzi do domu. Trzecią ciężę znosi wyjątkowo źle, choć świetnie się czuła oczekując Erndke i Lenke. Mała Emma, która wita świat w październiku 1886 roku w Fiizesgyarmat - Emma znów jedzie rodzic do domu - wydaje pierwszy krzyk pod nieobecność ojca, co więcej, nie ma przy Emmie nawet Leidenfrostów, Erzsébet tymczasem sama została matką, a Leidenfrost, choć dawniej szydził z tego powodu z hrabiego Hektora, nie wstydził się jednak stanąć za ladą sklepu w Debre- czynie. Nawiasem mówiąc, Emma sama prosiła męża, aby troska o nią nie powstrzymywała go od nagłego wyjazdu, dwa razy poród poszedł gładko, dlatego teraz miałyby być inaczej, > niech sobie jedzie do Pesztu, skoro aż tak ważna jest dla niego ta rewanżowa partia kart. Emma zgodziłaby się na wszystko, byle tylko nie widzieć w oczach Juniora tego smutku, który gości w nich coraz częściej: K&lmśnowi brak żelaznej ręki Marii Rickl, jej dawnej miłości, brak mu Seniora, a nawet Bluźniercy i Debreczyna, za Debreczynem bardzo tęskni, bo tam nawet wiatr jest inny i inaczej też świecą gwiazdy. Emma ma wrażenie, że K&lm&en poświęcił się dla niej, więc zasługuje na wszystko, niech nie mówi, że stała mu się w życiu ciężarem. Junior wyjeżdża, oczywiście nie do Pesztu, lecz do Debreczyna, ma do uregulowania dług honorowy i musi choćby spod ziemi wytrzasnąć pieniądze dla jednego z członków entego już w jego życiu tajnego stowarzyszenia. Na temat tego człowieka nie pozostały żadne dane i nie wiadomo, jaki nosił pseudonim przy bakaracie czy szmendeferze, gdzie przegrywał i wygrywał astronomiczne sumy. Gyula Szikszay, jego szwagier, na którego pożyczkę Junior tak bardzo liczy, mówi ze wstydem, że nie może mu pomóc, Maria Rickl, broniąc interesów swej córki Margit, co tydzień sprawdza konto w banku, suma, której potrzeba Mukie- mu, jest tak olbrzymia, że znikąd nie uda mu się jej zdobyć. O tym, czego się należy spodziewać w najbliższej przyszłości, mówi Junior wierszem nad kołyską malej Emmy przywłókszy się do domu jak zbity pies:
Balem się, że mózg mi pęknie, a wciąż w gniewie kląłem: -- Kpie, tyś z tych osłów, które łążą nie na nogach, lecz na łbie.

Dołki, grób pod sobą kopią, a tu jeden, patrzcie kpa, pod licytacyjny młotek mimo woli sam się pcha.

W ciągu czterech lat Kślmśn roztrwoni! całą ich gotówkę, a pożyczki brane na hipotekę oddanego w dzierżawę majątku urosły do takiej sumy, że nie można już uniknąć licytacji, jeśli Junior chce spłacić długi zaciągnięte na pokrycie szaleńczych hulanek. Kślmśn płaci po raz drugi w życiu, po raz pierwszy zapłacił symbolicznie: własnym nazwiskiem, za czystość imienia Emmy Gacsśry, ale to, co dal wtedy, było jego własnością. Natomiast to, czym teraz ma ratować swą sytuację, nie należy do niego, lecz do Emmy, która w pierwszej chwili patrzy na męża znad kołyski drugiej córki i słucha wierszy nic opiewających tym razem jej koralowych warg i alabastrowej skóry, nie pojmując właściwie, co się stało. W momencie kiedy to do niej dociera, inna Emma spogląda w twarz Kślmśna Jablonczayego, to już nie dawna szalona dziewczyna. Emma ma troje dzieci, którym lekkomyślność Kślmśna Jablonczayego usunęła grunt spod nóg - tę ziemię, która tak szczerze zaopatrywała we wszelkie dobra wielką rodzinę Gacsśrych. W tym samym czasie grom uderza także w dOm Leidenfrostów, telegram wzywa ich bezzwłocznie do Fuzesgyarmat, Erzsebet bierze ze sobą maleńkiego Gyulę sądząc, że to babka na łożu śmierci chce jej wybaczyć. Ale przyjmuje ich tylko zapłakany Muki Darvasy: poza długiem honorowym ma jeszcze niezliczoną ilość weksli do wykupienia, a na wszystkich poręczycielem jest szwagier. Czy więc Leidenfrost nie mógłby za niego zapłacić? Mógłby, ale jeśli to zrobi, oni też stracą cały posag Erzsćbet i trzęsienie ziemi pochłonie nie tylko Jablonczaych, ale także ich. Erzsebet chwytając synka na ręce biegnie z płaczem przez całą ulicę Nagy do babki po radę, pomoc, Rśkhel Banyay komunikuje jej przez okno, że, jak to już w swoim czasie powiedziała, dostali wszystko, co się należy, i nie ma zamiaru dokładać do tego choćby krajcara. Niech to wszystko, na co pracowały całe pokolenia, idzie pod młotek, może po licytacji panowie Jablonczay i Leidenfrost pójdą po rozum do głowy, spoważnieją i nauczą się utrzymywać rodzinę z pracy własnych rąk. W domu Emma zupełnie traci głowę, kiedy pojmuje, że Rśkhel Bśnyay

nie pomoże; dom Gacsarych rozbrzmiewa płaczem obu sióstr i wzajemnymi wyrzutami szwagrow. Majątek sióstr rzeczywiście idzie na licytację, Jablonczayom nie zostaje nic, Leidenfros- tom zaledwie to, z czym wystartowali: sklep w Debreczynie, z którego nagle odpłynął cały kapitał. Dobre stosunki pomiędzy szwagarami ulegają na pewien czas ochłodzeniu, Leidenfrost długo nie może przebaczyć Juniorowi, że wciągnął go za sobą w to szaleństwo, potem jednak łagodnieje. Leidenfrost jest dobrym chłopcem, jeśli nawet narzeka, nie potrafi długo chować urazy i, tak samo jak po urodzeniu Lenke, znów zgadza się zostać ojcem chrzestnym. Teraz już naprawdę jedynym oparciem prawnika dawnego oficera austriackiego jest lada kupiecka, skończyło się przelotne królowanie, gdy w karnawałowym orszaku Juniora rozkoszowali się urokami życia - na szczęście jego małżeństwo przetrzymuje ten cios. Leidenfrost tłumaczy Erzsebet, że nie warto płakać za czymś, czego już nie można odzyskać, niech więc przystosuje się do skromniejszych warunków, niech liczy każdy grosz, a śmiało pójdą naprzód, od samego początku ucząc dzieci pracy. Ich mądrzy, chętnie uczący się synowie znają już majątek swojej matki tylko z opowiadań, Leidenfrost macha ręką, gdy rozmowa schodzi na temat dawnego bogactwa żony, i od świtu do nocy pracuje w coraz lepiej prosperującym sklepie. Jest zresztą jedynym człowiekiem, który za każdym razem próbuje pomóc Emmie, ilekroć ta zwraca się do niego, który akceptuje jej istnienie, przyjmuje ją w swym domu i nawet lubi Emmę Gacsáry. Junior zawsze w towarzystwie mówił o swym szwagrze Arminie z lekką pogardą, że to zacy człowiek, tylko niestety brak mu fantazji. Po licytacji, która zabiera nawet stary dom Gacsárych - Róskhel Bónyay nie bierze w niej udziału, pozwala, aby dostał się w obce ręce -- w ciągu tych czterech tygodni, kiedy wolno im jeszcze mieszkać w cudzym już domu, K&lmšn Jablonczay wyjeżdża do Pesztu, reguluje długi i nikomu nie zdradza, jaką cenę zapłacił za swój honor. Dawni kompani zapraszają go na karty, ale odrzuca propozycje, wymawiając się nowo narodzoną córeczką i słabą jeszcze żoną, i gdy zgnębiony łamie sobie w hotelu głowę, co począć, przychodzi mu na myśl, że jeśli nawet świat się zawalił, to jednak ma kogoś, kto choćby nawet sto razy go przeklął i kazał mu zejść sobie z oczu, przecież mu

pomoże, bo wciąż go kocha. Pisze do Debreczyna, zawiadamia o narodzinach małej Emmy, własnym nieszczęściu, tragedii spowodowanej jego lekkomyślnością, błaga o wybaczenie i rozpaczliwie prosi, aby matka uratowała jego, Emmę i maleństwa, z których najmłodsze przez ten straszliwy cios jest jeszcze poganinem, nie mają bowiem nikogo, kto zgodziłby się podawać je do chrztu. Musi czekać na odpowiedź, bo pizy ulicy Kismester wolno rodzą się decyzje: przywozi ją osobiście Melinda, przeznaczona na matkę chrzestną, doskonała zarówno jako pośredniczka, jak i szpieg, a towarzyszą jej pokojówka Agnes i sublokator Marii Rickl, pan Pap. Emma uszczęśliwiona rzuca się jej na szyję, Melinda-Gizella ogląda sobie dokładnie szwagierkę i stwierdza w duchu, że nigdy jeszcze podobne stworzenie nie przekroczyło progu domu przy ulicy Kismester, jak również, że osobiste poznanie tylko wzmacnia w niej tę niechęć wobec uwodzicielki brata, która się do niej uśmiecha i potrząsa nieprawdopodobnym gąszczem włosów. Melinda i pan Pap ratują małą Emmę od pogaństwa, potem Melinda wyraża chęć porozmawiania z bratem, który ogłuchł i oślepl dla żony, odkąd ujrzał siostrę wysiadającą z powozu zaprzęzonego w konie z Pallag. Emma patrzy zazdrośnie, jak brat i siostra trzymając się pod ręce znikają w jednym z dalszych pokoi, wie, że Melinda mogła przywieźć tylko dobrą nowinę, jakieś wyjście, ratunek, ma jednak złe przeczucia. Potem uspokaja się, bo twarz męża, kiedy ten do niej wraca, jest samym blaskiem, a po obiedzie, gdy Melinda odpoczywa, oznajmia jej szczęśliwą wieść: matka po tylu latach skłonna jest go przyjąć, pogodzić się z nim, nie umrą z głodu, Maria Rickl wszystko urządzi, on teraz pojedzie z Melindą do domu, aby omówić szczegóły. Z twarzy Emmy znikają chmury, wiruje w kółko z trzyletnim Ernóke i dwuletnią Lenke i śpiewa, następnego dnia powiewa chusteczką za powozem, Kślmśn wymachuje kapeluszem i zlc przeczucia wracają dopiero wtedy, gdy czternastoletnia, lecz jakby pozbawiona wieku Melinda nie kiwa jej nawet ręką na pożegnanie, tylko spogląda za siebie z jakimś kwaśnym uśmiechem na twarzy. „To było takie komiczne, patrzeć na twoją matkę - opowiadała później Gizella-Melinda Lenke Jablonczay. - Cieszyła się. Tylko że ja najlepiej wiedziałam, czy ma powód do radości. Czy ma na co czekać. Dobrze znałam moją matkę.”

Wspomnienie wizyty Kalm&na w Debreczynie zachowała w pamięci trzecia Parka tak jak wszystko, co dotyczyło uwielbianego brata. K&lman z płaczem wpadł do bramy domu przy ulicy Kismester i, w chwili kiedy stanął przed matką, zapewne sam święcie wierzył, że popełnił głupstwo, trzeba mu było słuchać tej, która jest od niego mądrzejsza, która zna go lepiej nawet niż on sam i od razu wiedziała, jak głupio robi, żeniąc się w tak młodym wieku. Jest nawet trochę zły na żonę, jak gdyby to ona przepuściła majątek Gacsarych, a nie on, i jak gdyby to Emma odebrała mu cnotę, a nie on ją uwiódł. Maria Rickl nieskończenie często wyobrażała sobie to spotkanie, chwilę, w której stanie przed nią może obdarty, wygłodniały syn marnotrawny, gdy jednak dochodzi do spotkania, czuje wzruszenie. Marnotrawca jest wprawdzie ubrany zgodnie z najnowszą modą, a w jego krawacie błyszczą szpilka z drogim kamieniem, a e Marnotrawca płacze i, jak niegdyś dla jednej dziewczyny zapierał się drugiej, - .tak teraz zapiera się żony, żeby tylko dostać pomoc, nie do zniesienia jest to brzemię, które mu ciąży, w domu płacze trójka małych dzieci, a zapłakana żona wymawia mu tę absurdalną sytuację, w której się znalazła -- Emma Gacsary nigdy nie zaznała niedostatku--więc nieruchome od lat matczyne ramiona jednak się otwierają. Ten chłopak to lekko- duć, gracz, nie można mu zaufać, spełniły się jej wszystkie najgorsze przeczucia, ale to jednak jej K&lm&nek, jej przekleństwo i szczęście; postąpił źle i już widzi, dokąd prowadzi droga oddalająca go od niej, to ta dziewczyna przywiodła go do upadku, Emma Gacsary, której zresztą nigdy nie widziała, przy mądrej, rozsądnej żonie mógłby się stać człowiekiem. K&lm&sn uskarża się, że nikt nie chce mu pomóc, nawet okrutna babka jego żony, i jeśli mama nie stanie przy nim, ma jeszcze sztucer. zastrzeli Ernóke. Lenke. Emmuskę, Emmą i wreszcie skończy z samym sobą. Maria Rickl nie wierzy w ani jedno słowo, ale wie, że znów trzyma w garści koniec liny, która przyprowadzi do stajni zbłąkanego konia; jeśli mu teraz pomoże, K&lm&sn już zawsze będzie jej własnością, całe szczęście, że brał ślub według obrządku kalwińskiego, to nawet nie małżeństwo, tylko konkubinat, jeśli rozwiedzie się z Emmą, będzie mógł ożenić się ponownie, a jeśli chodzi o dzieci, trzeba się będzie zastanowić. Nowej zdrady już jednak nie przebaczy, niech sobie to K&lm&sn

dobrze zapamięta. Tym razem mu jeszcze pomoże, jedna z Parek już wyfrunęła, druga też wyfrunie, trzecia tak czy owak zostanie jej na karku, tej już wszystko jedno, na szczęście nie rozniosły się po Debreczynie plotki na temat małżeństwa Kalmana, Anselmusowie też nie chwalili się nikomu moralnością Emmy Gacséry, mogą więc tu przyjechać bez wstydu, a dotychczasową powściągliwość będzie się tłumaczyć różnicą wyznań, która oczywiście nie była dla niej powodem do radości. Maria Rickl nie wspomina o swym dalszym celu, o rozwiązaniu tego głupiego, niedorzecznego związku, Kśmśn czuje tylko, że został uratowany. Na krótką chwilę wschodzi słońce nad salonem, który łączy się z tą samą jadalnią, gdzie w szparach między klepkami parkietu tak często będzie szukać zgubionej czerwonej kulki mała Lenke Jablonczay. To dzień triumfu Marii Rickl, Junior z ulgą prosi o coś do jedzenia, z radości podrzuca w górę trzecią Parke, zbiega do kuchni w suterenie, okręca kucharkę, zwaną przez nich ciotką Klari, ciągnie za włosy pokojówkę Agnes, biegnie do pokoju Seniora, aby ucałować mu ręce, potem do klnącego, poza paralizem nóg zdrowego jak rydz Imrego, który wita go wesołymi przekleństwami i frywolnie komentuje swe zadowolenie, że wreszcie pozna piękną żonę wnuka. Chwila, która mogła przesądzić o losie Lenke Jablonczay, znów zatrzymała się w czasie i trwała odrobinę dłużej, niż pozwalałaby na to jej realna treść: w tej chwili wszystko jeszcze mogło się odmienić. Ale postacie tragedii nie zmieniają swych ról. Maria Rickl nie chce dawać, tylko odbierać, a nie widzi ewentualnej sojuszniczki w poniżonej, nieszczęśliwej synowej, która w obronie interesów swoich dzieci potrafi być twarda i surowa nawet wobec męża. Tu na spodziewanego wroga czeka wróg, Maria Rickl każe wysprzątać duży pokój wychodzący na podwórze, a potem zapowiada Klari i Agnes, że służba jest tylko dla nich, dla Jablonczaych, żona młodego pana Kalmana nie może od nich żądać nawet szklanki wody. Jeśli czegoś potrzebuje, niech się sama zatroszczy, pan Kalman i jego żona dostaną tu tylko wikt, który młoda pani sama będzie przynosić z kuchni.

Wracający do Fiizesgyarmat Junior nie wie, co ich czeka w Debreczynie, oczywiście, gdyby nawet wiedział, nie ostrzegłby Emmy. Nie może powstrzymać łez, niech się Emma cieszy, że wszystko tak znakomicie załatwił, będą sobie mieszkać w wiel-

kim debreczyńskim domu, blisko Leidenfrostów, jakże mógł pomyśleć, że Jablonczayowie są tacy sami jak jej straszliwa babka, że im nie pomogą. Ale radość Emmy, gdy po paru dniach pakuje rzeczy swoje i dzieci i to wszystko, co im zostało po zatonięciu okrętu, nie jest już wolna od podejrzeń: wnuczka Daniela Siró i Róskhel Bónyay, z której rozumu był tak dumny dziadek-pedagog, przebudziła się wreszcie, pomaga jej także instynkt matki trojga małych dzieci. Skoro nie chciał jej widzieć nikt poza teściem, gdy była jeszcze bogatą narzeczoną, jakże teraz będzie wyglądało to wspólne mieszkanie? Jakże miałoby wyglądać, uspokaja ją hrabia Hektor, przecież dom jest ogromny, cudowny, otoczony wielkim ogrodem, dostaną osobne mieszkanie. Kiedy powóz, który przywozi ich do Debreczyna, zatrzymuje się przed naprawdę pięknym domem przy ulicy Kismester i otwiera się żelazna brama, Emma przez chwilę ma wrażenie, że może niepotrzebne były te jej wszystkie podejrzania i złe przeczucia. W porównaniu z Fuzesgyarmat Debreczyn jest wielkim, podniecającym miastem, może rzeczywiście wszystko się ułoży, ojciec Kósmóna był dla niej zawsze miły, teściowej nie zrobiła nic złego, dlaczego więc nie miałyby jej pokochać, a wtedy będzie mogła wyglądać każdego popołudnia przez jedno z tych okien, Erzsébet też będzie ją często odwiedzać, znów będą razem jak . za panieńskich czasów. Kósmón prowadzi z jednej strony małego Ernóke, z drugiej Lenke, matka niesie Emmuskę, jedna z siostr wychodzi im na spotkanie i bez uśmiechu wita szwagierkę, notując w pamięci kupioną jeszcze w pięknych wiedeńskich czasach suknię i złocistą woalkę chroniącą twarz od kurzu. Gizella Jablonczay różni się od innych czternastoletnich dziewcząt tym, że nie ma iluzji, wie, że jest brzydka i na pewno nikt jej nie zechce, chlasta więc ostrzem języka zarówno po kobietach jak i mężczyznach, niech ma przynajmniej jakąś rekompensatę, niech się jej boją. I Gdyby ktoś jej powiedział, że kiedy skończy się już ta jej bezfradziejna młodość, pierwszy mąż obecnie dwuletniej, drepczącej obok ojca i roześmianej Lenke rozwiedzie się z jej uroczą bratanicą, aby pojąć za żonę ją, czterdziestoczworoletnią, dwanaście lat starszą od Lenke i brzydką starą pannę, upuściłaby na ziemię swoją córkę chrześną, Emmuskę, którą podała jej bratowa. Kósmón przygotował się na wielką, teatralną scenę, ale nic

takiego nic następuje. Maria Rickl nawet nie dotyka synowej, co więcej, w jej obecności nie całuje też syna, przygląda się trójce dzieci, ale nie kwituje żadną uwagą ani ich urody, ani tego jak są zadbane, tylko oznajmia, że przygotowała im mieszkanie. Niech Emma urządzi się w nim tak, jak uważa za stosowne, i zadba o dzieci. Kślmśn poczynając od jutra zastąpi rządzącą w Pallag, najwyższy czas, aby ktoś zajął się majątkiem zamiast chorego Seniora. Koniec audiencji, Junior z rodziną zajmuje nowe mieszkanie w skrzydle od podwórza.

W domu Gacsśrych do ablucji mieszkańców służyła osobna umywalnia, Emma Gacs.śry w pierwszej chwili nie pojmuje, gdzie się znalazła, kiedy po absurdalnym powitaniu wchodzi do dawnej rezydencji sublokatora. Widzi w niej dwa łóżka i kozetki dla dzieci, stół, komodę, dwa krzesła, żelazny stojak z podwójnym kółkiem, w które wciśnięto miednicę, a na podłodze z desek stoi wyszczerbiony, porcelanowy dzbanek z wodą. Emma Gacsśry była postrzeloną dziewczyną, lekkomyślną, nieodpowiedzialną marzycielką, ale była też mądra. Natychmiast domyśla się wszystkiego, co nie dociera do Kślmśna: łaskawy chleb, który odtąd będzie zmuszona jeść z winy Kślma- na, chcą zmiękczyć jej łzami. Surowość Rśkhel Banyay, która nie umiała powstrzymać wnuczki przed nierozważnym romanssem, odradza się teraz w osobie Emmy: łzy obsychają. Maria Rickl jest świadkiem osobliwego procesu: synowa stawia opór.

Dom przy ulicy Kismester do wiosny 1888 roku przez niemal dwa lata jest sceną teatralnej groteski. Kiedy Emma pojmuje, że nie ma do dyspozycji służby i że zawsze, gdy próbuje wejść do któregoś z pokoi w głównym skrzydle, rozmowa znajdujących się tam osób ustaje, że jej szwagierka Margit, która już sama jest matką, nie uważa za stosowne jej odwiedzić, Ilona nie odzywa się do niej, jakby nie mieszkały w jednym domu, teściowa ignoruje ją od samego początku, i najwyżej Senior, gdy zajrzy do niego, wypytuje o dzieci lub Bluźnierca spod krzaczastych brwi spogląda z sympatią i porozumiewawczo na młodą, ładną kobietę, a także z przekory i miłości do starszego brata rozmawia z nią Melinda; kiedy orientuje się, że Muki w Debreczynie nie tylko nie jest panem domu, ale nawet mężem, jedynie synem swojej matki, że gdy kończy pracę w Pallag, wcale mu się nie chce wracać do domu - Emma

rozpoczyna strajk. Nie sprząta pokoju, nie zmywa talerzy po jedzeniu i troszczy się jedynie o jedzenie dla trojga dzieci, ich ubranie i zdrowie. Kalesony i koszule Kślmína pierze służba, a naprawia Melinda, bo Emma Gacsary wyrzuca brudy i czyta przywiezione z Pesztu romanse, a wokół niej narasta taki brud \ bałagan, że tylko dzieci są tym zachwycone, wszyscy pozostali zaś oburzeni. Co niedziela, kiedy wszyscy mieszkańcy domu przy ulicy Kismester wybierają się na mszę do kościoła Świętej Anny, Emma zamyka w domu Lenke i Emmuskę, a sama z Emóke idzie na nabożeństwo do kościoła kalwińskiego. Kiedy przechodzi ulicami wystrojona we wciąż jeszcze piękne suknie, wszyscy odwracają się za nią. Emma spod złocistej woalki uśmiecha się ciekawie do pań i panów, w których towarzystwo nie wprowadzono jej, „bo ciągle jakoś choruje”. Aby jej osamotnienie stało się kompletne, Maria Rickl obraża Leidenfrostów, mieszkańcy domu przy ulicy Kismester nie rewizytują Armina i Erzsebet, tak więc nawet młodsza siostra nie przekracza bramy o dachu ze szklanych oczek, tylko Emma chodzi do nich czasami wylewać swoją gorycz. Erzsebet przy każdej okazji daje jej trochę pieniędzy, ich sklep, jeśli nawet powoli, to jednak nabiera rozmachu, żyją wprawdzie dość skromnie, lecz bez specjalnych trosk, a przecież oprócz Gyulacski jest już także na świecie młodszy Leidenfrost: Istvanek. t ymczasem Muki Darvasy z radością rozpoznaje w przechadzających się młodych damach swoje dawne miłości, zatrzymuje się więc, aby porozmawiać, a one nieśmiało wypytują, czy to prawda, co mówią, że niestety nie można się spotkać z uroczą żoną Mukiego, bo według ciotki Marii i Gizelli ciągle choruje? „Ma dość słabe zdrowie” -- kłamie Muki i gryzie się w język, bo ulicą idą Emma z Emóke, a spod złocistej woalki błyskają ku Kślmśnowi i młodej mężatce Rózie Nanassy ogromne, czarne oczy. Tryska zdrowiem i jest tak piękna, że blednie przy niej jasnowłosa wdzięk Róży Nśnśssy. Melinda czeka na Kślmína w bramie i natychmiast informuje go, jak brzmi oskarżenie na dzień dzisiejszy: w ich pokoju są karaluchy, mama gniewa się, że Emma nie chce sprzątać. I kazała jej powiedzieć, żeby utrzymywała mieszkanie w porządku, na co Emma oznajmiła, że jeśli zwrócą jej posag, który Kalman przegrał w karty, starczy im na służbę i na własny dom. Kalman stara się jak najmniej przeby-

wać w pokoju, w którym mieszkają w piątkę i w którym zawsze któreś z dzieci płacze lub siedzi na nocniku. Emma jest podejrzanie łagodna, nie narzeka już jak na początku.

Maria Rickl nie może połapać się w sytuacji, sądziła, że dojdzie do rozwodu lub że Emma Gacsary ucieknie. Niepojęty jest wprost ten opór, młoda kobieta schodzi do kuchni w suterenie, gotuje dla dzieci, potem grzeje żelazka, kręci włosy w an- glesy i wychodzi na spacer. Gdy spotykają się w ogrodzie, kłania się teściowej, ale zdarza się, że nie widuje jej całymi tygodniami. Mąż i żona w sąsiadujących ze sobą łóżkach są już sobie obcy, ogień Kślmśna przygasł wskutek stałego napięcia; jeśli ma właśnie ochotę na karesy, spotyka dość panien i mężatek, kiedy jest przez cały dzień bez nadzoru w Pallag, Emma prawie nie rozmawia z mężem, ale tym więcej rozmyśla nad ich losem, gdy leży na nie zasłanym łóżku z książką w ręce. Ciotka Klśri i pokojówka Agnes dostają polecenie, aby odtąd sprzątać też pokój Juniora, inaczej robactwo rozlezie się po całym domu, klnąc przyjmują do wiadomości powiększenie zakresu swych obowiązków, nowe zajęcia, w parę lat później Lenke Jablonczay dostanie niejednego klapsa za to, że jej matka kręcąc loki wśród brudnych poduszek patrzyła kpiącymi, okrągłymi oczami, jak służące sprzątają zapuszczony pokój. A przecież kup- cówna jest już bliska osiągnięcia celu, Emma Gacsśry naprawdę myśli, żeby stąd uciec, i snuje plany, nic jej tu nie trzyma, szwagierek nie cierpi, Marii Rickl nienawidzi, ciężko chory Senior i Imre to żadna pomoc, to nie jest towarzystwo dla niej, co zaś się tyczy Juniora, lepiej nie mówić, co o nim sądzi. Teraz przypomina sobie Dśniela Siró i wszystko, czego się od niego nauczyła; obie panny Gacsśry dostały bowiem takie wykształcenie, jakie zwykli otrzymywać chłopcy, Emma pięknie pisze, ma dobry styl i zna też podstawowe zasady rachunkowości. Prosi Leidenfrostą, żeby znalazł jej jakąś pracę, nie u siebie, wie, że sklep nie utrzymałby pracownika, ale gdzieś w innym mieście, może nadałaby się na urzędniczkę i zarobiła na utrzymanie swoje i trojga dzieci, chyba najlepiej w Peszcie, gdzie nie dosięgnąłby jej ani kalwiński, nie znający przebaczenia wzrok Rśkhel Bśnyay, ani katolicki, nie znający przebaczenia wzrok Marii Rickl. Erzsebet wpada w przerażenie, ten pomysł jest jednak zbyt rewolucyjny, ale Leidenfrost obiecuje, że będzie

szukał. Oczywiście to nie ona, Emma, lecz Muki Darvasy powinien iść do pracy, co to za pomysł, żeby kobieta brała na siebie ciężar utrzymania trojga dzieci? O tym wszystkim hrabia Hektor nie ma, rzecz jasna, pojęcia, zabrał się właśnie do nowego tomu wierszy, te strofy to skargi zaniedbanego męża i westchnienia zawsze gotowego do miłości serca; słuchają ich małe wzruszone wieśniaczki o czarnych oczach i różowych policzkach. Emma i tak nie wpuszcza go do swego łóżka, gdy czasami odradza się w nim zainteresowanie dla żony. Emma stawia warunek: dopiero jak stąd wyjadą w świat, dokądkolwiek, byle dalej od Marii Rickl. Tylko że Juniorowi ani się śni wyjeżdżać, gdyby miał odwagę, powiedziałby jej, żeby wyjechała sama, byłoby najlepiej, gdyby przeprosiła starą purytankę i sprowadziła się z powrotem do Rakhel Banyay. Potem pojawia się ostatnia szansa ucieczki: Kalman Jablonczay i Emma Gacséry mogliby jeszcze znaleźć w sobie oparcie -- jest to chwila śmierci ich dzieci. Kiedy służące przynoszą Marii Rickl wiadomość o tym, że dzieci zachorowały na krup, kupcówna wpada w przerażenie. Pozornie nie interesowała się wnukami, nie zajmowała się nimi, ale ponieważ każde z dzieci odziedziczyło rysy Juniora, podglądała je przez firankę, kiedy bawiły się na dole w ogrodzie. Choć nigdy tam nie chodzi, zbiega teraz do pokoju syna, Emma potargana, nie ubrana siedzi na skraju jednego z łóżek, na kolanach przekrzywiona główka Emóke chwytającego spazmatycznie powietrze otwartymi ustami, na rękach prawie już nie oddychająca Emmuska. Emma nie spostrzega nawet, kto przy niej staje, nie widzi nic poza swymi dziećmi. Maria Rickl chwyta na ręce zdrową jeszcze Lenke i sama niesie ją do Anselmusów, może choć ta jedna jeszcze się uratuje. Bo dla tamtych dwojga nie ma ratunku. Junior i Emma nad dwiema trumienkami, w pragnieniu nowego życia, w straszliwym wstrząsie wywołanym śmiercią, w żałobie, z poczuciem winy, ze sztucznie tłumioną i buchającą nowym płomieniem miłością, padają sobie w ramiona, obejmują się kurczowo, coś sobie tłumaczą zachłystując się, płacząc, załamani, a jednak w jakiś sposób szczęśliwi. Teraz żyje już tylko Lenke | Uagedia jakby jednoczy rodzinę, na pogrzebie Emóke i Emmuski stoją w czerni wszyscy w komplecie, Maria Rickl płacze. Parę dni go pogrzebie Leidenfrost donosi Emmie, że istnieje

pewna skromna szansa znalezienia pracy dla Kślmśna, i wręcza jej list polecający do peszteńskiego znajomego swego współnika: jeśli zgłosi się z tym listem, może dostać pracę w biurze jednego z wielkich zakładów przemysłowych, w fabryce Ganza.

' Melinda-Parka nie była obecna przy tej rozmowie, którą małżonkowie odbyli po spotkaniu z Leidenfrostem, ale można się domyślić, jakie słowa padły z ust oplakującej dzieci Emmy: jeśli Kślmśn chce, aby jeszcze kiedykolwiek w życiu była mu żoną, muszą stąd wyjechać, Junior musi zdecydować się na tę posadę. Trzeba natychmiast zabrać Lenke od Anselmusów, niechże wreszcie Kślmśn stanie się mężczyzną. Kślmśn jak szaleniec tuli żonę, w śmierci dwojga maleństw widzi karę bożą za to, że nie stanął przy swojej rodzinie, pizy Emmie. Nie ma odwagi pożegnać się z matką, jakże mógłby się na to odważyć, odbiera Lenke od Anselmusów kłamiąc, że Maria Rickl chce ją z powrotem mieć w domu, ucieczkę oczywiście znów ułatwia Melinda-Gizella, która tym razem daje uwielbianemu bratu pieniądze przeznaczone na zapłacenie pewnego sporego rachunku, święcie przekonana, że nazajutrz, gdy wszystko się wyda, Maria Rickl spierze ją na kwaśne jabłko.

Juniorowie o świcie opuszczają dom, taki świt był również tamtego dnia, gdy Jablonczayowie wyruszyli do Sśrrćt. Lenke jeszcze śpi, ojciec niesie ją na rękach. Melinda nie macha chusteczką, w jej mądrych niebieskich oczach jest zarazem ironia i smutek, ciężko jej będzie bez Kślmśna, ale w tym, co spotka mamę po przebudzeniu, jest coś wielkiego - oplaci się, jeśli ją nawet za to zbije. Przebudzenie Marii Rickl jest rzeczywiście niezwykle, kupiecka córka pojmuje wreszcie, że została pokonana. Przechytrzyła ją ta dwudziestojednoletnia kalwińska ladacznica, którą już po raz drugi ukradła jej syna.

O peszteńskim życiu Kślmśna Jablonczayego i Emmy Gacsśry dowiadujemy się z kilku źródeł: z powstałych w tym okresie wierszy Juniora, od trzeciej Parki, od Iren, najmłodszej córki Juniora i Emmy, i wreszcie od samej Lenke Jablonczay, której pamięć odrzuciła wprawdzie z biegiem lat niemal wszystko, co dotyczyło pierwszych czterech lat spędzonych z rodzicami, ale zachowała obraz mieszkania i kłótnie rodziców.

Junior, który rozpoczął nowe życie z pieniędzmi zdefrudowanymi przez Melinę, wynajął po przyjeździe do stolicy pierwszy pokój, jaki oferowała kartka na jakimś oknie w pobliżu dworca kolejowego, umieścił w nim żonę i córeczkę, sam zaś z listem polecającym Leidenfrostą wyruszył - oczywiście fiakrem - do fabryki Ganz, gdzie naprawdę otrzymał pracę. Jego wynagrodzenie i perspektywy, jakie miał przed sobą tak bardzo kolidowały z tym, na co miał nadzieję - Junior wyobrażał sobie, że Abraham Ganz weźmie przynajmniej pod uwagę jego próby z naukami technicznymi i uzna, że jeśli nawet mu się nie powiodło, to jednak bohatersko stawał do licznych egzaminów, będzie go więc traktował inaczej niż resztę biuralistów - że od razu po przystąpieniu do pracy przybrał niewłaściwy ton zarówno wobec zwierzchników, jak i kolegów. Hrabia Hektor, jeśli nawet niedługo, był jednak przez pewien czas królem życia i nigdy nie zapominał, że jego szlachectwo można udokumentować od trzynastego wieku, w fabryce Ganz nikogo jednak nie interesowało, że ten pisarz, który wraz z pięcioma innymi gryziórkami gryzmoł przez niemal dziesięć godzin dziennie w źle oświetlonym pomieszczeniu, jest krewnym bana macsów - skiego. Kiedy zgłosił się do pracy, pobrano od niego wzór pisma, wypróbowano inteligencję w ceremonialnej rozmowie i nikogo nie obchodził jego przydomek, doskonała prezencja ani chwalebna przeszłość rodziny, bo Uczył się tylko list polecający Leidenfrostą, fakt, że kupiec z Debreczyna ręczy za nowego pisarza. Emma z początku słyszy tylko złagodzoną wersję życia fabrycznego, bo choć jej mąż znienawidził biuro od pierwszej chwili, postanowił zachowywać się jak bohater, szlachetnie cierpieć dla żony i dziecka i nie skarżyć się na nic. Gniewem i oburzeniem wybucha Kalman dopiero wtedy, gdy już w ich stałym mieszkaniu na dalekim przedmieściu Emma nie zaprzestaje ironicznych uwag na temat tego, jak mieszkają, twierdzi, że dostaje za mało na życie, i z niczego nie jest zadowolona. Lenke poza pierwszym szokiem w życiu (w piwnicy ich domu mieściła się piekarnia i dziewczynka, którą darzyli sympatią zarówno uczniowie, jak i czeladnicy, często wykradała się na dół, aby wypraszać od nich rogaliki, pewnego razu weszła do warsztatu o niezwykle wczesnej porze i zobaczyła, że biała zazwyczaj ściana pocięta jest czarnymi pasami i że te pasy wolno wę-

drują przed jej oczami, a ściana, która zawsze wydawała się nieruchoma, teraz niemal unosi się w górę, tak ciągną nią szeregi karaluchów) zachowała w pamięci wspomnienie straszliwych kłótni rodziców. Bo ojciec oczywiście wybucha, pieniądze Me- lindy dawno się skończyły, Emma nie ma pojęcia o oszczędzaniu, choć Leidenfrostowa też nie puściła jej z pustymi rękami. Z wiersza zatytułowanego W urzędzie można się domyślić, co wykrzykiwał Kślmśn Jablonczay do narzekającej Emmy; po dziesięć godzin dziennie ślęczy w biurze, przed nim zgarbiony eks-kupiec, który pamięta jeszcze lepsze czasy, obok niego łysy, chorowity skryba, który dotychczas żył ze spadku, a teraz próbuje wegetować z pensji, bo przepuścił wszystko, co miał, za nim rozczochrany pijak, który w pierwszych dniach okradł Juniora w nieprzewidywanym pragnieniu alkoholu, a w najciemniejszym kącie garbi się starzec, który od dwudziestu lat niezmiennie gryzmoli litery i daremnie czeka na awans. Junior opisuje jeszcze wątlego, wyniosłego mężczyznę, ten pracuś, ten lizus jest ulubieńcem kierownika i z góry patrzy na pozostałych biuralistów; z większą antypatią pisze Junior tylko o samym szefie, który również nie zauważył, jaki to zaszczyt spotkał fabrykę, kiedy w szeregi jej pracowników wstąpił Kślmśn Jablonczay.

Już po paru dniach pożałował Junior wyjazd z Debreczy- na i spodziewał się po Emmie, że doda mu siły i otuchy, ale żona nie ma dla niego ani jednego dobrego słowa, wciąż żąda, aby jej zwrócił przeahulany majątek Gacsśrych, Junior ma już dość ustawicznych łez, po co go dręczy, co się stało, już się nie odstanie. Powinna docenić, że przyjechał z nią do Pesztu i zdecydował się na ten absurdalny tryb życia, ostatecznie lepiej czy gorzej, ale jakoś tam sobie radził z mamą, to przecież Emma nie wytrzymała domu przy ulicy Kismester, choć mieli tam złote życie w porównaniu z obecnym - ciotka Klśri gotowała przysmaki, on galopował przez pusztę na Jancsim, a rozkazy, które wydawał w Pallag, były traktowane jak Pismo Święte. Boi się wprost wracać do domu, bo gdy tylko otwiera drzwi, Emma chlusta nań jadem swej goryczy: co to za mieszkanie w tym peszteńskim domu, same karaluchy, nie ma nawet ogrodu, żeby dziecko mogło się bawić, nie ma dla małej odpowiedniego towarzystwa, co z tej Lenke wyrośnie, niechże Junior skontak-

luje się z tutejszą rodziną, może wreszcie znajdą się wśród takich ludzi, z którymi dobrze by się czuła, niech Junior da pieniądze, małej potrzebne są buciki, sukienki, bo ze starych już powyrastała, niech Junior znajdzie inne mieszkanie, tu z korytarza bucha smród ustępów, a kobiety są nieuprzejme, ona tu nie chce mieszkać. Junior nie marzył o niczym innym, niż żeby znaleźć się w towarzystwie peszteńskich Ricklów i Leidenfros- tów; Emma nie wie, że jedna z jego pierwszych wypraw prowadziła do peszteńskiej rodziny; krewni poczęstowali go kawą, zapytali o zdrowie, ale ani słowem nie zachęcili, żeby przy najbliższej okazji odwiedził ich z żoną: Maria Rickl już dawno przekazała im własną wersję małżeństwa swego syna Kśłmana i swą nieprzezwyciężoną niechęć wypływającą z faktu, że Kalman brał ślub w kościele kalwińskim. Kupcówna jest w wielkiej rodzinie instytucją, nikt nie chce z nią zadzierać; skoro Maria Rickl twierdzi, że synowa jest antypatyczna, nie chcą jej nawet poznać.

W biurze Ganza Junior walczy za biurkiem z ustawicznym brakiem powietrza, przywołuje, w pamięci woń puszy, jej bezkresną równinę i czuje się tak nieszczęśliwy jak jeszcze nigdy w życiu. Pomysły Emmy, żeby zażądał podwyżki, podjął się dodatkowej pracy, poprosił o jakieś lepsze stanowisko, z którym wiązałoby się wyższe uposażenie, denerwują go jeszcze bardziej, gdyż o podwyżce i awansie nie ma co marzyć, i to z dwóch powodów: od początku problem tkwi w zachowaniu się Juniora, choć jak się okazało z listu do Melindy, był święcie przekonany, że zrobił wszystko, aby go lubiono. Zarówno jednak wobec zwierzchników, jak i kolegów zachowuje się niewłaściwie, ze zwierzchnikami próbuje się pokumać, co napotyka na chłodną odprawę, kolegów natomiast lekceważy, za co nie mogą go znieść. Wkrótce osiąga dno rozpacz, w domu w takich stanach ducha zwykł szukać sztucera, i pewnego razu w dniu wypłaty ucieka Emmie, która wraz z Lenke czeka na niego przed fabryką, wypatrując go przez kraty z taką samą podejrzliwością i zniecierpliwieniem jak żony pijaków.

Junior jedzie do Śródmieścia i wmawia sobie, że musi tak postąpić dla dobra bmm\ i Lenke, dziecko jest źle odżywione, mieszkanie naprawdę żalosne, musi spróbować zdobyć trochę pieniędzy. Gdy wykonuje dokładnie wytyczone i nudzące go

śmiertelnie czynności biurowe, dochodzi do wniosku, że fabryka Ganza i obecne mieszkanie znajdują się tak daleko od miejsc jego dawnych zabaw, że nie można sobie wprost wyobrazić, aby ktokolwiek wiedział, jaką pracą utrzymuje siebie i piękną żonę. Śródmieście, feeria światła i ruch uliczny wywierają na nim takie wrażenie, że uwiecznia to przeżycie w wierszu; spotyka paru dawnych przyjaciół, spacerujących nad brzegiem rzeki, jak i on przechadzał się w zamierzchłych, szczęśliwych czasach. Muki Darvasy zapłacił w swoim czasie ogromny dług honorowy, wykupił swoje weksle i wszyscy sądzili, że wrócił potem do swego majątku, jeśli zaś znów się tu zjawił, zapewne dobrze nabił sobie w domu kabzę. Otwarte ramiona, przyjacielskie uściski i otwarta sala gry witają Mukiego, który jest wprost odurzony światem dawnych zapachów, kolorów i smaków, i tak jak przed półtora rokiem nie opuszczał go pech, tak teraz siedząc przy zielonym stoliku z niewielką sumą w kieszeni bezustannie wygrywa. Kiedy po północy wraca do domu, niesie kwiaty, szampana, cukierki i kosz smakołyków dla Emmy, która ubrana opiera się łokciami na parapecie, wygląda na ulicę, czeka na męża i nie ma już nawet siły płakać. Mówić jej, że te wszystkie pieniądze pochodzą z kart, byłoby niemądre. Junior oznajmia przeto, że uśmiechnęło się do nich szczęście, dostał wreszcie to upragnione wyższe stanowisko, na którym będzie lepiej zarabiał, niech więc Emma pojedzie następnego dnia do Śródmieścia i kupi wszystko, co trzeba dla nich i małej, a wkrótce zmienią też mieszkanie. Czas do następnego dnia wypłaty upływa szybciej niż zazwyczaj, Junior w biurze jest jeszcze bardziej pewny siebie niż dotychczas, chętnie pokazuje się też w dawnym towarzystwie, wierzy w swoje szczęście, które, rzecz jasna, nie może towarzyszyć mu stale. W drugiej próbie nie tylko przegrywa całą wypłatę, ale zmuszony jest zapożyczyć się na dużą sumę, a pożyczki udziela mu jeden z kompanów od szklanki nazwiskiem Pól Tatar, w przekonaniu, że tak samo jak za pierwszym razem Junior ma pokrycie. Daje pieniądze na trzy dni, Junior oczywiście nie ma z czego zwrócić i teraz ukrywa się już przed znajomymi ze Śródmieścia. Jeden z tak częstych w życiu fatalnych zbiegów okoliczności naprowadza na jego trop wierzyciela, o którym Emma nic nie wie. Wydając ostatnie krajcary pozostałe jeszcze z pierwszej wygranej spaceruje

z dzieckiem w promieniach jesiennego słońca i sama zaczepia dawnego przyjaciela; cieszy się ze spotkania, pokazuje córeczką, Tatar pyta, dlaczego przechadza się sama, bez męża, na co Emma z dumą odpowiada, że Junior pracuje w fabryce Ganza, a\ę niestety późno wraca do domu. Tat\ór sam ma kłopoty finansowe, nie wstydzi się iść do d\łuźnika i nast\ępnego dnia ca\ę biuro jest świadkiem osobliwej sceny: ten butny Jablonczay, który zawsze zgrywa się na hrabiego czy księcia, blednie, a potem jak dziecko wybucha płaczem, kiedy wierzyciel ukazuje się w drzwiach. Wieczorem tak\ę Emma dowiaduje się o wszystkim, reaguje z zaskakującą biernością, nie szlocha, nie przeklina, nie uskar\ęa się na nic, tylko patrzy na Juniora, który pod jej wzrokiem wpada w prawdziwy sza\ę i wrzeszczy, \ęby przyję\ęa do wiadomości, \ę to ona, Emma, jest wszystkiemu winna, tak jest, właśnie ona, dla której nic nie jest dość dobre, a skoro potrafi patrzeć na niego w ten sposób, na pewno go ju\ę nie kocha, jak\ę daleko jej do Melindy, która jest uosobieniem bezinteresowności. Emma nie odpowiada, wysłuchuje równie\ę w milczeniu, \ę to ju\ę koniec, i \ę jeśli jej m\ę\ę nie ma paln\ęc sobie w łeb, musi napisać do Debreczyna: spr\ębuje jeszcze raz poprosić Szikszayego o pieni\ęd\ę, tym razem suma nie jest a\ę tak zawrotna, Chyba \ów dawny Henryk Herczeg nie opuści go, nie mo\ę po raz drugi opuścić go w nieszczęściu. Emma Gacs\ęry pieści Lenke, czesze, potem wcześnie\ę kładzie ją spać i zabiera się do pisania, a na pytanie Juniora, do kogo pisze, odpowiada: do Erzsebet. O tym, z jakim podnieceniem m\ę\ę i \ęona wyczekuj\ę listonosza, świadczy wiersz Juniora; odpowiedź na oba listy, wysłane mniej wi\ęcej w tym samym czasie, przychodzi równie\ę jednego dnia, z listu, który zwr\ęcono z Fuzesgyarmat z adnotacją: „Adresat nie odebra\ę przesyłki”, nale\ę\ę wnioskować, \ę Emma nie prosi\ęa o pomoc Leidenfrost\ów; Iren, najmłodsza córka Emmy, nie pamięta ju\ę, co opowiada\ęa jej matka, czy chcia\ęa się na zawsze wprosić z dzieckiem do domu babki, czy te\ę tylko mia\ęa nadzieję na szybk\ę pomoc i wybaczenie. W ka\ędym razie R\ęskhel B\ęsnay nigdy nie dowiedzia\ęa się, czego \ęczy\ęa sobie od niej starsza wnuczka, a\ę do śmierci nie zamieni\ęa ani z nią, ani z Erzs\ębet jednego słowa, definitywnie wyp\ędzi\ęa je ze swego domu i serca po ich fa\ęszywym kroku. Nadchodzi te\ę odpowiedź z Debreczyna, jednak zamiast

i Vi

Henryka Herczega pisze Melinda. Szikszayowie są w Karlsbadzie, gdzie Gyula leczy żołądek, nie przekażą mu listu, bo nie wolno go niczym denerwować, nawiasem mówiąc, pod nieobecność Gyuli pocztę otwiera mama, sama też załatwia całą korespondencję, a jej kazała napisać do Kślmśna, że: „Wie man sich einbrockt, so muss man auslöffein*“, ona nie ma pieniędzy, a gdyby je nawet miała, nie pomoże nosić wody do Dunaju." Melinda prosi, aby Kślmśn nie wpadał w rozpacz, a zwłaszcza niech nie zrobi jakiegoś głupstwa, już ona spróbuje coś wymyślić, niech więc ten Tatar jeszcze trochę poczeka.

Hrabia Hektor jest w tych dniach rozdrażniony, kłóci się z kolegami w biurze, Tatar znów przychodzi po pieniądze i Junior prosi go o zwłokę: chwilowo, dopóki matka mu nie pomoże, nie da rady zapłacić, chyba żeby zaciągnął nową pożyczkę i jeszcze raz spróbował szczęścia. O nowej pożyczce nie ma mowy, Tatśr sam nie ma pieniędzy, spotkanie przeobraża się w przykrą, głośną scenę, której świadkami są już nie tylko koledzy, ale również sam szef. To ostatecznie podpiłowuje słabiutką gałąź pod burzliwym życiem rodziców małej Lenke Jablonczay, fabryka Ganza nie życzy sobie zatrudniać w biurze kogoś takiego, kto widocznie jest notorycznym karciarzem. Junior znajduje się na bruku, dom przy Kismester nie odpowiada na listy błagające o wsparcie, tak samo milczy dom przy ulicy Nagy w Fuzesgyarmat. Bóg katolicki i kalwiński jednakowo zatykają uszy, gdy Lenke Jablonczay woła jeść. Nie ma jedzenia, nie ma kredytu, Junior i jego rodzina głodują, kłótnie teraz już niemal nie ustają, Lenke Jablonczay zachowała w pamięci, że często stukali do nich sąsiedzi, każąc im być cicho, i że sklepikarz, który zawsze uśmiechał się do jej pięknej matki, przestał się jej nawet kłaniać.

Junior nigdy nie był tak bliski tego, żeby naprawdę skończyć ze sobą, Emmą i dzieckiem, jak w tych miesiącach, tylko że sztucer został w domu, w Debreczynie, który stąd, z Pesztu, wydawał się rajem. Mieszkanie jest straszne, z trudem znosili wilgotne ściany nawet przy gorącym piecu, ale skąd teraz wziąć opał, gdzie znaleźć jeszcze coś, co można by spieniężyć.

po szpilce Juniora /ostał tylko ślad w postrzępionym krawacie, a ostatnia biżuteria Emmy i resztki odzieży idą na komorne, na żywność, na chorobę Lenke, która zapada na pierwszą w życiu gripę, którą od tej pory będzie przechodziła co roku aż do śmierci.

Hrabia Hektor szuka pracy, chciałby iść do sklepu, choćby na subiekta, zna się na tym, wychowanie Anselmusów nic poszło na marne, ale o tym nie ma co nawet marzyć, nie ma ani pieniędzy na kaucję, ani osobistego kredytu. Ma zaledwie dwadzieścia osiem lat i gdy patrzy na Emmę, wpada w rozpacz: Emma znów jest w ciąży, co czeka to nowe, nieszczęsne dziecko? W obawie przed Tatsrem nie może się nawet pokazać

w okolicy Śródmieścia, a zresztą i tak by nie poszedł w wytartym ubraniu, z piętrem nędzy na twarzy, a Emma z ogromnym brzuchem nic poszłaby, nawet gdyby miała jeszcze swoje futro. Wreszcie ich sytuacją rozwiązuje Tatsr, który dowiaduje się adresu Marii Rickl i pisze na ulicę Kismester, że jeśli nie ureguluje synowskiego długu, zamieści we wszystkich gazetach wzmiankę, że K&lm&n Jablonczay młodszy nie uregulował długu honorowego.

Maria Rickl właściwie wcale nie jest zaskoczona, kiedy w drugiej połowie 1888 roku listonosz przychodzi na ulicę Kismester częściej niż kiedykolwiek, odkąd tam zamieszkali. K&lm&n prosi, przypodchlebia się, błaga na wszystkie świętości, a wszystkie listy pisane są w imieniu małej Lenke, ona sama je nawet podpisuje prowadzonymi ojcowską dłonią paluszkami. Lenke donosi, że jest głodna, Lenke donosi, że marznie, Lenke ślicznie prosi o pieniążki, ho nie ma sukienki, kaszle, potrzebny jej lekarz, lepsze jedzenie, Lenke błaga, żeby dobra babcia pomogła, inaczej wszyscy zginą. Kupcówna długo medytuje przed powzięciem decyzji, żale Lenke nie wzruszają jej, zna styl K&lm&na, ale należy rozważyć szansę, która się przed nią otwiera, aby już ostatecznie i na zawsze chwycić cugle w ręce. Skoro Lenke lak ją szturmuje, to znaczy, że Junior wpadł w poważne tarapaty i tak bardzo pragnąłby już uregulować swoją sytuację, że bez wątpienia zda się na jej łaskę i niełaskę wraz ze swym złym duchem, Emmą Gacsśry. Z powodu bucików i lekarstw małe j Lenke nic byłoby tyle szumu, tu chodzi o jakąś ważniejszą sprawę, znając nieodpowiedzialność Juniora, może nawet ho-

norową. Kiedy do Debreczyna przychodzi list polecony od Pśła Ta tira, Maria Rickl natychmiast prosi swego młodszego brata Gezę o pożyczkę, bo ona sama nic ma tyle gotówki, żeby przystąpić do działania, i wysyła adwokata Anselmu Miw do Pesztu, żeby zapłacił temu Taiśrowi, który nie jest dżentelmenem, i porozmawiał w jej imieniu z Juniorem. Adwokat umawia się z Juniorem w neutralnym miejscu, w kawiarni, żeby mu przekazać wiadomości od Marii Rickl. Pierwsza z jej dwóch propozycji, wbrew wszystkim domowym scenom i kłótniom, wydaje się Juniorowi tak niedorzeczna, że w goryczy zapomina nawet o swym tupecie: Emma, gdy żądają od niego, aby się jej wyrzekł, natychmiast staje się znów cenna. Nie rozwiedzie się z Emmą Gacsśry, matka nic ma racji winiąc Emmę za ich paskudne położenie, on, tylko on jest odpowiedzialny za to, co ich spotkało, a w pewnym sensie także Maria Rickl, która nigdy nie dawała mu do ręki dość pieniędzy, bojąc się, żeby ich nic przepuścił, nic dziwnego, że zakreśliło mu się w głowic, kiedy dostał do dyspozycji ogromny majątek Gacsśrych. Ponowny ożenek z osobą, którą wybierze mu matka, to właściwie niemoralny pomysł ze strony tak gorliwej katoliczki: on ma już żonę i nie chce na ten temat dyskutować. Druga propozycja Marii Rickl wydaje się natomiast całkiem do przyjęcia: kupcówna dla ocalenia honoru nazwisk Jablonczaych i Ricklów skłonna jest powierzyć Juniorowi majątek w Pallag. Senior jest już zbyt chory, nie nadaje się już do jakiegokolwiek pracy, a gdy majątek jest stale bez właściciela, ludzie kradną, co tylko mogą. Nicch Junior z rodziną przeniesie się do Pallag i gospodaruje w ten sposób, żeby sobie zapewnić utrzymanie, a matce sumę, jaką dostawała od dzierżawcy.

Juniora podczas całego pobytu w Peszcie dręczyła nostalgia, wielkie miasto bawiło go, dopóki mógł nocami rozkoszować się zabawą, w dzień zaś. nawet w dobrych czasach, czuł, że w tłumie, wśród wielkich domów, brak mu powietrza, że tęskni za wiejskimi dr/c wami. kwiatami, brykającymi na swobodzie zwierzętami, za wyciem puszczańskich Wilków, widokiem biegnących zajęcy, wyłaniającą się z nory rudą lisią mordką. Junior, który w wielkim mieście nigdy nie może utrafić we właściwy ton, na puszczie, na prowincji czuje się jak w domu. Kiedy w 19 U roku mając pięćdziesiąt jeden lat kończy bezsen-

sowne, smutne życie, mieszkańcy Pallag bez próśb czy nakazów stawiają się na jego pogrzebie jak jeden mąż: patriarchalny feudalizm Juniora, hojna ręka, wspólne umiłowanie ziemi, praca na roli, do której sam brał się często z wielką ochotą i zmiennym powodzeniem, i ten jablonczayowski urok, który cechował też Seniora i nie pozwalał mu robić tragedii z jakichś niedociągnięć - z powodu których Maria Rickl całymi dniami prowadziłyby śledztwo - przyniosły mu popularność. Ludzie lubili Seniora i Juniora, a na kupców nie mogli wprost patrzeć.

Muki wpadł w zachwyt na myśl, że może wrócić do Pallag, że Lenke i nowe dziecko będą rosły w cieniu tej starej lipy, której gałęzie chroniły także jego dzieciństwo. W wydanym w 1904 roku tomie opowiadań pada wiele słów o Pallagpuszta, wiecznie opłakiwanym, upragnionym dawnym Edenie, którego bezkresne niebo sklepiało się nad jego pogodnym, bezpiecznym dzieciństwem: „... Widzą ojca wychodzącego z jadalni. Łagodnym głosem woła nas. Jak kurczęta na zew kwoki rzuciliśmy się na wezwanie najlepszego z ojców. Podbiegliśmy do tego łagodnego, dobrodusznego człowieka, z wielkim przywiązaniem czepialiśmy się jego rąk i kolan, biegaliśmy wokół niego, z głęboką miłością zaglądając w jego dobrotliwe oczy. Potem, po zachodzie słońca, bardzo zmęczeni wróciliśmy do domu, moim młodszymi siostrami oczy kleiły się do snu. Jakże piękne sny mieliśmy po całodziennym zmęczeniu! Poranny promień słońca, który wśliznąwszy się między listwami żaluzji odnajdował nasze gwoździe, jakże połyskliwie wieńce spletał na szczęśliwych dziecięcych twarzach.

Od tamtej pory minęło dwadzieścia lat. Lipa, do której wysuniętego konaru była przywiązana moja pierwsza huśtawka i której zielone gałęzie z taką miłością pochylały się nad starym domem, stoi na dawnym miejscu zgrubiała, rozkraczona, postarzała. Wycięte na jej pniu monogramy rozplynęły się w grubej korze i stały się nieczytelne, zacierając nawet pozostałe wspomnienia. Stoję pod nią ze ściśniętym sercem, sam pokaleczony przez los, przez nieudane życie i szukam w oknie rozszczebiotanych siostrzyczek, nie ma ich tam, wyfrunęły w daleki świat. Rozglądam się za gniazdem słowika, nie ma go. Nawet w miejscu krzewubzu rośnie akacja. Nasłuchuję zawstydzających słów

mojej matki, ale nie słyszę, szukam najlepszego z ojców, ale nie zjawia się. Spoczywa w zimnej ziemi, gdzie może ludzie są szczęśliwsi. Tulę się do pnia mojej dawnej, starej przyjaciółki, obejmuję go i gorzko płaczę..."

Maria Rickl oczywiście nie byłaby sobą, gdyby nie postawiła jakiegoś warunku: adwokat informuje Kalmana, że matka nie byłaby pewna losu majątku, gdyby Kalmán rządził nim bez doradcy, ma więc zamiar podporządkować syna wujowi Gezie, niech z nim omawia i daje mu do zatwierdzenia plany dotyczące gospodarki, a także co tydzień składa mu sprawozdania. Geza Rickl ma systematycznie kontrolować Juniora, jemu też ma Kalmán spłacać pożyczkę udzieloną na uregulowanie długu honorowego. Junior czuje się upokorzony, połowę radości diabli wzięli, teraz, gdy wkrótce ponownie będzie ojcem dwojga dzieci, znów znajdzie się pod kuratelą i to już nie łagodna dłoń Seniora będzie kierować jego poczynaniami, lecz wuja Gezy, którego nie cierpi. Adwokat jednak jeszcze nie skończył: Maria Rickl kazała powiedzieć synowi, że jego małżeństwo jest nieporozumieniem, o czym jest przeświadczona, jeśli na razie nie ma zamiaru występować o rozwód, prędzej czy później sam będzie go chciał, dlatego też musi przyjąć do wiadomości, że ona nie ma zamiaru spotykać się z synową, co oznacza, że w dalszym ciągu nie wolno mu wprowadzać Emmy do towarzystwa debreczyńskiego, a gdyby to zrobił, może się od razu zabierać z Pallag. Nie chce też widzieć Emmy Gacsary przy ulicy Kismester, zresztą niech się Kalman nie łudzi, on też ma przychodzić tylko wtedy, gdy po niego posłają lub zostanie wezwany. Junior kopnięciem odrzuca spod siebie krzesło i wybiega wzburzony, adwokat wraca do Debreczyna z pokwitowaniem Tatara i oznajmia, że niestety nie powiodła się jego misja. Kupcówna nie jest tym zdenerwowana. Junior wybiegł z kawiarni nie biorąc nawet tej niewielkiej sumki, którą wysłała, żeby mu trochę ulżyć, Maria Rickl spokojnie rozpiera się łokciami na haftowanej poduszce w oknie, patrzy na przechodniów i czeka.

Lenke wkrótce odzywa się ponownie, jest to pierwszy list skomponowany nie w domu, w obecności Emmy, lecz pewnie w urzędzie pocztowym. Kalmán w osobie malej Lenke prosi tym razem babcie, aby spróbowała zwalczyć w sobie gniew

i przytuliła ich do serca, niech od nich nie żąda, aby jej nie odwiedzali, aby żyli w Pallag na wygnaniu, przecież oni nie są źli, mama też jest dobra i oni wszyscy bardzo babcię kochają. Kiedy nie nadchodzi odpowiedź, mała Lenke znów pisze, tym razem nie wspomina już Pallag, tylko donosi, że jest chora i cierpiąca, mieszkanie jest nie opalane, nie mają prawie nic do jedzenia, niech więc babcia pomoże, bo i ona pójdzie za swoim rodzeństwem. Dzień, w którym przychodzi ten list, na zawsze pozostanie w pamięci mieszkańców domu przy ulicy Kismester, bo Maria Rickl wpada w szal. Kryją się przed nią ciotka Kldri, Melinda, Ilona, ucieka pielęgniarka paralityków Annus i pokojówka Agnes, nawet służba wie, czego dotyczą niemieckie wrzaski dochodzące z pokoju Seniora, zaś Melinda, która, tak jak matka, włada jednakowo dobrze obydwoma językami, dokładnie wszystko rozumie. Kupcówna znów wykrzykuje, że spotkało ją przekleństwo, kiedy po raz pierwszy usłyszała nazwisko Jablonczay i ciska mężowi na kolana list małej Lenke: to najzwyczajniejszy szantaż, haniebna, nikczemna grabież! Ona widziała, jak umierali Ernóke i Emmuska," obydwójce dusili się na jej oczach, czy jest taki instrument, za pomocą którego można by obliczyć stopień prawdy, bo przecież jest równie prawdopodobne, że źle odżywiona, chorowita, kuląca się w nie opalonym pokoju Lenke naprawdę zachorowała i umrze, jak i to, że Junior bezczelnie kłamie. Prawda i kłamstwo zajmują w jego naturze tyle samo miejsca, ale co będzie, jeśli Lenke rzeczywiście umrze i ona, Maria Rickl, do końca swoich dni będzie dźwigała na sobie brzemię jej śmierci? Czy już wszystkie miesiące i lata mają jej upłynąć w ten sposób, że zawsze i zewsząd będą w imieniu małej Lenke wyciągać ku niej miseczkę zebraczą twierdząc, że żyjące w oddali, nigdy nie widywane dziecko cierpi, potrzebne mu jakieś nadzwyczajne lekarstwa lub z takich czy innych powodów nie może być chowane w Pallag, bo klimat mu szkodzi, przecież genialny duet Junior-Gacsfcry zawsze może ją szantażować. Tak nie można żyć\ Melinda, która podsłuchiwała na korytarzu, twierdziła, że Senior nie odezwał się ani słowem, a kiedy matka wypadła z jego pokoju i ona mogła tam wejść, był blady i udręczony, a pałce sięgające po książkę drżały. Później Maria Rickl ucichła, uspokoiła się, wpadła niemal w dobry humor, bo przyszło jej na

myśl coś takiego, czym mogła nie tylko uciszyć dręczące ją sumienie, lecz także pomóc małej, a co ponadto dawało szansę rozwodu. Napisała list, który kazała Melindzie natychmiast wysłać. Poinformowała syna o swej decyzji: weźmie od nich małą Lenke, w domu zawsze znajdzie się coś do ubrania ze starych rzeczy Melindy lub po dzieciach Margit, a tam gdzie jada tylu dorosłych, tyle psów i kotów, wyżywienie jednego dziecka to żaden problem. Kśmśn pozbędzie się kłopotu i powinien się cieszyć, bo wreszcie z czystą kartą może zacząć \wszystko od nowa, jeśli zaś Emma Gacsry zechce kiedykolwiek odzyskać córeczkę, w zamian za Lenke ma się wyrzec Kśmśna i wyrazić zgodę na rozwód.

Ciotka Piroška widziała jeszcze wśród papierów Juniora ten list, który zdecydował o losie Lenke Jablonczay. Maria Rickl napisała synowi, że z przykrością dowiedziała się o jego nowych kłopotach, rozumie, że w tak ciężkich warunkach nie można zapewnić dziecku pielęgnacji, a zwłaszcza rekonwalescencji, podtrzymuje więc ze swej strony propozycję dotyczącą Pallag, a ponadto uzupełnia ją: jest skłonna wziąć do siebie Lenke. O tym, na jak długo, nie było w liście mowy, jak jednak świadczy drugi tomik wierszy Juniora, ten w miękkiej okładce, Kśmśn Jablonczay był tylko naiwny, ale nie głupi, doskonale zrozumiał intencję matki i dopóki tylko mógł, próbował bronić się przed niebezpieczeństwem. Ten list, który przyszedł do ich mieszkania i którego nie dało się ukryć przed kwękającą, czekającą rozwiązania Emmą, postawił go w trudnej sytuacji. Emma, która nie wiedziała, co oznacza zaproszenie do Pallag w tej formie, w jakiej zostało postawione, i która, odkąd Kśmśn poinformował ją, że nie ma zamiaru przyjąć przekazanej mu przez adwokata propozycji matki, nie miała dla męża dobrego słowa, wprost oszalała z radości, że propozycja jest wciąż aktualna, i po raz pierwszy w życiu pomyślała nieco cieplej o teściowej, która, jak widać, nabrała rozumu i pojęła, że nie można spokojnie rodzić bez pieniędzy, bez niczego, z bezustannie o coś pytającym, potrzebującym ruchu, stale głodnym czteroletnim dzieckiem na karku. Jeśli teściowa zaopiekuje się na pewien czas Lenke i nie będzie ich zmuszać do wspólnego mieszkania, może trochę złagodnieje. Kśmśn opowiadał Melindzie, że dostawał obłędu, kiedy patrzył, jak Emma radośnie

Dobra mamuńcia pisze mi oto, że moją córkę weźmie z ochotą, lecz gdy ją oddam, rzecz to nienowa, mama przeciwko mnie ją wychowa. Więc dzięki, mamó, pełna dobroci, choćbyś mi za nią dawała krocie i diamentami usłała drogę, ja się swej córki wyrzec nie mogę.

A. zresztą czuję, że serce moje ciągle jątrzyłyby niepokoje, więc basta, nigdy tego nie zrobię, ja swoją córkę chcę mieć przy sobie.

Młode życie Juniora - nie skończył jeszcze dwudziestu dziewięciu lat - weszło w najbardziej morderczy etap. Przed Emmą nie ma ucieczki, bezustannie narzeka, robi mu wyrzuty i tylko Junior wie, do czego właściwie go namawia. Powiedzieć jej całą prawdę oznaczałoby stracić ostatnią nadzieję, przemilcza więc przyczyny swego sprzeciwu - Junior czuje, że postanowiono ich rozdzielić i nie chce oddać dziecka. Pozostało wieczną tragedią życia mojej matki, że nigdy nie zainteresowała się twórczością literacką swego ojca i nawet umierając była przeświadczona, że Kalman Jablonczay miał dość własnego dziecka, więc po prostu odtrącił je od siebie. Kiedy odnalazła się spuścizna literacka Juniora, najbardziej wstrząsająca była w jego liryce wałka, którą syn Marii Rickl toczył z matką i która zakończyła się jego ostateczną porażką. Nie mógł nakarmić swojego dziecka, nie mógł też nic zapewnić Emmie, dlatego

L tłumaczyła Lenke, że wyślą ją do babci, gdzie będzie \ piesek, i kotek, i to wszystko, bez czego tutaj muszą się obywać, bo babcia kocha Lenke; jak przeglądała rzeczy małej, zastanawiając się, co też powinna jej zapakować, jak sama przyniosła mu papier i pióro, żeby napisał do matki. Pokłócili się strasznie. Junior nie napisał do Debreczyna, tylko wybiegł z domu, a zamiast listu powstał 29 stycznia 1889 roku wiersz:

oddał Lenke i przyjął wszystkie warunki. W wierszach pisanych w tym okresie nie ma westchnień miłosnych, Junior po raz pierwszy w życiu myśli naprawdę o samobójstwie, o którym wspominał też dawniej w pozerskich, użalających się nad własnym losem pieśniach. Ale teraz Junior rzeczywiście chciałby umrzeć: w domu nie ma nawet skrzynki drzewa na opał, łyżki smalcu, życie ze stałe głodną, stale kaszlącą Lenke oraz z dzieckiem, które wkrótce ma się narodzić, z na wpół obłąkaną z nędzy Emmą wydaje mu się tak absurdalne, że wysyła list: chętnie pojedą do Pallag, tak jak sobie tego matka życzy, Lenke może wyjechać choćby zaraz, oni sami nieco później. Według Melindy w żadnym z tych decydujących listów nie padło ani słowo o nie narodzonym jeszcze nowym wnuku Jablonczaych i później nie dziwiła się temu żadna z sióstr Juniora: dla Marii Rickl było już dość jednego dziecka, zapewne nie wpadłaby w entuzjazm na wiadomość, że pożycie małżeńskie Emmy i Juniora kwitnie i owocuje.

Emma sama najchętniej wyruszyłaby od razu w drogę, ale Junior jej odradza, to nierozsądne w jej stanie, i prosi o jakąś szybką pomoc i pieniądze na drogę. Maria Rickl nie wysyła pieniędzy pocztą, nie ma zaufania do syna, stać go na to, żeby je przegrał w karty albo dał Emmie Gacséry na stroje, ci ludzie są nieobliczalni, trzeba po nich pojechać, niech więc jedzie jej zięć, niegdysiejszy Henryk Herczeg, były członek świętej pamięci Sowiej Kompanii, dziś ojciec rodziny, Gyula Szikszay. Niech ich tu przywiezie, co to za pomysł, żeby wysyłać tylko samą Lenke, mają przyjechać wszyscy razem! Niech sobie Szikszay weźmie Melindę do pomocy i wyciągnie Juniorów z tej przedmiejskiej nory.

Henryk Herczeg-Gyula Szikszay ma wyrzuty sumienia, kiedy błądzi w ponurej okolicy, potyka się na ciemnej, brzydkiej klatce schodowej zdążając na pierwsze piętro do mieszkania Juniorów, żal mu dawnego przyjaciela, hrabiego Hektora, sam czuje się winny, że Junior tak nisko upadł, straszny jest ten mitologiczny gniew, którym teściowa prześladowuje piękną pannę Gacséry, przynajmniej jemu nie wolno było opuszczać Kalmana i godzić się z argumentami kupcowny, że jeśli będzie pomagać Juniorowi, jego szwagier przez całe życie zostanie pasożytem tuczającym się cudzą krwią, nigdy nie nauczy się

pracować, nigdy nie spoważnieje. Kiedy wchodzi do mieszkania Jablonczaych, są tak zaskoczeni, że słowa więzną im w gardłach, wygląd Emmy nie zostawia żadnych wątpliwości: w najbliższych tygodniach zostanie ponownie matką. „Gyula zaczął gryźć srebrną gałkę laski - wspominała Melinda - a ja wyobraziłam sobie, co powie mama, kiedy się wyda, że na próżno zabieramy Lenke, bo lada dzień zjawi się następne dziecko, którym znów będzie nas można szantażować. To była wielka chwila, kolosalna. Lenke całowała wszystkich po kolei, dygała, miała dziurawe pończoszki i słuchała z zachwytem, że wkrótce pojedziemy pociągiem, ubrali ją w jakiś czerwony płaszczyk i biały futrzany kapturek, a twarz miała tak białą jak to futerko. Już wiedzieliśmy, nie trzeba było nawet pytać, dlaczego Kálmánowie nie chcą z nami jechać, Gyula dał twojemu dziadkowi pieniądze, a potem zabraliśmy się. Rzeczy twojej matki były zapakowane w jakąś haftowaną torbę, Emma wypychała nas obiema rękami, ona jeszcze nie wiedziała, że nie dostanie więcej Lenke. Kálmán płakał, a Gyula niespodziewanie zaczął kląć, mówił paskudne rzeczy i nikt mu nawet nie zwrócił uwagi, tylko Emma wpatrywała się w niego wielkimi oczami, nie rozumiała, co mu się stało. Lenke z wielkim triumfem zbiegła po schodach, gdzie spotkaliśmy jakąś okropnie wyglądającą sąsiadkę, i mała pochwaliła się jej, że jedzie do babci, przełękła się dopiero wtedy, gdy wsadziliśmy ją do powozu, a Kalman i Emma stali na ulicy, wtedy wyciągała do nich rączki, ale odjechaliśmy. W pociągu robiła taki cyrk, że musiałam ją zbić, długo pociągała nosem, aż wreszcie zasnęła. Lekko ją zbiłam, nie denerwuj się. Zobaczylabyś, jak niewinny Gyula, który nie miał z tym wszystkim nic wspólnego, tylko przywiózł nowiny od twoich dziadków, dostał po buzi, kiedy wyjąkał, że Juniorowie nie przyjadą, bo według niego Emma za parę tygodni urodzi. Lenke stała pośrodku pokoju, wtedy już nie płakała, tylko patrzyła, a na jej twarzy, pod nosem, na opuchniętych wargach widać było ślady łez. Potem mama uspokoiła się i usiadła, jak gdyby' nogi odmówiły jej posłuszeństwa. «Nie mogę walczyć z tosem» - powiedziała. Nie do mnie, nie do Gyuli, lecz do siebie samej."

Dwadzieścia pięć lat później to samo zdanie padnie raz jeszcze. Wypowie je Lenke Jablonczay do swej przyjaciółki, Belli Bartók, w domu przy ulicy Nyomtató, kiedy odnowi się gruźlica Béli Majthényiego, a ona zrozumie, że teraz nie może się rozwieść, musi z nim zostać, że nie ucieknie aż do chwili jego śmierci. „Nie mogę walczyć z losem.”

Moment, kiedy w marcu 1889 roku zdejmują czteroletnią Lenkę z powozu przed domem przy ulicy Kismester i stawiają zrozpaczone, wyczerpane płaczem, nie stawiające już nawet oporu dziecko przed wielkim podjazdem dla powozów osłoniętym dachem ze szklanych oczek, na zawsze utrwalił się w pamięci mojej matki, niekiedy opowiadała nam o tym, a nas zadziwiała ostrość obrazu. Melinda-Gizella wcale nie pamiętała tego momentu tak dokładnie, a przecież była już dorastającą, szesnastoletnią panienką, widocznie musiała zwracać uwagę na inne, pozornie bardziej istotne sprawy. Przyjazd mojej matki do domu Marii Rickl dla każdego z jego mieszkańców na pewno oznaczał coś innego: dla mojej prababki był czymś w rodzaju triumfu, bo teraz nie mogła już mieć najmniejszych wątpliwości, co czują w tej chwili lekkomyślna kobieta i ten słabeusz. Uległość Kálmána wskazywała wyraźnie na to, że skoro zgodził się oddać córeczkę, prędzej czy później wyrzeknie się też, w zamian za materialne zabezpieczenie, Emmy Gacsóry i kręta rzeka jego życia da się jeszcze wyprostować poprzez odpowiednie małżeństwo. Melinda na pewno była zmęczona, to ona musiała całą drogę trzymać w karkach nowego członka rodziny, który kopał, wreeszczał i zapłakiwał się na śmierć, kiedy wyszło na jaw, że wcale nie jedzie na spacer z tą dwójką obcych, lecz wywożą go daleko w nigdy nie widzianą okolicę, Bóg wie dokąd, postukującym, strasznym pociągiem, a ojca i matki ani śladu. „Nawet nie kłamali -- opowiadała moja matka - nikt mi nie obiecywał, że już jutro, pojutrze, czy choćby za dwa tygodnie wrócę do rodziców. Nagle bez słowa pociechy czy wyjaśnienia znalazłam się w Debreczynie na progu jakiegoś domu, o którym przecież już dawno zdążyłam zapomnieć, i wprowadzili mnie do

środka niczym bezpańskiego psa. Wołałam mamą, ciągle tylko mamę. Wtedy twoja prababka powiedziała, że i mama, i ojciec oddali mnie jej, a ty, Gizi, też dorzuciłaś, że nie byłam im potrzebna, więc mnie podarowali." „A co, może byłaś im potrzebna? - zapytała Melinda-Gizella. - Przecież cię oddali. Na początku omal wszyscy nie dostaliśmy z tobą bzika, najchętniej wyrzuciłabym cię przez okno." „Zabrali mi moje sukienki" - rzekła matka. „Naprawdę? - zapytała Melinda-Gizella. - o tym zapomniałam." „Ja nie - spojrzała na nią Lenke Jablonczay. - Zabrali mi wszystko, co miałam, siedziałam goła, i ciotka Klári owinęła mnie czymś, a potem zamiast dawnej, dostałam inną sukienkę." „Aha - przypomniała sobie w końcu Melinda. - Oczywiście. Twoja zwariowana matka sama szła ci sukienki, w takim samym fasonie jak swoje, wyglądałaś jak czteroletnia kokotka, miałaś pantofelki z kokardami, a na pupie małą tiurniurę. Trzeba cię było przyzwyczaję ubrać, więc ciotka Klári coś ci tam przyniosła, na pewno z moich starych rzeczy." „To były ohydne szmaty" -- oznajmiła moja matka. „Tylko nie ohydne! -- warknęła Melinda. -- Mogły być stare, ale nie ohydne. Zresztą jeśli o mnie chodzi, pamiętam tylko, że bez przerwy ryczałaś, czy cię kto bił, czy nie, twoja matka chrzestna chciała cię codziennie odwiedzać, ale nie wpuszczałyśmy jej, nie chciałyśmy, aby szpiegowała."

Tego dnia, kiedy Lenke Jablonczay przybywa do Debre-czyna. w domu przy ulicy Kismester brak tylko jednej lokatorki, żony Henryka Herczega-Szikszayego, Margit, która ma już troje własnych dzieci. Poza nią są wszyscy w komplecie: oprócz Marii Rickl i dwóch Parek, Ilony i Melindy, mieszka tam Senior, on też już jest sparaliżowany i nie wychodzi z pokoju, a także Imre, który zbliża się już do dziewięćdziesiątki i, choć po wylewie do mózgu nie może chodzić, nic mu poza tym właściwie nie dolega. Z tyłu od podwórza jest dwóch lokatorów, a w suterenie mieszkają dwie pokojówki-- Annus i Agnes, oraz kucharka - ciotka

Ciotka Klári i Agnes były siostrami, obydwie dostały się do domu Ricklów z któregoś majątku Anselmusów. Zaczęły służbę u Jablonczaych w 1867 roku, kiedy to po licytacji

Kóselyszeg Maria utraciwszy swój posąg wróciła do Debreczyna i matka oddała jej dwie najlepsze służące z własnej, doskonale wytresowanej służby: niech przynajmniej doświadczone ręce pomogą jej w rozszalałym nagle oceanie kłopotów. Dziewczęta Szfics przyszły do domu Ricklów jeszcze jako małe piastunki i Jozefa Brunner wychowała je w takiej samej moralności jak swoje dzieci, ucząc je tego, co to jest godna postawa, opanowanie, czystość, cnoty gospodarskie, oszczędność i uczciwość. Agnes była osiem lat starsza od swojej pani, Klári równe dziesięć i, choć obydwie były rozmarzone w obecności Seniora, jak wszystkie kobiety, i również w swoim czasie znalazły się obydwie pod urokiem Kílmánka, to jednak patrzyły na mężczyzn tej rodziny jak na motyle, powstrzymywały się, aby ich nie zabić, gdy za bardzo trzepoczą skrzydełkami. Po ciotce Klári została fotografia, po Agnes nie, wiem tylko o niej od mojej matki, że była wyblakłą dziewczyną, miała wyblakłe włosy i oczy, a nieposzlakowanie czysta, mocno wy- krochmalona suknia pokojówki wydzielala zawsze woń rumianku. Ciotka Klári na fotografii siedzi na tle jakiegoś zacierającego się krajobrazu, wydaje się, że jest za nią jezioro i rosną topole lub cyprysy; opiera się łokciami o blat wiklinowego stołu, ma czarną suknię do ziemi, na głowie czarną jedwabną chustkę, na ramionach coś w rodzaju mantylki z frędzlami, a fałdy spódnicy wskazują na to, że uszyto ją również z jedwabiu. Twarz, która patrzy ku nam spod chustki, powinna raczej należeć do mężczyzny, jest to bowiem taka twarz, która nawet w młodości musiała robić wrażenie skleconej naprędcy i grubo ciosanej, ale jej czoło jest niezwykle wysokim czołem mężczyzny-naukowca. Gdy kładę przy tym zdjęciu zdjęcia Marii Rickl lub choćby mojej pięknej matki, zawsze ogarnia mnie zakłopotanie, bo widzę pewne podobieństwo w kształcie czaszek, sklepieniu czoła, linii warg - czy to możliwe, że ciotka Klári też należała do rodziny, że Anselmus U bardziej niż należało zachwycił się którąś z uroczych wiejskich dziewczyn?

Ciotka Klári nosi na tym zdjęciu prawdopodobnie jedną z sukien swojej pani, co, więcej, ten strój od razu przywodzi na myśl przyszły pogrzeb: to taki czarny jedwab, który chce mieć każda rozsądna kobieta, aby potem nie było jej wstyd, kiedy stanie przed Najświętszą Panią. Ustalona przez siebie war-

tość sukni Maria Rickl na pewno odliczyła z wynagrodzenia ciotki Klári: gdy przeglądam księgi gospodarskie mojej prababki, widzę, że swoją starą suknię ze zgrzebnej wełny oceniła na dwa forinty obciążając nimi rachunek pokojówki Agnes Szucs, również na dwa forinty określa cenę pary używanych trzewików. Służące, jak można stwierdzić z ksiąg Marii Rickl, chodziły latem w kretonie, zimą w perkalu lub wełnie zgrzebnej i fartuchu, pończochy nosiły niebieskie, pantofle skórzane, strój służbowy miały z lustryny. Po licytacji Kóselyszeg Maria Rickl przywozi z majątku Jablonczaych pokojówkę o nazwisku Anna Kis, trzy dziewczyny nie mają ani chwili wytchnienia. Ciotka Klári gotuje, Agnes usługuje i sprząta, Anna Kis dba o paralityków i lokatorów, i tak ledwo mogą nadażyć z robotą, a tu tymczasem pojawia się w domu czteroletni, krzyczący za matką brzdąc, który siedzi nagusieńki na stole, otulony w lniany ręcznik, i od razu trzeba gnać przez tę smarkulę na strych i odnaleźć dziecinne sukienki któreś z pańienek, żeby można ją było ubrać jak przystoi chrześcijańskiemu dziecku. Kiedy się do niej zabrały, moja matka wierzgała, krzyczała, wiała się, a ciotka Klári myjąc ją i ubierając myślała zapewne o Emmie Gacsary, która w pokoju od podwórza czytywała niegdyś romanse, wypluwała na podłogę pestki ze śliwek, bo nawet się jej nie chciało przynieść sobie talerzyka i wołała jeść owoce z torebki, fryzowała włosy i sprzeciwiała się, kiedy jej polecano, aby wypełniała swoje obowiązki, zamiast się próżniaczyć. No więc ta smarkula nie będzie takim rozpustnym darmozjadem, wystarczającym ciężarem jest Senior, który tronuje w swoim fotelu, i stary Imre, który nic chce umrzeć, a przecież trzeba jeszcze wydać za żonę Ilonę, pozbyć się Cl i ze 11 i - ciotka Klári jest świetnym pedagogiem. Na dzieciństwo mojej matki oddziałują dwie siły: bardziej zróżnicowana, subtelniejsza Melindy i jednoznaczna, zdrowsza przy całej swej brutalności - ciotki Klári.

O tych pierwszych latach wiem niewiele, moja matka me lubiła mówić o procesie, w wyniku którego stała się przydatnym i pożytecznym członkiem rodziny zamieszkałej przy ulicy Kis- mester, a jaki musiał być ten okres, informowała nas w formie negatywnej, nie pozytywnej, nie przypuszczając zresztą, że o czymś informuje. Przytulała mnie nawet wtedy, gdy nic nie uzasadniało tej czułości, do dziś pamiętam z dzieciństwa jej

głos, który woła w niebieskawym półmroku naszej sypialni: „Nie oddam cię nikomu! Nikomu! Słyszysz?” Dziwiłam się, bo dlaczego miałaby mnie oddawać i komu, najwyżej ojciec by mnie zechciał, ale przecież i tak w połowie należałam do niego, uzgodnili to jeszcze przed moim przyjściem na świat i zawsze byłam dumna, że nic tylko mnie sobie zamówili, ale też podzielili się mną, zanim się jeszcze urodziłam. „Mnie oddali”-mówiła dalej i tuliła mnie tak mocno, jakby ktoś chciał mnie jej odebrać.

Ponieważ nikt nigdy jej nie powiedział, w jaki właściwie sposób i dlaczego odeszła od swoich rodziców - o tym, jaką kobietą była Emma Gacsóry dowiadywała się tylko od mieszkańców ulicy Kismester, nigdy też nie wolno jej było spotykać się z matką bez świadków, ojciec zaś ze wstydu unikał rozmów (a gdyby nawet mógł mówić, co by jej powiedział? Zanim moja matka dorosła na tyle, że byłaby zdolna pojąć tragedię tych dwojga, Emma Gacsóry i Junior upadli tak nisko, że historia żadnego z nich nie nadawała się dla uszu młodej dziewczyny) - byli dla niej bardziej martwi, niż gdyby naprawdę umarli. Smutek dzieciństwa krył się w tym prostym zdaniu: „Mnie oddali”, które tłumaczyło również, dlaczego za czasów mojego dzieciństwa zostawiała mnie samą tylko wtedy, gdy o to prosiłam, bo chciałam pisać „wiersz” lub „powieść” albo razem z moją przyjaciółką, Agancsos, układałyśmy dramat sceniczny. Zwyczaj, aby nie spuszczać mnie z oka, zachowała Lenke Jablonczay aż do śmierci, ileż to razy zdarzało się, już w naszym peszteńskim mieszkaniu - gdy do późnej nocy byli u nas goście, którzy jej nie interesowali lub z którymi nie chciała się spotkać i jeszcze przed ich przyjściem zamykała się w swoim pokoju--że nagle za moimi plecami odrobinę uchylały się drzwi. Wiedziałam, że stoi tam w szlafroku i nocnej koszuli, jak zwykła to czynić za czasów mojego dzieciństwa, kiedy z jakiegoś powodu płakałam; stoi i patrzy, czy nie dzieje mi się jakaś krzywda, robiła to nawet wtedy, gdy wiedziała, że jest przy mnie mąż, kiedy mogła być pewna, że nic nie może mi się przydarzyć. Za czasów mojego dzieciństwa też bywały osoby, które podejmowały się pilnowania dzieci, gdy ich rodzice wychodzili z domu, ciotka Piroška zawsze chętnie zaopiekowałaby się mną, przecież tak bardzo mnie kochała - ale matka nie ruszała się ode

mnie na krok. Nie tylko przez naszą złą sytuację materialną rozluźniła stosunki towarzyskie, wywalczyła dla nas tyle, że z pewnością, gdyby jej na tym bardzo zależało, rozwiązałaby też problem gości, ale to ona sama przecięła dawne więzy, nie przyjmując takich zaproszeń, które oznaczały, że muszę zostawać w domu sama ze służącą. Kiedy dorosłam i zaczęłam chodzić własnymi drogami, dopóki mieszkaliśmy jeszcze razem w naszym dawnym mieszkaniu, zawsze na mnie czekała, choćbym nawet miała wrócić późną nocą, siedziała przy ładnym mahoniowym stoliku, w zarzuconej na ramiona chustce i układała pasjansa zerkając to na zegar, to na drzwi. Nigdy nie chciała zostawiać mnie samej, bo mała Lenke Jablonczay dobrze poznała samotność. Miała cztery lata, kiedy zaczęła się uczyć przerażających godzin nocy.

▷^L~ Miejsce do spania wyznaczono jej w pokoju dziewcząt, na opuszczonym łóżku Margit, Ilona tak samo jak Melinda wzdragała się przed narzuconym im nagle dzieckiem - na jego widok zamiast uwielbianego brata przychodziła im na myśl znieawidzona szwagierka, były szczęśliwe, gdy mogły się pozbyć dziewczynki, więc zrzuciły opiekę na ciotkę Klári. Po kolacji mała była niemal zawsze sama, kładła się do osieroczonego łóżka Margit, które stało najbliżej drzwi i wisiała nad nim haftowana taśma dzwonka, mającego budzić śpiące w pokoju przy kuchni służące. Maria Rickl miała jeszcze dwie córki na wydaniu, z powodu Ilony i Gizelli musiała bywać w teatrze, na balach i rodzinnych spotkaniach, w takie wieczory posyłano małą wcześniej spać. Już kiedy szykowały się do wyjścia, Lenke leżała w łóżku i przyglądała się strojącym się ciotkom, upiększającej się Ilonie i Meiindzie, która wpinała wkładki we włosy i powiększała płaskie piersi podkładkami z tiulu. Potem zostawała sama z różnymi szmerami, gałęziami, które ocierały się o szyby, z nieoczekiwanymi skrzypnięciami, toczącymi się po podłodze orzechami, niekiedy z ogniem, który zrazu rozgrzewał do czerwoności drzwiczki pieca, ale potem wygasał, i wtedy przychodziła ciemność. Nigdy nie wspominała, co widziała w godzinach samotności, jakie to były obrazy, ale że te igraszki wyobraźni były przerażające, dowiedziałam się z tych kilkunastu bajek, które zostały mi w spadku po jej śmierci. Wynikało to też z historii dzwonka, którą mi czasem opowiadała, z uśmie

chem wspominając swą dziecinną postać, jak zropaczona staje na łóżku i szarpie, targa zwisającą na ścianie haftowaną taśmę, na której widać delikatne róże i dwie splecione dłonie: niech ktoś przyjdzie tu do niej na górę! Na wezwanie biegła osobiście ciotka Klari, na początku sądziła, że mała odzwyczai się od dzwonięcia, jeśli dostanie porządne lanie, kiedy jednak dziewczynka - choć z góry płakała na myśl o czekającym ją biciu -- niezmiennie szarpała taśmę, donosząc o swoim strachu, przestała ją karcić, rozwiązała problem zwijając i umocowując taśmę od dzwonka tak wysoko, że moja matka nie mogła jej już dosięgnąć nawet z łóżka. Panienci Ilona i Gizella i tak sobie poradzą, jeśli będą czegoś chciały, a mała Lenke niech się wreszcie przyzwyczai do ciemności. „Potem już tylko się bałam - opowiadała rzeczowo. -- Właściwie wszystkiego, ale nic nie było tak straszne jak Kulawy.”

Kulawy był potworem z prywatnej mitologii Melindy-Gizelli; spośród dzieci Marii Rickl Kśmśn i Melinda odziedziczyli najwięcej z jablonczayowskich talentów literackich i wielką siłę wyobraźni; stałe oczekiwanie Melindy na katastrofę, koniec świata, kryzys polityczny czy rodzinny było bocznym pędem tej samej fantazji co Kulawy, którego wymyśliła, aby straszyc nim małą córeczkę Emmy Gacsśry. Kiedy dziewczynka nie wytrzymała już samotnego dygotania w ciemnym pokoju, z mocno bijącym sercem wyslizgiwała się na korytarz w poszukiwaniu kogoś, z kim mogłaby podzielić swój strach. Wiedziała, że na ciotkę Klari nie ma co liczyć, do kuchni i tak nie ośmieliłaby się zejść, dostałaby tam najwyżej lanie, skradała się więc w stronę, skąd dochodziły głosy, do tylnego korytarza, gdzie mieszkali weseli starsi panowie. Obydwaj cierpieli na bezsenność i zwalczali osamotnienie zgodnie ze swymi temperamentami: Senior, dopóki Maria Rickl i dziewczęta były w teatrze lub na jakimś przyjęciu, czytał, Bluźnierca śpiewał. Wiedział, że teraz nikt nie przywoła go do porządku, wykrzykiwał więc na całe gardło ordynarne piosenki. Moja matka ledwo mogła dosięgnąć wysokiej klamki, ale jakoś dostawała się do dziadka, w świetle lampy patrzyli na siebie dziecko i sparaliżowany Senior. Obydwaj Jablonczayowie cieszyli się odwiedzinami małej, żyli w tak haniebnym odosobnieniu, że te wizyty były wydarzeniami oczekiwanymi i upragnionymi. Senior wycinał jej z papieru rozma-

te, czarodziejsko zawile wzory i opowiadał o bohaterach, rozbójnikach, koniach, gwiazdach i greckich bogach, jak niegdyś własnym dzieciom, a Imre kazał jej tańczyć. W naszym mieszkaniu przy ulicy Hunyadiego, tej samej, którą zmiotł z powierzchni ziemi amerykański nalot dywanowy, gdzie matka pomalowała ściany mojego pokoju w złote i czerwone ptaki, wisiała czerwona, haftowana kieszka, coś w rodzaju futerału na szczotki, tylko znacznie bardziej ozdobna i szersza. Po śmierci Marii Rickl, przy podziale majątku, mojej matce pozwolono wybrać sobie jakiś drobiazg, bo -- jak twierdziły Parki -- kupczyna dając jej taką bogatą wyprawę ślubną i tak zrobiła więcej, niż przewidywały to jakiegokolwiek prawa czy ustawy. Moja matka wybrała czerwoną kieszka, w której Bluznierca trzymał cukierki, sekretne nocne smakołyki. Nie dostawała ich za darmo, musiała na nie zapracować, czteroletnia Lenke Jablonczay ruszała więc w samotny taniec na wytartym dywanie w pokoju pradziadka - do pokoi wesołych staruszków wyrzucało się przy ulicy Kismester wszystko, czego nie można już było pokazać gościom - podkasywała długą koszulkę i wirowała, kłaniała się, dygała, a przy każdym udanym ruchu Imre rzucał jej cukierki, których nigdy nie umiała złapać. Łakocie spadały na ziemię, szukała ich na czworakach jak zwierzątko. Pewnego razu babka i ciotka wróciły wcześniej i otworzyły drzwi Imrego właśnie podczas jej występu, tej samej nocy narodził się Kulawy, który mieszkał za drzwiczkami pieca na korytarzu, obok wejścia na strych; był straszny, groźny, czarny i dniem, i nocą obserwował Lenke Jablonczay. W dzień jego potęga nieco malała, ale nocą był wszechmocny: jeśli Lenke ośmieli się wyjść z pokoju, od razu porwie ją ze sobą do piekła. Odtąd moja matka nie śmiała już odwiedzać starszych panów; w skrzydle frontowym nie chciano jej oglądać, Maria Rickl nie była ciekawa dziecka Emmy Gacséry. Dziewczynka wałęsała się więc po ogrodzie, gdy znalazła jakąś kulkę, bawiła się nią, chętnie też zaofiarowałyby swoje towarzystwo lokatorom, ale i od nich ją wyproszone. Jedna z kotek okociła się, zatrzymano wszystkie jej małe, Melindzie bowiem zawsze towarzyszyły zastępy zwierząt. Moja matka wpuściła kociaki do beczki z deszczówką, niech się wykąpią, niech będą czyste, i zdziwiła się, kiedy poszły na dno. „Patrzcie, mała morderczyni i powie-

działa o czteroletnim dziecku służąca Agnes. - Patrzcie, nieodrodna córeczka swojej matki." Ułożyła pod nogami przerażonej dziewczynki potopione kotki, potem zawołała przez prowadzące do sutereny drzwi: „Klári, chodź no tu, zobacz, co zrobiła Lenke Gacsári!" „Jablóczay-rozplakała się moja matka.-Ja się nazywam Jablóczay!" „Gacsári!"-rzekła Agnes i wrzuciła kocięta do fartuszka mojej matki, żeby je zaniósła do domu i pokazała ciotce. Lenke zerwała z siebie fartuszek i uciekła. Wieczorem znalazła przed łóżkiem osobliwie wydłużone, gładkie trupki: ciotka Klári tego wieczoru wyjątkowo zostawiła w pokoju zapaloną lampę, niech mała się napatrzy, co zrobiła, zanim panie wrócą z teatru.

Dom przy ulicy Kismester był duży. Nie tylko w oczach dziecka. W ogromnej łukowato sklepionej bramie, przeznaczonej dla powozów i furmanek, która dzieliła budynek na dwie części, czekały na pieszego przybysza niewielkie drzwi. Z lewej strony wchodziło się po paru schodkach do długiego, wąskiego przedpokoju, gdzie całą ścianę zajmował wieszak z lustrem, połączony ze stojakiem na laski i parasole, i gdzie, jak u modystki, sterczały na osobnym stoliku podstawki na męskie i damskie nakrycia głowy. Książka Róży Kalocsy, według której cywilizowano również moją matkę, nie znała w tym względzie żartów, gość w dobrym towarzystwie nie odkładał kapelusza, nawet w bawialni trzymał go za brzeg runda gdzieś w okolicy kolan, jak na obrazie Tihamera Margitayego Dobra partia, i mógł się z nim rozstać tylko na wyraźne polecenie gospodarzy, a wtedy kładł go na dywanie lub pod krzesło. Z przedpokoju ci. których tam wpuszczano, wchodziło do salonu, stamtąd do jadalni, a z jadalni do pokoju Marii Rickl; wszystkie okna tych trzech pokoi wychodziły na ulicę Kismester, dokładnie w tym miejscu, gdzie dziś przy ulicy Bethlena stoi w Debreczynie wielki budynek przychodni lekarskiej. Dawny budowniczy tego domu podzielił front w dziwny sposób: podłoga tych pomieszczeń zmieniała nagle poziom, załamywała się i po trzech drewnianych stopniach schodziło się dobre pół metra niżej, co stwarzało nieograniczone możliwości dla fantazji lokatorów urządzających wnętrza, ale utrudniało rozstawianie mebli i poruszanie się po frontowych pokojach. Inne drzwi prowadziły z przedpokoju do szerokiego, oszklonego korytarza, skąd wchodziło się do

pokoju od podwórza, w zielonych skrzyniach z uchwytami czekały tu na zagładę - która prędzej czy później musiała przyjść - nigdy nie owocujące przekłete drzewka figowe i cytrynowe obu Parek. Obok sypialni Marii Rickl mieszkały dziewczęta, w ich sąsiedztwie, w dawnym królestwie Kślmśna - Senior, a w dawnym pokoju gościnnym Bluźnierca. Na ścianach pokoi od strony korytarza czerniło się królestwo Kulawego, czyli zamykane żelaznymi drzwiczkami jamy pieców, gwizdzące i grające w nocnym wietrze gardziele. Z prawej strony bramy było wejście do dwóch niewielkich pokoi, których okna wychodziły na podwórze, a pierwszy miał dodatkowo ślepe okno od frontu. W obydwu mieszkali lokatorzy, ale był też jeszcze jeden, dalszy pokój, w którym trzymano magiel, deski do prasowania, stolik dla krawcowej, która co pewien czas przychodziła do domu szyć, i wszystkie przedmioty, z którymi kupcówna nie mogła się rozstać, ale nie chciała ich widzieć przy sobie; Lenke Jablonczay długo nie zdawała sobie sprawy, że kiedyś tam mieszkała, że tam właśnie razem z Ernóke i Emmuską baraszkowali obok swej pięknej matki na nigdy nie zasłanym łóżku, że wokół kołyski Emmuski walały się stosy śmieci i romansów w czerwonych okładkach. Strome schody prowadziły z bramy do kuchni w suterenie i pokoi dla służby, zaś na samym końcu podwórza znajdowała się stajnia przeważnie pusta i zamknięta na kłódkę, bo przecież konie były w Pallag. Sypialnię Marii Rickl od pokoju dziewcząt dzieliła łazienka bez okna, z której wychodziły drzwi na dwie strony, ale miały z niej prawo korzystać tylko kobiety; Senior i Bluźnierca i w ablucjach pomagała im Annus - mieli porcelanową miednicę. Maria Rickl miała też w pokoju miskę klozetową z deską obciągniętą gobelinem, z której dziewczęta mogły korzystać jedynie w chorobie. Ubikacja, ukryta wstydliwie za krzakami bzu, opleciona była dzikim winem; latem utrudniały zaspokojenie naturalnych potrzeb brzęczące w niej muchy, zimą przenikający przez deski mróz. Weseli starszankowie zaś dzwonili, żeby Annus przyniosła im basen. Drewniane schody na końcu domu prowadziły na strych i przecięte były niewielkim podestem, przypominającym ambonę myśliwską; był on bardzo potrzebny, bo trudno byłoby bez odпочynku dźwigać po wąskich schodkach ciężkie worki, natomiast na podeście, który znajdował się na wysokości pierw

szego piętra i miał powierzchnię jednego metra kwadratowego, można było wygodnie odpocząć, a nawet rozejrzeć się dokoła, jeśli chciało się zobaczyć wieże i domy Debreczyna.

Z punktu widzenia służby nie można było sobie chyba wyobrazić mniej wygodnego domu, nie tylko dlatego że trzeba było sprzątać te wszystkie pomieszczenia i obsługiwać ich mieszkańców, ale także z tego powodu, że służące wciąż biegały po stromych schodach nosząc od świtu do nocy brudne naczynia, pełne talerze, opał, nocniki Marii Rickl i wesołych staruszków. Senior, od razu kiedy się tu tylko wprowadzili, oznajmił, że jest dość miejsca po prawej stronie, obok pokoju lokatorów, można więc przenieść służące z suterenu lub przynajmniej urządzić tu kuchnię, ale Maria Rickl nawet mu nie odpowiedziała. Spiżarnia znajdowała się również w suterenie, jej okna oczywiście wychodziły na podwórze, przez metalowe siatki ochronne nawet latem nie mogły się tam dostać żadne zwierzęta. Między skrzydłami budynku był ogród kwiatowy, a pod krzakami bzu i jaśminu kręciło się raz mniej, raz więcej zwierząt. Koty były zawsze potrzebne z powodu myszy, psy dla „ochrony” domu, ale, rzecz jasna, wcale nic dlatego je trzymano, każdy z Jablonczaych czuł się nieszcześliwy musząc obchodzić się bez towarzystwa czworonogów. Bywały czasem w domu przy ulicy Kismester także znalezione na ulicy, zażywające rozkoszy tymczasowego schronienia Zwierzęta, które później wywoziło się do Pallag.

Do wszystkich posiłków zasiadano w jadalni i trzeba było poważnie się rozchorować, aby dostać jedzenie do pokoju, a godziny śniadań, obiadów i kolacji były tak niezmiennie, że każdy, kto chciał utrzymywać stosunki z mieszkańcami domu przy ulicy Kismester, musiał przystosowywać do nich godziny ślubów, pogrzebów i innych wydarzeń towarzyskich i rodzinnych. Kupcówna zawsze zjawiała się ostatnia i dzwoniła na pokojówkę, że może podawać, reszta zaś rodziny siedziała wyprostowana na niewygodnych krzesłach. Posiłki były przeważnie tak gorące, że ludziom trzaskały zęby, i było to zasługą ciotki Klari, której tyle razy odsyłano nieco ostygłe, niesione w siarczysty mróz przez niemal pół podwórza dania - służbie nie wolno było wchodzić do przedpokoju z bramy, docierała do jadalni tylko przez oszklony korytarz - że później wysyłała

wszystkie posiłki tak wrzące, aby już nikt nie miał do niej pretensji; przynoszona zupa nadawała się do parzenia drobiu przed skubaniem. Zawsze z podziwem patrzyliśmy wraz z ojcem na moją matkę i Melinę: my nie mogliśmy nawet utrzymać filiżanek, a one natychmiast wypijały swoją kawę, jak gdyby w młodości karmiono je ogniem.

Część umeblowania widziałam na własne oczy, w późniejszym mieszkaniu Melindy stał wiśniowy komplet salonowy, skórzane meble Seniora i dostojny, rzeźbiony niemiecki komplet stołowy. Barokowy imbryk do herbaty Marii Rickl po śmierci Melindy dostał się mojej matce, później mnie, tak samo jak cztery czerwone, prostokątne filiżanki do czekolady na małych nóżkach i piękne wazony kupców (na jednym myśliwy w rokokowym stroju, który wraz z psem podgląda na drugim wazonie uroczą damę chłodzącą nogi w strumieniu). Te dwa uzupełniające się wzajemnie, osobliwe wazony natchnęły Lenke Jablonczay do poważnych rozmyślań, mojej matce wydawało się, że rozwiązała ich tajemnicę, i próbowała połączyć zakochanych. Kiedy już mogła osiągnąć do serwantki, poprzestawiała muzealnej wartości porcelanę i przyłapaną na gorącym uczynku daremnie płakała, że ona tylko chciała, aby ten pan i ta pani mogli się wreszcie spotkać, dostała porządne lanie za to, że naraziła na niebezpieczeństwo tak cenne przedmioty. Spośród mebli -- o ile oczywiście można go nazwać w ten sposób - stoi w moim obecnym domu tylko jeden: obity aksamitem podnózek, na którym kwitną nigdy nie płowiejące róże, jedna różowa, jedna purpurowa i jedna żółta. Maria Rickl haftowała je w okresie narzeczeństwa, ale gdy na nie patrzę, nie myślę ani o prababce, ani o Seniorze, tylko o dziecku, które siadywało na nim przy posiłkach w domu przy ulicy Kismester.

To wspomnienie sprzed niemal pół wieku. Byłyśmy akurat z matką w mieszkaniu Melindy, przewróciłam podnózek i ukucnąwszy między nogami drewnianego szkieletu próbowałam wiosłować rękami po szalejącym w mojej wyobraźni oceanie. Melinda gniewnie zwróciła mi uwagę, żebym nie niszczyła jej mebli, i zaraz dodała, że moja matka odnosiła się do niego z większym szacunkiem, ani drgnęła siedząc na nim przy obiedzie czy kolacji. Matka uśmiechnęła się, rozmawiała z Melindą o przeszłości, ja zaś nie słuchałam, bo bardziej tntereso-

wała mnie terazniejszość, a bardziej od terazniejszości przyszłość. Ze ten podnóżek był krzesłem mojej matki, a stołek przykryty serwetką zastępował jej stół, nie wydawało mi się nawet zabawne, zapamiętałam to sobie, ale właściwie nie byłam ciekawa. Sama będąc jeszcze dzieckiem nie chciałam sobie wyobrazić mojej matki jako małej dziewczynki. Matka była matką, osobą dorosłą, moim bezpieczeństwem, podporą w świecie, nawet nie próbowałam sobie wyobrazić jej dawnej twarzy ani łez.

A przecież na tym podnóżku płynęły niegdyś strugi łez. Matka tamtej kuzynki, u której znalazłam' zdjęcie Emmy Gacsóry, bywała częstym gościem przy ulicy Kismester i zapamiętała obraz skulonej na podnóżku Lenke Jablonczay, którą na początku próbowano sadzać przy stole, ale wszystko leciało jej z rąk, wszystko przewracała w ogniu kierujących się ku niej spojrzeń i krzycząc ze strachu opierała się rączkami o wylane jedzenie. Maria Rickl poleciła Melindzie karmić małą, Melinda jednak nie miała cierpliwości. Przez to, że przy każdym kąsie upuszczonym na obrus szczypała moją matkę lub ciągnęła ją za włosy, osiągnęła tylko tyle, że zanim jeszcze siadały do stołu, dziecko zaczynało płakać wołając, że nie chce jeść. Ilona była zakochana, głowę miała nabitą myślami o przyszłym małżeństwie, Melinda znudzona i zgryźliwa, Maria Rickl zmęczona: krzyczały na nią wszystkie trzy i niemal jednocześnie znalazły wyjście. Dopóki mała nie nauczy się porządnie jeść, niech ją karmią na dole w kuchni, niech się z nią męczy ta, która akurat ma chwilę czasu. Dziecko schudło tak bardzo, że kiedy lekarz domowy, doktor tJjfalussy, przyszedł do chorej na anginę Melindy i zobaczył snującą się po domu, chudziutką jak nitka, bladą dziewczynkę, zajrzał jej pod powieki i przepisał żelazo. Otoczenie Marii Rickl znalazło się tego dnia w nie lada opałach, zarówno córki jak i służące. Co za hańba, doktor Ojfalussy wyraźnie podejrzewa, że nie odżywiają małej, jak należy, ten, kto z nimi nie mieszka, i tak nie uwierzy, że w dziecku odżywa się już zła krew matki i że nie chce jeść, żeby tylko wszystkich denerwować. Ciotka Klári oznajmiła, że ona nie daje sobie rady z tym dzieckiem, przecież już nawet siłą otwierała mu usta przy karmieniu, ale mała raczej się udusi, niż przełknie. Lenke

Jablonzay wróciła więc do rodzinnego stołu, sama kupcówna zapowiedziała jej, żeby jadła jak ludzie, w przeciwnym bowiem razie zabierze ją Kulawy, moja matka z płaczem prosiła o wybaczenie, obiecywała, że będzie jadła, ale jak tylko zobaczyła sztuce i szklanki, zaczęła wymiotować; znów wezwano lekarza, któremu wreszcie trzeba było powiedzieć to, o czym mówiło się niechętnie.

Ojfalussy zaproponował, żeby na jakiś czas dać jej spokój, nie zmuszać do niczego, Melinda, której opiece znów powierzono dziecko, przyjęła polecenie dosłownie i w ogóle nie nakrywała dla mojej matki, sądząc, że jak się przegłodzi, to skończą się fanaberie. Ten okres życia mojej matki zakończyła zabawna historia z jajkami, której konsekwencje przetrwały do dziś. Mam dwie kuzynki, z którymi się nie spotykam, i wszystkie trzy pójdziemy do grobu jako spadkobierczynie pragniewu, bo nigdy nie wolno nam było poznać się i kochać, a przyczyną wszystkiego stały się cztery artystycznie malowane jajka mojej ciotecznej babki Ilony.

Wszyscy Jablonzayowie mieli zdolności artystyczne, Margit ładnie śpiewała, Ilona jako mała dziewczynka, a potem dorosła panna, znakomicie rysowała i malowała portrety, kwiaty, zwierzęta, pejzaże z natury i wyobraźni. Malowała na porcelanie, na drzewie, na papierze, nawet ja widziałam jeden z jej dziewczęcych obrazków przechowywany przez Melinę. Pewnego razu ugotowała na twardo cztery jajka i zaczarowała je w figurki przypominające postacie z angielskiego wiersza dla dzieci Humpty-Dumpty. Namalowała im wielkie głowy i tyrolskie stroje, dwa jajka przedstawiały chłopców w skórzanych spodenkach i kapeluszach ozdobionych miotełką ze szczeciny dzika, dwa zaś - tyrolskie dziewczyny z warkoczami. Ilona postawiła jajka na konsolce w przedpokoju, bo sprawiało jej przyjemność, gdy je podziwiano. Ktoś przy oglądaniu stłukł jedno z jajek, skorupka pękła i odskoczyła w jednym miejscu, Ilona jednak nie chciała go wyrzucić i zostawiła je na miejscu odwracając tylko uszkodzoną część do ściany. Moja matka, która wszystko widziała swymi wielkimi zielonymi, smutnymi oczami, zdziwiła się. Z całego narzekania, z odłupanej skorupki pojęła, że tyrolski chłopczyk nadaje się do jedzenia, jest zwykłym jajkiem, takim samym, jakie dostawała w niewiadomo

gdzie i kiedy istniejącym domu, z którego przywieźli ją do tego strasznego miejsca. Była głodna i nikt nie patrzył jej na ręce. Stłukła, obrała i niemal połknęła wszystkie arcydzieła Ilony. Ciotka nigdy jej tego nie wybaczyła, choć nic tknęła jej nawet palcem; po, prostu patrzyła na nią odtąd jak na powietrze; przyjmowała ją wprawdzie u siebie jako dorastającą panienkę - moja matka właśnie u niej, w Zilah, poznała nową literaturę węgierską szykującą się do wkroczenia na triumfalną drogę - ale kiedy kupcówna nie mogła już zmusić ich do utrzymywania stosunków, spotkania ustały raz na zawsze. Ja na przykład nigdy nie spotkałam się z Iloną, matka nie pokazała mi jej nawet na ulicy, a dzieci Ilony znam tylko z fotografii, zabawne, że bardziej nieprzebyte niż baśniowe góry rozdzieliły nas cztery tyrolskie jajka malowane przez młodszą siostrę mojego dziadka.

Skandal z jajkami był tak głośny, że wieść o tym, co zrobiła dziewczynka, dotarła za pośrednictwem Annus także do Seniora. Ojciec wezwał do siebie Gizeję. Kiedy najmłodsza córka weszła do jego pokoju, Senior, który był uosobieniem spokoju i pogodnej rezygnacji, przemówił do niej z niespodziewaną ostrością. Skoro takie dwie dorosłe panienki jak Ilona i Gizella nie potrafią sobie dać rady z tak mądrym i dobrym dzieckiem jak Lenke, nie zasługują na to, aby kiedykolwiek mieć własne dzieci, Od tej pory mają nakrywać małej Lenke w jego pokoju, on ma dość czasu, aby się nią zająć, a także nauczyć ją ładnego jedzenia. Dziwi się, że sprawy mogły zajść tak daleko, zarówno Melinda, jak i Ilona zbierają, pielęgnują i oplakują wszystkie chore i bezpańskie zwierzęta, czemu więc dręczą to niewinne dziecko, czyżby dlatego, że nienawidzą jej matki? A czy Lenke nie jest także z krwi Kílmána? Melinda posłusznie przyniosła haftowany w róże podnózek, potem stołek i serwetkę i powiedziała mojej matce, że odtąd ma chodzić na posiłki do Seniora. Lenke popatrzyła na nią tak, jak gdyby nie rozumiała, co się do niej mówi.

Lenke Jablonczay zachowała w pamięci te wszystkie godziny, które spędziła w towarzystwie dziadka, zasłuchana w zadziwiające bajki Seniora o mówiących kometach i o rumakach, których matką jest wiatr z Hortobágy, a które żywią się ogniem, żeby szybciej biegać. Senior nie mógł wstawać z fotela.

tylko dyktował mojej matce, w jaki sposób powinna jeść i siedzieć przy stole, a jego łagodne słowa sprawiały, że dziecko dokładało wszelkich starań, żeby mu tylko zrobić przyjemność. Od tej pory znaczną część dnia spędzała Lenke w pokoju Seniora albo w ogrodzie, w pokojach od frontu w dalszym ciągu nikt za nią nie tęsknił. Imre Bluznierca niekiedy dawał znać, że czeka na nią pełna cukierków kieszka na ścianie, niech więc przyjdzie zatańczyć. Moja matka szła chętnie, Peszt i obraz rodziców coraz bardziej zacierały się w jej pamięci, uciekała przed Parkami i babką, tańczyła i śpiewała starcowi albo przyciągała podnózek do fotela Seniora, kładła główkę na sparaliżowanych kolanach i słuchała, jak Senior wygrzebuje z zakamarków pamięci coś, co w swoim czasie było także ciekawe dla małej Melindy i małego Kślmśna - poezję. Lekarstwa, według wskazówek lekarza, podawała Seniorowi Melinda, pewien dodatkowy lek, który pizemyczał do jego pokoju nawrócony na dobrą drogę Henryk Herczeg, kazał sobie Senior podawać mojej matce, a Lenke z dumą nalewała świeżą wodę i wysypywała na srebrną łyżkę pigułki doktora Richarda, cudowny lek na dyskretne choroby. Moja matka przez całe życie brzydziła się sprawami płci, wzdrygnęłam się, kiedy przy zbieraniu materiałów do Staroświeckiej historii sprawdziłam, jakie to lekarstwo kazał sobie podawać pradziadek mojej matce, i okazało się, że były to składające się z gencjany i kamfory pigułki przeciwko chorobom wenerycznym, które nie mogły mu ani pomóc, ani zaszkodzić. Senior przejął także od Melindy funkcję czesania Lenke; zręczną i wciąż jeszcze silną ręką utrzymywał w porządku loki swojej wnuczki, a kiedy małą we wrześniu, w wieku niepełnych sześciu lat, zapisano do szkoły, sam także sprawdzał jej lekcje. Senior w ciągu ostatniego półtora roku swojego życia płał się w gorącej i wdzięcznej miłości małej Lenke, a we wrogim pancerzu Melindy, kiedy spoglądała na Lenke Jablonczay, otworzyła się cieniutka jak włos szparka. To było wprawdzie dziecko Emmy Gacsśry, ale także wierna służka Seniora, i Kślmśn Jablonczay starszy całkiem widocznie bardzo kochał wnuczkę. Ilona zachowała homerycki gniew z powodu tyrolskich jajek, najstarsza zaś Parka, Margit, nie życzyła sobie widywać u siebie dziecka kalwińskiej rozpustnicy i nigdy nie pozwalała jej bawić się

z własnymi synami i córką, a gdy musiała się z nią spotykać w domu Marii Rickl, nie zwracała na nią najmniejszej uwagi. Ale Melinda rzuciła już czasami brataniczce jakieś dobre słowo lub poprawiała jej przekrzywioną kokardę. Moja matka była jej wtedy tak wdzięczna, że całowała ją w rękę, a Melinda spoglądała na nią zakłopotana i schodziła jej z drogi.

Potem umarł Senior.

Walka Seniora ze śmiercią nie była ani lekka, ani krótka, w jego pielęgnacji uczestniczył cały dom, nawet Margjt, tylko małą odpędzano do służby, która opowiadała sobie z płaczem, co chory szepcze i jak długo może to jeszcze potrwać, jak długo wytrzyma. Naprawdę, poza doktorem Ojfalussym, zajmowały się Seniosem tylko dwie osoby, Melinda i Maria, matka i córka chyba nigdy nie były sobie tak bliskie jak tego tygodnia, którego dni wiodły starszego Kślmśna Jablonczayego coraz bliżej grobu. Senior do ostatniej chwili był przytomny, Melinda pielęgnowała go w dzień, Maria Rickl w nocy. Mąż i żona po tylu latach przerwy w pożyciu małżeńskim znów spędzali noce w jednym pokoju i po tak długim głuchym milczeniu znów rozmawiali. Służba oceniła tylko sam fakt, nie znała treści rozmów, i w wielkim tygodniu Seniora ciotka Klśri przyniosła tylko jedną konkretną nowinę, że Maria posłała ją po Kślmśna, bo Senior chce się pożegnać z synem. Lenke snuła się wśród służących, wciąż pod czyimiś nogami, w rozgardiaszu nikomu nie przyszło nawet na myśl, jak może przyjmować to, co słyszy, i jak reaguje jej świadomość na mrok zbliżającej się śmierci, na zburzony ład domowy i na to zaskoczenie, że nagle ojciec znów znalazł się w osiągalnej odległości.

Kiedy została przywieziona na ulicę Kismester, powiedziano jej po pewnym czasie, aby nie wzywała matki, bo Emma Gacsśry umarła, tak jak Ernóke i Emmuska, nie może jej więc już nigdy zobaczyć, ojciec zaś wyjechał w tak daleką podróż, że nieprędko wróci do domu, odtąd oni ją będą wychowywać, niech sobie dobrze zapamięta, że jej rodzice oddali ją na wychowanie jeszcze za życia Emmy Gacsśry. Lenke uwierzyła w to, co jej powiedziano, dlaczego miałyby nie uwierzyć, tak samo jak zniknęło rodzeństwo, mogła także zniknąć mama, a również pojęcie podróży nie było jej obce, przecież ją samą przywieziono z Pesztu pociągiem. Posłyszana w kuchni wiado-

mość, że Senior posłał po syna, obudziła w niej myśli, których nie umiałaby ubrać w słowa. Nic płakała, nie krzyczała, siedziała milcząca z tym gotowym do skoku, rozdygotanym spokojem, który właściwy jest łowcom motyli: jeśli poruszy się zbyt wcześnie, zdobycz może umknąć. Było lato, ciotka Klśri założyła czysty fartuch, zmieniła obuwie i wyruszyła w drogę. Moja matka, choć nie wolno jej było wystawać w bramie, wykradła się za nią, aby zobaczyć, gdzie znika, i pomyślała, że z tam tej strony należy spodziewać się ojca, którego przyprowadzi ciotka Klśri. Ponieważ wyobrażała sobie, że jest on straszliwie daleko, przygotowała się na wiele dni oczekiwania, kiedy jednak Annus skończyła zajęcia u Bluzniercy, a Agnes zmywanie, ciotka Klśri była już z powrotem w kuchni. Moja matka miała wrażenie, że to jeden z niegodziwych dowcipów Melindy, która, odkąd mieszkają razem, tyle razy ją nabierała, a potem parskała niewesołym śmiechem. To na pewno Melinda namówiła ciotkę Klśri, to nieprawda, że ojciec wróci. Teraz zaczęła już płakać, ale wszystkim wydawało się to naturalne, na domu leżał przecież cień śmierci. Ciotka Klśri znalazła jakąś szmatkę i sznurek, wetknęła małej w rękę jakiś wiecheć i powiedziała, żeby zrobiła sobie z tego lalkę, wyjść z domu ani iść na górę jej nie wolno. Dom był cichy, tylko niekiedy otwierały się drzwi w bramie i w wielkim nautilusie stojącym w przedpokoju mnożyły się bilety wizytowe, w których zapytywano o stan zdrowia Seniora. Na to, co rozegrało się między ojcem, matką i synem przy śmiertelnym łożu Seniora, nie było świadków, ale że zmiana, którą to przyniosło, nie była znaczna, widziała zarówno rodzina, jak i służba. Skoro Maria Rickl wezwała tylko Juniora, to znaczy, że w dalszym ciągu nie chce znać Emmy Gacsśry i upiera się przy tym, aby do chwili rozvodu także i syn - nie biorąc pod uwagę pewnych wyjątkowych okazji -- nie pokazywał się w domu, o tym zaś, aby oddać Lenke, nie może być nawet mowy. Ręka, która niegdyś z tak zadziwiającą siłą trzymała roztańczonego konia pod oknami Anselmusów i z taką grścią ujmowała w tańcu palce Marii Rickl, rozdawała karty, przesypywała ziarna pszenicy, a podczas rewolucji wymachiwała szablą, ręka, która nie była już nawet w stanie się podnieść, zdołała tylko na parę godzin otworzyć przed synem marnotrawnym drzwi rodzicielskiego domu. Mała Lenke w końcu spotkała

się z ojcem, kiedy po kolacji ciotka Klśri prowadziła dziewczynkę do pokoju, aby położyć ją spać; Senior już wtedy nie żył. Junior wyszedł właśnie z pokoju żałoby, a twarz miał obrzmiałą od płaczu. Kiedy wzrok jego padł na córeczkę i zobaczył, jak jest wysmukła i blada, załkał i chwycił ją w ramiona, a moja matka obsypując go pocałunkami wołała: „Jedźmy stąd do domu!” Kślmśn Jablonczay, teraz już wyłączny posiadacz tego imienia, bąknął coś, postawił córeczkę na ziemi i wybiegł. Miejszem wygnania Juniora było w dalszym ciągu Pallag, tylko w pogrzebie mógł wziąć udział jako pełnoprawny członek rodziny, podać ramię matce, nosić żałobę i mógł też zabrać do majątku otrzymane w spadku instrumenty miernicze Seniora, teodolit i lunetę, przez którą nigdy wyraźnie nie widział nieba, bo ilekroć podnosił ją do oczu, mgła przesłaniała mu wzrok: przypomniał sobie wiecznie opłakiwanego ojca, kiedy ten wpatrywał się w niebo i tłumaczył mu tajemnice milionów rozsianych na nim gwiazd.

Po tym spotkaniu nie było już sensu kłamać dziecku, w którego pamięci ukazanie się i zniknięcie ojca było jak sen. Nie zabrał jej ze sobą, nie został z nią, znów pojawił się na pogrzebie, a potem znów odszedł, gdzież on więc jest, że go nigdy nie ma? „W Pallag - poinformowała ją Melinda. - Ale samotny mężczyzna nie może wychowywać małej dziewczynki, dlatego my cię wychowujemy zamiast niego. On się na tym nie zna, zresztą przeszkadzałabyś mu tylko w pracy.” „W pracy! - chichotały służące. - Ładna mi praca, przewala się z Emmą po łóżku albo z dziewczuchami pod krzakiem dereniu, albo patrzy, jak żonka karmi pawie. Oni bardziej dbają te pawie Emmy niż o bydło czy zasiewy. Aż dziw. że umieścili jego imię w nekrologu.” Kiedy ciotka Klśri spostrzegła moją matkę, która cicho stając w czarnych sukienkach pantofelkach podeszła do podnóża schodów, natychmiast zmieniła temat i zaczęła opowiadać o pewnym stolarzu imieniem Lśszłó, który skoczył do studni przy ulicy Szćchenyiego, bo nie miał co włożyć do ust i nie mógł znaleźć pracy. Chwila, w której sukienne pantofelki Lenke Jablonczay znieruchomiały na pierwszym kuchennym schodku, a wrażliwy słuch pochwylił śmiech służących, znów utrwaliła się w czasie. Moja matka miała przeszło osiemdziesiąt lat, gdy opowiadała mi o tamtym dniu, kiedy to powinna była

poczuć, że wszystko już teraz się ułoży, jej całe biedne życie; że jest szczęśliwa, bo nie tylko ojciec nie przebywa gdzieś bardzo daleko, ale i matka nie umarła, żyją obydwój, i to całkiem blisko niej. Lenke Jablonczay pomyślała jednak: „Nie umarła? To straszne!” Tylko śmierć mogła bowiem usprawiedliwić w oczach dziecka karmiącą pawie Emmę Gacséry, która w tej chwili była dla córki niczym jakiś kat osobiście odpowiedzialny za wszystko, co się działo z nią, małą Lenke - za Kulawego, za bicie, za podwiniętą taśmę dzwonka. Skoro karmi pawie i przewala się po łóżku, zrozumiała, że nie ma czasu i nie potrzebuje w domu małego dziecka. Ani ona, ani Kálmán Jablonczay.

Pierwsze publiczne wystąpienie Lenke Jablonczay miało miejsce na pogrzebie Seniora, którego śmierć, jeśli nawet nie była ciosem niespodziewanym, to tak silnym, że zadrżał od niego cały dom przy ulicy Kismester. Imre przez cały dzień klął i płakał przeklinając podłego Boga, który nawet tego mu nie oszczędził i zabrał przed nim syna, a on, dziewięćdziesięcioletni paralytyk, wciąż jeszcze musi żyć i jeść chleb kupcówny, która z pewnością żałuje im nawet grobu i pieniędzy na krzyż. Od pierwszych godzin żałoby Maria Rickl zamknęła się u siebie, Melinda opowiadała mi później, kiedy tak dużo rozmawialiśmy ze sobą podczas bombardowań i nie przespanych nocy, że wyszła ze swojego pokoju, dopiero kiedy zaczęły się wizyty kondolencyjne. Spod czerwonych powiek patrzyły na wzruszonych gości suche, zimne oczy. Na pogrzebie jej twarz zakrywały trzy warstwy welonu i jeśli nawet płakała, nikt tego nie widział. Moją matkę prowadziła w kondukcje ciotka Klári, Melinda nie była w stanie troszczyć się o kogokolwiek poza sobą. Jablonczayowie mieli groby w Aradzie i w Mezőbereny, a także w Debreczynie, leżeli tu zbiegli do Siedmiogrodu i tam zmarli Bela z żoną, László, zmarły na gruźlicę syn baronowej Baluzsánskiej, i jej dwie córki zakonnice, kuzyni Seniora, tu spoczywali także Ernőke i Emmuska wraz z malutkim Józsefem, o którego istnieniu Lenke nawet nie wiedziała. Jednak prawdziwy wielki rodzinny grób wykopano dopiero teraz; był olbrzymi, otoczony granitową ramą i obsadzony bluszczem, a na jego marmurowym obelisku już w czasach mojego dzieciństwa widniał długi szereg imion; Senior był jego pierwszym lokatorem. To był monumentalny pogrzeb, w licznej asyście księży. Nikt nie widział twarzy

Marii Rickl, dłonie obciążone rękawiczkami nie sięgały po chusteczkę, Melinda pizeraziła się dopiero w domu, kiedy zdjęła matce kapelusz i zobaczyła, jak wygląda ta wyżarta, spustoszona potokiem łez nieszczęśliwa twarz. Kślmśn Jablonczay towarzyszył rodzinie tylko do bramy, potem wrócił do Pallag. Emmy Gacsśry nie było na pogrzebie.

Jesienią poprzedzającą śmierć Seniora, kiedy to córka Emmy Gacsśry została objęta obowiązkiem nauczania, choć dopiero w trzecim miesiącu roku szkolnego, 17 listopada, miała ukończyć sześć lat, Maria Rickl postanowiła, że jednak ją zapisze. Szkołę dla wnuczki wybrała po starannym namyśle: mała była po matce kalwinką, ale nikt tego nie traktował poważnie, Maria Rickl, jeszcze w tym okresie kiedy postanowiła, że weźmie dziewczynkę do siebie, powiedziała córkom, że gdy nadejdzie czas przewidziany ustawą, Lenke musi zmienić wiarę, a więc należy wychowywać ją w ten sposób, jak gdyby już była katoliczką. Podczas nabożeństw nigdy nie było z nią kłopotów, dziewczynka spędziła wiele szczęśliwych chwil w barokowym kościele Świętej Anny, zachwycił ją blask świec, śpiewy i obrazy, a kiedy Jablonczayowie wchodzili do kościoła, Melinda podsuwała jej palec zamoczony w święconej wodzie i z jej zimnej, kościstej ręki przejmowało dziecko na własne paluszki oczyszczające krople. Szybko nauczyła się zachowania w kościele, klękała wraz z innymi, nie modliła się jednak, bo знаła tylko tę modlitwę, której nauczyła się jeszcze od swojej matki, dziecięcą modlitwę przed snem. Melinda opowiadała później mojej matce, ile było dyskusji na temat, co dziecko Emmy Gacsśry powinno mówić Bogu przed pójściem spać, bo na początku mała Lenke co wieczór szlochała, aby dobry pan Bóg, gdy ona już zaśnie, troszczył się o nią i jej rodziców, a także rodzeństwo. Bzdura, orzekła kupcówna, jeśli chodzi o rodziców, można by polecić Bogu najwyżej tego jej nieszczęsnego ojca, a rodzeństwa przecież już nie ma. O odbyła się narada rodzinna, która miała zdecydować, jak ma się dziewczynka modlić, były na niej obecne wszystkie trzy Parki, a nawet Jozefa Brunner. Ilona żalowała, że nie ma z nimi Kślmśna, który od razu mógłby napisać jakiś ładny wiersz dla swojej córeczki, Margit proponowała, żeby nauczyć ją Zdrowaś Mario, czego

nikt nie zaaprobował, i odrzucono też naukę Ojciec Nasz, Lenke nie wie nawet, kto to jest Matka Boska, dobrze choć, że o Jezusie i Bogu ma pewne pojęcie. „Będzie się modlić po niemiecku - postanowiła Maria Rickl. - Schlafrig bin ich, geh zurRuh...” „Ale przecież ona nie umie po niemiecku!”--rzekła Gizella. „Naucz się. Schlafrig bin ich, geh zur Ruh, schliesse me me Augen zu, Vater lass die Augen dein iiber meinem Bette sein.* To jest dokładnie to, co powinno mówić dziecko przed zaśnięciem, a prędzej czy później i tak musi nauczyć się niemieckiego.” Melinda i Ilona nauczyły więc moją matkę modlitwy, która w uszach czteroletniego' dziecka nie miała żadnego sensu, ale którą posłusznie klepało co wieczór, potem naciągało kołdrę na głowę i czekało na godziny strachu, na szmery i Kulawego. Nie miało nawet pojęcia, co mówi Bogu na dobranoc.

Pierwotny zamiar kupcowy, że natychmiast, od pierwszej klasy pośle małą do szkoły katolickiej, spalił na panewce tylko dlatego, że choć dla zrobienia przyjemności Marii Rickl, która tak dużo dawała na cele kościelne, zgodzono by się przyjąć dziewczynkę, ale trzeba byłoby za nią płacić podwójne chesne, w oczach Kślmśnowej Jablonczay zaś to małe, wątłe ciało i skryta duszyczka nie były warte nie tylko czterdziestu forintów, ale nawet czterech krajcarów. Zapisała ją więc do mieszczącego się przy ulicy Cegled - dziś Kossutha - cieszącego się zasłużoną sławą ze względu na swoje rezultaty edukacyjne instytutu Gedeona Dóczego i puściła lękliwy stateczek życia swej wnuczki na nieznaną wodę. W ośmioklasowym instytucie dla panienek wyznania kalwińskiego uczyło dwóch nauczycieli zwyczajnych, trzy nauczycielki, jeden nauczyciel prowadzący seminarium nauczycielskie, trzech wykładowców religii, jeden nauczyciel muzyki i jeden tańca. Umysł sześciolatniej Lenke Jablonczay rozwijano przy pomocy ćwiczeń prawidłowego wysławiania się i logicznego myślenia, uczono ją języka węgierskiego, rachunków, geografii, przyrody, niemieckiego, prac ręcznych i wychowania fizycznego. W drugiej klasie uczyła się już rysunku i zapisywania nut, w trzeciej poznała historię

Wągier, jako piątoklasistka fizykę i historię powszechną, w siódmej matematykę, chemię i naukę o człowieku, a w ósmej uczyła się też psychologii, przyswoiła sobie szydełkowanie, robótki na drutach, krój prostej bieżyny, szycie i haft. Spośród swoich nauczycieli wspominała często jednego: Gedeona Dó- cziego. Wyczuwała ogromną wiedzę słynnego pedagoga i coś w rodzaju łagodnej pogardy, z jaką patrzył na łatwo peszące się przy odpowiedzi wychowanki, mniej wartościowe w jego oczach od chłopców. Nawet ja zapamiętałam powiedzonko, z którym odsyłał na miejsce Lenke Jablonczay: „Jest ciemno, nie widzę, zapal światło, nauczycielu, na miejsce, Jablonczay!”

Przez pierwszy, najtrudniejszy z tych ośmiu, rok prowadziła ją łagodna dłoń Seniora, zresztą Lenke i tak w ciągu tych wszystkich lat z wyjątkiem religii i matematyki miewała same celujące oceny. Słabszy stopień z religii, co było zjawiskiem niezwykłym, miał oczywiście swoje wytłumaczenie. Maria Rickl nie kupiła wnuczce nawet podręcznika, zabroniła jej chodzić na nabożeństwa kalwińskie i nie robiła z tego tajemnicy, że ledwie miała osiągnie odpowiedni wiek, przejdzie na wiarę Jabloncza- ych. Ciało pedagogiczne od samego początku było zorientowane w tych planach, wiedziano zatem, że nie ma tu winy dziecka i że ta dziewczynka nie zostanie barankiem Kościoła kalwińskiego - choć wpisano jej to wyznanie w metryce. Gedeon Dóczy, który przy jakiejś niewłaściwej odpowiedzi potrafił swoją surowością zmrozić atmosferę w klasie, był jednak dość ludzki, aby przymknąć oczy na pewne sprawy, gdyż nie chciał zaszkodzić dziecku. Drugą okolicznością łagodzącą była niezwykła muzykalność Lenke Jablonczay: jeśli nawet dziewczynka nie miała żadnych wiadomości z zakresu religii, to z absolutną pewnością wygrywała na fortepianie psalmy i hymny, improwizując lewą ręką akompaniament do starych melodii. W każdej klasie instytutu znajdował się fortepian, Maria Rickl zapoczątkowała więc wykształcenie muzyczne swojej wnuczki równoległe z zapisaniem jej do szkoły. Pósowa, nauczycielka muzyki, już po pierwszych dwóch tygodniach zjawiała się u Jablonczaych i powiedziała, że mała ma wielki talent i należałoby bardzo starannie pokierować jej wykształceniem. Wszystkie dzieci Jablonczaych uczyły się grać na fortepianie i to właśnie u Pósowej, ale po raz pierwszy zdarzyło się, aby nauczycielka zdobyła się na

jakąś uwagę nie związaną z jej wynagrodzeniem, Maria Rickl jednak machnęła ręką i puściła uwagę mimo uszu. W szkole natomiast od wszystkich konsekwencji słabych odpowiedzi z religii chroniły Lenke Jablonczay surowe psalmy, które z taką pewnością płynęły spod dziecinnych palców: moja matka akompaniowała klasie przy śpiewie, kiedy zaś pod koniec roku wystawiano oceny, otrzymywała je za swój talent muzyczny, a nie za wiadomości z religii.

Ostatni rok życia upłynął Seniorowi w towarzystwie tabliczki, rysiku i zwisającej na sznurku suchej łapy zajęcej. Czytał z Lenke, tłumaczył jej, dyktował, poprawiał litery, przesłuchiwał, ćwiczył z nią odpowiedzi, a tymczasem w sąsiednim pokoju Bluźnierca wyśpiewywał na całe gardło. Byłam już mężatką, kiedy matka odważyła mi się powtórzyć słowa piosenki, którą zapamiętała na całe życie, nawet w tym wieku czerwieniąc się ze wstydu: „Moja synowa Mari to nie ladacznica, hej, hej, wielka szkoda, hej, hej, gdyby była ladaczną, miałaby też dobre serce, hej, hej!” Gdy wydierał się zbyt głośno, Senior brał laskę zakończoną srebrną psią głową i walił w ścianę, po czym na parę minut następowała cisza. Lenke pisała, Bluźnierca zaczynał nową piosenkę, a miał ich bogaty repertuar na temat wszystkich domowników: „Mój syn Bela to lubieżnik i ktoś tego pożałuje...” „O czym śniłaś, powiedz mi, dziecko mego serca...” -- dyktował Senior.

„Lubiłaś chodzić do szkoły, prawda?” -- zapytałam moją matkę i zdumiałam się, kiedy odpowiedziała, że nie. Nie wolno jej było przyjaźnić się z żadną koleżanką, kupcówna oznajmiła, że jak przyjdzie odpowiednia pora, ona sama wybierze jej towarzystwo, z którym będzie mogła utrzymywać stosunki; jeśli któraś dziewczynka odwiedziła ją bez zaproszenia, wypraszano ją lub wręcz nie wpuszczano do domu. Oburzyłam się, od najmłodszych lat byłam otoczona licznym gronem przyjaciół i uważałam za naturalne, że matka odizolowana w ten sposób od rówieśniczek nie mogła lubić szkoły. „Och, ty tego nie rozumiesz - powiedziała matka. - Wcale nie o to chodzi. Doskonale bawiłam się sama, miałam zwierzęta, kulki, wchodziłam na zewnętrzne schody prowadzące na strych i patrzyłam, czy nie wciągają czerwonej chorągwi na wieżę, a jeśli tak, to gdzie się pali, tańczyłam dla pradziadka, a dziadek Senior naprawdę

mnie kochał, później pozwolono mi chodzić do kąpieliska «Margit», godzinami grywałam na fortepianie, a poza tym wymyślałam i opowiadałam sobie bajki. Właściwie wcale nie było mi przykro, że nikt nie może do mnie przyjść i że mnie też nie wolno nikogo odwiedzać. Trudno było mi znieść, że moje koleżanki miały rodziców, a ja nie, choć nie byłam sierotą. Zazdrościłam innym. Gdy widziałam, że po którąś z koleżanek przychodzi matka, że ją całuje, albo ojciec prowadzi ją za rękę, zastanawiałam się, jaką mam wadę, że moi rodzice mnie nie chcieli, że nie obchodzi ich nawet, jaka jestem, że w ogóle się mną nie interesują. Nikomu nie przyszło na myśl, że choć jestem mała, powinno się ze mną porozmawiać, coś mi opowiedzieć, uspokoić mnie; dziadek, który - jak sądzę - uczyniłby to chętnie, milczał, bo bał się babci. W końcu tak często prowadzono mnie do kościoła i tyle razy słyszałam, że Maria jest Matką Bożą, że zaczęłam zazdrościć również Chrystusowi, bo nawet On miał matkę. Lubiłam się uczyć, ale w żaden sposób nie pasowałam do szkoły. Nie miałam ani religii, ani prawdziwej rodziny."

Po śmierci Seniora przemeblowano pokój, w którym mieszkał, Melinda chciała opróżnić jego szuflady, ale Maria Rickl nie pozwoliła, nigdy nie wiadomo, jakie pamiątki po pięknym mężczyźnie, który tak źle skończył, mogą się kryć na dnie komody. Osobiście przejrzała jego rzeczy za zamkniętymi drzwiami i, jeśli nawet coś znalazła, nie padło na ten temat ani jedno słowo, to, co chciała zatrzymać, zabrała do swojego pokoju, ale były też rzeczy, które spaliła. Każda z córek dostała pukiel ojcowskich włosów, Melinda nosiła swój w medalionie, Margit uplotła z niego pierścionek, małej Lenke żadnego pukla nie dano, ale i tak nie miała biżuterii ani w ogóle niczego, gdzie mogłaby go schować. Ponadto mała Lenke znów na jakiś czas stała się uciążliwą współlokatorką, rozdrażniło ją spotkanie z ojcem, opłakiwała Seniora, za którym tęskniła. „Niech stary zajmie się wychowaniem Lenke, przecież i tak nie ma nic do roboty" - rzekła Maria Rickl. Melinda zwróciła jej uwagę na wulgarny język dziadka, ale kupczówna tylko machnęła ręką, Lenke dotychczas też go słuchała, a jednak nie nauczyła się niczego złego. Przeniosły więc stół i podnózek do Blüzniercy, ale poniosły klęskę. Imre lubił swoją matkę, ale tylko wtedy, gdy

* Kálmán Tisza (1830-1902) - polityk węgierski, w latach 1875-1890 minister spraw wewnętrznych, potem premier; w metodach rządzenia pozował na Bismarcka. sam chciał ją widzieć, o tym zaś, aby przepłytywał ją z lekcji, w ogóle nie mogło być mowy. Gdy przypominał sobie o niej, kazał jej tańczyć, a potem wyrzucał ją z pokoju. Maria Rickl ponawiała jeszcze próby w nadziei, że szorstkość teścia spowodowana jest tylko przytłaczającą ich wszystkich żalobą, i powiedziała małej, aby odtąd sama zanosila pradziadkowi gazetę, aby była dla niego miła i próbowała wkraść się w jego łaski. Moja matka posłusznie zanosila polityczno-społeczno-ekonomicznij gazetę pod tytułem „Debreczyn” i tak, jak jej przykazano, próbowała czytać starcowi o Kálmánie Tiszie*, ale Imre wrzeszczał, żeby Kálmán Tisza zdechł, czytała więc, że budapeszteńskie przedsiębiorstwo telefoniczne, o którym nie miała pojęcia, co to takiego, ma już tysiąc pięćdziesięciu dwóch abonentów, o Trajśnie Doda, rumuńskim podżegaczu z Karássebes, o śmierci głównego rabina Francji, o tym, że przy ulicy Batthyány obrabowano mieszkanie wdowy po Menyhercie Reviczky, o złodziejce Eszter Tórnóri i o tym, że nasi żołnierze wracają z ćwiczeń w Tapióssuly i że Peterowi Burgerowi zginął złoty pies w mosiężnej obroży, wabiący się Sajó. Senior nie słuchał jej, ostatnio postanowił znów grać na flecie, jak za czasów kawalerskich, ale i to mu się znudziło, strzaskał więc flet w potężnej dłoni i odtąd znów śpiewał o synowej Mari, która gdyby była ładacznicą, miałaby dobre serce, przeklinał Boga, jezuitów i Kościół. Po pewnym czasie zaprzestano dalszych eksperymentów, mała nauczyła się u Seniora ładnie jeść i można jej było znów nakrywać przy dużym stole, powiedziano jej też, żeby nie zwracała uwagi na Bluźniercę, bo zdarza się, że gdy człowiek jest już bardzo stary, sam nie wie, co mówi.

Imre Bluźnierca przeżył Seniora o rok, kilka razy dziennie wołał do siebie dziewczynkę, ale zawsze- znosił ją tylko przez parę minut, często natomiast rozlegało się jego łkanie, bo i tak nieznośne już życie straciło dla niego po śmierci syna cały sens, stało się absurdalne: gdzie jego Kálmán, który wraz z Pctófi wyruszył z Mezőberény na pole walki, jego inżynier, jego oficer, jego ziemianin, jego świat, blask jego oczu, ten mądry, ten

piękny, ten wykształcony syn! Senior był wierzący, poważnie traktował istotę religii, prosił o wiatyk i otrzymał go z rąk opata Marucha, Imre umarł bez ostatniego namaszczenia, a tuż przed śmiercią wznosił okrzyki na cześć Kossutha i wołał: „Niech żyje rewolucja, śmierć klechom!” Gdyby nie był teściem Marii Rickl, Kościół nie zgodziłby się na katolicki pogrzeb.

Likwidacji pokoju Imrego znów dokonała Maria Rickl, nie dopuściła córek nawet w pobliże rzeczy pozostałych po bezbożniku. Cenny francuski zegar o pięknym tonie podarowała Ilonce, która po upływie okresu żałoby miała wyjść za mąż, innych godnych uwagi przedmiotów nie znalazła, tylko wielki pakiet listów i mnóstwo książek, których nawet nie przejrzała, lecz wrzuciła do kosza na bieliznę i kazała służącym wynieść na strych, a gdy nadejdzie zima, spalić. Margit dostała portret młodo zmarłej, jasnowłosej żony Błuźniercy, Magdolny Speth, i aby dać również coś Melindzie, wpięła jej w poduszczkę do igieł szpilkę do krawata Imrego, przedstawiającą głowę Maura w białym turbanie, o czarnej emaliowanej twarzy i włosach z korala, zaś wykwinną miniaturę Seniora zatrzymała dla siebie i powiesiła ją przy swoim klęczniku. Z długich białych włosów Imrego nikt nie obcinał loków, jego również, tak jak Seniora, pochowano w węgierskim szamerowanym stroju. Na tym drugim wielkim spotkaniu rodzinnym po raz pierwszy pozwolono mojej matce iść w jednym rzędzie z dziećmi Szikszaych i trzymać je za ręce; kiedy otworzono wykopany przed niecałym rokiem grób, wszyscy zapłakali, ale te łzy były oczywiście przeznaczone dla Seniora, nie dla rewolucjonisty o niewyparzoną języku. Na tym pogrzebie znów tylko syn prowadził Marię Rickl, a kondukt żałobny stanowił zaledwie drobną część tamtego, który w ubiegłym roku odprowadzał Seniora. W tym dniu zdarzyła się jednak pewna sensacja, tyle że później, nie w kościele ani nie na cmentarzu. Junior poganiał konie, żeby jak najszybciej wrócić do Pallagpuszta; to były najkrytyczniejsze chwile w życiu Juniora, kiedy dwie płaszczyzny jego życia zbliżały się do siebie tak bardzo, że zmuszony był do refleksji, jaka to nieprzebyta odległość dzieli debreczyńską Pallagpusztę od debreczyńskiej ulicy Kismester. Lenke, którą pocałował, przyjęła pieśczętę ze smutkiem, co miała począć z takim ojcem, którego widziała ostatnio na pogrzebie Seniora, cieszyć

się nim czy martwić było jednakowo zbyt bezsensowne, przecież wiedziała, że znów zniknie i nie pokaże się do następnego wydarzenia rodzinnego, powiedzmy, do ślubu Ilony. Ojciec odjechał, na ulicę Kismester wróciło normalne życie i nikt nie chciał wierzyć własnym uszom, kiedy po upływie zaledwie trzech kwadransów przed bramą zatrzymał się powóz i ktoś zaczął szarpać dzwonek. Maria Rickl oburzyła się, cała rodzina wie, że nie ma tu mowy o żałobie, najwyżej o odpoczynku, ale właśnie dlatego nie należy im teraz przeszkadzać. Kiedy wreszcie zapanował spokój, ona też usiadła przy filiżance czekolady, a obcy nie mają czego szukać w domu, z którego właśnie wyniesiono jej teścia. Moja matka nie podniosła się nawet z podłogi, puszczała kulki po schodkach jadalni, podskakując leciały w dół, jak gdyby cieszyły się własnym upadkiem. Melinda wyjrzała przez okno i to ona zakomunikowała nowinę.

Melinda zostanie dla mnie zawsze postacią mitologiczną, kuzynką Medei i Jokasty, znałam ją czterdzieści dwa lata, a ilekroć zjawiała się w ciągu tych czterdziestu dwóch lat, zawsze przynosiła jakąś złą nowinę, mój ojciec przysięgał nawet, że jest nieśmiertelna jak bogowie - nie mogliśmy uwierzyć, kiedy umarła. Także tego popołudnia Melinda odsunęła firankę i krzyknęła głośno: „Kalmśnek!” W domu zawrzało, nic nie usprawiedliwiło powrotu Kślmśna, a jeśli jednak znów przyjechał do miasta, oznacza to, że coś musiało wydarzyć się w Pallag. I naprawdę się wydarzyło. Moja matka opowiadała, że Junior wpadł do domu jak szaleniec, rzucił się na podłogę, a potem położył głowę na matczyńskich kolanach, zaś Maria Rickl spoglądała nań jak zaskoczona lwica. Z jego słów wypowiedzianych łamiącym się głosem wynikało, że podczas gdy on był na cmentarzu, dokąd, jak to obiecał mamie, nie zabrał ze sobą Emmy, jego żona po prostu uciekła i zabrała też synka, Sśndor-ka, nie zostawiając nawet listu pożegnalnego ani w ogóle choćby jednego słowa.

Nikt nie troszczył się o Lenke Jablonczay, wieść, którą przyniósł Junior, była nie tylko podniecająca, ale budziła też nadzieję. Ta kobieta odeszła? Zabrała, wykradła dziecko? Przecież to podstawa prawna, żeby wszcząć sprawę rozwodową! Niech tylko Kślmśn będzie silny, wytrwały, może teraz uwolnią się od tej czarownicy z Sśrrćt, która ich wszystkich wykorzysta-

ła. K&Im&nek został nakarmiony i napojony, Maria Rickl pozwoliła mu także sprowadzić się na parę dni do domu, może zamieszkać na razie w pokoju Seniora, a potem się zobaczy. Nigdy nie było szczęśliwszej rodziny w żałobie niż mieszkańcy domu przy ulicy Kismester, syn marnotrawny pozwalał się uzalać nad sobą i pieścić i zjadł kolację za trzech. Lenke Jablonczay jadła przykładnie, choć niewiele, i nikt spośród siedzących przy stole nie zorientował się, że mała w tym i tak już niespokojnym dniu dowiedziała się, iż matka, która, jak jej opowiadano, nigdy za nią nie tęskniła, nigdy nie była jej nawet ciekawa, uciekła z Pallag zabierając ze sobą dziecko, które widocznie kochała, swojego synka, bo ten S&Sndorek, o którym tyle się tu mówi, jest na pewno jej braciszkiem, chłopczykiem, którego zatrzymali i kochają, nie tak jak ją. Ten wieczór był niemal taki sam jak tamten, kiedy oświadczone się o Ilonę, aż dziwne, że nie otworzono jednej z omszałych butelek Bluźnier- cy, stanowiących resztki piwnicznych zapasów z K&Oselyszeg.

Wciąż nie można było zdjąć żałobnych sukien.

Śmierć Seniora spowiła bowiem wdowę na okrągły rok w ciężką żałobę, Parki na pół roku w ciężką, na trzy miesiące w zwyczajną i na dalsze trzy w półżałobę, dzieci zaś, Lenke i małych Szikszaych, obowiązywała półżałoba przez sześć miesięcy. Dla Marii Rickl nie stanowiło to specjalnego wydatku, po prostu wydostała stare stroje żałobne: kupcówna często bywała w podobnych sytuacjach, miała na lato suknie z czarnej krepy, na zimę z bareżu, czarne kołnierze, rękawiczki, chustki z czarną obwódką, żałobną parasolkę, welon, kapelusz, wachlarz, mogła też zmienić biżuterię na ozdoby z dżetów. Margit i Ilona nawet nieźle prezentowały się w czerni, Melinda zaś, cokolwiek by na siebie włożyła, nie mogła ani polepszyć, ani pogorszyć swego wyglądu. Trójka małych Szikszaych wyglądała w żałobnych ubrankach dość zabawnie, i tylko Lenke naprawdę przedstawiała widok godny politowania, dlatego też w późniejszych latach nigdy nie ubierała się na czarno, tak bardzo było jej w tym oie do twarzy. Wszyscy kochali Seniora i żałoba po nim była naturalna, na fortepianie nie grywano piosenek, tylko ćwiczyła na nim mała Lenke, lożę w teatrze

odstąpiono dalszej rodzinie (Maria Rickl zażądała zwrotu pieniędzy!), nie chodziły na koncerty ani na tańce, nie przyjmowały zaproszeń i same też nie prosiły gości. Dodatkowo pół roku żałoby, na które skazała rodzinę śmierć Bluzniercy, było ciężką próbą. Ilona podczas upragnionego okresu narzeczeństwa ani razu nie była na tańcach, a ze względu na śmierć starego Jablonczayego musieli też odłożyć ślub i naprawdę trzeba już było tylko odnowy życia małżeńskiego Juniora i Emmy Gacséry, która uciekła, ale znów na ich nieszczęście wróciła, aby atmosfera domu przy ulicy Kismester stała się nie do zniesienia. Okres żałoby dzięki swemu usposobieniu zniosła najlepiej Maria Rickl, znalazła sobie zajęcie, kazała przysłać księgi gospodarcze z Pallag, prowadziła zapiski, księgowowała i co pewien czas wybierała się do kogoś z Anselmusów zabierając ze sobą za każdym razem Ilonę i przyszłego zięcia, żeby przynajmniej młodzi odetchnęli trochę inną atmosferą i żeby miłość w nich nie zgorzkniała. Byłoby straszne, gdyby narzeczony Ilony nie wytrzymał tej ciągłej żałoby, zupełnie wystarczy, że Melinda skończyła dwadzieścia lat i nie ma żadnej nadziei, żeby wydać Ją za mąż. Melinda nie zabierała ze sobą, zresztą najmłodsza Parka i tak miała co robić, otrzymała polecenie zrobienia z Lenke wytwornej panienki.

Stosunek mojej matki i starszej o dwanaście lat Melindy był jednym z tych trudnych do określenia związków międzyludzkich, których niemal nie da się zrozumieć. Bo Melinda nienawidziła mojej matki i kochała ją zarazem, a dziwnym trafem moja matka wplątywała się zawsze w przedzę tej pajęczyny uczuć, w której miotła się Melinda. Moja matka była w jednej osobie córką znenawidzonej szwagierki i uwielbianego brata, a dla najważniejszego mężczyzny w życiu Melindy, Seniora, oznaczała w ostatnich miesiącach jego życia więcej niż ktokolwiek inny. Melinda nieraz sprzeciwiała się Marii Rickl z trudem znosząc jej żelazną surowość, morderczą wyższość i chłód, a w parę lat później widziała tę samą Marię Rickl rozplywającą się nad urodą Lenke, jej czarodziejskim humorem, jej gracją, widziała, jak matka chęłpi się jej zaletami; Maria Rickl, która nigdy nie zachwycała się nikim poza Seniosem i synem, była wprost zakochana we własnej wnuczce. Melinda z czasem pokochała kogoś, ale ten ktoś poślubił Lenke, wpraw-

dzie później, kiedy moja matka miała już inne plany, dostała wreszcie tego mężczyznę, ale zawsze miała wrażenie, że podniosła łyżkę, którą odłożyła córka Emmy Gacséry, a ponieważ była bardzo głodna, zjadła więc resztki zupy po Lenke Jablonczay. Mojego brata Belę kochała nedorzecznie i w dwójnasób, była przecież zarazem jego macochą i cioteczną babką, ale i to uczucie nie było jednoznaczne, i to znów przez moją matkę, dzięki której miała wprawdzie dziecko, chociaż nie sama je urodziła. Moja matka często opowiadała, że kiedy była mała i Melinda czesała ją, drapała jej głowę do krwi i w zniecierpliwieniu wydzierała całe pęki włosów, że stale ją wyszydzała, robiła wymówki za coś, co było winą Emmy Gacséry, łamała jej wolę, szeptała na ucho, żeby nie miała złudzeń, bo trudno będzie znaleźć mężczyznę, który zechce pojąć za żonę córkę Emmy Gacséry, wyśmiewała jej nadzieje, mówiła, że jest nieładna, w dzieciństwie straszyla ją Kulawym, w wieku dorosłym rozwiewała jej marzenia; po spotkaniu z Kubelikiem* twierdziła, że moja matka będzie taką samą pianistką jak ona infantką hiszpańską, pozbawiła ją nawet fortepianu, który wzięła w zastaw, kiedy moja matka w trudnej sytuacji poprosiła ją o pożyczkę, a kiedy okazało się, że nie może w terminie zwrócić długu, Melinda sprzedała bechsteina, choć wcale nie potrzebowała pieniędzy, tylko tak dla zasady, po to, aby dać Lenke Jablonczay nauczki. Moja matka przez całe życie oplakiwała muzykę, którą jej odebrano, już nigdy więcej nie miała fortepianu. A jednak do śmierci nie potrafiły się ze sobą rozstać. Kiedy Melinda po wojnie wróciła z Tyrolu, gdzie w wieku siedemdziesięciu lat zapędził ją głupi, godny osobnej powieści przypadek, i nie mogła odnaleźć ani siebie samej, ani dawnego domu w Debreczynie, z taką naturalnością oświadczyła mojej matce, że chciałyby się do niej sprowadzić, a w przypadku odmowy otworzy gaz, jak gdyby prosiła o szklankę wody. Lenke Jablonczay uradowana zaprosiła ją do mojego opustoszałego już pokoju, nie było mowy o żadnym proteście. Sprowadziła się do nas i omal nie zlicytowano nam wszystkiego, co mieliśmy, z powodu jej nie uregulowanych długów: była bowiem zameldowana jako członek rodziny. Nie rozstawiała się,

także z moją matką w okresie bombardowań, zapraszała ją do siebie na górę w charakterze opiekunki, spędzała u nas święta Bożego Narodzenia psując nam świąteczne godziny kłującymi, niegodziwymi uwagami. Melinda i moja matka przyjaźniły się aż do śmierci Melindy, obydwie ogarniał osobliwy niepokój, gdy jakiś dzień minął bez spotkania. Czasami spotykały się w mieście w połowie drogi, niemal w tej samej minucie, za podszeptem tej samej tęsknoty, wyruszały z domu, aby się zobaczyć. Moja matka prowadziła mnie za rękę, Melinda zawsze samotna, już owdowiała, wędrowała z nieodłączną szydełkowaną torbą w ręce. Ledwo się spotkały, uspokajały się, paliły papierosy, śmiały się, wpatrywały w siebie wzajemnie. Z pięknej twarzy mojej matki spoglądał na Melinę Senior, z grubych rysów Melindy patrzyła na moją matkę Maria Rickl. Ale w ich życiu ani w okresach kryzysów, ani szczęścia żadna scena, na której rozgrywały się ich losy, nie była tak realna jak ów dom przy ulicy Kismester, gdzie za opuszczonymi żaluzjami kryły się ciemne namiętności.

Melinda potraktowała polecenie poważnie i przystąpiła do doskonalenia zaczętego przez Seniora dzieła. Wkrótce moja matka umiała odpowiedzieć na każde jej pytanie, wiedziała, że dlatego kładzie się sukno pod obrus, aby sztucce nie dzwoniły, kiedy się je położy na stole, nauczyła się, że nie wolno gryźć chleba, tylko należy go łamać, że do ryb używa się specjalnego noża, arbuza i śledzia jada się dwoma widelcami, natomiast szparagi, raki, ślimaki i drobne ptactwo można brać w rękę. Melinda przeegzaminowała ją w domu bogatej Margit, gdzie nie tylko odczuwało się pogodę i spokój dostatku, ale też doskonale się jadało, i gdzie najstarszą Parkę, która wychowanie dzieci i kierowanie domem powierzyła bez reszty szczupłej, smutnej panience, zawsze można było namówić, aby kazała zrobić w kuchni coś nadzwyczajnego na obiad czy kolację, przecież podczas żałoby i tak nie ma człowiek większych przyjemności niż objadanie się smakołykami. Mała Lenke znalazła się znakomicie podczas nakrywania, wiedziała, do czego podaje się wino czerwone, do czego białe, kiedy szampana i co się pije przy deserze. Melinda orzekła sucho, że Lenke pracowała jak należy, choć, chciałaby ją poinformować, że tylko dla zasady wbiła jej w głowę, jak nakrywa się taki odświętny stół

i jak się to wszystko jada, bo Lenke na pewno spędzi całe życie w takiej nędzy, że nie będzie jej stać nawet na zupę z zasmażką. Te słowa wyjątkowo obróciły się dla mojej matki na dobre, bo szczerze oburzyły się nimi dwie osoby, szczupła panienska fl która stokroć bardziej lubiła milczącą, jasnowłosą dziewczynkę, bojącą się niemal poruszyć, żeby nie narobić sobie jakichś kłopotów, niż synów i córkę chlebobawców - i mąż Margit, który traktował Lenke Jablonczay jak człowieka, a ponadto nie cierpiał Melindy. Gyula Szikszay był bogaczem, najlepszym nabytkiem kupcowy, i pozostawał w osobliwy sposób związany z trzema żywiołami: ziemią, ogniem i wodą. Miał wielki majątek ziemski, pod koniec życia przyjął godność komendanta straży pożarnej i był też posiadaczem słynnego kąpieliska debreczyń- skiego, zwanego od imienia jego żony kąpieliskiem „Margit”. Nie tylko więc wychowawczynie, ale i on, patrząc na ubraną w czarną sukienkę dziewczynkę, zauważył, że stara się ona nie dotykać zabawek, jakby w obawie, żeby czegoś nie zepsuć, i tylko przygląda się zabawie innych, szczęśliwszych dzieci; nie chce nawet wsiąść do zaprzęzonego w konika pony powoziku małego Gyuli, tylko pieści nozdrza i grzywę zwierzęcia. Szikszay zastanawiał się, co może mieć ta dziewczynka, która stoi w jego domu przy zastawionym srebrem i kryształami stole i którą Melinda chce wyprawić w życie z tą optymistyczną przepowiednią, że nie czeka jej nic innego jak żebracza miska. Gyula Szikszay, jeśli nawet spoważniał i z uśmiechem wspominał młodzieńcze hulanki i Henryka Herczega, to jednak nie zapomniał ani swojej młodości, ani wierszy Juniora, łobuzerskiego wdzięku, z jakim szwagier kolejno odbijał mu dziewczęta, ani Emmy Gacséry, która padła w Sarret ofiara Juniora i wydała na świat tę biedaczkę. Margit, Zoltan i Gyula, dzieci Szikszaych, wychowywały się w dziecinnym pokoju, sprowadzono im pierwsze w Debreczynie zabawki automatyczne z wiedeńskiej firmy, w domu Szikszaych pędziła nakręcana kolejka, jeździła na rowerze małpka, rozmawiały lalki, tańczył niedźwiadek, ryczał lew, kiwał głową mandaryn, a gdy dzieci nie chciały bawić się żywym konikiem, łagodnie bujały się pod nimi konie na biegunach. Henryk Herczeg czuł wyraźną pokusę, aby zapakować zabawki swoich dzieci i posłać je powozem na ulicę Kismester, ale rozmyślił się w porę: Maria Rickl na pewno sprzedałaby je

co do sztuki i obróciła uzyskaną sumę na coś pożytecznego, na przykład kazałaby naprawić schody wiodące na strych lub wywiercić nową studnię. Szikszay więc patrząc na Lenke Jablonczay, która była w tym samym wieku co jego córeczka Margit, wymyślił coś innego. Nic nie powiedział, ale pewnego razu, kiedy doktor Ujfalussy przyszedł, aby zbadać jego dzieci, poprosił go do swojego pokoju. Doktor Ujfalussy przy najbliższej bytności u Jablonczaych stwierdził, że stan zdrowia małej Lenke nie jest bynajmniej zadowalający, wygląda na dziecko nerwowe i należałoby ją wysłać w góry lub nad morze. Maria Rickl tylko machnęła ręką, nie stać jej na to. Gdyby dziecko miało rodziców, na pewno wywieźliby ją nad morze, ona może zapewnić małej najwyższej kąpielisko „Margit”, w końcu to też nie byle co, w zimie jest tam ślizgawka, w lecie dwa olbrzymie baseny, jest cukiernia, piwiarnia, bufet, sala gimnastyczna, to osobny świat w mieście, nie gorszy od jakiegoś zwykłego uzdrowiska w Tatrach czy nad morzem. Doktor Ujfalussy dał się przez pewien czas prosić, wreszcie uległ, a już następnego dnia u Szikszaych zjawiała się Melinda z poleceniem od mamy: odtąd mała Lenke z nakazu lekarza będzie chodziła na basen od razu po szkole i w ogóle zawsze, kiedy tylko będzie mogła. Ona nie ma czasu jej niańczyć, niech więc Margit wysyła po nią konie, a już mała jakoś się tam będzie bawić z innymi dziećmi, ta chuda guwernantka Szikszaych też niech zapracuje na swoje pieniądze. Gyula Szikszay odparł, że nie podoba mu się ten pomysł, nie podoba mu się nic, co pochodzi od mamy, w końcu będzie tylko niezadowolona, bo on tu nie może małej zapewnić nic szczególnego, chyba Melinda zna możliwości kąpieliska. Trzecia Parka nie kontynuowała rozmowy, akurat bowiem w życiu Melindy miał w tym czasie miejsce zakończony nieszczęśliwie romans z jednym z lokatorów, któremu po pierwszej, nieśmiałej aluzji Maria Rickl przesłała przez ciotkę Klári list z wypowiedzeniem mieszkania. Melinda nie tęskniła więc za gwarnym domem Szikszaych, opłakiwała swoje zawiedzione nadzieje i cieszyła się mogąc być sama. Następnego dnia zajechał po moją matkę powóz Szikszaych z wychowawczynią, w kąpielisku powitał ją wuj, który życzył jej, by czuła się jak u siebie w domu, trener nauczy ją pływać, bufetowy wie, że ma ją obsługiwać za darmo, niech więc je, ile zmieści, a gdyby

zechciała się pobawić, niech przyjdzie do mieszkania, do dzieci. Moja matka wpatrywała się w gładką, zieloną wodę, spoglądała w głąb basenu w ten sposób, jak człowiek patrzy w twarz drugiego człowieka czy też w twarz przeznaczenia. Dostała kostium kąpielowy, przywiązali ją do linki, trzymali na kiju, dopóki nie nauczyła się pływać, ale nie trwało to długo, trener orzekł, że i do pływania ma nadzwyczajny talent. Od tej pory, gdy tylko mogła, pływała wydłużonym tempem przez wielki basen; zadziwiająco długo potrafiła pozostawać pod wodą, czasami dla zabawy spadała na dno jak kamień i ci, którzy widzieli to po raz pierwszy, wydawali okrzyki zgrozy, sądząc, że to już koniec. Ona tymczasem kryła się w zielonkawym mroku u podnóża schodków prowadzących na brzeg, zaciskała palcami nos, cieszyła się myślą, że tamci w wyobraźni widzą ją już martwą, i nie przeczuwała nawet, że w siedemdziesiąt pięć lat później, pewnego styczniowego dnia lekarze otworzą jej wciąż jeszcze piękną i długą szyję, aby mogła zaczerpnąć łyk ożywczego powietrza, a ona ze zmęczeniem odwróci twarz, wypuści z rąk śliską drabinkę życia i wolno pogrzeże się w ciężką, zielonkawą wodę śmierci.

Dwa lata poszukiwań kosztowało mnie, zanim udało mi się wyjaśnić, co właściwie zaszło między Kalmanem Jablonczayem a Emmą Gacséry, dopóki byli jeszcze razem, i co było przyczyną tego, że Emma po śmierci Bluźniercy najpierw na krótko, potem zaś na zawsze zniknęła z miasta. Cała armia duszpasterzy, krewnych, znajomych lub ich dzieci pomagała mi w tym, abym w końcu mogła się dowiedzieć, co to było takiego to coś, czego moja matka nigdy nie była ciekawa.

Bo przecież Lenke Jablonczay - która liczyła sobie pięćdziesiąt dwa lata tego dnia, kiedy Emma Gacséry z piętnem śmierci na twarzy, w osobliwych, męskich buciorach na nogach, podobna w swym przekrzywionym kapeluszu z błękitnymi różami do postarzałej Elizy Higginsa, zadzwoniła do drzwi naszego mieszkania przy ulicy Hunyadięgo-szybko wciągnąwszy ją do środka, aby mieszkający w sąsiedztwie pułkownikos- two nie spostrzegli, jakie to do niej przyszło straszidło, miała jeszcze szansę poznać jej wersję małżeństwa z Kalmanem

Jabloneczym: moja babka umarła dopiero trzy dni później w debreczyńskim szpitalu. Tylko że moja matka nie była tym zainteresowana, nie chciała się niczego dowiedzieć, nawet wtedy kiedy mogła już swobodnie rozmawiać także z Juniorem; we własnym mieszkaniu trzymała na kolanach małego Bcłę, co mogło być wskazówką dla Kśłmsna Jabloneczayego, że nie musi się już obawiać, aby jakieś nieopatrzne słowa nie zraniły jego nie dość dojrzałej córki. Ale moja matka nie była też ciekawa wersji Jabloneczaych.

W miarę jak mijały lata od pamiętnego dnia pogrzebu i moja matka dorastała, myślała z coraz większą goryczą o Juniorze, który pojawiał się i znikał, nigdy nie zarabiał dość, aby się o nią troszczyć jak inni ojcowie, i nigdy nawet nie wspomniał, że chciałby ją wziąć do siebie. Od matki zaś odstraszyli ją na ulicy Kismester do tego stopnia, że dopóki Emma Gacsśry była jeszcze sobą, Lenke nie miałyby nawet odwagi z nią rozmawiać, a w okresie swej wielkiej tragedii miłosnej doszła do wniosku, że sprawcami jej nieszczęścia byli rodzice, ich mętne, nieczyste sprawy, i wtedy ich wspomnienie stało się już nie tylko przerażające, lecz wręcz nienawistne. Kiedy Junior już nie żył, a Emma Gacsśry przeniosła się do Pesztu, każdego miesiąca wysyłała jej pieniądze, nie załączając nawet kilku słów, i wiedziała o życiu i drogach swojej matki jedynie tyle co o życiu całkiem obcych ludzi. Jeśli ktokolwiek zaczynał mówić na jej temat, przerywała: nie życzy sobie, aby ją informowano. Nie kontaktowała się też z Leidenfrostami. Tylko jeden raz odwiedziła z własnej woli swojego ojca chrzestnego: lęk, jaki wywołały w niej niezrozumiałe dla debreczyńskich lekarzy ataki gorączki u mojego brata Beli, zmusił ją, by poprosić Leidenfrostów o schronienie na parę dni, podczas których przebadają małego w stolicy, na hotel w 1915 roku nie było jej stać, tak samo jak na bilet kolejowy i inne wydatki, na które zresztą musiała pożyczyć pieniądze od swojej przyjaciółki Belli Bartok. Armin był dość mądry, aby nie zmuszać swej córki chrzestnej do spotkania z Emmą Gacsśry i to nie miałyby sensu, przepaść między nimi dwiema była już wtedy nie do przebycia. Kiedy przy zbieraniu materiałów do tej książki natrafiłam na nigdy nie widzianych kuzynów i ze śmiechem odnajdowaliśmy w naszych twarzach wspólne rysy, okazało się,

że Leidenfrostowie znają imiona wszystkich moich wujów i ciotek, ale nie mają pojęcia o mojej matce, nigdy nie słyszeli, żeby „ciocia Emma” miała także córkę o imieniu Lenke: Lenke Jablonczay nie chciała znać nikogo, kto mógłby jej przypominać matkę. Było dla mnie największym zaskoczeniem, kiedy okazało się z dokumentów, że moja matka nie wiedziała nawet, ile właściwie miała rodzeństwa, że z nieszczęśliwego związku Kal- mśna Jablonczayego z Emmą Gacsary przyszło ich na świat nie sześcioro, lecz dziewięcioro.

Kiedy Emma Gacsary 28 kwietnia 1889 roku wsiada do pociągu, aby - jak sądzi - zacząć jako pani na Pallag nowe życie w Debreczynie, trzyma w objęciach Józsefa urodzonego w peszteńskiej nędzy 16 marca i jest szczęśliwa, że wraz z Pesztem zostawia także za sobą absurdalny tryb życia. Tęskni już za Lenke, która ze swoim tańcem, wiecznym uśmiechem, oryginalnymi wierszykami i bajkami własnego pomysłu staje się z dnia na dzień coraz miłsza, i ma też ochotę pokazać najmłodszego Jablonczayego teściowej, liczącej sobie wtedy czterdzieści siedem lat, o której myśli, że wreszcie złagodniała wobec nich i pomoże im uzyskać niezależność. Kiedy jednak w Pallag nie czeka na nią Lenke, kiedy Junior na żądanie, aby natychmiast ruszali po dziecko, bąka coś zakłopotany, jeszcze tylko parę dni pozwala się okłamywać, musi się w końcu dowiedzieć, że Pallag nie należy do nich, lecz do mamy, że Junior jest tu tylko rządcą, i to na dodatek pod kontrolą, że muszą się rozliczać z każdego filiera, że mama nie chce widzieć małego Józsiki, a oni sami są wyklęci z miasta i nie dostaną Lenke, a gdyby próbowali ją odebrać, muszą się stąd natychmiast wynosić i wtedy naprawdę nie będzie innego wyjścia niż samobójstwo, bo przecież Junior nie zdoła ich utrzymać. Emma Gacsary zdaje sobie sprawę, że została ostatecznie zdradzona, co więcej, skradziono jej córkę, i uprzytomnienie sobie tego jest wyrokiem śmierci na ich małżeństwo. Emma, gdyby nie parotygodniowe dziecko, ode- szłaby natychmiast, sama nie wie, dokąd i za co, ale oczywiście o tym nie może być mowy, Józsika jest słabowity, nie wolno jej zatem ryzykować. Chłopczyk jest chorowity, ale i taktowny, rozumie, że nie ma dla niego ani miejsca, ani przyszłości w burzliwym życiu rodziców, i już 16 maja odbywa się jego

pogrzeb, a za trumienką oprócz rodziców idą tylko Leidenfros- towie. Po ceremonii Emma natychmiast wybiera się po Lenke, towarzyszy jej Erzsébet, Leidenfrostowa jest świadkiem, że nie wpuszczają Emmy do domu przy ulicy Kismester, Maria Rickl, która siedząc przy oknie dostrzega je już z daleka, każe zaryglować bramę, Melinda zaś tłumaczy zgorszonym przechodniom, że ich biedna kuzynka jest nerwowo chora, dlatego grozi prawem i krzyczy, że skradziono jej córkę. Począwszy od tego dnia zbliżenia małżonków stają się sporadyczne, lecz na ich nieszczęście zawsze owocne.

Parę tygodni po śmierci małego Józsiki Emma Gacsóry po raz pierwszy opuszcza Juniora, Leidenfrostowa, która dała jej pieniądze na drogę, jest jedyną osobą, która wie, dokąd pojechała: próbować szczęścia w Peszcie. Wnuczka Dániela Siró jest mądra i wykształcona, znacznie mądrzejsza i bardziej wykształcona niż jej mąż, ale we wszystkich firmach, do których się zwraca, patrzą na nią z osłupieniem, nie ma jeszcze dwudziestu czterech lat i wygląda tak, że można jej tylko robić pewne propozycje, a nie zatrudnić. Dopiero koło pięćdziesiątki, kiedy uroda jej już przemija, udaje się Emmie Gacsóry przy pomocy Leidenfrosta dostać posadę urzędniczką w spółdzielni „Hanga”, wtedy liczy się już tylko jej piękne pismo, bezbłędna ortografia i zdolności stylistyczne, twarz i ciało noszą ślady burzliwego życia. Na razie jednak nie potrzebują jej w żadnym charakterze, ani jako damy do towarzystwa, ani jako guwernantki, nie ma listy polecającego i w fabrykach -- próbuje także u Ganza - podszczypują ją tylko i wyśmiewają. Jedzie do Fuzesgyarmat, ale Róschel Bányai nie przyjmuje jej i, jeśli Emma nie chce znaleźć się na ulicy, nie ma innego wyjścia niż powrót do Debreczyna. Ponowne spotkanie, usprawiedliwienie, wstyd, buchające płomieniem żądze i podejrzenie budzące się już w obu sercach podsycają tę namiętność, z której rodzi się mały Sándor. Ledwo Emma staje na nogi, znów próbuje odzyskać Lenke i przedstawić nowego następcę tronu, kupcówna jednak nie jest ciekawa Sándorka, a o wydaniu Lenke nie chce nawet słyszeć: Emma pochowała już troje dzieci, kto wie, czy nie pójdzie za nimi również noworodek, niechże przynajmniej jedno z Jablonczaych zostanie przy życiu, to, które ona wychowuje.

Kiedy Senior umiera, Juniorowie, którym właściwie nieźle żyje się w Pallag - przecież mają tam wszystko, czego im trzeba, a Góza Rickl okazuje się na tyle przyzwoity, że nawet zostaje im trochę pieniędzy - są nie tylko szczerze zmartwieni (Emma nie zapomina, że Senior był jedynym człowiekiem, który zaakceptował ją bez dyskusji), ale mają też nadzieję: może jego śmierć otworzy przed nimi bramy rodzinnego domu Kólmána. Wiary Juniora podtrzymuje jeszcze nekrolog, w którym obok jego imienia widnieją imiona Emmy i małego Sándorka, ale doznaje zawodu: brama otwiera się tylko na ostatnie chwile Seniora i tylko przed nim, Maria Rickl nie omieszkuje mu powiedzieć, że życzy sobie, aby Emma zachorowała w dzień pogrzebu, nie zniesie jej obecności na cmentarzu. Te słowa znów zaostrzają sytuację między mężem i żoną, Emma w dzień pogrzebu podsumowuje swą opinię o mężu i teściowej, potem ubiera się w jasną suknię i wyśpiewuje kuplety, twierdząc, że ona nie ma żałoby, bo nie należy do rodziny, a kiedy Junior jedzie na cmentarz, Emma zjawia się w mieście, zasiada w cukierni, zamawia croque-en-bouche i pałaszuje z apetytem, potem każe też zapakować łakocie dla synka. Jeszcze nawet nie zapada wieczór, kiedy już całe towarzystwo Anselmusów mówi o skandalu, który wywołała. Emma ma złą opinię, choć na razie nigdzie jeszcze nie chodzi, tylko do Leidenfrostów, do kościoła i najwyżej po sprawunki - Muki Darvasy nie zabiera jej nawet do teatru, aby nie spotkała się z rodziną - a jednak już plotkują o niej w Debreczynie. Kupcówna za pośrednictwem Melindy rozpuszcza wieści, że Emma Gacsóry jest porywcza, samolubna, chora na ciele i duszy, nie pasuje do rodziny i za żadne skarby nie oddałaby jej z takim trudem uratowanej Lenke, przecież na domiar złego ta kobieta jest jeszcze kokietką. (To słowo w ustach Melindy znaczyło: dobrze prezentują się na niej suknie, ludzie na nią patrzą, dba o fryzurę.) A poza tym jest też innego wyznania, to poważny problem, prawdopodobnie prędzej czy później ten związek zakończy się rozwodem, Kalman nie zastanowił się przed ślubem.

Daremnie Leidenfrostowie rozpowszechniają w obronie Emmy własną wersję, Emma Gacsóry jest zbyt interesująca, aby mogła wzbudzać litość, nawet ci, którym wydaje się sympatyczna, nie mogą uwierzyć, że to nie z jej winy kupcówna nie

> może jej polubić. Skoro nie nadaje się, aby wychowywać małą i Lenke, nie jest widać dobrą matką albo może zdradza męża, gdyż Junior, zawsze tak wesoły za kawalerskich czasów, chodzi teraz po mieście z nosem na kwintę. A przecież Emma Gacséry, kiedy plotka od dawna już tarzała jej imię w błocie, choć o- szczerzy nie mieli przeciw niej żadnych dowodów poza jej dumną miną, podziwianą na ulicy urodą i kolorowymi woalkami oraz przekorą, z jaką podjęła rękawicę, jeszcze długo była wierna Kalmanowi Jablonczayemu. Była zależna i przy tym bezczelna, te dwa pojęcia jakoś nie pasowały do siebie, w czasach dzieciństwa mojej matki osoby zależne były pokorne, a ponadto tym, którzy z nią chcieli rozmawiać, opowiadała najbardziej nieprawdopodobne historie, podkreślała, że za wszystko, co się stało, odpowiedzialni są Junior i mieszkańcy domu przy ulicy Kismester, ona zaś jest ofiarą nedorzecznego sytuacji, o jakich czytuje się tylko w książkach: pokutuje za cudze winy.

Emma niemal codziennie spaceruje po ulicy Piać, gdy spotyka którąś ze szwagierek, tylko błyska ku niej oczami, nie kłania się. Często wypatruje Lenke z rogu ulicy Kismester albo przed szkołą, nie ma odwagi do niej podejść, boi się o spokój córeczki. (Och, gdyby się nie bała!) Moja matka nigdy nie uwierzyła, że Emma jej szukała, kochała ją, chciała odebrać, ani w to, co ojciec chrzestny Leidenfrost, którego poznaje wreszcie w 1915 roku po śmierci Erzsébet Gacséry, daremnie próbował jej wytłumaczyć: ich byt był w rękach kupcówny, Emma żadnym gwałtownym postępkim nie mogła ryzykować utraty Pallag.

Junior ma uczucie, że pęka mu głowa, zbytkuje z ochoczymi wiejskimi dziewczętami, do których pisze wiersze, na korso w Debreczynie wypatruje dawnych sympatii i opiewa żyjące w dostatku, młode, zamożne damy; Emma znajduje zostawione na wsi wiersze i poprawia w nich ortografię. Po śmierci Bluz- niercy nie wkłada już tak wyzywającej sukni, nie drażni Juniora, przeciwnie - sama wiąże mężowi żałobny krawat, macha mu nawet ręką na' pożegnanie, ale kiedy Junior wraca do domu z krótkiego pogrzebu, po Emmie i Sandorku nie ma nawet śladu. Junior pędzi do matki na ulicę Kismester, wypłakuje się, jest przekonany, że żona znów uciekła do Pesztu, i choć kupcówna nigdy nie chciała widzieć Sándorka, na wieść, że

został porwany, wpada w oburzenie i żąda jedyne go wnuka, który nosi rodowe nazwisko. Służba ugania się cały dzień po mieście, Maria Rickl wzywa Anselmusów, odbywa się narada rodzinna, a Junior przez parę dni nie wraca do Pallag. Muki właściwie nie czuje się nieszczęśliwy, o Emmie na wygnaniu można powiedzieć wszystko, tylko nie to, że jest czułą małżonką, dobrze być znów w rodzinnym domu, ma wrażenie, że życie zakpiło z niego, chciałby zawrzeć pokój, zwłaszcza z matką.

„To był jeden z ostatnich numerów Emmy - powiedziała Melinda do mojej matki z taką nienawiścią, że spjrzałam na nią ze zdziwieniem tej nocy, którą wszyscy spędziliśmy bezsennie w winnicy, bo nad naszymi głowami ciągnęły na Debreczyn amerykańskie bombowce - zresztą nawet nie uciekła naprawdę, a myśmy jej szukali, bo mama chciała, żeby Kślmśn wszczął proces rozwodowy. Potem okazało się, że jest w mieście, poszła do Leidenfrostów, Armin wyjechał do Fiume i Erzsebet nie spodziewała się go wcześniej niż za kilka tygodni. Emma z Sśndorkiem ukryli się w ich domu przy ulicy Peterfia, a ona pewnie była zadowolona, że nie wiemy, co się z nimi stało. Margit zobaczyła ją kiedyś z powozu, Emma przy otwartym oknie grała na fortepianie i śpiewała. A jaka była bezczelna! Powiedziała Leidenfrostowej, żeby nikogo od nas do niej nie wpuszczać, odprawiły z kwitkiem Annuskę, Agnes i Klśri, a Emma wykrzykiwała przez okno, żeby babcia osobiście przyszła prosić ją o wybaczenie. Całe nieszczęście, że przed narzeczonym Ilony chcieliśmy ukryć to, co było jeszcze do ukrycia, i mama powiedziała, że musimy wszystko znieść. Kślmśnowi wystarczyło dowiedzieć się, że Emma nie chce o nim słyszeć, a od razu zaczął przechadzać się pod jej oknami, rzucać jej bukiety i wiersze, bo wtedy już znów za nią szalał, a Emma śmiała się do niego. Skończyło się w ten sposób, że zwabił ją do domu. W rok później w maju urodziła się Piroska." Nikt przy ulicy Kismester nie był jej ciekaw, tak jak i reszty dzieci.

Dwa lata po Pirosce Jablonczay, późniejszym wielkim pedagogu, żonie nauczyciela-dyrektora Józsefa Juhśsza, która do dziś żyje w pamięci całej dzielnicy Debreczyna, znów przychodzi na świat dziewczynka; wykształcona przez Dśniela Siró, Emma Gacsśry wybrała jej pojednawcze, oznaczające

pokój greckie imię: Irene. Emma w bezradnej samotności próbowała stworzyć w Pallag coś w rodzaju rajy dziecięcego; później niejeden starzec czy matrona, niegdysiejsi wycieczkowicze czy majówkowicze, opowiadali mi: „Widziałem twoją babkę za jej młodych lat w Pallag, tańczyła z dziećmi, było ją dobrze widać nawet przez parkan. Wokół nich biegały psy, jakby i one tańczyły.” To była ta „chorowita” Jablonczayowa, stroniąca od ludzi dzikuska, nerwowo chora i zła matka. Junior zdradzał ją systematycznie - drugi tomik wierszy Mukiego, niczym wykres temperatury, wykazuje wahania jego życia erotycznego i można też znaleźć w nim wyznanie: Emma nie daje mu szczęścia, małżeństwo z Emmą przyniosło mu same kłopoty.

Mała Lenke od czwartego do jedenastego roku życia nie знаła swojej matki. Kiedy spotykały się w mieście, Emma nie zbliżała się do niej, nie chciała komplikować i tak już skomplikowanych spraw, Erzsebet wytłumaczyła jej, co może zepsuć jawnym skandalem. W końcu moja matka w 1896 roku, mając niecałe dwanaście lat, spotkała się z nią, po raz pierwszy od rozstania, w niezapomnianych okolicznościach. W środku nocy Melinda postawiła ją na nogi i kazała się jej ubierać, w domu był też zapłakany ojciec i lekarz, który dyskutował z kupców. Potem pojechali powozem do Pallag. Powiedziano jej, że mama jest bardzo chora, może umrzeć i chce się z nią pożegnać, niech więc zachowuje się poważnie, jak przystało na taką dużą panienkę. Kiedy dojechali na miejsce, przebiegli z nią cały dom i wreszcie dotarli do jasno oświetlonego pokoju, gdzie kazano jej podejść do łóżka, w którym ktoś leżał. Moja matka w osłupieniu przyglądała się leżącej, z której widać było właściwie tylko ogromne, wijące się włosy. Nieprzytomna Emma Gacsary urodziła martwe dziecko, czwartego syna, i omal nie wykrwawiła się przy porodzie, mało brakowało, aby ulica Kismester uwolniła się od niej naprawdę. Na progu śmierci zażądała widzenia się z Lenke. Moja matka zachowała z tej nocy tylko okruchy wspomnień, zawsze drażniła ją byle wzmianka o matce, a co dopiero fakt, że była tuż obok niej, widziała ją, choć właściwie nie widziała nic. W pokoju płakały dzieci, mały chłopczyk, który, jak się okazało, był jej braciszkiem Sándor-kiem, i dwie dziewczynki, jedna malutka, druga nieco większa,

moja matka też rozplakała się ze strachu, ale nie przyszło jej nawet na myśl pocałować Emmą Gacsáry. O rodzeństwie natomiast myślała często i od razu pokochała je niespodziewaną, gorącą miłością.

Ponieważ lody zostały tak nagle przełamane i groźba śmierci zetknęła Lenke Jablonczay z matką, mogła już później jeździć co pewien czas do Pallag, ale zawsze tylko w towarzystwie Melindy, i nigdy nie wolno jej było zostać sam na sam z matką, czego zresztą wcale nie pragnęła. Wycieczki do Pallag stały się przykrym obowiązkiem: Lenke Jablonczay doszła do wniosku, że jej matka ma przyjemną powierzchowność, ale jest niepoważna, śmieszna, mizdrzy się do niej, choć na pewno wcale jej nie kocha, przecież swojego czasu oddała ją babre. Jak tylko mogła, uciekała od niej do braciszka i siostrzyczek. Emma zwierzała się Erzsébet, że jeśli prowadziła w życiu jakąś daremną walkę, to chyba właśnie o uśmiech Lenke, o jej pieszczotę, ale zupełnie jakby wypowiadała czułe słowa do ściany; moja matka nie reagowała. Nigdy nic sobie nie zdołały wytłumaczyć: przy Melindzie nie można było zapytać: „Jak to się stało, że od ciebie odeszłam?“, ani odpowiedzieć: „Ukradli mi ciebie, bo liczyli na to, że w złości rzucę twojego ojca.“ Moja matka zachowywała się równie powściągliwie w towarzystwie swojego ojca, Lenke Jablonczay nic nie wiedziała o zeszytach wierszy Juniora, o poezji oplakującej jej utratę. Różnica między dziećmi z Pallag a nią była rażąca, tamte uwielbiały ojca i matkę i tylko im można zawdzięczać, że w ogóle zachowały się dzieła Juniora, że my, wnuki, mogliśmy przeczytać listy Emmy Gacsáry, a twarze moich dziadków, które wyłoniły się z opowiadań urodzonych w Pallag ciotek, tak dalece różniły się od tych, które przedstawiała moja matka, jak gdyby chodziło o całkiem innych ludzi. Bo nie tylko Emma kochała dzieci, i to tak bardzo, że zносиła dla nich swój podły los, ale także Junior kochał Sándor-ka, dwie córki i syna Jenó, który był ostatnim dzieckiem z tego niefortunnego związku. Już dawno nie miał dla Emmy dobrego słowa, ale nigdy nie zapominał o dzieciach i, jak niegdyś Senior jego i Parki, tak teraz on usypiał je bajkami i leżąc na wznak w trawie puszczy uczył córki i synów tajemnic gwieźdnego nieba.

Rok tysiąclecia Węgier jedynie zapowiada zbliżającą się zmianę. Związek Mukiego i Emmy Gacsáry w chwilach krót-

kich napadów czułości, do których dochodzi we wspólnej sypialni w Pallag, wprowadzie przypomina jeszcze małżeństwo, ale tomik wierszy Juniora uprzedza już czytelnika, że coś się szykuje, tym razem nie chodzi o czarnookie dziewczęta pod krzakiem głogu na puszczy i nie jest to także poetycki zachwyty dawnymi ideałami, wyczuwa się tu co innego, poważniejszego, smutniejszego. Junior ma dość żony, wychodzi z pokoju, kiedy Emma zaczyna narzekać: to straszne, że całe życie musi spędzić na wygnaniu, w upokorzeniu, przez lekkomyślność Mukiego, a także dlatego że mały kamyk jej życia zakłócił na parę chwil działanie tego mechanizmu, którym kierowała Maria Rickl. Życie w Pallag jest uciążliwe, Muki zaś chciałby zapomnieć o kłopotach. Ponieważ Emmy nie przedstawiono w towarzystwie, nie odwiedzają jej żadne małżeństwa, z wyjątkiem Lei- denfrostów; Junior czasami urządza polowania, dzięki Róskhel Bónyay jego żona . umie przyrządzać czarodziejskie potrawy i całkiem widocznie bawi ją, że własnoręcznie może napełniać manierki winem z imbirem, cytryną i goździkami, gdy panowie wyruszają o świcie, a wieczorem podawać zmęczonym zwyczajom kolację z upolowanej zwierzyny. Ale nie co dzień jest polowanie, więc Muki ucieka z Pallag, gdzie nie ma spokoju, najczęściej do kąpieliska Szikszaych, i tam kryjąc się przed Lenke prawi paniom piękne słówka. W uroczystym okresie, gdy cały kraj obchodzi tysiąclecie Wigier, jedzie także do Pesztu, oszukując Emmę, że chce się rozejrzeć za pracą, nie ma w tym słowa prawdy, dawny hrabia Hektor kręci się, szaleje wśród tiurniur i przybranych różami kapeluszy, przeżywa kilka bezchmurnie pięknych i szczęśliwych dni. W ekstazie milenijnej uczestniczy zresztą cała rodzina; Junior spotyka się w stolicy ze szwagrami, matką i siostrami. Budapeszt jest miejscem neutralnym, poza tym kupców też ogarnęła euforia, Kósmán może więc przyłączyć się do nich i, podczas gdy Parki i zięciowie bawią się wspólnie, matka i syn prowadzą długie rozmowy „Pod Angielską Królową” lub w teatrach - Maria Rickl każdy dzień kończy w teatrze. O Emmie nie wspomina ani kupcówna, ani Junior, po co mieliby się kłócić w Peszcie, tak piękne są te dni triumfu. Jeździ z Marią Rickl dorożką, spaceruje po bulwarze Stefani, wymachuje chustką i śmieje się bo światło elektryczne oślepiła oczy, nawykłe do oświetlenia gazowego, i ogarnia go tak

niepohamowana wesołość, aż trudno mu siebie poznać, gdy komitackie banderie kolejno przeciągają ulicami. Macha ręką znajomym, w powozach toczących się po drewnianej nawierzchni alei Andrásyego rozpoznaje niejednego debreczyń- czyka.

Kupcówna, choć nikt tego poza nią nie wie, ma wszelkie powody do zadowolenia, znalazła kobietę, której od dawna szukała, poproszono ją o zajętą jeszcze rękę Kślmśna. Poprosiła ją o syna pół żartem, pół serio niebrzydka nawet, zamożna wdowa, należąca do kręgu przyjaciółek Margit; jeszcze jako panna podkochiwała się w Kślmśnie; jeśli uda się uwolnić go od Emmy Gacsry, to wszystko może się odmienić. Właściwie dlaczego nie miałyby się udać? Ułoży się - podsyca w sercu nadzieję kupcówna, podczas gdy w mieście szaleje Jambo-jam- bo i Funiculi-funicula, Parki podziwiają najchudszy człowieka świata Succiego, a Szikszay uśmiecha się obłudnie, bo on widział w nocy coś takiego, czego nie widziały Parki: spowitą w jedwabie tancerkę Carmen Rose z palmowym wachlarzem w ręce. Wszyscy śpiewają Wspomnienie z kąpieliska Herkulesa, Junior czuje, że od dawna nie był tak szczęśliwy jak teraz, bez wyrzutów Emmy, w gronie swojej rodziny.

Oczywiście finanse nie pozwalają mu na dłuższy pobyt, po powrocie do domu próbuje czułością zrekompensować fakt, że nie znalazł w Peszcie pracy. Zbyteczny trud, Emma nie wierzy w ani jedno słowo, wiedziała, że jedzie na zabawę, i była zadowolona, że nie musi go oglądać. W rezultacie czułego powitania następnego roku przychodzi na świat Jenó, ale jego narodzinom nie towarzyszą wiersze kochającego ojca, przeciwnie, pełen niegdyś miłości ton staje się oskarżający i przemądrzale rozważny:

Aniśmy tej samej myśli, aniśmy tej samej krwi, by móc w zgodzie żyć pod słońcem, które tak wspaniale łśni. Ból nam nie tknie serc i toż miłość już się rozsypała w proch, być może po latach nad nią będziemy lać Izy jak groch.

Tak opisuje Junior stan swojego ducha i ich małżeństwa w szarym, miękko oprawionym zeszycie.

W 1898 roku musiało dojść między małżonkami do poważnego konfliktu, lecz w pewnych momentach zanoszą się jak gdyby na pojednanie. „Ojciec nasz, któryś jest w niebie, Mario, łaskiś pełna, modli się do Was dwoje biednych pariasów” - czytamy w zeszycie, ale w końcu zostają znów tylko sprzeczki i wyrzuty, Junior ma wrażenie, że od tego starzeje się: „Łysa moja czaszka, pomarszczone czoło” - żali się w wierszu. Kiedy Lenke Jablonczay rozpoczyna naukę w klasztorным seminarium nauczycielskim, przepaść między jej rodzicami jest już nie do przebycia, Junior myśli o żonie, że „dusza jej stała się prozaiczna, nie ma więcej marzeń i trzeźwym wzrokiem patrzy tylko w przyszłość”. Tomik wierszy utrwala wszystko jak pamiętnik: hrabia Hektor ma wrażenie, że zmarnował życie, że sam je sobie popsuł, kiedy nie zważał na rady tych, co mu dobrze życzyli, zwłaszcza własnej matki. Pragnąłby odmiany, nowego życia, nowego ożywczego uczucia. Starzejący się Muki nie oszukuje w swej poezji ani siebie, ani innych, przyznaje, że często zdradzał żonę i że właściwie chciałby, aby Emma poszukała nowego szczęścia i znalazła sobie innego mężczyznę, ich związek nie ma już żadnego sensu. Aluzje, że żona na niewierność męża odpowiada zdradą, są niedwuznaczne: „Lepiej ci, sam przyznaję, po karcagskim bulwarze (!) spacerować...” Zarzut na pewno jest uzasadniony, Emma Gacsary już jako młoda panienka zachowywała się niestosownie, a zatem jako mężatka - upokorzona przez rodzinę męża, mieszkając stale w Pallag, gdzie jeśli w ogóle widywała ludzi, to tylko mężczyzn, oficerów, karciarzy, myśliwych, dawną kompanię Mukiego - bez wątplenia zdradzała męża. Jej kochankiem był prawdopodobnie wojskowy, postać pewnego porucznika zbyt często występuje nie tylko w wierszach Juniora, ale także w tomiku jego nowel, aby mogło to być dziełem przypadku.

Maria Rickl zachowuje ostrożność, stawka jest zbyt wysoka, aby można było ryzykować. Jeśli dawniej trzymała Juniora z daleka, teraz poleca mu wrócić z Pallag. Szikszay otrzymuje rozkaz wykombinowania Mukiemu jakiejś fikcyjnej pracy w kąpielisku, żeby zatrzymać go w mieście, mianuje więc szwagra kierownikiem kąpieliska i zarazem sekretarzem. Cie-

fezy się, że może mu pomóc, wciąż jeszcze ma wyrzuty sumienia, że kiedy Junior prosił, nie stanął, nie mógł przy nim stanąć, tak, jakby naprawdę tego chciał. Szikszay nie wie, co kryje się za tym kvszystkim, jedyną powiernicą kupcowy jest Melinda, lepiej nie uświadamiać Szikszaych, żeby przypadkiem nie spłoszyli Kślmśna. Junior z radością stwierdza, że choć przy ulicy Kismester jego obecność jest w dalszym ciągu niepożądana, może regularnie widywać matkę i siostry w kąpielisku lub u Szikszaych. Niekiedy jest tam również gość, jakaś owdowiała przyjaciółka Margit, i Kślmśn musi ją odwozić do domu, co wcale nie jest przykrym zadaniem, ale gdyby nawet było, czyż to się liczy w porównaniu z tym, że zamiast w źle oświetlonym, zimnym Pallag jest znów w dawnym świecie, w bogatym domu młodszej siostry, gdzie bawią się w dawne, rodzinne gry. Czasami jest tam również jego córka, ale rzadko na nią patrzy, nie ma o czym rozmawiać z Lenke, już za późno, aby traktować ją jak dziecko, a za wcześnie, żeby wytłumaczyć jej wszystko, co się stało. Podczas gdy Emma siedzi sama z dziećmi w Pallag, przy owalnym stole Szikszaych improwizuje się wiersze, wdowa klaszcze w dłonie uradowana, że Kślmśn umie układać takie zabawne wierszyki i tak sympatycznie przedstawia w nich całe rozbawione towarzystwo. Melinda występuje w nich jako „Gazeta Kismesterska”, a reporterem, który dostarcza nowinek do „Gazety”, jest oczywiście Lenke.

Kupcówna nie nagli, wdowa jest mądrze powściągliwa, nikt nic nie zauważa, a Maria Rickl czeka. Aby zapewnić rozdział małżonków od łoża i stołu, wynajmuje synowi mieszkanie w mieście; w sierpniu 1897 roku, kiedy Jenó Jablonczay, którego nawiasem mówiąc babka również nie życzy sobie poznać, przychodzi na świat, zawód jego ojca, który w metrykach poszczególnych dzieci występuje raz jako urzędnik, a raz jako posesjonat, brzmi już tym razem: kierownik kąpieliska, a miejscem zamieszkania nie jest już Pallag, lecz ulica Kossutha. Juniorowi wydaje się, że Bóg zwrócił na niego szczególną uwagę, nigdy bardziej nie było mu potrzebne samodzielne mieszkanie w mieście jak właśnie teraz: mianowicie Muki po raz pierwszy w życiu jest naprawdę zakochany. Maria Rickl i jej syn pragną wprowadzić tego samego, ale tragedia dziesiątego, nieślubnego dziecka Kślmśna następuje dlatego, że matka i syn

zbyt późno konfrontują swoje zamiary. Maria Rickl widzi następczynię Emmy Gacsóry w bogatej wdowie, Kálmán zaś w dziewczynie, która jest bardziej urocza, łagodniejsza i miłsza niż wszystkie inne i sprzedaje bilety wstępu w kasie kąpieliska Szikszaych. . -

Kiedy już dwoje spośród urodzonych w Pallag dzieci co rano wiezie do szkoły bryczka, zaś Lenke jest wychowanką Zgromadzenia Sióstr Szkolnych, Emma Gacsóry ma zaledwie trzydzieści pięć lat i niekiedy jest zdziwiona, że tak szybko zakończyła życie, teraz już na pewno nic jej nie czeka. Będzie musiała zrozumieć, że była w błędzie.

Kataklyzm miał jednak inny charakter niż wszystko, co dotychczas przeżyła z Juniorem. Emma Gacsóry, z wyjątkiem początkowego okresu, nigdy nie brała poważnie męzkowskich przygód. Że tym razem musi przygotować się na coś poważniejszego, wynikało z faktu, że Muki nie stał się ani rozmarzony, ani szorstki, jak zwykle, kiedy ją zdradzał, tylko po prostu nigdy nie było go w domu lub, jeśli akurat był, lekceważąco odpowiadał na jej pytania. Emma powiedziała Erzsebet, że Muki całkiem wyraźnie znów sobie kogoś znalazł, ale Leidenfrostowa machnęła tylko ręką, Junior żadnej kobiecie nie potrafi dochować wierności, największy matematyk nie zdołałby obliczyć, która to już wielka miłość w jego życiu. Muki jednak stał się nagle nieznośnie rozdrażniony i, jak się okazało, miał po temu wszelkie powody. Leidenfrost dowiedział się od jednego z pracowników Szikszaych, co się przydarzyło hrabiemu Hektorowi: Junior nie tylko zakochał się w młodej dziewczynie, ale w obecności jej ojca i matki obiecał małżeństwo i wielokrotnie powtarzał, że gdy tylko uda mu się uwolnić od Emmy, pojmie ją za żonę.

Emma łamała sobie głowę, co robić. Odejść od Juoiora, odejść z Pallag, porzucić Debreczyn, było pragnieniem, które nie opuszczało jej-od lat i którego nie realizowała, choć wiedziała, że tylko na to czeka ulica Kismester, że dlatego działo się i dzieje to wszystko, bo chcą ją stąd wygryźć. Nie mogła się jednak ruszyć bez odpowiedniego zabezpieczenia finansowego, od Juniora tylko w Pallag mogła się spodziewać utrzymania, wyobrazić sobie Mukiego, który regularnie przysyła alimenty, toż to czysty śmiech! Nie minęłoby pół roku, jak przestałby jej

płacić, nawet nie przez podłość, tylko po prostu nie miałby z czego. Znosiła więc i przetykała wszystko, nawet nie w nadziei, że kiedykolwiek uda się jej odzyskać najstarszą córkę - było całkiem oczywiste, że straciła ją na zawsze - tylko dlatego że jedynie w Pallag los jej pozostałych dzieci był zabezpieczony. Ale Melinda w ostatnich czasach często robiła aluzje do ich ewentualnego rozwodu, czyżby teraz nadszedł właśnie czas, aby ustąpić? Skoro Junior skompromitował młodą dziewczynę do tego stopnia, że musi się żenić, może uda się zmusić ulicę Kismester, żeby wyznaczyła jej jakieś alimenty? Jeśli Maria Rickl zapewni jej na piśmie, że skłonna jest zamiast syna utrzymywać Emmę i dzieci, ona natychmiast spakuje manatki i zabierze się stąd. I niech Junior będzie szczęśliwy z tą, którą sobie wybrał, oby nigdy nie była się z nim spotkała! Emma omawia sprawę ze szwagrem, potem przy najbliższej wizycie Melindy mówi, że chętnie odejdzie, jeśli przystaną na jej warunki.

To oświadczenie wywołuje kompletną euforię przy ulicy Kismester, gdzie nie dotarła jeszcze wieść o nowej idylli Kśłmśna, kto spośród pracowników kąpieliska ośmieliłby się ostrzec przez Margit kupców, a gdyby się nawet ośmielił, kto by zechciał? Emmy Gacsśry w kąpielisku nie znają, Hildę, nową ukochaną Juniora, znają dobrze, któż by jej nie lubił, nie żałował?

Ponownie zaręczony Junior tym razem wybrał sobie nie bogatą pannę, spokrewnioną z dostojnikami kościoła, lecz ubogą dziewczynę, której ojciec jest sierżantem, siostra szyje rękawiczki, brat pracuje jako magazynier w fabryce, a rodzina ma kantynę. Ulica Kismester nie ma pojęcia o planach Mukiego, kupcówna jest tak szczęśliwa, że niekiedy nawet nuci coś zardzewiałym głosem. Jeśli Emma Gacsśry skłania się ku rozwodowi, to trzeba ją teraz tylko namówić, żeby zrzekła się wszystkich dzieci, nie ma sensu zostawiać jej choćby jedno, skoro nie będzie dłużej żoną Juniora, nie należy stwarzać byłym małżonkom żadnych okazji do spotkań. Niech Melinda powie Emmie, że gwarantują jej utrzymanie do śmierci, jeśli zostawi im dzieci. Towarzystwo i tak jej nie zaakceptowało, świadkiem na to może być całe miasto, można by nawet sądownie odebrać jej dzieci Juniora, gdyby pokazać metrykę biednego, świętej

pamięci Ernókc i gdyby wszyscy się dowiedzieli, jak nieprzyzwoicie szybko po ślubie rodziców przyszedł na świat. Cała rodzina poświadczy w sądzie, że Emma już jako panna była niemoralna, a także nie są w mieście tajemnicą te myśliwskie orgie, w których nigdy nie brały udziału kobiety, a pijani goście strzelali do pawi. Jeśli Emma sama wyniesie się z Pallag, co miesiąc będzie otrzymywać pieniądze na utrzymanie.

Junior nie podejrzewa nawet, że kobiety rozpoczęły akcję mającą otworzyć mu drogę do upragnionego celu, pochłaniają go nadzieje i troski, jest więc zarazem szczęśliwy i przestraszony, kiedy dowiaduje się od siostry, że kupcówna prosi do siebie jego żonę, aby pomówić z nią o rozwodzie. Muki nie ma pojęcia, że przy ulicy Kismester upatrzono już dla niego następczynię Emmy, pisze więc tego dnia w radości i podnieceniu trzy wiersze, modli się do Boga, aby uwolnił go od ciężącego mu brzemienia. Emma Gacsóry każe odpowiedzieć teściowej, że odległość między obu domami jest identyczna, niech więc kupcówna przyjedzie do Pallag, jej noga nie postanie więcej w tym domu, sprzed którego bramy odprawiono ją niegdyś na oczach całej ulicy. Wielka to chwila, kiedy kupcówna pokonując gniew każe zaprzęgać, w Pallag czwórka dzieci na jej widok rozbiega się na cztery strony. (Na ulicy Kismester, gdy chcą ukarać Lenke Jablonczay, straszą ją, że pójdzie do matki, a dzieciom w Pallag grozi się, gdy są niegrzeczne, że oddadzą je babce.) Junior nie czeka nawet na Marię Rickl i wymawiając się niecierpiącymi zwłoki sprawami gospodarskimi wyjeżdża na koniu Jancsim. Już zmierzcha, kiedy ośmiela się wrócić do domu; Emma siedzi w świetle lampy pochylona nad robótką, matki już nic ma, dzieci śpią i Muki wpada w rozpacz, bo żona pyta, na ile owoców mogą liczyć tej jesieni. Jeśli Emma ma zamiar robić przetwory, to znaczy, że zostaje, a przecież nie może zostać, bo Junior, na swoje nieszczęście, uwiódł nową bogdanę, która spodziewa się dziecka, i gdy dowiedzą się o tym jej rodzice, dziewczyna nic będzie mogła zostać w domu. Emma musi zwrócić mu wolność, w przeciwnym razie dojdzie do tragedii: rodzina Hildy to nie jedna kalwińska bigotka, która na zniewagę, jaka spotkała jej dom, odpowiada milczeniem i zerwaniem stosunków, widząc w tym, co się stało, niezbadaną wolę bożą: sierżant jest dumny z nieposzlakowanej opinii swego

nazwiska, tego szacunku i sympatii, jakimi się cieszy, nie uda się go długo zwodzić obietnicami i wierszami, tym bardziej że zapędzony w kozi róg Muki wspomniał o szybkim działaniu i tajemniczym źródle pieniędzy i napomknął także, jak szczęśliwe byłyby jego siostry mogąc poznać przyszlą rodzinę swego starszego brata.

Choć trudno w to uwierzyć, Muki tym razem naprawdę spotkał kobietę swoich marzeń, ta miłość będzie mu towarzyszyć aż do grobu i nic nie naruszy idealnej harmonii domu zbudowanego w bocznej uliczce: życie rodzinne, które zawsze pragnął zalegalizować, wraz ze wszystkimi troskami i kłopotami, wydaje się Juniorowi bezchmurnie piękne. Córka urodzona przez Hildę, dziesiąte dziecko Jablonczayego, moja ciotka, która nie mogła nosić nazwiska rodowego, rozplakała się kładąc przede mną ocalony z dwóch kataklizmów wojen światowych, zaczytany na śmierć list, w którego lewym górnym rogu wydrukowano lśniąco wypukłymi literami nazwisko mojego dziadka: „...wkrótce cię odwiedzę i pójdziemy całą gromadą do teatru lub kina. Napisz mi długi list, ja umiem czytać lepiej niż mamusia. Ucałuj w moim imieniu matkę, dziadka, matkę chrzestną i tych wszystkich, którzy cię kochają, całuję cię niezliczoną ilość razy - twój bardzo, bardzo kochający tatuś...”

Wolność, której pragną już jednakowo mąż i żona, jest - tak jak to sobie wyobraża Maria Rickl - dla nich nieosiągalna: warunki matki są szokujące nawet dla Juniora. Jakże ktokolwiek może wymagać od Emmy, jaka by nie była ta Emma Gacsary, aby na zawsze wyrzekła się swoich dzieci? Emma tylko na żonę się nie nadaje, ale zawsze była idealną matką: Sytuacja rozwiązuje się w końcu znacznie prościej, niż którakolwiek ze stron mogłaby sobie wyobrazić: Junior, który przyzwyczał Emmę do tego, że niemal zawsze jest poza domem - spędza przecież z Hildą każdą wolną chwilę - wraca niespodziewanie pewnego dnia i zastaje żonę w niedwuznaczonej sytuacji. W domu nie ma żadnego z dzieci, Melinda, która nienawidziła Emmy Gacsary, zawsze przyznawała, że gdy w Pallag działo się coś, co nie było przeznaczone dla ich oczu, dzieci nigdy nie było w pobliżu. Służące z Pallag, które donosiły wszystko Marii Rickl, twierdziły, że ilekroć Emma podczas nieobecności męża pr/ymuje u siebie mężczyznę, zawsze wysyła dzieci do Leiden-

frostów. Junior wreszcie ma dowód, ale to niewielka pociecha Muki teraz już sam nie chce widzieć Emmy w domu. Nie robi sceny, nie zdejmuje nawet ze ściany tak często wspomnianego sztucera, pędzi do matki i w interesie wszystkich zainteresowanych próbuje być mądry i trzeźwy. Maria Rickl dowiedziawszy się, co zaszło, po raz pierwszy od zerwania stosunków każe zajeżdżać pod dom Leidenfrostów. Zanim Piroška i Irénke zdołały się połączyć, siedziały już w powozie kupców i konie wiozły je w stronę ulicy Kismester, Kalman zaś wrócił konno do Pallag. Junior był nieprzytomny ze zdenerwowania, czuł, że nadeszła chwila ratunku, w optymistycznym nastroju sądził, że dogadają się jakoś w sprawie dzieci, i niech ta nieszczęsna Emma odejdzie, najważniejsze, aby on wyszedł cało z oparów i mógł się ożenić z Hildą. Maria Rickl szukała też chłopców, ale Jenó i Sandor byli z Leidenfrostem w sklepie, gdzie zwykle bawili się w magazynie w chowanym z dziećmi Erzsebet. Całe życie Sándora i Jenó potoczyło się inaczej dzięki temu, że tamtego dnia nie dosięgła ich ręka Marii Rickl, bo kiedy kupczyna oddawszy w domu ryczącą Piroškę i wrzeszczącą Irenkę ciotce Klari pojechała pospiesznie do sklepu Leidenfrosta po chłopców, Armin poinformował ją, że dopiero co była tu ich matka, która zabrała ich bryczką.

Moja matka przez pewien okres swego życia wyobrażała sobie, że jest poganką, tak ją zresztą szyderczo przezywano.

Leidenfrostów nie przyjmowano przy ulicy Kismester, odsyłano też przez Agnes podarunki, które przysyłali dla Lenke, moja matka nie wiedziała nawet, że ludzie powinni mieć też rodziców chrzestnych i nie tęskniła za nimi, dopóki nie poszła do szkoły. Tam zaś często okazywało się, że jakieś świecidełka, nowe śniadaniówki, przemycane do klasy zabawki to podarunki od chrzestnych, i Lenke, która i tak miała w głowie kompletny zamęt przez swój teoretyczny kalwinizm i praktyczny katolicyzm, dość długo sądziła, że jej matka, o której zawsze słyszała, że stać ją na wszystko, lub ojciec, o którym mówiono, że jest nieodpowiedzialny, po prostu zapomnieli ją ochrzcić. Babka rozmawiała z nią rzadko, wydawała jej tylko polecenia, Ilony bała się z powodu jajek, Melinda nie była taka, żeby można ją było o cokolwiek spytać, długo więc łamała sobie głowę, od kogo mogłaby się dowiedzieć o ten swój chrzest. Znaczną część

wolnego czasu, kiedy nie chodziła samotnymi ścieżkami w ogrodzie, nie siedziała nad lekcjami, nie wypatrywała pożaru i nie pływała w kąpielisku „Margit”, spędzała ze służącymi, w których pamięci postać Emmy Gacséry nie tylko nie zbladła, lecz stawała się coraz bardziej rozwiązała i z każdą chwilą coraz podobniejsza do szkaradnych postaci młodych kobiet z Biblii. Agnes, Annus i ciotka Klári, choć stale dyrygowały małą i wyręczały się nią, nie umiały się już właściwie oprzeć smutnemu, nieśmiałemu urokowi, który promieniował od tego dziecka: Lenke tylko na górze, w mieszkaniu lub w towarzystwie obcych była milcząca, bo nie wiedziała, kiedy jakimś nieopatrzonym słowem naruszy nie znaną jej regułę, w kuchni była śmielsza, mówiła. W kuchni, z dala od tajemniczego królestwa Kulawego, przy służących i kotach czuła się najlepiej i najbezpieczniej, a na jej nieśmiałe pytanie, czy ona w ogóle ma rodziców chrzestnych, bo przecież wszystkie dzieci mają, ciotka Klári odparła z największym spokojem, że oczywiście, Szikszaych, tylko nie trzeba o tym za dużo mówić. Odpowiedź nie mogła być mądrzejsza, służące wiedziały, że wspomnianie Lei- denfrostów jest zakazane, a dom Szikszaych zaakceptował Lenke, i rozumiały też, że muszą coś odpowiedzieć, nie można pozwolić, żeby Lenke przeżywano w szkole poganką, tylko dlatego że nie ma rodziców chrzestnych, i tak ma tam dość kłopotów przez to, że chodzi tylko na mszę. Moja matka na Boże Narodzenie przygotowała prezent dla Szikszayego. (Święta na ulicy Kismester zawsze odbywały się według ustalonego scenariusza: o czwartej po południu zapalano świece i wręczano prezenty, potem następował uroczysty podwieczorek, gry towarzyskie, loteria, którą Maria Rickl lubiła jak dziecko i w której można było wygrać ananasy, daktyle i orzechy kokosowe, będące podarunkiem Anselmusów, a później o normalnej porze tradycyjna w Wigilię kolacja rybna, wreszcie Lenke szła do łóżka, a dorośli zasiadali do kart. W Boże Narodzenie i sylwestra zawsze grywało się na pieniądze, Melinda i Maria Rickl grały tak sprytnie, że zarówno Ilona, jak i Margit - dopóki była w domu - niechętnie siadały z nimi przy stoliku. Melinda i kupcówna nie chciały grać, lecz wygrywać, dla nich karty nie były zabawą, lecz próbą sił, Szikszay, gdy siadał do partyjki kalabriaka lub taroka, po pewnym czasie stwierdzał,

że on nawet we śnie nie lubi koszmarów, a co dopiero na jawie, i kładł parę sztuk złota na stół - które Melinda i kupcówna natychmiast dzieliły między siebie mówiąc, że może spokojnie płacić, nie trafiło na biednego - i uciekał. Potem, kiedy nadchodziła pora, budziły śpiącą Lenke, kazały jej się ubierać i dzwoniącymi sankami jechały po zamrzniętym śniegu do kościoła Świętej Anny. gdzie niemal w tej samej chwili zjawiali się Anselmusowie i przyjeżdżał także Junior saniami, które były ozdobione najpiękniejszymi świerkowymi gałązkami. Muki obstawał przy swoim wyznaniu lekko pogardzając Emmą, której pozbawiona polotu kalwińska Wigilia polegała po prostu na wyjęciu Biblii i odczytaniu rozdziału z Ewangelii św. Łukasza o narodzinach Chrystusa.)

Moja matka nigdy nie miała pieniędzy, nawet krajcara. kupcówna bowiem doszła do wniosku, że kto ma rozrzutnych rodziców, powinien być w porę przyzwyczajany do oszczędności, mała Lenke wyrwała więc czystą kartkę z jakiegoś zeszytu, napisała na niej pięknymi literkami: „Ojcu chrzestnemu na Gwiazdkę od Lenke”, i narysowała choinkę oraz anioła o wielkich skrzydłach. Henryk Herczeg, jeśli nawet był zdziwiony, nic okazał tego, podziękował pięknie, zrewanżował się lalką i wszystko byłoby w porządku, gdyby pewnego razu dziecko nie nazwało go nieśmiało ojcem chrzestnym. „Słyszysz, co ona mówi? Zwariowała?” - zapytała Margit. „Dlaczego, przecież mógłbym nim być - odparł Szikszay, a pamięć mojej matki zachowała ten dialog. (Szikszay był kalwinem, ale taktownym kalwinem, który brał ślub w kościele Świętej Anny.) - Choć właściwie Lenke pochodzi ze znacznie lepszych kalwinów, bo jest potomkinią galernika i ważnego kacerza z Sarret. Wyobrażam sobie, z jaką radością mama podpałiłaby pod tymi dwoma stos!” Moja matka od śmierci Seniora jeszcze nigdy nie płakała tak rozpaczliwie jak wtedy ze wstydu, Margit kazała jej nawet iść do domu, aby nie denerwowała dzieci, i dodała też, żeby nie śmiała już nigdy więcej nazywać wujka Gyuli ojcem chrzestnym; jej rodzice chrzestni to Leidenfrostowie, ale z nimi właśnie przez matkę Lenke musieli zerwać stosunki, co nikogo nie cieszy, bo od wieków między domami Ricklów i Leidenfrostów panowała przyjaźń.

W oczach Lenke jej matce przybyła nowa wina: była

odpowiedzialna za to, że Lenke ma i zarazem nie ma rodziców chrzestnych, już to samo wystarczyłoby, aby wycisnąć małej łzy z oczu, ale osobliwe słowa Szikszayego jeszcze bardziej ją przeraziły. Wychowywano ją przecież w przeświadczeniu, że być kalwinką to znaczy być czymś znacznie gorszym, porządny człowiek jest zawsze katolikiem, a kalwini będą się smażyć w ogniu piekielnym, bo to heretycy, i dlatego właśnie, kiedy tylko będzie to możliwe, musi zmienić wiarę, aby przynajmniej ona mogła się uratować. Teraz jej słownik wzbogacił się nowe, straszliwe słowo: galernik, jest potomkinią galernika! Pochodzi więc nie tylko od kacerza, ale i od niewolnika, zapewne ma w rodzinie więcej takich postaci jak Mari Jager albo kapitan, który utopił w rzece Annę Szimon. Moja matka codziennie słyszała, co czyta ciotka Klári z gazet, które wyrzucano do kuchni, kucharka nie interesowała się tym co Senior, przepuszczała wiadomości, że Turcja wypowiedziała wojnę Grecji, że umarł Bismarck, że wybuchła wojna burska czy też o tym, jak broni się kapitan Dreyfus, chętnie za to zajmowała się wszystkim, co dotyczyło królów, ze szczegółami omawiała wizytę cesarza niemieckiego na Węgrzech i cara rosyjskiego w Paryżu, a także fakt, że Franciszek Józef wybiera się do Debreczyna i z tego powodu odcinek drogi, którym prawdopodobnie piątka koni przejedzie od Wielkiego Dworca, ma być na nowo wybrukowany przez kamieniarzy włoskich. W kuchni mówiło się o wszystkim, co dotyczyło wyższych sfer lub było wydarzeniem szczególnie krwawym bądź podniecającym. Matka w czasach mojego dzieciństwa opowiadała mi o Tanaskovicsu, który zamordował jakiegoś jubilera, lub o spalonej w Halach paryskich księżnej z Alenon w ten sposób, jakby to byli jej osobiści znajomi, dokładnie opisała mi wygląd Lucchiniego, a w latach trzydziestych, podczas jakiegoś procesu o szantaż, powiedziała, że coś podobnego przydarzyło się też królowi Serbii, którego szantażowała pewna baletnica. Wszystko, co przy niej mówiono, słyszała, wszystko rejestrowała w pamięci, wszystko ją interesowało, w przeciwieństwie do Melindy, która naprawdę była ciekawa tylko tajemnic swoich znajomych. To zainteresowanie wszystkim, co ją otaczało, przyniosło mojej matce jeden z najkrytyczniejszych dni jej dzieciństwa: wśród wyrzuconych od Błużniercy papierów znalazła pewną książkę i przeczytała ją

■Nigdy nie trafiłaby w jej ręce, gdyby pradziadek nie umarł latem i gdyby służące nie otrzymały od kupcówny polecenia, żeby nie wyrzucać papierów, bo przydadzą się w zimie na podpałkę. W książce były ilustracje, książk, który przez dekolt sukni sięga do piersi młodej damy, wiele zakapturzonych czarnych postaci przy stole za krzyżem i jakiś nieszczęśnik, któremu zawiązano usta i rozciągnięto go na czymś w rodzaju ławy, a na wpół nagi mężczyzna skrapia wodą chustkę, którą przykryto biedakowi twarz.

Mała Lenke przeczytała książkę od deski do deski i od tej pory jej dni i noce były zabarwione przerażającymi wizjami brukowej powieści M. V. Fcreala. Moja matka układała dla mnie bajki na dobranoc z tych elementów, które sama wymyśliła w dzieciństwie, kiedyś spisała je, próbowała gdzieś zamieścić i kilka nawet ukazało się drukiem. Łatwowierna Klśri, wierząca w nawet najbardziej nieprawdopodobne rzeczy, to była oczywiście ona sama, a za czarownicą Borką na pewno kryła się Melinda, która twierdziła, że niegrzeczne dzieci dlatego są tak blade i anemiczne, bo czarownice wypijają im w nocy krew. Zamarznięte ciało psa Pupila naprawdę ukazało się oczom mojej matki wykopane spod śniegu na ulicy Kismester w pewne mroźne, grudniowe popołudnie, cudowne historie Zaczarowanego drzewa i Ogrodu rusalek także zrodziła niezwykła fantazja jasnowłosego dziecka, obejmującego pień drzewa w ogrodzie swego pierwszego debreczyńskiego domu, usiłującego rozproszyć swą samotność powolnym tańcem i czerpiącego natchnienie z krzaków bzu, z ogrodu, który w letnie wieczory na pewno odwiedzały rusalki, i z tajemniczego Wielkiego Lasu, który wabił ją i zarazem odstraszał, bo za tym lasem, jak jej powiedziano, było Pallag, gdzie mieszkali jej rodzice i gdzie, jak była przekonana, jej nie chciano. I oto nagle pewnego razu między tymi wszystkimi historiami - o śnieżnych ludziach, uratowanych psach, czarodziejskim pierścieniu szczęścia z niebieskim oczkiem, sowie strzegącej wody życia, krasnoludkach mieszkających pod korą drzew, czarodziejskim zwierciadle, które przyciśnięte do serca ukazywało myśli, bocianach w ozdobnych debreczyńskich strojach i mówiących ludzkim głosem żabach - znalazła się powieść Fereala o Sewilli z czasów inkwizycji, w której rozpustny inkwizytor ciska na łóżko każdą, której

zapragnie, czy to szlachcianką, czy zakonnicą, i porywa się nawet na cześć córki gubernatora, a Święte Oficjum skazuje niewinnych na tortury i śmierć na stosie, wmawiając im kacerstwo.

Kiedy przeczytata tę książkę, Kulawy wycofa! się na długo. Moja matka widziała w wyobraźni członków Świętego Oficjum, jak dręczą swoje ofiary, leją im w usta wodę, dopóki biedacy nie pękną, obcinają im palce, łamią nogi, w końcu po przesłuchaniu ubierają ich we włosiennice i palą na stosie z polan ułożonych w trzy krzyże.

Jednym z najgorszych dni małej Lenke był ten, kiedy kupcówna przyłapała ją na czytaniu powieści Fereala; Lenke znała już książkę niemal na pamięć, jednak wracała do niej wciąż na nowo. Maria Rickl była bigotką, doprowadziło ją do pasji, że bezbożnik Imre jeszcze po śmierci pokazuje jej figę i zatruwa umysł dziecka. Ogarnął ją taki gniew, że nie tylko zabiła dziewczynkę na kwaśnie jabłko i własnoręcznie wrzuciła do pieca haniebną książkę, ale oznajmiła też mojej matce, że tak nikczemne dziecko zasługuje na wszystko, co najgorsze, będzie więc musiała zastanowić się poważnie, czy nie należałoby zawiadomić Świętego Oficjum, iż przy ulicy Kismester żyje mała heretyczka. Moja matka błagała z płaczem, żeby nie oddawali jej inkwizycji, Melinda drwiąco przyglądała się całej scenie. Gizella Jablonczay właściwie obojętnie odnosiła się do religii, nawet do własnej, katolickiej. Moja matka przez całe życie miewała jakieś kłopoty z Bogiem i Chrystusem, zarówno w okresie gdy była katoliczką, jak i kalwinką, nie bardzo wiedziała, co z nimi począć, kochała tylko Matkę Boską, ucieczkę wszystkich cierpiących kobiet, matek i dziewcząt o nadszarpniętej opinii, jedyną realną postać wśród poetyckich lub zbyt konkretnych męskich bogów. Melinda po wielkim biciu umyła Lenke, zrobiła jej okłady i dała do zrozumienia, że jeśli o nią chodzi, Lenke może sobie czytać Fereala i niech wreszcie przestanie wierzyć, że mogą ją oddać inkwizycji. Najmłodsza Parka niebezpiecznie zbliżała się do wieku, który miał jej zapewnić taką samą swobodę, jaką cieszyły się mężatki.

Gizella Jablonczay w roku śmierci Seniora obchodziła dwudzieste urodziny, na które dostała w prezencie kanarka; tym upominkiem kupcówna, choć wydała pieniądze na ptaszka

i odpowiednio wyposażoną klatkę, wbiła najmłodszej córce szpilkę: ptaki dawało się dzieciom bądź leciwym damom. Książka Róży Kaloesy pocieszała wprawdzie stare panny, że po ukończeniu dwudziestu lat mogą już zdjąć dzieciinne różowe i turkusowe suknie i wolno im też nosić pierścionki z brylantami, ale była to słaba rekompensata za brak własnego domu i Melinda wcale nie wpadała w dobry humor na myśl, że jeszcze tylko pięć lat, i sama będzie mogła zostać przyzwoitką, a za następne pięć uzyskać pełną swobodę, to znaczy mogłaby ją uzyskać, gdyby miała pieniądze, gdyby któraś z bogatych ciotek z rodziny Anselmusów zechciała jej pomóc: Róża Kalocsa zezwalała kobietom trzydziestoletnim na prowadzenie własnego domu, przyjmowanie gości, a nawet nawiązywanie przyjaźni z odpowiednimi pod względem wieku mężczyznami, oczywiście „w stosownych dla wytwornych, kulturalnych dam granicach”. Melinda starała się, pod tym względem nic nie można jej było zarzucić, niekiedy chodziła nawet do kąpieliska, choć wiedziała, że nie wygląda pociągająco i nie czuła się dobrze w wodzie. Kupcówna, gdy nie były akurat w żałobie, zabierała ją na wszystkie zabawy, Melinda dobrze tańczyła, ale robiła intrygi wśród panien, peszyła je złośliwymi uwagami i dawała im odczuć braki w ich wykształceniu. Melinda nie tylko nie była popularna, młodzież nie mogła jej wprost znieść, a nie było już Seniora, który każdemu (choćby nawet samej Melindzie) zdołałby wytłumaczyć, że trzecia Parka po prostu atakuje, zanim ktokolwiek zdąży zaatakować ją, że ta dziewczyna nie jest wcale zarozumiała, tylko bardziej wrażliwa od reszty rodzeństwa i wie, że prawdopodobnie nikt jej nie zechce, więc woli mieć opinię panny, która odstrasza każdego, kto tylko ma zamiar się do niej zbliżyć, niż żeby złota młodzież, która w słomkowych kapeluszach i spodniach w pepitę lustruje panny, litowała się nad nią. Ale Melinda pokazywała się wszędzie, gdzie zbierali się ludzie, nawet na ślizgawce pod wiekowymi, oszronionymi drzewami Wielkiego Lasu, w pobliżu drewnianej budki w kształcie pagody na stawie, gdzie latem pływały łodzie; ślizgała się | lękiem i poza Kalmanem nigdy nie znalazł się nikt, kto /.godziłby się popychać ją w fotelu na płozach, tylko Lenke, która na łyżwach poruszała się z całkowitą pewnością, pchała najmłodszą ciotkę z szybkością wiatru i zręcznością chochlika

Melinda z biegiem czasu zorganizowała prawdziwą służbę wywiadowczą, moja matka pod różnymi pretekstami musiała wbiegać do wszystkich domów, gdzie bywały Parki, aby wyniuchać, czy coś się nic zdarzyło. W ten sposób na ulicy Kismester zawsze o wszystkim wiedziano, moja matka w towarzystwie Annus czy Agnes wkradła się także na kościelne śluby, aby zdać potem sprawę z wyglądu panny młodej, i chodziła też na cmentarz, nawet na pogrzeby wojskowych i samobójców, na których jej ciotce nie wypadało bywać, ale które ją pasjonowały. Lenke przynosiła nowiny," opisywała ceremonią, usytuowanie grobu, ilość wieńców, miejsce, gdzie grzebano wysokiego rangą oficera, a nawet końskie oczy błyskające spod żałobnego całunu i ton wydawany przez werble. Moja matka nauczyła się podstawowego prawa Melindy, że człowiek powinien wszystko o wszystkich wiedzieć, o sobie zaś nie wolno mu zdradzić ani słowa, zwłaszcza w rodzinie, gdzie jest dużo do ukrycia, zapamiętała też, że dopóki świat o czymś nie wie, to po prostu tego nie ma; pozory są ważniejsze od rzeczywistości. Tak więc, gdy inne panny stroiły się na różowo i niebiesko, Melinda w rezedowych lub popielatych sukniach знаła tajemnice Debreczyna lepiej niż komendant policji i uśmiechała się tylko krzywym uśmieszkiem na spotkaniach towarzyskich, gdzie panny, z których każda była od niej ładniejsza, szykowały wspaniałe tace z owocami, honorując najważniejszego gościa monogramem ułożonym z kolorowych konfitur. Najmłodsza Parka zawsze umiała powiedzieć coś takiego, od czego zebrany zapierało dech w piersi. Ale jej obecność była ważna, rodziny debreczyńskie zapraszając Melinę udowodniały tym samym, że nie mają nic do ukrycia.

Trzecia Parka, jeśli nawet była zadowolona z Lenke, nigdy jej nie pochwaliła. Usta Gizelli do momentu zamążpójścia nie znały łagodnych słów, ale kiedy była w dobrym humorze, wysyłała Lenke z Agnes na jarmark, sama nigdy z nimi nie chodziła, tylko wypytywała, kto był i co jedli, posyłała ją też do panoramy, żeby zobaczyła, co tam pokazują, najchętniej wprawdzie poszłaby sama, ale miała wrażenie, że jej już nie wypada, a bardzo bała się śmieszności. Tak więc tylko od mojej matki mogła się dowiedzieć, że można tam zobaczyć syrenę, a także kobietę, która wymordowała rodziną i z siekierą goni

uciekającego w gaciach męża, a za nią przewrócony stół i kilka dziecięcych ciał; śmierć Juliusza Cezara, bitwę pod Waterloo i wybuch Wezuwiusza. Tego sprawozdania słuchała także Maria Rickl, która oświadczyła, że to typowe, właściciel panoramy prezentuje tu coś takiego, o czym ludzie nie mają pojęcia, dlaczego nie pokaże bitwy debreczyńskiej, kiedy to Rosjanie galopowali przez ulicę Piać, a u nich w domu mieszkał hrabia Rudiger, zaś u Orbśna Kissa carewicz (Kissowie byli spokrewnieni z Jablonczayami i Leidenfrostami), niechby to pokazał, a nie Waterloo, ona sama do dziś pamięta, jak będąc jeszcze małą dziewczynką chodziła między oficerami w opadającym jej na uszy czaku Riidigera.

Niekiedy Melinda dzieliła się też z moją matką przeżyciami intelektualnymi. To, że w 1897 roku podczas wyprawy do Pesztu musiała widzieć Trilby, wykryłam przez przypadek. Jest taka jaszczurka, która nazywa się gekon, moja matka tak właśnie nazwała swój ulubiony przedmiot gospodarski, prymus naftowy, który w jej dawnym debreczyńskim mieszkaniu umożliwiał gotowanie obiadu nie w odległej, lodowato zimnej kuchni, lecz w pokoju, w pobliżu mego chorego ojca. Zawsze myślałam, że nazwała tak prymus od jaszczurki, miała zadziwiający talent do nadawania wszystkiemu własnych imion. Ale pewnego razu, kiedy broniła Melindy, powiedziała, że czasami ciotka jej coś opowiadała, na przykład akt po akcie opowiedziała jej Trilby. Tytuł głośnej wtedy sztuki Daphne Du Maurier nic mi nie mówił, nie znałam jej, przeczytałam ten dramat dopiero wtedy, gdy próbowałam zgromadzić wszystkie utwory literackie, które wywarły wrażenie na mojej matce. Ścisnęło mi się serce: w Trilby występuje Gecko, który jest właściwie skrzypkiem, taki trochę terminator, trochę ladaco, ale kocha się w Trilby, w każdym razie chce ją uratować, broni jej, dopóki biedna Trilby nie zginie przez Svengali. Ileż to razy niegdyś moja matka musiała sobie powtarzać treść tej sztuki, która mogła się także odnosić do jej osoby: Trilby nigdy nie może wyjść za mąż, bo córka matki, która była upadłą barmanką, i lekkomyślnego ojca pijaka nie może wejść do uczciwej rodziny, a więc i dla niej nie otworzy się dom rodziny Józsefa. Ale może ktoś by jej pomógł? Ktokolwiek! Gecko!

W tym roku kiedy Franciszek Józef ogląda przedstawienie teatralne w Kremsier* i w antrakcie prosi do siebie pewną kobietę, panią Schratt, Lenke Jablonczay kończy edukację w instytucie dla panien i trzeba zdecydować o jej dalszym losie. Wątpiąca dziewczynka jest mądra, wychowawcy podkreślali jej pojętność, umiejętność systematyzowania wiadomości, natomiast Pósova, nauczycielka muzyki, proponowała niedawno otwartą szkołę muzyczną kształcąca przyszłych artystów, bo ona sama - twierdziła - może się już tylko uczyć od Lenke Jablonczay, która mogłaby zostać wielką pianistką, gdy dorośnie. Maria Rickl nie -zwróciła nawet uwagi na panią Pósa, za to uważnie wysłuchiwała słów Gedeona Dóczygo, wiedziała, że Lenke Jablonczay nie ma kompletnie nic, a więc trzeba ją kształcić, bo ta dziewczyna nie nadaje się do niczego innego, tylko do pracy umysłowej. Niech więc zostanie nauczycielką, przy ulicy Świętej Anny jest klasztor Sióstr Szkolnych, Instytut Svetits, w którym jest seminarium nauczycielskie, tam Lenke może się uczyć. Zapisała więc wnuczkę, a Maria Margit Stillmungus, która wypytywała Marię Rickl o warunki rodzinne nowej wychowanki, o jej osobowość i sondowała niedyskretnymi pytaniami aż do granic nietaktu, aby wiedzieć, jak ma pokierować wychowaniem dziewczynki, która po skończeniu szkoły musi być godna przyjęcia wiary katolickiej, ucieszyła się, kiedy wśród niezliczonych negatywów odkryła także coś dobrego: Lenke, jak twierdzi jej nauczycielka muzyki, nie najgorzej gra na fortepianie i proponowano nawet, aby chodziła do szkoły muzycznej. „Zapisać! - poradziła Maria Margit Stillmungus.- U nas jest wiele uroczystości i potrzebujemy dobrych pianistek." Moja matka przyjęła do wiadomości, że odtąd nie będzie się już uczyć u pani Pósa, lecz w prawdziwej szkole muzycznej, i ucieszyło ją to, bo ilekroć siadała przy fortepianie, miała wrażenie, że kiedy gra, wszystko, co trudne w życiu, staje się łatwiejsze. Jak gdyby między nią a domem przy ulicy Kismester tworzyła się jakaś warstwa izolacyjna, muzyka była ucieczką, introspekcją, a jednocześnie miała wrażenie, jak gdyby ktoś powierzył jej pewną wiadomość, którą ona musi przekazać innym, wsłuchiwała się więc z napięciem w to, co za jej

Fotografia, która przedstawia moją czternastoletnią matką, jest jednym z najosobliwszych zdjęć rodzinnego albumu.

Na zdjęciu u podnóża jakiegoś porośniętego trawą, zieliskiem i polnymi kwiatami nasypu, tańczą trzy dziewczynki, moja matka pośrodku. Wszystkie trzy noszą sięgające ziemi suknie, każda unosi nieco spódniczkę, a mojej matce wystaje nawet rąbek halki. Po lewej stronie jest jakaś nieznaną, niezgrabną, roześmianą dziewczyną, po prawej zaś ciemnowłosą.

pośrednictwem pragnie przekazać ten ktoś, kto już od dawna nie żyje. Trwały jeszcze wakacje, była wolna, wybrała się więc do Szikszaych na pływalnię. Kiedy już w kostiumie kąpielowym znalazła się nad basenem, nie skoczyła, jak zwykle, od razu do wody, bo spostrzegła, że instruktor pływacki Lajos Vigh właśnie kogoś egzaminuje. Na kiju zwisała szczupła, ciemnowłosa dziewczynka, poruszająca się w wodzie z lęklwym wysiłkiem i wynurzająca co chwila twarz. Nad wodą, tuż przy barierze, stało kilka osób, brodaty i wąsaty pan, czerwieniąca się i blednąca na przemian w zdenerwowaniu pani, jakaś bardzo młoda kobieta, smukła, urodziwa dziewczyna i chłopak; wszyscy patrzyli na pływaczkę, którą Lajos Vigh właśnie odczepił i która zaczęła pływać już bez liny. Stojący na brzegu jednocześnie nakreślili krzyż, płynąca odwróciła twarz, dostrzegła ten ruch i moja matka ujrzała jej nieśmiały uśmiech. Dziewczynka przepłynęła basen, zawróciła, a krewni - bo to musiała być jej rodzina - szli obok niej wzdłuż brzegu, wiwatowali i już nawet zaczęli się śmiać; Lenke Jablonczay tylko stała w miejscu i patrzyła na nich. Kiedy przy akompaniamencie oklasków dziewczynka wdrapywała się na brzeg po jednej z drabinek, Lenke zeszła po drugiej. Na chudej mokrej szyi ciemnowłosej dziewczynki wisiał na łańcuszku krzyżyk, szyja mojej matki była naga. W chwili gdy jedna wychodziła, druga schodziła, spotkały się ich oczy, dziewczynki zmierzyły się wzrokiem i zarejestrowały wzajemnie w pamięci, ale żadna z nich nie przypuszczała, że spotkała właśnie przyjaciółkę, której wiernie będzie towarzyszyć do końca życia, taką, do której podobnej nie znajdzie nigdy żadna z nich, taką, z którą każda z nich zechce spotkać się ponownie tam w zaświatach.

ubrana na czarno i zasnurowana do granic możliwości, zapewne jakieś kuzynki ze strony Anselmusów; wszystkie trzy mają na głowach słomkowe kapelusze przybrane kwiatami. Cieniutką talią mojej matki przepasuje biała wstążka, dołem spódnicy biegną cztery rzędy białej tasiemki, a cieniutką szyją okala szeroki biały kołnierz. Czternastoletnia Lenke Jablonczay otrzymała widocznie polecenie, by uśmiechała się do fotografa i była posłuszną. Twarz uwieczniona na zdjęciu jest ironicznie uśmiechnięta. Czternastoletnią dziewczynką bawi jej poza i treść tego obrazu: „jestem uroczą, beztroską i pogodną młodą damą”, oraz jego tło: „łono natury”, na którym one, „trzy młode damy”, ruszyły w tan. Patrzy zmrużonymi oczami spod na wpół przymkniętych powiek nie w soczewką, lecz gdzieś daleko, przed siebie. Dziewczynka, którą spotkała nad basenem kąpieliska Szikszaych, miała w przyszłości do spełnienia wielkie zadanie: musiała nauczyć Lenke Jablonczay śmiać się bez opamiętania i cieszyć się życiem. I to jej się udało.

Na sporządzonym w drukarni pana Kutasiego ozdobnym dyplomie (wizerunek mężczyzny w pasiastych spodniach skaczącego głową w dół i kpiącego sobie z wszelkich praw fizyki - cyklistówka nie spada z głowy skaczącego! - oraz dwóch potężnych w zadach kobiet w prążkowanych, mocno zesnurowanych stanikach i kokieteryjnych pantalonach łączących się powyżej kolan z pończochami, również szykujących się do skoku) instytutu pływackiego Gyuli Szikszayego opatrzonym pieczęcią (obejmują ją cztery niewidoczne z przodu syreny o zawiązanych na węzeł ogonach) właściciel kąpieliska Gyula Szikszay i kierownik Jablonczay zaświadczyli swymi podpisami, że uczennica ich instytutu panna Bella Bartok w dniu 25 lipca 1898 roku zdała egzamin pływacki.

Z Bellą Bartok po raz drugi spotkała się moja matka w zupełnie innych okolicznościach, a mianowicie w budynku klasztornym przy ulicy Świętej Anny podczas sprawdzania listy uczennic, w obecności wielebnej przeoryszy Marii Margit Still- mungus i damy klasowej Marii Charitas.

Mojej matce na otwarcie roku szkolnego nie towarzyszył nikt z rodziny, odprowadzili ją tylko ciotka Klári i pies Bobi, krocząc po jej obydwu stronach, i zostawili ją przed bramą klasztorną z tym, że jak powiedziała babka, odtąd ma sama

chodzić do szkoły i wracać do domu. Na początku Lenke Jablonczay tylko przyglądała się innym dziewczynkom i próbowała zestawić w małym zeszytiku listę koleżanek: Balogh, Balogh, Bartók, Biró, Bruckner, Fíbi&n, Fidrús, Hadhşy... było ich dwadzieřcia jeden. Kiedy przy wyczytywaniu nazwisk dziewczęta wstawiały i kłaniały się, kilka razy miała wrażenie, że gdzieś już je widziała, może na ulicy albo w kościele. Pierwszego dnia czuła się osamotniona i odizolowana; dziewczynki przysły do instytutu ze szkoły katolickiej, rozstały się zaledwie na dwa letnie miesiące wakacji; moja matka, która przysła tu z instytutu Dóczego, nie znała żadnej z nich, sama też ruszyła w drogę powrotną. Bellę Bartók poznała w chwili, kiedy przekraczały bramę. Jak tamtego letniego popołudnia przy basenie w kąpielisku „Margit”, tak i teraz czekali na uczennicę seminarium nauczycielskiego brodaty mężczyzna, dwie uśmiechnięte panie, starsza i młodsza, oraz piękna, wysmukła panna i chłopiec o roześmianych oczach. Bella Bartók wzięła pod ręce obie siostry i nie zamykały się jej usta, kiedy opowiadała, co wydarzyło się w szkole; za nią wysypały się inne dziewczęta, tylko Lenke Jablonczay szła sama. Przed kościołem Bartókwie przystanęli, potem przeszli jezdnię, a kilka dziewczynek widząc, że Bella Bartók idzie prosić Boga o pomoc na drodze, którą wybrała, poszło w ślad za nią. Moja matka również; po raz pierwszy weszła do kościoła z własnej woli. Opuściła go wcześniej niż inne. W domu kupcówna kazała sobie pokazać listę koleżanek, podała jej więc zabazgraną kartkę. „Bella Bartók - rzekła kupcówna. - To na pewno najmłodsza córka Agostona Bartoka. Bardzo porządna rodzina, Bartókowa bywa na wszystkich zebraniach stowarzyszenia kobiet." U Bartoków zapewne ten dzień musiał mieć podobny przebieg i pani Bartókowa tak samo musiała zwrócić uwagę na nazwisko Jablonczay.

Znałam osobiřcie Agostonową Bartók, z domu Bertę Tomanóczy. Z niedowierzaniem patrzyłam na nią jako dziecko, a przecieř ja przywykłam do rusałek. Ale moja matka była rusałką innego rodzaju, nie łagodną, nierealną istotą, która unosi się wśród kwiatów, moja matka była olbrzymką, jeśli zaczarowanym ptakiem - to orłem, jeśli duszkiem - to wyrrywającym drzewa i siejącym wiatr, zdolnym poruszać góry Puckiem i Arielem. Berta Tomanóczy zaś była całkiem jednoznaczna,

promieniowały z niej tylko dobroć i równomierna, spokojna miłość. Kiedy powiedziała swojej córce Belli, że byłaby zadowolona, gdyby zaprosiła do nich wnuczkę znaną z dobroczynności Jablonczayowej, nie przeczuwała, co robi. Działała tylko zgodnie z zasadami swojego życia, a ponieważ wszystko, co złe, było jej dalekie, zatykała uszy, gdy plotkowano w jej obecności, i gniewała się, gdy ktoś mówił o delikatnych sprawach jakiejś rodziny, więc jeśli nawet słyszała coś na temat osobliwego życia Juniora lub dotarło do niej coś w związku z Emmą Gacsary, nie liczyło się to wobec faktu, że dziewczynka wychowuje się w domu Kalmsnowej Jablonczay, a co za tym idzie, stanowi odpowiednie towarzystwo dla jej córki. Kiedy otworzył się przed Lenke Jablonczay dom przy ulicy Nyomtató, pized ironicznie uśmiechniętą, milczącą i zdyscyplinowaną czternastolatką otworzyły się z trzaskiem podwoje „Złotej Krainy” z bajki Wujka Forgó i zaczęło się dla niej to, co zabrano jej na ulicy Kismester: dzieciństwo.

W owej „Złotej Krainie” żyło wiele osób, babka, rodzice, troje rodzeństwa Belli - Ilona, która mieszkała tam już razem z mężem, ucząca się malarstwa Margit, przyszły prawnik, na razie gimnazjalista Ferenc - i sama Bella. W tym domu często bywają ludzie, a same dzieci, odkąd nauczyły się pisać, prowadzą księgę gości i księgę pamiątkową, w której wpisują się i rysują przybysze, prowadzą dzienniki, improwizują wiersze, muzykują, malują. Tu wszyscy systematycznie czytają literaturę piękną, prenumeruje się nie tylko dzienniki polityczne, ale także dziecinne pisemko Wujka Forgó, „Kis Lap”, Agostonowa Bartók chowa każdy kawałek papieru, na którym widnieje ślad ręki któregoś z dzieci, i w ten sposób dzięki córkom Belli mogłam zobaczyć pierwsze karty pocztowe pisane przez małych Bartóków, świadczące o niezwykłym talencie Margit portrety krewnych i znajomych i przeznaczony dla Wujka Forgó opis ówczesnego Debreczyna, po którego ulicach chodziła jako dziecko moja matka. „Na terenie równinnym, gdzie występuje fatamorgana, wśród złocistych łąków leży Debreczyn, kochane miasto, w którym mieszkamy - pisze Margit Bartók. - To już trzy lata minęły, jak pożegnawszy górzysty i skalisty Munkacz*

przyjechaliśmy tu, na Wielką Nizinę, gdzie serce ciągnie każdego Węgra. Od tej pory chodzę tutaj do szkoły, oddycham debreczyńskim powietrzem i stałam się już prawdziwą debreczynianką. Zapoznawszy się z tutejszymi warunkami, z radością korzystam z okazji, żeby porozmawiać o tym wszystkim z Wujkiem Forgó. Chciałabym zwłaszcza napisać o miejscu, w którym mieszkamy, o ładnym, przestronnym domu i ogrodzie, gdzie tak dobrze się czuję. Gdy wracam ze szkoły do domu, idę do altany, która znajduje się na skraj u ogrodu, obok niej rosną dwa oplecione bluszczem bożodrzewy, w cieniu których zwykłam przesiadywać z młodszym rodzeństwem ucząc się lub czytając „Kis Lap”. Nie opodal naszego domu rozciąga się ogród Csokonaiego z jego pomnikiem, a zaraz za nim wielki kościół kalwiński z dzwonem Rakoczego, to właśnie tu w 1849 roku proklamowano wolność Węgier. Za kościołem znajduje się potężny gmach słynnego Kolegium i Instytut Rolniczy. Od stacji aż do Wielkiego Lasu kursuje kolejka wąskotorowa, po jej lewej stronie znajduje się kąpielisko Szikszayego' „Margit”. będące ozdobą Debreczyna, sam Wielki Las z pawilonem Dobosa, licznymi domkami letniskowymi i basenami jest naprawdę pięknym i przyjemnym miejscem wycieczkowym. Jest bardzo rozległy. Wśród ciekawostek miasta poczesne miejsce zajmuje teatr zimowy, dalej pałac Kasyna na głównej ulicy i szkoła realna przy ulicy Hatvan. Debreczyn nazywają też kalwińskim Rzymem i ta nazwa pasuje do miasta. Mieszkają tu jednak również katolicy w liczbie około dziesięciu tysięcy, a głową ich kościoła jest przybyły tu niedawno wielbny Nándor Wolafka, przedmiot westchnień wszystkich uczennic, jego wspaniałe kazania ściągają do kościoła prawdziwe tłumy. Bardziej znane wyroby przemysłowe Debreczyna to: miodowniki, obarzanki debreczyńskie, mydło, znakomity biały chleb, słonina, kielbasa, fajki gliniane itp. Długo mogłabym jeszcze paplać o naszym drogim Debreczynie, przecież to takie kochane, piękne i czyste miasto.”

Opis Margit Bartók jest nie tylko dokładny, ale wymienia również te punkty miasta, które w przyszłości odegrają pewną rolę w życiu Lenke Jablonczay. Przed pałacem Kasyna będą czatować na nią Otth i Majthényi, przestanie tam bywać József /. powodu swej siostry Ninon, w pawilonie Dobosa urządzi

kiedyś bufet jej pierwszy mąż i zatrzyma się tam na szklanek piwa jej drugi mąż, Elek Szabó, którego dziadek jest nierozdzielnie związany z teatrem zimowym, szkołą realną i ogrodem Csokonaiego. Właścicielem kąpieliska „Margit” jest szwagier ojca Lenke, a „ładny, przestronny dom”, z którym Wujek Forgó może się zapoznać z opisu malej Margit, stanie się także domem Lenke Jablonczay.

O rozkład domu przy ulicy Kismester musiałam wypytywać krewnych. Ale opis domu Bartóków przy ulicy Nyomtató słyszałam tyle razy, że zapamiętałam go sobie na całe życie i doskonale wiedziałam, że z bramy, z zamykanego korytarza wchodziło się najpierw do pokoju babki Belli, stamtąd do bawialni, która łączyła się z salonem, a potem budynek zakręcał i wchodziło się do jadalni, dalej do pokoju Agostona Bartoka, a na samym końcu do sypialni i królestwa dzieci, że pomiędzy bożodrzewami rozpięty był hamak i w ogrodzie była też huśtawka, i że Ilonka ze swoim mężem Emilem dostali mieszkanie w lewym skrzydle domu zbudowanego w kształcie litery „U”, naprzeciwko jadalni, pokoju pana domu, sypialni i pokoju dzieciennego. Zresztą nieco przebudowany widziałam ten dom na własne oczy. Moja matka, po latach, w których prześladowało ją widmo rodziców i inkwizycji, przestąpiwszy próg tego domu, nagle z atmosfery tragedii przeniosła się w świat obrazków z kalkomanii, domowych antologii poezji i kolekcji ciekawych powiedzonek. Zdumiona przewracała kartki oprawnego w zielononiebieski aksamit zbioru rodzinnych sentencji zatytułowanego Nie zapomnij!, w którym znajdowały się takie oto głębokie myśli: „Można żyć bez miłości, ale nie bez wszelkiej nadziei.” „Serce jest głębsze od najgłębszego morza.” Ilonka grała zaś na fortepianie i śpiewała wiersz Kalmana Kovacsiego: „Nie wiem sam, dlaczego cię kocham, piękny, stawny Debre- czynie, może dlatego gdyż tu oślśniła mnie pierwsza miłość lub trawy, drzewa, dzikie kwiaty, ptactwo Wielkiego Lasu, tańcząc) promień Hortobagy.” Margit niemal zawsze miała w ręce szkicownik i rysowała, wychowawca przepytывał Feriego i chłopiec po każdym bezbłędnie rozwiązany zadaniu biegł do pokoju babci po łakocie. Tego tygodnia, kiedy moja matka weszła do domu Bartóków po raz pierwszy, według zapisków Belli odwiedziły ich jeszcze następujące osoby: przyjaciele

Ferenca, młodzi mężczyźni: Zoltan Fekete, Lórsnt Basa, Elemer Bachumek, Gyula Paraszka, wielmożne panie: Gs- borowa Basa, pani Ericzowa, Ignacowa Bachumek, wielmożni panowie: Gabor Basa, Erno Ericz, Ignac Bachumek. Rodzina zasłuchana była w dziecinną powieść pod tytułem Droga do Złotej Krainy, którą głośno czytała pani Agostonowa Bartóko- wa. Moja matka tylko patrzyła. W pokoju był też ojciec, taki ojciec, którego wszyscy kochają, który nie ma brudnych spraw i chroni, jednoczy ten mały świat, gdzie jednak - od razu to wyczuła - mimo całej radości panuje jakiś nieodłączny, łagodny smutek. (Margit, bardzo utalentowana wychowanka szkoły malarskiej w Nagybanya, wystawiająca swe obrazy w Salonie Narodowym, umrze młodo, zadając rodzinie nie gojącą się ranę, i wszyscy - nawet ona sama -- zdają sobie sprawę, że nie będzie długo żyła.)

W tym domu rodzi się też poezja, Margit nie tylko maluje, umie też pisać wiersze, a i Bella ma doskonały styl, Ferenc jest zdolny i pracowity, Ilonce nie wystarcza własny dom, przybiega do matki, pomaga jej w pracy, Agoston Bartok spędza z rodziną każdą wolną chwilę, uczy, kieruje, czuwa, sama zaś Berta Tomanóczy jednoczy rodzinę i strzeże tego rajy Bartóków. „Moja kochana Bello - pisze mąż Belli Bartók, Antal Tichy 2 maja 1916 roku z frontu, składając teściom życzenia w rocznicę ich ślubu - miło pomyśleć, że Twoi kochani rodzice przyjęli mnie niczym rodzzonego syna, nauczyłem się ich kochać i szanować, bo są tak dobrzy, tak czysti, tak uczciwi." Sześć tygodni później Antal Tichy pisze: „Tylko moje myśli były dziś inne niż zazwyczaj. Bardziej intensywnie myślę o was. Wyobraziłem sobie rodzinny obiad u Tatusiów i czułem też ich miłość. Nigdy w życiu nie widziałem piękniejszego, serdeczniejszego życia rodzinnego."

Lenke Jablonczay słucha bajki Wujka Forgó, nie na darmo uczyła ją Melinda, siedzi wyprostowana jak trzcina, ładnie je, gdy ją częstują, i słucha, bajki o tym, jak rodzice, którzy znaleźli się w nędzy, porzucają swoje dzieci, aby dotrzeć do Złotej Krainy, jak wzywają potem do siebie synów i córki, z jakim trudem docierają do nich najmłodsze dzieci, wśród przygód i niebezpieczeństw, stałych napaści czarnych gnomów, które może pokonać tylko jedno: dotknięcie kapeluszem, na

którym matka naszyła niegdyś wstążkę, bo przedmiot przechowujący dotyk kochającej ręki matczynej jest silniejszy niż wszystkie złe moce. Moja matka pomyślała, że w takim razie ona nigdy nie doszłaby do Złotej Krainy, przecież nie ma nawet jednej sukienki, nawet jednej rzeczy, której dotknęłaby kochająca dłoń matczyzna, i zapewne przez całe życie przejdzie samotnie, bez opieki, bo któż mógłby jej pomóc?

Przyjaźń Lenke Jablonczay i Belli Bartók przetrwała do śmierci bez jednej kłótni, bez jednego dysonansu i było to tym piękniejsze, że ich sympatia nie opierała się na wzajemnym podobieństwie, raczej na tym, co je od siebie różniło. Bella głęboko wierzyła, moja matka była ateistką, Bella akceptowała wyższość mężczyzn, moja matka pogardzała samcami, wyśmiewała się z nich, Bella w głębi serca była rojalistką, moja matka już nawet nie republikanką, ale rewolucjonistką, niemal anarchistką. W obronie Belli stanęłaby cała rodzina, moja matka była bezbronna, Bella uczyła dzieci posłuszeństwa, moja matka buntu, Bella była bogata, nawet w najgorszym okresie swego życia bardzo zamożna w porównaniu z moją matką, Lenke Jablonczay niemal do starości walczyła z kłopotami finansowymi, które skończyły się dopiero wraz z przemianą w moim życiu. Bella była łagodna, moja matka tylko uprzejma, Bella przestrzegała reguł *savoir-vivre*, moja matka nie uznawała konwenansów, Bella właściwie osiągnęła wszystkie swoje cele, moja matka żadnego. Bella przed śmiercią przyjęła ostatnie namaszczenie, moja matka po kilkakrotnej zmianie wyznania nie troszczyła się na łożu śmierci o tamten świat, śmiała się do nas na wpół przymkniętymi oczami ze zdjęcia sporządzonego, gdy miała czternaście lat, w tak charakterystyczny sposób przypominającego twarz konającej i dawała nam do zrozumienia, że nic właściwie o niej nie wiedzieliśmy, bo ona była samą tajemnicą. Obie przyjaciółki tak zabawnie różniły się od siebie, że jedna dla drugiej stanowiła wieczne źródło radości, a „Złota Kraina” domu Bartoków, młodość i wspólne wspomnienia były dla nich obu tymi studniami, nad którymi pochylały się, aby czerpać, jedna, by znieść wyboje losu, druga, by nawet bez uświęconego dotykiem matczynej ręki kapelusza pokonać odmętę swego życia.

Lenke Jablonczay nauczyła Bellę Bartók dziwić się, Bella Bartók nauczyła Lenke Jablonczay śmiechu. Gdy w grudniu 1898 roku, w roku wybuchu powstania Bokserów, wydaje ostatnie tchnienie i umiera w Fiizesgyarmat osiemdziesięcioletnia babka Emmy Gacséry, Rakhel Bdnay, Lenke Jablonczay zdobywa nie tylko wierną przyjaciółkę, dzięki której znajduje u Bartóków prawdziwy dom, lecz poznaje także kogoś, kto wywrze ogromny wpływ na jej życie: matkę przełożoną, Marię Margit Stillmungus.

„Stoi tu naprzeciw mnie niezapomniana postać wielce szanowanej i bardzo kochanej matki przełożonej, siostry Margit - deklamuje w 1942 roku Bella Bartók na czterdziestym spotkaniu absolwentek Instytutu Svetits - widzę jej wysmukłą, prostą sylwetkę, splecione nad sznurem habitu dłonie w czarnych rękawiczkach, patrzy na nas pogodnie dobrotliwymi oczami zza lśniących okularów, spójrzcie na nią i wy! I słuchajcie, bo przecież ona do was mówi. «Możemy zaczynać, meine Siisse!» - zwraca się do którejś z nas. Nigdy nie zapominajmy dobrych, mądrych nauk, które pomogły nam pokonać wiele trudności w życiu, wspominajmy ją z miłością!"

Maria Margit Stillmungus w roku, kiedy Lenke Jablonczay pojawiła się w szkole, skończyła właśnie czterdzieści jeden lat. Nie widać tego po niej, twarz ma gładką, a w mądrym spojrzeniu nie ma zakonnej pokory: zza okularów - robiących wrażenie rekwizytu niezbędnego dla jej rangi, czegoś wyróżniającego ją spośród innych zakonnice - patrzą dumne oczy. Uczy metodologii i historii stosując niezwykle metody. (W czasach kiedy sama byłam nauczycielką, niejednokrotnie przypominałam sobie, co opowiadała mi o nich matka, i stosowałam je z lepszymi wynikami niż zasady metodyki praktycznego nauczania, które wpoili mi profesorowie Studium Nauczycielskiego Uniwersytetu Debrcczyńskiego.) Stillmungus nie jest ładna, Maria Charitas, nauczycielka matematyki i przyrody, jest od niej stokroć ładniejsza, właściwie jest olśniewająco piękna, tak piękna, że można się w niej zakochać, ponadto plonie niczym krzak Mojżeszowy, plonie wiarą, wszystkie dziewczęta podko- chują się w niej skrycie, z wyjątkiem mojej matki, której dziewczęce, bezpieczeństwa uczucia sprowadzi wkrótce na normalne tory bardzo realna miłość. Maria Alexia nie jest ani ładna.

cmi iu<|uia, a ubś.y w^gmi Miicgo i gcugriiii, w mani isonic nawcl Bella Bartók nie powiedziałyby, że interesująco prowadzi wypad, Maria Bona jest dobrotliwie nudna, jak jej imię. Aloysia, nauczycielka kaligrafii, jest malutka jak oliwka i twarz też ma jak oliwka, jadowna jest ta mała zakonnica, stale rozdrażniona. Siostra Alfreda, nauczycielka gimnastyki, ćwiczy „hu/arki zc Svetits" ubrane w nieprawdopodobnie fantazyjne pelerynki, a pan profesor Husz, jedyny mężczyzna, nauczyciel muzyki i śpiewu, z filozoficznym spokojem powściąga młode, bujne temperamenty. Dyrektorem tego ciała pedagogicznego jest Nándor Wolafka. Jeśli któraś z wychowanek nie jest właśnie zakochana w Marii Charitas, kocha się w nim, wielbny ksiądz jest mężczyzną o pociągającej powierzchowności, odnosi sukcesy w życiu publicznym, kościelnym i prywatnym. Wymaga surowego porządku i Stillmunga przestrzega tego. Spośród wielbnych sióstr żadna nie jest zakonnica szablonową ani postacią z pism satyrycznych, każda ma własne przyjemne lub przykre cechy. Ale indywidualnością wśród nich jest tylko siostra Margit.

Ja też znałam Stillmunga.

Znałam zapewne, a dokładniej mówiąc, widywałam także inne, które jeszcze żyły i pracowały w czasach mojego dzieciństwa w Instytucie Svetits, musiałam je widywać, przecież mieszkaliśmy w domu sąsiadującym z klasztorem. (Moja matka zawsze starała się mieszkać w takich miejscach, żeby ulica w jakiś sposób wiązała się z którymś z etapów jej wcześniejszego życia. Aby pozostać blisko domu przy ulicy Kismester i Marii Rickl, w czasie pierwszego małżeństwa wynajęła mieszkanie na Fuvcskert, aby przypominać sobie panią Póś i małą Lenke, która z nutami pod pachą i towarzyszącym jej wszędzie psem Bobim biegnie na lekcje muzyki; życie z drugim mężem zaczęła przy ulicy Domb, niedaleko dawnego pokoju pani Póśowej, a kiedy mieszkanie okazało się nieodpowiednie, przeprowadziła się na ulicę Świętej Anny, do domu tuż przy klasztorze, i opierając łokcie na dzielącym obie posesje niskim murze przyglądała się tęsknym wzrokiem spacerującym zakonnicom. Stąd, kiedy podrosłam i musiała zatroszczyć się, abym miała własny pokój, przenieśliśmy się na ulicę Hunyadię; kiedy z plebanii przy kościele Świętej Anny brałam metryki narodzin

i zgonów Jablonczaych, po prostu mnie zatkało: przy ulicy Hunyadiego pod dwudziestym czwartym mieszkali po sprzedaniu kąpieliska Szikszayowie; gdy otwieraliśmy bramę, moja matka zapewne słyszała głęboki śmiech wuja Gyuli. Potem, podczas amerykańskiego nalotu dywanowego, ulica Hunyadiego zniknęła z powierzchni ziemi, a moja matka wróciła w pobliże pierwszej sceny swego życia, w sąsiedztwo dawnej ulicy Kismester, wtedy już Bethlena, znów na ulicę Fiiivészkeret, tym razem już z moim ojcem, i mieszkała z nim o dwa domy bliżej zaułka Harmathy, niż w czasach gdy była żoną Béli Majthényiego. Nie ulega wątpliwości, że widziałam Aloysię i Alfredę, że mi je pokazywała, tak jak im pokazywała mnie, ale postacie przypominające szereg pingwinów wydawały się identyczne oczom dziecka i zapamiętałam tylko siostrę Margit.)

W dziesiątym roku mojego życia, w roku 1927, klasa mojej matki obchodziła dwudziestopięciolecie ukończenia szkoły. Podczas dwudziestolecia też byłam już na świecie, ale uważali, że jestem za mała, by wziąć udział w uroczystości, i dopiero mając dziesięć lat po raz pierwszy przekroczyłam progi klasztoru. Przekroczyłam je niechętnie, ze złością, byłam zapiekłą kalwinką, bigoteryjnie religijną, butnie dumną z tego, że ochrzczono mnie jako kalwinkę, byłam surowa i zarazem nieznośnie łaskawa, miałam za złe mojej matce, że jest innego wyznania niż ja i ojciec i wynosi pod niebiosa klasztor, w którym rzekomo spędziła najpiękniejsze lata swego życia, że chwali zakonnice, spacerujące co wieczór po ogrodzie.

Później często rozmawialiśmy o tym dniu, kiedy poznałam siostrę Margit, moja matka żałowała, że nie zetknęła nas ze sobą wcześniej i że nie uprzedziła jej, jak należy ze mną postępować. Spotkanie zaczęło się nabożeństwem, były uczennice i ich rodziny zebrały się w kaplicy, a mnie to wszystko od razu się nie spodobało. W kościele unosiły się nie znane mi zapachy, widniały nie znane dekoracje, a poza tym trochę się też bałam. Choć mieszkaliśmy w sąsiednim domu, nigdy nie byłam tak blisko zakonnice, teraz kołysały się i szeleściły wokół mnie ich osobliwe stroje. Stałam między matką a Bellą, bałam się ołtarza, księdza i figur. Kiedy wszyscy uklękli, uklękła też moja matka, i tylko ja pozostałam w pozycji stojącej. Maria Margit Stillmunga zaraz po wejściu do kaplicy stanęła za moją matką i kiedy

spozregła, że nie klękam, przycisnęła mnie do ziemi. Wstałam, ale znów zmusiła mnie, żebym uklęknęła. Wtedy odwróciłam się i z całej siły uderzyłam ją w rękę. W tym momencie stara, wątła zakonnica była dla mnie ucieleśnieniem wojen Feligijnych, kimś odpowiedzialnym osobiście za mojego przodka galernika, za gardłowe sądy w Bratysławie i Eperjes*, za wszystkie kiedykolwiek zamknięte kościoły mojego wyznania, za wszystkie upokorzenia, które musieli znosić protestanci. Moja matka zbladła, Bella miała minę, jak gdyby chciała się rozplakać, ale ja też się zlekłam tego, co nastąpi po mszy. Zdawałam sobie sprawę, co zrobiłam, a także dlaczego, i jeśli nawet byłam przekonana, że w domu potrafię jakoś wytłumaczyć, że w danym momencie nie byłam sobą, lecz galernikiem, który w każdej sytuacji broni swojej wiary, to jednak czułam, że to, co zrobiłam, było głupie, ta stara zakonnica nie mogła przecież zajrzeć mi w serce, a ja w pierwszym porwywie i histerycznym strachu przed tajemniczymi dźwiękami, zapachami i słowami zapomniałam o zasadach*, jakie wpajano mi w domu. Moim wychowaniem religijnym kierował ojciec, innych rzeczy uczyli mnie oboje rodzice, moje maniere naprawdę miały mało wspólnego ze wskazówkami Róży Kalocsy, ale nieraz mi tłumaczono, że jeśli nie potrafię zrozumieć, iż ktoś może mieć inne -- lub wyrażane w innej formie -- zdanie o religii, powinnam wstąpić do inkwizycji, co się zaś tyczy zachowania w obcym miejscu, to istnieją pewne reguły, takie same jak ta, określająca, w ciągu ilu dni należy rewizytować odwiedzających nas po raz pierwszy gości.

Po nabożeństwie przeorysza jako pierwsza opuściła kaplicę, moja matka natychmiast poszła za nią, choć ta nie spojrzała na żadną z nas i nie dała jej żadnego znaku. Widziałam Bellę, jak lękliwie zerka w moją stronę, i pomyślałam, że teraz w duchu dziękuje Bogu, że nie urodziła takiego potwora jak ta biedna Lenke, i zobaczyłam, że ona też idzie za moją matką, której może potrzebna będzie pomoc, potem jednak zatrzymuje się. Bella była uosobieniem taktu i wycucie podszeptu jej, że chyba lepiej zrobi, jeśli nie będzie nam towarzyszyć. Szłyśmy więc we trzy, Stillmungus, moja matka i ja, w stronę pokoju przeoryszy. Zakonnica była milcząca, moja matka też milczała

i czułam, że jeśli się zaraz coś nie stanie, zacznę krzyczeć. Przeraziła mnie klauzura, tam też stały figury w czerwonych i niebieskich szatach, a ja jako dziecko panicznie bałam się wszelkich posągów. Kiedy doszliśmy do pokoju przeoryszy, zakonnica odezwała się wreszcie i z tego, co mówiła, miałam okazję poznać tę osobliwą istotę, o której tak często opowiadała mi matka. Bo zakonnica nie mówiła do mnie i nie na mnie się gniewała, lecz na nią: „Powinnaś się wstydić, Lenke - zaczęła. - Dlaczego nigdy mi nie mówiłaś, że twoja córka nie jest katoliczką? Bo chyba nie jest, prawda? Cztery lata byłam twoją wychowawczynią i tak tnało mnie znasz? Co sobie teraz o mnie myśli to biedne dziecko? I co myśli o zakonie? Całe życie bądzie przeze mnie zagniewana na Kościół." Moja matka ukryła twarz na jej ramieniu w fałdach habitu. „Nie przymilaj się, nie gniewam się na ciebie - rzekła Maria Margit Stillmungus. - Wystarczająco sama siebie karzesz, Lenke. Wciąż szukasz i szukasz, a jednak nie znajdujesz, bo szukasz w złym miejscu. Podnieś głowę i puść mnie do dziecka." Była wysoka, chuda, a ja mniejsza od innych dzieci w moim wieku. Kiedy patrzyłam jej w oczy, bo mnie do tego zmusiła, miałam wrażenie, że widzą królową, nie zakonnica. Potem nagle przestała być taka wielka, bo przykucnęła i z promiennym uśmiechem objęła mnie ramieniem. Ledwo śmiałam oddychać w jej bliskości, dygotałam jak dzikie zwierzę w obecności pogromcy. „Jesteś bardzo niegrzeczną dziewczynką, jednak sprawiłaś mi radość -- powiedziała - bo ty przynajmniej w coś wierzysz." Podniosła się, wyciągnęła szufladę biurka, wyjąła z niej obrazek przedstawiający małego Jezuska. Spojrzała na mnie zamyślona, może zastanawiając się, jaki spotka go los, kiedy dostanie się w ręce miniaturowego Cromwella, potem jednak postanowiła mi go podarować. Na obrazku w kusej koszulce stał mały Jezus, miał krótkie, ciemne włosy, i rozpościerał rączki. „Proś o wybaczenie!" - szepnęła moja matka i choć zawsze miewałam z tym kłopoty, tym razem byłam skłonna przeprosić zakonnice, tylko że do tego nic doszło. Maria Margit Stillmungus, która, co teraz wiem, była większym pedagogiem, niż myślała moja matka, położyła suchą dłoń na moich wargach. To ona odezwała się do mnie: „Wybacz mi, że cię niepokoiliam. Zawsze bądź obrończynią swojej wiary." Rozpłakałam się ze wstydu, a ona przytuliła mnie do siebie

i jak dawniej tylokrotnie moją matką, teraz uspokajała mnie, a ja, przytulona, nie zważałam nawet na to, że moja twarz napotyka na różne kościelne rekwizyty. Jej promieniująca dziwnym urokiem postać oddziaływała na mnie nawet po jej śmierci. Żyła jeszcze przez trzy lata od naszego pierwszego spotkania i trzeba było kataklizmu wojny światowej, naszego mieszkania z wyrwanymi przez-pobliski wybuch drzwiami, przez które przewijali się obcy ludzie, aby zginął z mojego pokoju otrzymany od niej obrazek z Jezuskiem.

Pierwsza, utykająca rozmowa we wrześniu 1898 w pokoju przeoryszy klasztoru przy ulicy Świętej Anny, dokąd Maria Margit Stillmungus wezwała czternastoletnią Lenke Jablonczay, aby ją poznać (wzywała wszystkie uczennice i przyjmowała je według alfabetu), wywarła decydujący wpływ na życie ich obydwu. Nie mogło się zdarzyć szczęśliwsze spotkanie: zakonnica wśród licznych roześmianych, skromnych, zakłopotanych lub uśmiechających się w poczuciu absolutnego bezpieczeństwa twarzyczek dostrzega całkiem inną, przedwcześnie dojrzałą, smutną twarz dziecięcą, już zna skomplikowaną sytuację dziewczynki, wyrosłej wśród cieni domu przy ulicy Kismester, ale dziś widzi ją po raz pierwszy. Lenke Jablonczay, w której sercu żyje wprost nedorzeczna tęsknota za matczyną miłością, spogląda w mądre oczy kobiety, która jest urodzoną matką, choć nigdy nie zaznała miłości mężczyzny, jest matką w inny sposób niż Agostonowa Bartók, co innego wie i co innego też daje. Ma wielki dar, wyróżniający ją spośród innych zakonnice: Stillmungus doskonale zna się na ludziach, potrafi też zaakceptować to, co jest obce jej naturze, nie oburza jej nic, co ludzkie, a to, co ludzkie, interpretuje tak szeroko jak jej mistrz święty Augustyn. Jest wykształcona, i to nie powierzchownie, jak często bywało w tym okresie z działaczkami zajmującymi się szerzeniem oświaty wśród kobiet; z absolutną pewnością porusza się w swojej dziedzinie wiedzy i śledzi jej najnowsze osiągnięcia. Zna swoje współtowarzyszki z klasztoru, zna samą siebie i pragnie także poznać wszystkie wychowanki. Od razu orientuje się, że z takim dzieckiem jak Lenke Jablonczay nie miała jeszcze do czynienia. Lenke porusza się i mówi jak inne

W klasztorze szybko zwrócono uwagę, że przeorysza lubi Lenke Jablonczay. Sympatia zakonnicy polegała na tym, że dzieci, które otrzymały w domu staranne wychowanie, a jednak pod strojem szkolnym odziedziczonym po Melindzie kryje się pięć ran Chrystusa. „Proszę opowiedzieć swój życiorys!” - poleca blednącej i czerwieniącej się wychowance, która w zdenerwowaniu przechodzi właśnie jeden z tak częstych ataków tachykardii, i przeorysza poznaje teraz odwrotną stronę tego, co już słyszała od Marii Rickl, wygląda to tak, jak gdyby ktoś za pomocą tych samych dekoracji całkiem inaczej urządził scenę. Informacje mojej matki są pełne oporów, luk, jednakże można ruszyć ich śladem. Kupcówna podkreślała za każdym razem, że jej nieszczęśliwy syn Kślmśn padł ofiarą zbyt wczesnego, młodzieńczego, nieudanego małżeństwa, zapewne mówiła o tym także podczas rozmowy w klasztorze. Lenke Jablonczay nie wspomina nawet o nieszczęściu swego ojca, za to pojawiają się w jej opowiadaniu dwie nieprawdopodobne postacie, które wprawdzie dawno już nie żyją, ale pamięć przyprawiła im skrzydła: Senior i Bluźnierca. „Proszę scharakteryzować siebie! -- słyszy Lenke Jablonczay i ogarnia ją jeszcze większy strach. -- Prędko! Gdybyś nie była sobą, lecz kimś innym, w jaki sposób przedstawiłabyś mi siebie?” „Jestem sierotą” - mówi bez wahania Lenke Jablonczay, na co Maria Margit Stillmungus zwraca jej uwagę, że po pierwsze, jest dzieckiem bożym jak każdy człowiek, a po drugie, nie ma powodu się uskarżać, bo wprawdzie rodzice rzeczywiście nie opiekują się nią, ale dobra babka, którą błogosławią w codziennych modlitwach za jej dobroczynną działalność w stowarzyszeniu kobiet wszyscy biedacy z miasta, i pozostali członkowie rodziny Jablonczaych nie zostawili jej bez pomocy. Moja matka otrzymała w końcu pozwolenie odejścia, ukloniła się i poszła ku drzwiom. „Lenke!” - usłyszała już niemal w progu i odwróciła się przestraszona. Zakonnica stała kryjąc dłonie w rękawach habitu, w szklach okularów w złotej oprawce, które sprawiały wrażenie rekwizytu, połyskiwało wrześnie słońce. „Tu nie będziesz sierotą, przyrzekam ci!” - powiedziała Maria Margit Stillmungus i dała jej znak, że może odejść.

wymagała od mojej matki trzykrotnie więcej niż od innych wychowanek, zlecała jej osobne zadania, dawała książki, o których treść ją wypytywała, i niemal całkowicie odsunęła ją od środowiska domowego. Moja matka, gdy akurat nie grała w szkole muzycznej lub nie siedziała u Bartóków, spędzała czas w klasztorze i przeważnie właśnie tam ćwiczyła na fortepianie. Życie religijne wychowanek instytutu określały surowe reguły, nie było dnia, aby któraś nie spędziła dłuższego czasu w kaplicy, do cotygodniowej spowiedzi i komunii wychowanki szły klasami. Mojej matki, która była kalwinką, oczywiście to nie dotyczyło, przeorysza wzywała ją wtedy do swojego pokoju i rozmawiała. Zakonnica nie urzędowała Lenke Jablonczay osobnych, jednoosobowych rekolekcji, mówiły o najróżniejszych sprawach, pewnego razu poleciła jej przyprowadzić do szkoły Bobiego, niekiedy kazała jej grać, wypytywała, na czym upłynął jej tydzień, prosiła, aby dziewczynka opisała dokładnie kąpielisko Szikszaych i co się tam robi, w zamian za to opowiadała o zakonach zagranicznych i o Rzymie. Dopóki Lenke Jablonczay chodziła do szkoły Dóczego, była uczennicą ocenianą odpowiednio do swoich zdolności, każdy z nauczycieli wiedział, jakie rodzina ma wobec niej plany, i choć robili wszystko, aby ta wychowanka, mająca tak mało wspólnego z wiarą otrzymaną na chrzcie, pokochała wiarę Kalwina, nie mogli tego osiągnąć przy pomocy samych psalmów i Biblii. Pierwsze przeżycia religijne dziecka tak silnie wiązały się z Kościołem katolickim, że wszelkie starania musiały zakończyć się niepowodzeniem. Nie karano jej wprawdzie za to, ale całkiem zrozumiałe, że nie była ulubienicą Dóczego. Kiedy natomiast znalazła się w klasztorze, już po upływie paru miesięcy stało się oczywiste, że kalwinka Lenke Jablonczay cieszy się szczególnymi względami przeoryszy, jest jedną z najlepszych uczennic, a ponadto stanowi dla Kościoła ważną duszę do zdobycia, czekają ją więc szczęśliwe i bezchmurne lata, zanim dojdzie do wieku, kiedy prawo pozwoli jej przejść na łono Kościoła katolickiego.

Charitas, piękna Charitas, która w habicie zakonnym przypominała smukły płomień, jako pierwsza zbliżyła się do mojej matki i już to samo. w sobie było wydarzeniem zadziwiającym, bo Charitas uwielbiana przez wychowanki kryła się przed ich natrętnym uczuciem. Charitas nie miała nienormalnych

skłonności, o ile potrafię zrekonstruować słowa mojej matki, zakonnicy zupełnie wystarczała do szczęścia myśl, że traci swą niepowtarzalną urodę dla Chrystusa, i nie zwracała najmniejszej uwagi na uczucia dziewcząt. Charitas, kiedy zrozumiała zamiary Stillmunga, sama też doszła do wniosku, że trzeba tej małej Jablonczay coś ofiarować, i chciała się z nią podzielić tym, co było dla niej najdroższe: wiarą. Moja matka w piętnastym roku życia rozkwitła w bliskości Bartóków i Stillmunga, jej twarz straciła kwaśny wyraz, a rysy, długie nogi, smukłe jak kwiat, pozbawione skłonności do tycia ciało zapowiadały, że wyrośnie na wyjątkową piękność. Niemal we wszystkich listach kondolencyjnych, które dostałam wiele dziesiątków lat później, po jej śmierci, powtarzają się słowa: „Nigdy nie widziałam podobnie pięknej istoty.” Charitas, sama też piękna, ofiarowała mojej matce Chrystusa i mistyczny związek między zakonnica a Bogiem. Moja matka opowiadała mi, że nie rozumiała ani słowa z tego wszystkiego, co szeptała jej Charitas, ale zachwycało ją, że wszystkie koleżanki zazdroszczą jej sympatii zakonnicy.

Panu profesorowi Huszowi nie trzeba było specjalnie polecać mojej matki, zdumiał się już na pierwszej lekcji: spod palców uczennicy z rozstrojonego fortepianu popłynęły filuterne dźwięki rokujące wielki talent, przyszła wielką pianistkę. Moja matka grała z nut albo improwizowała, wśród świętych murów rozbrzmiewała śmiała melodia, klasycy w interpretacji Lenke Jablonczay opowiadali to wszystko, co wiedzieli o świecie i o sobie samych. Ale zaledwie pan profesor Husz zamykał za sobą drzwi, kładziono przed nią nuty i roześmiana Lenke Jablonczay bawiła klasę Gejszą lub arią San-Toy. Gdy ktoś zaglądał do sali, melodia od razu przechodziła w Ave Maria. Właśnie przez te dawne lekcje muzyki moja matka tak bardzo lubiła operetkę Nitouche.

Maria Alexia była zdania, że zdolność formułowania Lenke Jablonczay znacznie przekracza poziom szkolny, jej wypracowania są poetyckie, niecodzienne, skonstruowane całkiem inaczej niż prace pozostałych uczennic i - co nie zwykło iść w parze z zainteresowaniami literackimi - ma też niezwykle zdolności do gramatyki. Maria Renata trochę kręci głową, bo wprawdzie niemiecki idzie dziewczynce wcale nieźle, ale jej

wymowa jest wręcz okropna, Maria Renata przyjechała tu z Austrii i aż syczy przy miękko wymawianych słówkach, choć nigdy nie jest tak zła jak Maria Aloysia, najbardziej poiywczą spośród zakonnice. Aloysia uczy kaligrafii i jak mała rozdrażniona kwoka jazgocze na konferencjach zakonnice: wiadomo, że uczennice są skłonne do śmiechu, ale Lenke Jablonczay jak już zacznie, nie może się pohamować. Ona przyjmuje polecenie wielebnej matki przełożonej, aby pozwolić Lenke Jablonczay na wesołość, ale ta dziewczyna śmieje się tak często, że to już zagraża ogólnej dyscyplinie. „Więc niech się śmieje” - mówi zimno Stillmungus, i Aloysia w czterdziestolecie ukończenia przez swoją matkę szkoły wyznała, że czasami niemal szlag ją trafiał, gdy musiała znosić jej chichoty. „Wielebna siostrze - powiedziała Bella, która po czterdziestu latach przyszła do dawnej ukochanej szkoły, tak samo posłuszna i skora do wykonywania poleceń I siostrze Aloysio, przecież ta biedna Lenke musiała się śmiać. Zawsze coś się działo na ulicy, i to prawie zawsze właśnie na lekcjach siostry. Niestety, przeważnie o tej porze maszerowało wojsko.”

Bella Bartók w-1901 roku pisze do swojej starszej siostry: „...Pierwszego października mamy egzamin z teorii muzyki. Jutro pierwsza lekcja fortepianu. W sobotę wróciło do domu pięćdziesięciu sześciu oficerów, rezerwistów i ochotników; szeregowcy i oficerowie przy akompaniamencie orkiestry wojskowej maszerowali w poniedziałek od jedenastej do dwunastej ulicą Świętej Anny. Właśnie siostra Aloysia miała lekcję kaligrafii, a w naszych ławkach oczywiście zaczęło się poruszenie. Hon- wedzi wracają dwudziestego i tego samego dnia wyjeżdżają kadeci.”

W ciągu czterech lat, 1898-1902, które moja matka spędziła jako wychowanka studium pedagogicznego Instytutu Svetits, Francja zajmuje Sudan, księżę orleański przy pomocy Ligi Patriotów chce restytuować monarchię, anarchista Bresci zabija króla włoskiego, Kitchener puszcza z dymem folwarki i magazyny walczących Burów i wysyła ich żony i córki do obozów zagłady, szaleje powstanie Bokserów, Rosja najeżdża Mandżurię, buduje się linię kolejową do Port Arthur, ku

zaskoczeniu Leona XIII senat francuski żąda przedłożenia statutów stowarzyszeń zakonnych, chcąc poznać ich członków oraz ich dochody, na Węgrzech strajki żniwiarzy sprawiają, że konieczna staje się interwencja rządu i zbrojnych formacji władz bezpieczeństwa publicznego, na drogę nowej literatury wstępują były wychowanek cystersów nazwiskiem Babits*, syn** Arpada Kosztolśnyiego zSzabadki*** i Ady****; wielbiciele teatru w Europie dyskutują, czy Mąż idealny Wilde'a jest naprawdę tak idealny, i mówią o zaskakującej Profesji pani Warren; Conrad napisał już Lorda Jima i Murzyna z załogi „Narcyza”, czytelnicy nie bawią się już fantastyczną literaturą Verne'a przedkładając nad nią bardziej cierpką i realistyczną prozę Wellsa, światowy rozgłos zyskała już nie tylko Hanusia Hauptmanna, lecz także Woźnica Henszel, a bibliofile od dawna znają Poglądy księdza Hieronima Coignarda France'a;

w ciągu tych czterech lat, kiedy żyje jeszcze Ibsen i po Budowniczym Solnessie i Johnie Gabrielu Borkmanie kończy Gdy się zbudzimy spośród zmarłych, młody Tomasz Mann wydaje wspomnienie (ubeckiej ulicy Kismester - Buddenbroo- ków, a w sześćdziesiąt miesięcy po Studien uber Hysterie ukazuje się także O marzeniu sennym Freuda, wielu Węgrów pamięta jeszcze, jaki był pogrzeb Jónosa Aranya i aż trzęsie się od plotek wokół drugiego małżeństwa Jókai; Ferenc Móra***** zaczyna pracę w „Szegedi Napló”, zostaje wydany Król Midas Ambrusa, ukazuje się też jego Gioroflć i Girofla oraz prawie nie znane w debreczyńskim klasztorze Dziwne małżeństwo Mikszatha, pewien młodzieniec nazwiskierń Móricz***** pracuje w redakcji „Ojsag”, a „Magyar Gc-

niesz" drukuje wiersze Margit Kaffki (w roku kiedy Lenke Jablonczay i Stillmungus spotykają się po raz pierwszy, Kaffka kończy właśnie naukę w tym samym szatm&rskim klasztorze, w którym uczyła się także kupcówna);

w ciągu tych czterech lat setki tysięcy Węgrów wyruszają do Ameryki, aby zarobić na życie (wtedy to właśnie kucharka Klári Szucs i pokojówka Agnes proszą o jeden dzień urlopu i dostają go, aby. jeszcze raz ujrzeć emigrującego brata), w Se- gesvárze* miały się odbyć obchody rocznicy śmierci Petófiiego, ale większość członków rządu nie chcąc zasmucać i tak już skłopotanego dobrego króla** doniosła organizatorom o swej chorobie (pisma satyryczne przedstawiają okutanych szalami, skulonych w fotelach, tchórzliwych przedstawicieli węgierskiego życia publicznego, którzy poważnie zastanawiają się nad sprowadzeniem chińskich kulisów, aby zastąpili trudny w prowadzeniu i widocznie niezbyt przywiązany do kraju proletariat rolny);

w tym samym czasie niebezpiecznie rosną wspólne wydatki austriacko-węgierskie i po upadku rządu Kálmána Tiszy i Banffyiego*** w coraz bardziej absurdalnym chaosie próbuje zaprowadzić porządek Szell****, a w ciszy przed burzą ukazują się Gyurkovicsówny Ferencza Herczega, rozwiązujące miniaturowe problemy domowe genialnymi pomysłami matrymonialnymi, kończy się jeden wiek i zaczyna drugi, a na rysunku w „Borsszem Jankó” kłown o smutnej twarzy zaciąga kurtynę na rok 1899, w którego ostatnią noc, podczas gdy na Węgrzech rozbrzmiewają wszystkie dzwony, w domu Szikszaych po wystawnej kolacji, ponczu i wrózeniu z wosku Lenke Jablonczay po raz pierwszy dostaje kieliszek szampana; cesarz Wilhelm nie podejrzewa nawet, że Bokserzy wkrótce zabiją ambasadora niemieckiego i w następnych latach dalejłama będzie wysyłał grzecznościowe upomin

ki już nic cesarzowi chińskiemu, lecz carowi, przez te cztery lata Lenke Jablonczay uczy się wszystkiego, co przyszła nauczycielka powinna wiedzieć w zakresie przedmiotu i metodyki nauczania i z chwilą przekroczenia progu przyklasztornej szkoły, dostosowuje się od razu do nowego życia, które różni się zasadniczo od pierwszych dziesięciu lat spędzonych przy ulicy Kismester. Moja matka w ciągu tych lat nie tylko wyrasta na olśniewającą piękność, nie tylko zdobywa podwaliny swego wykształcenia, lecz wyzwala się od przytłaczającego brzemienia wszelkich zahamowań i pierwszych straszliwych wspomnień. W tych latach wzrok Marii Rickl często zatrzymuje się na córce Juniora. Że jest piękna jak nikt w rodzinie -- widzi sama, że jest niezwykle zdolna i powinna właściwie otrzymać wyższe wykształcenie - o tym informuje ją Charitas, że jej miejsce jest w sali koncertowej -- dowiaduje się od nauczycieli szkoły muzycznej, ale właściwie to wszystko jest nieważne. To, co budzi w kupców taką burzę uczuć, do jakiej już od dawna nie uważała się za zdolną, jest całkiem proste: w tej dziewczęcej twarzy odnalazła na nowo rysy i niezapomniane spojrzenie młodego Seniora. Teraz już wymachuje chustką, kiedy wnuczka wyjeżdża - Agostonowa Bartók zawsze zabiera ją ze sobą na letnisko - a także Ilona, choć nie zapomniała o jajkach, często ją zaprasza, bo Lenke jest równie dowcipna jak jej ojciec i dziadek, w jej obecności ożywia się nawet najnudniejsze towarzystwo, niezależnie od tego, czy gra na fortepianie, czy szczebiocze. Dziewczyna ma taki magnetyczny urok, że ludzie dla niej przyjmują zaproszenia, wnuczka Jablonczaych jest rozrywana, chwalą ją, lubią, tak jak niegdyś obmawiano i nie lubiano Emmy Gacsary. Podczas gdy Bella po Drodze do Złotej Krainy zbiera już krajcar po krajcarze na zakup powieści dla dorastających panienek i kupuje książkę Idzie przez żyto Helen Mathers, moja matka, zamiast interesować się ciągnącymi ulicą Świętej Anny młodzieńcami, z emocją obserwuje malującą to w domu Bartóków, to w Nagybanya Margit Bartók. Margit to prawdziwa artystka - myśli Lenke Jablonczay, podczas gdy pod jej palcami płacze, skarży się, rozpacza, wydaje radosne; tony, wspomina, klóci się lub zbytkuje fortepian, i zastanawia się, co by to było, gdyby i ona mogła zostać artystką: Maria Alexia zawsze podkreśla jej łatwość pisania, umie nie tylko opracować

jakiś temat literacki, ale także sama wymyśla różne historie, w końcu tyle sobie przecież opowiadała w dzieciństwie w swej przerażającej i groźnej samotności. Powieść *Idzie przez żyto* napisała kobieta, może więc ona też mogłaby zostać pisarką, a jeśli już nie pisarką, to choćby pianistką.

Agostonowa Bartók zapisuje Bellę na kurs tańca pana Alföldiego, następcy Károlya Mullera. U Károlya Mullera uczyła się tańczyć starsza pani Majthényi, matka pierwszego męża Lenke Jablonczay. „Znalazłam się w szkole profesora tańca i etykiety, Károlya Mullera - pisze w pamiętniku wdowa po Emilu Majthényim, Jozefa Heinrich.-Pan Muller samowolnie nadał sobie ten szumny tytuł, bo, jak twierdzą złośliwe języki, w młodości uczył się zawodu balwierza. Niezależnie od tego, jak było, mogę stwierdzić, że dobrze nauczył tańczyć swoich uczniów. Później zamieszkał w Budapeszcie, gdzie spotkał go zaszczyt uczenia tańca księżniczki Marii Valerii. Kurs składał się z dziewcząt w mniej więcej tym samym wieku i gimnazjalistów z ósmej klasy, w ten to sposób przyjemne wiązało się z pożytecznym, odpowiednia dla siebie wiekiem młodzież spędzała naprawdę piękne wieczory w oświetlonym świecami dużym pokoju, zwanym salą. Tak jak wszystkie panienki ja również miałam stałego tancerza, który mną zajmował się najwięcej, mnie przynosił cukierki i tylko wtedy tańczył z innymi dziewczętami, gdy moja matka radziła mi, abym odpoczęła, a gdy mógł, odprowadzał mnie nawet do domu. Szczęśliwy wiek dzieciństwa, kiedy serce zadowala się jeszcze byle czym! Ostatniego wieczoru urządziliśmy bal składkowy, każda rodzina przysłała tyle jedzenia i picia, że nawet po samych resztkach pan Muller cierpiałby cały tydzień na biegunkę i przepicie. Byłam w życiu na wielu balach, ale żaden z nich nie zaćmił wspomnienia tego skromnego wieczorku, który skończył się o północy. Uczucia, czy to radość, czy smutek, nigdy nie ogarniają człowieka tak bez reszty jak w dzieciństwie; tak radośnie stroiłam się na ten bal w sukienkę z różowego tarlata- nu, że gdyby nie przebrzmiał ostatni czardasz^ a wraz z nim nie nastąpił koniec owych rozkosznych sześciu tygodni, ten rozdział mojego życia składałby się z samych szczęśliwych chwil."

Kurs tańca u następcy pana Mullera był dokładnie taki sam, nie zmienił się nawet materiał sukienek na bal pożegnalny.

moja matka też wspominała mi o jakimś tarlataniu i opowiadała, że wpięto w jej jasne loki narcyzy.

Za przyzwoleniem Marii Margit Stillmungus pizyzwoitką Lenke była początkowo matka Belli, panie gawędziły siedząc na krzesłach ustawionych pod ścianami sali balowej; kiedy w stowarzyszeniu kobiet kupcówna dowiaduje się, że jej wnuczka tańczy jak motyl, pewnego razu zjawia się osobiście w czarnej sukni u pana Alfoldiego, i od tej pory stale towarzyszy dziewczynce. Senior to był upadek, Imre - przekleństwo, Junior - krwawiąca do śmierci rana, Melinda-mądry, nieszczęśliwy jeź, Emma - hańba, ale Lenke to sukces. Kiedy po pierwszym ślubie moja matka wyjeżdżała z mężem do Wenecji i na pożegnanie pocałowała babkę, po twarzy Marii Rickl popłynęły łzy. „Nie chciałam już nigdy nikogo kochać - powiedziała kupcówna. - Życie już dość ze mną igrało. Niech cię Bóg ma w swej opiece, Lenke. Kocham cię!” Maria Rickl miała poważanie, autorytet, ale prawdziwego sukcesu towarzyskiego nie odniosła nigdy. Dziewczyna, którą wyrrywają sobie z rąk na kursie tańca pana Alfdldiego, zdobyła teraz ten sukces dla niej; nie majątek, lecz uroda i rozum dały jej rangę społeczną.

Kiedy Lenke znalazła się w Instytucie Svetits, sięgająca ziemi spódnica była dla niej jeszcze zawadą, używała jej jako wachlarza albo jako ścierki do kurzu, ale nim nauczyła się pieśni Huszki o dwóch małych wróbelkach, zdawała się wprost płynąć w długiej sukni. („Nigdy nie znałam nikogo, kto umiałby się tak poruszać jak twoja matka z tą figurą przypominającą smukły kwiat” - wspominała młodą Lenke Jablonczay wdowa po Gyórgyu Magossie, Natalia Drahot.) Rano pospiesznie wypija kawę, chwytą swoje rzeczy i biegnie do szkoły, a w ślad za nią pies Bobi, który potem od bramy klasztoru zawraca i gna do domu, aby z zagadkowym psim instynktem parę minut przed pierwszą znów wybrać się w drogę i wyczekać przed klasztorem na swoją panią, wesoło wzbijając kurz krótkim ogonkiem. Idzie Lenke, a za nią pies, skręcają w ulicę Batthyśny, dochodzą do Kasyna - dzisiejszy Klub Frontu Ludowego - i to jest krytyczna chwila, bo przed Kasynem stoją panowie gimnazjaliści i studenci, którzy przyglądają się dziewczynie z psem. Jest tam prawnik Laci Samy - w drugim małżeństwie Lenke będzie jej szwagrem, ożeni się z Gizellą, młodszą siostrą Elka Szabó-jest

Zoltán Szalay i Instván Ozory, i jeszcze tylu innych młodzieńców o płonących policzkach lub zgrywających się na zblazowanych światowców; stoi wśród nich również bezczelny Miklós Otth, który często próbuje odprowadzić ją do domu, i jest też Béla Ma jthényi z jasnymi włosami i malutkim wąsikiem. Wstrętny jest ten Miklós Otth i moja matka wymyśla dla niego karę. Atramentem pisze wielkimi literami na halce: NIENAWIDZĘ MIKLÓS A OTTHAI W pralni znajdują ów napis i ciotka Klári niesie ten dowód winy do swojej pani, jeszcze pamięta, ile nieszczęścia w tym domu przysporzyli przekłeci mężczyźni. Maria Rickl nie zadowolona się wynikami śledztwa, które wykazują, że to Lenke czuje się do szpiku kości obrażona natręctwem Ottha, a nie przeciwnie, jest to jednak dobra okazja, aby wytłumaczyć dziewczynie, że mężczyzna plami kobietę już nawet samym spojrzeniem. Na gimnazjalistów może się poskarżyć, wobec studentów jest, niestety, bezradna, ale niech od tej pory Lenke wraca przez ulice Świętej Anny i Piać omijając Kasyno. Jest wiosna, nocami miauczenie kotów nie daje spać. Na razie Lenke nie cierpi jeszcze Miklósa Ottha, ale co będzie, gdy się kiedyś zakocha, w tej dziewczynie krąży krew Juniora tak samo jak jej przeklętej matki. Kupcówna nie żartuje, przez tydzień nie wolno Lenke iść do teatru, a przecież to największa rozkosz dla dziewcząt, gdy zasiadają w loży, gdzie entuzjazmują się, płaczą, bez opamiętania klaszczą w dłonie, aż te stają się czerwone i opuchnięte, a potem każe jej wyjść na podwórze i pokazuje dziewczynie spółkowanie kotów. Moja matka chciałaby uciec, ale kupcówna trzyma ją mocno, dopóki akt kopulacji się nie kończy. „Tego chcą mężczyźni - mówi Maria Rickl - więc uważaj, bo i twoja matka tak zaczęła. Żebyś mi nie śmiała rozmawiać z mężczyznami bez nas czy bez Bartóków i nie zapomnij o tym, co widziałaś. Czy chcesz tarzać się w brudzie, jak zwierzęta? Bo do tego właśnie prowadzi miłość!”

To była dobra lekcja pogładowa, jej skutki przetrwały aż do śmierci Lenke Jablonczay. Tego obrzydzenia, tego wydania się na pastwę zwierzęcej żądzy, które moja matka odczuwała w obu małżeństwach, nie zdołałby jej wybić z głowy żaden psychiatra. Sprawa Miklósa Ottha zakończyła się zresztą w klasztorze, Maria Rickl zaniósła halkę do Stillmungus, aby także szkoła przyczyniła się do moralno-seksualnego wychowania jej

wnuczki. Moja matka z płaczem poszła do przeoryszy, która akurat wspólnie z nauczycielką chemii próbowała wywabić atrament z halki. Kiedy spostrzegła wzburzoną, zawstydzoną i łkającą dziewczynkę, powiedziała, że Chrystus nie po to umarł na krzyżu, abyśmy lekkomyślnie szafowali słowem nienawiści, a poza tym kto to słyszał, aby panienka używała własnej halki jako papieru? Jak świat światem, młodzi ludzie zawsze patrzyli na młode dziewczyny i nie trzeba zwracać na nich uwagi, wezwała już zresztą przez Paulę Otth ich matkę i młody Otth nie będzie jej więcej zaczepiał, a teraz niech zabierze stąd tę halkę.

Wejście w towarzystwo i lekcje tańca oczywiście zetknęły moją matkę z płcią odmienną, z której przedstawicielami aż do tragicomicznej sprawy z halką rozmawiała stosunkowo bez uprzedzeń, ale kocie wesele naruszyło równowagę: Lenke Jablonczay nie śmiała już nawet spojrzeć na żadnego z chłopców. A przecież miała mnóstwo okazji do spotkań, klasy uprzywilejowane wkraczających w nowy wiek Węgier - które patrzyły, jak znaczna część ludności w braku chleba opuszcza ziemię rodzinną, i znosiły, aby inna, równie spora część umierała z głodu lub popełniała samobójstwo z powodu braku pracy - przy bogato zastawionych stołach lub w pięknie przygotowanym plenerze pochłaniały zadziwiające ilości jedzenia. Przychodziły coraz to nowe zaproszenia na obiady, kolacje czy podwieczorki, towarzystwo jeździło na majówki, na mniejsze lub większe bale, na koncerty, do teatru, do Wielkiego Lasu, dziewczętom, o których pisze w listach do Margit Bella Bartók, w ciągu jednego tylko lata przybywa sześć, osiem a nawet jedenaście kilogramów, i nie bez powodu. Daremnie chodzą na basen, grają w tenisa, robią piesze wycieczki, aby popatrzeć na znajomych w szkole jazdy konnej lub podziwiać zręczność kuzynów w związku strzeleckim; tyją wszystkie, tylko Lenke i Bella pozostają wbrew wymogom mody żałośnie chude.

W 1900 roku dziewczęta otrzymują pierwsze gorsety, ale nie mają co sznurować. W sierpniu 1900 roku Bella pisze do Margit, która maluje w Nagybanya; „Wczoraj zaprosiła mnie matka chrzestna, więc poszłam, Ilonka nie chciała iść, bo nie miała odwagi włożyć białej sukni z gorsetem. Przed podwieczorkiem przyjechała także ciotka Benke z Iloną, która siedziała pomiędzy róną i Saroltą. Menu podwieczorku było następujące:

pieczona gęś, wino, piwo, wielki biały tort z bitą śmietaną, kawa, ciasto i owoce. Goście rozeszli się około wpół do ósmej, a my jeszcze zostaliśmy na kolację i wino uderzyło mi trochę do głowy." Rok później, 1 września, wysłała Margit następujące sprawozdanie: „Byłam z mamusią na mszy o wpół do dwunastej. Pierwszy spotkany znajomy to Sanyi Balogh. W kościele byli też: Margit Szikszay, która, biedaczka, jest już tak gruba, że ledwo chodzi, pani Piinkosdy z Marcsą, która upięła te swoje konopne włosy w wysoki kok, Irma Engester, która teraz czesze się tak jak Pósi i ma włosy ściągnięte po obydwóch stronach, i jeszcze Irma Rankay, szczęśliwa narzeczona, Lujzi i Irin Albert, pani Fśbiśn i pani Hutiray z trzema pociechami itd. Na razie codziennie gdzieś chodzę, potem i tak będę uwiązana, dziś wybieram się do Jablonczaych. Prawda, dziś przed kościołem widziałam też Józsięgo, bardzo się ucieszyłam. Nie dostanę już nowego letniego kapelusza, tylko przypnie się nowe kwiaty do tego słomkowego z dużym rondem. W sobotę znów lekcja tańca, chyba włożę białą sukienkę z szarfą. Siostra Charitas wyzdrowiała, a my powitałyśmy ją okrzykami radości..."

„Kis Lap" wciąż jeszcze przychodzi do domu Bartoków, nie tylko panienki, ale i rodzice czytają to czasopismo z prawdziwą przyjemnością. Na obrazkach śliczni mali chłopcy z szabelkami i karabinami głoszą, że Węgier jest najlepszym żołnierzem świata, a Wujek Forgó z pewnym rozdrażnieniem nawołuje mniejszości narodowe, aby zapomniały o swojej dawnej przynależności, niechże się przemieszczają z ludnością węgierską i cieszą żołnierzami, którzy dumnie głoszą, że gdy wezwie ich ojczyzna, ruszą na koniu w bój. Mija zaledwie dwanaście lat od ukończenia przez Lenke Jablonczay szkoły, kiedy mali chwaci, którzy tymczasem zdążyli już dorosnąć, naprawdę wyruszają w bój; w 1900 roku, kiedy Parlament dowiaduje się o małżeńskich planach arcyksięcia Ferdynanda i przetyka gorzką pigułkę z powodu Sophie Chotek*, moja matka i Bella ze współczuciem oglądają nowe uroczyste ilustracje w „Kis Lap": bosonogie dzieci bawią się przykucnąwszy w piasku, nie mają niczego ani nikogo, na szczęście Wujek Forgó znów znajduje uspokajające wytłumaczenie: na wsi też są radości, nie potrzeba dzieciom ani

pięknych lalek, ani koników na biegunach, och, jak dobrze I bawić się w chłodnym piasku kamykami! Piętnaście lat po ukończeniu szkoły przez Lenke Jablonczay (kiedy czasopismo „Kis Lap” wciąż jeszcze przychodzi do domu Bartóków ku uciesze całej rodziny i, choć przeznaczone jest dla dzieci Ilony, czytają je wszyscy w domu, mimo że dziewczęta pochłaniają już także literaturę rosyjską, angielską i francuską, a najchętniej powieść Helen Mathers, to Przemięło z wiatrem swojej epoki) wybucha rewolucja październikowa.

Moja matka, poza tym, co różni mężczyznę od kobiety, aż do chwili zamążpójścia nie wiedziała nic ani o własnym ciele, ani o życiu małżeńskim. Przejście do biologicznej dojrzałości uważała za brzydką chorobę, którą najchętniej by zataiła, ale wiązało się to przeobrażenie z takimi objawami, że natychmiast wszystko się wydało. Melinda poinformowała ją, że to coś będzie się powtarzało co miesiąc, i niech pilnuje, żeby naprawdę tak było, bo jeśli się kiedyś nie pojawi, natychmiast zostanie wyrzucona z ich domu i z towarzystwa, jak Emma Gacsóry. Moja matka była niemal chorobliwie anemiczna, w dzieciństwie nie troszczono się o jej odżywianie, dopóki Agostonowa Bartók nie zaczęła jej dokarmiać, zdarzało się więc niekiedy, zwłaszcza w początkowym okresie, że w cyklicznym porządku natury występowały pewne zakłócenia. Przeżywała wtedy straszne dni, czuła się nosicielką grzechu, który popełniła nic o tym nie wiedząc, i czekała, kiedy ją wypędzą, łamiąc sobie głowę, dokąd mogłaby pójść. Junior mieszkał wprawdzie w Debreczynie, ale prawie nigdy go nie widywała, nie znajdowała więc wyjścia z sytuacji, tylko drżała, dopóki organizm nie rozwiązywał za nią tego problemu. Ze wyszła za mąż nieświadomiona pod każdym względem, powiedziała mi przed moim ślubem, kiedy udręczona szukała słów i litościwą ręką próbowała mnie przeprowadzić przez te wszystkie okropności, które na mnie czekają. Ulżyło jej, kiedy oznajmiłam, żeby się nie martwiła, bo może mi wierzyć, nie ma żadnych powodów. Nie była wprawdzie zachwycona moimi słowami, ale uspokoiło ją to i wtedy zdradziła mi, w jak głębokiej nieświadomości, z jedynym wspomnieniem kociego wesela, wypuszczono ją z ulicy Kismester w nowe życie. „Bali się, że pójde drogą ojca lub matki” - usprawiedli

wiała jeszcze wtedy babkę. Nie dyskutowałam z nią, miałam własne zdanie.

Smukła jak kwiat dziewczyna, którą nauczono brzydzić się mężczyznami i która do zamążpójścia jest święcie przekonana, że oficerowie mają lampasy tylko na jednej nogawce, bo nigdy nie ma odwagi zobaczyć, jak naprawdę wyglądają spodnie munduru, dziewczyna, która z przerażeniem widzi, że młodzi ludzie patrzą na nią, gapią się i chodzą za nią, przechowuje dwa obrazy miłości. Pierwszy obraz jest bezpostaciowy, należą do niego nocne lamenty kotów, los własnej matki, jej zniknięcie; drugi zna tylko z powieści, szlachetnych pieśni i modlitwy narzeczonej z książki do nabożeństwa. Oba obrazy są równie nierealne, tylko że gdy pierwszy wzbudza wstręt, drugi ją wzrusza, do siebie samej nie potrafi jednak dopasować żadnego, choć ogląda śluby w kościele Świętej Anny, nigdy oczami wyobraźni nie widzi siebie w roli oblubienicy. Ciało, które z takim uznaniem lustrują wystający przed Kasynem młodzi ludzie, milczy. Nie wie, jak jej matka mogła się znaleźć w takiej sytuacji jak koty, nie wie, czym się różni panna od mężatki, nie wie tego również Bella, chroniona i wypieszczona, trzymana z dala od wszystkich spraw, które mogłyby ją spłoszyć, od „izeczy brzydkich”. Najstarsza córka Bartóków ma już własne dzieci, lecz o to, co się zdarzyło między Emilem Wilhelmsem a Iloną Bartók, że w konsekwencji przyszli na świat Nóra, PSI i Ilike, Bella nie pytała i nikt jej też nie tłumaczył, po prostu nagle się zjawili, Bóg ich zesłał, gdy ludzie zawierają małżeństwo, zawsze ni z tego, ni z owego rodzą się dzieci. Lenke i Bella nawet między sobą nie dyskutowały o tych sprawach, zgadzały się, że mężczyźni są niebezpieczni, lepiej trzymać się od nich z daleka, wyśmiewać ich, bo to ani w domu, ani w klasztorze nie przysporzy im kłopotów.

Kurs tańca, na który zapisano Lenke i gdzie odniosła tak nadzwyczajny sukces, przez samą możliwość tańca był radosnym spędzeniem czasu. Moja matka, która niegdyś tańczyła za cukierki, jest rozrywana przez partnerów, rozkoszuje się rytmicznym ruchem, jak do tylu rzeczy, również i do tańca ma niezwykły talent. A gdyby tak zostać tancerką? - zapytuje się

w duchu, podczas gdy płynie w tańcu. - Pianistką, pisarką lub tancerką? Odrobinę zawsze odsuwa się od partnera, bo lubi tylko ruch, dotyk ją odstrasza. W ten sposób, z odrzuconą w tył głową, nieco odchylając się w tańcu, ogarnia wzrokiem zjawiającego się w drzwiach sali tanecznej młodego człowieka, który później prosi, aby go jej przedstawiła, i porywa ją do walca. Czas zatrzymuje się, tę chwilę utrwala nie tylko pamięć obecnych, ale także dziennik Belli i dziennik mojej matki. Lenke Jablonczay w szkole tańca następcy pana Mullera poznała Józsefa.

Zdjęcia niezapomnianego Józsefa znalazłam w albumie Belli, te, które były własnością matki, podarł mój ojciec, Elek Szabó.

Album Belli zachował dwa zdjęcia tego mężczyzny: na pierwszym jest młodym małżonkiem, założył ręce na piersi, patrzy w soczewkę z dumną wyniosłością, jest elegancki i nieco za poważny jak na swój wiek. József żyje w świecie pieniądza, na tym zdjęciu wygląda tak solidnie jak towarzystwo akcyjne. Na drugiej fotografii jest młody, niemal bezbroniście młodzieńczy, pod wysokim stojącym kołnierzykiem nieco przekrzywił się jedwabny krawat, sylwetkę też ma chłopięcą, wąsik jedwabisty, wzruszające wąsiki *bon vivanta* nad ładnie wykrojonymi wargami, a oczy, które uwiecznił fotograf, są ciemne i patrzą łagodnie. Na tym portrecie József jest trochę podobny do Karola IV*, nie ma jeszcze wielkich planów, a jego ambicja nie sięga dalej niż zdanie egzaminów. Zresztą, gdy był już stary, poznałam go osobiście i to spotkanie nie należało do udanych. Moja matka chciała pokazać dwudziestodwuletnią córkę będącą doktorem filozofii i nauczycielką w gimnazjum - czyli mnie - swojej dawnej miłości, zapewne pragnąc dać do zrozumienia Józsefo- wi, że mógłby mieć taką córkę, gdyby wówczas, w młodości, postąpił inaczej. József, gdy go poznałam, zajmował wysokie stanowisko w Banku Narodowym - imponujący portier, lśniące inkrustacje z miedzi, marmury i oszklone obrotowe drzwi były chyba po to, żeby zrobić na mnie wrażenie; sam József siedział za swoim biurkiem niczym Mussolini. Przyjrzelśmy się sobie.

on zapewne pomyślał, że ani trochę nie przypominam smukłej jasnowłosej i zielonookiej matki i wyglądam trochę zbyt samodzielnie, jak emancypantki; ja widziałam dobrze ubranego, zażywnego, podstarzałego pana, który wprawdzie nie miał przykrej powierzchowności, ale natychmiast poczułam do niego antypatię. Zapewne nie spodobałby mi się nawet wtedy, gdyby był jednym z rycerzy króla Artura, miałam za złe mojej matce, że nigdy nie była zakochana w ojcu i że przed laty tak bardzo kochała się w Józsefie.

Podchwytliwymi pytaniami na tematy życia kulturalnego w pół godziny powaliłam go na obie łopatki, udowodniłam mu, że nie czyta, nie widzi, nie słyszy, nie zna się na sztukach pięknych ani na teatrze, a on miał za mało sprytu, aby jak należy potraktować moją bezczelność i zacząć rozmowę na tematy związane z jego pracą, z ekonomią i bankowością, lub z tą dziedziną sztuki, o której naprawdę dużo wiedział i którą mógł mnie zapędzić w kozi róg: z muzyką kameralną. Zaprosił mnie na obiad, pojechaliśmy jego samochodem. W wozie natychmiast pokłóciliśmy się o coś, czuliśmy wobec siebie nienawiść, on na pewno widział we mnie córkę Elka Szabó, ja w nim nietykalną świętość, bożka, który zostawiwszy za sobą młodość jest wciąż taki sam i którego twarzy nie zdołał zaćmić, przywodzący na myśl starożytne denary, rzymski profil mojego ojca, jego głębokie wykształcenie i figlarne rozbłyśki dowcipu. Zawiózł mnie do restauracji „Gundel”, zamówił lunch składający się z wyszukanych potraw, które jada się w równie wyszukany sposób, i patrzył: uporam się z tym zadaniem czy też będę beznadziejnie prowincjonalna? Siedziałam przy nim, pozwoliłam, aby mnie egzaminował, zachowania przy stole mnie również uczono z książki Róży Kalocsy, a wakacje, które czterokrotnie spędzałam w zagranicznych instytucjach, przyzwyczyły mnie do obcych potraw. Pod koniec lunchu ostatecznie wyczer- | paliśmy wszystkie możliwe tematy i milczeliśmy. Tymczasem przez ogródek restauracyjny przewijali się goście obiadowi, kilku panów i jakieś pary przechodząc obok naszego stolika ostentacyjnie udawali, że nas nie widzą, ale József pozdrawiał ich głośno, na co znajomi, jak gdyby dopiero co nas spostrzegli, przyglądali się nam uważnie i bardzo przyjaźnie pozdrawiali. Kiedy powtórzyło się to po raz trzeci, wybuchnęłam śmiechem

i oznajmiłam, że już rozumiem, w czym rzecz. „Oni są przekonani, że przywiózł pan kochankę, aby się tu w ogródku opaliła” - powiedziałam mu, a on zaczerwienił się i syknął, skąd do mnie tak brudne myśli i brudne określenia. Spojrzałam wtedy na niego jak na żubra z rezerwatu. Odparłam, że przecież nie zaprosił na obiad Lenke Jablonczay, lecz mnie, i skoro nie podoba mu się mój -styl, nie przyjdę wieczorem na koncert u niego w domu, niech sobie nie myśli, że zachwyciło mnie jego zaproszenie, wolałabym iść do teatru, niż słuchać muzyki kameralnej. Wziął się więc w garść, pogodziliśmy się jakoś, ale wtedy chciał się już ode mnie uwolnić, w alei Andrússyego wysiadłam z jego samochodu. Niemal rozsadzała mnie wściekłość, że dałam się namówić na to spotkanie, które polegało na tym, że dwoje dawnych zakochanych chciało sobie coś przekazać - jedno puszy się dyplomem i tytułem doktorskim swojej córki, sygnalizując w ten sposób, że ta dziewczyna da sobie radę w życiu, a jej szanse są takie jak zdolności, drugie otwiera portfel, wlecze mnie do drogiej restauracji, chełpi się swoim bogactwem. A cóż to ja jestem, żeby tak się bawić za moim pośrednictwem! Wieczorem jednak poszłam do nich, mieli trzypiętrowy dom w pobliżu hotelu „Astoria”, i zrobiłam wszystko, żeby wyglądać korzystnie i nie przynieść wstydu mojej matce. Przyjęła mnie niska, wątła kobieta, którą wziął za żonę, zamiast ożenić się z moją matką. Ledwo mogła oderwać ode mnie spojrzenie mądrych, smutnych oczu, niemal przez cały wieczór czułam na twarzy jej wzrok. Każdy z zaproszonych gości miał niegdyś coś wspólnego z Debreczynem i każdemu mówiły coś słowa: „Córka Lenke Jablonczay”. Wzbudziłam ogólne rozczarowanie, byłam niska, ciemnowłosa, ciemnooka i - na przekór wszelkim poprzednim postanowieniom - znów bezczelna. Nie potrafiłam się pohamować, gdy József usiłował mi imponować wartościowymi przedmiotami i dziełami sztuki, które znajdowały się w jego domu, pokazać, jak daleko zaszedł, jaki jest bogaty, i kiedy próbował sprawdzić, czy znam się na stylach mebli. Spudłował, nie mógł wiedzieć, że ojciec systematycznie zabierał mnie do muzeum i od czasu mego dzieciństwa wycinał z niedzielnego dodatku do gazety i wklejał do zeszytu reprodukcje słynnych pomników, obrazów, budynków, dzieł sztuki. Zanim jeszcze rozległa się eteryczna muzyka kameralna,

w głosie Józsefa brzmiał już fałsz, rozdrażniłam go, bo nie wybuchła żadna z jego petard, choć podał mi nawet cenę parceli i domu. Ani razu nie doznał rozkoszy, żeby córka Lenke Jablonczay oniemiała na widok namacalnego, wyczuwalnego bogactwa, nie miał nawet nadziei, abym zdumiona tym, co tu widziałam, wróciła do matki i powiedziała jej, że pan József to prawdziwy krezus. „Może mi pan pokaże swoje książki!” - zaproponowałam. Wtedy już niemal piał ze zdenerwowania, żona pośpieszyła mu z pomocą, pokazała mi swoją biblioteczkę pełną niemieckich, angielskich i francuskich klasyków, usprawiedliwiając przepracowanego męża, który nie ma wiele czasu na czytanie. Potem zaczął się wieczór muzyczny, na którym przy akompaniamencie anielskich melodii toczyła się gra nas trojga, czworga, a właściwie pięciorga. Muzykowanie odbywało się w salonie Józsefa za bujnie rozrośniętymi roślinami pokojowymi i secesyjnymi bukietami ozdabiającymi oszklone drzwi, przez które przenikał blask palących się w jadalni kinkietów. József patrzył na mnie i na żonę, w oczach kobiety widniał ten sam bezradny smutek, który widywałam niekiedy w oczach mojego ojca; ja gapiałam się na nich, ale oczami duszy widziałam Debreczyn i Elka Szabó, który wie o tym spotkaniu, na pewno jest teraz przy mnie myślami i zastanawia się, czy wytrzyma próbę tego porównania przynajmniej w moich oczach; czułam także niepokój mojej matki, która wprawdzie nie chciała przekroczyć tego progu, ale nie mogła się oprzeć, żeby nie pokazać Józsefowi mnie, sama jednak wołała nie widzieć, gdzie, jak i z kim żyje ten jej książę z bajki.

Moja rodzina poznała dwie wersje tego spotkania. Pierwszą ode mnie, kiedy od razu po powrocie do domu na świeżo wypowiedziałam swoją opinię o niezapomnianym rycerzu, który jeszcze dobrze, że nie pokazał mi swojej książeczki oszczędnościowej, abym zobaczyła, jak wygląda jego konto; który nie czyta, zadziera nosa, jest pruderyjny, niesympatyczny, nadęty i prymitywny. Moja matka nie broniła go, nawet nie protestowała, tylko zrobiła się smutna. Potem w liście Belli dostała raport Józsefa. Bella w delikatnych, łagodnych słowach starała się upiększyć opinię Józsefa o mnie, ale wbrew całej stylistycznej brawurze okazało się, że József nigdy w życiu nie spotkał obrzydliwszej, bardziej zarozumiałej i niewychowanej smarku-

li, której nip życzy sobie więcej oglądać. Było też w liście zdanie, które dotknęło moją matkę: Bella napisała jej, że József jest zdziwiony, iż jego żona polubiła beczelną smarkatę, a i panienska przyjęła chyba Jenny do łask, bo wobec niej zachowywała się normalnie. „Spodobala ci się ta kobieta? -- zapytała moja matka. - Uważasz, że jest ładna? Mądra?” Wiedziałam, że zaraz zapyta, czy Jenny jest ładniejsza i mądrzejsza od niej, wiedziałam, że jest zazdrosna o tę sympatię, którą, choć dla mnie samej było to zaskoczeniem, rzeczywiście poczułam wobec żony Józsefa. „Ta kobieta siedzi w domu, który wygląda jak muzeum, i dniem i nocą jest nieszczęśliwa -- poinformowałam ją. - Możliwe, że w swoim czasie kupili jej Józsefa, ale ona nie jest z nim szczęśliwa, możesz mi wierzyć. Pó prostu było mi jej żal.” „Jesteś okrutna, bo jesteś młoda -- rzekła moja matka. - Myślałam, że będzie dobrze, jeśli się spotkacie, że zrozumiesz coś, czego dotąd nie potrafiłaś pojąć, ale nie udało się. Przykro mi, że chciałam, abyście się poznali. To było zbyteczne, może nawet było błędem.” Więcej nie widziałam Józsefa, moja matka i mój brat Bela spotkali go jeszcze raz czy dwa, dla mnie i ojca zniknął z horyzontu. Ojciec zresztą doczekał jeszcze chwili, kiedy zaczął usuwać się Józsefowi spod nóg tak pewny, wydawałoby się, grunt, kiedy rozplynęły się we mgle trzypiętrowy dom, stanowisko i wielkie perspektywy, doczekał dnia, w którym József został wysiedlony z Budapesztu. Moja matka pisała nazwisko Belli jako nadawcy na paczkach żywnościowych, które wysyłała Józsefowi, aby jej dawny książę z bajki miał przynajmniej kawałek słoniny z papryką.

Wszystko to jednak, w chwili gdy József w towarzystwie jakiejś panny i starszego małżeństwa przekracza próg sali tanecznej, lśniącej feerią światła z okazji balu składkowego, jest jeszcze odległe. József studiuje prawo, ma dwadzieścia lat, kiedy wchodzi, panie na krzesłach zaczynają szeptać, jest to bowiem najbardziej złota ze wszystkich złotych rybek, syn dyrektora banku, bogaty i ładny chłopak, przed którym stoją otworem wszystkie salony, ale trudno go do nich zwabić. József przebywa to w Peszcie, to za granicą, na uniwersytet chodzi tylko zdawać egzaminy i choć jako sztubak lustrował dziewczęta, już od dwóch lat nie sterczy z kolegami przed Kasynem, nie przychodzi nawet na wieczorki. Gdy jednak gdzieś się pokazu-

je, zawsze towarzyszą mu podniecone ciekawe spojrzenia, spotkać go można właściwie tylko na niedzielnej mszy, ale i w kościele nie czeka na koniec nabożeństwa, od lat nikt nie widział, choć byłoby to na miejscu, aby wraz z bliskimi przystępował do komunii. Bartókwie dobrze znają jego rodzinę, mąż Ilonki jest urzędnikiem w banku, Agostonowie Bartók i rodzice Józsefa spotykają się w towarzystwie, a Bartókowa i matka Józsefa często i chętnie rozmawiają ze sobą. Na pięknej, mądrej twarzy Margit Bartók widać cien zbliżającej się śmierci, a Ni- non, siostra Józsefa, jest brzydka. Rodzice wiedzą o tym, Ninon też, matki dodają sobie otuchy. Ninon może jeszcze się zmienić, przecież ma takie ładne włosy i oczy, a stan Margit także z łatwością może ulec poprawie, może małżeństwo obróci wszystko na dobre. Próbują sobie pomóc: rodzice Józsefa mają wielki sad i winnicę, powietrze jest tam lepsze niż przy ulicy Nyomtató, matka Józsefa zaprasza więc Margit, żeby wypoczęła, „oddychała”, i proponuje kurację tuczającą u nich w Vénkert. Margit nie daje się na to namówić, nie lubi obcych, najchętniej przebywa w otoczeniu najbliższych, a gdy czuje się silniejsza, jedzie do Nagybsnya, tej Mekki malarzy. Zamiast niej, żeby nie obrazić rodziców Józsefa, bywają w Venkert Ilonka i Bella ze starymi Bartókami, którzy z kolei zapraszają Józsefa i Ninon na wieczorki, tylko że daremnie. Ninon nie chce nigdzie chodzić, na próżno rodzice zapewniają dziewczynę, że jest lubiana i szanowana w domu Bartóków, woli siedzieć u siebie, József zaś solidaryzuje się z siostrą.

József od pamiętnego balu maskowego prawników i urzędników w dniu 20 lutego 1897 roku, na którym towarzyszył siostrze i popadł w konflikt z otoczeniem za obrazę, jaka spotkała Ninon, mścił się patrząc na wszystkie panny jak na powietrze i podkreślając, że nie ma zamiaru się żenić, a gdyby nabrał na to ochoty, to nigdy nie będzie szukał żony w tym mieście. Moja matka skończyła w owym roku trzynaście lat i József, choć nikt o tym nie wiedział, już wtedy wywarł pośrednio wpływ na jej życie, bo bliźnę - która tak bardzo szpeciła twarz Miklósa Ottha, że moja matka uciekała nie tylko przed jego zaczepkami, ale i przed szpetotą niefortunnego adoratora - spowodował niezręczny cios szabli Józsefa. W odłożonym do matury i natychmiast po niej stoczonym pechowym

pojedyńku József zmierzył się z wyzwany Otthem; rozgniewany, mający za sobą zaledwie parę lekcji szermierki, już w pierwszym starciu tak fatalnie zranił przeciwnika, że dopiero po kilku operacjach plastycznych można było bez wstępu patrzeć na jego twarz. Karnety z balu prawników i urzędników oczywiście zachowały się w domu Bartoków.

Bal jest maskowy. Ninon pociąga właśnie jego anonimowość, maska na twarzy, rodzice są uszczęśliwieni, że w końcu zgodziła się gdzieś wybrać. Po balu dużo mówi się w domu przy ulicy Kismester o tym, dlaczego po zdjęciu maseczek zniknęła Ninon, a József spoliczkował Ottha, który tańczył z jego siostrą przebraną za sułtankę. To była przykra sprawa, nie dało się jej zatuszować, gdyż zbyt wiele osób słyszało i do głębi oburzył je okrzyk nieco podpitego młodzieńca: „Boże wielki, to pani, Ninon? Dlaczego stale nie chodzi pani w masce?” Później przesadna czułość, jaką ją otoczono, obrażała dziewczynę, której już nigdzie więcej nie udało się wywabić; pielęgnowała swój ogródek, czytała, rysowała całymi dniami i, jak gdyby chciała zemścić się na rodzicach za to, że z ich miłości nie zrodziła się podobna do brata piękna istota, protestowała przeciwko wszelkim próbom zetknięcia jej z mieszkańcami Debreczyna. József całkowicie solidaryzował się z siostrą, robił bezczelne uwagi na temat chamstwa klasy gentry, wielokrotnie podkreślał, że w osobie Ninon obrażono także jego, i że dopóki nie otrzymają odpowiedniej satysfakcji, on też nie ma zamiaru stykać się z kimkolwiek.

Ojciec Józsefa był mądrym człowiekiem, rozsądnym i rzeczowym. Choć tak samo kochał brzydką córkę jak przystojnego syna, nie robił tragedii z przypadku Ninon, nie zmuszał jej też do niczego, miał w związku z nią własne plany na przyszłość, a że syn nie gapi się pod Kasynem na wychowanki Dóczego czy klasztoru, to nawet dobrze, niech się zgrywa, jeśli chce, na Oniegina, to nawet lepiej, niż gdyby urządził histerie z powodu jakichś aktorek z miejscowego teatru. József i Ninon w świadomości towarzystwa debreczyńskiego byli symbolem braterskiej wierności i solidarności, miejscowe rodziny ze wstydem zmuszone były przyjąć do wiadomości, że József nie przyjmuje zaproszeń, a ojcowie, którzy mieli córki na wydaniu, z rozdrażnieniem wspominali przypadek Miklósa Ottha, jak gdyby wszy-

scy uczestnicy tego balu byli osobiście odpowiedzialni za nic_ smaczny epizod. Znacznie później, kiedy moja matka była już panią Majthényi, rozmawiała z Ninon o tym balu składkowym, a także o łączącym ją z Józsefem uczuciu. „Czy ty wiesz, dlaczego on wtedy postąpił jak Oniegin? - zapytała moją matkę Ninon. - Nie mnie obrażono wtedy na balu, lecz jego siostrę. Jego krew, a więc właściwie jego. Poza tym József przez całe życie nie znosił Ottha z jego trzema szlacheckimi przydomkami i w ogóle całego towarzystwa, bo wy wszyscy byliście szlachtą, nawet twój pradziadek Anselmus, który własnoręcznie pakował śledzie. My wtedy mieliśmy tylko pieniądze i József był zadowolony, że może się nadać. Ty nie znałaś mojego brata, powinnaś się cieszyć, że się z tobą nie ożenił. Józsi karze i nagradza, Józsi świadczy sprawiedliwość, Józsi komunikuje, Józsi właściwie nic nadaje się do banku, mimo że jest tak dobrym ekonomistą - Józsi byłby idealnym katem." Dziennik Belli Bartók zachował słowa Ninon z odpowiednio wylężonym komentarzem.

W 1900 roku, w roku pamiętnego balu składkowego, Lenke Jablonczay wkroczyła w szesnasty rok życia. Tego wieczoru na balu w sali szkoły tańca zjawili się wszyscy, którzy cokolwiek znaczyli w mieście. Pod ścianą czarny rząd przyzwoitek, panowie w bufecie próbują przyniesionych specjałów, jest też pod dostatkiem trunków. Gdyby w typi karnawale ktoś zechciał podłożyć bombę w Debreczynie, powinien był wybrać tę salę i tę okazję, zastałby tam wszystkich notabli miasta w jednym miejscu. W szkole pana Alföldiego stało się już tradycją, że za zgodą rodziców wolno zapraszać gości; wprowadzone w świat poprzednie roczniki przyglądają się w towarzystwie swoich mężów i żon, jak wyfruwa nowy rój, i podśmiewają się z powagi podlotków i młodzieńców. Swojego czasu u następcy Károlya Mullera uczyli się tańca także József i Ninon. Właściwie ich zjawienie się tutaj nie powinno było wywołać takiego zaskoczenia i podniecenia, bo cóż w tym dziwnego, że przyszli, skoro zjawił się tu cały Debreczyn. Tylko że od lat był to pierwszy wypadek, kiedy József i Ninon pokazali się na jakiejś imprezie. Lenke Jablonczay zna wszystkich z widzenia, samego Józsefa także, przy pomocy Bartóków dawno zidentyfi-

kowała na spacerach lub w kościele wszystkie twarze, tylko jednej osoby nie zna, nie ma pojęcia, kim może być ten miody mężczyzna, który idzie pod rękę z Ninon. Lenke Jablonczay nawet w wieku osiemdziesięciu lat pamiętała jasne włosy narzeczonego Ninon i jego marzycielskie spojrzenie; przyszły szwagier Józsefa przypominał bohatera Lermontowa, i nikt by się nie dziwił, gdyby nagle zamiast po węgiersku odezwał się po francusku. Ojciec Józsefa w największej tajemnicy połączył życie córki z jednym z najpiękniejszych, najbiedniejszych i najlepiej urodzonych młodzieńców Budapesztu, w ich małżeństwie mąż miał mniej więcej tyle swobody co papuga Ninon w ogrodzie zimowym. Ojciec Ninon lubił jasne sytuacje, a mając córkę skrzywdzoną przez naturę i obrażoną w towarzystwie nie chciał, by na dodatek została ograbiona ze swojego majątku.

W żadnej z operetek nie było dotąd takiego entrée, które mogłoby rywalizować z pojawieniem się na balu rodziny Józsefa. Miklós Otth, który również był tam obecny i który po pojedynku utrzymywał grzecznościowe stosunki z rodziną Józsefa, natychmiast wyszedł. Moja matka wyczuła napięcie w powietrzu, widziała, jak Melinda w podnieceniu szepce coś starszym siostronom, ale Lenke Jablonczay interesowała się wyłącznie tańcem. Matka Józsefa podeszła do Agostonowej Bartók, jedynej osoby na sali, która to, co się stało, przyjęła w sposób naturalny: w końcu Ninon jest miłą panią, musiał więc i dla niej nadejść wielki dzień. Ninon we wspaniałej toalecie była triumfalnie szczęśliwa, brzydką twarz opromienił blask radości. Ojciec Józsefa usiadł obok Agostona Bartoka, József stanął przed orkiestrą, skrzyżował ręce na piersi i lustrował wzrokiem panny. Spośród starszych znał wszystkie, obce były dla niego tylko podlotki, które wirowały zapamiętałe. Melinda, kiedy wspominała ten wieczór, zawsze opowiadała, ileż to razy matki panien na wydaniu ludziły się, że Ninon jednak zjawi się w towarzystwie, bo Ninon oznaczała także uczestnictwo Józsefa. „Żebyś widziała, jak one zaczęły poprawiać toalety, fryzury - śmiała się Melinda - aż radość brała patrzeć, bo te damy zachowywały się niczym przekupki na targu. József był mądry jak sam szatan, musiał to zauważyć i na pewno rozbawił go ten widok." Tego wieczoru Melinda i József byli sobie najbliżsi. Melinda wiedziała, że József zachowa się dokładnie tak, jak

zachowałyby się ona, gdyby los pozwolił jej kiedykolwiek odplacić za to wszystko, czego doświadczyła. Ninon nie brała już udziału w grze i była zbyt szczęśliwa, aby zachować w sercu choć odrobinę gniewu. Ale József jeszcze nie zapłacił uczestnikom tamtego balu maskowego. „Długo stał nieruchomo - opowiadała zdarzenie tamtego wieczoru Melinda - potem nagle przywołał do siebie pana Alföldiego, który skinął głową i zaprowadził Józsefa do Lószló Símego. József i Símey zamienili ze sobą kilka słów i Símey osłupiał, widąc to było po jego minie, stali obydwoj czekając, aż skończy się taniec. Zanim znów zaczęto grać, w krótkiej przerwie Lószló Símey przedstawił Józsefa Lenke Jablonczay i József poprosił ją do tańca.”

Zdarza się na wyścigach konnych lub w bajkach, że koń, na którego nikt nie stawia, jako pierwszy dobiega do mety, zostawiając za sobą faworytów, zdarza się w bajkach, że królewicz, który powinien ożenić się z królową z ościennego państwa, bierze za żonę małą gęsiarkę. Bo szanse, aby Lenke Jablonczay, którą z litości chowano w domu przy ulicy Kismester, zrobiła w debreczyńskim towarzystwie partię, były mniej więcej takie same jak szanse gęsiarki; tu każda panna miała co najmniej pewną, i to zwykle godną uwagi bazę materialną, jak choćby panny Bartók. Wszyscy ci, których synowie i córki przyszli na bal, wiedzieli, że moja matka może wnieść w posagu jedynie swoje przydomki szlacheckie. Poważanie, jakim cieszyła się Maria Rickl i Anselmusowie, blask, który niegdyś promieniował od Seniora, opieka Agostonowej Bartók i sympatia przeoryszy nie były obojętne dawnym bogdankom Juniora, które tymczasem przeistoczyły się w matki balujących pańienek: zaaprobowały Lenke Jablonczay, lubiły ją, tylko że absolutnie nie liczyła się jako partia. Gdy ją zapraszały, na tle kompletnej nędzy i pozbawionej perspektyw przyszłości tej dziewczyny jeszcze bardziej rzucało się w oczy materialne zabezpieczenie ich córek. Mieszkańcy Debreczyna często wspominali Józsefa, który po balu maskowym przybrał byrnbnowską postawę; i zastanawiali się w duchu, z kim się połączy i w ogóle jaki będzie jego pierwszy krok, gdy kiedyś powróci do życia towarzyskiego. Tego, co się stało, nie udało się wywróżyć nawet z kryształowej kuli.

Moja matka miała na tym balu najskromniejszą sukienkę

z tarlatanu, odziedziczoną po Melindzie. Materiał ten właściwie tylko na początku prezentuje się dobrze; suknię znosiła już sama Melinda, a kiedy dostała ją po niej moja matka, połyskliwy materiał wyglądał jak skrzydełka utopionej świtezianki. Koleżanki Lenke, które tak samo jak ona wchodziły w świat, dostały odpowiednie na takie okazje dla młodych dziewcząt toalety od najlepszych krawcowych, a młode mężatki, którym wolno już nosić głębsze dekolty i śmielsze fryzury, wystroili się na ten wieczór ze szczególnym staraniem, aby dać odczuć podlotkom dystans dzielący panny od mężatek. Podczas tego wielkiego wydarzenia moja matka była 'najtrzeźwiejszą i najbardziej rzeczową osobą na sali i to było jej szczęście, w przeciwnym razie opinia publiczna od razu złociłaby się przeciw niej. Ale Lenke, która słyszała o sprawie Józsefa i znała nawet jego rodziców z salonu Ilony Bartók, nie uważała za nic szczególnego, że poprosił ją do tańca, przecież cały 'wieczór ciągle z kimś tańczyła. Okrążyła salę z Józsefem i wróciła do kupcówny, która dawała jej znaki wachlarzem.

W Marii Rickl walczyły tego wieczoru dwa całkiem różne uczucia. Było w tym coś niepokojącego, że dziewczyna, która na pierwszym młodzieżowym balu pokazała się światu, od razu znalazła się w sytuacji, która zwróciła na nią powszechną uwagę, ale było w tym również coś radosnego: tak samo musieli gapić się swojego czasu mieszkańcy Debreczyn[^], kiedy ona, Maria Rickl, po raz pierwszy jako narzeczona, wsparta na ramieniu Seniora, zjawiała się wśród panien -- którym¹ wprawdzie tłumaczono podobnie jak jej, że syn Imrego Jablonczayego jest młodzieńcem niegodnym zaufania i lekkomyślnym karciarzem - lecz które co do jednej, wbrew wszelkim przestrogom-, były zakochane na śmierć i życie w Seniorze. Kupcówna spochmurniała, nie wierzyła bowiem ani w bajki, ani-w cuda i wiedziała, że wybór Józsefa to nie zaszczyt, tylko coś w rodzaju policzka. W tym towarzystwie obrażono Ninon, więc József nie chce tańczyć z żadną z tych panien, złośliwie wybiera cieniutką w talii, ubraną w tarlatanową znoszoną suknię panienkę, którą widzi po raz pierwszy i która nie ma nawet zwyczajowej aksamitki na szyi, przypomina Kopciuszka, i József tańcząc z nią pokazuje, że to on jest panem sytuacji. Skoro kiedyś wyciśnięto jego siostrze łzy z oczu, on złamie pychę panien i mężatek

i dopóki nie będzie mógł zemścić się w większym stylu, zamiast z nimi, zatańczy z ubogą dziewczyną, jak można sądzić po jej stroju, którą krewni w domu trzymają zapewne w szwalni. Maria Rickl postanowiła tego wieczoru, że odda komuś tę zieloną myśliwską suknię, którą przed dwoma laty, w początkach nauki mojej matki, sprawiła jej na polecenie Stillmunga, gdy ta upierała* się, aby moja matka wzięła udział w jakimś przedstawieniu na cele dobroczynne. Odtąd moja matka przez jesień i zimę nie wychodziła z tej sukni, w klasie przezywano ją już nawet z tego powodu Lenke Leśniczanką. Moja matka była w dobrym humorze, uśmiechała się, József tańczył już wtedy z Ninon, odstępując ją tylko jasnowłosemu narzeczonemu, potem tak samo niespodziewanie jak przyszli, zniknęli, zostawiając po sobie niepokój i przyjemne podniecenie. Wszyscy obecni wyczuli, że to był wieczór wyrównania rachunków i że skoro tylko za postępek Ottha - za który przecież panienki i młode mężatki naprawdę nie odpowiadają - udało im się wykpić tym, że nadęty smarkacz zatańczył z Lenke Jablonczay, to właściwie wszystko jest w porządku i należy się spodziewać, że przy najbliższej okazji z pewnością zachowywać się już będzie tak jak inni młodzi ludzie.

Moja matka opowiadała, że właściwie nie przyjrzała się Józsefowi, tak bardzo pochłaniał ją taniec, więcej natomiast mówiła Melindzie w drodze powrotnej z balu o Beli Majthenym, skarżąc się, że chłopak ma wilgotne dłonie, dyszy w tańcu i łapie powietrze. „Ciekawe i rzekła Melinda - że nawet nie widzisz, jaki jest przystojny, uprzejmy i miły. Tylko że dyszy. Widziałaś, żeby ktokolwiek nie dyszał w tańcu?” „Widziałam - upierała się moja matka. - On dyszy od razu na samym początku, a inni dopiero pod koniec.” Melinda machnęła ręką, urzekł ją łagodny spokój Beli Majtheniego, czuła, że Majtheni nigdy nie potrafiłby nikomu zrobić przykrości. Wbiła jeszcze szpilkę podnieconej dziewczynce twierdząc, że ona spaliłaby się chyba ze wstydu, gdyby kiedykolwiek w życiu wywołała taką sensację. Maria Rickl po raz pierwszy w życiu, od chwili kiedy wzięła do siebie dziecko Juniora, nie zaczęła mówić ani po niemiecku, ani po francusku, żeby skarcić córkę zachowując jednocześnie jej autorytet w oczach Lenke, -lecz powiedziała, co myśli, po węgiersku: „I wielka szkoda, moje dziecko, może wtedy nie

W tym roku kalendarzowym, kiedy moja matka zdejmuje zielony strój myśliwski i w nowej sukni, takiej, jakie noszą dorosłe panny, jest smukła i piękna jak złocista świeca, dwadzieścia cztery umęczone woły ciągną pod oblegane Ladysmith legendarne działo Burów Long Toma; w tym samym roku wraz ze wszystkimi pasażerami angielskiego pociągu dostaje się do niewoli korespondent wojenny nazwiskiem Churchill, z którym pertraktować potem będą zarówno Adolf Hitler, jak i mężowie stanu na wszystkich kontynentach; w Chinach zbiory ryżu są katastrofalnie niskie; książe Tuan zostaje szefem Urzędu Spraw Zagranicznych; admirał Seymour, który maszeruje na stolicę Chin - aby zdławić ruch młodych, mający na celu zniszczenie Europejczyków i ich instytucji -- nie potrafi zabezpieczyć życia białym; monarchia austro-węgierska jest już tak słaba, że musi szukać oparcia w siłach zbrojnych, których aktywne uczestnictwo w życiu publicznym i powszednim kraju staje się zjawiskiem normalnym; to właśnie huzarzy rozpędzają tłumy demonstrantów sprzed parlamentu austriackiego, a dragonów wypuszcza się na wiecujących na placu Wacława w Pradze mieszkańców; to żandarmi zamykają siedziby węgierskich okręgów wyborczych przed niepożądanymi elementami, a przewodniczący komisji wyborczych przemycają na listy kandydatów fikcyjne nazwiska, przypominające w brzmieniu nazwiska posłów opozycyjnych, aby przez unieważnienie oddanych na nich głosów zapewnić partii rządowej absolutną większość w parlamencie;
zostałabyś mi na karku." Moja matka podniecona radosnymi przeżyciami nie mogła się oparować i wybuchnęła śmiechem. Z tej drogi powozem do domu powtórzą się jeszcze w życiu Gizelli i Lenke Jablonczay dwa króciutkie momenty: w podobny sposób roześmieje się Melinda, kiedy po latach pani Bartó- kowa z serdeczną troską szepnie do niej znad filiżanki herbaty, że ma smutek w sercu, bo coś niedobrego dzieje się w małżeństwie Lenke; wydaje się, że ten miły, dzielny Majthényi nie jest już taki jak dawniej. Co też może być przyczyną jego zubożenia? A Lenke Jablonczay zawoła do Józsefa Hutirayego, przyjaciela domu i lekarza, pochylając się nad łóżkiem swego męża, Béli Majthényiego: „O Boże, jak ón dyszy!"

w tym roku kalendarzowym Lueger w Wiedniu robi, co może, aby ugoda między królem a krajem była tylko papierkiem, a samodzielna armia węgierska i niezawisły obszar celny pozostały w sferze marzeń, stan ludności kraju zaś niepokojąco maleje; w tym czasie powstały już największe dzieła Dickensa, Thackeraya i Balzaka, istnieje już także węgierskie wydanie Zbrodni i kary Dostojewskiego oraz pierwszych dzieł Turgeniewa; w domu Bartóków obydwie wychowanki klasztoru słuchają z-zapartym tchem Margit, która czyta im głośno o szlachetnym męstwie Filipa Derblaya, i wzruszają się, ilekroć Ilona gra pieśń Huszki o dwóch małych wróbelkach; w tym właśnie roku kalendarzowym Lenke i Bella dostają do ręki książkę, która - choć o tym nie wiedzą - wywrze większy wpływ na ukształtowanie się ich światopoglądu niż nauki Stillmunga, wychowanie rodzinne czy choćby późniejsze doświadczenia życiowe. Za oszczędzone na ten cel pieniądze Belli biblioteka Bartóków wzbogaca się o nowy tom, Idzie przez żyto Helen Mathers.

Urodzona w 1853 roku w Misterton pisarka, żona angielskiego chirurga, pisząc w wieku dwudziestu dwóch lat wydaną pod panińskim nazwiskiem pierwszą powieść *Corning thought the Rye*, nie podejrzewa nawet, że ów bestseller - świadczący o wielkim talencie obserwacyjnym i narratorskim, zbudowany z elementów autobiograficznych, budzący w kręgach czytelników burzliwy entuzjazm, wyciskający gorzkie łzy i wywołujący wzburzenie, będący jednocześnie apoteozą wiecznej i oczywiście nie zbrukanej zmysłami miłości, który ukazał się na Węgrzech w przekładzie Emilii Zichy w 1878 roku. zaledwie w trzy lata po wydaniu angielskim - jest właściwie' lekturą bardzo szkodliwą. Matki, szkoły i wychowawczynie nigdy chyba staranniej nie przesiewały literatury trafiającej w ręce młodych panien niż w latach na przełomie wieków, jednakże *Idzie przez żyto* przechodziło zwycięsko przez nawet najsurowszą cenzurę i zajmowało miejsce na wszystkich półkach bibliotecznych. Kiedy przygotowując się do napisania *Staroświeckiej historii oprócz Drogi do Złotej Krainy* zdobyłam także i tę książkę, właściwie od pierwszej do ostatniej strony czytałam ją z dreszczem przerażenia. Niczym jakiś zły sen zaczynała się od epitafium, które wymieniało rodzaj i przyczyny śmierci mojej matki, a na

samym końcu śmierć Wattic ukazywała sposób, w jaki matka nas ostatecznie opuściła. Nawiasem mówiąc, historia bohaterki powieści, Helen Adair, nie wzruszyła mnie, lecz oburzyła. Helen Mathers umarła w 1920 roku, kiedy moja matka już od czterech lat była ze swoim drugim mężem, moim ojcem, i oprócz jej synka z pierwszego małżeństwa także i ja byłam na świecie, i ta książka w jakiś dziwny sposób wpłynęła na życie nas wszystkich, na życie Beli Majthenyiego, Elka Szabó, mojej matki, mojego brata Beli i moje, a w pewnym stopniu także na życie Melindy. Pisarz wyjątkowo rzadko może sprawdzić, co buduje, a co niszczy: Helen Mathers, która była starsza od mojej matki zaledwie o trzydzieści lat, zdumiałaby się zapewne, gdyby jej powiedziano, że pewną młodą dziewczynę w węgierskim mieście Debreczynie nauczyła raz na zawsze, aby nie oczekiwała od drugiego człowieka spełnienia szczęśliwej miłości, oduczyła ją wyobrażać sobie, że można realizować marzenia, zasugerowała jej, że niewierność i brutalność męska jest grzechem naturalnym, wybaczalnym w imię miłości, że nie warto walczyć z nikczemnością i zdradą i że duma może co prawda wyprowadzić człowieka w pole i przywieść do nieszczęścia, ale nigdy nie wepchnie go w błoto, a ponadto uświadomiła jej, że człowiek bywa naprawdę aktywny tylko świadcząc zło, dobroć w swoich przejawach jest zawsze niezręczna, naiwna i słaba.

Nie minęło sześć lat od chwili, kiedy ta książka dostała się w ręce mojej matki, i oto rozlegają się okrzyki sufrązystek w Londynie, a pisarka z okien mieszkania swego męża przy Harley Street może oglądać tłumy manifestantek. Nic minęło dalszych sześć lat i w trumnie wraz z królową Wiktoria pogrzebana zostaje pruderia, ta chorobliwa cecha przemijającej epoki.

Aczkolwiek powieść *Idzie przezżyto* była najważniejszą lekturą klasztornych lat mojej matki, to jej oddziaływanie przypomina nieszczęśliwy wypadek lub katastrofę kolejową. Moja matka, choć nigdy nie zdawała sobie z tego sprawy, była urodzoną feministką, walczącą stronnicek kobiet, i marzyło się jej nie równouprawnienie, lecz jakiś osobliwy matriarchat, w którym mężczyźni nie odgrywają żadnej roli. Żyła urojonym angielskim życiem Helen Adair, biegła przez pole żyta i czekała na dzień, kiedy wkroczy w życie, a piękna i zła Sylvia, druga z bohaterek powieści, przyniesie jej nieszczęście. W wiele lat później każda

z kobiet, która stanie między nią <i Józsefem, będzie w oczach mojej matki Syla - wszystkie jego przyjaciółki i dwie kolejne żony, a także, nie wiadomo dlaczego, jej własna matka, Emma Gacsary. Młodzianka Lenke Jablonczay wije wianek z żywych kwiatów, wkłada go na głowę i biegnie przez Wielki Las na polanę, może i ona, jak powieściowa Helen, napotka swojego Paula Washera. Nie spotyka jednak nikogo. 1 dopiero któregoś dnia, kiedy Lenke Jablonczay siedzi w salonie Bartóków i czyta na głos Belli, nadchodzi ta tysiącokrotnie przeżywana w marzeniach chwila: w progu staje Washer. Ma bardzo ciemne włosy, bardzo ciemne oczy, jak ten z powieści. Jest nim József.

Historia Lenke Jablonczay i Józsefa nie zaczyna się na balu, tylko właśnie tam, u Bartóków. Kiedy József, który odwiedził Ilonkę i jej męża, wpada na prośbę młodej mężatki do jej rodziców, zastaje w salonie dwie panienki, Bellę, która pochyla się nad jakąś skomplikowaną robótką, i tę drugą, którą natychmiast poznaje, choć widział ją tylko tamtego wieczoru. Teraz przygląda się jej po raz pierwszy uważnie, dziewczyna siedzi obok przyjaciółki na haftowanym podnóżku i czyta na głos jakąś bzdurę, ale widok, jaki przedstawia, nie jest przykry. Jego siostra Ninon nigdy nie miała tyle entuzjazmu, zawsze była przedwcześnie dojrzała i podejrzliwa, a ta podfruwajka z balu, która tym razem nosi wdzięczną sukienkę w kropki, niemal umiera z przejęcia nad szmirą, którą czyta.

„Nelly - powiedział Paul patrząc na mnie - jakże serdecznie, jak wesoło potrafi się pani śmiać. Każdy by pomyślał, że jeszcze nigdy nie zagubiła się pani w uczuciach, że jeszcze nigdy nie była pani zakochana - rzekł z wahaniem w głosie, co brzmiało tym dziwniej, że dotąd zawsze był tak pewny siebie, dumny i wyniosły.¹ -

Odwrociłam głowę, żeby nie zauważył, jak zmieniałam się na twarzy. Byłam szczęśliwa, że wyobraża mnie sobie spokojną. Kobieta nie może nosić serca na dłoni, tak aby każdy mógł w nie zajrzeć."

Kiedy spostrzegły gościa, książka wróciła na półkę. Było to takie samo popołudnie u Bartóków jak każde inne, Agosto- nowa Bartók zaprosiła wszystkich na podwieczorek, a ponieważ József był u nich pierwszy raz, podjęła go ze szczególnym staraniem. József z upodobaniem patrzył na zdobiące ściany

obrazy Margit; młoda malarka, jak zawsze, gdy był u nich ktoś obcy, siedziała w milczeniu pragnąc jak najszybciej zostać tylko z rodziną i z Lenke. Bella i Lenke bawiły się doskonale, moją matkę szczególnie podniecił obfity podwieczorek. W dzieciństwie skutecznie zniechęcono ją do jedzenia, najpierw książkami wkładanymi pod pachy i uwagami wziętymi z podręcznika Róży Kalocsy, później zaś wypełnianiem jej przerwy między daniami jakimś zajęciem. Zanim po zjedzonej zupie zdążono przynieść z kuchni następne danie, musiała brać się za robótkę, bo chwile bezczynności prowadzą do grzechu; poza tym ciotka Klari gotowała dla starych żołądków, mdło i niesmacznie. Moja matka siadała więc do stołu naprawdę chętnie tylko u Bartóków i teraz też jadła tyle, aż jej samej było wstyd. W pewnym momencie poczuła na sobie czyjś wzrok, podniosła oczy. József przyglądał się jej z prawdziwą przyjemnością. Patrzy jak Paul Washer na Helen Adair - pomyślała Lenke Jablonczay - ale ja nie mam jeszcze osiemnastu lat, tylko szesnaście, więc wolno mi chyba lubić tort ze śliwkami, jeżynami i imbirem. „Zazdroszczę pani apetytu” - powiedział József. Chyba bardziej prozaicznym zdaniem nie mogła się zacząć miłość, która towarzyszyła Józsefowi przez niemal dwadzieścia lat, a mojej matce właściwie aż do śmierci.

Wszystkie ważniejsze postacie z życia Lenke Jablonczay interesował) się tą miłością.

Maria Rickl była niespokojna i, co nigdy się jej dotąd nie przydarzyło, także niezdecydowana. Powiedzonko, które słyszała od Anselmusów i które później stało się w rodzinie niemal przysłowiem: „ogar do ogara, chart do charta”, potwierdzało rację ojca, jej, Marii Rickl, potomkini pracowitych kupców nie przyniosło szczęścia małżeństwo z ziemianinem Jablonczaym. Aczkolwiek József nie pochodził z klasy gentry, to jednak był do niej zaliczany przez swą sytuację społeczną i materialną, a różnica w stanie posiadania była między młodymi tak ogromna, że Maria Rickl natychmiast pojęła: tej przeszkody się nie pokona. József to nie Junior, on ma mądrego, trzeźwego ojca, Józsefowi nie pozwolą na taki wybryk jak małżeństwo z biedną panną, József ma przed sobą takie perspektywy, że naprawdę nie może

ryzykować swojej przyszłości wiążąc się z dziewczyną, która nie dostanie posagu; o spuściźnie po matce lepiej nie wspominać, a ojciec jest z łaski kierownikiem kąpieliska. Gdyby József był jej, Marii Rickl, synem, ona sama zrobiłaby wszystko, co w jej mocy, aby obrzydzić mu Lenke.

Melinda była innego zdania. Według niej rodzina Józsefa powinna byłaby dziękować Bogu, gdyby mogła spowinowacić się z Jablonczayówną, wnuczką Seniora, i jeśli József wybierze właśnie tego niejadka, Lenke, która w niczym nie przypomina normalnej młodej panny, nie ma niebieskich oczu, tylko zielone, jest chuda jak patyk, a nogi ma długie jak komar. 10 można mówić jedynie o braku gustu, a nie złym wyborze. Wprawdzie Lenke nie ma ani krajcara, ale jest za to spokrewniona z królem Bělą IV, a o rodzinie Józsefa można powiedzieć wszystko, tylko nie to, że przyszedli tu z Arpadem. Agostonowa Bartók uważała za oczywiste, że idylla może skończyć się tylko happy endem. Lenke to dobra dziewczyna, ładna, mądra, dowcipna, godna miłości i nie powinno się zwracać uwagi na delikatne sprawy jej rodziców, Lenke będzie ozdobą każdego domu. Bella była tak pewna małżeństwa przyjaciółki z Józsefem, że czasami zastanawiała się już, w jakiej sukni powinna wystąpić jako pierwsza druhna, a ponieważ tak naprawdę nie interesował jej dotąd żaden z młodych ludzi bywających w ich domu, z góry martwiła się, jaka będzie osamotniona na tym ślubie - przecież nie może zabrać ze sobą w charakterze drużby siostry Charitas. Rodzice Józsefa, ilekroć spotykali moją matkę w towarzystwie, byli uprzedzająco serdeczni i gdyby Lenke Jablonczay znała się choć odrobinę na ludziach, musiałaby się zorientować, że za serdeczni. Ale moja matka była zakochana i naiwna, śledziła więc wdzięcznym wzrokiem matkę Ninon, równie brzydką jak córka, i gładziła mur domu Józsefa, jeśli tamtędy prowadziła jej droga. Dziesiątki lat później, kiedy przyłapałam ją na tym, że wciąż jeszcze to robi, gdy przechodzimy dawną ulicą Kadas - jak gdyby nie upłynęło od tamtej pory pół wieku i ludzie, którzy tu niegdyś żyli, nie pomarli już lub nie przenieśli się gdzieś daleko, co było prawie równoznaczne ze śmiercią, i jak gdyby mieszkańcy tego domu nie obeszlili się z nią swojego czasu tak podle - powiedziałam jej, że to nie ma sensu, w pieszczaniu muru jest coś nienormalnego. Wtedy spojrzała na mnie i nie odpowiedziała

ła, tylko wolno pokręciła głową, zawsze patrzyła w ten sposób, gdy chciała mnie czegoś nauczyć, a ja nie rozumiałam. Kiedy pojęłam, że Elektra głaszcząc ziemię - zamiast bić w nią pięściami - próbuje nakłonić zaziemskie moce, aby raz jeszcze dopuściły do niej niezapomnianą, wiecznie oplakiwaną młodość Agamemnona, nie było już na świecie ani mojej matki, ani Józsefa.

O tej miłości zresztą mówili obydwójce zainteresowani, to nie była żadna z tych tajemnic, o których wspominała matka na łożu śmierci, nie zabrała jej ze sobą. Opowiadał mi także o niej na nieudanym lunchu u „Gundla” József, wersja jego i mojej matki zgadzały się niemal co do słowa. „József był najpiękniejszym chłopcem w mieście.” „Pani matka była najpiękniejszą panną.” „Zawsze dobrze bawiliśmy się z Józsefem.” „Lenke była urzekająca, umiała się bawić.” „Jak on umiał tańczyć!” „Jak ona umiała tańczyć!” „Dokądkolwiek poszliśmy, wszystkie panny patrzyły na Józsefa.” „Dokądkolwiek poszliśmy, młodzi ludzie wpatrywali się w Lenke.” „Lubił to co ja.” „Mieliśmy podobne gusty.” „To był zaszczyt, gdy którejś asystował.” „To była Jablonczayówna, nie byle kto.”

Józsefa słuchałam niechętnie, mojej matki z rozdrażnieniem, tak samo jak mój starszy brat. Bóla myślał wtedy o swoim ojcu, który nie był chyba tak czarującym zjawiskiem ze swą gruźlicą, atakami duszności na sali balowej i kaszlu po każdym śmiechu, ja zaś o Ełku Szabó, który w ogóle nie umiał tańczyć, nudził się w towarzystwie, pogardzał przechadzającymi się po korso panami, lubił tylko siedzieć w domu i czytać, a w każdym mieszkaniu próbował wyczarować wokół siebie małą wieś z wiejskimi obyczajami według tradycji dawnego, światłego duchowieństwa kalwińskiego. W wielu sprawach nie zgadzaliśmy się z bratem, ale w tej jednej na pewno byliśmy zgodni: każde z nas jednakowo nie cierpiało Józsefa.

O miłości Lenke Jablonczay wiedziano nawet w klasztorze. Instytut Svetits nigdy nie bronił wychowankom normalnego życia, chodziły więc do szkoły narzeczone w pierścionkach, a narzeczeni wyczekiwali na nie przed bramą. Klasztor nie wychowywał starych panien, lecz przyszłe mężatki i matki. Z wyjątkiem paru starannie wybranych dziewcząt, żadnej nie próbowano nawet obrzydzić radości niesionych przez życie,

w odpowiednim towarzystwie panienki mogły bywać w teatrze, chodzić na lekcje tańca, na rozmaite potańcówki, majówki i wieczorki organizowane na cele dobroczynne, oczywiście za pozwoleniem Stillmunga. Aloysia, która czerwieniła się jak indor widząc, że dziewczęta wyciągają szyje z ławek, aby przyjrzeć się maszerującym żołnierzom, kreśliła znak krzyża na czole świeżo zaręczonej uczennicy i obiecywała, że będzie się za nią modlić. Wszystkie dziewczęta brały ślub w kaplicy, a nie w kościele Świętej Anny, i na takie uroczystości zakonnice przychodziły w komplecie. O tym, jaką sensację wzbudziła na balu Lenke Jablonczay, dowiedziała się Stillmunga od matek; przeorysza znała historię Ninon tak samo jak inne zakonnice, przecież siostra Józsefa również uczęszczała na pensję katolicką, choć nie do seminarium nauczycielskiego. O tym, że nawiązuje się coś między Lenke i Józsefem, wspominała jej niejednokrotnie Bartókowa, z zadowolonym uśmiechem wróżąc Lenke szczęśliwą przyszłość. Maria Margit Stillmunga długo nie zwracała na to uwagi, moja matka opowiadała nam, że to już stawało się groźne: dlaczego nic nie mówi, skoro widzi przez okno Józsefa, który nie chce czekać na rogu przed Kasynem, lecz wypatruje jej pod klasztorem, pod plebanią, teraz czeka już na nią nie tylko Bobi, lecz także chłopiec, niemożliwe, żeby nikt o tym w klasztorze nie mówił. Ale przeorysza milczała, nie zrobiła też żadnego kroku, zrobiła go nato.miaś, i to na pewno na jej polecenie, Charitas.

Stosunek między Charitas i moją matką różnił się zasadniczo od stosunków łączących zakonnice z innymi uczennicami. Dziewczęta i klasy mojej matki, jeśli nawet przeżywały jakieś pensjonarskie miłości, niezmiennie prześladowały Charitas nieświadomym biseksualnym zainteresowaniem. Charitas bez uśmiechu znosiła to uwielbienie i składała uczucia zakochanych w niej panienek na ołtarzu Marii. Żadna z zakonnice nie wychowała tylu głęboko wierzących katoliczek co właśnie Charitas, która pozornie nawet o to nie dbała. Dręczyła swoje uczennice przedmiotami ścisłymi, nie cierpiała niezdyscyplinowania, nie zważała na łzy. Charitas była jednak czarująca i na swój sposób tak samo daleka od ideału urody tej epoki jak moja matka. Później, kiedy wypytywałam Bellę, Mariskę Tabajdi i inne koleżanki szkolne mojej matki, jaka właściwie była ta

kobieta, nigdy nie otrzymałam zadowalającego wyjaśnienia, okazało się, że Charitas nie można sobie uzmysłwić. Charitas była inna dla każdego oczu. Tak jak zachowały się w pamięci wszystkich okulary, rękawiczki, postawa, twarz, zmarszczki, śmiech Stillmunga, jak wszystkie umiały naśladować sposób bycia Marii Bony, tak żadna nie umiała opisać Charitas. Próbowaliśmy ją przybliżyć za pomocą obrazów natury: „Jak Wezuwiusz” | wspominała Bella. „Jak lodowiec” - powiedziała Mariska Tabajdi. „Jak wiatr” i usłyszałam od Cicy Vaszil. „Jak morze” - westchnęła Iluska Biró. „Charitas?” - zapytała Melinda. - Pytasz, jaka była Charitas? Tak dumna, jakby wiedziała, że Bóg codziennie wdaje się z nią w rozmowę. Stillmunga siedziała w swoim gabinecie i, gdy upatrzyła sobie do jakiegoś celu którąś z uczennic, napuszczała na nią Charitas. Nazywałam ją zawsze: Charitas-łowczyni.”

W latach 1900-1902, w ostatnich dwóch latach seminarium nauczycielskiego, oddziaływały na moją matkę różne wpływy z różnych kierunków.

Niezmiennie czuła groźną i uszczęśliwiającą siłę przyciągania Józsefa, tak jak i troskliwość Bartóków, sympatia ludzka zrównoważyła tę szalę jej życia, na której leżało Pallag. Bo w Pallag, dokąd wożono ją co pewien czas, daremnie próbowała się zbliżyć do rodzeństwa; chłopcy i dziewczęta trzymając się za ręce żyli obok swojej matki jak szczenięta z jednego miotu, podziwiali obcą panią, o której mówiono, że to ich siostra, wypuszczali na nią byka, straszili ją kapiącym koniem, ojciec w zakłopotaniu uciekał przed nią, a matka na próżno starała się jej przypodchlebić. Dopiero kiedy Emma Gacséry uciekła po raz ostatni, zabierając ze sobą chłopców, a dwie młodsze Jablonczayówny dostały się na ulicę Kismester, trzy siostry zawarły ze sobą bliższą znajomość. Charitas wkrótce po przyjeździe Lenke Jablonczay do szkoły wyróżniła ją swą sympatią i rozmawiała z nią częściej niż z innymi dziewczynkami, jednakże od chwili gdy na scenie ukazał się József, zaczęło się to przejawiać w innej, całkiem jednoznacznej formie. Charitas zaprosiła moją matkę na spacer i zawiozła ją do położonej za miastem posiadłości zakonu, gdzie siostry uprawiały ogród, czytały, zajmowały się robótkami ręcznymi i cieszyły się swobodniejszym, łatwiejszym życiem. Charitas dawała Lenke Ja-

blonczay książki i Agostonowa Bartók oraz Maria Rickl jednocześnie spostrzegły, że Charitas zaczęła wychowywać dziewczynę, która wciąż jeszcze była kalwinką, na zakonnice.

Charitas-łowczyni miała już duże doświadczenie. Nie mówiła szesnastoletniej dziewczynce o niebie, lecz o ziemi, o szansach, jakie czekają na zakonnice przeznaczone do pozornie zamkniętego, ograniczonego życia. „Z naszą pomocą możesz zostać, kim zechcesz- mówiła Charitas. - Nasz zakon może cię kształcić nawet za granicą. Bóg kocha muzykę, możesz otrzymać choćby najwyższe wykształcenie muzyczne i potem uczyć muzyki lub sama ją uprawiać w ramach określonych przez nasz zakon. Wielebne siostry twierdzą, że jesteś bardzo zdolna, a i przeorysza podkreślała kiedyś, że masz analityczny umysł i mogłabyś zostać naukowcem, natomiast siostra Aloysia chwali twój talent literacki. Mądrze i z pokorą należy gospodarować tyloma darami bożymi. Na Węgrzech od początków chrześcijaństwa istnieją uprawiające literaturę zakonnice, ale jeśli bardziej interesowałoby cię nauczanie, nie ma przeszkód, mogłabyś uczyć węgierskiego i historii, które tak lubisz.” Moja matka podziękowała Charitas za jej dobroć i obiecała, że zastanowi się nad tym, co usłyszała, od razu też opowiedziała o tej rozmowie u Bartóków. Agostonowa Bartók przyjrzała się Lenke Jablonczay, do której tak bardzo już przywykła i którą tak pokochała, że niekiedy myślała o niej jak o własnej córce, wyobraziła sobie, że ta nadzwyczajna żywość, ten rozum, ten iskrzący się dowcip zostaną wykorzystane ku chwale Boga, i właściwie nie widziała w tym nic niemożliwego. Ale Lenke w życzliwej atmosferze domu Bartóków śmiała się z prób Charitas-łowczyni jak z żartu. „Gdy zabierają mnie na letnisko - opowiadała Belli - są takie, że gdybym nie widziała tego na własne oczy, to bym nie uwierzyła. Maria Alexia i Maria Renata grały ostatnio czerwoną piłką i podkasały habity, a siostra Margit siedziała przy studni i czytała, a potem przyglądała się ich zabawie. Odwiozły mnie do miasta swoim powozem, a Józsi omal nie wrósł w ziemię ze zdumienia, bo oczywiście czekał na mnie przed bramą, ale Charitas kazała podnieść budę i Józsiemu nie udało się nawet zajrzeć do środka. Rozbawiło mnie, że musiał sam wracać zakurzoną drogą.”

W ten to sposób adorowali Lenke Jablonczay Zgromadzę-

nie Siostr Szkolnych i młody prawnik, który już wkrótce miał ukończyć studia, ale tylko Zgromadzenie ujawniło swe zamiary, student chodził za nią wiernie jak pies Bobi, tańczył z nią na wieczorkach, przynosił kwiaty do włosów i sukni, składał już także wizyty przy ulicy Kismester, próbował zabawiać Melin- dę, co nie było łatwe, i starał się rozśmieszyć kupców; w takich chwilach Maria Rickl zawsze była mu wdzięczna, bo w ciągu niełatwych dziesięcioleci jej życia weseli staruszkowie, którzy mieszkali w jej domu, a także inni mężczyźni należący do rodziny niezbyt troszczyli się o jej dobry humor.

Moja matka spędzała w klasztorze przedostatni rok, kiedy Stillmungus przejęła sprawę od Charitas. Wezwała do siebie moją matkę i powiedziała, że prosi, aby rozważyła, czy nie miałyby ochoty wstąpić do ich grona. Jeśli tak, może rozpocząć odpowiednie przygotowania. Musiałaby wprawdzie poczekać jeszcze parę lat, zanim prawo pozwoli jej zmienić wiarę, ale jej kalwinizm jest i tak teoretyczny, od najmłodszych lat wychowywano ją po katolicku, a im szybciej ukształtuje swoje pragnienia i cele w ten sposób, &by się pokrywały z tym, co one uważają dla niej za słuszne, tym szybciej zapanuje w jej życiu ład i spokój. Moja matka bez wahania oznajmiła, że nie chce być zakonnica, nie czuje powołania. „Sama nie wiesz, do czego masz powołanie, Lenke - odparła Stillmungus. - Nic znasz siebie. Ja ciebie znam. Zostań z nami, pracuj, nie wchodź w świat. To nie dla ciebie.” Moja matka przepelniona tęsknotą, miłością i nadzieją, tylko patrzyła na przeoryszkę i była zdziwiona, że tak bardzo może się mylić.

„Poleciłam siostrze Charitas, żeby się tobą specjalnie zajęła - ciągnęła zakonnica. - Jesteśmy tu, wyciągamy ręce, abyś się miała czego uchwycić. Siostra Charitas wspominała, że chciałybyś iść na wieczorek młodzieży kupieckiej. Idź. Znów będziesz tańczyć i wydawać ci się będzie, że to jest szczęście. Nie bronie ci, idź. Ale nie chciałabym, żebyś była nieszczęśliwa,” chce ci oszczędzić rozczarowań.” Moja matka spojrzała na nią pogodnie i pomyślała z dziecinną dumą, że wie już o życiu o wiele więcej niż Stillmungus, która jest wprawdzie tak dobra i mądra jak nikt inny, ale nigdy nie tańczyła ze swoim Józscfem. Pod koniec rozmowy Stillmungus wstała, a moja matka opowiadała mi o tym tyle razy, że każdy szczegół tej chwili /ostał mi w pamięci. Podniosła się, zdjęła okulary i przez

jakiś czas uciskała powieki, jak gdyby była zmęczona. „Lenke- rzekła, - Ty jesteś stworzona do zakonu. Nie rozumiesz? Zakonu, w którym możesz się najlepiej rozwinąć, w którym nie istnieje miłość ziemską, lecz miłość wyższą, bardziej wzniosłą oraz praca i obowiązek. Bóg nie daje wszystkiego ani sobie, ani innym. Nie rozumiesz, o czym mówię? Jesteś urodzoną zakonnicą, tylko nie uświadomiłaś sobie tego, bo brat Ninon zatańczył z tobą na balu składkowym, i odtąd wszędzie ci towarzyszy. Asystuje ci też młody Majthény i wielu innych. I będą ci asystować. Ale ty widzisz tylko ich, nie siebie samą i nie masz pojęcia, do czego się urodziłaś.” Moja matka słuchała i wydawało się jej bardzo dziwne, że nawet kobieta takiego formatu nie potrafi się oprzeć pokusie pozyskania nowego narybku dla Zgromadzenia Sióstr Szkolnych. (Ileż to razy widywałam później moją matkę, jak w naszym ogrodzie przy ulicy Świętej Anny opierała się łokciami na wspólnym murze i zaglądała do klasztornej ogrodu, gdzie wśród krzaków malin i porzeczek snuły się zakonnice nigdy nie odwracając twarzy ku sąsiedniemu budynkowi, który był naszym domem, i szukała wzrokiem tej, której nigdy już nie miała zobaczyć i Stillmungus, jedynej istoty, która odgadła psychofizyczną strukturę Lenke Jablonczay w czasach, kiedy o podobnych sprawach nie wolno było myśleć na Węgrzech nawet przyzwoitym młodym kobietom, a co dopiero zakonniczy.) „Mogłabyś stąd wyjechać, nie zatrzymywałybyśmy cię - ciągnęła Stillmungus. - Jeśli nic chciałabyś tu zostać, mogłabyś wyjechać za granicę lub wstąpić do innego zakonu, nie zajmującego się nauczaniem, ale takiego, który opiekuje się chorymi, na przykład w koloniach, w dzikich krajach, gdzie ktoś miałby pożytek z twojej odwagi i pomysłowości. Chcę ci pomóc, Lenke, nie rozumiesz?”

„Nie rozumiała.

„Ale na czym polegała ta twoja miłość?” - pytaliśmy z bratem niejednokrotnie, każde myśląc o własnych miłościach. Nasza matka uśmiechała się, wahała, próbowała nam wytłumaczyć. Że zawsze o nim myślała, że dobrze było wiedzieć, że jest, gdy go ujrzała, po raz pierwszy nabrała nadziei, że może i ona mogłaby mieć własny dom, taki, gdzie najważniejszą osobą nie jest Maria Rickl, gdzie ma swojego męża, którego kocha i który ją kocha wynagradzając jej brak miłości rodzicielskiej, bo to

byłoby zadośćuczynienie za jej gorzkie dzieciństwo bez pieszczot. „A co poza tym, że myślałaś o nim i czekałaś, że stworzy ci dom?” „Cóż, odprowadzał mnie do domu. I tańczył ze mną. I zawsze był tam, gdzie ja.” „I co?” „To były inne czasy - westchnęła nasza matka. - Lato w Debreczynie było niby talerz miodu, miało aromat i gęstą barwę złota, a wiosną pachniały akacje i bzy, które rosły też w ogrodzie Józsefa. Kiedy przy sprzątanu otwierałam okna wychodzące na nasz ogród, zawsze myślałam, że i on czuje teraz te akacje. Jesienią chodziliśmy z Melindą do lasu, zbieraliśmy liście i żołędzie, a w zimie na ulicach snuła się woń pieczonych kasztanów i wielkich, pulchnych dyń.” „Kochałaś go z powodu zapachów?” - zapytał w osłupieniu mój brat. „Nie. Tylko mówię, że były także zapachy i zawsze mi go przypominają. Każda akacja wiosną, każdy miód latem, każdy liść i żołędź jesienią, a zimą zapach kasztanów.” „I co robiliście?” - wypytywałam. „Rozmawialiśmy o wszystkim. I śmieliśmy się. A potem nauczył Bobiego śpiewać. Bobi za cukierki wydawał takie dźwięki, jakby śpiewał.” „Całowałaś się z nim?” - zawęziłam temat. Moja matka posmutniała i wyszeptała, że raz. Jeden jedyny raz pocałował ją József, ale nie pytajmy o to, bo jej wstyd. „Czego się wstydzisz, jednego pocałunku? - śmieliśmy się. - Nic innego nie było?” Nasza matka potrząsnęła głową i popatrzyła na nas z takim smutkiem, jak gdyby dowiedziała się, że ja i mój brat znaleźliśmy się na samym dnie bagna moralnego. „Zaczekaj - postanowiłam to podsumować, i Pocałował cię tylko raz i nawet wtedy nie oddałaś mu pocałunku, i były jeszcze różne zapachy i wonie - wtedy już oboje z Belą pokładaliśmy się ze śmiechu - i często odprowadzał cię do domu. A ile razy ci się oświadczył? I kiedy?” „Kiedyś omal mi się nie oświadczył - rzekła nasza matka - Rr znaczy, ja mu się oświadczyłam, a on niemal powiedział «tak», ale potem się rozmyślił.” „Rozmyślił się? - zawołaliśmy oburzeni. - Raz omal nie powiedział ci «tak», a poza tym nauczył śpiewać twojego psa? I ty mówisz, że on cię kochał?” „Kochał mnie i ja go też kochałam - odparła nasza matka i wtedy nie była już ani zawstydzona, ani speszona, była stanowcza, prawie dumna z posiadania takiej tajemnicy, która nie może przypaść w udziale jej dzieciom. - Nigdy nie będziecie zdolni pokochać kogoś tak, jak ja kochałam Józsefa i jak on

mnie kochał." „Tak to na pewno nie - zawołałam niemal ze złością. - Masz rację, że tak to nie. Chyba raczyłaś zauważyć, że mnie proszą o rękę!" „Och, te twoje miłości! - rzekła nasza matka. - Albo twoje, Béla!" Popatrzyliśmy na siebie bezradnie, każde w zastępstwie własnego ojca, obydwójce znów rozdrażnieni. „Skoro nie chciał się z tobą ożenić, to znaczy, że cię nie kochał!" - oznajmił mój brat. „Kochał - odparła. - Zapytaj kogokolwiek z tych, co jeszcze żyją i którzy nas wtedy znali i widywali. To była największa miłość świata." „Ale przecieźnie ożenił się z tobą - wybuchnęłam. - Pozwolił ci nawet dwa razy wyjść za mąż, unieszczęśliwić ojca Béli i wygłodzić seksualnie mego." „To był taki świat - odparła nasza matka. - Każde z nas miało swoje zakreślone granice. I dość gadania. Dałam ci pełną swobodę, rozumiesz? Pełną. Dorastałaś jak chyba żadna inna dziewczyna, i ty też, Béla, i obydwójce wszystko, co dostaliście, zawdzięczacie Józsefowi, naszemu parszywemu losowi. Jak ty mi dasz, to i ja ci dam - nic poza tym nie rozumiecie. W was też płynie kupiecka krew, prawnuki Anselmusa: dostają uczucie, proponuję nazwisko, daję miłość. Wy umiecie kochać! Akurat! Kochaliśmy się, tak jest, kochaliśmy się z Józsefem, choć w innym sensie, jaki macie na myśli, nic nas nie łączyło. On się ożenił, ja wyszłam za mąż, a jednak kochaliśmy się i nigdy nie zapomnieliśmy o sobie. A teraz nie chcę już o tym słyszeć ani słowa." Wyszła z pokoju, a my tylko siedzieliśmy, siostra i brat. „Ożenił się dla pieniędzy - powiedziałam po pewnym czasie. - A ją rzucił. I ona mówi, że się kochali." Patrzyliśmy na siebie zakłopotani, niczym ucieleśnienie dwóch pomyłek w życiu naszej matki.

Bella Bartók od dziesiątego roku życia pisała dziennik, Lenke Jablonczay zaczęła zapisywać swoje myśli i wszystko, co się z nią działo, dopiero gdy znalazła przyjaciółkę i miejsce - dom Bartóków, gdzie mogła bezpiecznie przechowywać swe zamknięte w zeszytach tajemnice. Gęsto zapisane zeszyty istniały jeszcze do końca lat dwudziestych, trzymała je w tym olbrzymim, zamykanym drewnianym pudle, w którym jej pierwszy mąż przysłał cukier kartoflany - ku największemu przerażeniu rodziny Majthénych, bo czego można się spodziewać po takiej

narzeczonej, która w prezencie zaręczynowym prosi o pięć kilo cukru kartoflanego, taki ma gust i takie wymagania? Widziałam ■też, jak wrzucała swoje zapiski do pieca, czułam nawet coś w rodzaju triumfu, że płoną już te wszystkie tajemnice, które zdarzyły się przed moim urodzeniem i na których temat stale słyszałam aluzje. Znacznie później - sama byłam już wtedy mężatką - dowiedziałam się, że mojej matce nie chodziło o to, aby skończyć ze wspomnieniami, to byłby daremny trud. Jeśli nawet przybladły w jej pamięci szczegóły, całość utrwaliła się na zawsze, poza tym pamiętnik Belli rejestrował nie tylko jej własne życie, ale także dni powszednie i rzadkie święta jej przyjaciółki, Lenke. Matka nie mogła znieść, że mój ojciec wciąż próbował otworzyć pudło, i nie chciała doczekać chwili, kiedy ją wreszcie rozbije, aby dowiedzieć się, czym był od niego lepszy József, że nie można o nim zapomnieć. Natomiast pamiętnik Belli zachował się aż do jej śmierci. Gdy przyjeżdżała do nas, kiedy mieszkała już z rodziną w innym mieście, często zatrzymywała się w naszym mieszkaniu w Święto Zmarłych i razem z nami chodziła na cmentarz. Przy takich okazjach zawsze przywoziła swój pamiętnik i po powrocie z królestwa zmarłych razem z moją matką zabierały się do czytania. Nie wypraszały wprawdzie ani mnie, ani ojca, ale nie mogliśmy z nimi siedzieć, oczywiście nie było to powiedziane wprost, matka mówiła tylko uprzejmie, że na pewno nie zainteresuje nas to, co czytają, dostajemy więc wychodne aż do kolacji i możemy iść na spacer albo do kina. Wynosiliśmy się więc, dwójka Szabó, ja byłam wściekła, ojciec smutny. Pewnego jednak razu dostałam próbkę tego, jakie zapiski znajdowały się w pamiętniku odznaczającej się łatwością pisania Belli. Kiedy przyjechała na Wszystkich Świętych, miałam gripę, leżałam, a czytanie odbywało się w pokoju przyległym do mojego. Podały mi herbatę, lekarstwa, książki, potem usiadły pod nisko zwisającą nad stołem lampą, a ojciec, jak sobie tego życzyły, wyszedł z domu. Próbowałam zająć się lekturą, ale potem odłożyłam książkę, bo doszłam do wniosku, że jeśli bardzo wytęzę słuch, zrozumiem, co czyta Bella. Gdyby na moim miejscu była matka, natychmiast zwróciłaby jej uwagę, żeby czytała ciszej. Moja matka nigdy w życiu nie otworzyła należącej do kogoś szuflady, nie zaglądała do cudzych szaf, w czasach mojego

panieństwa tygodniami mogły się poniewierać na biurku adresowane do mnie miłosne listy, dopóki nie wróciłam z wakacji, nic przeczytała nawet nazwiska nadawcy ani nie obejrzała znaczka. Ja natomiast nic zwróciłam im uwagi, a nawet przrzuciłam poduszkę na drugą stronę i usadowiłam się w łóżku w ten sposób, żeby jak najlepiej słyszeć to coś, przez co zawsze wysyła nas się z domu. Tego dnia Bella czytała, jak to Lenke powiedziała, że Margit jest szczęśliwa, bo jest malarką, jeździ pracować to do Nagybánya, to znów do Monachium i może rozwijać swój talent. Gdyby tak ona, Lenke, mogła być kiedykolwiek wolna i niezależna! Bellę, jak świadczą jej własne słowa w pamiętniku, zadziwił ten wybuch, ona zawsze chciała być zależna od rodziców lub - jeśli będzie go miała - od męża, potrzebny jej był zamknięty krąg rodzinny z głową rodziny i chciała też mieć obowiązki, które jej ktoś wyznaczy. A Lenke chciała wyfrunąć, wyzwolić się z własnego świata i dowodziła, że skoro już człowiek urodził się kobietą, może być wolny tylko będąc artystą, osobą bogatą lub pracującą, bo każda z nich może obejść się bez pomocy mężczyzny. Bella i do tych słów dodała własny komentarz: Lenke bez środków materialnych i odpowiedniego wykształcenia nie może zostać artystką, ale może być bogata, jeśli wyjdzie za Józsefa, gdyby zaś wzięła posadę-taką, jaka przystoi kobiecie - też może uzyskać niezależność. Moja matka, jak wspominała Bella, zastanawiała się, dlaczego mężczyźni wolno to, czego nie wolno kobietom, i dyskutowała z Bellą, według której sam Bóg tak postanowił, bo „do męża należy troska o życie rodziny”. Ale przecież troska o życie należy znacznie bardziej do kobiety - argumentowała szesnastoletnia Lenke Jablonczay i podała przykład wesołych staruszków i Marii Rickl, która jest więcej warta od wszystkich mężczyzn razem wziętych. Tak, to była cała matka, od której, jak daleko sięgam pamięcią, zawsze słyszałam, że mężczyzna to istota niższego rzędu i że mądra natura, która dała zwierzętom zdolność mimikry i tak starannie urządziła wszystko, aby świat nie wymarł, nie mogłaby przecież słabszej płci powierzać zapewnienia ciągłości rodu ludzkiego. Wtedy, jako szesnastolatka, powtarzała tylko lekcję zasłyszaną od kupcówny, później natomiast miała okazję przekonać się sama o słuszności tez Marii Rickl. Doświadczenia z obydwu mężami przekonały ją, że

większość samców nie nadaje się do tego, żeby zarobić na chleb, i że kobieta musi sprostać każdemu zadaniu, inaczej świat by się skończył. Trudno było, słuchając słów mojej matki wypowiedzianych, kiedy była młodzieńką dziewczyną, zrozumieć, jak wcześnie ukształtowały się jej poglądy: po mężczyznach niczego nie można się spodziewać. Zawsze ona musiała wszystko załatwiać, zawsze ona brała na siebie i odsuwała od nas wszystkie kłopoty, nigdy nie była wolna, do późnej starości dźwigała swoje brzemię.

Z oświadczynami Józsefa w tym okresie nie liczyła się zresztą jeszcze ani Bella, ani Lenke Jablonczay. Miłości, która wypełniła myśli mojej matki, wystarczyło byle co. József wyczekiwał na nią przed szkołą, odprowadzał ją do domu i chodził na wszystkie te wieczorki, które na przełomie wieku były dozwolone dla młodych panienek, i jeśli sobie tego życzyły, bawił się z nimi w fanty. Bella wspomina w swoim pamiętniku, że moja matka nigdy nie miała niczego, co mogłaby dać jako fant, ani pierścionka, ani bransoletki, nic. Pewnego dnia, kiedy wyjęła wstążkę z włosów, Agostonowa Bartók kupiła jej srebrny pierścionek, do którego przyczepione były breloczki przedstawiające wiarę, nadzieję i miłość, Lenke nosiła go uradowana, a później dostała od Gyuli Szikszayego mały krzyżyk. Melinda, jej stała przyzwoitka, nawet na czas zabawy nie pożyczyła nigdy nic z biżuterii córce Emmy Gacséry. Pewnego razu moja matka, kiedy oddała już nawet grzebień i klamrę do włosów, zaproponowała jako fant ziemniak i poprosiła o pozwolenie, aby zbiec po niego do kuchni. (Gra toczyła się w salonie domu przy ulicy Kismester, w pobliżu serwantki, w której było pełno kosztownych drobiazgów, ale Lenke nie wolno było po nie sięgać.) Pamiętnik Belli uwiecznił epizod z ziemniakiem, z pełnym zachwytem dla pomysłowości przyjaciółki. Bartókówna 1 na swoje szczęście - nie spostrzegła dysonansu w tej scenie i nie przeraziła jej upokarzająca sytuacja Lenke Jablonczay. Ziemniak to było coś, co mógłby dać jako fant także Kopciuszek, gdyby kiedykolwiek brał udział w grach towarzyskich. (Zresztą o ten osobliwy fant, choć moja matka wykupiła go, poprosił po zakończeniu gry Bela Majthényi. Bella uznała ten gest za

szlachetny i zmieszała się, gdy moja matka powiedziała, że jeśli o nią chodzi, Majthényi może go sobie choćby zjeść; zdaniem Belli nie należało wyszydzać tak szlachetnych uczuć.)

Bella zaraz po najbliższej rodzinie najbardziej kochała moją matkę, ale ta przyjaźń nie zmieniła nic w jej osobowości, tak jak na kształtowanie się obrazu świata Lenke Jablonczay nie wpłynęły różniące się we wszystkim z jej ocenami poglądy Belli. Dla Belli sutanna była świętością, mojej matki nie pociągali męscy przedstawiciele Kościoła, nie lubiła nawet katolickiego bożyszczka miasta, pięknego Wolafki, dyrektora szkoły, który miał twarz słodką jak marcepan. Jako młodzianka dziewczyna przekonała się pewnego razu, że sutanna i święcenia nie oznaczają wcale wyzbycia się ziemskich pragnień. Seksualny świat mojej matki stanowił i tak konglomerat mętnych, dziwacznych pojęć, na normalne reakcje skutecznie uodporniła ją Maria Rickl, niefortunne zachowanie Wolafki zburzyło w niej więcej, niż mogłoby zburzyć w innych dziewczętach dorastających w szczęśliwych rodzinach. Moja matka widziała cały dom Anselmusów klękający na procesji przed ustawionym w bramie domu Marii Rickl ołtarzem, a gdy zbliżał się duszpasterz nie potrafiący zwalczyć ziemskich pokus, sama padała na kolana przed połyskującym w odświętnej gali zjawiskiem, patrzyła na monstrancję i zastanawiała się, której ręce ma wierzyć, tej, którą sięgnął po jej nierozwiniętą jeszcze pierś, czy tej, którą błogosławił Anselmusów. Bella była zdania, że Lenke opacznie zrozumiała wtedy gest Wolafki - były już od dawna zamężne, kiedy moja matka ośmieliła się jej o tym powiedzieć - ale Bella, nawet jeśli dotyczyło jej samej, nie wierzyła w zło. Lenke Jablonczay jednak od tamtej pory podejrzewała każdego księdza, pojęła, że oni też są samcami, jest tylko jeden mężczyzna, który nie przypomina samca - József, który niekiedy bywa zamyślony, kiedy indziej szorstki, niezrozumiały, melancholijny, słowem, najbardziej przypomina Paula Washera, i starała się trzymać jak najdalej od mężów Kościoła, którzy czasami przychodzili w dni przyjęć Marii Rickl.

W ciągu dwóch lat - kiedy to dom przy ulicy Kismester wzbogacił się o dwie nowe lokatorki i zakres obowiązków Melindy rozszerzył się, bo teraz, gdy Lenke znalazła się już na dobrej drodze, trzeba było wybić złe skłonności matki z Irénke

i Piroški, a Emmę Gacsśry i jej synów pochłonał tajemniczy Budapeszt - Maria Rickl bywała czasami niezwykle wesoła. Kślmśn, jak sądziła, nie ruszał się z miasta, nie gonił, aby pokonawszy obrażoną dumę szukać zuchwałej Emmy, która miała czelność przysłać jej swój peszteński adres, nie jechał za dwoma porwanymi synami, siedział to w Pallag, to w mieszkaniu przy ulicy Kossutha i czekał na uregulowanie swoich spraw. Junior oczywiście czekał na coś zupełnie innego, niż przypuszczała matka, mianowicie na to, aby Emma wyraziła zgodę na rozwód, i często wykradał się do Pesztu, co więcej, nocował u żony, z którą w nadziei, że prędzej czy później uwolni się od siebie, spędzali pełne harmonii godziny, i nie przyszło mu nawet na myśl napomykać o okolicznościach ich ostatniego spotkania w Debreczynie - takie było to już obojętne, takie nieistotne. Emma widywała go chętnie, cieszyła się jego odwiedzinami. Podczas gdy kupcówna częstymi zaproszeniami starała się uspokoić upatrzoną wdowę i pokazywała jej Jablonczayówny - którym, jeśli Bóg pozwoli, będzie matką - odezwał się wreszcie z Budapesztu adwokat Emmy Gacsśry. Informował, że jego klientka zgadza się na rozwiązanie małżeństwa, które od samego początku przysparzało jej wyłącznie trosk, jednak tylko w tym przypadku, jeśli odzyska swoje bezprawnie zabrane dzieci, a alimenty dla niej, córek i dwóch synów zagwarantuje jej na piśmie nie mąż, lecz teściowa. Kupcówna roześmiała się adwokatowi w nos: cudzołożnicy nie należą się alimenty - rzekła - niech Emma odda chłopców, a ona wtedy pomyśli, czy nie zapomnieć o jej grzechach i nie pomóc jej przez swe stosunki w otrzymaniu jakiejś uczciwej pracy, ale dopiero po zakończeniu sprawy rozwodowej. Adwokat - późniejszy pryncypał brata Belli, Ferenc Bartoka - był jeszcze w hotelu „Pod Bykiem”, kiedy ponownie wezwano go na ulicę Kismester, i osłupiał na widok zmiany, jaka dokonała się podczas jego krótkiej nieobecności. Zamiast pewnej siebie, wojowniczej Marii Rickl, przyjęła go bezsilna, ledwie mogąca mówić kobieta, która zgadzała się odstąpić od swej poprzedniej decyzji, wystawić rewers, że zapewni przyzwoite utrzymanie Emmie Gacsśry i jej dwóm synom, jej do śmierci, chłopcom zaś do uzyskania niezależności - dziewczynkę nie odda - o ile była synowa przyśle jej prawomocne zobowiązanie, że nigdy nie

rozwiedzie się z Kalmanem Jablonczaym. Adwokat triumfalnie wrócił do Emmy z pierwszymi alimentami, Emma natychmiast przepuściła pieniądze i, choć nie miała pojęcia, co wydarzyło się przy ulicy Kismester, nie zmartwił jej warunek teściowej: miała dość małżeństwa, a -z dwojgiem dzieci i plotkami, które szły w ślad za nią, i tak było mało prawdopodobne, żeby mogła stracić jakąś nadzwyczajną partię.

Za tym nieoczekiwanym zwrotem kryła się prawdziwa tragedia: poinformowano wreszcie Marię Rickl, na co tak bardzo potrzebna jest jej synowi wolność i jakie to małżeństwo planuje z pewną młodą osobką. Junior, który po wyjeździe Emmy najczęściej jadał kolacje przy ulicy Kismester i systematycznie odwiedzał matkę, dowiedział się tego dnia, że matka już wie to, co tak bardzo chciał przed nią zataić, dopóki nie będzie mógł przedstawić Hildy jako swojej żony. „Mama nigdy w życiu niczego nie stłukła, tylko wtedy - opowiadała Melinda. i Mama kochała przedmioty. Ale tego wieczoru leciało wszystko na ziemię i na Kalmana. Myślałam, że oszalała. Lenke była akurat w szkole muzycznej, szykowała się do wielkiego koncertu, całymi dniami bębniła na fortepianie transkrypcję Rigoletta, tylko dwie małe były w domu. Piroška błagała, żeby nie krzywdzić tatusia i nie krzyżeć na niego, Irenke zaś przestraszyła się do tego stopnia, że nawet nie mogła mówić, tylko płakała. Potem mama przestała szaleć, Kalman też już nie jąkał, jak anielsko czystą istotę chciał jej dać za synową. Mama wtedy była już znów chłodna i tak właśnie chłodno zapytała twojego dziadka: «Powiedz mi, Kálmánie, jak długo niasz jeszcze zamiar żyć?» Twój dziadek wybiegł i już więcej nie wrócił, ja wykradałam się do niego, do Pallag, gdy już bardzo za nim tęskniłam, potem słyszałyśmy, że ta dziewczyna urodziła mu córeczkę, wprost osłupiałam na widok tego dziecka,- było bardziej jablonczayowskie niż którekolwiek ze starszych dzieci Kalmana. Twój dziadek zapisał małą do szkoły pod nazwiskiem Jablonczay i tego nazwiska używała Lonci do śmierci ojca. Kalman zamieszkał z nową rodziną, wtedy już znów pisał wiersze, układał pieśni przeklinające Emmę, od której decyzji zależała cała przyszłość Hildy i nowego dziecka, ale Emma tylko

Przez ostatnie dwa lata, po których upływie Zgromadzenie Sióstr Szkolnych wypuszcza w życie Lenke Jablonczay z dyplomem nauczycielskim, dziewczyna jest spokojniejsza i bardziej zrównoważona niż kiedykolwiek. Jej matka zniknęła z miasta - dlatego, w jakich okolicznościach, nie pytała ani też nikt jej o tym nie powiedział--nie musiała się bać ani nieoczekiwanego* spotkania, ani tego, że znów zażądają, żeby pojechała do Pallag, gdzie tak bardzo nie lubiła przebywać. Dwie młodsze siostry mieszkały razem z nią, Piroska była od niej młodsza o dziewięć lat, Irén o jedenaście, w porównaniu z nimi była dorosłą panną, teraz obie małe zmagają się z naukami Róży Kalocsy, ale Lenke szepnęła dziewczynkom, że Kulawego nie ma, tylko Melinda go sobie wymyśliła, niech się więc niczego nie boją. W szkole muzycznej chwalono ją, nauka szła jej dobrze, ojca nie widywała, zorientowała się wprawdzie z aluzji służących, że znów ma jakąś niewyraźną sprawę, ale Lenke Jablonczay nauczyła się już we wczesnym dzieciństwie, żeby, jeśli to możliwe, nie interesować się niczym, co dotyczy ojca lub mafki. Byli natomiast Bartókwie, z ich bezpiecznego, pełnego ciepła i serdeczności domu promieniował na nią stały blask, miłość Józsefa była oczywista, a poza tym ileż to jeszcze sympatycznych'chłopców kręciło się wokół niej i Belli! Najczęściej widywała jasnowłosego Majthényiego, którego Bella po przeczytaniu Idzie przez żyto nazwała Georgem Tempestem, drogim przyjacielem, do śmierci beznadziejnie zakochanym w Helen Adair-Lenke Jablonczay. W ostatnim kwartale przed egzaminem kwalifikacyjnym Charitas bezustannie wracała do propozycji zakonu, przeorysza też często wzywała do siebie Lenke śmiała mu się w nos i mówiła, że ani jej się śni rozwodzić, mama regularnie przysyła jej pieniądze i musiałaby chyba upaść na głowę, żeby wypuszczać z ręki pewny chleb dla przyjemności tak niewiernego, niegodnego zaufania i nieodpowiedzialnego człowieka jak Kślmśn Jablonczay. Ona co prawda ma swoje prywatne zdanie na temat Marii Rickl, ale dopóki teściowa dotrzymuje słowa, ona też go dotrzyma, to już naprawdę nie jej wina, że kupcówna skłonna jest ponieść każdą ofiarę materialną, byle tylko Hilda nie dostała się do rodziny."

Jabloncza, aby dać jej do zrozumienia, jaką drogę uważały dla niej za jedynie słuszną. O spokój przyszłego życia mojej matki walczyły Stillmungus i Charitas, ale tam w kurzu ulicy siedział pies Bobi, a przy Bobim, jak gdyby już był właścicielem psa i jego pani, stał József - nawet elokwencja apostołów nie przekonałyby wówczas mojej matki.

Przeorysza cofnęła wychowankom wszystkie pozwolenia, nie wolno im było chodzić do teatru ani na domowe wieczorki, dziewczęta straszły się nawzajem i uczyły. Lenke Jabloncza i Bella wspólnie przygotowywały się do egzaminu. Moja matka nie zachowała niemal żadnych papierów (kiedy na początku lat czterdziestych trzeba było udokumentować przynależność rasową naszych przodków, okazało się, że brak jej świadectw obu ślubów i nie ma wyroku rozwodowego, jak, gdyby chciała uwolnić się od przeszłości wraz ze wszystkimi jej akcesoriami), ale pozostał jej dyplom nauczycielski, według którego panna Lenke Jabloncza, wyznania kalwińskiego, będąc dopuszczona do egzaminu kwalifikacyjnego na podstawie złożonego z pomyślnym wynikiem egzaminu z zakresu IV klasy, w dniach pierwszym, drugim i trzecim kwietnia 1902 roku została przeegzaminowana z przedmiotów przewidzianych jako sprawdzian kwalifikacyjny dla nauczycieli szkół elementarnych i ludowych i otrzymała oceny celujące z religii i etyki, pedagogiki, metodyki nauczania, języka i literatury węgierskiej, historii Węgier i powszechnej, nauki o konstytucji Węgier, geografii Węgier, przyrody, fizyki i chemii oraz ze śpiewu, oceny bardzo dobre z matematyki, rysunku, muzyki, języka niemieckiego, zajęć praktycznych, wychowania fizycznego i - niestety B ocenę zaledwie dostateczną z robót ręcznych, i tym samym została uznana za upoważnioną do nauczania w elementarnych szkołach ludowych z językiem węgierskim. Członkami komisji egzaminacyjnej byli dr Nándor Wolafka, Pál Palotay, Maria Margit Stillmungus, Maria Charitas, Maria Alexia, Maria Bona, Maria Aloysia, Maria Alfreda i Lajos Husz. Na pierwszej stronie dyplomu z łuku stanowiącego trzecią część obwodu koła spogląda na czytelnika posępny aniołek. Kiedy odebrała dokument z rąk Stillmungus i pożegnała się z zakonnicą, moja matka oślepiła od łez zataczała się jak niewidoma. Ale nim zdążyła zbiec ze schodów i wyjść na ulicę, już się śmiała: Bartokowie

urządzali bal na cześć Belli, która także otrzymała dyplom nauczycielski, i na ten bal zaprosili wszystkich, którzy liczyli się w życiu Lenke Jablonczay. Moja matka nigdy nie zapomniała klasztoru, ale co naprawdę oznaczał w jej życiu, pojęła dopiero później.

Maria Rickl zrezygnowała z jałowych prób z Kalmanem, wytłumaczyła sobie, że Junior umarł jak jego ojciec i dziadek, za to ku swemu największemu zdziwieniu z każdym dniem coraz bardziej zbliżała się do wnuczki. Nigdy nie widziała takiej dziewczyny, takiej niezłośliwie dowcipnej, takiej śmiałej, wesołej, urzekającej, która, odkąd dorosła, sprawia tylko radość, jest chlubą domu i która przy odrobinie szczęścia może wyjść za mąż nie gorzej niż Margit czy Ilona. A przecież nie jest podobna do żadnej z ciotek, jest coś, co sprawia, że córka Juniora jest podniecająco urocza, kto przebywa z Lenke, po pewnym czasie czuje się jak lekko wstawiony. To nie sex appeal Emmy Gacséry - uśmiech i wdzięk odziedziczyła Lenke po Seniorze. To ten jablonczayowski czar, który zgubił niegdyś ją samą, tylko że ta dziewczyna jest twarda, płynie w niej krew Anselmusów, a także jej, Marii Rickl. Kupcówna już tak dawno nie kochała nikogo, że jest wprost niezręczna w okazywaniu swojego uczucia, ale Lenke wyczuwa zmianę atmosfery, wyczuwają ją także Melinda i obie małe, które jeszcze ściskają pod pachami grube tomiska przy stole i recytują zasady etykiety, a co więcej, wyczuwają ją również pozostałe Parki. Jedna pisze do matki ironiczny list, gratulując, że wreszcie znalazła wnuczkę, którą potrafiła pokochać jak prawdziwa babka, a Szikszayowa, której syn Gyula wstępuje w tym czasie na drogę bogatych nieszczęśliwców (Gyula będzie morfinistą i popełni samobójstwo), stwierdza po prostu, że jej córka Margit nie ma przy Lenke żadnego powodzenia i to Lenke jest temu winna. Jakże mogłaby mieć powodzenie ta nieszczęsna dziewczyna o zaburzeniach hormonalnych, skoro waży niemal sto kilo? Maria Rickl tylko śmieje się z zarzutów i patrzy na smukłą wnuczkę, pewnie, że jest szczupłą, nie przekarmiali jej w dzieciństwie, ale co za piękność z niej wyrosła, aż przyjemnie popatrzeć, kiedy upina włosy jak dorosła panna i błyszczą te jej ogromne ciemnozielone oczy.

Kupcówna zawsze podejrzewała Melindę o najgorsze, od

początku wiedziała, że Melinda jest podstępna, na szczęście nie doczekała dnia, w którym mogłaby się dowiedzieć, że Gizella Jablonczay odbiła męża Lenke Jablonczay. Ilona i Margit nudziły ją, uważała, że zrobiła swoje, ułożyła im życie, Kślmśn długo igrał z jej uczuciami, ale Kślmśn nie mógł jej już teraz zmartwić, zobojętniała wobec niego. Przestała się nim przejmować i jak niegdyś syna, a przedtem Seniora, tak teraz z dumą i zachwytem zaczęła uwielbiać Lenke. Junior do woli mógł ją błagać w listach i wierszach, mógł polecać jej uwadze i miłości małą córeczkę Klarę, o którą nie mógł się odpowiednio troszczyć, jako że ugoda między kupców a Emmą uniemożliwiała rozwód -- nikt nie zwracał uwagi na jego żale poza Melindą, która z powodu swej sytuacji materialnej bezradnie patrzyła na miotanie się starszego brata. Kupcówna rozkwitła, jej przytłumione życie uczuciowe ożyło, znów miała kogoś! Lenke.

Na bal w domu Bartóków przysyłają pannie Lenke Jablonczay, dyplomowanej nauczycielce, pięć bukietów, moją matkę obchodzi tylko jeden z nich, więcej niż skromny, złożony z paru ciepłarnianych fiołków. Lenke Jablonczay do śmierci wierzyła, że liliowe kwiatki przekazują jej jakieś tajemne wieści, nigdy nie zastanowiła się, o ile tańszy był ten bukiet od egzotycznych cudów, które dostała od Beli Majthényiego, Zoltóna Szalayego czy Istvána Ozoryego: József nigdy nie szastał pieniędzmi. Bal u Bartóków odbywa się w ogrodzie; wszędzie na drzewach lampiony, tańczy Lenke Jablonczay, tańczy Bella Bartók -- Margit Bartók nie tańczy, Ilona Bartók też nie, Ilonce, która jest już matką, nie wypada, a Margit nie wolno* rysuje tylko całe towarzystwo, na zawsze oddzielona od zdrowych, już coraz bliższa śmierci. Agoston Bartók zamawia na ten wieczór w drukarni pana Dśvidhśzyego karnety, bo jest bardzo dumny z dyplomu córki; karnet to zarazem mały notesik, Lenke Jablonczay nawet nie spostrzega, że zgubiła swój, tak zapamiętała tańczy. Kiedy go jej oddają, widzi, że ktoś drobnymi literkami wpisał doń wiersz, niczym do miniaturowego sztambucha. József wykrywa, kto jest sprawcą: mały Majthényi, chorowity chłopak o zapadniętej piersi, który studiował w Akademii Handlowej na Górnych Węgrzech, a teraz ojciec, dyrektor młyna parowego, kupuje mu sklep. Sie sind fein, mein Herz

isr rein soli niemand drinn wohnen, nur Lenke allein* - czyta moja matka wiersz kaszlącego Béli i znajduje go bezczelnym. Bella następnego dnia zapisuje w pamiętniku: „Chyba na moim balu Lenke zaręczyła się z Józsefem, bo J. zauważył, że mały Majth. napisał jakiś wierszyk w karnecie Lenke, wyrwał kartkę i podeptał ją. Szczęście, że mały Majth. tego nie widział, wrzuciłam tę kartkę w krzaki, wgniatając czubkiem pantofelka balowego w ziemię, chwala Bogu, że uniknęliśmy skandalu i pojedynku.”

Bella okazała się złą wróżbiarką, zaręczyny Lenke odbywają się trzy lata później i wcale nie z Józsefem. Ale kto mógłby to przewidzieć owego wieczoru czy choćby w następnych miesiącach: József uśmiecha się, wszędzie towarzyszy mojej matce, są śmiertelnie zakochani. Sprawa nie posuwa się naprzód, Maria Rickl postanawia więc doholować Lenke do przystani. Plan wojenny omawia nie z Melindą, lecz z Bartókwą, matka Belli cieszy się, że będzie mogła pomóc przyjaciółce w tak dobrej sprawie jak małżeństwo Lenke. W latach 1902-1907 (w tym ostatnim Lenke wyjdzie za mąż), kiedy najgłupsza polityka narodowościowa i najbardziej skorumpowana polityka wewnętrzna prowadzą do bliskiego już kataklizmu; kiedy w samym tylko Budapeszcie jest czterdzieści tysięcy bezrobotnych, a chłopcy nie chcąc przymierać głodem emigrują do Ameryki, kiedy każdy dzień potwierdza, że ugoda z Austrią jest absurdem, król w rozkazie wojskowym, Kórber zaś w parlamencie austriackim obrażają naród węgierski nazywając go plemieniem, a w „Borsszem Janko” ukazują się rysunek przedstawiający dwa sposoby zajmowania ojczyzny (Arpad, który z odzianymi w skóry wojownikami wkracza na Węgry przez Przełęcz Werekę, i proletariat rolny wkraczający na okręty, mające go zawieźć na obczyznę); kiedy zaczyna się strajk kolejarzy, a w parlamencie zakrzykuje się przedstawiciele mniejszości narodowych, którzy mają czelność mówić w swoim własnym języku; kiedy rząd tworzy straż dla własnej ochrony, aby pohamować opozycję, a król dobrodusznie zezwala na przywiezienie do ojczyzny prochów Rakoczego, żeby rzucić opinii publicznej jakiś kąsek (to wzruszające i niezbyt kosztowne,

w każdym razie tańsze niż narzucona Węgrom budowa keihń- skiej linii kolejowej i pozwoli zapomnieć o poniesionych wydatkach i unii celnej z Austrią) - w tych latach głównym problemem na ulicach Kismester i Nyomtató jest przyszłość Lenke Jablonczay. W domu Bartóków również toczą się narady. Podczas gdy kraj nieuchronnie zbliża się do przepaści, to jest do pierwszej wojny światowej, Ilonka, Margit i Agostonowa Bartók wraz z Marią Rickl opracowują plan wojenny, jak namówić Józsefa do oświadczyn. Jako zewnętrzny sojusznik domu Bartóków wkracza też do akcji starsza siostra pani Bartókowej, Vilma Tomanóczy; każdy ma swoje zadanie. Maria Rickl stara się, aby dom przy ulicy Kismester był jak najmiłszy, Bartókowie mają urobić rodziców Józsefa. Rodzice Józsefa ostatnio odzywają się coraz rzadziej, choć dawniej bywali częstymi gośćmi u Bartóków, i Ilonka już się domyśla, dlaczego tak się dzieje. Uważa to za zły znak*, dopóki uczucia Józsefa nie stały się tak oczywiste, starzy niemal co dwa tygodnie odwiedzali jej rodziców, teraz, kiedy każdy w mieście zna już tajemnicę miłości Lenke i Józsefa, wymawiają się od każdego zaproszenia twierdząc, że Józef-senior ma mnóstwo pracy, a jego żona Ninon nie czuje się najlepiej. Ilonka otrzymuje polecenie, aby nie kapitulować, Vilma Tomanóczy, doskonała gospodyni, dla dobra wielkiej sprawy stawia do dyspozycji cały swój talent kulinarny. Tak więc święta wojna domowa Bartóków i Jablonczaych toczy się równolegle do wydarzeń na Węgrzech i za granicą i, podczas gdy wśród rysunków w czasopiśmie można już zobaczyć robotnika w pochodzie pierwszomajowym (i nawet jeśli grafik nie ma odwagi wyraźnie napisać hasła: CHLEBA, PRACY!, można się domyślić, z jakimi transparentami maszeruje ulicami Pesztu głodny proletariat), Ilonka wciąż ponawia eksperymenty. Mniej więcej w tym samym czasie kiedy Japonia wypowiedzi wojnę Rosji, która nie chce zrezygnować z Mandżurii, Margit Bartok gromadzi swe obrazy na wystawie w Budapeszcie, a Bartókowa wybiera się osobiście, żeby zaprosić rodziców Józsefa. Zakochani chodzą ulicami miasta jak we śnie. József znów ma okazję wyczekiwać z Bobim na Lenke przed szkołą, ponieważ kupcówna i Bartókowa zapisały dziewczęta do szkoły gospodarstwa domowego. Panienki zaśmiewają się do łez, bo muszą przyszywać tasiemki do różnych dyskrét

nych części męskiej garderoby, a podczas gdy one szyją, w Rosji manifestuje młodzież, manifestuje klasa robotnicza, ziemstwa -żądadą na zjeździe wprowadzenia systemu przedstawicielstwa ludowego i w 1905 roku wybucha w Rosji rewolucja. Podczas gdy w domu Bartóków debatuje rodzinny parlament, car na przemian to daje obietnice, to znów je cofa, a rządy mocarstw aresztują, internują, mordują patriotów, niczym w dawnych tańcach składają sobie nawzajem ukłony, podają ręce, idą razem parę kroków, a potem nagle w dyplomatycznym kontre- dansie rozchodzą się w różne strony. Car, choć jego podwładnym nie wolno opuszczać kraju, odwiedza kolejno swych europejskich kolegów, grają w piłkę losem Sudanu, Maroka i Egiptu, koloniami afrykańskimi, erzurumską koncesją kolejową, odstępują Maroko Francji - niech to zaboli Anglię, Egipt Anglikom - niech zapłacze Francja. Na rok przed zaręczynami Lenke Jablonczay kanclerz Bullow wysuwa żądanie, aby Niemcy też miały „słoneczne miejsce”, kolonie, a cesarz Wilhelm dochodzi do wniosku, że należałoby rozbudować flotę niemiecką. Z tego wszystkiego do mikroświata Jablonczaych-i Bartóków przenika tylko jedna wieść, że we Francji nie wolno otwierać szkół bez pozwolenia państwa, a Allard, ten bezbożnik Allard, nie zawahał się powiedzieć, że powinno się zlikwidować chrześcijaństwo. Ale listy obu rodzin kursujące w tym okresie zajmują się wyłącznie prywatnym życiem ich autorów. Margit spędza lato w Lovranie, cieszy się morzem, pisze, że przyjechała tam również Celesztin Palya; Bella spotyka się w Tatrach z mężem Janki Nogal, Endrem Szabó, i poznaje pewnego eleganckiego pana, który tańczy bostona jak sam József. „Istvása - pisze Ilonka - wciąż boli żołądek, ale to nie przerywa manewrów w sprawie Lenke.” Bella pisze do Margit: „Wieczorem odwiedziliśmy rodziców Józsefa, ja, mama i Feri, poszliśmy piechotą, las jest cudowny, dziki, świeży i chłodny. Matka Józsefa była ożywiona, choć źle wygląda, i kazała ucałować naszą Ilonkę.” Lenke oczywiście nie poszła z nimi, rodzice Józsefa i kupcówna nie utrzymywali bowiem stosunków, ale jednak była mowa o Jablonczayównie, przecież Bartókowa tylko z jej powodu wybrała się z wizytą. Rodzice Józsefa grzecznie uznali zalety Lenke, ale jakoś nie dosłyszeli propozycji Bartókowej, że może przy najbliższej okazji przyprowadzi ją ze sobą. Mimo to

sojusznicy Lenke nie zrezygnowali. „Wczoraj pojechaliśmy do winnicy - pisze do pracującej w Nagybanya córki Bartókowa - na wielkie pieczenie słoniny, József też przyjechał, w sumie było nas trzynaścioro i nie uniknęliśmy deszczu." Ilonka, która ma małe dzieci, organizuje wspólną wyprawę do cyrku: „Przyszedł tam na pogawędkę także Józsi." Cała nadzieja Belli, jak świadczy skrzynka listów Bartóków, wiąże się z piknikiem prawników, gdzie ma być bazar na cele dobroczynne, a ona i Lenke mają sprzedawać wino w chacie rybackiej. Na pikniku niestety nic się nie dzieje, József nie oświadcza się, ale „był bardzo miły, ma nową laseczkę spacerową i ciągle podśpiewuje." .

Piknik prawników zresztą udaje się znakomicie, Bella nawet wygrywa na loterii, ona też dostaje kwiaty od wdzięcznego i uprzejmego Józsefa, nie tylko Lenke, i jako wygraną wybiera tacę ofiarowaną przez rodziców, której nie poznaje. W liście zdającym sprawę z pikniku żali się, że została złajana, bo instruktor pływacki Hollósi próbował jej asystować, a ona nie od razu odrzuciła jego zaloty. „A przecież jestem taka niewinna. Czekam na Lenke i Józsiego" - kończy list. 29 lipca tego samego roku pisze Bella do starszej siostry: „U Ilonki wszystko dobrze, ale i u nich martwy sezon. Wydaje mi się, że teraz wszędzie jest zastój." Te słowa wyjątkowo zgadzają się z opinią Lenke Jablonczay. Moja matka, ilekroć zaczynała mówić o swoich panięskich latach przed pierwszą wojną światową, zawsze opowiadała mojemu bratu i mnie, że to był nudny okres historyczny, w którym, według jej wspomnień, nic się nie działo. .

W czerwcu 1904 roku księga gości Bartóków składa się z osiemdziesięciu siedmiu pozycji. József był dziesięć razy, Lenke codziennie, rodzice Józsefa ani razu. W tym samym roku Bella prosi bawiącą w Nitrze Margit o nuty Księcia Boba: słynna piosenka Huszki o krótkiej spódniczce i lichych pantofelkach towarzyszy Lenke Jablonczay przez całe życie i stanowi podsumowanie wszystkiego, co oznaczają dla niej lata nieprzywracalnej, męcząco pięknej młodości. Z pisanego 21 czerwca listu Belli wynika, że grywające ze sobą w tenisa przyjaciółki co tydzień spotykają się w innym domu, w zeszłym tygodniu Lepke zaprosiła przyjaciółki, teraz kolej na nią. „Była u nas pani

Akcja Bartóków nie zakończyła się sukcesem nawet połowicznym. Jablonczayowa z Lenke i dziewczynkami i był też anioł J. Możesz sobie wyobrazić, jak było przyjemnie. Prawdziwe wydarzenie."

Rodzina Bartóków robi wszystko, co w jej mocy. Vilma Tomanóczy w sierpniowej kanikule dochodzącej do trzydziestu pięciu stopni zaprasza gości: „Kolacja zmieniła się niemal w j>ost, chciałam chyba za dobrze, więc przykazałam Julisce i Zsuzsice, żeby były gotowe na wpół do ósmej, a one podały o dziewiątej, spóźniły się. A przecież już o szóstej sama obtoczyłam w tartej bułeczce kurczęta i schab, dusił się papry- karz, ciasto francuskie było upieczone; to szarlotka i sernik piekły się tak długo. Było nas czternaścioro. Dwaj bracia Szilagygi przynieśli skrzypce i grali nam wprost cudownie, wróciliśmy do domu o wpół do czwartej nad ranem." (Młodsza siostra Szilagyich, Margit, będzie pierwszą żoną późniejszego męża Belli Bartók i umrze po paru latach małżeństwa.) Agostonówa Bartók nie pozostaje w tyle za swoją siostrą: „Byli tu wczoraj po południu Lenke, Denes, Istv£n, Zolt£n i Józsi, wieczory są cudownie piękne, nabieramy życia, dopiero gdy wschodzi wspaniały księżyc. Dziś będziemy słuchać muzyki." Jeden z największych skarbów skrzynki listów rodziny Bartóków to list napisany przez Bellę do jej siostry Margit pewnego lata brzemennego w młodzińcze marzenia, nadzieję, dobrą wolę i miłość; nigdy nie potrafię czytać go bez wzruszenia. Zza słów listu patrzy na mnie twarz mojej młodziutkiej matki, bardziej wyraźna niż na jakiegokolwiek fotografii: „W nocy znów przejął mnie taki lęk- pisze Bella - a to dlatego, że otwartym w jadalni lufcikiem szarpał wiatr i brzmiało to tak groźnie, jak gdyby pod oknem rozlegało się burczenie jakiegoś olbrzymiego żołądka. Dygotałam przy blasku świecy, zresztą położyłam się dopiero o wpół do jedenastej, bo była u nas pani Jablonczayowa z Lenke. Poszłyś+ my obydwie w ciemny kąt ogrodu i - Lenke na hamaku, a ja nd ławce - paliłyśmy papierosy i spokojnie omawiałyśmy nasze sprawy. Potem oglądałyśmy przez lornetkę kometę przy Wielkim Wozie, ale nie zobaczyłyśmy nic poza niewyraźnym złocistym punktem."

Na wystawie obrazów Margit zbiera się całe towarzystwo od Bartóków i Jablonczaych, jest też rodzina Anselmusów, wymieniają sztywne ukłony z Leidenfrostami - Armin Leidenfrost też wystawia, okazuje się, że jest rzeźbiarzem amatorem, Maria Rickl patrzy z obrzydzeniem* na gipsowe odlewy pastucha i wieśniaczki, olejne i akwarelowe obrazy Sandora, trzeciego syna Erzsebet Gacsáry (Sandor Leidenfrost to w przyszłości Alex Leidenfrost, znany malarz amerykański), Erzsebet, młodsza siostra Emmy Gacsary, z równym wstrętem ogląda wykonane w tuszu rysunki i dwa gwasze Ricklów - Antala i Margit. Moja matka zerka na Józsefa, który od razu do niej podchodzi, i wspólnie szukają znanych już z domu Bartóków obrazów Margit: Wieczoru, Pejzażu zimowego i Morwy. Obraz Martwa Cisa pędzla Lujzy Kenézy wisi obok szkicu węglem starego Csanaka, Lenke Jablonczay podobają się obydwie prace, jak mogłaby przewidzieć, że z tymi dwoma nazwiskami będą się dla niej wiązać sprawy nie mające nic wspólnego ze sztuką. Z rodziną Csanaków będzie związana nawet podwójnie: przez pracę jej pierwszego teścia w młynie parowym i przez kulturalne i finansowe powiązania dziadka jej drugiego męża. Wśród tłumu snuje się zresztą jej przyszły pierwszy mąż, podobnie jak i drugi; Bela Majthenyi i Elek Szabó patrzą na Lenke Jablonczay, a Elek Szabó nie przeczuwa, że ginekolog Kenezy, brat Lujzy, która namalowała Martwą Cisę, pomoże kiedyś przyjść na świat córce, którą urodzi mu Lenke. Rodzina Majthenyich jest również na wystawie, zjawiają się razem z rodzicami Józsefa, ale tylko obchodzą dokoła wystawę, wymieniają ze znajomymi ukłony i już zbierają się do wyjścia, matka Józsefa patrzy na asystującego mojej matce syna tak samo chmurnym wzrokiem jak Emilowa Majthényi na swojego. Rodzice Józsefa gratulują Margit i innym znajomym, ciepło pozdrawiają kupców i Lenke Jablonczay, ale nie proszą, aby się do nich przyłączyła, za to odchodząc zabierają syna i József ma zaledwie tyle czasu, aby pożegnać się z moją matką.

Maria Rickl jest na tej wystawie pochmurna. W domu Bartóków odbywają się nowe konferencje, ale nikt nie chce niepokoić Lenke, ma jeszcze rok szkoły gospodarstwa domowego, w ciągu tego roku zorientują się, jak wygląda jej sytuacja. Ponieważ rodzice Józsefa zachowują wciąż powściągliwość,

należy wytłumaczyć Lenke, żeby z niego zrezygnowała, szkoda czasu na takie beznadziejne czekanie. Jeśli József nie oświadczy się do przyszłych wakacji i na aluzje Ferencza Bartoka, któremu kazano go wybadać, odpowie jakimś gładkim wykrętem, Lenke musi wyjść za innego, wkrótce kończy dwadzieścia lat i aż roi się wokół niej od chłopców. Mały Majthényi niemal oszalał na jej punkcie, na pewno czeka tylko, aż droga będzie wolna, a to, co ma do zaoferowania, jest nie do pogardzenia, właśnie starzy Majthényiowie urządzili jemu i bratu olbrzymi sklep delikatesowy. Spiskowcy postanawiają, że pozwolą, aby sprawy ułożyły się same, jeśli József, który zajął już stanowisko w jednym z debreczyńskich banków, przeforsuje jednak swoją wolę, to oni będą się cieszyć najbardziej, ale gdyby stało się inaczej, nie będą go łapać, wręcz przeciwnie. Poproszą go nawet, aby przestał dziewczynie asystować, bo psuje jej szanse.

Bartókowa najczęściej rozmawia o losie Lenke z Margit. W Margit dojrzewa choroba, jej życie jest tak odmienne od życia innych młodych dziewcząt, że można z nią rozmawiać jak ze staruszką. Malarskie oko Margit jest pewne: młodzi kochają się, ale Lenke nie chce od życia niczego poza Józsefem, József zaś chce zapewne jeszcze wielu innych rzeczy. Sama zainteresowana, nad której przyszłością obraduje się przy tyłu filiżankach herbaty, jest uosobieniem nadziei, wcale nie uważa za niemożliwe, aby spełniły się jej marzenia, Bella, wieczna optymistka, nie rozumie po prostu, co stanowi tę zagadkową tamę, która nie pozwala elokwentnemu chłopcu wypowiedzieć słów, na które w interesie przyjaciółki tak bardzo czeka również ona sama. Dlaczego nie mógłby ożenić się z Lenke, skoro ją kocha? Dlatego, że dziewczyna nie ma pieniędzy, że jest biedna? Ale przecież rodzice Józsefa to bogacze!

W 1903 roku, kiedy Szatm&r i Nagybsnyja jednocześnie protestują przeciw projektowi wojskowemu, na Bałkanach toczy się wojna partyzancka, Albania zagraża Macedonii, Albert Apponyi* porzuca Partię Liberalów, murarze zaczynają strajk, w stolicy grasuje uzbrojony szaleniec, w Sopronie w samym środku lata nieoczekiwanie spada śnieg, zostaje zamordo-

wany misjonarz kapucyn, a w znalezionej na kolei skrzyni ku największemu przerażeniu odkrywają zwłoki dziecka.

Z tego okresu w pamięci Lenke Jablonczay utrwala się na zawsze wieczory spędzane w teatrze, biegnące półkolisty łoże, w których siedzący naprzeciwko siebie widzowie lustrują się wzajemnie przez lornetki, opłakują małą gejszę lub klaszczą w dłonie jak opętani na przedstawieniach Wojaka Janosza Petófiiego. Muzyka, przyciemnione światło na widowni i pełna iluminacja sceny wraz z charakterystycznymi woniami teatru zawsze przypominają jej - ilekroć w późniejszym okresie życia ogląda jakieś przedstawienie - patrzącego w stronę łoża Ric- klów Józsefa.

W tym samym roku 1903 dzieje się też jeszcze coś innego. Lenke Jablonczay w towarzystwie dwóch kuzynów Anselmu- sów-zjawia się w kalwińskim urzędzie parafialnym i oświadcza, że pragnie przejść na łono Kościoła rzymsko-katolickiego- Plebania przy ulicy Świętej Anny przychyła się do jej prośby, aby nie kazano jej składać żadnego egzaminu, wychodzi bowiem z założenia, że Lenke wychowała się w domu katolickim, otrzymała dyplom nauczycielski u zakonnic i na pewno jest obeznana z tym wszystkim, co dotyczy merytorycznej i praktycznej strony nowej wiary. Pierwsza spowiedź mojej matki jest trudnym przeżyciem. Lenke Jablonczay jąka, że nie czuje się grzeszna, bo nigdy świadomie wobec nikogo nie zawiniła. Ksiądz z przerażeniem spogląda na niezwykłą penitentkę, ale ratuje sytuację korzystając z niemal dwutysiącletniego doświadczenia swego Kościoła i zwraca Lenke uwagę, że poczucie zupełnej bezgrzeszności jest również grzechem, ale skoro go jednak wyznała, otrzymuje rozgrzeszenie i napomnienie, żeby więcej nie grzeszyła. Podczas ceremonii przejścia na katolicyzm, gdy dla klęczącej Lenke Jablonczay zapalają wszystkie świece w kościele Świętej Anny, obecna jest cała rodzina, starzy i młodzi Anselmusowie, są przyjaciółki i znajomi. Lenke przysięga, że będzie uważała za obowiązujące nakazy soborów, a kiedy już idą do domu, łamie sobie głowę, że to może być sobór. I tak oto ani kalwinka, ani katoliczka, mając rodziców i nie mając ich jednocześnie, wyrusza moja matka w życie bez żadnego oparcia. Kalwińskiego Boga nigdy nie znała, za katolickim nie tęskniła, w kościele Świętej Anny niezmiennie

bliska jest jej tylko jedna twarz, beznamiętna, piękna twarz Matki Boskiej Dziewicy, która nie należała do mężczyzny, a jednak została matką, matką wszystkich ludzi, a więc także i jej. W 1942 roku Lenke Jablonczay wraca na łono Kościoła kalwińskiego obawiając się, że w przeciwnym razie jej córka nie będzie miała szans otrzymania pracy w kalwińskiej szkole wyznaniowej; ksiądz katolicki macha tylko ręką, kiedy moja matka wyjawia mu swoje zamiary, i mówi, że Kościół katolicki nic nie straci, a kalwiński nic nie zyska na jej osobie, moja matka potakuje z uśmiechem, nie czuje się obrażona. Lecz obraz Marii Dziewicy, która wolna- jest od ziemskiego brudu, ma pod stopami kulę ziemską, a na skroniach gwieźdną koronę, towarzyszy jej aż do śmierci.

W ostatnich miesiącach szkoły gospodarstwa domowego sytuacja wciąż jeszcze jest taka sama: József i Bobi wystają przed szkołą, wiosna przynosi majówki i wycieczki, Zakochani uwielbiają się, choć nie pada słowo miłość. József jest nawet zazdrosny, mimo że naprawdę nie ma żadnych powodów. Przyszły światowej sławy skrzypek, Jan Kubelik, przyjeżdża do Debreczyna dla Mariannę Széll i podziwia zręczność palców Lenke Jablonczay na klawiaturze, gdy wszedłszy niespodziewanie do salonu Szellów słyszy jej grę. Kupcówna śmieje się ze słów młodego artysty, jak gdyby opowiedział jej żart: ma natychmiast wysłać tę dziewczynę do Pesztu, Pragi, Wiednia - nastaje Kubelik - dokądkolwiek, gdzie mogłaby otrzymać poważne wykształcenie muzyczne, za parę lat będzie znana na wszystkich estradach świata, to dany od Boga wielki talent. „Miły chłopiec ten przyszły zięć Szellów, ale wariat jak każdy muzyk - mówi Maria Rickl do Melindy po powrocie do domu. - Lenke jako pianistka światowej sławy! Ciekawe, kto ma płacić za-jej naukę i kto będzie z nią jeździł jako przyzwoitka? Quatsch!" Moja matka słuchała jednym uchem słów Kubelika i zerknęła na Józsefa, czy słyszy i co na to powie. Później, kiedy postać Józsefa znika już z pierwszego planu, pojmuję, że tamtego wieczoru mógł się odmienić jej los, gdyby Káslman Jablonczay nie był przegrał w karty majątku Emmy Gacszy i gdyby w domu kupcówny każda aluzja do luksusowych wydatków nie była beznadziejną bzdurą: quatsch.

Człowiek, o którego József ma powód do zazdrości, nazywa się Hodśszy. Do kręgu adoratorów Lenke przyłącza się bowiem nowy rycerz, starszy od innych, zamożny, ma w pobliżu dobrze zagospodarowany majątek ziemski i jego zamiary są całkiem niedwuznaczne. József rozdrażniony robi aluzje, choć sam nie wyjawia swoich zamiarów, moja matka ze śmiechem ofiarowuje Melindzie kwiaty od Hodśszyego; stukają pazurki Bobiego, zakochani idą obok siebie, jakby nie było nic naturalniejszego, od lat już tak chodzą w tym niemal groźnym odutęciu. Hodśszy, poważny, blady Hodśszy, wyglądający jak bon vivant z niemego filmu, bez ogródek mówi w towarzystwie: „Józsefowi ani się śni żenić, szkoda, że zawraca w głowie pannie Jablonczay”, i nie ma też litości dla Béli Majthenyiego: „To gruzlik - opowiada - jeśli się która na niego zdecyduje, będzie go pielęgnować.”

Wieści te nie docierają do mojej matki, ale przenikają do domu Bartóków i dosięgają Melindy. Maria Rickl postanowiła teraz już przyspieszyć wydarzenia. 15 marca Vilma Tomanóczy urządza herbatkę -- rozsyła zaproszenia z profilem Petófiiego w trójkolorowej ramce w barwach narodowych - na wieczorku bawią się wspólnie młodzi i starzy, kupcówna jest w złym humorze: rodzice Józsefa znów wymówili się, za to József przyszedł i całe popołudnie obtańcowuje Lenke. Bella z radością i nadzieją obserwuje uszczęśliwioną przyjaciółkę. Margit, która jak zwykle siedzi w kącie i szkicuje, myśli patrząc na wirującą parę, że jest coś niezdrowego, coś niepokojącego w postępowaniu Józsefa, taka miłość, jak można by przypuszczać po jego zachowaniu, i jednocześnie taka powściągliwość w składaniu wszelkich deklaracji, które mogłyby wyjaśnić sytuację, nie świadczą o tym, że sprawa jest na dobrej drodze, wręcz przeciwnie. Bella wyśmiewa ją, kiedy siostra wspomina jej o tym w drodze do domu, według Belli wszystko się ułoży, Bóg jest tak dobry, że nie ścierpi zła, trzeba się tylko gorąco modlić. Już Bóg pomoże Lenke. „Bela Majthenyi jest w niej bardzo zakochany i chętnie by się ożenił” - próbuje malarka. Bella mnicha ręką, Lenke nie zwraca uwagi na młodego Majthényiego, nie warto jej nawet o nim wspominać, zresztą po co? Niech należy do tego, kto da jej szczęście.

Rzeczywiście w 1904 roku moja matka nie mogła się

opędzić nie tylko od stałych wizyt Hodaszyego, młody Majthény też stał się natrętny. Syn Emila Majthényiego i Józefy Heinrich nie był niemiłe widziany przez kupców: w nowo otwartym sklepie wabiły klientów wykwintne towary kolonialne i różne delikatesy, a na jasnowłosego chłopca Maria Rickl patrzyła z sympatią choćby dlatego, że po skończeniu studiów handlowych wybrał szacowny zawód kupiecki. Zarówno Hodó- szy, jak i Běla Majthényi mieli więcej wolnego czasu niż József, którego ojciec pilnował w banku, obydwaj bezustannie kręcili się wokół mojej matki. Lenke Jablonczay uprzejmie odmawiała prośbom młodego Majthényiego, aby pozwoliła mu porozmawiać ze sobą w pewnej ważnej sprawie, temu natomiast, żeby oświadczył się Hodaszy, nie mogła zapobiec; mężczyzna zjawił się na ulicy Kismester i oznajmił, że ma wobec panny Lenke poważne zamiary. O tym, że kupcówna naprawdę kochała wnuczkę bardziej niż którąkolwiek z własnych córek, świadczy fakt, że poprosiła o czas do namysłu i rozpuściła wieść, która nikogo nie zdziwiła, że ten zamożny, sympatyczny pan poprosił o rękę Lenke. Moja matka czuła wstręt do Hodó- szyego, powiedziała mi, że czułaby go również w tym przypadku, gdyby nie była zakochana w innym, bała się go i uważała za brzydkiego: z bardzo białą cerą i bardzo czerwonymi wargami, zza których połyskiwały ogromne, zdrowe zęby, wydawał się jej podobny do pana Credle'a z Domoeyi. Syn. Wspomnieć Józsefowi o oświadczeniach Hodó- szyego nie pozwalał takt; moja matka zatem milczała w nadziei, że zapewne i do niego dotrze plotka, uczyni w końcu jakiś krok, którym zapewni przyszłość im obojgu. Po wieczorku u Vilmy Tomanóczy spotykali się rzadziej, gdyby moja matka i Bella nie były tak niedoświadczone, musiałyby zrozumieć to, co tak trafnie ocenili Anselmusowie i Bartokowie: József miał atakować, wycofuje się. W tym czasie zresztą moja matka szykowała się do koncertu, ćwiczyła. Nawał zajęć i powolne wycofywanie się Józsefa przypadły na ten sam okres, dlatego moja matka stanęła tak śmiało przed najkrytyczniejszą chwilą swoich panięskich lat i dlatego potrafiła odegrać na koncercie transkrypcję Rigoletta tak, że dostała złoty medal. (Do śmierci przechowała ten medal, na którym Polihymnia wyciąga wieniec ku grającemu na skrzypcach dziecku, a pod datą na prostokącie otoczonym girlandą wyryte jest jej nazwi-

sko.) Bella opisuje w pamiętniku strój mojej matki i przebieg koncertu, tego dnia kupcówna ubrała wnuczką w bladuróżową suknię. „Aż nam dech zaparło, kiedy wyszła z pokoju dla artystów, tak była piękna!” Na koncert znów przyszedli wszyscy, nie tylko József z rodziną, ale także Majthényiowie, Bartokowie, rodzina Anselmusów, Csanakowie, Szabóowie o rozmaitych przydomkach, a wśród nich Elek Szabó, który kochał muzykę tak bardzo, że korzystał z każdej okazji, kiedy mógł się nią rozkoszować. Siedział w pierwszym rzędzie przy państwie Wilhelms. Był też obecny Nándor Wolafka, a z tyłu, gdzie, jak miał nadzieję, nikogo nie będzie kłuł w oczy, ukrył się Junior. Patrzył na piękną córkę przy fortepianie, a potem w antrakcie zniknął nie ośmielając się podejść do Lenke; dwie małe Jablonczayówny i Melinda patrzyły za nim, kupcówna, której Melinda szepnęła, kto za nimi siedzi, nie obejrzała się. W sali unosiła się namiętna, wymagająca niezwyklej wirtuozerii muzyka Liszta, moja matka wkładała w nią wszystkie swoje tęsknoty i nadzieje i kiedy palce, wiernie przekazujące ukryte posłania muzyki, biegały po klawiszach, myślała o tym, że teraz rodzice Józsefa przekonają się, co ona umie, i pomyślała, że może nawet przysporzy im chwały, jeśli ją przyjmą. Tak swobodnie, tak bez tremy jeszcze nigdy nie grała, wraz z muzyką płynęło wołanie Lenke Jablonczay i wtopiło się w entuzjastyczne okrzyki i burzę oklasków. W pokoju dla artystów czekały kosze czerwonych róż od Hodaszyego i Majthenyiego, moja matka wychodząc wzięła ze sobą tylko bukietek fiołków od Józsefa. Rodzice Józsefa wyrazili swój podziw dla jej mistrzowskiej gry, Ninon uściskała ją gratulując. Triumfalny wieczór zakończył się przy ulicy Kismester, József był poważny jak ktoś, kto szykuje się, aby uczynić decydujący krok. „Czuję, że przez ten triumf życie Lenke wejdzie na decydujący zakręt” - pisała Bella w swoim pamiętniku. I nie myliła się.

22 lipca, w dzień imienin obchodzony zawsze wspólnie przez moją matkę i kupcównę, József rzeczywiście się zdeklarował: poinformował moją matkę, że się z nią nie ożeni. Co zaszło między nimi tego dnia, mogłam dowiedzieć się z młodzieńczej noweli mojej matki, w której można rozszyfrować każdą postać, ją samą, Józsefa, kupcównę, a nawet Bartókwą, bo któż inny niż ona mógł jej poradzić, aby próbowała utrzymać się z pracy.

a skoro jej ciało i dusza buntują się przeciwko Hodśszemu, niech nawet o nim nie myśli. Matka Belli z całego serca kochała Lenke, ale rozumiała też sytuację Marii Rickl. Na ulicy Kismester chowały się Piroška i Irenke, była też Melinda, której nikt nie asystował. Niezależnie od tego, jak bardzo kochała wnuczkę kupcówna, nie mogła robić z domu azylu dla starych panien. Występująca w opowiadaniu matka chrestna, rzecz jasna, przypomina Agostonową Bartók tylko swoją trzeźwością i miłością, matka Belli nie mogła bowiem zaproponować przyjaciółce córki pomocy materialnej, tylko taktowną radę i mądrą miłość. Moja matka zdziwiła się, kiedy po upływie dziesiątków lat szperając w jej papierach znalazłam tę nowelę, którą napisała bezpośrednio po zerwaniu, i pogratulowałam jej, że w swej zranionej miłości tak dokładnie poznała jeden z głównych punktów programu epoki, pełną emancypację, i że tak jasno widziała drogę własnej ucieczki z sieci uczuć: za słowami noweli kryją się przecież sufrażystki bijące parasolkami policjantów. „Nawet nie wiedziałam, co to są sufrażystki -- powiedziała zakłopotana. - Ja chciałam pisać o Józsefie.”

WYBÓR ELLY napisała Lenke Jablonczay

Elly błada wbiegła po schodach. Rzuciła kapelusz na wieszak i zacisnęła powieki, aby powstrzymać łzy. Wargi jej drżały.

- Nawet płakać mi nie wolno! - szepnęła. - Muszę iść do gości, bawić ich. O Boże, Boże...

Nie patrząc w lustro przygładziła włosy, przewiązała mały koronkowy fartuszek i otworzyła drzwi jadalni. Kręciło się jej w głowie, ale jednak bohatersko pozdrowiła zebranych, którzy przyszli, aby uczcić dzień jej imienin.

Na stole stał likier i ciasteczka, a goście na widok dawno oczekiwanej solenizantki podnieśli kieliszki. Jej matka szepnęła głośno:

- Gdzie byłaś tak długo? Nie możesz być punktualna, kiedy masz gości? Nie rób takich min, tylko podziękuj Lovńszy- emu za kwiaty.

Elly nie odpowiedziała, tylko pokiwała głową. Jej zwykle pogodne, połyskliwe szare oczy były tak osobliwie spłoszone, że dziewczęta i chłopcy przyglądali się jej ze zdziwieniem. Co mogło się przydarzyć tej pewnej siebie, spokojnej dziewczynie? Jeszcze nigdy nie widzieli jej tak zdenerwowanej.

- Gdzie byłaś, Elly? Spójrz tylko, ile prezentów dostałaś! - wykrzykiwali. Wszyscy spieszyli ku niej z kwiatami i wesoło trącali się kieliszkami z pobladłą solenizantką. Tylko Lovśszy nie ruszył się z miejsca patrząc na dziewczynę z zachwytem. Elly szybko włożyła kwiaty do wazonów i pod wpływem naglącego wzroku matki podała Lovśszemu małą, zimną dłoń, żeby podziękować za kosz kwiatów, ale zaraz potem wróciła do innych. Łzy obeschły i, choć zdenerwowana, wzięła jednak udział w ogólnej rozmowie.

Lovśszym musiała zająć się matka, Elly nie pomogła jej, choć był to jedyny mężczyzna w towarzystwie, który mógł się żenić, pozostali przychodzili tu tylko dla zabawy.

To całkiem ładny chłopak - dodawała sobie otuchy pani Rethy - prawda, że jest w nim coś niemiłego, ale do tego można się przyzwyczać.

I rzeczywiście Lovśszy był eleganckim mężczyzną, miał dobre maniery, lecz jednocześnie było w nim coś odpychającego. Może żółtawa bladeść jego twarzy lub niespokojne spojrzenie. Ale wszystko jedno, miał pieniądze, miał dobre stanowisko, a dzisiejsze panny powinny być rozsądne. Oczywiście ich matki także. Ona musi stoczyć walkę z dwojgiem, z mężczyzną i własną córką. Na co czeka ta biedna dziewczyna? Na miłość?

Pani Rétthy uśmiechnęła się ironicznie. Miłość ulatnia się, okowy zostają. Brzęczące, nierozzerwalne okowy, troski materialne, kłótnie, nienawiść, myśli o rozwodzie. Miłość jest dla bogaczy.

Wiele mądrych myśli przemknęło jej przez głowę, kiedy zabawiała Lovśszego, który odpowiadał jej zniecierpliwiony patrząc na Elly z urażoną próżnością. Wreszcie pożegnał się i wyszedł. Wkrótce rozeszło się całe towarzystwo. Elly odetchnęła z ulgą.

- Mamo, nie będę dziś jadła obiadu. Boli mnie głowa.

| Dajże spokój z tą egzaltacją. Przejdzie ci od gorącej

zresztą powinnaś wiedzieć, że nie lubię sama siedzieć przy

Elly nie odpowiedziała, zdawała sobie sprawę, że daremnie by mówiła. Zjadła kilka łyżek zupy i siedziała w milczeniu do końca obiadu. Potem weszła do swego pokoju, zamknęła drzwi i rzuciła się na kanapę. Płakać! Teraz już wolno.

Zegar ścienny wybijał kolejno kwadranse i godziny. Zaczęło się ściemniać. Wiatr szarpał oknem, ale Elly nie słyszała tego wszystkiego. Już nie płakała, tylko patrzyła przed siebie.

Niespodziewanie zastukano do drzwi i odezwał się łagodny głos:

- Elly, czy śpisz? To ja, twoja matka chrzestna.

Dziewczyna wstała blada i otworzyła drzwi.

- Życzysz sobie czego? - zapytała wrogo.

- Przyszedłam ci złożyć życzenia -- ale nagle urwała na widok zmęczonej, nieszczęśliwej twarzyczki.

- Co się stało, córeczko?

- Nic, boli mnie głowa.

- Elly, dlaczego nie masz do mnie zaufania, przecież dawniej nie miewałaś przede mną tajemnic? Nie kochasz już swojej starej przyjaciółki?

Elly milczała, próbowała być silna, ale nagle wybuchnęła spazmatycznym płaczem.

Jarossowa przytuliła ją do siebie, gładziła jasne, rozpuszczone włosy i na tę pieszczotę odrobina otuchy wstąpiła do umęczonego serca dziewczyny.

- Jaka ty jesteś dla mnie dobją, matko chrzestna!

- Bo cię kocham, córeczko, i rozumiem twój młodzieńczy smutek. Nie będziesz już robiła tajemnic, prawda? Przed smutkiem trzeba pootwierać drzwi i okna, żeby mógł ulecieć, a nie zamykać go w sercu, aby nas wiecznie trawił. Powiedz, co cię gnębi? Może moja doświadczona głowa znajdzie jakąś radę.

- Niepotrzebna mi rada! Nikt mi nie pomoże, obym już wreszcie umarła!

- Dlaczego chcesz umierać? Popełniłaś aż tak wielki grzech?

- Tak, właśnie tak! Jestem winna, bo pozwoliłam, aby ktoś złamał i zdeptał moje serce. Pozwoliłam wystawić się na pośmiewisko. Wykpił mnie, wyśmiał ten, którego uwielbiałam.

Odrzucił mnie od siebie. O Boże! - szlochała dygocząc.

- Uspokój się, moje biedne dziecko, ulżyj swemu sercu. Ody się wyżalisz, będzie ci lepiej. Jakże mnie boli, że cierpisz! Sądzę, że już wiem, o kim mowa.

- Dobrze, więc ci powiem, ale tylko tobie. Ale żebyś mnie potem nie pocieszała, że to zwykła historia. Wiem, że nie jestem pierwszą dziewczyną, którą porzucił chłopak, ale to dla mnie żadna pociecha.

Jarossowa w milczeniu ucałowała zgorączkowaną, wzburzoną ulubienicę.

- Sama wiesz najlepiej, że nie jestem kokietką. To nie leży w mojej naturze i, odkąd pamiętam, kochałam tylko Gezę. Nie myślałam o małżeństwie, tylko kochałam go. On też nie potrzebował żadnych dziewcząt poza mną. Nie rozmawialiśmy o przyszłości, ale żyliśmy dla siebie. Przynajmniej myślałam, że on też. Co dzień byliśmy razem, a ja całowałam nawet ślad jego ręki. Ale mama, trzeźwa mama zaczęła ze mną nagle mądrą rozmowę: słyszała, że rodzina Gezy nie jest zadowolona z tych naszych ciągłych spotkań. I że to wszystko nie ma sensu, bo jeśli jego rodzice nam nie pomogą, to przecież nie utrzymamy się z jego zarobków. Geza ożeni się z bogatą panną, a ja mam Lovaszyego. Będzie mi z nim dobrze i w dobrobycie zapomnę o dawnych marzeniach.

Jarossowa ze współczuciem patrzyła na wyczerpaną dziewczynę, ale milczała. Chciała, aby jak najprędzej dobiegło końca to gorzkie wyznanie.

- Powiedziałam mamie, że nigdy nie będę należała do innego, tylko do człowieka, którego kocham, i że czuję wstręt do Lovaszyego. Mama zaczęła kpić, że w takim razie nie będę należała do nikogo, bo Geza i tak się ze mną nie ożeni. Nie przejęłam się jej słowami, choć powinnam była zauważyć, że Geza zmienił się w ostatnich czasach. Spotykaliśmy się rzadziej, i nie odprowadzał mnie już pod sam dom. Był „bardzo zajęty”. A dziś, mój Boże, dziś! i i ściskając głowę dłońmi ciągnęła drżąc: - Wiedziałam, że przyjdą goście, aby mi złożyć życzenia, a jednak poszłam na korso, aby spotkać się z nim choć na parę minut. Chciałam sama zrobić sobie prezent. No i miałam piękną niespodziankę! Wielce łaskawie podszedł do mnie i powiedział ironicznym tonem: „Z radością słyszę, Elly, że się pani zaręczy-

ła! Gratuluje! Szczęśliwiec z tego Lovńszyego, że może się żenić z miłości. Niestety, dla mnie to zbyt wielki luksus. A przecież byłoby pięknie, prawda? Cudownie pięknie, nieprawdaż, Elly?" - i zajął mi w oczy głęboko, kusząco, jak zwykle. Nie odpowiedziałam, tylko pobiegłam do domu ze wzgardzonym, porzuconym, wyszydzonym sercem. I teraz, kiedy mam już za sobą gości i obojętność mamy, mogę się wreszcie wypłakać.

- Wciąż jeszcze go kochasz?

- Nie wiem. Kocham go i nienawidzę zarazem. Co ja mam robić? Jak mogę umrzeć bez skandalu? Mama będzie mnie zmuszać, żebym wyszła za Lovńszyego, zresztą ma rację, przecież ciężko nam się utrzymać we dwie z tej małej renty. Poradź mi, matko chrzestna, co mam robić?

Jarossowa zamyślona przyjrzała się nieszczęśliwej twarzyczce i znów ją ucałowała.

- Przede wszystkim uspokój się, nie mogę ci nic poradzić, zanim jeszcze trochę nie porozmawiamy. Widzę, że nie chcesz Lovńszyego ani jego majątku.

- Nie, nie!

- A tego, który się tobą bawił, a potem rzucił?

- Nie, nie!

- Bądź dumna, Elly, stare przysłowie mówi, że duma często wyprowadza człowieka w pole, ale nigdy nie ciska go w błoto. Mężczyzna, który nie żeni się z kochaną dziewczyną dlatego, że jest biedna, i nie podaje jej na tacy bogactwa i zbytku, nie tylko nie potrafi kochać, ale też nie zasługujna miłość. Tylko unieszczęśliwiłby cię taki egoista o zimnym sercu. Nie zapomnieliby nigdy, że to przez ciebie musi żyć skromnie, i zawsze by ci wypominał, jak drogo zapłacił za swój miłosny obłąd. Zapomnisz o nim, a potem zjawi się inny.

- Nigdy, matko chrzestna! Nie chcę innego! Nigdy nie wyjdę za mąż!

- Więc nie wychodź, malutka! Ale w takim razie co poczniesz, jakie masz plany?

- Gdybym to ja wiedziała - rozsłochała się na nowo Elly. - Do czego mam się wziąć?

Nie mogę zostać w domu mamie na karku, ona mi i tak nie przebaczy, jeśli nie wyjdę za Lovńszyego.

- Elly! Powiedziałaś, że nie wyjdiesz za mąż bez miłości i nie możesz też zostać w domu. Czy poza śmiercią nie znalazła-

by się dla ciebie jakaś łódź ratunkowa? Na przykład praca.

- Przecież i do tego potrzebne są pieniądze!
- A ja to co? Zamiast prezentu ślubnego kupię ci' ten mały sklep modniarski, który ostatnio tak ci się spodobał. A ty z wdzięczności przestaniesz płakać i znów będziesz moją wesołą córeczką, dobrze?

W udręczonym sercu Elly ucichła rozpacz.

Po paru miesiącach Elly przywykła już zupełnie do nowego życia. Zręcznie obsługiwała klientki, które odwiedzały ją zrazu z ciekawości, żeby zobaczyć, jak też sobie radzi w nowym milieu dumna panna, potem zaś dlatego że w sklepie Elly można było kupić dobrze i tanio.

Pani Rethy też pogodziła się z losem, kiedy zobaczyła, że Elly jest zadowolona i wesoła, ale w duchu długo jeszcze martwiła się Lovśszym, który znalazł sobie pannę i wkrótce się ożenił. Fama głosiła, że nie był dobrym mężem, bo wciąż dręczył żonę zazdrością. Elly nie interesowały losy Lovśszycy, choć jej niechęć wobec niego zmalała, gdy nie musiała się nim więcej zajmować. Sklep był dla niej wszystkim, upiększała go, przystrajała. Praca wypełniała jej całe dni. Wolnym czasem zaś rozkoszowała się jak zasłużoną nagrodą.

Niekiedy jednak myślała jeszcze o Gezie. Już nie z miłością, ale ból upokorzenia często rozdzierał jej serce. Nie spotykała go, ale słyszała, że asystuje bogatym pannom, kręci się wokół nich, tylko że brak mu jakoś szczęścia. Albo on się nie podoba, albo też panny mają za mały posag.

Pewnego wieczoru było właśnie pusto w sklepie, Elly siedziała pochylona nad księgą rachunkową, kiedy otworzyły się drzwi i wszedł jej dawny ideał: Góza. Z anemonem w butonierce, elegancki, ujmujący, zbliżał się do zaskoczonej dziewczyny.

- Całuję rączki, słodka Elly! Tak bardzo już pragnąłem panią zobaczyć, że ośmieliłem się wtargnąć do jej sanktuarium.

- Czym mogę służyć? - zapytała poważnie.
- Czym? - zaśmiał się zakłopotany. - Nie przyszedłem po damski kapelusz, bo nie miałbym z niego żadnego pożytku.
- A więc po co pan przyszedł?

- Po to, aby choć trochę ogrzać się przy pani, mój drogi promyku słońca. Przecież jeśli nawet warunki nie pozwoliły mi prosić panią o rękę, nie zapomniałem o pani. Przy pani moje życie jest piękne...

- Przepraszam! - przerwała mu. - Zaraz wracam.; W

Wybiegła na zaplecze, gdzie pracowały modystki. Powiedziała coś cicho, potem wróciła drt gościa.

Po paru minutach weszła jedna z modystek i przybiła do ściany tabliczkę. Były na niej wypisane drukowanymi literami słowa: W SALONIE KAPELUSZNICZYM MOGĄ PRZEBYWAĆ TYLKO PANIE; PANOWIE PROSZENI SĄ O CZEKANIE NA PODWÓRZU.

Elly nie powiedziała ani słowa, tylko wskazała tabliczkę. Z pogardliwą ironią spojrzała na osłupiałego mężczyznę, potem odwróciła się na pięcie i wyszła.

Kiedy wróciła, Góczy już nie było.

W ciepły wiosenny wieczór po zamknięciu sklepu wracała do domu, jak gdyby u ramion wyrosły jej skrzydła. Bo też i miała dwa tęczowe skrzydła: pracę i spokój.

Moja matka, jak wspominała ciotka Piroška, w parę tygodni po napisaniu tego opowiadania na wszystko patrzyła już inaczej. Miała wrażenie, że ten interesowny młody człowiek, który już teraz tak starannie budował swoją przyszłość i tak szybko pojął, że jeśli nie połączy majątku z majątkiem, nie dostanie z domu pieniędzy, właściwie sam padł ofiarą i tylko udaje oziębłość, aby ją, Lenke, jak najszybciej rozczarować do siebie i pozwolić jej o sobie zapomnieć. Piroška będąca już wtedy dorastającą i niezwykle trzeźwą panią - wychowywani w Pallag Jablonczayowie rośli w tak osobliwych warunkach, że aby przetrwać, zmuszeni byli zachowywać stałą, dojrzałą czujność - słuchała dolatujących z sąsiedniego pokoju szeptów starszej siostry i Belli. Matka opowiadała mi, jak tłumaczyła sobie zachowanie niewiernego Józsefa: wyobrażała sobie, że właśnie wyszło na jaw, z jakiej pochodzi rodziny, jak grzeszne życie prowadzi jej matka i jakim utracjuszem jest jej ojciec, i dlatego rodzice Józsefa nie zgodzili się przyjąć jej, nieszczęśliwego dziecka z tego związku, do swej uczciwej

rodziny, co, jak się tak dobrze zastanowić, jest nawet zrozumiałe. „To nonsens! - zawołałam rozdrażniona. - Skorocię kochał, dlaczego się nic zbuntował? Dlaczego nie zerwał z rodziną i nie porwał cię, jak Leidenfrost twoją ciotkę?” „To nie był taki świat” - odparła. „A właśnie że był! - upierałam się. - Ale on nie zrobił dla ciebie nawet tyle co dziadek dla babki!” „Nie mów o swoich dziadkach - ostrzegła mnie. - Nie chcę o nich słyszeć. József był posłusznym synem, a z takiej rodziny jak moja naprawdę nie zwykło się brać żony.” Junior w siedem lat po tym, jak József rzucił moją matkę, umarł w straszliwych męczarniach, Lenke Jablonczay słuchała, jak rzeźni i, jak sama przyznaje, myślała o tym, że gdyby Junior był przyzwoitym ojcem, ona byłaby godna Józsefa. Trzydzieści dwa lata później, kiedy Emma Gacséry oszołomiona morfiną wtacza się do naszego mieszkania, do tego samego domu przy ulicy Hunyadięgo, w którym dwanaście lat wcześniej umiera wdowa po Szikszajm, Margit Jablonczay, i który zaledwie w parę lat później znika z powierzchni ziemi podczas amerykańskiego nalotu dywanowego, Lenke Jablonczay wyprowadza ją - niech nie bruka jej domu swą obecnością, niech dzieci nie patrzają dłużej niż trzeba na Emmę Gacséry. Kiedy po latach, sama już będąc mężatką i lepiej znając życie z jego zawilościami, tłumaczyłam jej, kogo właściwie kochała, kim był ten człowiek, który ją porzucił - powinnam była raczej odgryźć sobie język; dlaczego nie pozwoliłam jej trwać w bezsensownej nienawiści do rodziców? Po Juniorze i Emmie Gacséry nie pozostały już nawet prochy, a moja matka na starość dowiedziała się, że tak tragicznie kochała pajaca o pięknej twarzy, człowieka chciwego i pustogłowego, a nie rycerza bez skazy, którego czystość ulekkła się wzburzonego oceanu życia moich nieszczęsnych dziadków.

Mieszkańcy domu przy ulicy Kismester o tym, co zaszło, dowiedzieli się nie od Agostonowej Bartók, lecz od mojej matki. Melinda była obecna, kiedy moja matka poprosiła kupców, aby powiedziała Hodśszyemu, że nigdy za niego nie wyjdzie. „Wciąż jeszcze czekasz na Józsefa?” - zapytała Maria Rickl. „Nie czekam, to już skończone” - zabrzmiała odpowiedź, a moja matka była tak spokojna, jakby mówiła o cudzym

losie. Kupcówna niechętnie zrezygnowała z Hodśszyego, zwróciła uwagę wnuczce, że dziewczęta powinny wyjść za mąż, jeśli nawet współzycie z mężczyzną nie przyniesie im rozkoszy; choć bardzo ją kocha, Lenke nie może jednak zostać na zawsze przy ulicy Kismester, co się z nią stanie, gdy jej, Marii Rickl, zabraknie? Młody Majthćnyi ożeni się z nią z radością, to bogaty chłopak, niech więc za niego wyjdzie, jeśli oczywiście nie chce wstąpić do zakonu, jak to tylokrotnie proponowała Charitas. Gdyby babka pozwoliła, odparła Lenke, na razie wolałaby iść do pracy. Kupcówna zdziwiła się, ale nie bardzo, słowo „praca” rozumiała od najwcześniejszego dzieciństwa. Nie wyraziła sprzeciwu, a nawet osobiście zaniósła do Wysokiego Komitetu Szkolnego Kościoła Rzymsko-Katolickiego uniżoną prośbę Lenke Jablonczay, zamieszkałej w Debreczynie przy ulicy Kismester 11, o uzyskanie posady nauczycielki, która niedługo ma się zwolnić w kościelnej szkole elementarnej dla chłopców, i w którym to podaniu niżej podpisana prosi o cenne zaufanie Komitetu Szkolnego, załączając na poparcie swej prośby list polecający Marii Margit Stillmungus, potwierdzający wybitne uzdolnienia i nienaganny charakter kandydatki, jak również fakt, że nadaje się na wychowawczynię. Vilma Tomanóczy 23 sierpnia 1904 roku pisze do Margit Bartók do Nagybanya: „... Dziś rano byłam w kościele, wychodząc rozmawiałam z panią Jablonczay i z Lenke, szły do Wołafki podziękować, że mianował Lenke nauczycielką w szkole dla chłopców. Prawda, że to przyjemna nowina? U nas już chłodniej. W sobotę ślub Ilonki.”

Rok szkolny 1904/1905 spędza Lenke Jablonczay jako nauczycielka w katolickiej szkole dla chłopców; ubiera się w długie wełniane spódnice i skromne bluzki pod szyję, gorset, jak dawniej, nosi tylko dla przyzwoitości, wciąż jeszcze jest w talii cienka jak osa. Ma długą trzcinkę, pokazuje nią litery na tablicy, w jej klasie uczy się stu czterech chłopców, dwie godziny przed i dwie godziny po południu, jej obowiązkiem jest także chodzenie z dziećmi na niedzielną mszę. Pies Bobi jeszcze żyje, czeka na swoją panią tam gdzie dawniej, tylko że po przeciwnej stronie ulicy Świętej Anny, i wystaje też przy nim Bela Majthćnyi, odprowadza młodą nauczycielkę do domu, do szkoły muzycznej, chodzi z nią na przyjęcia. Moja matka w ciągu tych

dwóch lat daje dużo koncertów, gra Pożegnanie z łabędziem i Śpiew radości Elzy z Lohengrina; na „czerwonym” balu dobroczynnym w Kasynie, gdzie wszystkie panny i mężatki ubrane są na czerwono, a panowie noszą do fraków czerwone muszki, gra Fantaisie Impromptue Chopina, za co zostaje nagrodzona długo nie milkącymi brawami. 18 maja 1905 roku przy akompaniamencie wielkiej orkiestry występuje z Koncertem f-moll Webera, odnosi ogromny sukces i przychodzi jej na myśl Jan Kubelik, ale nawet nie śmie o nim wspomnieć. Na każdym koncercie otrzymuje bukietek fiołków bez biletu wizytowego, Lenke Jablonczay nie przypina go już do sukni, ale za każdym razem zabiera kwiatki do domu. Ten, kto wysyła fiołki, jest na wszystkich koncertach, ale nie wchodzi do pokoju dla artystów, aby złożyć gratulacje jak dawniej, choć, co uwiecznia pamiętnik Belli, nie spuszcza oczu z grającej dziewczyny. Ćwiczenia i przygotowania do koncertów nie są z uszczerbkiem dla szkoły, moja matka sumiennie wypełnia swoje obowiązki i udaje się jej osiągnąć to, że niezwykle liczna klasa jest nie tylko posłuszna, ale także uczy się i słucha oryginalnych bajek, którymi, gdy kończą to, co przewiduje materiał, nagradza ich młoda nauczycielka. Osobliwe historie, które wymyślała niegdyś drżąca ze strachu Lenke, broniąc się przed Kulawym, ciemnościami i samotnością, pozostały w jej pamięci, opowiada je później także swojej córce, a w dziesiątki lat później ta córka pisze na ich podstawie swoje powieści dla dzieci.

Po szkole zaczyna się inne życie: znów dom Bartóków, znów towarzystwo, tylko nie ma już w nim Józsefa, i brak Hodaszyego, który rzeczywiście znikł z miasta, jak to opisała w noweli. Ale jest jeden dzień w tygodniu, którego Lenke Jablonczay nie może znieść, to niedziela, kiedy prowadzi swoją klasę do kościoła. Każdej niedzieli spotyka się z Józsefem i jego rodziną na ulicy Świętej Anny. Moja matka prowadzi chłopców od strony kościoła prawosławnego, rodzina Józsefa nadchodzi od ulicy Vargi. Przystanąć, zamienić parę słów na szczęście nie można, mężczyźni uchylają kapeluszy, kobiety kiwają głowami, moja matka biała jak kreda wprowadza chłopców do kościoła. Lenke Jablonczay jest kompletnie chora, gdy nadchodzi sobota, w niedzielne poranki płacze, wymiotuje, błaga pana Kursinskiego, sekretarza Komitetu, żeby ją zwolnił z tych niedzielnych

obowiązków, podejmie się w zamian za to wszystkiego, co jej każą. „Niemożliwe - brzmi odpowiedź - na mszy musi być zarówno klasa, jak i wychowawczyni." Tymczasem rodzina Józsefa nie ma tyle taktu, żeby wybrać inne nabożeństwo niż to, na którym bez wątpienia muszą spotkać się z Lenke Jablonczay, zapewne przy tej porze upiera się József, który podczas tych dwóch lat przystępuje co niedziela do komunii i rozkoszuje się każdą minutą wymuszonych spotkań. „Aż do śmierci będzie chodził na tę samą mszę co ja" - mówi moja matka do Belli, a następnego dnia, kiedy Bela Majthényi zbliża się do niej wraz z Bobim, aby odprowadzić ją do domu, i znów pyta szeptem, kiedy wreszcie pozwoli mu porozmawiać o przyszłości, przecież czeka już na to od lat, Lenke Jablonczay odpowiada mu: „Dziś".

„Dlaczego za niego wyszłaś, skoro go nie kochałaś?" - zapytałam ją. Pytałam bezlitośnie z okrucieństwem młodości, z góry pewna odpowiedzi: powie, że miała dość życia przy ulicy Kismester, chciała mieć bezpieczny dom i śmiać się w nos temu, który ją upokorzył i porzucił. „Nie widziałam innego wyjścia - odparła bez namysłu Lenke Jablonczay. - Wyższe wykształcenie proponował mi tylko klasztor, ale ja nie chciałam być zakonnica. I nie mogłam też zostać babce na karku, poza mną i Gizi były w domu jeszcze dwie panny, które należało wydać za męża. Hodźszyego nie mogłam znieść, ponadto miałam wrażenie, że chce się mną tylko chwalić, tym, że jestem ładna, że mam powodzenie; musiałam coś zmienić w moim życiu, już nie wytrzymywałam tego stałego napięcia i spotkałam z Józsefem. Bela mnie kochał. - Ufałam mu. I było mi go żal. Kochał mnie tak jak ja tamtego, niewinnie, z oddaniem. Myślałam, że jeśli będę z nim, ja sama wyzdrowieję i on w końcu też będzie, biedak, szczęśliwy, nie przeżyje tego upokorzenia co ja z Józsim: że nie znalazł wzajemności i na próżno się łudził." Mój starszy brat palił papierosa i w milczeniu kręcił głową. „Dlaczego tak patrzysz? - zapytała go. -- Byłam mu dobrą żoną, chyba sam tysiąc razy to od niego słyszałaś." „Wyszłaś za niego, żeby nie cierpiał tak, jak ty cierpiałaś przez tę małpę? Żeby uwolnić od siebie naszą prababkę? Żeby odczepić się od Hodźszyego?

Żeby nie patrzeć na gębę Józsefa podczas niedzielnej mszy? - wybuchnął Béla. - Chciałaś uszczęśliwić mojego ojca i przez te twoje charytatywne skłonności musieliście mi dać to parszywe życie?" „Byłam dobrą żoną - powtórzyła teraz już nieco głośniejszą naszą matką. - Nic na to nie poradzę, że nie odpowiadałam mu fizycznie i że w ten sposób mnie wychowano i wydano za męża, że nie wiedziałam nic o życiu małżeńskim. Nie powinniście mnie o to wypytywać, nie wypada mówić o takich sprawach." „Słyszysz, nie wypada - zwróciłam uwagę Beli. - Napiszmy nowy rozdział Róży Kalocsy, jakie tematy są dozwolone w rozmowach między matką a dziećmi." Matka nigdy się o nic nie gniewała, tak rzadko widywałam ją zagniewaną, że osłupiałam, kiedy wybuchnęła: „Jeśli chcesz wiedzieć, twój ojciec też nie kochałam w ten sposób!" „Wiem - uspokoiłam ją.

- Mówił mi." Patrzyła na nas niespokojnie, próbując zapewne odgadnąć, kiedy i o czym rozmawialiśmy. „Cześć, Majthényi!"

- powiedziała do brata. „Cześć, Szabó!" - odparł Bela. „Stare hasło, Majthényi?" „Stare hasło, Szabó!" „Co to za zabawa? - zapytała już nieco weselej nasza matka. - Co to za hasło?" „Z dzieciństwa - rzekł Bela. - Był taki czas, kiedy witaliśmy się okrzykiem: «Żeby zdechł wujek Józsi!» Tatusi o tym wiedział!" Tatusiem nazywał Bela mojego ojca, Elka Szabó. Mój ojciec, który, podczas tej rozmowy już nie żył, nagle jakby pojawił się w pokoju i zachichotał, jak zawsze, gdy udał mu się jakiś psikus. „To on wymyślił?" - zapytała matka, ale właściwie wcale nie czekała na odpowiedź. Hasło i potajemny sojusz z dwojgiem smarkaczy tak bardzo pasowały do Elka Szabó, że nie warto było pytać. Zapaliła, paliliśmy we trójkę, składając ofiarę dymu duchom zmarłych mężów i ojców.

30 czerwca 1905 roku Bella informuje malującą w Nagy- banyą Margit o fakcie już dokonanym: „... przedwczoraj dwie godziny fortepianu, wczoraj kąpiel i msza z Ilonką, dziś basen. Byłam z Lenke i bezgranicznie rozkoszowałam się zimną wodą i pływaniem. Potem we dwie poszłyśmy na piwo do restauracji przy basenie i w drodze do domu jadłyśmy słone rogaliki. Na temat Lenke, nawiasem mówiąc, mam nowinę: zdecydowała się. Wiedzą o tym tylko Jablonczayowie, Majthenyiowie, Mamuśka, Ilona, ty i ja. A więc to Bela. Ja nigdy nie patrzę na sprawy obiektywnie, zawsze sędzę po sobie i trzeźwo myślę,

teraz zaś uważam, że dobrze byłoby, gdyby to się stało jak najszybciej. Chociaż czy ja wiem."

Oficjalne zaręczyny Lenke Jablonczay i Beli Majthényiego odbyły się w trzy tygodnie później. Moja matka oznajmiła, że chciałaby nacieszyć się narzeczcstwem, więc zaczekają jeszcze trochę ze ślubem, a ona na razie będzie nadal uczyć. Przy ulicy Kismester, gdzie zaczyna się już szykować wyprawę, wszystkie trzy Parki napadają na matkę: czyżby miała zamiar dawać wyprawę smarkuli Kálmána, nie dość już na nią wyrzuciła pieniędzy? Majthényiowie są dość bogaci, żeby ją wziąć choćby w jednej koszuli. „Boicie się, że uszczupli wasz spadek? -- pyta kupczówna. - Porzućcie nadzieje, ani mi się śni umierać, a jeśli mnie rozgniewacie, kupię jej dwa razy więcej, niż zamierzałam." Do mojej matki oczywiście natychmiast dociera, że ciotki żałują jej wyprawy, odkłada więc swoje nauczycielskie zarobki, może i to się przyda. Teraz już chętnie uczyłaby w nieskończoność, niedzielne msze przestają być koszmarem, obok niej idzie narzeczony, pomaga jej utrzymać klasę w karbach. Béla Majthényi jest tak miły, tak dobry, że być z nim to sama radość. Teraz już może spotykać rodziców Józsefa. Lenke Jablonczay uśmiecha się serdecznie, bo jest ktoś, kto ją kocha, kto ją chce, w czyich oczach ani jej rodzice, ani ubóstwo nie są grzechem, niech Bóg da Józsefowi szczęście i siłę, aby mógł znieść tę rozłąkę, ona też ma kogoś, kto jej w tym pomaga: Bóla [R a na jest bolesna, wie, że nie zagoi się do śmierci, ale czuje już także, że od niej nie umrze. József zresztą nie pokazuje się już w kościele, niezmiernie przychodzą tylko jego rodzice. József nie odwiedza także Bartóków, rzadko widuje się go w mieście, wyjeżdża do Pesztu, za granicę i zachowuje się tak, jak gdyby miał za złe mojej matce, że postąpiła w ten sposób. Gdy spotykają się przypadkowo, wymieniają tylko ukłony; Lenke, jak wspominała Bella, unikała rozmowy z nim, jeśli mogła to zrobić nie zwracając na siebie uwagi.

Zawsze wzruszają mnie fotografie mojej matki z okresu narzeczcstwa. Na jednej siedzi w bujanym fotelu, ukazuje swój piękny profil, patrzy z uśmiechem na jakieś ozdobne drewniane ogrodzenie, a w ręce trzyma książkę. Jest też zdjęcie zrobione po jakimś przedstawieniu na cele dobroczynne, sztywno patrzy na nim w soczewkę pięciu panów, dwóch po cywilne-

mu, trzech w mundurach, a poza moją matką jest na nim jeszcze osiem pań: zespół, który wystawił Gyurkovicsówny - reżyser, sufler, wszyscy, którzy brali udział w imprezie. Moja matka kreowała Katinkę, grała wprawdzie źle, lecz ze swoistym wdziękiem i ogromną treścią, na scenie nie była już tak spokojna i pewna siebie jak przy fortepianie, ale jeszcze w wieku osiemdziesięciu lat umiała na pamięć swoją rolę. József widoe/.nie nic brał udziału w przedstawieniu, bo nie ma go na zdjęciu, nic widzę też Belli ani szczęśliwego narzeczonego. Moja matka była tą Gyurkovicsówną, którą pułkownik Radványi oskarża, że dla majątku chce wyjść za jego młodziutkiego syna, ale urzeczony jej urodą i charakterem sam się z nią żeni. „Ja chcę jego pieniędzy? Ja? Nikt tak jeszcze ze mną nie mówił! Tam za drzwiami jest pański syn. Niech pan go sobie zabiera! Mówię, niech go pan zabiera, bo każę go wyrzucić przez okno!” W sali galowej „Pod Żółtym Bykiem” publiczność wstrzymała oddech słuchając tych słów, bo choć wśród licznych talentów brakowało Lenke Jablonczay zdolności aktorskich, to jednak frapujące było, że na widowni zawsze pewny siebie József wiercił się w krześle, a jego rodzice, jak wspominała w pamiętniku Bella, z wymuszonymi uśmiechami bili brawo po zakończeniu aktu.

Po Beli Majthényim zostało nie tylko wiele fotografii, ale na moją prośbę opisał mi go również starszy brat. Zresztą sama też się z nim spotkałam, jeśli można nazwać spotkaniem te chwile, kiedy dopuszczano mnie do jego łóżka; widziałam go już tylko w agonii, miałam pięć lat, kiedy umarł. „Mój ojciec był średniego wzrostu, miał krótko ostrzyżone jasne włosy, niebieskie oczy i bardzo gorące serce - pisał jego syn, a mój brat Bela. - W rodzinie ojca wypadki zachorowań na gruźlicę były bardzo częste, pamiętam jeszcze płytę nagrobną na cmentarzu przy ulicy Świętej Anny, na której ze zdumieniem odczytywałem imiona licznych krewnych, którzy zmarli między dziesiątym a dwudziestym rokiem życia. Był wykształconym, inteligentnym człowiekiem, wiesz, że te dwa pojęcia nie są jednoznaczne. Miał ogromne poczucie humoru, Wciąż jeszcze dźwięczy mi w uszach jego śmiech, lubił Orlątko Rostanda i głębokokóciiał ojczyznę. Kiedy w 1919 zakwaterowali w naszym salonie pewnego generała rumuńskiego, nie chciał przyjąć jego wizyty kurtuazyjnej. Nigdy mnie nic uderzył, nie krzyczał, tylko patrzył z bardzo

wysoka, jakby z pobliza śmierci. Ojciec bardzo mnie kochał. Nie wiem, czy był wierzący, ale co wieczór stał przy moim łóżku i słuchał, jak się modłę. Gruźlica była wówczas długą, okrutną chorobą, ale tylko raz byłem świadkiem, jak stracił cierpliwość i wybuchnął, mógłbym nawet pokazać miejsce, gdzie to się stało. Nigdy się nie skarżył. Mierzył temperaturę i bez słowa łykał piramidon. Pewnie wiesz, że mój dziadek był uważany w Dobre- czynie za wielkiego potentata, w ojcu jednak nic było ani odrobiny pychy. Nadzorca winnicy z Székelyhid nazywał się Kis, ojciec co wieczór popijał z nim wino na werandzie, skąd roztaczał się widok na rzeczkę Ór. U nas nie było „służby”, personel wyrzucał mnie z kuchni, gdy przeszkadzałem, i mógł nawet dać mi klapsa. Ojciec pracował w pierwszym Węgierskim Towarzystwie Ubezpieczeń, dopóki pozwoliło mu na to zdrowie, później żyliśmy z kawałka ziemi i winnicy Melindy. Bardzo lubił obdarowywać. Pracował do trzeciej po południu i ja zawsze wychodziłem mu na spotkanie. Czekałem na niego przed sklepem Harmathyego, gdzie była wspaniała wystawa. Gumki z nosorożcem, a jakie znaczki! W tym okresie systematycznie grywaliśmy w kulki. Pewnego razu wszedł ze mną do sklepu i kupił mi sto kulek. Nie potrafię opisać, co to było za szczęście, kiedy wsypałem skarb do starej pończochy. Nigdy w życiu nie byłem bogaty, tylko w tym jednym momencie. Wiem, że powinienem napisać o Melindzie, ale ciągle jawi mi się ojciec, widzę go, jak spaceruje tam i z powrotem po otwartych pokojach naszego mieszkania."

Portret Beli Majthényiego nakreślony przez jego syna był bezbłędny, potwierdzają go słowa mojego ojca, który zawsze o nim mówił z szacunkiem, współczuciem i sympatią, tak jak z kolei powściągliwie, sztywno, niekiedy z nieta joną nienawiścią wyrażał się o niezapomnianym Józsefie. Słowa Beli odnoszące się do jego dziadka osobliwie współgrają z pamiętnikiem jego babki, z którego wynika, że starszy radca państwowy Emil Majthényi, dyrektor młyna parowego „Istvána”, członek licznych stowarzyszeń, chluba Izby Handlowej i Rzemieślniczej, był rzeczywiście swego czasu znaną osobistością. „Nazwisko mojego męża stało się w branży młynarskiej znane na terenie

całego kraju - pisze wdowa po Emilu Majthényim - dostawał jedno odznaczenie po drugim. Korzyści materialne ciągnęli co obrotniejsi dyrektorzy młynów stołecznych, a jego prosili, aby używał im swej wiedzy i rozumu, on zaś hojnie nimi szafował, nie żądając w zamian niczego. Dyrekcja była dumna, że dyrektor młyna debreczyńskiego wie dzie prym wśród kolegów, i można by śmiało rzec, że kieruje całym przemysłem młynarskim, ale nigdy nie przyszło im na myśl, że w młynach budapeszteńskich takie wynagrodzenie jak on dostają urzędnicy dziesiątej kategorii. Niestety, on sam też nigdy o tym nie pomyślał."

Jednym z najbardziej wstrząsających dokumentów, na jakie natrafiłam szukając źródeł przy pisaniu Staroświeckiej historii, był pamiętnik teściowej mojej matki, Józefy Heinrich Majthenyi, który właściwie można by wydać nie wprowadzając doń żadnych zmian. Jest w opowieści tej kobiety jakiś skoncentrowany lęk, jakiś Kafkowski niepokój, które lepiej demaskują ów złoty okres pokoju na Węgrzech niż niejedna z naukowych prac historycznych. Wdowa po Emilu Majthényim w 1910 roku, mając pięćdziesiąt siedem lat, postanowiła spisać historię swojego życia, ale nie szczegółowo, tylko niektóre jego ważniejsze, szczęśliwe lub nieszczęśliwe momenty. Jozefa Heinrich zaznacza we wstępie do swego pamiętnika, że ponieważ życie częściej przynosi smutek niż radość, przeto spisując swe wspomnienia, co zapewne choć trochę ulży jej samotności, przypomni sobie nie tylko o rzadkich radościach, lecz także o częstych smutkach, i choć jej życie absolutnie nie zasługuje na powszechną uwagę, niech jednak nie stanie się jego udziałem zupełne zapomnienie. „Zaczynam te zapiski u schyłku mojego życia, w samotności, która zabija serce, bo smutek jest moim stałym towarzyszem, radość zaś szybko ulatniającym się gościem; niechże więc pierwsza połowa tej książki należy do złych dni." Data: Debreczyn, 9 czerwca 1910 r. Lenke Jablonczay jest już wtedy od trzech lat żoną Béli Majthényiego, mój brat Bela wkracza w drugi rok życia.

Dziennik Józefy Heinrich jest lekturą zaskakującą nie tylko z powodu bolesnego okrucieństwa jej własnej historii, lecz także dlatego że wynika z niego coś, co nie zgadza się z opowiadaniem mojej matki o tym okresie jej życia. I enke Jablonczay,

wspominając o swoich stosunkach z rodziną pierwszego męża, mówiła tonem największej miłości, wdzięczności i szacunku: zawsze tylko okazywano jej czułość, rozpieszczano ją, zarzucano podarunkami, rodzina Majthényich była dla niej niemal tak dobra jak Bartokowie. Podczas prawie dwuletniego okresu narzeczeństwa jej szwagierka Olga zabierała ją w podróże, namówiła na kurację tuczającą, nie zapomniano też o doksztalcaniu mojej matki. Starsza siostra Beli Majthenyiego urządziła co tydzień herbatki, na których wolno było rozmawiać tylko po francusku, moja matka, aby uczestniczyć w rozmowie, znów była zmuszona wziąć się do nauki i obie z Melindą, która zawsze jej towarzyszyła i miała wyjątkowe zdolności do języków, doskonale opanowały francuski. Dano jej do dyspozycji olbrzymią bibliotekę, Lenke Jablonczay otrzymywała całe paki książek i na zawsze zostały jej w pamięci postaci klasycznej literatury światowej, orientowała się równie dobrze w londyńskim Dziedzińcu Pod Skrwawionym Sercem, jak w kuchni pani Peggotty, księcia Bołkońskiego i Juliana Sorela uważała za osobistych znajomych, a Becky Sharp, rzucona w świat, zmuszona do walki" o byt Becky Sharp wbrew wszystkim swoim cechom, które właściwie przerażały moją matkę, była bliższa jej sercu niż Amelia, do której Lenke Jablonczay przez smutne podobieństwo charakterów Osborne'a i Józsefa była bardziej podobna w swym naiwnym i nieuzasadnionym uczuciu. „Uwielbiali mnie - mawiała moja matka o tym okresie swojego życia. - Byli jak dobrzy lekarze. Dochodziłam przynich do zdrowia. Nie kochałam Beli, ale było mi z nim bardzo dobrze. Teściowa, ilekroć ją odwiedzałam, zawsze ofiarowywała mi coś z biżuterii. Ona mnie ubóstwiała."

W dzienniku Józefy Heinrich czytamy, co następuje: „9 lutego 1903 roku mój Emil po miło i wesoło spędzonym wieczorze o jedenastej wieczorem poczuł się źle i po dziesięciu czy piętnastu minutach cierpienia, pożegnawszy się ze mną, umarł. Umarł tylko jeden człowiek z miliardów, a cały mój świat legł w gruzach. Jednak nie kochałeś mnie, mój mężu, inaczej zabrałbyś mnie ze sobą. Iluż uniknęłabym smutków, gdyby z młyna „Istvana" wyniesiono razem nasze zimne ciała. Widziałam, jak kładą go do zimnej ziemi, i żyłam dalej, człowiek jest jednak zwierzęciem, tchórzliwym zwierzęciem. Płyną lata, sta-

rzeję się szybko, kiedyż za nim pójdę? Co dzień rozmawiam z nim w myśli, spędzam całe godziny przed jego wielkim portretem. Mój ty drogi, dobry mężu, który tak chętnie brałeś na siebie wszelkie troski i gdyby to zależało od ciebie, droga mojego życia aż do grobu wysłana byłaby różami, to właśnie ty przysporzyłeś mi najwięcej bólu! Życie, które miało jakąś wartość, skończyło się wraz z twoją śmiercią. Nie pozwalałam obcym patrzeć w moje serce, zawsze wołałam, aby mi zazdrośczone, niż litowano się nade mną. Po trzech miesiącach opuściliśmy dom przy młynie „Istvása”, w którym upłynęło dwadzieścia pięć lat mojego szczęśliwego małżeństwa. Niemal padałam pod ciężarem bólu opuszczając folwark, który był świadkiem szczęścia, z którym związany był mój duchowy i materialny dobrobyt, stałam się teraz niepewnym, błakającym się samotnie nikim.

Potem nadeszło lato. Mój szesnastoletni syn Geza konał przy mnie, umarł w sierpniu mój ukochany synek, który fizycznie zawsze był słaby, ale dzięki swej mądrości podziwianej nawet przez nauczycieli, dzięki lotności umysłu mógłby się stać chlubą rodziny. Musiałam wytrzymać także i ten nowy cios. Już trzy bardzo smutne, ale i spokojne lata spędziłam we wdowieństwie. Moja córka Olga wyszła ponownie za mąż i, dzięki Bogu, jej nowe małżeństwo należy do szczęśliwych. Obaj synowie pozostali ze mną. Jeśli mój dobry mąż popełnił kiedyś jakiś błąd, to chyba tylko w wychowaniu synów. Według mnie to był poważny błąd, ale intencje męża były na pewno dobre, a ja nie mam prawa go osądzać. Emil Majthényi dobrze sobie radził w zawodzie kupieckim, chciał więc, aby i jego synowie wybili się na tym polu. Doświadczenie uczy, że wybitni ojcowie rzadko miewają równie wybitnych synów. Możliwe, że wszystko byłoby dobrze, gdyby mógł nadal opiekować się nimi. Jeśli chodzi o naszych synów, umarł w najgorszym okresie; ze swojej strony starałam się ułożyć im życie po swojemu i jeśli mi się nie udało, to nie przez złą wolę. Obydwaj moi synowie zaręczyli się i mogłoby to być dla mnie pociechą w tym smutnym życiu, ale niestety, sprawiło mi tylko smutek i ból. Béla miał skłonność do gruźlicy, powinien był się ożenić dopiero w starszym wieku. Jenó był zaś jedynym z moich dzieci, które nigdy nie skrzywdziło mnie nawet złym słowem, był dla mnie zawsze grzeczny

i czuty. Obydwaj są współwłaścicielami wielkiego sklepu, który mógłby się stać kopalnią złota, gdyby rozporządzali odpowiednim kapitałem obrotowym, ale bez pieniędzy prowadzenie takiego przedsięwzięcia to męczarnia. Niestety, moje środki materialne były niewystarczające. O tych małżeństwach dziś już przez sympatię do moich synowych nie chcę pisać tego, co myślę, i gwoli prawdy wspomnę tylko, że te dwa śluby pogrzebały wszystkie moje nadzieje. Obydwie synowe są ubogimi, zupełnie biednymi pannami, a jedna z nich to córka kobiety i mężczyzny, którymi zawsze pogardzałam. Na ślubie miałam w sercu nastrój pogrzebowy, bardzo cierpiałam. Wiąże się z tym dniem jeden z większych bóli mego życia."

Jozefa Heinrich jest taką matką i żoną, jakie rzadko się spotyka. Siostra cioteczna kanonika Treletzkiego, Heinrichów- na, zostaje zmuszona do wyjścia za mąż bez miłości za Emila Majthényego, jej własnego szwagra, owdowiałego męża starszej od niej o dziesięć lat i zmarłej na cholerę siostry Crescence, aby we własnym domu wychowywać sierotę po siostrze. Pięć tygodni wzbrania się przed fizycznym zbliżeniem z mężem i wróciwszy z podróży poślubnej nietknięta, ucieka do rodzicielskiego domu, skąd zostaje wyproszona, w końcu zakochuje się śmiertelnie we własnym mężu i poza odziedziczonym po Crescence, młodszym od niej zaledwie o dziesięć lat -- ale zawsze traktowanym jak własne dziecko -- siostrzeńcem, ma jeszcze sześcioro dzieci, z których dorasta tylko troje. Grzebie dziewięciomiesięczną córeczkę, grzebie śliczną, siedemnastoletnią Adelkę, uwielbianego pasierba i szesnastoletniego, mądrego Gćzę - wszyscy padają ofiarą dziedzicznej w rodzinie gruźlicy. Pozostała trójka, Olga, Jenó i Bela, przysparza jej stałych trosk. „Byłam bardzo szczęśliwa z mężem, ale' z powodu dzieci żyłam w wiecznym strachu, gdy któreś zakaszłało, uważałam je za stracone, wierzyłam niemal, że żadnego z nich nie zdołam wychować. Ale dni przechodziły w lata i moje dzieci, z wyjątkiem zawsze słabowitego Bćli, rosły zdrowo. W miarę jak dorastała piękna, jasnowłosa, wspaniała Olga, wracała mi także chęć do życia. W radosnym panieństwie dotrwała do dziewiętnastu lat urzekając wszystkich swą urodą, wspaniałymi, niebieskimi oczami, które ocieniały czarne rzęsy, i czerwonymi jak krew wargami." Olga Majthényi jest w wieku

Margit Bartók, chodzi z nią do szkoły gospodarstwa domowego i na kursy tańca u następcy Károlya Mullera. Jej pierwszy mąż to zniechwalony przez Józefę Heinrich Ferenc Bóhm, urzędnik Banku Austriacko-węgierskiego. Kiedy moja matka poznaje przyszłą szwagierkę, Olga jest już rozwiedziona, w nowym małżeństwie znajduje upragniony spokój, rośnie jej ładna mądra córeczka Lilly. Jenó, starszy syn Józefy Heinrich, nie wygląda na chorowitego, kłopot jest tylko z najmłodszym, Belą. To jedno z największych poświęceń Józefy Heinrich, że dostrzegłszy unoszący się także i nad tym synem cień wczesnej śmierci, nie zmusza go do małżeństwa z rozsądku, nie staje mu na drodze, kiedy dowiaduje się, że wybrał właśnie Lenke Jablonczay. Teściowa z pewnością nigdy jej nie kochała, ale moja matka do tego stopnia nie zdawała sobie z tego sprawy, że do momentu przeczytania dziennika Józefy Heinrich oboje z moim bratem Belą żyliśmy w przeświadczeniu, że ta kobieta wejście do' rodziny pięknej Lenke Jablonczay przyjęła z największym entuzjazmem. Uważałam też Józefę Heinrich za osobę bogatą, okazało się, że nią nie była, ponosiła niewiarygodne ofiary materialne dla nie znających się zupełnie na handlu synów, aby choć w części zrównoważyć ich absurdalną rozrzutność, w której obydwaj bracia byli tak bardzo podobni do młodego Juniora, pakującego za darmo pannom słodycze i wstydzącego się przyjmować za towar pieniądze. Józefa Heinrich wzmocniła, odkarmiła, przygotowała moją matkę do małżeństwa, potem zaś w imię boże wyprawiała z nią w drogę syna: Skoro spełnienie marzeń może przedłużyć mu życie, niech będzie z tą, w której jest tak wiernie, tak nieprzytomnie zakochany.

Ostatni okres narzeczeństwa, kiedy to Lenke Jablonczay nadal towarzyszy swojej klasie do kościoła i uczy tę wielką gromadę dzieci, urozmaicony jest wycieczkami w Tatry i nad Adriatyk, górskimi halami, polanami leśnymi, falami morskimi w Lovranie i Crkvenicy. Lenke potrzebny jest zresztą odpoczynek, dłuższe wakacje, bo praca z taką liczbą dzieci to nie zabawa, ponadto nigdy nie kładzie się wcześnie spać, chodzi na bale, na wieczorki, na koncerty, systematycznie bywa w teatrze, co najmniej cztery godziny dziennie ćwiczy na fortepianie, nie odrzuca żadnych zaproszeń, bywa z Bólą wszędzie. József

spotyka ją na balach, nie potrafi ukryć niezadowolenia widząc, jak jest rozrywany ten piękny, błyskający otrzymanymi w prezencie klejnotami dawny kopciuszek, który w mig znalazł sobie bogatego właściciela sklepu. „Twoja piękna jasnowłosa matka urzekła wszystkich dokoła, wnosila nastrój w towarzystwie, mawiało się, że tam gdzie w salonie zebrało się najwięcej gości, na pewno jest Lenke Jablonczay” -- pisała w liście z 11 marca 1976 roku jej dawna koleżanka ze szkoły muzycznej, Gizella Balia.

Moja matka chętnie przebywała z narzeczoną, całować, rzecz jasna, pozwalała mu się tylko w policzek, a i to rzadko, w nagrodę za coś. Bela Majthényi nie jest zadowolony z tego skromnego zachowania, ale nie próbuje go zwalczyć, jest coś wzruszającego w tym przelęknionym trzepotaniu, z jakim moja matka broni się przed jego bliskością. Skąd mógłby podejrzewać ten młody mężczyzna, do jakiej tragedii w ich małżeństwie doprowadzi nieszczęsna oziębłość Lenke Jablonczay? Wzrusza go też przywiązanie narzeczonej do jego starszej siostry i nie ma nawet pojęcia, że Olga dla Lenke to nie tylko naprawdę szczerą przyjaciółką, lecz również ktoś, czyja obecność uniemożliwia jego pocałunki. Wakacje z Olgą są tak cudowne nie tylko przez wrażenie, jakie wywierają na niej góry czy morze, lecz także przez to, że wiążą się z całkowitą swobodą: rodziny Jablonczaych i Majthényich są zdania, że będzie przyzwoiciej, jeśli tylko szwagierka, jej mąż i córka będą towarzyszyć Lenke Jablonczay, która musi odpocząć i nabrać sił - podczas kuracji tuczającej narzeczoną nie jest potrzebny. Dziewczyna z nizin staje osłupiała na widok Tatr, najpierw nie chce nawet uwierzyć, że to góry, a nie zachmurzone niebo, nie może się nasycić zapachem łąk, podcina agrafkami spódnice i biega, doprowadzając do rozpaczy szwagierkę tym, że przystaje nad każdym wygrzewającym się w słońcu wśród kamieni węzłem, zachwyca się pięknym kształtem trójkątnej głowy, zygakiem na grzbiecie żmii i ani myśli przed nią uciekać. Olga nie wie, że w jednej z bajek wymyślonych przez małą Lenke wąż w złotej koronie spełnia ludzkie życzenia i troszczy się o samotnych. Poważna córka Olgi nie spuszcza oczu z pięknej ciotki, do której niepodobne są wszystkie znane jej panie i która na wszystko reaguje z niezrozumiałym dla Lilly entuzjazmem. Dla córki Olgi ani wie-

wiórka, ani jar, ani sylwetka kozicy, rysująca się nieoczekiwanie I na szarym horyzoncie w zapadającym zmierzchu, nie są czymś niezwykłym, ale Lenke Jablonczay jest oszołomiona świadomością, że otworzył się przed nią świat. Jeśli nawet na parę dni czy tygodni wyjeżdżała z ulicy Kismester do Zanki czy Zilah w towarzystwie Bartóków lub kogoś z rodziny Anselmusów, nigdy nie mieszkała w hotelu. Teraz w luksusowych hotelach zasiada przy kolacjach, do których panie przebierają się w suknie wieczorowe i ona też, a Lilly dzielnie pomaga jej w toalecie i odrobinę bawi ją trema przyszłej ciotki.

Olga kupuje Lenke koszyk, niech chodzi na jagody, zwiedza z nią miejsca wycieczkowe i co wieczór prowadzi ją do kur- hausu, gdzie można posłuchać muzyki. Jest też przy ich hotelu kort tenisowy, chodzą grać, moja matka nabiera apetytu, opala się, tyje, wzmacnia. Pewnego wieczoru słuchają muzyki Łehara. kiedy Lilly, wszystko widząca i wszystko rejestrująca Lilly, dostrzega wchodzącego Józsefa. Moja matka wyprostowuje się przy stole, z głęboką wdzięcznością myśli o Beli Majthenyim, dzięki któremu może teraz spoglądać na Józsefa jak na powietrze i, choć rytm serca, jak w każdej takiej chwili, gdy podnieci ją coś złego lub dobrego, od razu staje się nieregularny, potrafi się do niego uśmiechnąć, a kiedy József prosi ją do tańca, jej głos nie załamuje się, gdy przeprosza: nie ma tu jej narzeczonego, a ona w jego nieobecności nie tańczy. József próbuje odnaleźć dawny ton między nimi. ale po jednej stronie Lenke Jablonczay idzie Olga. po drugiej Lilly i trzeciego dnia József wyjeżdża.

Droga powrotna z Tatr nie prowadzi do Debreczyna, lecz nad morze, moja matka spędza dwa najpiękniejsze tygodnie swego życia w Lovranie i Crkvenicy. Tu czuje się jeszcze swobodniejsza niż w górach, zawsze ma publiczność, kiedy płynie hen za boję i zasapana, roześmiana przebija się przez sztormową falę, wszyscy goście hotelu „Margharita” stoją na brzegu, gdy przy huku piorunów wychodzi .wreszcie na plażę i okazuje się, że ofiarą padł jedynie ceratowy czepek. „Wyglądała jak alabastrowa lampa - opowiadała dorosła Lilly - bił od niej blask. Zapytaliśmy, dlaczego zawsze wypływa lak daleko, wtedy roześmiała się, wykręciła mokre włosy i odpowiedziała, że tylko tak daleko może porozmawiać z rybami. Moja matka

bała się o nią, ale Lenke i z tego się-śmiała, twierdziła, że jest zaprzyjaźniona z morzem."

Bartókwie nie chcą wierzyć własnym oczom, kiedy kończy się lato i spotykają narzeczoną, zaskoczony jest też József: nigdy nie widział istoty tak pięknej jak ta opalona nad morzem i w górach, zaokrąglona, doskonale wypoczęta i swobodnie roześmiana dziewczyna. Béla Majthényi rano i w południe, w godzinach największego ruchu, wychodzi ze sklepu, aby odprowadzić narzeczoną do szkoły i ze szkoły do domu. Jozefa Heinrich milczy, stara się opanować, syn wprost promienieje szczęściem, kto miałby serce stawiać go za ładą, kto wie, co przyniesie mu przyszłość. Bella zapisuje w pamiętniku, że przyszłe małżeństwo przyjaciółki zapowiada się chyba lepiej, niż można się było spodziewać, Lenke nazywa narzeczonego „piastunką serca" i z wolna zbliża się dzień ślubu. Moja matka teraz już naprawdę musi skończyć ze szkołą, zamiast niej decyduje o tym narada rodzinna, gdyby decyzja zależała od niej, zatrzymałaby pracę. Wprawdzie Jozefa Heinrich wie, jak słabe zabezpieczenie przyszłości stanowi jej syn i jak dobrze byłoby, gdyby młoda kobieta mogła utrzymać przynajmniej siebie, ale na to nie można pozwolić: fakt, że żona Beli Majthényiego, właściciela pozornie kwitnącego sklepu kolonialnego, pracuje, mógłby zepsuć opinię firmie i tego Marii Rickl naprawdę nie trzeba było tłumaczyć. Pierwszego stycznia 1907 roku Lenke Jablonczay rozstaje się więc z katolicką szkołą dla chłopców, a 26 lutego w obecności świadków -- Istvána Tótha, męża Olgi, i Gezy Rickla, brata Marii Rickl - zostaje żoną Beli Sandora Józsefa Majthényiego, kupca kolonialnego. Na ślubie, tak samo jak na uroczystości przejścia na katolicyzm, obecne są najważniejsze postacie jej życia, starzy i młodzi Anselmusowie, Majthenyiowie, Bartókwie, dawne koleżanki szkolne, liczne pokolenia wychowanków szkoły tańca następcy Károlya Mullera, ale gdyby komuś wydawało się, że orszak weselny jest niekompletny, i tak daremnie szukałby rodziców i chrzestnych panny młodej.

Moja matka, jak wspomina pamiętnik Belli, spędziła swoje ostatnie panięńskie popołudnie u Bartóków i jękając się

i czerwiniąc próbowała dowiedzieć się od Belli tego, o czym dotychczas nigdy nie rozmawiały: co ją czeka, co może ją czekać w małżeństwie. Bella nie wiedziała, nie miała pojęcia, całkiem tak samo jak moja matka, ale wyczuła patos chwili, bo rzuciły się sobie w objęcia i oplakiwały swoją bezradność, to, że nie potrafią sobie pomóc, że czują: coś się wydarzy, coś groźnego, może nawet strasznego, ale nie wiadomo, co to będzie, w powieściach nie piszą o tym wyraźnie. Lenke Jablonczay zebrała resztki sił i poszła do klasztoru. Stillmungus oczywiście o wszystkim słyszała, wszystko wiedziała i mojej matce wpadł do głowy niedorzeczny pomysł, że może dla siostry Margit zrozumiałe jest to, o co tak daremnie wypytywała Bellę, ale nie ośmieliła się jej zapytać. Zakonnica pobłogosławiła ją i obiecała, że będzie się za nią modlić, nie robiła tego dnia wrażenia osoby szczęśliwej, nigdy nie pochwalała tych zaręczyn; potem Lenke wróciła do domu, usiadła, już po raz ostatni, do kolacji w domu przy ulicy Kismester i patrzyła w skierowane ku niej twarze. Melinda. Co wie Melinda, która sama jest panną, zresztą gdyby nawet wiedziała, i tak nie powiedziałaby jej, choćby na dość. Co wie babcia? Zapewne wszystko. Ale nie może jej zadać tego pytania po tym, jak babka pokazała jej kocie wesele, na pewno czeka ją coś podobnego, co, jak się wydaje, obowiązuje między małżonkami, ale pannom jest surowo wzbronione, coś plugawego, wstrętnego. Wcześniej położono się tego dnia. Na powieki mojej matki nie spływał sen, włożyła szlafrok i wstała. Myślała o Emmie Gacséry, swojej matce, którą widywała tak rzadko, a która powinna być teraz przy niej i pomóc swoją radą w tym trudnym momencie. Nie wiedziała nawet, gdzie ona teraz przebywa, zresztą gdyby wiedziała, nie chciałaby i tak z nią rozmawiać. Wykraǳła się więc do sutereny, do ciotki Klari, i jak dawniej, przysunęła stołek do kuchni, w której dniem i nocą płonął ogień. Annus i Agnes już spały, tylko wiecznie czujna ciotka Klári krzątała się jeszcze. Dawno minęły czasy, kiedy w tym jasnowłosym dziecku widziała ciemnowłosą czarownicę z Sírrićt w złotej woalce, teraz kochała Lenke bardziej niż swoją panią. Moja matka siedziała w milczeniu, we dwie wpatrywały się w ogień. „Ciotka Klári wiedziała, co się we mnie dzieje - opowiadała mi później matka - ale tak jak i Bella nie potrafiła mi pomóc. Ciotka Klári była starą panną i jeśli nawet oriento-

—
wała się w tych sprawach lepiej ode mnie, to w tamtych czasach nikomu poza matką nie wolno było choćby wspomnieć o podobnych rzeczach. Ale jednak próbowała mnie pocieszyć." „Jakoś panienka przez to przejdzie, Lenke" - powiedziała ciotka Klári i pogładziła smutną twarzyczkę, a potem posłała dziewczynę spać, niech będzie jutro piękną oblubienicą, niech rodzina Józsefa zobaczy! W dzienniku Belli czytamy, że Agostonowa Bartók niemal z tymi samymi słowami i tak samo na oślep wypuściła z domu córkę wydając ją za mąż, skazując na biologiczny szok, przez który Bella, zakochana w swoim mężu, przeszła jakoś cało, ale Lenke Jablonczay nie.

Obiad weselny „Pod Złotym Bykiem" był wystawny, wręcz królewski. Anselmusowie często wypominali Marii Rickl, w jaki to obłęd popadła na starość wyrzucając takie sumy na ślub córki Kálmána. Obiad zaczął się rosół z drobiu w filiżankach z groszkiem ptysiowym, potem podano dunajskiego jesiotra po bretońsku, sarninę w wykwinnym sosie z wina z jarzynami, styryjskie pulardy z rożna, francuski kompot mieszany, tzw. rogi obfitości przybrane lodowymi kwiatami i drobnymi ciasteczkami, ser, owoce, czarną kawę; do obiadu piło się piwo kóbanyai, białe wino pannonhalmi, czerwone chateau Hungaria i szampana Louis François Transylvania. József w tygodniu poprzedzającym ślub wyjechał za granicę w interesach, których nie można było odłożyć, Junior wymówił się nie tylko od obecności w kościele, ale także od obiadu weselnego, „zachorował". Państwo młodzi po czarnej kawie wymykają się na ulicę Kismester, goście zostają przy stole. Lenke Jablonczay przebiera się, ciotka Klári poprawia jej na głowie kapelusz. Róza Kalocsa nie zezwala, aby ktokolwiek towarzyszył nowożeńcom, moja matka i jej mąż wyjeżdżają więc na dworzec sami przysłanym z Pállag powozem i tylko ciotka Klári macha za nimi chusteczką. „Mama bardzo kochała Lenke - opowiadała mi Melinda. - Wydaje mi się, że poza moim ojcem tylko ją jedną kochała naprawdę. Kiedy po obiedzie wróciliśmy do domu i zobaczyła, że zniknęły już kufry, rozpłakała się. Zresztą nie tylko ona płakała tego dnia - dodała sucho. - Płakały nawet takie osoby, których wcale nie było na tym sławetnym weselu. Płakała Ilona, płakała Margit, no i ja sama też, wszystkie pieniądze mamy poszły na tę zabawę, obstałowała jej takie

meble, jakby wydawała za mąż księżniczkę, porcelanę sprowadziła z Paryża i dała jej tyle srebra, że gdyby ktoś upuścił pudło na nogę, zostałby kaleką do końca życia. Mama narobiła długów, żeby Lenke miała jesionową sypialnię i rzymskie krzesła z obiciami w kolorze morskiej wody, mahoniową jadalnię, palarnię i taki salon jak nikt w całym mieście. Zresztą i Lenke płakała, kiedy szła do kościoła, podniosła welon, żeby otrzeć łzy. Przypomniałam sobie, że kiedy ją widziałam po raz pierwszy, włożono jej biały kapturek i wtedy też ryczała, na próżno wychodziłam ze skóry, żeby ją uspokoić."

Podróż poślubna, która miała za zadanie zbliżyć nowożeńców fizycznie i duchowo, została żalonym wspomnieniem w pamięci obojga i zadecydowała o dalszym losie ich małżeństwa.

Bela Majthényi, najmłodszy i najbardziej wypieszczony syn Józefy Heinrich, po raz pierwszy w życiu zdany jest na własne siły: sam będzie musiał rozwiązać wszystkie ewentualne komplikacje, które podczas długiej podróży mogą wystawić na próbę jego przedsiębiorczość i wytrzymałość. Całkiem dostatecznie burzy jego spokój myśl, że oto ta, której tak pragnął, należy już do niego według prawa, że w każdej chwili może ją do siebie przyciągnąć i pocałować, także sama myśl o zbliżającej się nocy wystarczyłaby, aby przyspieszyć bicie serca. Młody człowiek nie jest doświadczonym podróżnym, jeśli nawet wyjeżdżał z monarchii, to zawsze w towarzystwie matki lub Olgi, zawsze ktoś wołał tragarzy, zamawiał, płacił, wszystko za niego załatwiał, nie pozwalano mu nawet nosić neseseru - bano się o niego. Dopóki pociąg . pospieszny mknie przez Węgry Wschodnie, wszystko jakoś idzie, nawet moja matka wzięła się w garść; Lenke Jablonczay, gdy już raz decydowała się na coś, nie ustępowała i taka była przez całe życie. Małżeństwo zaraz na samym początku pośliznęło się na takich błahostkach, których zdrowy rozsądek nie mógłby przewidzieć. W 1907 roku na dworcach czekały na przyjazd pociągów liczne zastępy tragarzy, ale kiedy Lenke Jablonczay i jej mąż z niedorzecznie wielką liczbą walizek i nadanymi zawczasu na bagaż dwoma straszliwie ciężkimi kuframi przybywają do Budapesztu, pasażerowie da-

rem nic wołają tragarzy. Po robotnikach budowlanych i kominiarzach strajkują także bagażowi, a nuż uda się im wywalczyć wyższe zarobki. Béla Majthényi wpada w rozpacz, wybrał się w podróż poślubną z tyloma nowiutkimi garniturami, tak ^bardzo chciał olśnić młodą żonę pewnym siebie, światowym zachowaniem i oto proszę, jest całkiem bezradny, a Lenke zamiast załamywać ręce i narzekać, zaczyna się śmiać. Lenke śmieje się tak bardzo, że musi wytrzeć nos. Lenke -- niewolnica rodziny, Lenke „reporter «Gazety Kisniesterskiej»”, Lenke, o którą w ciągu pierwszych piętnastu lat jej życia dbano tyle co o niepotrzebny nędzny mebel kuchenny, wychyla się z okna wagonu, woła coś do całkiem obcej pani, pyta, dlaczego według niej nie ma tragarzy, a kiedy się dowiaduje, proponuje mężowi, aby sami wyładowali swoje rzeczy, jakoś to będzie. Béla Majthényi chce zdjąć ustawione na półkach niezliczone walizki, ale nawet nie może ich dosięgnąć, na próżno wspina się na palce, jest niższy od żony. „To dla ciebie za ciężkie, może ja” - mówi moja niatka, w modnej, wąziutkiej spódniczce staje na ławce i podaje mężowi mniejsze i większe pakunki. Majthényi niemal płacze, Lenke go pociesza, niech się nie boi, ona zaraz wszystko zorganizuje, i już jest na peronie, znów zaczepia obcych ludzi, wypytuje ich, gdzie tu stoją dorożki, odbiega, a potem wraca triumfalnie z dorożkarzem, który ładuje ręczne pakunki na taczki, odbiera oddane na bagaż kufry i wiezie młodą parę do „Hungarii”. Lenke Jablonczay jest w tej chwili naprawdę szczęśliwa, o wiele szczęśliwsza niż w ostatnich dniach, jest tak szczęśliwa, jak nieszczęśliwy jest Béla Majthényi. Jozefa Heinrich zawsze w ten sposób urządzała mu życie, żeby nie dostrzegał swej fizycznej słabości, żeby nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo go oszczędzają. Teraz jest mężem i potknął się na pierwszej przeszkodzie, co sobie o nim pomyśli Lenke, jak może uwierzyć, że stanie się jej opiekunem i podporą wśród trudów życia, skoro nie dał sobie rady nawet z bagażem? To boli bardziej niż pierwsza noc, kiedy Lenke wyprasza go z małżeńskiego łóża wykrzykując, że nie zniesie, aby czynił ją przedmiotem takich bezceństw. Majthényi przenosi się na kozetkę i, jeśli nawet jest rozczarowany, nie dziwi się, to się mieści w jego wyobrażeniu kobiet. Jeszcze nie jest rozdrażniony i chociaż wołałby, żeby było inaczej, przetyka porażkę myśląc o Wiedniu

i Wenecji - mają jeszcze mnóstwo czasu, zanim wrócą do Debreczyna.

Tylko pół dnia spędzają w Peszcie, na popołudniowym spacerze Béla Majthényi jest znów zadowolony, bo Lenke nie rozgląda się, nic jej nie interesuje, chce wrócić do hotelu; nigdy się nie dowie, że to ja matka dygotała wprost ze strachu, aby z za któregoś węgla nic ukazała się Emma Gacsóry z dwoma synami lub żeby nie spotkać jej w jeszcze przykrzejszych okolicznościach, bo co ona jej wtedy powie i co powie sobie tych dwoje: jej matka i jej mąż? Przytłaczające są też wspomnienia minionej nocy, wstręt, jaki ogarnął ją w bliskości męża, z trudem znosiła już jego pocałunki, a teraz dotyk jego ręki i ciała wywołuje w niej mdłości. Podczas gdy wokół szumi Budapeszt, którego ulicami dreptała niegdyś w pantofelkach z kokardami i miniaturową tiurniurą przy sukience, Lenke Jablonczay nawet się nie rozgląda, najchętniej by stąd uciekła, bo w tym mieście istnieje możliwość, że Emma Gacsóry pozna ją i przywita, a ona będzie musiała stanąć twarzą w twarz ze swoją matką, której już nigdy nie chce widzieć.

Przyjazd do Wiednia przechodzi gładko, tragarze są na swoich miejscach, na skinienie Beli Majthényiego załatwiają, co trzeba, okna pokoju hotelowego wychodzą na kościół Kapucynów, młody małżonek sprostął próbie i pogwizdując szykuje się, by zabrać żonę na kolację. Moja matka ciekawie rozgląda się w okolicy katedry i Opery, Anselmusowie często wspominali o Sacherze, teraz i ona je tu kolację i nie może nie spostrzec, że wszyscy na nią patrzą. Ale jedzenie nie smakuje jej, nie chce też pić i, w miarę jak płynie czas, czuje się coraz gorzej, aż wreszcie podejmuje decyzję. Gdybym musiała scharakteryzować moją matkę tylko jednym słowem, powiedziałabym o niej, że była odważna. Nigdy nie widziałam tak odważnego człowieka jak ona; poza tym w szykowaniu się do walki znajdowała jakąś osobliwą radość, walka niemal ją bawiła, czuła się o wiele lepiej walcząc, niż gdy wszystko szło gładko. Moją matkę nudził właściwie mieszczański spokój, lubiła niebezpieczeństwo i wyczuwaliśmy to nie tylko my, jej najbliżsi, lecz także nasi przyjaciele, dlatego wszyscy zwracali się do niej o radę i pomoc. Moja matka zdecydowała się też podczas tej kolacji u Sachera: poprosiła Bclę Majthényiego, aby pozwolił jej

w nocy spać, jest śpiąca i zmęczona, byłaby niezadowolona, gdyby ponowił peszteńskie próby. „Ale przecież jestem twoim mężem! - wyrwało się nieszczęsnemu Béli. - Czego ty ode mnie wymagasz?” „Skoro kochasz mnie tak bardzo, jak mówisz, nie dotkniesz mnie nawet. Nie chcę!” - zabrzmiała odpowiedź i Béla Majthényi znów spał tej nocy na kozetce pocieszając się tylko tym, że może okazał się zbyt natrętny, może trzeba wolniej zdążać do celu. Jak widać, Wiedeń nie jest właściwym miejscem dla tej dziewczyny, za to na pewno nie zdoła się oprzeć urokowi Wenecji. Gdyby Lenke Jablonczay kiedykolwiek opowiedziała Béli Majthényiemu to, o czym nigdy mu nie mówiła, jak drakońskimi środkami próbowano z niej wybić ewentualne skłonności po rozpustnej matce, młody małżonek nie tłumaczyłby sobie jej zachowania tym, że Lenke nie uważa go za mężczyznę, że brzydzi się nawet dotyku jego warg - możliwe, że jest bardziej chory, niż przypuszczał - i nie zapłakałby nagle na kozetce dziecinnie i gorzko z powodu odrzuconej miłości.

Następnego dnia śpiewa w Wiedniu Selma Kurz, Majthényi kupuje bilety do Opery. Jest pełnia sezonu, luty, więc zdobywa je z trudem i wcale nie takie, jakie by sobie życzył, portier załatwia im miejsce w łoży na trzecim piętrze. W programie jest Rigoletto, moja matka tego wieczoru znów ma wrażenie, że może jednak znajdzie się miejsce i na radość w jej życiu, że przyszłość nie okaże się tak smutna jak przewidywała, ma przecież przy sobie tego dobrego chłopca, dzięki któremu może wchodzić po wspaniałych schodach słynnej wiedeńskiej Opery, która po złoto-czerwonych naiwnych ozdobach rodzinnej łoży w Debreczynie olśniewa ją swoim przepychem.

Siedzieli wysoko, moja matka przez lornetkę oprawną w kość słoniową przyglądała się wystrojonej publiczności i scenie. Znała tę operę tak dobrze, że takt po tacie mogłaby dyktować, co po czym nastąpi, choć nie widziała jej jeszcze na scenie. Kiedy rozpoczęło się przedstawienie, doznała wstrząsu: gdzież mogłaby usłyszeć śpiewaczkę, którą można porównać z Selmą Kurz! Urodzona w Berlinie artystka, w 1907 roku, mając trzydzieści jeden lat, osiągnęła już światową sławę, a w jej dźwięcznym głosie brzmiała taka gorycz wyszydzonej miłości, że po twarzy mojej matki popłynęły łzy. Była tak bardzo pod

wrażeniem tego, co słyszała, że nie chciała nawet wyjść w antrakcie, w końcu Majthényi namówił ją, aby przeszli się po foyer, przecież to nic przyjemnego siedzieć w dusznej łoży. Patrzeć w dół też nie lubi, ma lęk przestrzeni. Lenke Jablonczay wmieszawszy się w tłum obejrzała z podziwem także z bliska publiczność Opery, potem zapragnęła wrócić do łoży, ledwie mogła się doczekać następnego aktu. W czasie wielkiej sceny w drugim akcie poczuła na plecach rękę męża. „Chodźmy do domu, w głowie mi się kręci!” - powiedział Majthényi. Moja matka w pierwszej chwili nawet nie zrozumiała, czego chce, potem szepnęła, że to przejdzie, niech się tylko trochę przespaceruje po korytarzu. Ale Majthényi kręcił głową i wyglądał tak żałośnie, że Lenke Jablonczay wzięła swoje rzeczy i wyszli z łoży. Aria urwała się w połowie, Majthényiego, który zataczał się jak pijany, trzeba było prowadzić przez korytarz, w szatni dwóch mężczyzn pomogło mu się ubrać i jeszcze na ulicy całym ciężarem opierał się na żonie, dopiero koło Ringu zrobiło mu się trochę lepiej. Na jego bełkotliwe przeprosiny za to, że tym głupim zasłabnięciem popsuł jej cały wieczór, moja matka odparła uprzejmie: „Nie szkodzi.” Bardzo jednak szkodziło, całe życie prześladowała ją ta urwana w połowie aria, uznała ją zabobonnie za jakiś znak: musi uważać, bo jeśli nawet bogowie okażą się dla niej łaskawi, to zaraz komuś z jej bliskich coś się przytrafi i ona będzie musiała zrezygnować z prawdziwych radości życia. Wlecze się przy niej Bćla Majthényi, jeszcze bardziej upokorzony niż po przyjeździe do Pesztu, i tego wieczoru poczucie winy nie pozwala mu nawet na ponowne eksperymenty. Mąż i żona śpią obok siebie jak dwoje przestraszonych, obcych ludzi.

Że współzycie będą mogli zacząć dopiero w domu, tam gdzie jest Wielki Kościół, Jozefa Heinrich, Maria Rickl, Melinda, Olga, Bartokowie, słowem, zwykła sceneria, która nie obiecuje nic nowego, nic nadzwyczajnego - okazało się w Wenecji, dokąd Bćla Majthényi przybył nękany bólami, których rodzaj nie pozwolił mu nawet napomknąć o nich żonie. Moją matkę oczarowała, rozgorączkowała Wenecja, było to takie miejsce, dokładnie takie, jakie wymyśliła sobie w dzieciństwie jako antidotum na Kulawego, chciałaby chodzić po mieście całymi dniami, zaglądać do muzeów, do kościołów, na targ rybny,

chciałaby obejrzeć fabrykę szkła w Murano, Lido, cmentarz, posiedzieć na placu św. Marka, powalać się po Mercerii. Ale następnego dnia po przyjeździe Majthényi zmuszony był zwrócić się do lekarza hotelowego, który zaordynował okłady na obolałe miejsca, polecił spędzenie paru dni w łóżku i miał z pewnością swoje zdanie o rozkoszach węgierskich nowożeńców, którzy nie mogą brać nawet udziału we wspólnych posiłkach w „Bauer-Griinwald”, bo taką trudność sprawia mężowi każdy krok. Moja matka przyjęła do wiadomości, że daremnie taras hotelu wychodzi na Canale Grandę, daremnie suną gondole, dzwonią dzwony, unosi się muzyka i daremnie obiecuje to miasto takie doznania, jakie zapewne już nigdy w życiu nie staną się jej udziałem. Nie może ruszyć się z pokoju, mąż zachorował i trzeba mu pomóc. Na czym polega jego choroba, nie wie, ale proponuje swoje usługi, a Bćla Majthényi jąka, że nie może go pielęgnować, to wręcz wykluczone. Wygramolił się spod kołdry, żeby zwilżyć okład, moja matka wyjęła mu z ręki płożoną, rozgrzaną chustkę, zmoczyła ją, wyżeła i podeszła do łóżka pytając, gdzie go właściwie boli i gdzie położyć ten kompres. Bćla Majthényi krzyknął na nią w rozpaczliwym wstydzie, żeby przestała go wypytywać, bo nie ma zamiaru jej odpowiadać, niech go zostawi samego i zejdzie do hallu, jest przecież tak wspaniałą organizatorką, jest tak zaradna, na pewno czytała ogłaszane na tablicy trasy wycieczek, niech sobie kupi bilet i wybierze się na jedną z nich, niech sama obejrzy miasto. O tym nie ma mowy, wzbraniała się moja matka, skoro jej mąż zachorował, zaczeka, aż wyzdrowieje, po co te komedie, pielęgnowała już w życiu dość chorych, więc niech jej rozsądnie powie, co mu jest, a ona mu zaraz położy ten okład, przecież on nawet nie wie, jak się ułożyć, zalewa całe prześcieradło. Upokorzenie Beli Majthényiego osiąga szczyt, kiedy musi prosić żonę, aby mu położyła okład na rozpalone jądra, moja matka, dopóki mąż nie wstaje z łóżka, siedzi przy nim, czyta mu książki, które dostali od Olgi jako lekturę na drogę, zmienia okłady, wyglądzają podłożony na prześcieradło ręcznik p a jej dłonie są zimniejsze niż woda. Życie małżeńskie skończyło się, zanim zdążyło się zacząć. Pozostał im jeszcze tydzień w Wenecji, kiedy Bela Majthényi mógł już chodzić bez bólu, ale obydwójce liczyli dni do wyjazdu, mąż nie miał zmysłu orientacji, ciągle się gubił,

przystawał zrozpaczony w wąskich zaułkach, moja matka natomiast zapamiętywała lub wyczuwała kierunek i prowadziła go za rękę. Béla Majthényi wymówił się też od wycieczki statkiem, dostał takiego samego zawrotu głowy jak w Operze, moja matka natychmiast zsiadła z „Nettuno” na ląd i zaproponowała, żeby wracać do hotelu, niech Béla wypije sobie kufelek piwa. Ich małżeństwo rozwiązuje w 1916 roku Trybunał Debreczyński, mąż i żona z sympatią i współczuciem ściskają sobie ręce i obydwójce po ogłoszeniu wyroku mówią: „Wybacz.” Podczas czterotygodniowej podróży poślubnej młodzi nie stali się małżonkami w prawdziwym tego słowa znaczeniu; Béla Majthényi - który nabiera natychmiast sił na widok Wielkiego Kościoła - dopiero w urządzonym pod ich nieobecność mieszkaniu przy ulicy Fiiveszkert 22 czyni Lenke Jablonczay swoją żoną. Po tej zdradzieckiej napaści ledwie śmie na niaspojrzeć, ma wrażenie, że mógł ją zabić, leży na skotłowanej pościeli jak ofiara.

Zresztą nikogo spośród naprawdę bliskich im osób w Debreczynie nie udaje się zmylić pozorną wesołością; Maria Rickl wzdycha, wzdycha też Agostonowa Bartók: cóż, życie jest trudne, ale i tak lepiej, niż gdyby z Lenke promieniowała owa sytość, przez którą tak nienawistna stała się kupcównie Emma Gacséry. Belli moja matka mówi tylko, żeby nie spieszyła się z zamążpójściem, współzycie z mężczyzną to cośohydniejszego niż można sobie wyobrazić w najczarniejszych myślach. W ich otoczeniu są tylko dwie osoby, Jozefa Heinrich i Melinda, które zdają sobie sprawę z tragedii Béli, obie czują, że ten łagodny młody mężczyzna, tak dobry dla wszystkich, zasługiwałby na namiętą miłość. Lenke jest urzekająca, Lenke jest wesoła, Lenke jest ozdobą każdego balu, panowie rywalizują o jej względy, o to, kogo wybierze do tańca, Lenke jest tak piękna w tej białej sukni - w której fotografuje się jako młoda mężatka, z charakterystycznym dla niej półśmieszkiem na twarzy, w rękawiczkach do łokci, sznurem prawdziwych pereł na szyi, w zarzuconym na ramiona obszytym łabędzim puchem sortie, z kaskadą koronkowych falbanek nad cieniutką talią, aby nieco bardziej uwypuklić piersi - że wszyscy zazdroszczą jej mężowi. Gdy Lenke wchodzi do sklepu braci, ustaje obsługa, subiekci i klienci patrzą na nią z zachwytem. Naprawdę wszyscy szczerze

zadzroszczą Béli. A jednak jest ŻU\ lub, jeśli jeszcze nie jest, to będzie, bo Lenke to nie prawdziwa żona, tylko prawdziwa pani domu. Chętnie widzi przyjaciół męża, Kubeka, Ludńny, bawi ich, karmi, dla teściowej i rodzeństwa męża jest serdeczna, Józsefowi, gdy czasem spotyka go na ulicy, odklania się tak samo jak innym dawnym tancerzom i jest taktowna, gdy jej goście pragną grać w karty, rozmyślnie źle licytuje, bo jest tak samo groźną partnerką jak Melinda, od której nauczyła się grać, a lepiej, jeśli wygrają goście lub Béli, jej nie wypada ich ogrywać, przecież wszyscy są od niej o tyle słabsi. Jeśli ktoś pyta ją o męża, wyraża się o Béli Majthényim w samych superlatywach, zresztą mąż obsypuje ją, czym tylko może. Biedny Béli, który poślubił marmurowy posąg, jakże ją zaklinał, aby wreszcie powiedziała, czym mógłby ją uszczęśliwić, przecież on niczego poza tym nie pragnie, rzuciłby jej pod stopy wszystko, co posiada. Ale Lenke Jablonczay, która w czasach narzeczeństwa prosiła tylko o cukier kartoflany, właściwie niczego nie pragnie od debreczyńskich kupców, nie pragnie też niczego z podupadającego, nie przystosowanego do lokalnych gustów, bo handlującego wyłącznie delikatesami sklepu obu braci. Kupcówna, gdy wchodzi do sklepu męża swojej wnuczki, gdzie natychmiast płaci za wszystko, co kupuje, często zagląda do kantoru i beszta Majthényich, że nie trzymają soli, nafty, świec, że nie można u nich dostać niemal niczego, co należy do codziennych potrzeb, cóż to za moralność handlowa, tylko bogaczom wolno handlować samymi delikatesami. Ale Béli Majthényi wierzy w spryt swojego brata, a Jenó w spryt Beli, bracia kochają się i są przekonani, że z łatwością pokonają wszystkie trudności. Jak już tylokrotnie w Staroświeckiej historii, znów Anselmusowie zwracają Marii Rickl uwagę na niedorzeczne marnotrawstwo i złe kierownictwo w sklepie Majthényich. W 1908 kuzyn za kuzynem przychodzi radzić braciom: niech zmienią metody handlu, źródła zakupu, asortyment, ale ich słowa są tak samo daremne jak słowa Marii Rickl. Jenó dziękuje za rady i wszystko zostaje po staremu, Béli zaczyna się denerwować. Niech mu nikt nie mówi, co powinien robić, ma już tego całkiem dość, żeby zawsze ktoś miał mu dyktować, jak ma kierować własnym życiem. Propozycje Marii Rickl, aby Lenke spróbowała skierować gospodarkę braci na rozsądne

tory, nic docierają do świadomości wnuczki, która właśnie przeżywa wstrząs: będzie matką.

Lenke Jablonczay nie pragnęła dziecka, wzdragała się przed bólami porodowymi, badaniami, które miały poprzedzić jego przyjście na świat, Béla Majthényi patrzył z goryczą, jak mało się oszczędza, jak nie liczy się z tym, że dobry ton wymaga już od niej innego zachowania, większej powściągliwości; mojej matce nawet nie śniło się rezygnować z czegokolwiek, co sprawiało jej przyjemność, niezmiennie pływała, grała w tenisa, chodziła z wizytami, dopóki tylko pozwalał na to jej ślan. Wśród gości przyjmowała niekiedy także Józsefa. Ani jej twarz, ani zachowanie nie zdradzały kompletnie nic, a przecież, ilekroć go spotykała, zawsze odzywało się w niej wspomnienie chwili rozstania i myślała, że gdyby sprawy ułożyły się inaczej, ta dziewczynka - bo cóż innego mogłaby urodzić niż dziewczynkę, co ona mogłaby mieć wspólnego z chłopcem, nawet gdyby wyszedł z jej łona? - byłaby dzieckiem Józsefa. Jakże radośnie czekałaby chwili, kiedy będzie ją mogła zobaczyć! Ale istotka, którą nosiła pod sercem, kojarzyła się jej z nieszczęsną podróżą poślubną, strajkiem tragarzy, przerwana arią Selmy Kurz i okładami w Wenecji. Lenke Jablonczay jeszcze częściej chodziła z wizytami i zapraszała gości niż dawniej. Béla Majthényi, który uważał, że powinna się teraz szczególnie dobrze odżywiać, zapiawał we własnym sklepie olbrzymie tace zimnych zakąsek i skrzyniami przynoszono do kolacji szampana. „W poniedziałek Gizi i ja byliśmy na kolacji u Lenke, to już drugi taki wieczór, bawiliśmy się we czwórkę przy szampanie do trzeciej nad ranem. Śpiewałam aż do zupełnego wyczerpania, skoro im się podobało, jakże mnie nic miałoby się podobać” - pisze Bella do Margit późnym latem 1908 roku. Tego lata bracia biorą się za nowy interes, może ożywią naprawdę nic najlepsze obroty: wynajmują w Wielkim Lesie pawilon Dobosa, gdzie mają sprzedawać piwo, kanapki, pieczywo i delikatesy. Za miastem, w Wielkim Lesie, rozbrzmiewa muzyka wojskowa, po leśnych spacerach każdy nabiera apetytu, z początku bufet przynosi duży dochód. Wszyscy przyjaciele Majthényich są na otwarciu i oczywiście goście się ich za darmo, Maria Rickl jest tak wściekła, że nie może na to patrzeć, wraca do domu, co to za zwariowana gospodarka! Jozefa Heinrich błaga Olgę, żeby

przemówiła braciom do rozsądku, Olga, która uwielbia Bclę i cieszy się, gdy brat znajduje w czymś przyjemność, nie mówi oczywiście ani słowa. Jeśli w ogóle ktoś, to właśnie ona zna prawdziwą historię małżeństwa Beli Majthényiego i „popularnej, słodkiej, pięknej i mądrej Lenke”, Bclę po powrocie z podróży poślubnej wszystko jej opowiedział i wyplakiwał się przed nią. Na otwarciu odbijają wciąż nowe beczki piwa, w olbrzymich koszach dowożą nowe rogaliki i słone pieczywo, tłoczą się debreczyńscy wokół pawilonu Dobosa, spacerują tam również córki dziekana Szabó, którym towarzyszy brat Elek, oni oczywiście nie zatrzymują się przed pawilonem, tylko obserwują rozbawione towarzystwo: niedziela jest dniem, w którym czci się Boga, najwyżej po wysłuchaniu Pisma Świętego wypada przejść się nieco po tym pięknym lesie, ale nie zwykło się nad Kereszem pić piwa i paplać bez celu tylko dlatego, że człowiek ma akurat czas. Jednak Elek Szabó, koncypient miejski, zostawia na chwilę starsze siostry, wypija szklaneczkę piwa i znajduje wreszcie okazję, aby go przedstawiono od dawna podziwianej żonie Beli Majthényiego. Olga nawet zaprasza go na francuską herbatkę, młody Szabó włada kilkoma językami. Potem wraca do swoich sióstr, a pani Majthényi w dalszym ciągu zajmuje się gośćmi i żadne z nich nie podejrzewa, że osiem lat później staną przed Sándorem Zihem, duchownym, który udzieli im ślubu, i że część popijających tu piwo, przechadzających się, słuchających muzyki i prawiących damom komplementy mężczyźni będzie już wtedy jeńcami wojennymi, inni zaś polegną śmiercią bohaterską.

Lenke Jablonczay zostaje matką 6 lutego 1909 roku, poród przebiega łatwo, szkoda było strachu, dziecko przychodzi na świat w domu i na radosny okrzyk lekarza i akuszerki: „Chłopiec!”, Lenke czuje, że została oszukana. „Naprawdę kochała tylko ciebie -- mawiał często mój brat, Bela, nawet nie ze smutkiem, tylko rzeczowo. - Już zanim się urodziłaś, wydawało mi się, że coś jest nie tak, ale co może zrozumieć taki dzieciak. Dopiero potem, kiedy zobaczyłem cię przy niej i ujrzałem jej twarz, od razu zrozumiałem, że czekała na ciebie.” „Ty byłeś chłopcem - powiedziałam mu. -- Zawsze mówiła, że

bała się twojego ciała, kąpieli, tego, że musiała cię tam dotykać. Przecież wiesz, jaka była." „Oczywiście - rzekł Béla, - Byłem chłopcem. I nic na to nie mogłem poradzić. Jak grecki bohater pokutowałem od najmłodszych lat za coś, co nie było moją winą."

Po urodzeniu Béli Majthényiego młodszego małżeństwo Majthényich przechodzi osobliwą metamorfozę. Młoda matka rozkwita, tryska zdrowiem, a mąż żółknie i zaczyna kaszleć. Nigdy jeszcze stosunki między nimi nie były tak ciepłe i serdeczne jak wtedy, gdy zaczęła się choroba płuc Béli. Moja matka uważała, że teraz istotne jest tylko jedno: ma obowiązek, którego może się podjąć bez biologicznego buntu ciała, może gotować przysmaki i dbać o męża. Gdy jest zła pogoda, nie puszcza go nawet do sklepu. Majthényi bawi się z synkiem, zasłania dolną część twarzy chustką i pochyla się nad dzieckiem. Jego kochający wzrok towarzyszy synowi do 1924 roku, lecz wspomnienie ojcowskich oczu zachowuje Bela Majthényi młodszy aż do śmierci. Ojciec i syn kochali się ogromnie, bo obydwaj mogli tylko od siebie oczekiwać prawdziwej miłości, Lenke Jablonczay załatwiała, organizowała i robiła dla nich wszystko, co trzeba, stawiała na wysokości zadania w najtrudniejszych nawet okolicznościach, ale zarówno ojcu, jak i synowi brak było aż do śmierci tego uczucia, jakiego nie była zdolna dać żadnemu z nich.

Odkąd Lenke Jablonczay przestała stanowić niebezpieczeństwo, rodzice Józsefa znów często bywali u Bartóków, gdzie teraz tłumnie zjawiali się adoratorzy Belli. Młodzi Majthényowie po pewnym wahaniu złożyli im wizytę - Józsefa nie zastali w domu, ale rewizytowała ich cała rodzina, a sam József co pewien czas, choć niezbyt często, odwiedzał dom Majthényich. Pewnego popołudnia zastał przy ulicy Fúveszkert moją matkę samą, siedziała przy fortepianie grając starą piosenkę o dziewczynce w krótkiej spódniczce. Nagle wyczuła, że ktoś na nią patrzy, w salonie stał József. Ruszył w jej stronę, w dłoni obciążonej rękawiczką wielki, bukiet fiołków, położył je na stojaku do nut i nie mówiąc ani słowa pochylił się nad moją matką. Tylko raz - pomyślała Lenke Jablonczay - tylko jeden jedyny raz dowiedzieć się, czym jest pocałunek ukochanego- Tylko raz. W tej chwili nie pamiętała, jak obeszła się z nią

rodzina Józsefa, nie liczył się Bela Majthényi, który był właśnie u lekarza na badaniu, nie liczyło się nic, tylko ta chwila, w której mogłaby się dowiedzieć, jakie byłoby jej życie, gdyby królowa nie była zbraczką i nie miała lichych pantofelków. József ■wyczuł to, przyciągnął ją do siebie i po raz pierwszy w życiu | pocałował. Moja matka opowiadała mi później o tym pocałunku, na który właściwie czekała od najwcześniejszej młodości aż do tego dnia, jak o największym grzechu swego życia. Wyrwała się Józsefowi, odwróciła się od niego i żadne z nich nie powiedziało ani słowa. József tylko po drganiu jej pleców mógł się zorientować, że płacze. Nie zdołał się nawet usprawiedliwić, bo moja matka nagle wstała, zadzwoniła i kazała przyprowadzić Beluskę, na którego József patrzył zawsze z jakimś osobliwym wstrętem, jakby to jasnowłose, wypielęgowane dziecko było przedstawicielem wstrętnego, nieznanego gatunku zwierząt. |Moja matka zatrzymała też w salonie służącą, żeby się trochę pobawiła z małym w ich obecności, i Béla Majthényi po powrocie do domu zastał najpoprawniejszą scenę: w salonie była służąca z dzieckiem. Lenke siedziała w milczeniu, więc József pożegnał się wkrótce, a moja matka, która o tej porze chodziła zwykle do Bartóków lub do kupców, nie chciała tym razem nigdzie iść, powiedziała, że woli zostać w domu. Bela Majthényi patrzył na nią ze smutkiem i zastanawiał się, czy może jej powiedzieć to, co usłyszał od lekarza, że powinien dłuższy czas wypocząć w innym klimacie -- ciekawe za co? Sklep pochłania wszystko, co mają, nie stać ich przecież na wyjazd do' Egiptu, po co więc w ogóle o tym mówić, i tak Lenke jest z nim wystarczająco nieszczęśliwa. Od męża Olgi nie mogą już więcej pożyczyć, a jeśli nawet, to raczej należałoby włożyć trochę w sklep, dopóki jeszcze warto. Moja matka siedziała przy fortepianie, niekiedy uderzała w jakiś klawisz. Jaki żal, jaki bezgraniczny smutek maluje się na tej twarzy - musiał przerazić się Béla Majthényi. Nigdy nie dowiedział się, że to była reakcja na szok, jakiego doznała przy pocałunku Józsefa: oczekiwana, wymarzona ekstaza nie nastąpiła. Kochała Józsefa, ale czuła, że jego dotyku także nie pragnie, niech tylko do niej mówi, towarzyszy jej, spaceruje z nią po ulicach, słucha z nią muzyki, nie może znieść jego zębów, języka ani oddechu. Moja matka pojęła wtedy, że

nie tylko Béla Majthényi jest chory, ale ona też, jest nawet bardzo chora. To było trudne popołudnie, pełne przemilczanych, ciężkich myśli. Gdyby jakaś mistyczna siła ukazała im przyszłość, obydwójce zdziwiliby się. Majthényi chyba nawet nie uwierzył. Był święcie przekonany, że w życiu czeka go już tylko ciepło miłości małego synka, nikt nie zdołałby mu wytłumaczyć, że naprawdę wielka, naprawdę szczęśliwa miłość jest przed nim, że zagna jeszcze namiętnej rozkoszy, że ktoś będzie do krwi całował jego chore usta i z taką czułością i troskliwością poprowadzi go przez kręte labirynty żyda, z jaką mogłaby to uczynić tylko jego matka, i że tym kimś będzie Melinda.

Na dwunastej stronie pamiętnika Józefy Heinrich czytamy: „... Muszę przyznać moim synowym, że obydwie są dobrymi żonami i wzorowymi gospodyniami, lubię je, sprawy finansowe jednak nie znalazły rozwiązania, moi synowie są niewolnikami, skazanymi na wieczne ubóstwo, a ja, która poręczyłam za nich całym moim majątkiem, spędzam dni w stałym lęku i nie wiem, w której chwili przyjdzie mi iść z torbami. Moje dzieci pozbawiły mnie nawet beztraskiej jesieni i zimy życia.”

„Dobra żona i wzorowa gospodyni.” Mąż też nigdy nie mówił o niej inaczej, nawet po rozwodzie - nie miała żadnych wad, nikt nie miał przykładniejszej żony, w domu panował porządek, spełniała wszystkie jego życzenia, i z taką samą starannością wychowywała małego Belę, jak jego pielęgnowała w chorobie. Gdy znajdowali się w towarzystwie, urzekła wszystkich, choć nie była zalotna, a przecież zgodnie z modą epoki niemal wypadało odrobinę powiosłować w cudzej łodzi wzdłuż bezpiecznego brzegu małżeństwa. To, czego nie opowiadał o nocach tych kilku lat, wyglądało równie przykładowo jak to, o czym mówił; moja matka wypełniała swoje obowiązki także i w tej dziedzinie, ale tę nocę zostawiły im obydwójgu żalosne wspomnienia. Natomiast jej zachowanie w dzień było bez zarzutu i goście, którzy bywali w ich domu, opowiadali z zachwytem o szczęściu Majthényiego. Moja matka chodziła także do sklepu, prosiła nawet braci, aby nauczyli ją czegoś pożytecznego, chętnie by im pomogła, ale bracia nie pozwolili, aby się

dowiedziała, jaki jest ich realny dochód i co dali przyjaciołom, „ot tak” za darmo, jakie pozycje figurują w nigdy nie wysyłanych rachunkach ich przyjaciół, co dostają w prezencie dawni koledzy szkolni i dalecy krewni. „Nie upokarzaj mnie! - prosił Béla Majthényi, ilekroć moja matka zaczynała mówić o sklepie. - Nie lubię, gdy się tym zajmujesz. Lepiej zrób spis rzeczy, które trzeba zabrać nad morze, tak lubisz pływać, więc możemy się wybrać całą gromadą. Olga ze swoimi też.” Kupcówna, która od swojej rodziny słyszała coraz to bardziej przerażające wieści o sklepie Majthényich, sama wielokrotnie oferowała swoją pomoc, przecież ona ma doświadczenie, dość napracowała się jako panna w sklepie rodziców, niech jej pozwolą chociaż przejrzeć księgi, może to, co mówią na mieście, to tylko fałszywy alarm, ale jeśli nawet wszystko jest prawdą, trzeba się ratować. O Bclę Majthényiego bano się przez całe jego życie, chroniono go przed zimną wodą, kaszlem, przeziębieniem, przetańczonymi nocami, miał po uszy wszelkiego nadzoru, wypraszał ze sklepu nawet własną matkę, nie tylko Marię Rickl czy żonę. Nie cierpiał wprawdzie handlu, ale skoro już zaczął, chciał iść do końca własną drogą. Nie było też mowy, aby do jego sklepu wtargnęła groszowa mentalność Anselmusów wraz z mydłem do prania, naftą i solą, miał już całkiem dość tego, że odkąd tylko pamięta, niemal zawsze wymierzano centymetrem krok, jaki mu wolno zrobić. W ostatnich latach swego życia, kiedy jego żoną była już Melinda, Bela Majthényi robił zawsze to, co chciał. Melinda pozwalała mu powozić, okopywać winorośl, zbierać winogrona, jeździć konno, we wszystkim prosiła go o radę, nawet w takich sprawach, na których znała się lepiej od niego, i Bela Majthényi w ostatnich latach przed śmiercią był tak doskonale szczęśliwy jak niewielu ludzi.

Większość fotografii mojej matki zachowała się właśnie z tego okresu jej życia. Te zdjęcia świadczą nie tylko o jej uderzającej urodzie, ale także o dobrobycie, w którym żyła przez parę lat, jak nigdy przedtem ani później. Suknie, które nosi, są zawsze białe, zdobią je koronki i wytworne ręczne hafty, na jednym wzruszającym portrecie prawą ręką odsuwa jakąś kotarę, wychyla się połową ciała i patrzy w obiektyw, trzymając

w lewej ręce różę. Wymowne jest to zdjęcie, spogląda z niego smutno uśmiechnięta dwudziestoczteroletnia kobieta. Inne zdjęcie, z parasolką i bez kapelusza, ukazuje tę twarz, którą oglądał zapewne w podróży poślubnej Bela Majthényi; ta piękna twarz, to ciało o idealnych kształtach są jak gdyby z wosku. Lenke Jablonczay ma podobnie upozowane zdjęcie z czasów panięskich, nosi na nim fartuszek i sukienkę w kropki, nie jest wymyślnie ufryzowana jak na tamtym, w cieniu parasolki, ale co za uśmiech na wargach i w oczach, to zdjęcie przedstawia uosobienie roześmianej, urzeczonej, doskonałej młodości. Ma też fotografię z Olgą, siedzi przy szwagierce w ten sposób, jak gdyby chciała się zerwać, na olbrzymim jak młyńskie koło kapeluszu kwiatowy ogród, a parasolka, na której spoczywają dłonie Lenke, jest tym razem nie w paski, lecz biała. Jej spojrzenie na tym zdjęciu przywodzi na myśl tańczącego podlotka, jak gdyby ironicznie patrzącą dziewczynkę zabrano na bal maskowy i w poważnym kapeluszu na głowie posadzono obok starszej damy. Najdziwaczniejsze zdjęcie przedstawia ją z moim bratem, jest tam znów w białej sukni, dłońmi w rękawiczkach trzyma paromiesięcznego synka, na kapeluszu o szerokim rondzie rząd medalionów. Wygląda niczym anty-Madonna, jakby obcy ludzie wcisnęli jej w ręce chłopczyka, a ona z dziewczym lękiem, lecz bez sympatii trzyma go, żeby nie spadł na ziemię. Wiele różnych nastrojów utrwaliło się na tych podobiznach, ale na żadnej z nich nie ma promiennego uśmiechu dziewczyny z ulicy Kismester. Pani Majthényi, z domu Lenke Jablonczay, od momentu zawarcia małżeństwa aż do jego rozwiązania była nieszczęśliwa i nawet na twarzy jej synka brak tego blasku i poczucia bezpieczeństwa co na zdjęciach jej córki, która choć w podarowanych przez rodzinę, wytartych, zniszczonych sukienkach nie jest tak elegancka jak braciszek, ale aż promienieje radością; fotografie drugiego dziecka Lenke Jablonczay niemal krzyczą: och, jak dobrze jest żyć! Z małego Beli, nawet kiedy się uśmiecha, emanuje niepewność, jakaś powściągliwość, niezrozumiały smutek, jak gdyby spoza namalowanego tła przedstawiającego idylliczny, skalisty lub zalesiony krajobraz, wyzierała ku niemu przyszłość, która w tak okrutny sposób położy kres jego życiu.

József, niezapomniany, nie wyjechał z miasta i nie ożenił się. Moja matka, jak dawniej, szła codziennie sama lub z Piro- ską i małym Béluską na korso, rekompensując sobie pozostałą część dnia tymi krótkimi chwilami, w których mogła zamienić z Józsefem parę słów w towarzystwie znajomych lub choćby go tylko zobaczyć. Jej życie było jednostajne:., niemal codziennie odwiedzała babkę, wykonywała tych kilka czynności, jakich wymagało od niej prowadzenie domu, zaglądała do sklepu- wychodziła na spacer, jadła obiad, po południu szła do Bartóków lub pilnowała, aby w domu był spokój, kiedy mąż na polecenie lekarza musiał leżeć. Po podwieczorku zaczynały się obowiązki towarzyskie, dzień przeważnie kończył się w teatrze, na herbatce u przyjaciół, spotkaniach u Ołgi, ewentualnie w kabarecie „Pod Złotym Bykiem”, nigdy nie wracali do domu sami, zawsze przyprowadzali parę osób i nie kładli się do łóżka, grali w karty i gawędzili. „Miałam straszne życie” -- mówiła matka, a ja tylko patrzyłam zdziwiona, bo sądząc z tego, co opowiadała, można było o nim powiedzieć wszystko, tylko nie to, że było straszne. „Kiedy zorientowałam się, jaką zmurą jest małżeństwo, chciałam natychmiast odejść, bo okazało się, że nie miałam racji nawet sądząc, że w. tym układzie przynajmniej Béla jest szczęśliwy, skoro już nie ja. Chciałam iść do pracy albo w świat, pisać lub żyć z muzyki. Ale nawet nie próbowałam, bo wciąż coś się działo.”

W tysiąc dziewięćset jedenastym na przykład umarł Junior.

Junior umarł tak, jak żył, w niewyraźnych okolicznościach i straszliwych męczarniach. W tym toku Piro-ska skończyła u niepokalanek w Nagyvérad szkołę dla przedszkolank, 14 czerwca dostała wreszcie dyplom i jej pierwsza droga prowadziła do ojca, bo Piro-ska nie zapomniała lat spędzonych w Pallag, nie cierpiała Melindy i kupcówny, za to kochała rodziców. (Ona jest jedyną z córek, która kontaktuje się z matką, koresponduje z Leidenfrostami, przemyca listy przez jedną z mieszkających poza internatem koleżanek i wszystko wie o Emmie Gacséry, która mieszka w Peszcie, ale odwiedza swoje córki w klasztorze. Oczywiście nie wchodzi, żeby nie rozgniewać Marii Rickl, tylko staje z dwoma synkami przed bramą klasztorną i idzie za udającymi się na przechadzkę uczennicami. Wtedy uczy się tam

również Irenke, jest w pierwszej klasie przedszkolank; idą dwie małe Jablonczayówny i ani słowem nie wolno im zdradzić, że ta pani - która kroczy obok nich z dwoma małymi chłopczykami, a gdy wychodzą z bramy, roni łzy - jest dla nich kimś więcej niż nieznaną piękną damą.) Kiedy Piroška kończy szkołę, wprowadza się do Lenke, woli mieszkać ze starszą siostrą niż z babką. Z ulicy Fiiveskert codziennie wykrada się do ojca -- nie wspomina o tym Lenke - zna Hildę, jego towarzyszkę życia, i nieślubną siostrzyczkę, chodzi do nich, gdy tylko może, jest tam również, kiedy Junior kona na uremnię, i zanoszą o nim wieści mdlejącej z rozpaczki Hildzie, którą kupcówna odprawiła od łoża szykującego się w daleką drogę syna. Podczas gdy Lenke nerwowo spaceruje po pokoju i chciałaby, żeby to wszystko już się skończyło i żeby ten zupełnie obcy dla niej człowiek przestał wreszcie cierpieć i tak straszliwie rzeźnić, Piroška klęczy przy łożku, trzyma i całuje trzepoczące się ręce Juniora, Melinda osusza pot na czole konającego, a Maria Rickl skulona w fotelu po drugiej stronie łożka patrzy, jak odchodzi od nich na zawsze ten, któremu ona dała to nieudane życie. Po śmierci ojca Piroška wykrada wszystko, co, jak czuje, należy wyłącznie do Juniora, Maria Rickl i Melinda długo szukają dziennika i tomików wierszy Kśłmśna Jablonczayego, nie udaje się im natrafić na żaden ślad, Piroška starannie ukrywa to, co zdołała wynieść w zamieszaniu, całą spuściznę duchową po swoim ojcu.

Na cmentarzu jest rodzina z Debreczyna, są przyjaciele, znajomi i jest ich zaskakująco dużo, w ostatniej drodze poecie Jablonczayemu towarzyszą też wysłannicy miejscowych gazet i delegacja z Koła Csokonaiego. U kapelusza Bćluski Majthenyiego powiewa na wietrze długa, czarna wstążka, Piroška jedną ręką trzyma siostrzeńca, drugą Irenke, która przyjechała na pogrzeb. Beluska płacze, nie rozumie wprawdzie, co się stało, ale widzi łzy obu ciotek, kiedy opuszczają trumnę Juniora w sąsiedztwo Bhiźniercy i Seniora. „Ja nie czułam nic - opowiadała mi matka. - Dla mnie był obcy, zupełnie obcy, nie obeszła mnie ani jego śmierć, ani pogrzeb. Zresztą mamy chyba też nie, bo nawet nie przyjechała." Dziesiąte, nieślubne dziecko Juniora, niewiele starsze od Bćluski, urządziło na cmentarzu gorszącą scenę, stało dość daleko z okrytą czarnym welonem

matką, ale musiało pojąć, na co patrzy, bo wciąż wołało: „Wstań, tatusiu.”, a kto tylko spojrzał w tamtą stronę, w wzburzonej twarzy dziewczynki natychmiast rozpoznawał rysy Juniora. „Babcia zachowywała się tak, jakby właściwie było jej || wszystko jedno -- opowiadała ciotka Piroska -- a przecież to nie był dla niej łatwy dzień, był taki moment, kiedy myślałam, że zemdleje, Melinda strasznie płakała, wiesz, że zawsze uwielbiała brata i gdy tylko mogła, starała się mu pomagać. Béla Majthényi podszedł nawet do niej, żeby ją podtrzymać, rzuciła mu się na szyję i zaczęła szlochać. A twoja matka patrzyła na niebo, na wieńce i oczywiście na Józsefa, bo był tam także i József, zawsze był obecny, gdy coś się u nas działo. Bella Bartók płakała, Lenke nie. Był piękny, jesienny dzień, połowa września, nazajutrz odwieziono Irénke do klasztoru w Nagyvás- rad, a ja wkrótce zaczęłam pracę w przedszkolu.”

Moja matka nie sprzeciwiała się, żeby Piroska objęła posiadłość otrzymaną dzięki temu miłemu, sympatycznemu Ełkowi Szabó, którego poznała na otwarciu pawilonu Dobosa. Olga miała naprawdę dobry pomysł, żeby zwrócić się do niego o pomoc, Elek Szabó jest najwięcej wart z tych wszystkich przyjaciół, którzy bywają u Olgi czy nawet i u nich, choć właściwie trudno go nazwać przyjacielem, bo ten szczupły, niski mężczyzna jest wprawdzie zawsze gotów wyświadczyć każdą przysługę, jest przyjemnym towarzyszem w teatrze czy na leśnym spacerze, wysłuchuje ludzkich tajemnic i zachowuje dyskrekcję, jest urzekający, gdy bawi towarzystwo, gdy żartuje, ale nikt jeszcze nigdy nie słyszał, żeby coś opowiadał o sobie, i nie wie się właściwie, co myśli i co przemilcza.

Mikroświatek rodziny Szabó był często przedmiotem rozmów i wyrazów uznania w domu kupcowy, Lenke Jablonczay przez całe życie słyszała o niezliczonych Szabó, którzy byli gorliwymi wyznawcami Kalwina i odznaczeni zarówno surową moralnością i pracowitością, jak i umiłowaniem nauki i sztuki. Lajos Varady-Szabó, kupiec patrycjusz, był według oceny Marii Rickl większym panem niż jakiś udzielny książę i przynajmniej tak samo szczodry: to on i Csanak, który był jego szwagrem, ufundowali Ogród Csokonaiego, dzięki niemu pustynia piasku między Wielkim Kościołem a Kolegium przeobraziła się w cudownie piękny ogród, ich hojne dotacje

przyczyniły się też w swoim czasie do wybudowania teatru i szkoły muzycznej, w której uczyła się Lenke Jablonczay, a także jemu i Csanakowi przyszło na myśl, aby po zbudowaniu młyna parowego zainicjować budowę debreczyńskiej szkoły realnej, co było tym bardziej godne szacunku, że po powrocie ze sklepu zajmowali się sztuką, deklamowali, malowali, urządzali domowe koncerty. Mari, najmłodsza Szabówna, matka Elka Szabó, tak bardzo kochała muzykę, że ojciec, Lajos Varady- Szabó kupił jej w Peszcie najlepszej marki fortepian i wysłał do Kóróstarcsa, gdzie mieszkała wraz z mężem Janosem Agyai- Szabó, aby szesnastoletnia pastorowa mogła za pośrednictwem muzyki śłać swą tęsknotę z komitatu Bekesdo komitatu Hajdu. Elek Szabó w 1905 roku wchodził już w skład urzędników magistratu komitatu Hajdu jako tymczasowo mianowany, bezpłatny praktykant administracyjny, ale w roku urodzin Beluski Majthényiego jest już koncypientem tytułarnym i całkiem wyraźnie czeka go wielka przyszłość, której może się spodziewać nie tylko dzięki swym wyjątkowym zdolnościom, ale także dzięki pokrewieństwu ze wszystkimi ludźmi, którzy liczą się w dwóch komitatach, bo oni wszyscy brali żony z rodu Szabów. Piroaska Jablonczay rzeczywiście dostała posadę od razu, kiedy wziął sprawę w swoje ręce Elek Szabó, ludzie nie zwykli mu odmawiać; jeśli czegoś naprawdę chce, potrafi oczarować każdego, czy to mężczyznę, czy kobietę, a przecież nie przypomina wyglądem rycerza. Jest wąski w ramionach, pół głowy niższy od Lenke, jego czarne włosy już mocno siwieją, choć ma zaledwie trzydzieści trzy lata, sylwetką też przypomina gimnazjalistę, jest szczupły, ruchliwy, za chudy, nawet do wojska go nie wzięto. W towarzystwie stwarza wspaniałą nastrój, jest znakomitym gawędziarzem, panie domu wprost przepadają za nim, bo kocha dzieci. Czternastka młodych Szabó rosła na plebanii w Kóróstarcsa w osobliwym świecie z tysiąca i jednej nocy, bracia i siostry rozmawiali w wymyślonym przez nich samym języku i w bezchmurnym szczęściu rozkoszowali się własnym towarzystwem. Blask Kóróstarcsa promieniuje teraz aż do Debreczyna, Elek Szabó jest przyjacielem małego Béluski Majthényiego i uczy go paru wspaniałych zabaw znad brzegów Keresza, mały Béla aż piszczy z radości, kiedy widzi, że Elek Szabó wchodzi do bramy.

Piroska jest na posadzie, Lenke może wróciłaby do szkoły, na małego i na siebie dostałaby alimenty, może udałoby się jej po raz pierwszy w życiu być całkiem niezależną. Co to by było, gdyby tak rozwiodła się z Belą? József chyba też nie zdołał Iza pomnieć, József wciąż jeszcze jest kawalerem, może i on na [coś czeka? Lenke Jablonczay klęczy przy synku i wpatruje się w niego: ta dziecięca twarz jest tylko twarzą Jablonczaych, nie Majthényich, chłopczyk jest miłym, grzecznym, zawsze jakby odrobinę wylęknionym dzieckiem, nawet obcy go lubią, jak choćby Elek Szabó, może i ktoś inny go pokocha. Moja matka znów marzy, Bella kilkakrotnie prosi ją, aby nie myślała o rozwodzie, małżeństwo to rzecz święta, nie wolno go rozwiązywać, moja matka potrząsa głową i powołuje się na prawo węgierskie, a przełękciona Bella na Kościół.

Wprowadzie Lenke

Jablonczay odwiedza każdego tygodnia Stillmunga, ale nie wspomina jej o swoich zamiarach, rozmawia z nią tylko o tym, co przeszło, gdy jednak jest mowa o terażniejszości, zgodnie z prawdą padają na temat Béli Majthényiego same dobre i piękne słowa. Ale zakonnica zna swoją wychowankę, widziała już jej twarz pełną naiwnego szczęścia i uważałaby obraz malowany przez Lenke za bardziej wiarogodny, gdyby ta wykwintnie ubrana młoda osóbką, z której sukien może się zorientować, co noszą teraz w świecie bogate kobiety, nie dowodziła w tak okrągłych zdaniach, jaka jest zadowolona i jak dobra jest dla niej rodzina męża. Ubierając się niezmiennie z surową prostotą w spódnicę i bluzkę Bellę zawodzi widocznie elokwencja, zaręczona Bella tylko jąka się i roni łzy, gdy rozmowa schodzi na temat jej narzeczonego, Bella kocha Antala Tichyego i jest kochana, Bella mówi o wyznaczonym na wrzesień ślubie w taki sposób, że jej twarz jest samym blaskiem, jakżeby nie, skoro od razu po ślubie dostanie dziecko od narzeczonego, który jest wdowcem, nie musi nawet czekać na błogosławieństwo boże. Aby i w tym przypominać najlepszą przyjaciółkę, będzie miała także Bcluskę, mniej więcej w tym samym wieku co mały Majthényi. Moja matka, jak tylekroć w życiu, znów jest sama ze swoimi problemami, nie ma serca obciążać swynii kłopotami rozpromienionej Belli. Agostonowa Bartók jest gorliwą katoliczką i jest tak samo przeciwna rozwodom jak Stillmunga; z kupcówką Lenke nigdy nie była w takiej

zażyłości, aby się jej przyznać, jak bardzo zbłądziła sądząc, że dobra wola i sympatia to wystarczające podstawy małżeństwa; Piroska ledwie wyszła z wieku dzieciństwa, o Melindzie nie może być mowy; Olga, tak mądra i miła, zrobiłaby wszystko, aby Lenke nie opuszczała jej uwielbianego brata; Jozefa Heinrich mogłaby jej słusznie zarzucić niewdzięczność; József zaś milczy. Lenke Jablonczay chodzi ulicami Debreczyna, ludzie oglądają się za nią, tak jest piękna, i nie wiedzą, że draży ją niepokój, pragnienie ucieczki, troska.

Na ślubie Belli obecni są oczywiście wszyscy, stoją w kaplicy klasztornej, moja matka próbuje modlić się, ale jakoś nie potrafi, József też przyszedł, Lenke Jablonczay zmusza się, aby nie zwracać na niego uwagi. Teraz znów widzi Bellę w sytuacji takiej jak niegdyś, na pływalni, oto w pobliżu stoją brodaty mężczyzna, dwie damy, młoda, piękna dziewczyna i młodzieniec, a kiedy ceremonia dobiega końca, na chwilę otaczają oblubienicę, zamykają ją w ramionach, ale potem rodzina rozstępuje się, Bella Bartók wraca do Antala Tichyego i patrzy na swojego Paula Washera niewinnym, szczęśliwym wzrokiem. Bela Majthényi spuszcza oczy na widok tego pełnego, niewzruszonego szczęścia, tak samo jego żona, a Stillmungus wychodząc z kaplicy udaje, że nie dostrzega ukłonu Józsefa.

Rok 1912 wykorzystuje Lenke Jablonczay na rozluźnienie nawet tych nielicznych więzów, które łączą ją z Belą Majthényim, przychodzi jej to łatwiej, niż mogłaby przypuszczać, bo stan zdrowia mężczyzny jest nie najlepszy, często, zwłaszcza w nocy, miewa ataki duszności i kaszlu; Majthényi kocha jeszcze żonę, ale wyczuwalny opór leżącego przy nim ciała ostudza jego zapalę. Lenke Jablonczay jest już zdecydowana: chce powiedzieć mężowi, że ich małżeństwo okazało się pomyłką, niechże więc pozostaną nadal przyjaciółmi i niech pozwoli jej odejść z Beluską, może uda się jej wreszcie osiągnąć to, czego nigdy nie miała - pełną niezależność; będzie pisała powieści, nowele, grała na fortepianie, uczyła i wreszcie stanie na własnych nogach. Czeka na sprzyjający moment, żeby mu o tym powiedzieć, ale wciąż ją coś powstrzymuje: przeżywają

trudne, posępne tygodnie, mężczyzna ma widocznie kłopoty, o których nie chce mówić, nawet gdy bierze go na spytki.. Dopóki Béla się z nimi nie upora, nie może na niego zrzucić nowych problemów.

Dzień 1 maja 1913 roku Maria Rickl i Majthényiowie spędzają w Wielkim Lesie, jest Bella z mężem, Olga z rodziną, Melinda, piknik odbywa się w zupełnie opustoszałym Pallag, skąd dawno już wywiał wiatr złociste woalki Emmy Gacséry, nie żyją też jej wielkie, wesołe psy, tak jak nie żyje Bobi, który zginął pod kołami wiejskiego wozu, ten sam Bobi, który tyle razy wzbijał ogonkiem kurz na ulicy Świętej Anny. Ze sklepu przywożą mnóstwo żywności, Agostonowie Bartók też przyjechali, a z nimi oczywiście Elek Szabó; Elka Szabó zaprasza się już teraz przy każdej okazji. Kupcówna, którą niełatwo rozbawić, śmieje się do rozpuku w jego towarzystwie, nikt, kto patrzy na Elka Szabó, nic domyśliłby się, jak szaleńczo, jak beznadziejnie zakochany jest w żonie Béli Majthényiego, bo sprawia raczej wrażenie, jakby nadskakiwał starszej damie. Jozefa Heinrich zapisuje ten dzień 1 maja w swoim pamiętniku jako jeden z najpiękniejszych dni swojego życia; mały pasierb Belli i mały Bela Majthényi bawią się razem, a Piroška włoczy się dokoła domu, zagląda do okien, jakby szukała własnego dzieciństwa. Towarzystwo długo zostaje w Pallag, po południu zasiadają do kart. Elek Szabó bawi się z dziećmi, bo tylko on jeden nie umie grać. Późnym popołudniem zjawia się nagle József, Lenke Jablonczay prawie nie patrzy na niego, lecz tym uważniej obserwuje go Elek Szabó, jak gdyby chciał się dowiedzieć, z jakimi wspomnieniami będzie musiał walczyć w przyszłości. József przyłącza się do grających w karty, wracają późnym wieczorem, na jednym kolanie Elka Szabó drzemie Beluska Tichy, na drugim Béluska Majthényi. 13 maja 1913 roku upada plan ucieczki Lenke Jablonczay, sklep Majthényich bankrutuje, a Jozefa Heinrich zapisuje w swoim dzienniku: „... straszna sytuacja, to już koniec wszystkiego, moje dzieci zbankrutowały, stały się żebrakami. Życie może mi już przynieść tylko smutek i żal.” Majthényicmu, zamożnemu kupcowi, można było wspomnieć o rozwodzie, Majthényiemu-bankrutowi już nie. Stoi Lenke Jablonczay w oknie domu przy ulicy Fiivészker, patrzy na bezkresne puszczańskie niebo. Ma dwadzieścia osiem

lat, jej prawej ręki czepia się zbankrutowany mężczyzna, lewej czteroletni chłopczyk. Wiązą ją mocniej niż kajdany.

Bankructwo sklepu Majthényich nie było krachem efektownym, Jozefa Heinrich do ostatniego filléra spłaciła długi swoich synów - wdowa po Emilu Majthényim straciła w ten sposób całe zabezpieczenie materialne na stare lata. Żeby pomóc pozostałym nagle bez źródła utrzymania braciom, połączyła się w staraniach cała rodzina. Jenó dostał pracę w handlu, Béli znaleźli posadę w towarzystwie ubezpieczeń, do uregulowania ich sytuacji finansowej przyczynia się zarówno Istvsn Tóth, mąż Olgi Majthényi, jak i dom przy ulicy Kismester. Maria Rickl straszliwymi słowami wymyślała wnuczce za to, że wypuściła cugle z ręki powierzając swój los samcowi, nawet gdy było już oczywiste, że okręt idzie na dno. Już po pierwszych sygnałach należało wyprosić Bclę razem z tymi wszystkimi darmowymi klientami i samej stanąć za ladą, stała tam kiedyś jej babka, prababka, powinna więc mieć to we krwi. Ale mimo to pomogła Lenke, przez co sama znalazła się na dnie pod względem materialnym, nie wiedząc jeszcze, że jej siły życiowe są także na wyczerpaniu. Dwie starsze siostry Juniora urządzają potworną scenę, wspominając o starczym rozmiękczeniu mózgu swojej matki, która mimo że dała Lenke wprost królewską wyprawę, wciąż jeszcze jej pomaga, choć jej własny byt jest zagrożony. Jednakże osobą, która zrobiła dla Majthényich najwięcej, była Melinda.

Melinda niedawno dostała spadek, umarł ktoś z rodziny zapisując jej kawałek ziemi i domek z winnicą, ziemię pod *Debreczynem, winnicę w komitacie Bihar. Na wieść o bankructwie powiedziała bratanicy, że w winnicy stoi pusty dom, dobrze zrobiłyby im i dziecku ta cisza, powietrze i sam fakt, że mogą być z dala od plotkującego miasta. Znajomi co prawda nie robili żadnych aluzji do tego, co się stało, a nawet, jeśli to możliwe, zachowywali się wobec Majthényich jeszcze serdeczniej niż przedtem, ale to było trudniej znieść, niż gdyby mówili: „Jakże nam przykro, że państwo zbankrutowali!” Moją matkę uradowała ta propozycja Melindy, po klęsce nie śmiała niemal wychodzić na ulicę, bała się, aby nie spotkać Józsefa, jego

reakcji, a najbardziej tego, że na jej widok może zrobić ironiczną minę; jeszcze nawet wtedy oceniała wszystko miarą Józsefa i przerażała ją osobliwa prawidłowość własnego życia: ona chyba nic może być i nigdy nie będzie beztroska. Z powodu kłopotów materialnych rozstali się z nią rodzice, brak pieniędzy sprawił, że nie mogła połączyć się z tym, którego kochała, a kiedy wydawało się, że los się odwróci! i zamiast prawdziwego szczęścia i miłości obiecuje na pewien czas spokój dobrobytu, życie znów pokazało jej figę i może spodziewać się kpiącego uśmiechu Józsefa; cóż to się stało z tym bogatym Majthćnyim, który dotychczas oprócz zapadniętej piersi i ataków kaszlu miał przynajmniej majątek? Teraz Majthćnyi ma już tylko gruźlicę, a nie wypada rozwodzić się ze zbankrutowanym kupcem. Moja matka pakuje się, Piroska wraca na ulicę Kismester, Lenke Jablonczay wyrusza w drogę do winnicy z dużym Bćlą, małym Bćlą i Melindą.

Między dwoma pokojami biedermeierowskiego domu pomalowanego na żółto znajdowała się wyłożona czerwonym kamieniem sień, w której rogu stał piec kuchenny. Melinda rozlokowała gości w ten sposób, że jeden pokój zajęła Lenke z mężem, a drugi ona sama z Bćluską. Był maj, ciepły, pachnący maj, i Lenke Jablonczay pisząc na werandzie opowiadanie, słuchała rozmów Melindy i Beli Majthćnyiego. Po bankructwie sklepu Majthćnyi załamał się, jękał, że teraz jest nędzarzem, nie może zapewnić swej rodzinie nic poza suchym chlebem, moja matka więc nie powinna czuć się zobowiązana do znoszenia jego czułości, przecież teraz już nie warto ukrywać, że nie tylkoigó nie kocha, ale czuje do niego wstręt. Moja matka powiedziała z oburzeniem, że z własnej woli została jego żoną i czuje się nią również teraz, kiedy jest chory, zmęczony i nie ma pieniędzy, ich małżeństwo to nie umowa handlowa. Nic nie poradzi na reakcje swojego ciała, to wina natury, ale to nie może być przeszkodą, aby Bćła korzystał ze swoich praw. Poza tym niech przestanie jęczeć i płakać, nie ma sensu urządzać scen, ona ma dyplom, już od dawna myśli o tym, żeby znów zostać nauczycielką, mogłaby też uczyć muzyki, jeśli trzeba, z radością podzieli z nim kłopoty. Najchętniej podjęłaby się wszystkiego sama, powinna była przedtem wziąć się do pracy. Bćła Majthćnyi, zamiast podziękować za propozycję, odwrócił się na pięcie

i zostawił ją bez słowa. Mąż mojej matki zdał sobie wtedy sprawę, że wali się wszystko, czego się tknie, brak mu jeszcze tylko tego, aby ta kobieta, która już na początku podróży poślubnej potrafiła zdejmować z półek bagaże, których on nie mógł udźwignąć, udowodniła mu teraz, że znalazła wyjście z sytuacji. Nie musi przez lojalność znosić jego pieszczot, są przecież jeszcze na świecie inne kobiety.

Tam na górze, gdzie w ciszy kryształowo czystego powietrza Běla Majthényi nabierał sił, a wspianiale gotująca Melinda stawiała na stole takie potrawy, które duży i mały Bela przyjmowali oklaskami, moja matka stała się świadkiem prawdziwego cudu. Melinda, opiekunka kalekich zwieżąt, lekarka chorych bezdomnych kotów, troskliwa pielęgniarka Seniora, wierny paż Juniora, wykradająca dla niego pieniądze i policzkowana za to przez matkę, odnalazła czarodziejskie zaklęcie, na które odpowiedziały urażona duma i chore ciało męża Lenke Jablonczay. Běla Majthényi latem 1913 roku dostawał nie tylko znakomite jedzenie, mnóstwo owoców i korzystał z górskiego słońca i suchego klimatu; inteligentna kobieta o cierpkim dowcipie, Jctóra zorganizowała mu towarzystwo spośród okolicznych mieszkańców, nie tylko starała się go rozerwać, ale też przekonała go, że to, co mu się przydarzyło, nie jest aż taką znów katastrofą, nawet siłacz nie poradzi na złe moce, gdyby się tylko rozejrzył, zobaczyłby, że nie jest osamotniony, świat pełen jest pechowców, którym się nie powiodło. Melinda latem tego roku zrobiła sobie zdjęcie, fotografia ukazuje wkraczającą w czterdziesty rok życia starą pannę, z niezręcznie upiętych włosów wystają szpilki. Ręce ma żyłaste, suknię źle skrojoną, podobna jest do swojej matki i wydaje się ostatnią kobietą na świecie, która może wzbudzić wielką miłość, ostatnią, która sama może stać się igraszką dzikich namiętności, a jednak latem 1913 roku Bela Majthényi-nie mający już pieniędzy, dręczony poczuciem winy, że przyspieszył koniec swej matki Józefy Heinrich, która po bankructwie braci ciężko zaniemogła i już nigdy nie wyzdrowiała, znajdujący się w krytycznym punkcie swego życia, będący mężem kobiety, która przez cały czas trwania małżeństwa darzyła go tylko uprzejmą sympatią i pełną rezygnacji cierpliwością, nigdy zaś uczuciem - zakochuje się w najmłodszej siostrze Juniora Jablonczayego. Różnica wieku

między nimi wynosi równe dziesięć lat, Béla Majthényi przyszedł na świat w 1882 roku, Gizella Jablonczay urodziła się w 1872.

Moja matka natychmiast spostrzegła rozkwitającą idyllę, która wkrótce przerodziła się w poważne uczucie, i starała się ułatwić życie zakochanym, zabierała Béluskę na dalekie spacery, trzymała go z dala od wszelkich scen, których sprytny chłopczyk nie powinien być świadkiem. Jakże chętnie powiedziałyby mężowi i ciotce, że daje im błogosławieństwo, tylko że z wielu przyczyn nie wolno jej było tego uczynić. Lenke Jablonczay nie mogła wszcząć procesu rozwodowego przeciwko niespodziewanie zubożałemu Beli Majthenyiemu, nie byłoby jej wolno tego zrobić, nawet gdyby jej mąż zachowywał się z mniejszym taktem, i nie mogła też pozwolić, aby o którymkolwiek z zakochanych powstały w Debreczynie plotki. Gdyby Maria Rickl dowiedziała się, że stara Melinda odbiła męża własnej bratanicy, załamałaby się. Nie może więc zrzucić takiego brzemienia na staruszkę, którą teraz prawdziwie kocha i dla której ona, Lenke, jest światłem oczu. Jeśli Bela odpowiednio dyskretnie ułoży sobie życie z Melindą, a Melinda z Belą, ona nie powie ani słowa - było jej żal ich obojga.

Widziałam ten biedermeierowski dom na stoku góry, i to w najbardziej nierealnej scenerii, bo toczyła się druga wojna światowa, a my nocą przekradaliśmy się do hrabiowskiego lasu, by zobaczyć nadchodzące sarny, cichemu stukotowi kopytek tych łagodnych zwierząt towarzyszył pomruk amerykańskich bombowców. Widziałam też Melindę na Zawsze żegnającą się z winnicą, byłam młoda, okrutna, nie kochałam jeszcze naprawdę nikogo. Miałam chęć ją uderzyć, tak bardzo mnie złościło, że płacze, waha się, nie chce opuścić tego miejsca na górze, choć front jest od nas oddalony o parę kilometrów. Ale mnie nie wiązał z tym miejscem żaden sentyment, w moich wspomnieniach nie jawił się łagodny, jasnowłosy Bela Majthényi siedzący na łące wśród kwiatów, idący miedzą wśród pól, próbujący zeszłorocznego wina w prasowni, nucący, śmiejący się, kaszlący, nie rozumiałam i nie czułam, że Melinda żegna się z miłością, szczęściem, życiem, wakacjami zmarłego męża: ona była jedyną osobą wśród nas, która wiedziała z całą pewnością, że już nigdy tu nie wróci.

Latem 1913 roku zapełnia się wiele stron w pamiętniku Lenke Jablonczay. Jednakże w częstych listach do Belli, która przeżywa najpiękniejszy okres swego życia, bo oczekuje dziecka, nie wspomina ani słowem o tym, czego jest świadkiem w winnicy. Nie dlatego że powątpiewa w dyskrecję przyjaciółki: nowin, które są naprawdę ważne, nie powierza się papierowi który tak łatwo może dostać się w niepowołane ręce - obiecały to sobie solennie jeszcze w klasztorze. Wiem jednak, że brała dziennik do ręki częściej niż zazwyczaj, bo kiedy w mojej obecności porządkowała swoją ulubioną skrzynkę, trzy spośród opatrzonych datami nalepek na zeszytach nosiły datę 1913. Kiedy prowadzenie domu w winnicy przeszło bez reszty w ręce Melindy, która pragnęła być wzorową gospodynią, idealną panią domu, czarującą damą, pielęgniarką, dobrym towarzyszem i kochanką w jednej osobie, moja matka miała czas na pisanie nowel, szkicowanie powieści, prowadzenie dziennika i długie spacerunki z Bćluską po okolicy. Gdyby Bella wiedziała, jaka jest prawda, o której Lenke nie pisze jej w listach, z pewnością by się przeraziła: Lenke Jablonczay rzadko była bardziej zrównoważona i szczęśliwa niż tego lata. József, niezapomniany, jest jeszcze wolny, jej związek z Belą został zerwany i, choć ze względu na Marię Rickl nie może liczyć na szybkie oswobodzenie, czuje już, że najtrudniejszy problem jej życia zostanie rozwiązany. Wprawdzie do śmierci babki musi mieszkać z Bćlą Majthenyim, ale już nigdy nie musi do niego należeć, a to najważniejsze. Nigdy zdradzana żona nie czuła większej wdzięczności wobec niewiernego męża niż moja matka; nigdy w życiu nie była tak serdeczna dla Gizelli jak właśnie wtedy.

Jesienią 1913 roku małżonkowie urządzają winobranie w domu na górze, Elek Szabó często przesyła im nowiny o tym, co słyhać u rodziny w Debreczynie. Tymczasem Irenke też dostaje dyplom przedszkolanki u niepokalanek i ostatecznie wraca na ulicę Kismester, gdzie jest zresztą bardzo potrzebna, bo Piroska, dzięki swej posiadłości, dostała służbowe mieszkanie. Elek Szabó sam fotografuje i sam wywołuje wysyłane na górę pocztówki, przedstawiające Debreczyn i fragmenty Wielkiego Lasu, na kartach nadchodzą uspokajające wieści, mogą być spokojni, dziewczęta i babcia czują się dobrze, a im zapewne

musi być przyjemnie w pięknej posiadłości Gizelli. Duży i mały Béla przez lato nabierają sił i są jak odrodzeni. Niechętnie też wracają do miasta, gdy jest to już nieuniknione, bo Majthényi musi objąć nową posadę w Towarzystwie Ubezpieczeń. Po powrocie pierwsza droga mojej matki prowadzi na ulicę Kismester, gdzie przyjmuje ją nachmurzona Irénke. Metody wychowawcze Marii Rickl są dość surowe, surowsze niż u niepoka- lanek, a poza tym Maria Rickl jest chora i pod nieobecność Melindy pielęgnowanie jej spada na Irénke. Kupcówna rzeczywiście jest bardzo słaba; kiedy nastąpiły sloty, wyraźnie straciła siły, a jej duszący kaszel -- ma astmę -- rozlega się w całym domu i przeraża trzymającą ją za rękę i współczującą jej bezradnie Lenke. Mojej matce popłynęły łzy, kiedy czekała na koniec ataku kaszlu u babki, poczuła, że nie chciałaby jej niczym zmartwić i odmienić swojego losu, nawet gdyby Melinda i Majthényi przestali zważać na pozory, i uczynili ją, Lenke, przedmiotem powszechnego pośmiewiska.

Moją matkę powitała w domu Bartóków smutna nowina. Wspomina o tym dziennik ojca Belli z 1913 roku: „20 września 1913 roku wieczorem odbył się w Budapeszcie, w kościele w dzielnicy Krisztinaváros, ślub naszego syna Ferencza z Mariannę Térffy, ale już szesnastego września mój zięć Antal zachorował na tyfus płamisty i wrócił do zdrowia dopiero w końcu października. Tymczasem 9 października Bella urodziła córeczkę Mariannę w naszym starym mieszkaniu. Kiedy wszystko wróciło do normy, 2 grudnia z okazji pierwszej wizyty Feriego i jego żony urządziliśmy chrzciny małej Mariannę, a ceremonii dokonał prałat Groh.”

Przyjaciółki nie spotykają się jednak aż do chrzcin Mariannę, Bella przechodzi kwarantannę z powodu męża, którego osobiście dogląda, podczas gdy niemowlęciem zajmują się dziadkowie, tak więc chrzciny Mariannę to nie tylko radosne święto, lecz pierwsze po dłuższym czasie spotkanie. Ale w domu Bartóków jest pełno gości, Lenke Jablonczay gdyby nawet chciała, nie mogłaby mówić o sprawach intymnych, zresztą widząc promienną radość Belli, jej dom rodzinny, gdzie wszystko jest na swoim miejscu i gdzie wszyscy cieszą się maleństwem, nie ma serca mącić tej harmonii własnymi kłopotami. Tak jak niejednokrotnie to czyniła, idzie od Bartóków do klasztoru, gdzie Stillmungus w pół godziny wyciąga od niej

prawdę. Zakonnica nie blednie, nie dostaje wypieków, tylko kręci głową i zamiast powiedzieć: „Moja biedna Lenke”, mówi: „Moja biedna Gizella.” Potem pyta moją matkę: „Powiedz, jesteś wreszcie szczęśliwa?” Lenke patrzy na nią bez słowa, a potem nie wybucha płaczem, tylko tym dawnym śmiechem, który tak irytował siostrę Aloysię: Stillmungus odgadła wszystko i zaprowadziła ład w jej myślach. „No pewnie-odpowiada - jestem szczęśliwa. Aż za szczęśliwa.” Stillmungus nie pozwala jej cieszyć się zbyt długo, psuje jej całą radość: „Teraz, gdy tylko będziesz mogła, wystąpisz pewnie o rozwód nie przejmując się dzieckiem. To naprawdę «wie!kie szczęście*», kiedy dziecko chowa się bez ojca! Myślisz czasami o swojej siostrze Klári?” Jest to nieprzyjemne pytanie, więc moja matka żegna się pospiesznie, Klári, córka Juniora i Hildy, skończy wkrótce dziesięć lat i Lenke Jablonczay nie chce o niej słyszeć, właściwie nie wie nawet, z czego żyje osierocona rodzina Juniora. Emma Gacséry dostaje od Marii Rickl alimenty, o tym moja matka słyszała, ale Hildzie nikt nic nie daje, Hilda to nie żona, Hildy nie ma i nie ma też małej Klári, choć to jej przyrodnia siostra, która też uczy się już w klasztorze Sióstr Szkolnych. Lenke Jablonczay, nieodrodna wnuczka kupcówny, choć już dość dawno sama została matką i na pewno jak nikt zna powikłane sytuacje rodzinne, jest nieprzejednana, nie może się też wyprzeć dziedzictwa po Róskhel Bányay: nie chce nic wiedzieć o młodszej siostrze Klári. Mijają dziesiątki lat, moja matka jest już bliska śmierci, kiedy mówi do mnie: „Powinnaś załatwić jakoś sprawę Klári. Wszyscy wiedzieliśmy, że to nasza siostra, i nie było winą ojca, że nie mógł jej dać nazwiska, twoja prababka nienawidziła Hildy i postanowiła płacić mamie, dopóki nie rozwiedzie się z ojcem, tylko dlatego żeby nie wpuścić jej do rodziny. Proszę cię, zrób coś, żeby mogła nosić nasze nazwisko i żeby wreszcie była prawnym członkiem rodziny.” Moja ciotka Klári roześmiała się, kiedy powiedziałam jej o propozycji matki, i nie chciała skorzystać z tej uprzejmości. Przez całe dzieciństwo cierpiała z powodu Jablonczaych i właśnie tylko tego jej brakowało, aby w okresie, kiedy było to najgorzej widziane, połączyć się prawnie z rodziną, która mogła udowodnić swą przynależność do szlachty jeszcze od czasu najazdów tatarskich.

Moja matka reorganizuje gospodarstwo -- wynagrodzenie, które przynosi Majthényi, jest zaledwie drobną cząstką tego, co otrzymywała od niego w czasach posiadania sklepu, musi więc oszczędzać każdy grosz. Życie pozornie toczy się dawnym torem, tylko Béla Majthényi jest częstszym gościem przy ulicy Kismester, a Melinda ciągle zagląda do swej bratanicy Lenke. Moja matka waha się, ile prawdy może wyjawić swej szczęśliwej przyjaciółce, potem postanawia, że na razie nic nie powie. Bella jest tak radosna, poza tym lubi Bélé i lubi też Melinę, zmartwiłaby się tylko. Z Bellą można dzielić wszystko, co dobre, ale trzeba o nią dbać i moja matka potrafi być tak subtelna, że przemilcza to, co rwie się jej na język, i opowiada raczej o Irénke: dziewczyna z trudem wytrzymuje atmosferę przy ulicy Kismester, byłoby lepiej, gdyby i ona mogła iść do pracy. Elek Szabó jej załatwi, mówi Bella, przecież Piroskę też umieścił na posadzie, na całym świecie nie ma chyba osoby bardziej uczynnej niż ten człowiek, niechże mu Lenke o tym powie na najbliższej herbatce u Olgi. Lenke Jablonczay naprawdę wspomina Elkowi Szabó o Irénke, a on obiecuje, że na posiedzeniu Komitetu Szkolnego rozejrzy się, co można by zrobić. Kupcówna bardzo go chwali, zaprasza go nawet na podwieczorek, nie do Majthényich, ale do siebie, kiedy przychodzi z dobrą nowiną, że udało mu się znaleźć dla Irénke pracę pomocnicy przedszkolanki.

Z tego okresu pozostało wiele listów zadziwiających w treści, kiedy zwróci się uwagę na ich daty. Gizella Jablonczay, która największym zaufaniem darzyła Margit Bartók, pisze do niej wiosną 1914 roku: „... zaledwie wyjechałaś, moja ty kochana przyjaciółko malarko, zjawiała się kuzynka z córką z Budapesztu, w sobotę wyjechały, nie miałam dla siebie ani minuty. Dwukrotnie była francuska herbatka* jedna z gęsimi wątróbkami u Olgi, i druga jak dawniej nastrojowa, z muzyką fortepianową u Belli. Na tej ostatniej nie mówiło się po francusku, ale było uroczo. Na czwartek odstąpiłam mój abonament do teatru córeczce kuzynki chcąc napisać do mojej malarki, której obrazy przyjmuje już nawet Salon, a potem tak się złożyło, że i Bella nie poszła do teatru i dzieliła ze mną samotność. Rozmawiałyśmy o uczuciach, sprawach intymnych i czytała mi urywki swojego pamiętnika. Miałam wrażenie, jak

-gdyby oczyściła się moja nieczuła dusza, zresztą wielokrotnie już to odczuwałam w waszym towarzystwie. Słuchając tego, co czytała Bella, byłam bliska płaczu nad tym, co i we mnie kiedyś było i co przepadło na wieki. A ty, moja kochana przyjaciółko, co u ciebie? Zobaczysz, kiedyś jeszcze będzie się można chęłpić twoją przyjaźnią, robisz wspaniałą karierę. Napisałabym o jakichś nowinach, ale nic nie wiem, ciągle bywam tylko u rodziny albo siedzę w domu, nie mam nawet pojęcia, co słycać w wielkim świecie. Wiesz, Margitko, mam jednak pewną nowinę, dla mnie ważną. Wyobraź sobie, że zaprzyjaźniłam się szczerze z Bclą Majthcnyim. On ma bardzo dobre serce. Naprawdę stara się wkraść w moje łaski i czuję się tym zaszczycona. Bardzo się cieszę, że podkreśla tę sympatię, którą mnie darzy. Nie uwierzyłabym, że tak będzie." Agoston Bartók 20 maja 1914 roku informuje swoje siostry, że jego syn Ferenc złożył w Trybunale Wojskowym Budapesztu egzamin na sędziego wojskowego, zaś 18 czerwca w południe został ojcem, mały Andras na chrzcie świętym otrzymał od swoich rodziców chrzestnych, Belli i Anta- la Tichych, poza pierwszym imieniem także dwa następne: Gyula i Agoston. W jakiś czas później Agoston Bartók wspomina w swoim dzienniku: „25 lipca 1914 roku o szóstej wieczorem wprowadzono stan wyjątkowy, ponieważ w tym terminie Serbia nie udzieliła na ultimatum Monarchii zadowolającej odpowiedzi i baron Giesel, nasz ambasador, opuścił Belgrad. 26 lipca ogłoszona została częściowa mobilizacja, zaś 31 lipca - po rozpoczęciu wojny z popierającą Serbię Rosją - mobilizacja powszechna, 3 sierpnia wojska niemieckie, a 6 sierpnia nasze przekroczyły granicę rosyjsko-polską i tak zaczęła się wojna światowa. Z jednej strony Rosja, Francja, Anglia, Belgia, Serbia i Czarnogóra, z drugiej zaś tylko Niemcy i Austro-Wę- gry, a potem Bułgaria i Turcja. Podczas mobilizacji wróciły przebywające na wakacjach w Nagybanya Margit i Bella, dzieci i dwie służące, oraz bawiąca w Budapeszcie moja żona Berta. 1 sierpnia mój zięć Antal Tichy jako porucznik rezerwy wojsk kolejowych wyruszył do Galicji, zaś mój syn Feri, ponieważ nie otrzymał jeszcze nominacji na sędziego wojskowego, zaciągnął się do 12 pułku honwedów w Szatmarnémeti* jako porucznik rezerwy."

Towarzystwo debreczyńskie, w któryni obraca się Lenke Jablonczay, bawi się na francuskich herbatkach, zajada gęsie wątróbki, bierze udział w przedstawieniach amatorskich, bywa w teatrze, w kinie, tańczy do świtu' na balach, organizuje wystawy i niemal nikt nie zauważa, że tymczasem zatwierdza się plany budowy węgierskiej fabryki armat (nie jest też tematem rozmów budowa uniwersytetu debreczyńskiego), że nowe prawo wyborcze, dopuszczające do głosowania wyłącznie osoby, które ukończyły trzydziesty rok życia i dłuższy czas zamieszkują w jednym miejscu, uniemożliwia udział w wyborach wędrującym po kraju w poszukiwaniu pracy bezrobotnym i przypomina raczej skecz kabaretowy niż ustawę praworządnego państwa. W listach nie pada ani słowo o tym, że kraj znalazł się nad przepaścią, że zadłużenia państwa dochodzą do dwudziestu miliardów - kiedy rządy przejmuje Khuen*, znajduje w skarbie gotówkę za ledwie na parę dni. Panie i panowie grają w tenisa, zimą chodzą na łyżwy, na rytmikę, na jednym ze zdjęć wykonanych przez mojego ojca wśród lampionów i straganów z nadzianymi na patyki obwarzankami stoją na lodzie fotele na płozach i podczas gdy w kantine kąpieliska „Margit” organizuje się pod osłoną kufli spienionego piwa i lichego dymu tytoniowego ruch robotniczy, entuzjastyczni mecenas sztuki organizują żywe obrazy. Tymczasem w następstwie wojny diabli biorą wszystkie możliwości eksportu na Półwysep Bałkański; po okupacji Bośni i Hercegowiny południe Europy staje się beczką prochu, znika złoto, kończy się płacenie gotówką i kredyt, kolejno bankrutują dysponujące mniejszym kapitałem banki, wzrasta liczba samobójstw, mówi się o zamachu bombowym na biskupa prawosławnego, chorwacka Sławonia protestuje przeciwko używaniu narzuconych jej węgierskich nazw miejscowości i napisom w języku węgierskim - rzeczywiście trzeba było tylko iskry, żeby buchnął płomień. Nikt nie zwraca jednak na to uwagi, Gizella Jablonczay śni o Beli Majthćnyim, Lenke Jablonczay o Józsefie, József o karierze, Bella Bartók o drugim dziecku. Elek Szabó jest sekretarzem w magistracie,

czyną, członkiem Komitetu Szkolnego, urzędując w sekretariacie burmistrza, zniwala swym urokiem każdego interesanta, jest w tym człowieku jakaś siła przyciągania właściwa aktorom. Zresztą interesuje się teatrem, którego sprawy są również w jego gestii, i jeśli tylko ma czas, uczestniczy nawet w próbach. Strzał w Sarajewie powoduje nie tylko wybuch wojny światowej, lecz wprowadza też zmiany w życiu prywatnym obywateli. W parlamencie Tisza* przemawia w imieniu monarchii, każe wyprowadzić Andrásyego** i Károlyiego***, nazywa zamach w Sarajewie problemem międzynarodowym. „Słysząc szum skrzydeł historii” - cytują jego słowa u Bartóków. Tego dnia całe towarzystwo debreczyńskie chodzi nieco jak pijane, do sztuk muzycznych, francuskich herbatek, nowości literackich, premier, sensacji kinematografu, który od dawna stał się ulubioną rozrywką, dochodzi euforia, wszyscy są dumni, że mogą być świadkami tak ważnego zwrotu historycznego, wszyscy czekają na coś wielkiego, na jakieś straszliwe wydarzenie, które zarazem zapewni ojczyźnie wieczną wolność i ostatecznie wyznaczy jej miejsce wśród największych narodów świata. Wszystkie gazety zamieszczają zdjęcie rozmodlonego na klęczniku Franciszka Józefa, król o wszystkim myśli, rozważa, obiecuje błyskawiczną wojnę, Lenke Jablonczay dowiaduje się, uszczęśliwiona, że József dzięki swym stosunkom wyreklamował się z wojska; Gizella Jablonczay też nie ma powodu do łez; Bela Majthényi nie potrzebuje nawet protekcji, on jest naprawdę niezdolny do służby wojskowej. W powszechnym entuzjazmie nie uczestniczą tylko dwie osoby z zaprzyjaźnionego towarzystwa -- Lilly, córka Olgi, która z nadzwyczaj mądrego dziecka wyrosła na wykształconą pannę trzeźwo oceniającą wydarzenia, i Elek Szabó, który właśnie w tym czasie zostaje nowym członkiem Debreczyńskiego Towarzystwa Filharmonicznego. On również nie może iść bronić ojczyzny (nigdy nie był nawet na przeszkoleniu), ponieważ w dzieciństwie chorował na jaglicę, i jego wzrok nie odpowiada wymaganiom komisji wojsko-

wej. Elek Szabó nie jest entuzjastą wojny, ale też klaszcze, bo klaszczą inni, i ofiarowuje jadącemu na front Antalowi Tichye- mu poświęcony w Rzymie medalik z podobizną świętego Krzysztofa. Skąd wzięło się coś takiego w posiadaniu żarliwego kalwina, nikt się nie dowie. Właściwie wtedy zaczyna się prawdziwa przyjaźń Belli i Elka Szabó; po wyjeździe Antala Tichyego Elek Szabó wciąż pokazuje się w domu Bartóków, to u Ilonki, to u rodziców, to znów w mieszkaniu Belli. Bywał już u nich od chrzcina Mariannę, ale nigdy tak często jak wtedy gdy Bella najbardziej potrzebowała pociechy, i przyniesionymi z ratusza nowinami, które w jego ustach brzmiały wręcz optymistycznie, uspokajał młodą matkę, a jej pasierb i córeczka przepadały za nim tak samo jak wszystkim dzieciom. „Elekbył taki, jakby był moim bratem - wspominała Bella. - Nigdy mu tego nie zapomnę." Milczałam, bo jakkolwiek Bella mogłaby być moją matką, to podobnie jak inni ja też zawsze osłaniałam ją niczym dziecko, byłoby mi głupio zrobić jej przykrość powiedzeniem prawdy. Nie wątpiłam, że Elek Szabó rzeczywiście czuł do niej sympatię, często o tym wspominał. Tylko że Elek Szabó tak rzadko szedł w jakimś zdecydowanym kierunku, że jeśli mu się to już zdarzyło, to można było przypuszczać, że ma jakieś ukryte zamiary. „Bella ciągle mi mówiła, jaki to on jest cudowny, jaki dobry, aż w końcu ja też zaczęłam zwracać na niego większą uwagę" - opowiadała mi matka. Pokiwałam głową, że rozumiem, i naprawdę rozumiałam Elka Szabó, będąc na jego miejscu, ja też startowałabym od tego punktu.

Elek Szabó i József bywali zresztą Majthényich z tą samą mniej więcej częstotliwością. Gdy nie było tam akurat sekretarza burmistrza, József robił na jego temat drobne uszczypliwe uwagi, że jest niski, że nie umie tańczyć, nie ma pojęcia o grze w karty, nie chodzi do Kasyna. Wtedy Bela Majthényi nerwowo bronił nieobecnego przyjaciela. Elek Szabó nigdy nie robił uwag na temat Józsefa, a jeśli już, to chwalił jego ujmującą powierzchowność, zdolności, doskonale maniery. Później, kiedy Lenke Jablonczay była już jego żoną, zawsze dziwiła się, jak impulsywna jest nienawiść Elka wobec Józsefa. „Ale przecież zawsze go wychwalałeś!" - rzekła kiedyś. „Nie zwykłem ujawniać moich uczuć -- odparł. -- Dopóki nie poprosiłem cię o rękę, ty też nie wiedziałaś, że cię kocham." Moja matka zamyśliła się,

a potem wybuchnęła śmiechem: naprawdę tak było. Nigdy nie potrafiła odgadnąć, co się właściwie kryje w tym człowieku.

Ostatni kwartał 1914 roku i pierwszy 1915 znamionują częste spotkania Lenke Jablonczay i Belli Bartók. Moja matka jest zadowolona, gdy może uwolnić się od towarzystwa zakochanych, wszędzie zabiera ze sobą Béluskę. Ze szkoły muzycznej przychodzi list z pytaniem, dlaczego nie zaczyna znów koncertować, przecież dziecko nie zabiera jej już chyba tyle czasu. Moja matka unika odpowiedzi, nie może powiedzieć, że jej męża denerwuje, gdy ćwiczy na fortepianie, a poza tym uważałby za niestosowne, gdyby ona, matka, występowała na estradzie. Tak więc gra już tylko dla własnej przyjemności, a i to coraz rzadziej, teraz raczej Bella siada przy fortepianie i przywołuje muzyką męża. Tymczasem osiemdziesiąt pięć dywizji niemieckich wysłanych na granicę francusko-belgijską przełamuje fortyfikacje belgijskie i zagraża Paryżowi, Joffre jednak przegrupowuje siły i Niemcy po wrześniowej bitwie nad Marną wycofują się nad Aisne. „Nastąpią straszliwe lata - mówi Elek Szabó. - Walka pozycyjna. Biedni my. Biedni oni." Melinda po raz pierwszy w życiu krzywo spogląda na Elka i zwraca mu uwagę, że nie ma co żałować wroga. „Międzynarodowy Czerwony Krzyż też ich żałuje" - odzywa się Lilly. „Żeby się tylko szybko skończyło -- wzdycha moja matka. f§ Przydałby się pokój. Wystarczy, że babcia chora. Żal patrzeć, jak się dusi."

Podczas gdy Rosjanie przekraczają granicę, wypierają w Karpaty atakujące ich wojska austro-węgierskie i mimo pierwszych sukcesów i zwycięstw Hindenburga pod Tannenbergiem* i nad jeziorami mazurskimi jesienna kampania nadwiślańska kończy się niepowodzeniem, a co więcej, Rosjanie wdzierają się nawet przejściowo na ziemie węgierskie - Lenke Jablonczay coraz więcej czasu spędza przy ulicy Kismester, gdzie kupcówna przeżywa swoje ostatnie miesiące. Moja matka przypomina sobie wiadomości szkolne, wyciąga mapę, sprawdza, gdzie leży Limanowa: z samego kręgu jej przyjaciół aż sześciu padło pod Limanową, między nimi Miklós Otth, ten sam, który obraził Ninon i którego nazwisko wypisała niegdyś atramentem na halce. Gdy zbiera się zaprzyjaźnione towarzys

two, Elek Szabó stara się nie robić żadnych uwag, Melinda jest tak entuzjastyczną patriotką, że każde słowo krytyki uważa za osobistą zniewagę! Jej zdaniem nie należy nastawiać się na wojnę obronną, lecz bohatersko prowadzić siły austro-węgierskie do ofensywy. W dzień kapitulacji Belgradu Melinda śpiewa hymn, kupcówna patrzy na nią bezsilnie. Jest już zbyt chora, by ją mitygować, ale wyczuwa zmianę, jaka dokonana się w najmłodszej córce, teraz już na każdym kroku przejawia się ta jej zapalczywość, którą zawsze u niej podejrzewała. 23 sierpnia, w dniu przystąpienia do wojny Japonii, Melinda rozbija młotkiem piękną wazę japońską i okręca szyję niemodną jedwabną chustką, bo wydaje się jej, że są na niej motywy ludowe nowego sprzymierzenia, Turcji. Jesień jest ciężka, zima również, -zaopatrzenie nieregularne, choroba kupcówny nasila się. Znalezione wśród rzeczy mojej matki list Stillmunga, pisany na papierze o złoconych brzegach i zaadresowany: „Do mojej kochanej Lenke”, świadczy o tym, że zakonnica na swój sposób próbuje pomóc w cierpieniu Marii Rickl: „Kochana, słodka Lenke! Ogromnie mi przykro, że ostatnio nie mogliśmy porozmawiać, tym bardziej że ze względu na twoją obecną sytuację bardzo ci potrzeba słowa pociechy i gorącego współczucia. Ale tego dnia, kiedy tu byłaś, musiałam napisać taki list, który pochłaniał wszystkie moje myśli, i właściwie nawet nie dosłyszałam, o kogo chodzi, zorientowałam się dopiero, kiedy już odeszłaś. Wybacz mi i zrozum, że ciężka praca umysłowa niemal mnie zabija. Dowiedziałam się o waszej smutnej sytuacji i tak mi cię żal, droga, kochana Lenke, jesteś prawdziwym aniołem dla swojej rodziny, niech Bóg da ci siłę ducha i ciała. Kochanie, posyłam ci olej świętej Walburgi - relikwię, to wszystkiego jedna kropla. Nie musisz o tym nikomu wspominać, najwyżej biednej chorej. Modlimy się za was żarliwie. Prawda, że nie gniewasz się na bardzo kochającą cię siostrę Margit?”

Maria Rickl umiera 14 stycznia 1915 roku, jest ciepły dzień, moja matka zarzuca tylko chustkę na ramiona i natychmiast biegnie, kiedy ciotka Klári przysyła po nią Annus. Dokoła śmiertelnego łoża kupcówny, niczym aktorki jakiejś osobliwej sztuki, zgromadziła się cała rodzina i podczas gdy Szikszay redaguje nekrolog, Parki oplakują matkę, spojrzenie zapłakanych oczu Lenke Jablonczay spotyka się ze spojrzeniem zapła

kanych oczu Gizelli Jablonczay. Tego dnia w Karpatach szaleje zamieć śnieżna, strażę przednie, jak donosi „Debreceni Ojség”, znajdują wiele zamrożonych ciał żołnierzy rosyjskich w bezpośrednim sąsiedztwie Przełęczu Użockiej; Włochy dostają nowego ministra spraw zagranicznych, po którym spodziewają się wielkich zmian w polityce. Gyula Than, redaktor naczelny, jest zdania, że zarówno na froncie polskim, jak i francuskim Niemcy mają przewagę, od Soissons na północ zdobyli nie tylko czternaście armat, sześć karabinów maszynowych i wzięli do niewoli pięć tysięcy dwustu jeńców, ale osłabili też szeregi nieprzyjaciela zabijając cztery tysiące Francuzów; nad Dunajcem trwa zacięta bitwa artylerii; Anglia zwraca się o pomoc do Grecji i w zamian za to proponuje Cypr, Chios i Mitilini; Turcja zamyka Dardanele; w Warszawie nieustannie słychać grzmot armat; Szwecja nie przepuszcza amerykańskich dostaw broni; ck minister obrony narodowej zarządzeniem nr 305/1915 powołuje do wojska rocznik 1875; władze Debreczyna dla zapewnienia zaopatrzenia domagają się rekwizycji; w kinie „Urania” wyświetlany jest dramat z życia wyższych sfer pod tytułem Klejnoty hrabiny i zabawna komedia Szczęściarz pułku, właściciel kina stara się o zwiększenie frekwencji obiecując kroniki wojenne; w teatrze grany jest ludowy utwór sceniczny Huzarski żart i Dobranoc, Mula'; śmietanka towarzystwa debreczyńskiego szykuje się na przedstawienie amatorskie w reżyserii pań Erzsebet Frater i Morowej Bergerowej, z którego dochody przeznaczone są na pomoc dla wojska; tymczasem we Włoszech trzęsienie ziemi pochłania miasto Avenzano, a w Pierwszej Debreczyńskiej Kasie Oszczędności można subskrybować pożyczkę wojenną. Gazety przynoszą wiadomości, że w Petersburgu prześladowuje się i aresztuje wszystkich izraelitów, którym prawo zabrania tam przebywać, że w księgarni Csathyego można dostać książkę na temat metod nowoczesnej wojny; rubryka drobnych ogłoszeń oferuje na sprzedaż skrzynki do paczek wysyłanych pocztą polową i zamieszcza inserat o sprzedaży domu przy ulicy Kossutha, w którym jest gaz świetlny i elektryczność. Nekrolog kupcowy zredagowała kochająca ręka i umieszczono go tuż pod listą aktorów grających w Niewidzialnymi świadku (dramat społeczny) wyświetlanym w kinie „Urania”.

„Wyższe sfery Debreczyna pogrążyły się w żałobie. Opłakują jedną z miłosiernych dam dawnego węgierskiego świata, osobę o szlachetnej duszy, Kdlmśnową Jablonczayową, która zmarła 14-go po południu. Jeszcze na parę godzin przed śmiercią światłem swego umysłu rozjaśniała dom, którego była duchem opiekuńczym, ale kiedy słońce w godzinach popołudniowych zaczęło chylić się ku zachodowi, w tym zakątku cichego szczęścia musnął jego panią wiatr przemijania, jego potęga zgasła światło, którego nie przywrócą już do życia ni łązy, ni miłość najbliższych. Zmarła przeżyła długie błogosławione życie, była dobra i szlachetna, zawsze szła drogą sprawiedliwych. Przez dziesiątki lat działała z poświęceniem w Debreczyń- skim Dobroczynnym Stowarzyszeniu Kobiet. Troszczyła się o wielu biednych, których nie tylko wspomagała słowem otuchy, lecz także wspierała szczerze pod względem materialnym.”

W „zakątku cichego szczęścia” Běla Majthényi tulił do siebie nie żonę, lecz płaczącą Melindę. To czułe zachowanie równało się oświadczeniom. Moja matka uśmiechnęła się przez łązy, podeszła do Melindy i pocałowała ją, jakby składając jej gratulacje, pocałowała także Belę Majthényiego, potem opuściła dom żałoby i poszła do Bartóków. Bella, która wtedy wiedziała już o tym wszystkim, o czym moja matka tak długo milczała, rozplakała się na wiadomość o śmierci Marii Rickl, a także na myśl, że znów zachwieje się grunt pod nogami Lenke Jablonczay. Bella płakała ze współczucia, ze zdenerwowania, z miłości, a ponieważ w tej chwili absolutnie nic nie mogła zrobić dla przyjaciółki, więc nastawiła samowar, niechże napije się przynajmniej gorącej herbaty, przecież cała drży.

Kupcównę powieziono na cmentarz z ulicy Kismester w niedzielę, 17 stycznia, o wpół do trzeciej po południu, za trumną szły tłumy, mój brat pamiętał jeszcze ten wielki pogrzeb. Następnego dnia adwokat Marii Rickl odczytał ostatnią wolę zmarłej. Moja matka była przy tym obecna tylko dla formy i dla Melindy, wiedziała, że nie figuruje w tym dokumencie, że spadkobierczyniami są córki Marii Rickl. To właśnie tego dnia za pozwoleniem ciotek zabiera ze sobą czerwony futerał, z któ-

rcgo Błużnierca rzucał jej cukierki, kiedy przed nim tańczyła.

Podczas czytania testamentu, gdy spadkobierczynie kłóciły się o pół tuzina srebrnych łyżek i kilka zmian bielizny pościelowej, na które miały chętkę, okazało się, że Maria Rickl wyraziła też ostatnią wolę w związku z Lenke Jablonczay: „Z moją wnuczką Lenke, córką mego syna Kślmśna, którą wychowałam i dałam jej wyprawę, niech nikt nie ośmieli się procesować o wyłożone na ten cel sumy, bo to, co dla niej zrobiłam, zrobiłam z miłości, niech Bóg błogosławi drogę jej życia, na której nie mogę jej już towarzyszyć.” Moja matka przytuliła do policzka czerwony futerał. W tej chwili zrozumiała lepiej niż kiedykolwiek swoje życie na ulicy Kismester oraz to, co by się z nią stało, gdyby się w tym domu nie znalazła, gdyby unosiły ją burzliwe fale życia jej rodziców. Zatarły się wspomnienia gorzkiego dzieciństwa, a na zawsze utrwaliły się w jej pamięci bezcenne podarunki Marii Rickl, której nawet po śmierci winna była wdzięczność: dyplom nauczycielski, który w razie potrzeby mógł jej dać chleb, wirtuozowska biegłość palców na klawiaturze fortepianu i bezpieczna przystań w domu przy ulicy Kismester aż do chwili zamążpójścia. Spotkanie rodzinne zresztą natychmiast po wyjściu adwokata przekształciło się w awanturę, nie tylko z przyczyn natury materialnej, lecz także moralnej, okazało się bowiem, że o tym wszystkim, co moja matka starała się taktownie ukryć, nie wiedziała jedynie kupcówna, która w ciągu ostatnich dwóch lat rzadko ruszała się z domu i której nie chciano niepokoić złymi nowinami, bo nawet gdy leżała w półżywej, wszyscy bali się jej jak ognia. Stosunek Majthenyiego i Melindy był w rodzinie tajemnicą poliszynela, teraz nadarzała się okazja, by upokorzyć Lenke, jedyną osobę, dla której kupcówna miała ludzkie słowo i ludzkie uczucie. Główni aktorzy tego rodzinnego dramatu zachowują się odważnie: Lenke wzrusza ramionami, Melinda nie czerwieni się, nie mdleje, Bela Majthćnyi staje przy swej ukochanej i dławiąc się z oburzenia, wałąc pięścią w stół oświadcza krzyczącej rodzinie, że bardzo szanuje i lubi Lenke, nie ma do niej żadnych pretensji, bo to wzorowa żona i matka, ale niestety, kochają się z Melindą, więc będzie rozsądniej, jeśli rozwiedzie się z Lenke i poślubi Gizellę. Od Szekspirowskiego Ryszarda III nie oświadczano się o kobietę w tak osobliwych okolicznościach. Gyula Szikszay usuwa się

w kącie i kryje uśmiech w fałdach firanki, dobrze im tak, tym siostronom, które zamiast opłakiwać biedną mamę, awanturują się o jakieś marne rupiecie, lecz żadna nie myśli o tym, by wziąć do siebie stare służące, Parki bez mrugnięcia okiem wyrzuciłyby na ulicę ciotkę Klari, która ma osiemdziesiąt dwa lata, albo starą Agnes czy Annus. Ale on da im u siebie miejsce, u niego się zmieszczą, Margit może się pieklić, ostatecznie to on utrzymuje dom, a więc ma w nim chyba prawo głosu. Awantura kończy się na tym, że wielce moralne siostry wypędzają grzeszną Melindę, niech zbiera manatki, nie ona odziedziczyła dom, więc droga wolna. Moja matka i Bela Majthényi jednocześnie podeszli do Melindy, która w jednej chwili została bez dachu nad głową. Lenke Jablonczay powiedziała, że jeśli wypędzą Melindę i rozniesie się, dlaczego to zrobiły, Maria Rickl, którą wczoraj pochowali, przekręci się w grobie. Ona, Lenke, która ma chyba w tej sprawie najwięcej do powiedzenia, obroni najmłodszą ciotkę przed towarzyskim bojkotem, ona ją przyjmie do siebie i będzie z nią mieszkała, dopóki wszyscy troje nie będą wolni i nie będą mogli wejść na nową drogę życia.

W dzień pogrzebu kupcowy Bella Bartók pisze do męża na front: „... Po obiedzie byliśmy na pogrzebie biednej pani Jablonczayowej, potem na podwieczorku. Kazałam zrobić wieniec z napisem: «Żywej prawdziwej ciotce Bella i Moni». Aprobujesz to, prawda? Biedna Gizella wprowadzi się na razie do gabinetu w mieszkaniu Lenke, a Irénke zamieszka z Piroską. Mama chciała ci wysłać zioła, pytałam na pocztę, czy wolno, ale teraz przyjmują paczki dla trzech innych numerów poczty polowej. Jeśli o nas chodzi, żyjemy spokojnie i, opierając się na wiadomościach z prasy, liczymy na pokój. Co wieczór, gdy wieje wiatr, myślę, gdzie teraz jesteś, czy masz ciepły pokój.” Trzy dni później, 20 stycznia, wysłany zostaje do Oberrohrbach na adres Antała Tichyego następujący list: „... Wiesz, Moni, biedna pani Jablonczayowa przekręciłaby się chyba w grobie, gdyby zobaczyła, jakie awantury urządza o każdy grosz jej córka, pani P. Biedna Gizi, nie wiem, co pocznie, ale będzie miała bardzo niewiele, zanim nie sprzeda nieruchomości.” Z pisanego 24 stycznia listu Belli wynika, że próbowała pomóc przyjacielom, ale nie przyjęli jej propozycji. „Byłam u Gizi Jablonczay, zaproponowałam jej, aby u mnie zamieszkała, jest biedaczka

w trudnej sytuacji, a i mnie byłoby przyjemnie. Podziękowała z wdzięcznością, ale nie chce. Béla twierdzi, że właśnie teraz nie można jej wysłać do obcych, choćby nawet byli najlepszymi przyjaciółmi." Melinda, jak świadczy o tym skrzynka listów rodziny Bartóków, 24 stycznia mieszka już z całym swoim ruchomym majątkiem w domu Majthényich: „... zaziębienie mamusi nie mija - pisze Bella - wezwaliśmy doktora Liszta, przy okazji zbadał także mnie i przepisał mi kurację arsenową, bo schudłam. O, jakże mi Ciebie brak, gdybyś przynajmniej napisał! Gizi Jablonczay przeprowadziła się do Lenke, wolałabym, żeby do mnie. Życie Lenke różni się bardzo od mojego, przecież sam wiesz, gdy tylko o Tobie pomyślę, rodzi się w moim sercu szczęśliwe uczucie wdzięczności. Mam dwie piękne nowe bluzki, jedną z różnobarwnego, błyszczącego jedwabiu z kołnierzem & la Maria Stuart, druga jest lekka, biała, dziewczęca* cieszę się z nich. (Sztab główny, mniej więcej w tym samym czasie kiedy Bella zamawia bluzki, decyduje, że dopóki nie skończą z Rosją, która wciąż grozi agresją, i z bezpośrednim wrogiem - sąsiednią Serbią, nie mogą uderzyć na głównego nieprzyjaciela: Anglię i Francję.) Moje życie towarzyskie to poniedziałek i czwartek, kiedy odwiedzamy się na zmianę z-Lenke. Nasz Beluska jest w wielkiej przyjaźni z Beluską Majthényim, ogromnie się kochają, Lenke odprowadza ich obu na gimnastykę. Ponieważ Gizi mieszka już u Lenke, wczoraj ona też przyszła i po raz pierwszy od niepamiętnych czasów także Béla Majthényi..."

Dziennik Agostona Bartóka nie wspomina o utracie Przemyśla, ale stwierdza z radością, że w następstwie przełamania frontu w bitwie pod Gorlicami w dniach 1 i 2 maja „Rosjanie zostali wypędzeni z północnych Węgier." „Twój ojciec od początku nie wierzył w zwycięstwo -- opowiadała mi o tym okresie córka Olgi, Lilly - Gizi na wieść o przełamaniu frontu pod Gorlicami tańczyła z radości. Elek był błydy i powiedział mi - o takich sprawach tylko my ze sobą mogliśmy rozmawiać wśród tych wszystkich entuzjastów wojny - że to był ogień huraganowy; czy potrafię sobie wyobrazić, jak to wygląda? Nie potrafiłam. Wytłumaczył mi. Żadne z nas nic nie jadło na tym przyjęciu." Wypowiedzenie wojny przez Włochy miało miejsce 23 maja, między tymi datami Bella zdaje mężowi sprawę

wyłącznie z lokalnych nowinek i ma wrażenie, że „... dni mijają nam cicho i harmonijnie.” Tymczasem rozpoczyna się bitwa nad Soczą, a ziemia jest tak śliska od krwi oddziałów pospolita- ków węgierskich, że spieszący łącznicy ślizgają się i padają wśród skrwawionych kamieni; 5 października Mackensen dla poparcia Turcji rozpoczyna kampanię przeciwko Serbii, oddziały przekraczają Dunaj i Sawę i zajmują Serbię wraz z częścią Czarnogóry i Albanii. Lenke Jablonczay nie wypuszczą mapy z rąk; giną znajomi, coraz więcej w Debreczynie kobiet w żałobie.

Mała córeczka Belli, Marianka, jest coraz bardziej urocza, szczególnie kiedy tańczy, przytupuje i śpiewa: „Pociekaj, pociekaj, ty pieśka Siejbio!”, Lenke Jablonczay zaś, chcąc ratować opinię Melindy, omawia z mężem sposób przeprowadzenia rozwodu. „Zamysł Lenke to już fakt dokonany - pisze Bella 1 na razie w stadium przed realizacją.” Jozefa Heinrich umarła w parę tygodni po bankructwie sklepu swoich synów, Olga Majthényi przez całe życie bezkrytycznie kochała młodszego brata, sama zresztą ma już drugiego męża, tak więc na wieść o rozwodzie ze strony rodziny Majthényich nie pada ani jedna krytyczna uwaga, przeciwnie, z największą radością przyjmują znaną im przez całe życie i lubianą Melinę, z sympatią zaś i szacunkiem rozstają się z Lenke Jablonczay. Do śmierci darzą się wzajemnie przyjaźnią i przywiązaniem. Po śmierci Olgi przyjaciółką Lenke zostaje Lilly i stosunki są tak serdeczne, że nawet córka Lenke Jablonczay i Elka Szabó podtrzymuje rodzinną więź z Majthényimi, uważając córkę Olgi za własną kuzynkę, tak samo zresztą, jak młody Bela Majthényi lubi rodzinę przyrodniej siostry.

Lenke Jablonczay oczywiście zdaje ze wszystkiego sprawę w klasztorze. Po śmierci Marii Rickl Melinda znalazła się w dość trudnych warunkach materialnych, alimenty, które Majthényi powinien płacić mojej matce na utrzymanie jej i Béluski, byłyby ogromnym ciężarem dla tej pary rozpoczynającej nowe życie. Moja matka decyduje, że zamieszka z młodszymi siostrami i we trzy jakoś sobie poradzą, zwłaszcza jeśli ona też pójdzie do pracy; gdy sama zacznie zarabiać, mniejszy ciężar spadnie na Majthényiego, będzie im łatwiej z Melindą. Prosi więc Stillmungus o pomoc w uzyskaniu pracy nauczycielki albo chociażby

lekcji muzyki w Instytucie Svetits. Zakonnica słucha jej opowieści i nie okazuje zdziwienia, trudno ją zresztą czymś zadziwić. Ale prośba Lenke spotyka się z odmową: Lenke ma właśnie zamiar się rozwieść, a przecież w szkołach katolickich nie można zatrudniać rozwódek. Moja matka żegna się załamana, wszystko wydawało się jej takie proste przed rozmową z przeoryszą. Oczywiście powinna była wiedzieć, że nie należało zwracać się w tej sprawie do Stillmunga, ale wyobrażała sobie, że skoro zakonnica kocha ją tak bardzo, to na pewno coś dla niej wymyśli. Postanawia jeszcze wstąpić do szkoły muzycznej, gdzie zawsze spotykała się z dobrym słowem, zachętą i uznaniem, niedawno znów zaprosili ją na koncert, może oni potrafiliby jej pomóc? Otwarcie powiedzieć, o co chodzi, rzecz jasna, nie może, w szkole muzycznej z nikim nie jest w tak dobrych stosunkach jak z dawną przeoryszą, a proces rozwodowy nawet się jeszcze nie zaczął. W biurze dyrekcji witają się z nią entuzjastycznie: ta wizyta oznacza chyba, że znów stanie na estradzie? Odkąd już ją proszą? Moja matka z wielkim trudem jąka, że chciałaby dawać lekcje muzyki, uśmiechnięte twarze poważnieją. Ale przecież nasza szkoła żyje z uczniów - słyszy odpowiedź. - Chyba nie chce robić szkole konkurencji? Zresztą nie ma dyplomu nauczycielki muzyki i naprawdę mieliby za złe Lenke Jablonczay, gdyby właśnie ona odebrała im uczniów.

Droga do domu wiedzie przez ulicę Vsr, Lenke Jablonczay kroczy powoli i kiedy dochodzi do wylotu Nyomtató, zastanawia się, czy nie wpaść do Bartóków, potem decyduje, że lepiej nie, Bella poza tym, że nie ma przy niej męża, jest tak szczęśliwa, że szkoda byłoby ją zasmucać, a zresztą co ma jej powiedzieć tego popołudnia? Idzie więc w stronę swego domu przy Fiivcskert, skąd jak najszybciej należałoby wykwaterować Majthényiego, okropne jest 10 mieszkanie w trójkę, to stałe napięcie, jeszcze w końcu mały coś zauważy. Potrzeba mi pieniędzy -- myśli Lenke Jablonczay -- albo pracy, która pozwoliłaby mi zarabiać pieniądze. A może przydałyby się komuś te dziwaczne historie, które rodzą się w jej głowie, może ktoś by zapłacił za te opowiadania i bajki, które wymyśla? Jak człowiek zaczyna karierę pisarską? Jak ma startować ktoś, kto nic nie ma? A może by zacząć w mieście największych możliwości, Peszcie, gdzie nikt się nie dziwi, że kobieta pisze? Budapeszt.

Jak tam pojechać? Z czego żyć, dopóki się gdzieś nie zaczepi? I czy wolno jej ciągnąć ze sobą Beluskę na tak niepewny los? Jeśli nawet nie pragnęła jego przyjscia na świat, to teraz jest już z nim nierozzerwalnie związana. Trzeba jednak pojechać do Pesztu - powraca natrętna myśl, lecz nagle przychodzi refleksja: w Peszcie żyje Emma Gacsáry z dwoma synami. Lenke nie chce oddychać z nią jednym powietrzem, nie chce się narażać na spotkanie z tą kobietą.

I to imię, które myśli wypychają z dna świadomości na powierzchnię, znów doprowadza ją do rozpacz. Kupcówna wysyłała alimenty dla Emmy Gacsáry z własnych pieniędzy, umowa teściowej z synową nie obowiązuje spadkobierców, a Junior nie żyje. Matka nigdy nie była dla niej oparciem, a teraz będzie nie tylko zmorą, ale także ciężarem finansowym, przecież ktoś musi pomagać Emmie Gacsáry, która natychmiast zgłosi się po zaległe pieniądze, a kogo miałaby prosić, aby jej nadal płacił, jak nie ją, swoją najstarszą córkę, o której Leidenfrostowie, którzy przenieśli się tymczasem do Pesztu, na pewno ją poinformowali, że wyszła za bogatego kupca. Idzie zgnębiona Lenke Jablonczay, lecz nagle rozjaśnia się jej twarz: przed Kolegium z Elkiem Szabó stoi József. Na pewno obydwaj byli u nich, a ponieważ nie zastali jej w domu, szybko wyszli. Moja matka gratuluje małemu mężczyźnie, który tym razem został wybrany wiceprzewodniczącym Miejskiego Towarzystwa Śpiewaczego, potem Elek Szabó żegna się taktownie, József przyłącza się do Lenke Jablonczay i ruszają ulicą Fuveszkert na tyłach Wielkiego Kościoła.

To spotkanie ma charakter decydujący: József nie był na pogrzebie kupcówny, spędził wiele miesięcy w Wiedniu -- jego bank wysłał go do zaprzyjaźnionego banku austriacko-węgierskiego - i na zawiadomienie o śmierci odpowiedział telegramem kondolencyjnym. Moja matka od Ilony Bartók wiedziała już, że wrócił, widziała go także po powrocie na korso, ale dziś rozmawia z nim po raz pierwszy bez świadków. W krawacie Józsefa błyszczą nie znana szpilka z szafirem, na twarzy pewność sukcesu, moja matka spogląda w tę twarz jak w przyszłość. Nagle naiwne i pochopne wydają się jej dzisiejsze starania. W szkole muzycznej odprawili ją z kwitkiem, w klasztorze nie chcą rozwódek; dopóki oficjalnie jest żoną Majthenyiego, to ze

względu na niego, a po rozwodzie tym bardziej, nie może wywoływać sensacji przychodząc do redakcji z tomem bajek czy opowiadań - to niestosowne w Debreczynie. O wyjeździe do Budapesztu też nie ma mowy, ale jest coś, co może już teraz się ułożyć. Niemal w tym samym czasie co kupcówna umarło któreś z rodzeństwa matki Józsefa, a on odziedziczył znaczny majątek. Moja matka z oporami wyznała mi, co było istotą rozmowy prowadzonej na tym spacerze, oznajmiła wówczas Józsefowi, że chciałaby spokojnie porozmawiać z nim w cztery oczy, niech więc przyjdzie jutro po południu do salonu Belli. „Nie potępiaj mnie za to! powiedziała moja matka, a mnie nagle zrobiło się głupio, bo ja nigdy niczego się nie wstydziałam. - Nie mogłam postąpić inaczej. Dokądkolwiek poszliśmy w Debreczynie, wszyscy zwracali na nas uwagę, pomyślałam, że Bela pewnie całuje się teraz z Gizi, zresztą rozwodzimy się, więc jestem usprawiedliwiona, że poprosiłam mężczyznę o schadzki. Nie wyobrażaj sobie, że zrobił obłudną czy też pewną siebie minę, jak gdyby myślał, że teraz przyjdzie kolej na inne rzeczy. Jeśli ktokolwiek mnie znał, to właśnie on. Może trochę się bał, ale obiecał, że przyjdzie.”

Ten dzień w końcu maja, który znów coś odmienił w życiu Lenke Jablonczay, nie jest uroczym, pogodnym dniem, nie brzęczą pszczoły, nie pachną róże, to zły rok, mokry, podstępny rok, olbrzymie tereny i tak leżącej odłogiem ziemi nie są już w stanie wchłaniać wody. Bella jest ogromnie zdenerwowana, kiedy dowiaduje się, co będzie, Béluska i jej pasierb są po południu w szkole, Margit nigdy nie przychodzi bez zaproszenia, rodzice wyjechali do synowej do Pesztu, trzeba się tylko liczyć z Ilonką, ale już ona się nią zajmie. Nastawia samowar, a kiedy przychodzi József, przeprasza go, że na parę minut musi iść z Marianka do starszej siostry, Lenke zastąpi ją przez ten czas. Nie dała przyjaciółce wiele czasu, zaledwie kwadrans, więcej kodeks moralności Belli nie dopuściłby nawet w przypadku śmiertelnego niebezpieczeństwa. Okna salonu są otwarte, widok znajdujących się w nim jest więcej niż poprawny: młoda, jasnowłosa kobieta w żałobie nalewa herbatę ciemnowłosemu mężczyźnie w szarym garniturze. Częstuje go cukrem, śmietanką, podaje filiżankę, do własnej nawet nie sięga, zaczyna mówić.

Moja matka, jak już wspominałam, była odważna, często nawet brawurowo odważna. Wahala się tylko wtedy, gdy plany dotyczyły któregoś z jej dzieci, wówczas często zastanawiała się lub rezygnowała z projektu bojąc się o mojego brata czy o mnie. Odważna była również tamtego dnia, w dzień wielkiej batalii jej życia. Zakładała, że do Józsefa za pośrednictwem Parek dotarła już wiadomość o tym, co zaszło w lecie między Melindą i Belą, ale jednak zapytała, czy słyszał coś na ich temat, na co József bez ogródek przyznał, że doszła do niego plotka, ale nie rozmawiał z nikim z zainteresowanych. „Ja jestem zainteresowana - rzekła Lenke Jablonczay - i jeśli ktokolwiek na świecie, to chyba pan najlepiej wie, jakie było, a jakie mogło być moje małżeństwo. Bćła zasługuje na inną żonę, taką, która go pokocha, a Melinda kocha Belę. Rozwiędziemy się i znów będę wolna. Z tego, że do dziś pan się nie ożenił i że wciąż szuka pan okazji spotkania ze mną, mogę wnioskować, że i w panu żyją te wspomnienia, o których nie zwykliśmy rozmawiać. Słyszałam, że otrzymał pan spadek, teraz nie potrzebuje pan już posagu. Czy chce się pan ze mną ożenić?”

József nie spodziewał się tego pytania, ale nie był ani odrobinę mniej odważny niż moja matka. Od pamiętnego, uwiecznionego w Wyborze Elly rozstania po raz pierwszy rozmawiali o tym, co się stało. József nie zaprzeczył, że kocha moją matkę, że zawsze ją kochał i, jeśli nawet były w tym czasie w jego życiu jakieś kobiety, nie liczyły się. Jemu też nie było łatwo pogodzić się z wyrokiem rodziny, że nie może poślubić biednej panny. „Chciałem panią odstraszyć - powiedział József - po co mieliśmy się nawzajem dręczyć, skoro nie było widoków na przyszłość. Myślałem, że jeśli postępowaniem swoim skłonię panią do małżeństwa z innym, będzie lepiej dla nas obojga. Ale oczywiście tak to sobie tylko człowiek wyobraża, w praktyce jest zupełnie inaczej. Bywaliśmy w jednym towarzystwie, spotykaliśmy się na każdym kroku, a pani stała się piękniejsza niż kiedykolwiek przedtem. Pani jest po prostu cudowna.” Pochylił się do Lenke Jablonczay, chciał ją pocałować, moja matka odsunęła się, znów poczuła to łomotanie serca, jak wtedy gdy bała się Kulawego lub gdy karciała ją Stillmungus. Niech jej nie całuje, nie chce, aby ją drażnił, dla niej pocałunek to żadna przyjemność. „Nie odpowiedział mi pan!” - zwróciła uwagę

Józsefowi, mężczyzna przyjrzał się dokładnie Lenke Jablonczay, jak gdyby stał przed wystawą i przez szybę musiał zdecydować, czy coś kupi, „Zatem chce pani za mnie wyjść, dziewczynko w krótkiej spódniczce?” - uśmiechnął się do niej i wtedy Lenke Jablonczay uśmiechnęła się również, a jej oczy napełniły się łzami. Nie powiedziała: „tak”, wygrała to na fortepianie, popłynęła radosna pieśń, był jej pełen cały dom Bartóków. Kiedy wróciła Bella, muzyka już umilkła, moja matka i József siedzieli naprzeciwko siebie i pili herbatę. „Trzeba ci ją było wtedy widzieć - opowiadała mi osiemdziesięcioletnia Bella, kiedy pewnego razu odprowadzałam ją do domu. - Wyglądała tak, że nie umiem tego określić. Jak ktoś, komu przydarzył się cud.”

Zakochani wkrótce się pożegnali. Elek Szabó znów stał przed Kolegium, mały mężczyzna znaczną część wolnego czasu spędzał w bibliotece; ich ojciec zapisał Kolegium Większość swych książek i dlatego Elek Szabó i jego rodzeństwo mieli wolny wstęp do budynku. Mówił mi, że kiedy przechodzili obok niego, nie zauważyli go. „Pomyślałem, że nareszcie doszli do porozumienia - opowiadał. - W twojej matce było coś takiego, czego nigdy dotąd u niej nie widziałem, wyglądała, jakby dobiła do przystani. Byłem w niej śmiertelnie zakochany, nie mogłem patrzeć na tę radosną twarz. Ja też krążyłem wokół niej od lat i niemal tak dobrze jak Stillmungus czy Kubelik wiedziałem, co jest warta. Teraz dostanie to, czego chciała, pustogłowego, bezdusznego pajaca, który stał się bogaty jak krezus. Ja miałem tylko miesięczne wynagrodzenie i mnóstwo długów, nie umiałem tańczyć, nie interesowały mnie karty, kasyno, polowania i, Boże wielki, jakże ja się nudziłem na tych herbatkach! A jednak wiedziałem, że twoja matka się myli, że to ja jestem jej przeznaczony, tylko ja, nie József. Wszedłem do gmachu Kolegium, aby im zniknąć z oczu.”

Szkoda, że nie zczekał chwili dłużej, mógłby być świadkiem, jak gaśnie blask na twarzy Lenke Jablonczay (której on nigdy nie ośmielił się wyznać, co dla niej czuje, tak bardzo beznadziejna wydawała mu się ta miłość, nie z powodu Béli Majthényiego, tylko z powodu Józsefa). Kiedy skręcili w ulicę Fiivészkeret, József powiedział, że on ma jednak pewien warunek, mianowicie nic podejmuje się wychowywać dziecka Maj-

thényicgo, niech chłopiec zostanie przy ojcu. Jeśli nie uda się im porozumieć w tym względzie, muszą zrezygnować z małżeństwa.

I wtedy na ulicy Fiiivészkert ukazała się oczom mojej matki postać małej dziewczynki: nosiła biały kapturek i pantofelki z kokardami, wyrzucili ją z rodzinnego gniazda i wychowywała ją Melinda z Kulawym, dręczyła strachami i książkami, które wkładano jej pod łokcie, ujrzała też Emmę Gacsóry, która -- jak sądziła -- porzuciła ją, podarowała. Umilkła grana w salonie triumfalna pieśń, ale dziewczynka w krótkiej spódniczce wciąż jeszcze nie uprzytomniła sobie, jakie to nieszczęście, że pokochała mężczyznę, który najpierw rezygnuje z niej, dlatego że nic ma posagu, potem zaś stawia jej tak nieludzki warunek. Przyszło jej tylko na myśl, że to takie beznadziejne: gdy sięga po szczęście ani klasztor, ani szkoła muzyczna nie chcą jej pomóc, a ten, co ją kocha, nie chce przy sobie widzieć dziecka Beli Majthényicgo, którego nie byłoby przecież na świecie, gdyby József, póki jeszcze nie było za późno, przeciwstawił się swoim rodzicom. Nic rozmawiali więcej o małżeństwie, moja matka po powrocie do domu obsypała Béluskę pocałunkami, jak gdyby wstał po ciężkiej chorobie. József długi czas nie był u Majthényich.

W dzienniku Agostona Bartoka następny zapis po wypowiedzeniu wojny przez Włochy w dniu 23 maja pojawia się dopiero 6 października. Notatka jest dość optymistyczna: „Oddziały austriacko-węgierskie i niemieckie zakończyły podbój Serbii. W 1915 nikt z naszej rodziny nie wyjechał na wakacje.”

Latem 1915 roku wyjeżdża natomiast Lenke Jablonczay: od pewnego czasu Béluska gorączkuje popołudniami i lekarze nie potrafią znaleźć przyczyny, moja matka jest tym tak samo przerażona jak Jozefa Heinrich, gdy w swoim czasie słyszała kaszel któregoś z dzieci. Olgi od wiosny nie ma w mieście, Béla Majthényi nigdy nie był zapalonym podróżnikiem, Lenke Jablonczay wybiera się więc sama z synkiem na przerażającą wyprawę do Pesztu, dla dobra dziecka postanawia nawet skontaktować się z towarzystwem Emmy Gacsóry. Nic może zamieszkać w hotelu 7. Béluską, którego denerwują badania i który

ciągle płacze, pisze więc do Leidenfrostów prosząc, aby zamówili wizyty u lekarzy i udzielili im noclegu. Leidenfrost, dyrektor spółdzielni „Hangya”, który w roku wybuchu wojny pochował swoją żonę Erzsebet Gacséry, z entuzjastyczną radością przyjmuje córkę chrzestną. Béluska niespodziewanie łatwo aklimatyzuje się w domu Leidenfrostów, atrakcje wielkiego miasta odwracają jego uwagę od badań, które zresztą niczego nie wykazują. Całymi latami będzie tak gorączkować, aż potem nagle gorączka ustanie tak samo niespodziewanie, jak przysłała. Moja matka zresztą i tak chce porozmawiać z Leidenfrostem: alimenty Emmy Gacséry skończyły się ze śmiercią kupcowy i choć z listów do Piroski i Irénke wynikało, że matka znalazła jakieś wyjście, chciała jednak wiedzieć, czego może się spodziewać. Leidenfrost uspokoił ją, on sam załatwił Emmie skromną posadę w spółdzielni „Hangya”, na razie nie ma problemu, on też jej pomaga, w Debreczynie nie muszą się o nią martwić. Chciałby nareszcie doprowadzić do spotkania matki z córką, ale nic z tego nie wychodzi, Lenke Jablonczay uprzejmie słucha jego argumentów, dlaczego i w czym nic ma racji potępiając tę biedną Emmę, ale mówi: spotkanie nie miałoby sensu. (Los Emmy Gacséry zostaje zresztą przypieczętowany wraz ze śmiercią szwagra, na początku lat dwudziestych, kiedy to wyrzucają ją ze spółdzielni, bo już nikt za nią nic stoi, i zdana na pomoc córek mieszka to z jednym, to z drugim synem. Ostatni, znośny już tylko dzięki morfinie, okres jej życia, jest tak niejasny, że sama Piroška, która najczęściej widywała matkę, nie potrafiła właściwie nic o nim powiedzieć.) Podczas pobytu w Peszcie dostaje Lenke list od Belli, pisze też dwukrotnie męża, a nawet, zapewne po jakiejś większej hulance, także Elek Szabó przysyła jej piękną widokówkę. Musiał być chyba pijany, bo na karcie przedstawiającej uroczą, ciemnowłosą dziewczynkę, napisał tylko: „Włosy ma jednak jasne.”

W zapiskach ojca Belli nie ma ani słowa o przegranych na froncie wschodnim bitwach, w których poległo dwie trzecie naszej armii, ani słowa o inwazji rosyjskiej i nowych działaniach wojennych w dolinie Soczy, która przecież do 6 października jest terenem dwóch olbrzymich bitew; w pierwszej naprzeciw stu tysiącom Włochów staje pięćdziesiąt tysięcy żołnierzy wspólnej armii, i jest taki dzień, kiedy muszą odeprzeć dwa-

dzień dwa ataki; w drugiej ćwierć miliona żołnierzy nieprzyjacielskich uzbrojonych w pięćset trzydzieści trzy karabiny maszynowe i osiemset sześćdziesiąt dział atakuje liczącą zaledwie siedemdziesiąt osiem tysięcy żołnierzy armię austriacko- -węgierską. Rodzinę Bartóków, poza losem walczących na froncie krewnych i przyjaciół, najbardziej obchodzi życie Lenke Jablonczay. Kochają wnuczkę kupcówny jak swoją, a choć są głęboko religijni i martwią się myślą o rozwodzie, życzą jednak mojej matce, aby odnalazła wreszcie spokój duszy, nawet gdyby szukała go na obcych im drogach. Ale Lenke Jablonczay, jak już tyle razy, i teraz nie ma szczęścia, to, co u innych jest łatwą sprawą, którą można załatwić w parę miesięcy, u niej omal nie kończy się fiaskiem. „Mój słodki, kochany Moni! - pisze Bella do męża 6 września 1915 roku. -- Właśnie wyszła ode mnie Lenke i po dzisiejszym ruchliwym dniu dopiero teraz mam czas na pisanie. Rano poszliśmy z chłopcami zapisać ich do szkoły. Pribauer radził, żeby uczyć ich też gry na fortepianie, więc wybieram się i do szkoły muzycznej. To wielkie wydarzenie! Pieniądze dostałam w południe, jak dobrze byłoby wspólnie je liczyć, wspólnie dzielić i odkładać. Ogromnie tęsknię! Bardzo mi żal biednej Lenke. Béli odnowił się nieżyt płuc w obu szczytach (nikomu o tym nie mówią) i jak twierdzi Bruckner, mogłoby mu pomóc tylko sanatorium. Ale nie mają pieniędzy. Czekają na powrót Olgi, ona im pewnie pomoże. Choroba Beli przekreśla wszystkie nadzieje Lenke. Zarówno z przyczyn finansowych, jak i ze względu na stan zdrowia Béli. «Nie mogę walczyć z losem» - powiedziała mi ta biedaczka." Kiedy przy opracowywaniu listów Bartóków trafił w moje ręce także ten list, zadrżałam czytając to zdanie. Melinda niejednokrotnie opowiadała mi, że kupcówna na porażki swojego życia reagowała słowami: „Nie mogę walczyć z losem!"

Bela Majthényi oczywiście nie ma nieżyty płuc, to z całą siłą ujawnia się dziedziczna w rodzinie gruźlica. Cios, który dosięga zaledwie trzydziestoletniego mężczyznę, uderza we wszystkich z jednakową siłą. Planowane małżeństwo Melindy staje się problematyczne, a zważywszy na szalejące w mieście plotki nie jest wcale obojętne, jak skończy się ta rozpoczęta w lecie idylla, osobliwy trójkąt zniszczył resztki dobrej opinii wszystkich zainteresowanych. Na domiar złego nic ma w Deb-

reczynie Olgi, moja matka pisze do niej prosząc o pomoc i zarazem oznajmia, że w takich okolicznościach nie rozwiedzie się, nie opuści, nie może opuścić Beli. (Bela Majthényi już po raz drugi staje na drodze Lenke Jablonczay.) Po tym oświadczeniu Melinda dostaje ataku hysterii, wykrzykuje, że ona potrzebuje Béli nawet w chorobie, nawet w agonii, nie zrezygnuje z niego, chce za niego wyjść, Lenke powinna się z nim rozwieść, niech go zostawi jej, która go naprawdę kocha. Majthényi w obliczu śmierci z godnością spogląda na obie kobiety, które kłócą się o posiadanie jego chorego ciała. W końcu Olga układa los młodszego brata, wraca do Debreczyna i wysyła Belę do sanatorium w Tatrach, grzecznie prosząc Melinę, aby wyjechała do swojej winnicy i podleczyła nerwy (i tak w tym roku będzie miała kłopoty z winobranieniem, bo robotników zabrano na front); uspokaja też moją matkę, że nic straconego, może się jeszcze wszystko jakoś ułożyć.

Lenke Jablonczay po raz pierwszy od dłuższego czasu zostaje w wielkim mieszkaniu sama z synkiem, zaprasza więc młodsze siostry. Obydwie dziewczyny już pracują, cieszą się, że mogą być razem, i śmieją się, że wychowanie Melindy wycisnęło na nich tak nieodwracalne piętno, wszystkie trzy wstają, myją się, jedzą o tej samej porze, co niegdyś na ulicy Kismester. Dziewczęta zwracają uwagę mojej matce, że ostatnio jakoś nigdy nie przychodzi do nich Elek Szabó, odwiedza tylko Bellę. Od Belli wiedzą, że kupił radiolę, uprawia muzykę, fotografuje i nic bywa w towarzystwie. Brakuje nam go - decydują siostry i pewnego razu Piroška, która przypadkiem spotyka Elka Szabó na ulicy, zatrzymuje go i namawia, żeby je wreszcie odwiedził; mój ojciec obiecuje przyjść. Olga przysyła pocieszające nowiny z Tštraszeplak*, moja matka ma więc czas, aby poza tragedią męża zajmować się też własną, patrzy na synka i zastanawia się, co może jeszcze przynieść jej i temu dziecku życie, to życie, do którego - teraz już wie - nigdy nie będzie należał József.

W tych tygodniach, kiedy lekarze dokonują cudów z Belą Majthényim i stawiają go na nogi tak, że przeżyje jeszcze osiem lat, Elek Szabó naprawdę wraca i staje się częstym gościem w domu przy ulicy Fiiivšzkert. Nigdy nie przychodzi z pustymi

* Obecnie Tatra nskd Polianka w Czechosłowacji.

rękami, Béluska wybiega mu na spotkanie, gość spędza z małym właściwie więcej czasu niż z siostrami Jablonczay, którym wygrywa na fortepianie szlagiery. Mały człowiek nie zna nut, ale co raz usłyszy, natychmiast gra, i to tak urzekająco, z tak czystym artyzmem, że siostry zachwycone obstępują fortepian. I także śpiewa, ma ciepły, ładny baryton. Podczas gdy Bela Majthényi leczy się w Tatraszcplak i wędrują namiętne listy od Melindy do Beli i od Beli do Melindy, Lenke Jablonczay przyłapuje się na tym, że niekiedy znów śmieje się głośniej, a przecież z powodu Józsefa, który nie chce Beluski, i przy własnej nie uporządkowanej sytuacji nie ma zbyt wielu powodów do śmiechu. Ale przy Elku Szabó człowiek nic może być poważny, dobrze z nim przebywać, niemal tak dobrze jak z Bartokami, w jego towarzystwie można się nie tylko bawić, lecz także uczyć i rozmawiać naprawdę po przyjacielsku. Lenke Jablonczay słucha z podziwem jego opisu rodzinnego domu w Kóróstarcsa, stanowiącego tak zupełnie odrębny świat, słucha o gromadce kochających się na śmierć i życie sióstr i braci. W tym idealnie szczęśliwym domu kalwińskiego pastora i córki kupca-patrycjusza, która od najmłodszych lat nie chciała od życia niczego innego, jak być matką, wychowało się czternaścioro dzieci. Lenke Jablonczay słucha Elka Szabó, jakby opowiadał jej sen; nie domyśla się nawet, jak wiele z tego świata, o którym słyszy, mogłaby poznać sama, gdyby kiedykolwiek pojechała do Fuzesgyarmat i zapukała do drzwi domu Rakhel Banyay. Mogłaby tam znaleźć takie same meble, tych samych klasyków, te same tradycje węgierskie i kalwińskie i to samo zaciekawienie Europą, które charakteryzowały rodzinę-Elka Szabó. Ona natomiast zrazu wstydzi się mówić o sobie, choć Elek wypytuje i nawet zawstydza ją, bo więcej wie o Juniorze niż ona, jego córka, wie, do jakich gazet pisywał, jak doskonale zbudowane, jak bogate w piękną miejscową gwargę są te opowiadania, które zostały wydrukowane, ile razy i co publikował w czasopiśmie „Borsszem Jankó” i w „Dongó”. Elek Szabó zna twórczość Juniora, który przesiadywał w kawiarniach, działał w Kole Csokonaiego i często zaglądał do debreczyńskich redakcji. Moja matka słuchała go, jakby mówił jej o kimś, kogo nigdy nie znała, i odnosiła wrażenie, że Elek Szabó - którego ojciec dostał od króla to samo odznaczenie co poeta Janos

Arany i który opowiadał jej, że jego matka będąc w błogosławnym stanie patrzyła na kwiaty i głaskała je, aby jej nie narodzone dzieci przejęły od kwiatów piękno i harmonię - nie brzydzi się burzliwym życiem jej rodziców. Kiedy podtuczony, uznany za zdolnego zarówno do rozwodu, jak i zawarcia nowego małżeństwa i właściwie uważany za wyleczonego Bela Majthényi wraca z Tatr, Lenke Jablonczay i Elek Szabó są już sobie tak bliscy, że moja matka, która dotychczas odważyła się na to jedynie wobec Bartóków, opowiada mu historię swego życia i mówi nawet o tym, że małżeństwo z Majthényim zostanie wkrótce rozwiązane, a jej następczynią będzie Melinda.

Reakcja Elka Szabó nie przypominała reakcji nikogo spośród zaufanych przyjaciół, ani słowem nie napomknął o przyszłości. Nie zapytał na przykład, kto będzie następcą Beli Majthényiego, czy będzie to József, czy może ktoś inny. Mówił o literaturze, o sztuce, interesował się projektami nowel i powieści mojej matki, przynosił jej książki pisane przez sławne w całym świecie kobiety i w ogóle nie uważał za niemożliwe, aby moja matka spróbowała w jakiś sposób wykorzystać talenty odziedziczone po Juniorze i Gacsórym. Zwracał jej uwagę na utwory Margit Kaffki, Anny Lesznai, Minki Czóbel, Piroski Reichard, pokazywał numery czasopisma literackiego „Nyu-gat”, zachęcał do pracy, bo skoro udało się innym, dlaczego właśnie ona miałaby ponieść porażkę. O ewentualnej karierze muzycznej mojej matki, mimo pochwał Kubelika i mimo że sam bardzo kochał muzykę, wyrażał się z mniejszym entuzjazmem. Ukończenie debreczyńskiej szkoły muzycznej jego zdaniem było niewystarczające dla przyszłej artystki i nie uważał za prawdopodobne, aby bez dalszej nauki w Peszcie czy Wiedniu i zabezpieczenia materialnego, przynajmniej w początkowym okresie, Lenke mogła się poważnie, zawodowo zajmować muzyką. Literatura to co innego, pomoce naukowe, dzieła prawdziwie wielkich pisarzy ma w zasięgu ręki, w bibliotekach, niechże spośród swoich talentów wybierze pisanie, z pewnością da sobie radę. Ilekroć wychodził od nich, moja matka miała wrażenie, że nudzi się bez niego, a i dziewczęta domagały się jego obecności, tak samo jak Bella, która bardzo przywiązała się do Elka Szabó, bo był religijny jak ona, choć innego

/

wyznania, z uwielbieniem Opowiadał o swojej rodzinie i tak samo jak ona stworzył wokół siebie ze swoich najbliższych całkiem osobny świat.

Parę dni przed powrotem Béli Majthényiego moja matka swobodnie, z zadowoleniem krząta się po mieszkaniu; .teraz, gdy Béla wróci, będą mogli się rozstać, trzeba tylko znaleźć dla niego odpowiednie mieszkanie. Jest wesoła także dlatego, że po .jednej z wizyt Elka Szabó zrozumiała nagle: wcale nie potrzebuje protekcji Kościoła czy Stillmunga, istnieją przecież także szkoły państwowe, miejskie, a Elek Szabó wciąż jeszcze może wszystko załatwić w ratuszu. W Komitecie Szkolnym liczą się z jego zdaniem, już on jej znajdzie posadę.

„Któregoś dnia twoja matka zameldowała się u mnie - opowiadał mi ojciec. - Niemal zawsze chodziła ubrana na białą, nawet zimowe, wełniane suknie miała grube, miękkie i białe, tylko w okresie żałoby widywałem ją w czerni. Chodziła jeszcze w żałobie po babce i w czarnej sukni była wysmukła jak młodzianka dziewczyna. Serce niemal mi zamarło na wieść, że jest tutaj, nie uprzedziła mnie, że przyjdzie, nie wiedziałem, czego chce. Potem, kiedy już siedziała po drugiej stronie biurka, uśmiechnęła się, poprosiła o papierosa i powiedziała, że chciałaby iść do pracy, teraz już rozwodzi się z Belą, wkrótce będzie całkiem wolna, ale do tego, żeby mogła być też niezależna, potrzebna jej świadomość, że potrafi sama zarobić na własne utrzymanie. O pracę było łatwo i zarazem trudno, miejsca walczących na froncie nauczycieli zajmowali inwalidzi i wdowy wojenne, wiedziałem, że jeśli się uprę, uda mi się tę sprawę załatwić, tylko że nie miałem zamiaru tego robić. Jeśli się rozwiedzie i będzie miała pracę, wyśliznie mi się z rąk. Wtedy już wiedziałem od mojego szwagra, który mieszkał w Peszcie, że József ma zamiar wyjechać i ożenić się z córką jakiegoś ważnego bankiera. Oczywiście obiecałem jej pomoc i powiedziałem, że wpadnę z wiadomością; przez uprzejmość została jeszcze parę minut, potem wybiegła zostawiając mi na biurku aster, który znalazła na ulicy, wiesz, że podnosiła wszystkie wyrzucone kwiaty."

W końcu października 1915 roku znów można spotkać na debreczyńskim korso opalonego w tatrzańskim słońcu Bélé Majthenyiego, József natomiast nie składa nawet wizyty poże

gnalnej, tylko wrzuca wizytówkę i znika. Lenke Jablonczay spokojnie przyjmuje do wiadomości to, na co właściwie była przygotowana, odkąd ich drogi tamtego pamiętnego popołudnia rozeszły się ostatecznie. Melinda chodzi po mieście, wypytuje znajomych, czy nie wiedzą o jakimś pokoju, moja matka czeka parę tygodni, aby nie wyglądało to na zbyt ni pośpiech, a potem idzie do ratusza. Musi czekać na Elka Szabó, który pracuje teraz także w wydziale spraw wojskowych, a kiedy wreszcie przychodzi, moja matka zwraca uwagę na jego mizerny wygląd, Elek Szabó należy do tej niewielkiej grupki ludzi, mających dokładny wgląd w tę nędzę i nieszczęścia, które dotknęły miasto, kraj i świat, a przewiduje także, co przyniesie przyszłość. „Będę miała pracę?” - pyta Lenke Jablonczay. „Tak - odpowiada Elek Szabó siedząc spokojnie przy biurku; przed nim przycisk do papierów w kształcie kuli z barwnego szkła i skrzydlaty wenecki lew. - Tak, jeśli pani zechce.” Moja matka uśmiecha się, Elek Szabó jest poważny, chwila znów utrwala się w czasie i decyduje nie tylko o jej, lecz także o moim losie. „Znalazłem dla pani coś, co chyba najlepiej rozwiąże sytuację. Niech pani zostanie moją żoną.”

Moja matka osłupiała. Propozycja nie przeraziła jej, tylko zaskoczyła, kiedy zastanawiała się nad swoją przyszłością, naprawdę wiele rzeczy przychodziło jej na myśl, tylko nie nowe małżeństwo. Nigdy nie myślała o Elku Szabó inaczej jak o niezastąpionym, najmilszym po Belli przyjacielu, którego szanuje i z którym zawsze chętnie się spotyka. Zgodnie ze wskazówkami Róży Kalocsy podziękowała za propozycję i powiedziała, że nie myślała o ponownym zamążpójściu, ale obiecuje, że zastanowi się i wkrótce da mu odpowiedź. Mój ojciec poprosił ją, aby nie wahała się długo, jeśli jest zdania, że chciałaby z nim żyć, szkoda tracić czas. Lenke Jablonczay, zanim wyszła, nie powiedziała nic zobowiązującego czy zniechęcającego, poprosiła go tylko, że gdyby znalazł jakąś możliwość pracy, niech jej natychmiast da znać. „Chciałabym być wreszcie niezależna, samodzielna, to moje największe marzenie” - wyjaśniła, a Elek Szabó pożegnał ją zapewnieniem, że jeśli za niego wyjdzie, będzie robiła, co zechce, i ułoży sobie nowe życie tak, jak zaplanowała.

dokładniej mówiąc, mogłaby je otrzymać, gdyby zechciała wysłuchiwać obracających się w jej towarzystwie starych kawalerów lub wdowców, którzy dawali do zrozumienia, że chętnie dzieliliby z nią życie, gdyby im dała szansę, ale moja matka nie chciała. Teraz, kiedy Elek Szabó powiedział jej o swych zamiarach, próbowała przeanalizować, co może jej dać, a co odebrać wyrażenie zgody na jego propozycję, i jeszcze nie doszła do domu, kiedy już wiedziała; należy poważnie się zastanowić. Nie jest zakochana w Elku Szabó, József prawdopodobnie aż do śmierci zawiązał jej życie, ale bardzo lubi tego niedużego człowieka, dobrze jej z nim, dziecko go kocha, a jego rodzina cieszy się powszechnym szacunkiem i autorytetem. Gdyby żyła kupcówna, tylko ucieszyłaby się z tego związku, naprawdę wszyscy w Debreczynie znali Jónosa Szabó, substytutę biskupa na Węgry Wschodnie i jego żonę, Marię Vśrady-Szabó. Lenke Jablonczay strzegła tylko cudzych tajemnic, własnych spraw nie zwykła ukrywać. Ledwie zdążyła wejść do mieszkania, odesłała Beluskę do zabawy i zapytała zakochanych, co oni na to, że Elek Szabó chce się z nią ożenić. Melinda aż krzyknęła z radości, Bela Majthényi zaś omal nie złożył jej gratulacji. Kto choć raz rozmawiał z Elkiem Szabó, mógł wyczuć, że nie będzie robił komeraży między eks-małżonkami i będzie dobry dla dziecka, może nawet lepszy niż dla własnego. Popołudnie upłynęło na tym, że Melinda i Béla Majthényi bezustannie wychwalali zalety intelektualne, rodzinę i charakter Elka Szabó, starając się przekonać Lenke Jablonczay, że na takie szczęście nikt nie liczył. Teraz jakoś oboje mieli wrażenie, że już dawno spostrzegli, jak ten człowiek szaleje za Lenke. I jaka piękna kariera czeka młodą parę, przecież Elek Szabó jest wyjątkowo zdolny i ustosunkowany, nikt nigdy nie słyszał o nim nic złego, a za parę lat, jeśli nadal tak jak dotąd będzie się piął po drabinie społecznej, z pewnością wybiorą go na burmistrza, ma wszelkie szanse w tym kalwińskim mieście, dla którego tak dużo uczyniła jego rodzina. „Ja właściwie chciałam czego innego - rzekła w zamyśleniu matka. - Chciałam być niezależna i całkiem wolna.” „Ale przecież będziesz - zapewniała ją Melinda. - W ich rodzinie kobiety dają koncerty domowe, malują i w ogóle robią, co chcą, choć nie są zamężne. Na przykład taka Emma Vśrady-Szabó pali cygara nawet w towarzystwie.” „Będę wol-

ha? - zapytała z nadzieją w głosie Lenke Jablonczay. Narzeczeni zapewnili ją, że już oni znają Elka Szabó i że będzie przy nim tak wolna i niezależna jak nigdy w życiu, po co ma się użerać z dziećmi w szkole, może wyładować swoje ciągotki pedagogiczne przy Belusce. Moja matka pobiegła do Bartóków, gdzie propozycję Elka Szabó przyjęto z największym entuzjazmem, Bella nawet uroniła parę łez. Od Belli Lenke Jablonczay poszła do klasztoru, Stillmungus usłyszawszy o Elku Szabó poprosiła, aby Lenke przyprowadziła go do niej któregoś popołudnia, bo skoro zdecydowały się wyjść za niego, to ona, Stillmungus, pragnęłaby go zobaczyć, poznać, nie chciałyby wraz z Lenke przeżywać jeszcze jednej pomyłki. Spotkanie nie doszło do skutku, Elkowi Szabó zawsze jakieś nadzwyczajne zajęcia przeszkadzały poznać Marię Margit Stillmungus, a Lenke Jablonczay, która nigdy nie interesowała się specjalnie sprawami panów z ratusza, nie domyśliła się, że to całkiem nieprawdopodobne. Później, już jako żona Elka Szabó, zrozumiała, że ta mitologiczna zazdrość, która trawi jej męża, dotyczy nie tylko Józsefa, Béli Majthényiego, małego Beluski i każdego mężczyzny, lecz także wszystkich kobiet i dzieci, a wyjątku nie stanowią nawet zmarli. Mój ojciec był zazdrosny nawet o wspomnienia Lenke, o łzy przelane nad grobem babki. „Kochał cię tak bardzo, że niemal umierał z miłości - próbowałam jej wytłumaczyć - gdyby mógł, wyrwałby z ciebie, wyszarpał tę część życia, w której jego nie było. Ciągłe wychwalałaś siostrę Margit, więc i o nią miał żal, nie chciał jej widzieć. O Bellę też był zazdrosny, tylko nigdy tego nie okazywał, bo wyczuwał jej lojalność i wiedział, że Bella jest jego przyjacielem, nie wrogiem.” „Dręczył tym i mnie, i siebie” - rzekła moja matka. „Siebie bardziej” - odparłam ja, jedyna osoba, której Elek Szabó wyznał kiedyś prawdę.

Zainteresowani szybko doszli do porozumienia i okazało się, że obydwójce mieli do siebie prośby. Lenke Jablonczay życzyła sobie, aby jej przyszły mąż uważał Beluskę za własne dziecko, na co mój ojciec zgodził się bez wahania, jak również na to, aby jego żona ułożyła sobie życie, jak uzna za stosowne: żeby występowała, jeśli zechce koncertować, pisała, jeśli znajdzie temat, bo gdy skończy się wojna i wszystko stanie się łatwiejsze, zapewne będzie miał możliwości, aby jej pomóc

w wydaniu tych utworów. Moja matka powiedziała uczciwie, że nie jest w nim zakochana, prześladowa ją dziecinna, nie spełniona miłość, na co Elek Szabó uśmiechnął się i machnął ręką: „Cień!” Lenke Jablonczay nie wie, co kryje ten uśmiech, jak wielką nienawiść, jak rozpaczliwą nadzieję: niemożliwe, aby nie potrafił przesłonić wspomnienia tej niedorzecznej pensjonarskiej miłości, przecież on jest dla Lenke stworzony i kocha ją tak bardzo. Warunek Elka Szabó ma charakter religijny: obraża tradycje rodzinne biorąc za żonę katoliczkę, życzy więc sobie, aby ich przyszłe dziecko było wyznania kalwińskiego. Moja matka zgadza się od razu, ona sama też urodziła się jako kalwinistka, zresztą to wszystko tylko teoria. Czuje się zaskoczona, kiedy przyszedł mąż mówi jej, że jest w błędzie. „Pani ma syna, ja nie mam potomstwa. Pragnęłam tego przez całe życie: chcę mieć dziecko. Córkę. Wysłałam pani do Leidenfrostów widokówkę, po powrocie do Debreczyna powiedziała pani, że albo pomyliłam adres, albo musiałem być pijany wysyłając tę niezrozumiałą kartę. Nawet pani nie zauważyła, że nie lubię alkoholu.”

Lenke Jablonczay najchętniej powiedziałaaby, że to naprawdę nieładnie z jego strony, że nie chce zadowolić się skarbami jej intelektu i wymaga od niej tej samej ohydy co Majthényi, ale nie protestuje, Elek Szabó będzie miał do tego prawo. „Ale potem niech pan nie zostawia dziecka tylko mnie- powiedziała pół żartem, pół serio - dziecko wiąże się z tyloma kłopotami, a ja chciałabym czasami napisać, a czasami wygrać na fortepianie to, co we mnie tkwi.” „Nie zostawię go całkiem pani - odparł z nieoczekiwaną powagą Elek Szabó. - Dziecko będzie w połowie moje. Raz pani będzie się nim zajmować, raz ja.” Rozmawiający w tabaczkowym salonie Belli narzeczeni nic mogą przewidzieć, że dziecko Lenke Jablonczay i Elka Szabó przez długi czas będzie należało tylko do ojca, że matka będzie zamieszona między życiem i śmiercią, minie więcej niż rok, nim sama zobaczy córeczkę, a w tym okresie wszystkie związane z dzieckiem kłopoty spadną na Elka Szabó.

Bella Bartók ma wrażenie, że Lenke wreszcie znalazła człowieka, z którym będzie mogła żyć tak samo, jak i ona żyłyby ze swoim Monim, gdyby Bóg wreszcie sprowadził go z tej przerażającej dali i położył kres wojnie. Jakże potrzebna jest

radość, przecież życie jest takie trudno: „Dziś po południu byłam u czterech rzeźników przy ulicy Csapó, żeby wysłać ci choć kawałek słoniny. W trzech miejscach nie było, w czwartym były dwa kawałki i rzeźnik zgodził się sprzedać mi jeden z nich pod warunkiem, że kupię tyle samo schabu. Ludzie błagają rzeźników o odrobinę smalcu. Rozpacz! U Majthépyich marzą o jak najszybszym podwójnym ślubie. Déluska chodzi do szkoły, ostatnio zwrócił się do mnie z pytaniem, czy to prawda, że to nie Jezusek przynosi choinkę, bo tak mówią wszystkie dzieci, zwłaszcza starsze. Powiedziałam mu, że dzieci powinny wierzyć, że to Jezusek, bo On daje miłość rodzicom i On też daje im pieniążki. Krążą wieści, że Rumuni skłonni są przepuścić Rosjan przez swoje terytorium, a to skomplikowałoby sytuację. Słyszałam, że najmłodszy syn Kardossów, Zoli, który na początku wojny był w Londynie, postanowił nie wracać do kraju i wyjechał do Ameryki, gdzie nauczył się krawiectwa i został właścicielem dobrze prosperującego zakładu; przyszła od niego wiadomość, że Ententa będzie przeciągać wojnę w nieskończoność i że państwa centralne, otoczone Ze wszystkich stron, znajdą się w obliczu krachu. Oczywiście Ameryka jest po stronie Ententy. Wiesz, jeśli o mnie idzie, to wbrew tym wszystkim pesymistom absolutnie w to nie wierzę. Uważam za prawdopodobne, że w ciągu trzech, czterech miesięcy wypłaczemy się z tej strasznej ciemności. Sądzę jednak, że przeciwnicy tylko na pewien czas pogodzą się z przyszłym pokojem, a za dziesięć, dwadzieścia lat chęć zysku, zemsty itp. doprowadzi do nowej wojny. O czym mam ci jeszcze napisać? O naszej małej? Kiedy robiłam paczkę, ona też myślała o Tobie. -Mamusiu, ja tes idem na wojne!»"

W samym końcu października Bella zawiadamia męża, że sprawa przyjaciółki robi piękne postępy, „...panuje u nich cudowna harmonia, ponieważ cała czwórka romansowych bohaterów z radością aprobuje wzajemnie swoje plany. Teraz nastąpi realizacja projektu, która rozpocznie się od separacji (sześć miesięcy), i wydaje mi się, że nie będą z tym zwlekać. Na razie wszystko jest utrzymywane w tajemnicy, ludzie tylko domyślają się i plotkują." 17 listopada - dowiadujemy się również z listu Belli - Béla Majthényi jest już na nowym mieszkaniu, tradycyjnie obchodzona uroczystość rocznicy uro

dzin poety Csokonaiego odbywa się w mroźne, zimowe popołudnie, sypie śnieg, Bella jest jakoś pesymistycznie nastrojona tego dnia, na próżno tak pięknie śpiewa chór i Szavay czyta wzruszający wiersz okolicznościowy. wydaje mi się, że Lenke prędzej będzie szczęśliwa w swym przyszłym domu, z nowym mężem niż my. Pokój "nie ma skrzydeł tak szybkich jak nasza za nim tęsknota... Po południu była u mnie Lenke. W tym roku znów w stałym użytku jest samowar. Właśnie nalewałam do niego wodę, kiedy zjawili się starsi państwo Kursinszky. Kiedy wyszli, rozmawialiśmy o sprawach Lenke. Bela mieszka w wynajętym pokoju u Ludanyów, a w marcu upływa termin separacji. Potem sześć tygodni procesu, wreszcie dwa śluby. Szczerze lubię Elka Szabó, cieszę się, że i ty również."

Beluska Majthényi nie wie, na co się zanosi. „Nie zauważyłem, że małżeństwo moich rodziców wpadło na rafę - donosił mi dwa lata przed śmiercią we wspomnieniach, które napisał na moją prośbę, i Już stare zdjęcie znad Adriatyku świadczyło o tym, że nawet w okresie mego najwcześniejszego dzieciństwa sprawy nie były w porządku. Wesole towarzystwo w morzu, mój ojciec przy Melindzie, matka z dala od wszystkich ze mną na ręce. Ale nigdy nie słyszałem żadnych scen, nie docierały do mnie żadne konflikty.

Wejście do naszego mieszkania prowadziło z bramy, do drzwi wchodziło się długimi schodami. Z tyłu na podwórzu była altana, od zewnątrz oplatało ją dzikie wino, w środku panował tajemniczy półmrok. Wysiadywałem tam samotnie całymi godzinami. Często byłem w kuchni. To była piwniczna kuchnia, gdzie służba zabawiała się straszaniem mnie: rozlegały się tajemnicze stuknięcia, jakieś piski. Bardzo się bałem. Byłem samotny, ale strzegę tych wspomnień. Co wieczór stawiałem przed fotelem na biegunach dwa krzesła, zarzucałem na nie sznurek i to były konie. Poganiałem je długą witką, fotel bujał się w przód i w tył, a ja zwiedzałem wspaniałe okolice. Nie podjąłbym się ich opisać, ale zjechałem świat od równika po Antarktydę. Potem upłynął jakiś czas i zmieniliśmy mieszkanie. My z mamą zamieszkaliśmy w tym samym domu, ale od podwórza. Ojca nie było. Widzę ten obraz, jakby to było wczoraj: drzwi mieszkania otwarte, przy ścianie szezłąg, siedzą

na nim obok siebie Elek Szabó i nasza matka. Ja bawię się na podwórku i patrzę na nich. Matka jest bardzo piękna.

Ojciec? Raczej: OJCIEC! On jest dla mnie połączeniem miłości, dobroci i humoru. Kiedy był już ciężko chory, każdego wieczoru stawał przy moim łóżku pełen miłości i pokory i słuchał modlitwy, którą próbowałem opowiedzieć Bogu to, co On wiedział lepiej ode mnie. Wiem, powinienem napisać o Melindzie, ale zamiast niej jawi mi się ojciec i widzę go, jak spaceruje tam i z powrotem po otwartych na oścież pokojach. Widzę go siedzącego w wielkim fotelu, jak pali papierosa, jak chichocząc gra w karty. Mój ojciec przepadał za domem w Winnicy, u nas w ogrodzie było pełno kwiatów. Jego wiernym przyjacielem był Góza Ludśny, prezes komitackiego sądu opiekuńczego; lubili sobie popijać i podśpiewywać. Ale przejdźmy do Melindy. Nie wiem, co było przedtem, nigdy mnie to nie interesowało. Nie wiem, co stanowiło tę czarodziejską siłę, która pozwoliła wędrującej już kobiecie odbić mojego ojca naszej młodej, pięknej matce. Była przecież od niej znacznie starsza, chuda, płaska, stale walcząca z migrenami i anemiczna. Nieprawda, aby coś było między nią a panem Gezą Ludśnym. Ciotka Gizi, możesz wierzyć lub nie, nadawała się nawet na matkę. Każdego wieczoru, gdy akurat nie złożyła się partyjka kart, wyciągała moje spodnie i skarpetki i cerowała je biedaczka uparcie, z wciąż nową energią. Lubiała dzielić się tym, co miała. Między nią i moim ojcem panował gładki, elegancki ton. Przecierpiała długą chorobę ojca i nigdy nie dała nam odczuć, że mój ojciec i ja umarlibyśmy bez niej z głodu. Była oszczędna, każdego wieczoru zapisywała wydatki i rzadkie wpływy, miała w Elep dwadzieścia hektarów ziemi, za roczną dzierżawę dostawała sześćdziesiąt metrów pszenicy. Z tego żyliśmy, a kiedy grad wybił nam winorośl, nie mieliśmy żadnych innych dochodów. W naszym domu mimo to nie czuło się nędzy. Dwa razy w tygodniu odbywały się wielkie partie kalabriaka z Ernó Szekerem, prezesem urzędu katastralnego, który był brzydki, lecz dowcipny, a przy kartach zawsze bywały jakieś smakołyki. Od tamtej pory nie widziałem i nie jadłem takich pogaczy*, Melinda była wprost mistrzem cukierniczym. I miała też dobre

serce, starała się pomagać każdemu, kto tego potrzebował. Nigdy nie krzyczała. W domu nie słyszałem kłótni. Dwukrotnie traciła swoją winnicę, która w jej świadomości nierozzerwalnie wiązała się ze wspomnieniem ojca. Muszę ci powiedzieć, że nie lubiłem Melindy."

W roku separacji, między listopadem 1915 a październikiem 1916, równoległe z kształtowaniem się losów postaci Staroświeckiej historii, Enwer Pasza oznajmia w parlamencie, że nieprzyjaciół w Dardanelach utracił ponad ćwierć miliona żołnierzy i co najmniej drugie tyle rannych; delegacja węgierskich miast jedzie do Schonbrunnu złożyć hołd królowi; w robotniczych dzielnicach Budapesztu i innych mniejszych miast, gdzie pracują fabryki, odczuwa się niepokój; nasz ambasador w Waszyngtonie żąda, aby go odwołano; państwa centralne protestują przeciwko amerykańskim dostawom broni dla aliantów, jako rekompensata za trudności aprowizacyjne na Węgrzech ukazują się ustawa o nowym, wspólnym godle austriacko-węgierskim; Beluska przechodzi ciężką odrę; Pirooska Jablonczay otrzymuje oficjalną pochwałę za doskonałą pracę z najmłodszymi przedszkolakami; według doniesień prasy nasze oddziały i nasi sojusznicy walczą w jednakowo trudnych warunkach, ale z powodzeniem, które budzi podziw na całym świecie; wiersz Menyherta Kissa Modlitwa przechodzi z rąk do rąk, bo poeta ze zręcznością żonglera łączy przecucie klęski z zachwytem nad sukcesami wojennymi i gromadzi wszystkie rekwizyty liryczne, które są już tak oklepane, że natychmiast wywołują w czytelnikach odruchy warunkowe:

Ty nas, Boże, wspierasz, nie jesteśmy sami walcząc z szatanami, z nędzami-cieniami, więc chwała Ci, Ojcze, któryś jest w niebiesiach, Ty nam od zagłady ocalenie niesiesz. Niech Twa święta ręka Węgrom łzy osusza, grób nasz to chorwacko-polsko-ruska głusza. Pobłogosław, Panie, nasz lud, jego wieszczę, jego krew i duszę, co cierpi wciąż jeszcze, pobłogosław króla, co tak dobry dla nas,

niech błyszczą korona świętego Stefana. Spraw, by nie płakali ślepi, chromi, niemi, daj słońce i rosę dobrej naszej ziemi, deszcz runi, owocom zapach, co się zowie, daj sierocie ojca, towarzysza - wdowie. Ty wiesz, że szeregi nasze zwarte, ściśle wsparły się o ścianę Karpat i o Wisłę, w Tyrolu i wszędzie tam, gdzie bój największy, gdzie siła, blask, triumf, wszędzie byli Węgrzy.

Menyhert Kiss pisze znacznie przyjemniej niż bezczelny Endre Ady, którego podburzające i defetystyczne wiersze tak lubi Elek Szabó, co stanowi jedyną plamę na jego charakterze, ale pocziwa Bella i na to znajduje usprawiedliwienie: Elek Szabó jako student prawa należał przecież do koła Adyego, oczywiście, nawet w tym przypadku nie powinny mu się podobać takie wiersze, jak Wojna w Mezőhegy i Grzech wielkich kradzieży, to już nie poezja, lecz zniewaga, a to, co pisze Ady o filtrującym działaniu czasu, sprawią na czytelniku przykre wrażenie, jakby dotyczyło ojczyzny. Nie, i tak wokół jest tyle goryczy, tylu znajomych w niewoli, tylu. poległo, że już lepiej słuchać Menyherta Kissa albo Vertessa. Teraz już i bogata Bella Bartók nie może dotrzymać kroku skaczącym cenom, a co dopiero biedna Lenke Jablonczay. Teraz, kiedy jej przyjaciółka szykuje się do nowego małżeństwa, a Melinda aż promienieje ze szczęścia, Bella odczuwa samotność bardziej niż dawniej i melancholijnie gra na fortepianie.

Lenke Jablonczay po raz drugi urządza sobie dom, do którego zabiera nie tylko wspomnienie Józsefa, ale także żywego małego chłopczyka, który jeszcze o niczym nie wie, popija żelazo, bo jest anemiczny i bardziej nerwowy, niż to uzasadnione. Ponieważ na łamach „Pesti Hirlap” czyta się entuzjastyczne wypowiedzi zarówno posła do parlamentu, jak pewnego inspektora policji, duchownego katolickiego, na temat tak modnych ostatnio kropli Kóniga, przy ulicy Fúveskert dyskutuje się poważnie, czy Beluska nie powinien przejść podobnej kuracji, byłby to bowiem cios dla wszystkich, gdyby

choroba dziecka miała utrudnić przegrupowanie się par. Bóluska jednak z całkiem naturalnych powodów jest bardziej cichy i lękliwy: dorośli zajmują się sobą, a personel w kuchni zabawia go takimi samymi historyjkami grozy jak niegdyś małą Lenkę w suterenie domu przy ulicy Kismester. Goście też nie przynoszą wesołych nowin, prawie zawsze opowiadają o czyjejś śmierci, dziecinne lata Bóluski upływają pod znakiem kataklizmu światowego, świadczą o tym najlepiej militarny charakter zabawek od Elka Szabó, i jakoś dociera do jego świadomości to wszystko, na co ojciec i matka, zaabsorbowani przede wszystkim własnym losem, zwracają niewiele uwagi. A przecież dni są pełne nie tylko napięcia i świadomości bezustannie zbierającej gdzieś żniwa śmierci, ale również przyjemnego podniecenia, bo co dzień przychodzi hajduk z ratusza z prezentami od Elka Szabó. Przynosi kwiaty, kilka świeżo wywołanych zdjęć, nowe nuty, miniaturowe instrumenty muzyczne dla Bóluski, oryginalny samodziół lub jakieś osobliwe dzieło sztuki. Na pewno ma dużo pieniędzy -- myśli Lenka Jablonczay -- skoro go stać na takie luksusy. Powoli oswaja się z tym, że znów czeka ją życie małżeńskie, lecz ten fakt łagodzi nieco myśl, że Elek Szabó to właściwie czarujący człowiek. Pogodna natura Lenki Jablonczay natrafiła na pokrewną duszę: mężczyzna ma nie tylko wesołe usposobienie, ale jest także wykształcony, mądry i dowcipny, widać, że orientuje się we wszystkim, że docierają do niego nie tylko miejskie plotki, lecz także nowiny, które nie dochodzą do opinii publicznej, i że milczy na ten temat! Lenka Jablonczay nie może się nadziwić, że ani prośbą, ani pochlebstwem, ani przymilnością nie potrafi wyciągnąć z niego rzeczy, o których on nie chce jej powiedzieć.

Bela Majthényi był jej niewolnikiem, robił to, czego sobie życzyła, nawet wtedy gdy już od dawna jej nie kochał - Elek Szabó jest w niej śmiertelnie zakochany, ale Lenka nie potrafi go nakłonić do niczego, co jest sprzeczne z jego wolą. Tymczasem czwórka bohaterów pokazuje się razem w mieście tylko tak często, jak pozwala na to zdrowy rozsądek. Przyjaźń rodziny Bartóków jest teraz cenniejsza niż kiedykolwiek. Skoro Agostonowa Bartók przyjmuje razem Elka Szabó, Lenkę Jablonczay, Belę Majthényiego i Gizellę Jablonczay, to nie ma języka, który ośmieliłby się ich oczernić, należy bowiem sądzić, że ten

niecodzienny układ wcale nie zasługuje na potępienie.

W tym czasie w parlamencie rozbrzmiewają długie i burzliwe wystąpienia na temat pomocy dla urzędników państwowych, odszkodowań i powołania do wojska pięćdziesięciopięciolatków, państwo, aby zapewnić zaopatrzenie ludności, wprowadza kartki żywnościowe, w Budapeszcie lokale rozrywkowe zamyka się o północy zamiast o świcie i wprowadza się czas letni. Minister spraw zagranicznych Francji ustępuje; Briand tworzy nowy rząd; Bella wpada w panikę, potem jednak uspokaja się: jej mąż dwukrotnie przechodzi jakąś ciężką chorobę żołądka; car zwalnia - wielkiego księcia Mikołaja Romanowa; Sassanow wygłasza wielką mowę na temat pokoju; premier Goriemykin znika ze sceny; minister spraw zagranicznych Chwostow traci stanowisko; nastrój w dzielnicach robotniczych Rosji jest tak groźny, że z meldunków patroli porządkowych można dokładnie wywróżyć przyszłość, lecz uwaga cara koncentruje się na komunikatach wojennych; Lenke Jablonczay wymienia coś z biżuterii, którą dostała jeszcze od Józefy Heinrich, Ha breloczek do dewizki, aby też zrobić jakiś prezent Ełkowi Szabó; premier angielski oświadcza, że nie złoży broni, dopóki Belgia i Serbia nie odzyskają zajętych terenów; ciotka Klári po parodniowej chorobie niespodziewanie umiera, koszty pogrzebu ponoszą wspólnie najbliżsi krewni kupcowy, a są one zaskakująco wysokie; w Irlandii wybucha powstanie, sir Roger Casement potajemnie dostarcza broń na zieloną wyspę, kończy na szubienicy, tymczasem Niemcy czterokrotnie kierują nalot zeppelinów nad Anglię. Wypowiedzi Niemiec są jednoznaczne, będą postępować z nieprzyjacielskimi statkami w ten sposób, jak gdyby to były okręty wojenne, reakcja Białego Domu jest ostra i możliwe, że Stany Zjednoczone włączą się do wojny. Irénke Jablonczay przeżywa pierwszy miłosny zawód w życiu, a Piroska odrzuca pierwszego konkurenta, który się jej oświadcza; Reichstag żąda prowadzenia wojny podwodnej przy zastosowaniu najbardziej bezwzględnych środków, oddziały Ententy lądują w Salonikach; Grecja obiecuje neutralność, ale rozbraja wkraczające na jej ziemie jednostki. Melinda odwiedza starsze siostry proponując im zgodę, ale wyprawa kończy się fiaskiem, dwie starsze Parki nie chcą nawet słyszeć o oburzającym czworokacie i nie życzą sobie

znać szczegółów skandalicznej sprawy. Siostry z ulicy Kismester kłócą się znów jak przed wojną, a tymczasem w kwaterze głównej nieszczęśliwa decyzja Conrada von Hótzendorfa i Falkenhayna zawraca z Tyrolu oddziały, aby skierować je pod Verdun, co narusza stosunkową równowagę sił na froncie wschodnim. Mąż Olgi jeździ na prowincję po żywność, rodzeństwo Majthćnych dzieli się nią, jednakże ani Lenke Jablonczay, ani Melinda nie jedzą nic z paczek Olgi, tylko odżywiają Bćluskę i Bćlę, dla obydwu byłoby nieszczęściem, gdyby z powodu coraz to pogarszającej się aprowizacji Bela Majthćny wpadł z powrotem w chorobę. Bitwa pod Verdun trwa od lutego do września, sanitariuszy, jeśli w ogóle docierają z noszami do szpitala polowego, nie można poznać, tak zbryzgani są krwią, przez którą muszą brnąć; ze zwłok poległych pod Verdun żołnierzy różnych narodowości można by wznieść górę - liczba ofiar przekracza milion - a okolice Doberdo i Soczy to już nie front, tylko rzeźnia. Agostonowa Bartók organizuje niewielkie kółko, w którym robi się na drutach pulsetki dla walczących na froncie wschodnim żołnierzy, Bella pomaga w tej pracy i zabawia zbierające się u nich kobiety grą na fortepianie lub głośnym czytaniem.

W maju w cieśninie Skagerrak ma miejsce najstraszliwsza bitwa morską pierwszej wojny światowej. We mgle nie można rozróżnić sojusznika od wroga, suną torpedy, sterczą wraki, leci grad pocisków; w deszczu, chmurach prochu strzelniczego, w płomieniach i falach pochłaniających przepołowione okiety giną tysiące żołnierzy, sztab niemiecki przyznaje się do 2414 poległych i 449 rannych, na zatopionych okrętach angielskich służyło niemal dziesięć tysięcy żołnierzy, z tego niemieckie niszczyciele wyławiają stu siedemdziesięciu, reszta ginie. Bćlu- ska Majthćny i Beluska Tichy jednocześnie dostają ropnego zapalenia migdałków, matki są zaniepokojone, w aptekach brak leków, najłatwiej można je zdobyć przez Elka Szabó, bo jeden z jego szwagrów jest aptekarzem. Połowę 1916 roku cechują wielkie ofensywy, Rosjanie prą do przodu i zajmują niemal całą Bukowinę, a w czerwcu na froncie fłandryjskim zaczyna się trwająca aż do listopada bitwa nad Sommą; Elek Szabó prosi znajomego inżyniera, aby mu wytłumaczył zasadę działania wprowadzonych właśnie po raz pierwszy przez Anglików czoł-

gów; Rumunia wypowiada wojnę, Rumuni wdzierają się do Siedmiogrodu; młodsza siostra ciotki Klári, Agnes, bezładnego wyjaśnienia czy listu pożegnalnego popełnia samobójstwo i teraz spośród dawnych służących żyje już tylko Annus.

We wrześniu Siedmiogród znów jest wolny, kłopoty z zaopatrzeniem natomiast występują już nie tylko na Węgrzech, walki morskie i wzajemna blokada gospodarcza naruszyły równowagę ekonomiczną. Z dodatków do gazet patrz na czytelników fotografie mężczyzn, którzy już nawet nie potrafią się uśmiechać. Bella poza postem, ponieważ i tak nie można dostać mięsa, składa nowy ślub dla prześlągnięcia niebios: aby odzyskać męża, przez dwa dni w tygodniu nie będzie palić, choć jest namiętą palaczką. Na zdjęciach w rubryce przedstawiającej naczelne postacie parlamentu węgierskiego Mihály Károlyi z gniewną miną podpira się na łokciu, a kołnierzyk Rakovskiego* sterczy na dwie strony, jak gdyby jego właściciel przewidywał, że zaraz dojdzie do bójki, i już z góry rozluźnił krawat. Béluska Majthényi doznaje szoku, znajduje na ścianie w szkolnym WC nieprzyzwoite rysunki, w domu przerysuje je z pamięci, Lenke Jablonczay ma wrażenie, że to koniec świata, w tym bladym dziecku odezwała się zła krew jego babki. Jakiś anonimowy ekspert stwierdza na łamach prasy, że nie można oczekiwać cudów po zbiorach w 1916 roku, jest zbyt wiele wód gruntowych, a znaczna część ziemi leży odłogiem z powodu braku siły roboczej. „Szczęście, że w 1915 roku los był łaskawy, bo jeśli nawet przyniósł zbiory mniej niż średnie, to jednak udało się szczęśliwie zebrać je z pól i dziś śmiało możemy wyruszyć na spotkanie trzeciej wojennej zimy, ciężkie czasy zahartowały nasze siły i jeśli właściwie wykorzystamy plony - dostarczając je również naszym sojusznikom - na najbliższy rok będziemy zaopatrzeni w podstawowe środki żywności.”

Ale w 1916 roku los nie będzie już tak łaskawy: w kwietniu spada na kraj katastrofalna ilość deszczu, w czerwcu plony niszczy huragan, w lipcu susza i znowu huragan, który na obszarze kilometra kwadratowego zamienia w gruzy wszystkie zabudowania i w Becsujhely zostawia po sobie trzysta ofiar śmiertelnych i rannych. Policja debreczyńska obiecuje skuteczną interwencję, aby

zapewnić zaopatrzenie ludności i uderza w spekulantów z czarnego rynku, ale pokątny handel rozwija się nadal i sytuacja staje się coraz bardziej beznadziejna. Lenke Jablonczay dostaje niekiedy większą ilość żywności przynieszoną przez hajduka od Elka Szabó, i to też jest prezent. Rośnie liczba jeńców wojennych, budapeszteński urząd, który zajmuje się pomocą dla jeńców i zawiadamianiem ich rodzin, podaje w gazetach, że wprowadził do obrotu towarowego różnokolorowe karty pocztowe przeznaczone do korespondencji z jeńcami. Elek Szabó pyta przyszłą żonę, ile też właściwie ma rodzeństwa, po wysłuchaniu jej odpowiedzi zamyśla się i dalej pyta, gdzie podziewają się jej dwaj młodszy bracia. Bezlitosne pytanie - Lenke Jablonczay nie zwykła interesować się rodziną z Pesztu. Na froncie we Flandrii toczy się walka powietrzna, pod Ypres Niemcy po raz pierwszy używają gazów bojowych, w bitwie nad Sommą Anglicy i Francuzi rzucają do walki dziewięćdziesiąt dywizji, z których pięćdziesiąt ulega zagładzie. Agoston Bartók notuje w dzienniku o tym okresie: „1 grudnia 1915 roku mój zięć Antal Tichy po zbudowaniu i uruchomieniu na zajętych terenach rosyjsko-polskich polowych tramwaj konnych przeniósł się do Brodu w celu odbycia dalszej służby. 4 marca 1916 roku urodziła się w Budapeszcie moja wnuczka Cíva Bartók. Antal Tichy został przeniesiony do Szkodry.”

Po utracie ojca debreczyńska część klanu Szabów mieszka z owdowiałą matką, potem zaś, gdy Maria Vsrády-Szabó umiera, Elek i jego trzy siostry, Gizella, Berta i Iren, prowadzą nadal wspólne gospodarstwo. Gizella wychodzi za mąż za Lószló Ssmyego i ma z nim synka. Irén i Berta są jeszcze pannami, kiedy ich brat oznajmia niespodziewanie, że chciałby, aby poznały przyszłą szwagierkę, chce się żenić. Przebieg spotkania znam z trzech źródeł, często opowiadała mi o nim matka, a na moją prośbę także moja cioteczna siostra Maria oraz moja matka chrzestna

Irén Szabó. Szabówny aż do chwili spotkania wiedziały o mojej matce tylko tyle, że jest to piękna żona Béli Majthényiego, i ucieszyły się, że dzięki Ełkowi zostanie członkiem ich rodziny. Matka natomiast opowiadała

mi, że niełatwe było to pierwsze spotkanie i nie należałoby do udanych, gdyby ojciec nie roztoczył całego blasku swego humoru, nie nadskakiwał jednocześnie przyszłej żonie i młodszym siostram, i gdyby Lenke nie nauczyła się przy ulicy Kismester przeżywać trudnych chwil; w ciągu tego kwadransa skonfrontowały się ze sobą dwa światy. Szabówny nie były podobne do żadnej z tych osób, które dotąd przewijały się przez życie mojej matki, nigdy nie widziała tak cichych i żyjących tylko sprawami rodziny panien. Nie dlatego, żeby ciotka Berta czy też moja przyszła matka chrzestna Irén nie były dość wyrobione towarzysko, ale moja matka i one patrzyły na siebie jakby pizez szybę. Lenke Jablonczay wniosła ze sobą atmosferę francuskich herbatek Olgi Majthényi i przejętą od Melindy, swobodną paplaninę na temat wszystkich ciekawszych wydarzeń "w mieście; szukając coraz to nowych tematów w utykającej rozmowie, przejechała przez cały horyzont debreczyński, ale Szabówny milczały i wreszcie pomysłowość mojej matki wyczerpała się. Aby przerwać nieprzyjemną ciszę, Elek Szabó otworzył wieko fortepianu i odegrał piosenkę z operetki Złoty Deszcz: „Gwen- doline, Owendoline, czy chcesz zażyć aspirynę, cuda czyni ten proszeczek, Gwendoline, Gwendoline, czy chcesz zażyć aspirynę", ale i wtedy śmiała się jedynie jego narzeczona. W trakcie rozpoczętej na nowo rozmowy okazało się, że Szabówny nie znają ludzi, o których wspominała Lenke Jablonczay, ale gdyby ich nawet znały, i tak nie interesowałyby się ich życiem prywatnym, one najbardziej lubią przebywać we własnym domu i choć polubiły Debreczyn, tęsknią za Koróstarcsa, za Bekés i resztą rodzeństwa. Potem już tylko przyglądały się mojej matce w taki sposób, jak gdyby nagle wleciał przez okno rajski ptak, a one do tej pory znały jedynie przepiórkę.

Nigdy nie słyszałam od ciotek Szabó o mojej matce nic poza pochwałami i komplementami, nikt lepiej od nich nie wiedział i nie głosił, z jaką wiernością i odwagą stawała w każdym kłopotcie przy swym lekkomyślnym mężu, trzymając w rękach ster okrętu, który prowadzony przez chwytające się wciąż czego innego ręce ich uwielbianego i podziwianego brata, zatonałby w pół godziny. Nigdy o rodzinie ojca nie słyszałam od matki nic poza dobrymi i pięknymi słowami, a jednak od wczesnego dzieciństwa czułam, że Lenke Jablonczay i rodzina

Kiedy się czyta list Belli z 29 maja 1916 roku, nie ulega wątpliwości, że moja matka w okresie separacji żyła w trudnych warunkach materialnych. Żeby móc się utrzymać, prosi przyjaciółkę o pożyczkę, a Bella, jak o wszystkim, tak i o tym donosi mężowi. Znając okoliczności, jestem przekonana, że wydała wszystkie pieniądze, aby wspólnie z Melindą zapewnić Béli Majthenyiemu dobre odżywienie i ciepły pokój: bardziej niż wszystkiego na świecie bała się, że mężczyzna znów zachoruje i znów trzeba będzie odłożyć rozwód. Ceny żywności i opału zdobywanych bez kartek stały się wprost horrendalne, teraz już na każdym kroku odczuwało się skutki wojny, nawet prasa nie

Elka Szabó stanowiły dla siebie wzajemne rozczarowanie. Do zamkniętego, purytańskiego, kalwińskiego kręgu Szabów weszła katoliczka, wychowana w klasztorze i w bigoteryjnie wierzącej rodzinie, rozwódka z chorowitym synkiem, mojej matce zaś wspomnianie komitatu, rozmowy o ojcu przyszedłego męża, genialnym dziekanie, który na terenach zamieszkałych przez mniejszości narodowościowe nie tylko podtrzymywał, lecz także rozwijał rozproszone węgierskie zbory, przypominały to, o czym chciała zapomnieć: Sőrét, Gacsaryeli i pradiadka, kaznodzieję-kronikarza. Poza tym ze zdziwieniem patrzyła na te dziwne panny, które, jak same twierdziły, tylko we własnym domu czuły się naprawdę dobrze i nie interesowały się obcymi. Lenke Jablonczay najmniej lubiła przebywać w domu; jeśli jej nikt nie zaprosił, nie mogła spotkać się z przyjaciółmi lub o określonej porze dnia przejść się po korso, czuła się nieswojo; trzy dni przed śmiercią* w osiemdziesiątym trzecim roku życia, kiedy bez pomocy nie mogła przejść nawet przez pokój, powiedziała, że chciałaby wyjść i przespacerować się aleją Erzsebet Szilógyi.

To pierwsze spotkanie wypadło poprawnie. Wiem od ojca, że matka gratulowała mu siostr, a siostry gratulowały mu mojej matki. Szabówny nawet mrugnięciem powiek nie dały poznać, jakim wstrząsem jest dla nich małżeństwo Elka. Dotychczas żyli w trójkę, teraz zostaną we dwie, na pewno bez pomocy brata. Wszystko jedno, byleby on był szczęśliwy, niech go Bóg prowadzi na nowej drodze.

ośmielała się ukrywać kryzysu: „Nie tylko fizycznie, także psychicznie sparaliżował nas widok setek ludzi wystających w trzaskający mróz przed gazowniami i składami opałowymi. Iluż ludzi zginęło przez te wojenne trudności, których przy odpowiedniej organizacji można było uniknąć! Oto i do nas zawitała wojenna bieda i-niestety-widzieliśmy zamrożonych na ulicach włóczęgów, lód w miednicach, śmierć małych dzieci, przesiadujących całymi dniami w nie opalanych lodowatych mieszkaniach. Śmiertelność wśród dzieci przybrała zastraszające rozmiary i podczas gdy ojcowie i bracia ginęli w dalekim świecie broniąc ojczyzny, ofiarami wojny stały się również te niewinne istoty w kraju. Cierpienia, które dotknęły tej zimy zwłaszcza biedniejszych, pozostaną na zawsze w naszej pamięci. Niestety, pogoda w ubiegłym roku dla zbiorów ziemniaków i kukurydzy, jak również pasz objętościowych była jak najgorsza." Ustanie kredytów i brak towarów przynoszą w rezultacie nie tylko komplikacje spowodowane śrubowaniem cen, ale po brakach ilościowych następują braki jakościowe; nieuczciwi dostawcy wojskowi, oszuści i spekulanci prowadzą swoją prywatną wojnę, na której zbijają majątki. W miarę zmniejszania się podaży zaczyna gwałtownie wzrastać przestępczość wśród małoletnich i wśród kobiet, brak mężczyzn na tyłach prowadzi do rozkładu i demoralizacji rodzin. Z dnia na dzień zwiększa się liczba samobójstw, Budapeszteński Sąd dla Nieletnich w trzecim roku wojny rozpatruje o 2158 spraw więcej niż w roku poprzednim, władze wojskowe rejestrują 9369 dezerterów, z tego udaje się ująć 3842, reszta jest nadal poszukiwana.

O wydarzeniach z okresu separacji małżonków Majthćnyich można się wiele dowiedzieć z listów i dzienników. Bella donosi mężowi na front, że śpiewa solo na mszy i że wyśle mu fotografię swoją i Mariannę, a czekająca na rozwód Lenke, mimo impasu uczuciowego, jest w wesołym nastroju, bowiem liczy, że będzie mogła wstąpić na drogę kariery artystycznej, chodzi również do klasztoru na gimnastykę (na zdjęciu stoi na schodach z dawnymi koleżankami szkolnymi, znów upięła włosy jak za panieńskich czasów i uśmiecha się do aparatu jak szesnastolatka). Sfotografowany zostaje też Bćluska Majthćny, w białym trykotowym ubranku i zapinanych pantofelkach pręży się i saltuje ze smutną twarzą. W Segedynie panuje

smutek i zarazem duma: 46 pułk piechoty tylko jednego dnia odpiera siedem ciężkich ataków, zaś sekretarz stanu, socjaldemokrata Haase, który chciałby przyspieszyć pokój, wyraża tę samą myśl co pisząca do męża Bella Bartók: „Pokój nie ma skrzydeł tak szybkich, jak nasza za nim tęsknota.” „Czy jeszcze kiedyś będzie tak dobrze jak dawniej? Gdy myślę o tych pięknych i szczęśliwych czasach, kiedy byliśmy razem, to tak jakbym spoglądała w zamierzchnią przeszłość. Ta epoka wznosi potężny mur między przeszłością a przyszłością. Chyba po trwającym dwadzieścia lat śnie Rip van Winkle'a nie mogło być większych zmian niż te, które zachodzą w naszym społeczeństwie.” Kiedy ten list wędruje do adresata, Bella i Lenke mają dość mętne wyobrażenie o Verdun, operacji wojennej nad Mozą, o walce powietrznej, o tym, że w San Martino żołnierze mordują się w walce wręcz, uczestnicy bitwy pod Verdun żyją w okopach niczym krety, a podczas nalotu lotniczego ginie w Trieście 400 dzieci w klasztorze salezjanów. Gdyby nawet Lenke Jablonczay słyszała coś na ten temat, jej świadomość natychmiast odrzuciłaby te informacje, i jest to tak niepodobne do tejże Lenke z jej łąk panińskich i późniejszych (wiem coś o tym, bo przeżyłam z nią II wojnę światową), przejawiającej zawsze tak żywe i wielostronne zainteresowania, że nie można tego wytłumaczyć niczym innym jak tylko tym, że zbierała wówczas siły do ostatniej próby swojego życia i przygotowania do tej wielkiej zmiany pochłonęły bez reszty jej uwagę. Gizella Jablonczay ostrożnie próbuje się wywiedzieć, co jej zostało po śmierci kupcowy i rodzinnym trzęsieniu ziemi, dzieli i mnoży, rozważa, jakby to zużytkować najpraktyczniej. Beluska Majthényi bawi się w wojnę gazową z Beluską Tichym, zręczne palce Elka Szabó wyczarowują im z wołowego pęcherza wspaniałego zeppelin. Jednakże zabawa w wojnę niezbyt ich porywa, dwaj mali, wątli żołnierze, bawią się raczej przez grzeczność. Ci spokojni i bardzo do siebie przywiązani chłopcy uwielbiają jednak bohaterów. Bella Bartók płacze, kiedy widzi, że chłopcy wykopali symboliczny grób kochanemu, wiernemu męczennikowi, Sir Rogerowi Casementowi, który omal nie zaatakował od tyłu tej niedobrej Anglii, o której Bella i tak ma swoje zdanie, odkąd ten grubianin Lloyd George powiedział, że wojna będzie trwała dopóty, dopóki nie zginie pruski milita-

ryzm. Elek Szabó czyta w swoim mieszkaniu tajne raporty wydziału spraw wojskowych, gdy ktoś wchodzi do jego pokoju, chowa papiery, które przesmuglował do domu, pod teczkę, w tej chwili nade wszystko interesują go wydarzenia w Rosji. Zbyt wielki jest tam niepokój, ciągle zmieniają się nastroje, Rosja, w której narasta nęcza i rozgoryczenie, jest jakby spięta w oczekiwaniu. Elek Szabó rzadziej teraz ma okazję przebywać z Lenke Jablonczay, bo musi załatwiać także sprawy jeńców wojennych i uciekinierów z Siedmiogrodu, najwyżej wieczorem mogą się spotkać na krótką pogawędkę; kiedy idzie przez podwórze, często słyszy dźwięk fortepianu i zdarza się, że jest to piosenka o dziewczynce w krótkiej spódniczce, lecz Elek Szabó udaje, że nie wie, kogo przywołują te dźwięki. Wieść o bitwie pod Fogaras* i Tdrcsvnr**, o zajęciu Braszowa i dotarciu nad rzekę Olt wzbudza w postaciach Staroświeckiej historii umiarkowane zainteresowanie, bo oto sąd w Debreczynie ogłasza wreszcie wyrok rozwodowy w sprawie Beli Majthényiego i Lenke Jablonczay. Narzeczeni po raz pierwszy mogą przespacerować się pod rękę na korso. W nowej bitwie nad Soczą ginie trzydzieści sześć dywizji, ulega zniszczeniu sześć tysięcy armat, na froncie wschodnim bezustannie trwa ofensywa rosyjska, Bella Bartók nie wspomina o smutnych wydarzeniach wojennych, tylko pisze do męża: „Pod wieczór przyszedł Elek i niezwykle miło grał nam na fortepianie. Jakże to szczęśliwy okres! Powrót mojej szesnastej wiosny.” Elek Szabó wynajmuje mieszkanie przy ulicy Domb 16 i poleca architektowi miejskiemu, aby sprawdził, czy pod każdym względem nadaje się do zamieszkania. Elek Szabó jest niespokojny, bo tu ma się urodzić jego przyszłe dziecko - mieszkanie ma służyć jego dziecku przez pierwsze lata życia, musi być więc bez zarzutu. Architekt ogląda, oblicza kubaturę, zagląda do pieców, Elek Szabó zapisuje dane w notesie, a ponieważ - co jest dla niego typowe - w tym samym czasie potrafi się zajmować kilkoma różnymi sprawami, myśli o tym, co przeczytał tej nocy w tajnym raporcie i że gdyby zechciał sporządzić bilans lub oznaczyć na mapie miejsca, gdzie płonie świat, okazałoby się, że wojna nie ma

granic. W bitwie nad Sommą Anglicy i Francuzi rzucili dwadzieścia dywizji, Ententa zajęła greckie stacje kolejowe i telegraficzne, Sarrail na froncie macedońskim posuwa się w kierunku Niszu, jeśli straty nieprzyjaciela nad Soczą ocenia się dotychczas na 180 tysięcy, jaka może być liczba poległych Węgrów - prawdziwa liczba?

Bella i dwie młodsze Jablonczayówny szykują się na ślub Lenke, szykuje się też na własny ślub szczęśliwa Melinda. Tymczasem pizebiega wielka operacja wojenna Cadorny na froncie włoskim, na odcinku frontu wschodniego nasi żołnierze są zmuszeni do odpierania czterech lub pięciu zmasowanych ataków rosyjskich dziennie, uczestników walki pozycyjnej na froncie zachodnim zabija już nie tylko broń, lecz także obłęd. Wokół nowo urządzonych domów Lenke i Melindy płonie świat, ale Lenke Jablonczay jest wesoła, codziennie mnożą się dowody uniłości Elka Szabó, rozbrzmiewa więc fortepian. Lenke Jablonczay jest sama, znów przygotowuje się do koncertu, próbuje zestawić własny program i zastanawia się, czy wyszłoby coś z tego, gdyby tę nowelę, którą napisała po rozstaniu z Józsefem, przerobiła na prawdziwą powieść, utrwalając w niej już nie tylko osobisty ból, ale coś ogólniejszego o kobiecie, która nie jest zdana na niczyją łaskę, jest wolna, pracuje, nie krępuje jej mąż, nie ma przesądów, urządza sobie życie, jak chce. Informuje się wreszcie Beluskę Majthenyiego, jakiej to zmiany może spodziewać się w najbliższym czasie, chłopczyk przyjmuje to do wiadomości bez najmniejszego wstrząsu, dotychczas też mieszkali w tylu różnych układach, że naprawdę nie warto sobie łamać głowy nad tym, dlaczego odtąd ma mieszkać z matką i Elkiem Szabó przy ulicy Domb, a ojciec z ciotką Gizi przy Bethlena, bo nic się nie zmienia wokół niego, od rozvodu obie pary narzeczonych demonstracyjnie pokazują się zawsze we czwórce.

Kiedy Elek Szabó wraca co wieczór do domu od narzeczonej, od razu bierze się do tajnych raportów. Zarówno nastrój na frontach, jak i wieści z Rosji sygnalizują coś, co ma przyjść, i te rozmowy, które prowadzi z rodzinami, jeńców wojennych, z wdowami, sierotami wojennymi -- są to przeważnie chłopcy, których dobrze zna i którzy natychmiast wyczuwają w nim człowieka ze wsi; aż do śmierci jedynym realnym miejscem dla

mojego ojca pozostanie Kóróstarcsa - uświadamiają mu, że i na Węgrzech coś się szykuje. Mieszkanie przy ulicy Domb 16 ma już od listopada panią; Lenke Jablonczay wprowadza się z Bc- luską, poza meblami kupionymi przez Marię Rickl przywożą także rzeczy Elka Szabó, projektowaną przez niego własnoręcznie olbrzymią szafę dębową, amatorskie laboratorium fotograficzne, niezliczoną ilość płyt, radiolę, rękodzieła przywiezione z Siedmiogrodu, polewane garnki, wielką bibliotekę z białymi krukami, rzeźbiony, orzechowy stół dziekana Janosa Szabó, porcelanę odziedziczoną po dziadkach Varady-Szabó, która później w blasku świec odświętnie nakrytej stołu będzie ozdobą uroczystości z okazji narodzin jego córki. W oknach nowego mieszkania stoją wąskie skrzyneczki, pod zroszonymi tafelkami szkła rosną w nich jakieś roślinki-niespodzianki, każdy Szabó to urodzony ogrodnik - w dzień ślubu w całym mieszkaniu rozkwitają płomieniem nieznane czerwone kwiaty.

10 listopada 1916 roku Bella pisze do męża: „...zaczęłam się już niepokoić, bałam się o ciebie z powodu włoskich samolotów. Wyobraź sobie, że w tym roku nic paliło się świeczek na cmentarzu, władze zabroniły. Narzeczony Mitzi twierdzi, że powinni wziąć ślub wojenny za dyspensą. Zbliża się też dzień ślubu Lenke.” „Sensacja na dziś-pisze 11 listopada - odbył się ślub Beli Majthényiego i Melindy. Po południu połączył ich w nowym mieszkaniu urzędnik stanu cywilnego. Posłałam im zsolnayowski wazon z białymi chryzantemami i załączyłam bilet wizytowy z życzeniami nieustającego szczęścia. Po tym zakupie poszliśmy do Lenke, która zaprosiła nas do swojego nowego mieszkania. Mieszkanie jest komfortowe* ma ładny rozkład i już teraz panują w nim pogoda i przyjemny nastrój. Odniosłam miłe wrażenie. Tylko twoją nieobecność trudno mi znieść.”

Ledwo wysłała ten list, umiera król*, jako pierwszy dowiaduje się o tym Elek Szabó, przez specjalną linię telefoniczną burmistrza prędej docierają do niego wiadomości. Lenke Jablonczay chwyta płaszcz, żeby natychmiast biec do Belli i do Melindy, porozmawiać, zapytać, co myślą, czego należy się teraz spodziewać, trzydziestodwuletnia narzeczona i trzydziesto-

siedmioletni narzeczony biegną listopadową ulicą trzymając się za ręce, nikt na świecie nie zdołałby ich powstrzymać. Elek Szabó gwizdże na to, co wypada, niech Lenke biegnie, skoro ma na to ochotę, on dotrzyma jej kroku. Bella, wrażliwa Bella, wybucha płaczem na tę wieść, a kiedy spostrzega, że Elek Szabó nie dzieli z nią żałoby, tylko spokojnie popija herbatę i kwituje śmierć króla uwagą: „Król umarł? Byłoby jeszcze lepiej, gdyby się w ogóle nie urodził!” -- patrzy na niego przerażona i nawet przywołuje go do porządku: „Ależ, Elek!” Bella pierwsza dostrzega w Elku Szabó, który jest przecież uosobieniem grzeczności i łagodności, namiętne i hamowane ze wszystkich sił afekty, zdolność do nienawiści.

Kraj okrywa się żałobą, kraj koronuje nowego króla, Karol IV obiecuje, że będzie strzegł granic państwa, tymczasem Ententa zajęła już Pireus, przetrzebiona pod Turnu-Severin dywizja rumuńska poddaje się; narzeczeni są uśmiechnięci, - szykują się do ślubu. Mają zamiar pobrać się w dzień św. Mikołaja, ale w ostatniej chwili Endre Mśrk, świadek pana młodego, musi wyjechać z miasta w jakiejś urzędowej sprawie. „Jutro tradycyjnie zajmę się podarunkami mikołajkowymi - pisze Bella do męża 5 grudnia 1916 roku. - Przed południem zanosę Lenke tacę. Jest wytworna w kształcie i bardzo ładna. Zniosłam ją do Dorrowej, żeby ułożyła na niej rurki czekoladowe, a jako obramowanie po obu stronach cukierki choinkowe w czerwonym papierze. Na górze pośrodku pałaka siedzi między dwiema małymi gałązkami świerkowymi czerwony diabełek, a cały pałak jest opleciony czerwoną wstążką. Szkoda, że przelożyli ślub z jutra na pojutrze, ale ja i tak trzymam się programu mikołajkowego. Co się tyczy naszego odżywiania, to nie głodujemy, wcale nie odczuwamy braku mięsa, często jadamy jarzyny, makaron i mamy tyle mleka, że rano dla całej piątki, po południu zaś dla dzieci robi się kawę. Jeśli czegoś brakuje, to masła, prawie w ogóle nie można go dostać. Musimy teraz składać na piśmie zeznania, jakie kto ma zapasy. Głupia sprawa, bo przecież jemy to, co dają na kartki, z wyjątkiem tłuszczu, którego co dzień ubywa.”

Ślubowi Lenke Jablonczay i Elka Szabó towarzyszą zwycięstwo pod Turnu-Severin i wieść o poddaniu się pierwszej dywizji rumuńskiej i upadku Bukaresztu; stół na godzinę każe

zapomnieć o wojnie: wprost ugina się pod przysmakami, które zdobył gdzieś Elek Szabó - całe wczorajsze przedpołudnie Lenke Jablonczay otwierała drzwi objuczonym hajdukom. „Mój słodki, kochany Moni, wczoraj nie pisałam z powodu ślubu Lenke -- pisze Bella na front. - Jak wiesz, i ja tam byłam. A więc i to już za nami, odnaleźli swoje szczęście. Nie muszą się rozstawać. Kiedy my znów będziemy razem? Poszłam do ich mieszkania o szóstej po południu. Wszyscy już byli. Lenke w białej letniej sukni wyglądała o dziesięć lat młodziej, była bardzo piękna, urocza, promienna, a Elek szczęśliwy i zakochany. Mówią, że pastor Sandor Zih miał przepiękne kazanie. To najlepszy kaznodzieja w Debreczynie. Poza oblubieńcami byli też świadkowie, burmistrz Endre Mark z piersią pełną odznaczeń i nasz kochany tatuś, ja jako przyjaciółka, dwie młodsze siostry Lenke, jej synek, dwie siostry Elka i dwaj Laci Sśmy. Pray stole siedziało nas dwanaścioro. Herbata, kanapki, torty, ciastka. Bardzo dobrze wyglądała nasza srebrna taca i to, co na niej było, też wszystkim smakowało. Mały Majthényi był bardzo wzruszony. Po jedzeniu Lach Sśmy, ten duży, cudownie grał nam na fortepianie, potem Elek zademonstrował gramofon. Spędziliśmy u nich parę miłych, pogodnych godzin i wróciliśmy do domu o wpół do dziesiątej.”

Tak jak pisała mężowi Bella Bartók, młodzi małżonkowie o wpół do dziesiątej zostali sami. Ulica Domb, jedna ze spokojnych, bocznych uliczek, jest już o tej porze wymarła, okna zasłonięte żaluzjami, Anna - bo to ona służy u Lenke Jablonczay, Rózsika, dawna służąca z domu Majthényich, została u Melindy - kąpie Bćluskę, szykuje go do spania, Elek Szabó od razu pierwszego wieczoru zaskakuje domowników: sam myje i wyciera swoją porcelanową zastawę, o którą bardzo się boi. Nowożeńcy wspólnie układają do snu Beluskę: jak w dawnym domu ojciec, tak tutaj Elek Szabó słucha jego modlitwy, potem Anna ściele łóżka w sypialni. Wygodne, przestronne jest to mieszkanie przy ulicy Domb, na poręczy rzymskiego krzesła bladożółtej jesionowej sypialni z morskimi obiciami czeka biały szlafroczek Lenke. Obok sypialni jest pokój Beluski, do jadalni i salonu wchodzi się z małego

osobnego korytarza, jest w nim stojące lustro, wieszak na ścianie, a przed nim, jak należy, jak nauczyła się Lenke przy ulicy Kismester, niewielki nautilus w srebrze na bilety wizytowe, w jadalni stoi mahoniowy komplet mebli od Marii Rickl, olbrzymi stół na mosiężnych łapach, przy którym - jeśli się go rozsunie - mieszczą się dwadzieścia cztery osoby; na kredensie przed lustrem stoi na honorowym miejscu taca od Belli. Sześć małych stoliczków, które kryją się w kącie wsunięte jeden pod drugi, obiecuje partyjki kart, herbatki, gości, choć Lenke Jablonczay nie wie jeszcze, że tylko w wyjątkowych wypadkach zbierać się u niej będzie towarzystwo, dokoła stołu krzesła, w kącie wielkie, angielskie fotele klubowe, między nimi ośmiokątny stoliczek dla palaczy, a na nim wazon Marii Rickl (drugi z kompletu zdobi dom Melindy). I jest jeszcze jeden wazon (też ze szlachetnej porcelany, choć nie tak stary jak ten z domu Anselmusów, postawiono go w salonie na fortepianie, nie opodal krytego skórą lamparcia szezlonga, małej kanapki i taboretów): dama w gorsecie otwierająca porcelanową szkatułkę, z której wnętrza wyglądają fiołki.

Zawiadomienia o ślubie zostały wysłane w porę, József zamiast depeszy gratulacyjnej przysłał posłańca z prezentem: wazon porcelanowy z fiołkami. W domu panuje cisza, małżonkowie są tak idealnie sami, że Lenke Jablonczay odczuwa lęk, przekrada się do pokoju męża, gdzie na małym biedermeierowskim stoliczku stoi haftowany perłami parawanik przed świecą matki Elka Szabó, za nim fotografia: wiejska droga, jakieś drzewa, a w oddali wieża kościelna - to Kóróstarcsa. Obok szezlong przykryty kilimem z komitatu Torontól. Między biedermeierowskimi fotelami, na których połyskują złotym blaskiem wciąż żywe w barwie wianki róż, nie opodal dawnego biurka dziekana Szabó, stoi gramofon. Lenke Szabó szuka płyty, ale ktoś bierze ją za rękę i łagodnie wyjmuję płytę z jej palców. „Położmy się -- mówi Elek Szabó. -- Już za późno na muzykę.”

Lenke Jablonczay z bijącym sercem szykuje się w ciepłej łazience, która mieści się za pokojem synka, Béluska od dawna już śpi, mąż też już czeka, aby się umyć przed snem. Lenke otula się w białe koronki i, podczas gdy mąż jest w łazience, biegnie przez ciemne pokoje do salonu. Zaraz zacznie się koszmar,

w trakcie którego jak litanią musi sobie bezustannie powtarzać, że trzeba to znieść: przecież ja kocham każdą cząsteczką tego człowieka, bo jest dobry, mądry i czuły, a więc muszą to znieść, tylko daj Boże, żeby nie (rwało długo - ale przedtem wciągną jeszcze odrobiną zapachu fiołków. Czy to grzech powąchać niewinne kwiatki - skądże! I stoi w salonie, w lewej ręce trzyma świecę - na szafce nocnej pali się lampa elektryczna, ale ona zawsze ma pod ręką świecę, tak nauczyła się na ulicy Kismester, daremnie już od lat jeżdżą po Debreczynie elektryczne tramwaje i palą się latarnie. Świeca drży w jej ręce, bo kiedy pochyła się nad porcelanowym wazonem, widzi tylko czarny otwór, wewnątrz zionie pustką, jak gdyby nigdy w nim nie było kwiatów. Stoi Lenke Jablonczay, patrzy na podarunek od Józsefa, potem słyszy, że za jej plecami otwierają się drzwi. Nie widzi koszuli nocnej Elka Szabó, włożył na wierzch sięgający ziemi tabaczkowy szlafrok, na nogach ma tureckie pantofle. „Kwiaty, za pozwoleniem, wyrzuciłem do śmieci, kiedy myślałaby” -słyszy jego głos. Lenke Jablonczay myśli, że właściwie powinna czuć się szczęśliwa, że jest tak zazdrosny, a jednak ma wrażenie, że postąpił nieładnie. Całe miasto wie, jak niewinna i nieszkodliwa była ta historia z Józsefem. Nic powinien był wyrzucać do śmieci tych biednych fiołków.

Pocałunek Elka Szabó nie jest ani bardziej przykry, ani bardziej przyjemny niż pocałunki Béli Majthenyiego: pocałunek, w którym przyjemność znajduje partner, lecz nie ona. Lenke Jablonczay znosi go z otwartymi oczami i tłumaczy sobie, że Elek jest takim kochanym człowiekiem, więc ona musi jakoś wytrzymać te noce dla radości, którą przyniosą jej dni.

Brązowy notes Elka Szabó był pierwszą rzeczą, na jaką po jego śmierci natrafiłam w szufladzie biurka. Zostało wiele zdjęć mojego ojca z tego okresu, kiedy występuje w Staroświeckiej historii, zachowały wspomnienie jego inteligentnej, ładnej twarzy, szczupłej, chłopięcej sylwetki, wykwintnego smaku w ubiorze, gęstych, jedwabistych czarnych włosów, modnych wówczas wąsików, okrągłych cyklistówek i eleganckich rękawiczek. Notes mówi o nim więcej: o jego pasjach, radościach, udrękach, zainteresowaniach i myślach.

Przepisuję z niego wyjątki w tej kolejności, w jakiej następują po sobie:

„Ciotka Teréz

.Żyłasta staruszka, wymalowana:

głupia, zniszczona, lecz wymalowana.

Krzesła na parterze, lewa strona 65-66 „Urania”.

10 wrzesień 1915

Sen, fortepian, gniew. Czerwona suknia na wystawie kapelusz.

Irénke.

Odplączę za każdą niewierność.

Nie wolno mi tam często chodzić.

Nie lubię przypochlebnych uwag w towarzystwie, po pierwsze, peszy mnie to, po drugie, zupełnie jakby odnosiły się do małego dziecka lub wspólnego przyjaciela.

Lubię, gdy się o mnie boją.

Obawiam się, aby nie zająć miejsca B.B. i nie zostać zaufanym przyjacielem. Nie chcę być przyjacielem, jeszcze mniej rozgadaną przekupką. Umiem bardzo kochać, ale tylko wtedy gdy i ja jestem kochany. Jedna zdrada, jeden flirt czy okrucieństwo potrafią mnie zrazić do kogoś w ciągu sekundy, tak samo gdyby okazało się, że byłem potrzebny tylko jako partner do zabawy, dla rozproszenia nudy.

Wszystko wyczuwam, jestem jak seismograf, mam zadziwiający dar odgadywania, co kto myśli. Mówią, że miłość, która może przejść w ciągu sekundy, jest nieprawdziwa. Nie zgadzam się. Możliwe, że wśród milionów ludzi jest tylko jeden taki człowiek, ale to ja nim jestem. Nie rozumiem takiej sympatii czy miłości, która wzdycha do obiektu nieosiągalnego. Gdy mnie nie chcą, odchodzę. A przecież jestem idealistą, mimo wszystko. To ja jestem.

Lubię jej mądrość, lubię jej niekonsekwencję. Jest tak mądra, kiedy oczekuje po mnie, abym jej nie kochał za urodę, bo to nie ma znaczenia, i tak niekonsekwentna, kiedy znajduje porucznika P. do tego stopnia urodziwym, że może mu przebaczyć jego głupotę.

Nie lubię, kiedy boi się pani, aby J. nie poszedł na wojnę. A zwłaszcza nie lubię tego, co często powtarza pani w jego obecności, gdy wyrrywają się pani tego rodzaju słowa: „Ja o nic nie dbam, byle tylko pana nie wzięli, J.!” Nie sądzi pani, że ten J. może to niewłaściwie zrozumieć, jak zresztą właśnie rozumie? Poza tym to mnie boli. Bardziej nie mogłaby się pani bać nawet o mnie niż o tego J., którego już pani opłakała. Właśnie wtedy, gdy spotkaliśmy się po pobycie w Szovacie* po raz pierwszy. A pani się dziwiła, że byłem wtedy bez humoru. Jestem zazdrosnym, zawistnym psem, ale taki już jestem i taki zostanę. Prosiła mnie pani, abym jej mówił, gdy coś mi się nie spodoba. Proszę bardzo. Uwielbiam pani zdjęcie w czarnej sukni i nienawidzę go zarazem. Uwielbiam, ponieważ uwielbiam panią, a nienawidzę, bo wiąże się z nim jakieś wielkie pani szczęście. Gdy o tym myślę, chciałbym zniszczyć tę fotografię. Jestem zazdrosny nawet o przeszłość. Egoista ze mnie i tego nie da się zmienić. Boże, co ze mnie będzie za mąż! Biedna ta moja przyszła żona!

Hrabia Luksemburg. cchaggahhd

los na loterii tureckiej 1028870 Jak się masz, jak się masz, moja pani siostrze, c/y żyje jeszcze twoja ciotka?

Bardzo miękki, bardzo pulchny pieką chleb w Szoboszló.

Ich talie auf dem Feld für Deutschlands Ehre. Begrabt mich nicht in der Fürstengruft, sondern gemeinsam mit meinen tapferen Soldaten. Prinz Eugen von Sachsen-Meiningen, 20 August 1914.**

Adres Kalmanowej Jablonczay IX ul. Dregely 7.1.22. Deli Vasut I ul. Meszaros 19 o 10-tej. Napisano o Sandorze Kórósim Csoma***, że nigdy nie gniewał się na nikogo, nikomu nie zazdrościł i nikt też nie gniewał się na niego i nie zazdrościł mu.

Od śmierci Seniora Lenke Jablonczay po raz pierwszy żyje w pobliżu prawdziwie wykształconego człowieka.

Elek Szabó dotrzymał słowa, była wolna. Kiedy jej mąż przebywał w ratuszu, robiła, co chciała. Bóluska chodził do szkoły, nie była mu już tak bardzo potrzebna jej pomoc, fizyczne i psychiczne problemy Béli Majthónyiego należały już teraz do Melindy, dziewczęta stanęły na własnych nogach, Piroška przebierała wśród kandydatów do swej ręki; Lenke zaś nieoczekiwanie znalazła się w dobrobycie. Ile wynoszą zarobki Elka Szabó, nie pytała, mąż nigdy jej o tym nie mówił, ale dawał wszystko tak szczerą ręką, że Lenke Jablonczay nie rozumiała, dlaczego tak często wspomina o żalostnej sytuacji urzędników państwowych, kiedy ci, przynajmniej na wyższych stanowiskach, według jej rozeznania zarabiają nieźle. Podarunki od Elka Szabó nadchodziły równie systematycznie jak w okresie narzeczeństwa, Lenke Jablonczay miała spiżarnię pełną produktów, bez których dawniej musiała się obywać. Moja matka znów godzinami ćwiczy grę na fortepianie, pisze dziennik, szkicuje projekt powieści na temat jakiegoś osobliwego, czarodziejskiego świata - na jego podstawie czterdzieści lat później jej córka pisze książkę dla dzieci - porządkuje ładne, przytulne mieszkanie i po pewnym czasie już bardzo czeka południa, kiedy wraca jej mąż. Od najmłodszych lat była reporterem „Cazety Kismesterskiej”, kimś, kto rozładowywał cudze humory, grywał na wieczorkach, była ukochaną egoistycznego mężczyzny, który podczas całej ich idylli ani razu nie spróbował przystroić własnych pragnień do jej planów, pielęgnowała męża, dodawała mu otuchy - a teraz po raz pierwszy w życiu jest rozpieszczana. Nie w ten sposób, jak czynił to jej pierwszy mąż, dopóki był bogaty, Elek Szabó ma fantazję i wie, czym zrobić jej przyjemność. Z Elkiem Szabó można się bawić, Lenke Jablonczay przeżywa z nim skradzione, utracone dzieciństwo, w mieszkaniu przy ulicy Domb najstarszą, najpoważniejszą osobą jest Bóluska, chociaż nawet stara Anna i kręci się wokół pana, gdy nic tego nie usprawiedliwia; kiedy Elek Szabó głośno czyta, siada przy małżonkach z chłopczykiem. Czytanie zawsze dotąd było obowiązkiem Lenke Jablonczay, nie tylko przy ulicy Kismester, ale także przy Fuveszkert, teraz ktoś jej czyta i na dodatek jest to nie byle jaki lektor, można z nim omawiać

doznania i dyskutować nad rozwiązaniami literackimi. Mąż ofiaruje jej nowe futro z-lisią mufką i wyciąga na spacer, idą państwo Szabó ulicami, zatrzymują się przed tym i owym domem, oglądają style architektoniczne, kształt okien, oryginalne, drewniane motywy na drewnianych bramach, niezwykle klamki: Elek Szabó zna się na historii sztuki, czyta po niemiecku i włosku tak samo jak po łacinie, i gdy Lenke Jablonczay pochyla się nad robótką, tłumaczy jej Swetoniusza lub Tacyta. Jeśli to on siada przy fortepianie, muzykalne ucho Lenke Jablonczay słyszy w jego muzyce tęsknotę, skargę, śmiech lub drwinę, wszystko potrafią wyrazić te zręczne palce, które zdolne są do tylu jeszcze innych rzeczy: sporządzają z patyczków podpórki dla słabych sadzonek, mikroskopijną drabinkę dla białych myszek Beluski, Elek Szabó lubi rzeźbić, majsterkować, robi ze skóry uszczelki do kranów, rąbie drzewo, naprawia żaluzje, doprowadza dzwonek nad stół w jadalni. Niekiedy po kolacji piszą we dwójkę wiersze, jedną linijkę ona, drugą on. Béluska patrzy na nich i to Ełkowi Szabó, a nie jego matce, przychodzi na myśl, żeby wciągnąć go do zabawy. Ten drobny mężczyzna jest takim ojczymem, że pięćdziesięcioletni Béla Majthényi, na którego wyrósł Béluska, tak płacze na jego pogrzebie, aż kuzyn Elka Szabó, lekarz, pyta, czy aby dobrze się czuje.

Początek życia małżeńskiego jest tak bezchmurnym, tak fantastycznie szczęśliwym okresem w życiu Lenke Jablonczay, że łatwiej przychodzi jej znosić noce. Elek Szabó ma więcej rutyny w miłości niż Bela Majthényi, i postępuje wstrzeźliwie, nie ma dwudziestu czterech lat jak smutny miody bohater wiedeńskich i weneckich porażek. Lenke Jablonczay nie ma odwagi przyznać się nawet sobie, lecz jest właściwie szczęśliwa, jeszcze niekiedy powraca obraz Józsefa, ale Lenke już się uśmiecha, gdy o nim myśli, wspomnienie już nie boli.

To, do czego nie można się u Elka Szabó przyzwyczać, to jego zazdrość.

Lenke Jablonczay rozmawiała z nim na ten temat, tłumaczyła, jakie to niedorzeczne, przecież ona naprawdę zna własny charakter, nie jest skłonna do zdrady, nie byłaby nawet wtedy, gdyby miała pokusę, ma inną strukturę psychofizyczną. To, że Elek wciąż jeszcze ma jej za złe Józsefa, jest zwykłym absurdem.

dem, jak można mieć do niej pretensją o marzenie, o dziecięce urojenie, nigdy nie spełnioną miłość, która nikomu nie szkodzi? „Mnie szkodzi to urojenie -- rzekł Elek Szabó -- ja cię kocham i tak, jak kocham ciebie, nigdy nie kochałem. Nie potrafię i nie chcę dzielić się tobą nawet ze wspomnieniem.” Lenke Jablonczay użala się Bella, że jej mąż jest jiiwolnikiem niedorzecznej obsesji, Bella ku jej zdziwieniu przyznaje rację Elkowi Szabó - miłość do męża przesłoniła jej wszystkie dawne marzenia i potrafi zrozumieć starego przyjaciela. U Bartóków znów często zapala się ogień pod samowarem, ale teraz już tylko przed południem, bo po południu Elek Szabó potrzebuje towarzystwa żony. Koronacji Karola IV towarzyszy na ulicy Domb mierne zainteresowanie, tylko Elek robi parę ironicznych uwag na temat tej uroczystości, jego zdaniem to główna wygrana, gdy księżą Habsburg chce strzec granic węgierskich. On osobiście odnosił się z pełnym uwielbieniem szacunkiem już do Franciszka Józefa, bądźcie więc uwielbiał jego następcę! „Elek, obawiam się, że pan tego nie mówi poważnie - patrzy nań z przyganą Bella. - Wcale pan nie kochał biednego, dobrego cesarza i nie szanuje pan też jego następcy. Z tego nie należy żartować.” Nieduży mężczyzna zamiast odpowiedzi nastawia gramofon, Bella śmieje się, wszyscy się śmieją.. Piękna odpowiedź na jej poważne słowa: „Hopsa, Sari, och jak dobrze!”

W grudniu nie wypadło jeszcze składać pierwszych wizyt, w styczniu zaś ich odkładanie byłoby już obrazą. Podczas gdy Karol IV i cesarz Wilhelm stwierdzają w rozkazie wojskowym, że odrzucenie przez Ententę ich propozycji rokowań zmusza ich do wywalczenia pokoju bronią, Rosjanie prą do przodu na froncie wschodnim, zaś Monarchia i Niemcy oznajmniają światu, że od pierwszego lutego staną się panami mórz i sparaliżują wszelki ruch - Elek Szabó prosi burmistrza o powóz i odwiedza z żoną niezliczonych krewnych, a także sporą rodzinę Lenke Jablonczay. Książka Róży Kalocsy wciąż obowiązuje, jak gdyby Ameryka nie zerwała stosunków dyplomatycznych z Niemcami, jak gdyby z powodu braku węgla nie pozamykano teatrów, młoda para składa więc konieczne wizyty, a potem siedzi

w domu w godzinach przeznaczonych na rewizyty i oczekuje gości. Do najprzykrzejszych wizyt dla Beluski Majthényego należy pojawienie się ojca i Melindy, którzy wydają się całkiem na miejscu we własnym domu, ale nie tu. Chłopczyk siedzi skulony i jest tak zakłopotany, że zamiast do ojca biegnie do Elka Szabó i pociąga nosem, dopóki Melinda nie przywoła go do porządku tym dawnym tonem, który tak dobrze zna Lenke Jablonczay. Wszyscy ich rewizytują, ogromny i świetny krąg rodzinny roztacza się przed Lenke Jablonczay, bogaty wachlarz mik-roświata Szabów. Nadchodzi zaproszenie za zaproszeniem, władze miejskie doskonale wiedzą, że nie należy pozbawiać ludzi rozrywek, i podczas gdy Niemcy po obu brzegach rzeki Ancre rozpoczynają „planowy odwrót”, debreczyński Czerwony Krzyż organizuje przedstawienia amatorskie i wieczorki na rzecz wdów i sierot wojennych. Lenke Jablonczay z zapałem ćwiczy na fortepianie i odnosi ogromny sukces rapsodią Liszta, Piroska Jablonczay z Bertą Bartha, Margitką des Combes. Lajossem Kovacsem, Nandorem Lisztem i Levente Thuryrr urzekają zebranych żywymi obrazami. Teraz powinien być tu József, który w Peszcie, w domu swojej żony, zaczyna już urządzać wieczory muzyki kameralnej, na jeden z nich zostanie kiedyś zaproszona córka Lenke Jablonczay, ale József nie przyjeżdża do Debreczyna, nic słyszy wirtuozowsko odegranej rapsodii i nie może z niej wyczuć, że kobieta przy fortepianie jest właściwie szczęśliwa. Rana jeszcze się zagoiła, ale już ledwie pulsuje, codziennie zmieniają na niej opatrunek, lec) ją bezgraniczna cierpliwość zakochanego męża, jego niewyczerpana pomysłowość. Po występach zaczynają się tańce, Lenke Jablonczay w balowej sukni, Elek Szabó we fraku, ale on tylko stoi w kącie sali i patrzy na innych, bo nie umie tańczyć, Lenke Jablonczay przechodzi z jednych ramion w drugie, nigdy nie była tak piękna jak teraz, kiedy jeszcze nie wie, że jest w ciąży, z jej twarzy bije pogoda, poczucie bezpieczeństwa i radość. Ma za sobą zaledwie parę tańców, kiedy podchodzi do niej mąż i prosi, aby wracali do domu, trochę mu słabo w dusznej sali balowej. Lenke Jablonczay zatroskana zbiera swoje rzeczy, łamie sobie głowę, jak można najwygodniej odstawić męża na ulicę Domb, jest siarczasty mróz, co robi, jeśli jej zemdleje, trzeba poprosić kogoś o pomoc albo wezwać dorożkę. „Mam powóz” -- mówi Elek Szabó i naprawdę c/ckają nti nich konie z ratusza; pomaga żonie wsiąść i wcale nie sprawia wrażenia, jakby miał zaraz zemdleć. „Zamówiłeś powóz? - zdumiewa się Lenke Jablonczay. - Z góry przewidziałeś, że zrobi ci się słabo i będzie ci potrzebny?” „Zamówiłem - potwierdza Elek Szabó

- przecież nie możesz w takich cieniutkich pantofelkach brnąć po śniegu, zresztą liczyłem się z tym, że zasłabnę. Mój ojciec i moja matka umarli na serce, ja też mam nic najzdrowsze, a kiedy zobaczyłem, jak przechodzisz od partnera do partnera, jak się śmiejesz i wirujesz po sali, myślałem, że będzie ze mną koniec.” „Ależ ty wcale nie jesteś chory, tylko znów zazdrosny”

- domyśla się Lenke Jablonczay i nic wie, czy ma się śmiać, czy płakać, winowajca mruga oczami i jest tak skruszony i triumfujący zarazem, że nie można się na niego gniewać, Lenke prosi go tylko, aby następnym razem nic psuł jej zabawy, ona tak lubi tańczyć i tak jej przyjemnie, że jeszcze ciągle może być królową balu. Elek Szabó przyrzeka, ale nie dotrzymuje obietnicy-albo nic przekazuje żonie zaproszeń, albo je sabotuje, a gdy Lenke nie chce wracać do domu, naprawdę robi mu się słabo i ma takie ataki tachykardii, że Hutiray, zaprzyjaźniony lekarz domowy, ostrzega: z takim tętnem będzie lepiej, jeśli żona zapakuje go do łóżka. Kiedy udaje mu się zwabić Lenke do domu, jest jak Harun ar-Raszid, obsypuje ją podarunkami, których pochodzenia nigdy nie zdradza. Lenke Jablonczay dostawała dużo prezentów od Majthényich, ale prezenty Elka były do tamtych zupełnie niepodobne. Ponieważ zawsze pragnęła podróżować, dostała szesnastowieczny sztych z mapą świata, wieczorem, odchyliwszy koldrę, znalazła na poduszce wielkie, fioletowe ametysty w kształcie łez z karteczką: „To ja płacę, bo nie kochasz mnie tak, jak na to zasługuję.” Niemal codziennie dostawała nowe książki, ale zawsze musiała ich szukać, bo chował je przed nią dla zabawy.

Lenke Jablonczay zaśmiewając się do łez przeszukiwała dom od piwnicy po strych, zanim udawało się jej znaleźć niespodzianki, a Beluska Majthényi podziwiał, że i dorośli potrafią się tak dobrze bawić.

Przyjaźń z Bellą wzbogaciła się o nowy odcień. Jeśli nawet na początku pierwszego małżeństwa obsypywano Lenke prezentami, to jednak córka Emmy Gacséry nigdy nie miała spokojnego i wesołego domu. Kiedy 19 styc/nia 1917 roku

zwalnają wreszcie z wojska Antala Ticznyego i odsyłają go do domu, dwie wychowanki Stillmungus padają sobie w ramiona: znów rodzina w komplecie. W życiu przyjaciółek po raz pierwszy nie ma różnic, Bella też tylko z obowiązku zgadza się na pieszczoty męża, wie, że to Bóg tak nakazał, a za tę przykrość, która służy tylko zadowoleniu mężczyzny, szczerze wynagradza ją nadzieja, że znów może zostać matką, natomiast pod wszystkimi innymi względami szaleje za Antalem. Lenke Jablonczay też kocha Elka Szabó, z dobrą miną znosi więc to, co sprawia jej przykrość, i domy przy ulicach Domb i Nyomtatósá jak oazy pośrodku zbroczonego krwią świata. Domy Tichych i Szabów omijają kłopoty materialne, w marcu, kiedy w Petersburgu wybucha rewolucja, aresztują ministrów, car abdykuje. Ententa uznaje rząd rewolucyjny i zaczynają działalność Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich, kiedy Niemcy ewakuują tereny za Arras, a na Węgrzech powołany zostaje do wojska najstarszy rocznik, Lenke Jablonczay przekonuje się, że jest w ciąży. Czas poczęcia, wnioskując z dnia narodzin drugiego dziecka, to noc z czwartego na piąty stycznia; będzie jeszcze taka noc w jej życiu, kiedy świt z czwartego na piąty stycznia coś zmieni. Dokładnie w pięćdziesiąt lat po nocy, kiedy poczęta została jej córka, Lenke Jablonczay umiera, zwracając ku córce twarz równie nieświadomą jak przed laty noworodek przyjmujący ciekawe spojrzenie matki.

Jej samej trudno w to uwierzyć, ale jest szczęśliwa. Cieszy się na dziecko, szyje mu zabawki ze skrawków materiału, a przecież ile jeszcze czasu do porodu! Gdy spotkało ją po raz pierwszy, była zbyt młoda, nie szykowała się na przyjęcie syna, lecz tego drugiego przybysza już czeka. Znów łatwo przechodzi ciążę, Kenézy, ginekolog, nie zabrania jej ani lżejszej pracy, ani życia towarzyskiego, ale teraz jakoś rzadziej ma ochotę wychodzić z domu: pisze bajki dla nie narodzonego dziecka. Elek Szabó promienieje, tymczasem rosyjski emigrant nazwiskiem Lenin wraca do kraju ze Szwajcarii, ustępuje premier Istvan Tisza, toczą się straszliwe walki nad kanałem łączącym Aisnę z Marną, gąsienice czołgów wgniatają w ziemię nie tylko poległych, lecz także żywych i nie zebranych rannych. Odkąd Ameryka przystąpiła do wojny z Niemcami, Elek Szabó także po południu musi być w ratuszu, wydział spraw wojskowych

walczy / poważnymi problemami, ale z jakimi, tego Lenke Jablonczay nie wie, bo o cokolwiek pyta, mąż tylko uśmiecha się i zamiast odpowiedzi żartuje. Odpowiada tylko wtedy, gdy ma ochotę. (Moja matka zawsze zastanawiała się, dlaczego właściwie musiała zmienić ginekologa i dlaczego jej mąż zyczył sobie, aby dziecko urodziło się nie w domu, tylko w klinice szkoły położniczej przy pomocy doktora Kenézycgo. Na to, poza uśmiechem, też nie otrzymała odpowiedzi. Dopiero kiedy dostał się w moje ręce trójjęzyczny dokument łoży wolnomularskiej „Postęp”, zaczynający się literami: 000 SSSGR GR GR, i znalazłam wśród podpisów nazwisko doktora Kenezycgo, zrozumiałam to, co Elek Szabó tak starannie ukrywał: jemu, pierwszemu inspektorowi łoży „Postęp”, wypadało prosić o pomoc mistrza, który był dyrektorem szkoły położniczej i obiecywał szczególne względy żonie brata z łoży wolnomularskiej.)

Kiedy we Flandrii trwa nalot za nalotem, a na froncie wschodnim Kierenski agituje za dalszym prowadzeniem wojny, pewnego popołudnia zjawiają się na ulicy Domb Bela Majthényi i Melinda. Na twarzy Gizelli Jablonczay maluje się napięcie, a nie radość, jak ostatnio. Bela Majthényi żąda swojego syna, brak mu go, ma wrażenie, że i Belusce będzie lepiej z nimi, przecież nowe dziecko i tak skupi na sobie całą troskliwość dorosłych. Elek Szabó odmawia, Lenke Jablonczay dumnie patrzy na Melindę: czy słyszy, jak walczy o dziecko mężczyzna, który nie jest jego ojcem? Béluska bezradnie stoi między dwiema parami, potem wybucha płaczem i obydwaj mężczyźni jednocześnie wyciągają ręce, aby go pogłaskać, utulić. Majthényiowie odchodzą bez dziecka, Béluska po południu jest już wesoły, hajduk tym razem przychodzi z paczką dla panicza Beli Majthényiego i oczarowany chłopczyk wyciąga z pudełka mały samolocik, a potem do wieczora nakręca propeller. Tego dnia mają jeszcze jednego gościa, przybiega Bella i zjawia się w najlepszym momencie: Lenke może jej opowiedzieć o propozycji Majthényich i pokazać bawiące się dziecko, przy którym w tak stanowczy sposób stanął jej mąż, który uwielbia małego i właśnie w ubiegłym tygodniu ubrał go w nowe rzeczy od stóp do głów.

Bella do śmierci znana była z tego, że zupełnie niewinnymi uwagami pewniej niż promienie rentgenowskie wykrywała ja-

kies całkiem nieoczekiwane kawerny i potem tylko patrzyła zdziwiona, bo nie rozumiała, co ludzie widzą w tym nadzwyczajnego. Tego popołudnia przykucnęła przy bawiącym się chłopczyku, obejrzała z podziwem samolocik, a potem zapytała: „A właściwie, jak was na to wszystko stać?” „Widać stać - uśmiechnęła się Lenke Jablonczay. -- Elek potrafi zdobyć wszystko na świecie.” „Nam ostatnio jest trochę trudniej” - mówi Bella i to jest zdanie, na które Lenke Jablonczay zwraca uwagę. Za Bellą stoją Bartókowie, jest przy niej Ilonka, jest mąż, odkąd ich zna; zawsze było ich na wszystko stać, jakże więc teraz mogła zachwiać się ta równowaga i jak urzędnik miejski może zarabiać o tyle więcej niż Antal Tichy, inżynier kolejowy, i jakim cudem może mieć to wszystko, czego nie mają ci od pokoleń bogaci ludzie? Lenke Jablonczay od dziecka wiedziała, w jaki sposób wymknął się z rąk Imrego Kóselyszeg, jak zbankrutował Senior, sama ucierpiała na historii Juniora, przeżyła też krach przy Majthényim, kiedy to Maria Rickl w pierwszej złości, zamiast ją pocieszyć, powiedziała tylko, że dobrze jej tak, dobrze tym wszystkim kobietom, które oddają ster w ręce samców. Tego dnia Elek Szabó wchodzi do domu pogwizdując, Béluska biegnie mu na spotkanie, ale mój ojciec patrzy tylko na żonę: jak przyjęła prezent, który wprawdzie nie był dla niej, ale w pewnym sensie i jej dotyczył. Twarz, która zwraca się ku niemu, jest spokojna i poważna, głos także, Lenke Jablonczay zadaje mężowi to samo pytanie, które usłyszała od Belli: jak ich na to wszystko stać? Elek Szabó macha ręką, chce się uchylić od odpowiedzi, rzucić jakiś żarcik, mówi coś o swoich ludziach, o premiach za dodatkową pracę, ale Lenke prosi o dokładne informacje, chce wiedzieć to, o co dotąd nie pytała, ile wynosi męzowskie wynagrodzenie, że tak szczerze może im wszystko dawać. „Usiadł przy fortepianie - opowiadała wiele lat później córce Lenke Jablonczay - usiadł i zaczął grać Gejszą: «Jeśli słuchać nas zechcecie, zaśpiewamy wam, nie w tercecie, nie w kwartecie, ale - sam na sam»*, i mrugał do mnie. Nie powie mi - pomyślałam. Wiedziałam, że coś jest nie w porządku, ale wiedziałam również, że jeśli sobie postanowi, nikt z niego nic nie wyciągnie. Zostawiłam go, zajrzałam do Anny, do kuchni,

przyniosłyśmy kolację i chyba myślał, że zapomniałam, bo był tego wieczoru w wyjątkowo dobrym humorze, jak na rauszu."

Następnego dnia Lenke Jablonczay, jak codziennie, kiedy ma czas, wychodzi się przejść po korso i spaceruje w okolicy ratusza tak długo, dopóki nie spotyka pewnego pana, który pracuje razem z jej mężem. Urzędnik uchylił kapelusza i chciał iść dalej, ale moja matka zatrzymała go. Smutna mała reporterka „Gazety Kismesterskiej” już od dzieciństwa umiała ciągnąć ludzi za język dla chciwej plotek Melindy, w wesołej paplaninie trzydziestodwuletniej Lenke Jablonczay nawet najbardziej doświadczone ucho nie wyczułoby cienia troski. Gawędzili o pogodzie, o wojnie, o zaopatrzeniu, kolega Elka Szabó pogratulował jej wielkiego szczęścia, którego - wie o tym od Elka - spodziewają się jesienią. „To naprawdę wielkie szczęście - uśmiechnęła się Lenke Jablonczay. - Nie potrafię sobie wyobrazić większej i wspanialszej radości. Dlaczego pan się nie ożeni?” „Ja? - zdumiał się urzędnik. - Teraz? Wystarczy, że sam klepię biedę. Nie każdy jest tak odważny jak Elek i nie każdy jest takim artystą, żeby go było na wszystko stać z pensji, która z dnia na dzień traci wartość.” „Dobra gospodyni utrzyma rodzinę za grosze - nie rezygnowała moja matka. - Wiem, że nie wypada pytać, ale właściwie ile pan zarabia?” Kolega Elka podał kwotę i dodał, że otrzymuje o równe osiemdziesiąt dwie korony mniej niż Elek Szabó. Lenke Jablonczay zamieniła z nim jeszcze parę słów, potem pożegnała się. Nie miała ochoty wracać do domu, skręciła w ulicę Kossutha, przecięła ulicę Batthyány, wyszła na cmentarz.

Na grobie Jablonczaych rozrósł się bluszcz, moja matka usiadła na ramie z czerwonego marmuru i zamyśliła się. Szukała w sobie gniewu, że ją oszukano, i nie znajdowała, czuła natomiast jakieś zakłopotanie, jak gdyby ktoś w nocy przemałował nad jej łóżkiem obraz, który jeszcze wieczorem poprawiała na ścianie, a który rano przedstawiał już coś zupełnie innego. Zadzwoniono na południe, trzeba było wracać; idąc w stronę ulicy Domb zaglądała do sklepów, były żałośnie puste. W domu czekał gotowy obiad, Anna ugotowała kurę, powiedziała, że to pan przysłał ją przez hajduka. Do rozmowy między małżonkami doszło wieczorem; kiedy położyli już dziecko, Lenke Jablonczay oznajmiła mężowi, że życzy sobie, aby jej wytłumaczył,

z czego żyją tak dostatnio, bo udało się jej dowiedzieć, ile dokładnie wynosi jego uposażenie, i chciałyby się zorientować, z jakich pieniędzy pokrywał wydatki ubiegłego i bieżącego roku. Spodziewała się, że Elek się spieszy, ale nic takiego nie nastąpiło. Znowu tylko się uśmiechnął i powiedział: „Z pożyczek.” „Z pożyczek? - przeraziła się Lenke Jablonczay. - Od kogo pożyczałeś?” Elek Szabó odparł: „Od wszystkich.”

Moja matka opowiadała mi, że tak ją to zaskoczyło, aż przestała wypytywać, ale mój ojciec wtedy już zaczął mówić, a to, co słyszała, było w całej swej niedorzeczności tak cudowne, że złożyła broń. „Nie miałaś dzieciństwa -- tłumaczył Elek Szabó. - Chowalaś się przy Kismester, gdzie nawet nie dawali ci do syta jeść. Nie pieścili cię, nie kochali. Kiedy znalazłaś się w dobrobycie, wtedy też nie dawali ci właściwych podarunków - wiesz, jak szanują Belę, ale on nie ma za grosz fantazji. Chciałem, abyś na nowo zaczęła życie, chciałem ci wynagrodzić tę twoją biedną młodość. Kocham cię i chciałem, abyś się cieszyła, żebyś każdego dnia miała się z czego cieszyć. Żebyś żyła jak w bajce. Nie żyłaś? Nie cieszyłaś się?” „Co za obłąd - rzekła moja matka. - Mój Boże, co za obłąd! A któż ci pożyczał na tym świecie, w którym kredyt po prostu nie istnieje?” „Przecież mówię, że wszyscy” -- zwróciła się ku niej twarz, o której myślała, że ją zna, a której nikt nie znał aż do śmierci. Lenke Jablonczay pokiwała głową, nietrudno było uwierzyć. Kto umiał temu człowiekowi czegokolwiek odmówić? „A żywność?” - pytała dalej. „Siostry przysyłały ze wsi - odparł Elek Szabó i po raz pierwszy załamał mu się głos. - Odejmowały sobie od ust.” Moja matka w wyobraźni ujrzała milczące pastorówny, z którymi zamieniła tylko parę słów, wstała, wyjęła z teczki Béluski kajet i poprosiła męża, aby jej podyktował, komu i ile są winni. „Od tej pory będziemy żyć tak samo jak inni biedacy, spłacimy długi. Jeśli jeszcze raz dowiem się, że poprosiłeś kogoś o pożyczkę, rozwiodę się z tobą. Urodzi się dziecko, twoje dziecko. Jak je wyprawisz w życie?” „Gniewasz się na mnie? - zapytał Elek Szabó bez skruchy, uśmiechnięty, jak gdyby bawiła go powaga i surowość żony. - Uważasz, że cię nabrałem?” Pytanie znowu było absurdalne, bo rzeczywiście ją nabrał, ale nie w ten sposób, jak zwykle się nabierać innych, nie i jej stratą, lecz korzyścią i jak można o tym mówić? „Gniewa-

łaś się?" - pytałam moja matkę dziesiątki lat później, paliłyśmy papierosy, ona zaś popijała kawę. Potrząsnęła głową, a potem tylko patrzyłyśmy na siebie, żona i córka Elka Szabó. Czy ktoś kiedykolwiek potrafił się na niego gniewać?

Lenke Jablonczay dowiaduje się, ile wynoszą realne zarobki jej męża, z których odtąd muszą się utrzymywać, i jaką sumę trzeba uzbierać, żeby jakoś wyjść z długów. Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich w Rosji zaczynają domagać się szybkiego zakończenia wojny, a węgierska klasa robotnicza manifestuje, żeby otrzymać prawo wyborcze, Agoston Bartók zapisuje w swoim dzienniku: „Mój zięć Emil Wilhelms został mianowany inspektorem Banku Austriacko-Węgierskiego, moja córka Margit była sześć tygodni w kąpielisku Palics*, ale z tak niekorzystnym rezultatem, że siódmego sierpnia kompletnie wyczerpana wróciła do domu i natychmiast znalazła się pod kontrolą lekarską." Moja matka odkłada szkicowanie bajek, pakuje otrzymane przed kilkoma dniami nuty i płyty gramofonowe, które na zlecenie męża przysłano jej ze sklepu muzycznego - wydane ostatnio przeboje z Księżniczki Czardasza i Panny Zuzi - może szef będzie łaskaw przyjąć je z powrotem, „mąż rezygnuje z zakupu". Lenke Jablonczay całkiem poważnie zabiera się do zaprowadzenia ładu w tym chaosie, jaki stworzyła wokół niej miłość Elka Szabó. Jest to nerwowy, trudny rok (po mroźnej zimie, podczas której wymarły setki tysięcy drzew i krzewów winorośli, a na Wielkiej Nizinie termometry wskazywały systematycznie minus trzydzieści stopni, nastaje na Węgrzech taka susza, że w rozgrzanym piasku gotują się jajka, na słońcu rtęć termometru skacze do sześćdziesięciu stopni, wypalają się rośliny kopalne, ginie nadzieja na pasze objętościowe), Lenke właściwie powinna się oszczędzać, ale nie może, jeśli chce, by dziecko przyszło na świat w wyraźnej sytuacji materialnej. Zaczyna racjonalizację swego gospodarstwa. Na szczęście pomaga jej w tym Piroska - która jest jeszcze wrażliwsza i bardziej wyrozumiała, odkąd towarzyszy jej József Juhasz - zabiera od

starszej siostry służącą Annę, w jej przedszkolu przyda się niania, i w ten to sposób staruszka przestaje obciążać nowy budżet; Elek ma do dyspozycji hajduka, jeśli pokieruje się nim we właściwy sposób, to jakoś zastąpi Annę. Lenke Jablonczay zbiera wszystkie kosztowności, które dostała w okresie narzeczeństwa i po ślubie, i dowiaduje się, że ich cena wzrosła tak bardzo, że jeśli sprzeda je wszystkie wraz z częścią srebra od Marii Rickl, może zacząć jesień z czystą kartą. Powierza sprzedaż Antalowi Tichyemu, który chętnie jej pomaga, moja matka odkłada medalion i kolie, teraz już nauczyła się, że przy tym ubogim Harun ar-Raszidzie zawsze musi być na wszystko przygotowana. Od Bartóków idzie do Melindy, która ze złością słucha, że od tej pory jej mąż ma się przyczyniać do utrzymania Béluski, natomiast Bela Majthényi uważa to za oczywiste i podkreśla, że on już dawno proponował pomoc, tylko oni jej nie przyjmowali. Melinda wpada w gniew, mówi, że Elek Szabó nie ma w naturze ani odrobiny małostkowości, nie tak jak Lenke; moja matka nie zdradza tajemnicy męża, czeka spokojnie, jak w dzieciństwie, aż Melinda przestanie jej wymyślać. Nieważne to, co mówi, niech tylko da dla Béluski trochę mąki, smalca, ziemniaków, oleju, Lenke nie chce zostać bez wszelkiego zabezpieczenia, gdyby znów wpadła w tarapaty. Przeznaczone dla Béluski zapasy żywności starczą nawet dla dwojga dzieci. Dochodzą do porozumienia, potem wraca spacerkiem do domu dawną ulicą Kismester, którą tymczasem przemianowano na Bethlena, gładzi klamkę starej bramy: w domu kupcowy mieszkają obcy ludzie. Idzie chodnikiem z czerwonych cegieł wzdłuż jezdni, na której niegdyś tańczył pod Seniosem koń, którą przejeżdżał wracający z Kóselyszeg Bluznierca i na której zatrzymał się powóz, a Junior pomógł z niego wysiąść Emmie Gacsary i małej Lenke w tym odległym czasie, którego może w ogóle nie było. Muszę uważać - myśli Lenke Jablonczay idąc w stronę Wielkiego Kościoła. Nie mogę być już nigdy taka naiwna. Ten uroczy czarodziej wie, w jakiej odległości jest słońce od ziemi, zna poezje Baudelaire'a i z pamięci rysuje Belusce, jak płynie rzeka Lys, ale widzi tylko dzień dzisiejszy, nie myśli nawet o tym, że przyjdzie też jutro i pojutrze. Sekretarz szkoły muzycznej kłania się jej i pyta, kiedy po szczęśliwym rozwiązaniu mogą liczyć na jej występ, a Lenke

Jabloncay uchyla się od odpowiedzi, ale nie dlatego, że nie pragnie znaleźć się znów na podium, raczej przeczuwa, że odtąd nie będzie miała zbyt wiele czasu na muzykę.

Mąż Belli ma szczęśliwą rękę przy sprzedaży biżuterii, Elek Szabó spłaca długi. (Znacznie później okazało się, że nie o wszystkich jej powiedział.) Podczas gdy w Petersburgu manifestujące tłumy protestują przeciwko dalszej wojnie, Kierenski zaś wzywa do walki flotę i armię i „krwią i żelazem chce skuć rosyjską jedność”, Lenke Jabloncay prowadzi gospodarstwo przy ulicy Domb z trzeźwą oszczędnością. Teraz już nie tylko ze względu na swój stan wychodzi rzadziej z domu, trzymając ją też obowiązki; nie ma Anny, której można było powierzyć zarówno dom, jak i dziecko, hajduk jest dobrym chłopcem, ale nie ma jeszcze dwudziestu lat i nie umie gotować, więc Lenke Jabloncay sama przyrządza obiady, Bella też nie zaprasza jej na herbatki. Koniec Margit jest już tak oczywisty, że rodzina nie może tego przed sobą ukrywać, dotychczasowa beztroska Belli zmienia się w bolesny niepokój. Świat też jest niespokojny, życie staje się coraz trudniejsze, Bcluska wyrasta z bucików, dostaje nowe, które są do niczego, gdy wchodzi w kałużę, rozłają się podeszwy, a na następną parę nie bardzo ich stać. Po pięciu bitwach wojsk angielsko-francuskich pod Arras i nad Aisne Flandria staje się jednym morzem krwi i płomieni, straty armii angielskiej wynoszą pół miliona ludzi, ulegają zniszczeniu wszystkie elektrownie, folwarki, osady i studnie z wodą pitną. W rzeźni nad Soczą nieprzyjaciele przystępują do jedenastej nonsensownej bitwy, debreczyńscy, którzy z takim entuzjazmem przyjmowali wieści o każdym zwycięstwie i na początku wojny obok flag węgierskich wywieszali także flagi sojuszników: Niemców, Bułgarów i Turków, nie wpinają już nawet chorągiewek w mapy frontowe, nie śledzą komunikatów wojennych wywieszanych przed redakcjami gazet. Głodny tłum wdów i sierot wojennych oblega siedziby władz, teraz już naprawdę niewiele jest rodzin, które nie czekałyby na czyjś powrót z frontu czy niewoli, spośród dawnych tancerzy niejeden omija róg przed Kasynem, bo brak mu ręki lub nogi, czwarty syn Miklóssych poległ na wyżynie Doberdo, Lajos Vdrady-Szabó przestał pisać z oflagu, możliwe, że nie żyje. Zwolnionych od służby wojskowej wzywa się na kontrolę, większość z nich

zostaje powołana, tym zaś, którzy mogą bezpiecznie zostać w domu, jeśli choroba ich nie jest widoczna, towarzyszą ironiczne uwagi, gdy przechodzą ulicami; Elek Szabó uprzedza przyjaciół, że żandarmeria nie zawsze chodzi w mundurach, niech każdy uważa na to, co mówi. W zmęczonym, zniechęconym, udręczonym Debreczynie Lenke Jablonczay oczekuje drugiego dziecka, nastrój w Peszcie jest jeszcze gorszy, nie ma instytucji, która zajęłaby się tymi, którzy nie mają nic, ani Esterhászy* ani Wekerle** nie mogą opanować sytuacji, która po ustąpieniu Tiszy grozi bliską katastrofą. Panuje powszechna nędza, jeszcze bardziej wzrasta liczba samobójstw, trwa nieograniczona wojna podwodna, ci, których okręt zaatakuje wroga jednostka, mogą wybierać między śmiercią w ogniu lub wodzie. Lenke Jablonczay, jak niegdyś Maria Rickl, prowadzi rachunki w zeszycie, który zabrała Belusce, wpływy są tylko pierwszego, a wydatków mnóstwo, jeszcze dobrze, że w ubiegłym roku kupili opał i mają go tyle, że wystarczy na zimę. Podarunki nie ustają, są tylko innego rodzaju, Elek Szabó zbiera znaczki, więc Béluska dostaje jeden z albumów i mój ojciec majstruje też dla niego takie zabawki, jakimi sam bawił się w dzieciństwie w Kóróstarcsa: na podłodze dziecinnego pokoju pasie się na zielonym dywanie stado krów zrobionych z kaczanów kukurydzy. Dla żony w bibliotece Kolegium przerysowuje Elek z kodeksu rzadkie renesansowe wzory, niech haftuje, przecież lubi robótki, i przemyca do jej koszyczka z niemi rysunki lwów i gryfów o wstydliwych oczach. „Wyobrażasz sobie, że mam czas na takie rzeczy?” - śmieje się Lenke Jablonczay, która na nic nie ma już czasu, choć Piroška w miarę zbliżania się porodu pomaga jej coraz więcej. Nie ma już możliwości, aby kupować na czarnym rynku, ale jednak nie głodują, pastorówny przysyłają im, co mogą, przychodzi też żywność od niezadowolonej Melindy. Właściwie nie ma ku temu żadnej konkretnej przyczyny, ale Lenke Jablonczay jest jednak niespokojna: byt, który na początku wydawał się jej tak pewny, w chwili gdy wyszła na jaw prawda o materialnych podstawach pierwszego wspaniałego roku ich małżeństwa,

zachwiał się i od tamtej pory nie odzyskał równowagi. Pierwszego września Elek Szabó przynosi do domu zaledwie drobna część swego wynagrodzenia, z reszty nie potrafi się wyliczyć. Stęka zakłopotany, kiedy żona patrzy ze zdziwieniem na skromną sumkę, i wyznaje jej z trudem, że dziś, gdy wykonywał swoje obowiązki w ratuszu, zwałił się na niego taki ogrom nędzy i rozpaczy, że musiał oddać pieniądze wdowom i dzieciom. „Całkiem obcym? - patrzy na niego Lenke Jablonczay. - Rozdawałeś pieniądze nigdy nie widzianym dzieciom, podczas gdy za cztery tygodnie będziesz miał własne?” Nie mówi nic więcej, zamyka do metalowej skrzyneczki to, co dostała, wyjmując pończochy Bóluski i zaczyna cerować.

* Elek Szabó wychodzi z domu, zapada zły, ponury wieczór, nawet Bóluska to wyczuwa. Nie jedzą kolacji, Elka nie ma w domu, potem nagle zjawia się i Lenke czuje w sercu ukłucie ostrej igły lęku: niesie pod pachą wielką paczkę, pewnie znów kupił jej jakiś prezent, pewnie pożyczył pieniądze i teraz chce ją przebłagać tym Bógwieczym, kupionym za cudze. Teraz jest już zagniewana, ale nie ma na kogo wylać złości, Elek znika bowiem z paczką w łazience, nie pokazuje się, wychodzi dopiero po długiej chwili, Bóluska piszczy radośnie, bo widok jest wręcz fantastyczny, nie bardzo rozumie, ale czuje, że to coś nadzwyczajnego: Lenke Jablonczay śmieje się tak, że aż pokłada się na stole o mosiężnych łapach. Oto Elek Szabó tańczy, kryguje się w błękitnym scenicznym kostiumie księcia Boba, przy boku mandolina, trykot zwisa na nim, bo Elek jest mniejszy i szczuplejszy od aktora noszącego kostium. Śmieje się Lenke Jablonczay, śmieje się aż do łez, nie boli jej już świadomość, że ten człowiek nigdy nie zostanie burmistrzem, nigdy nie będzie nikim, bo nawet kot ma więcej ambicji. Elek Szabó, jeśli w ogóle czegoś chce, to najwyżej nowej sadzonki albo tubki gumy arabskiej. Śmieją się wszyscy, mały skacze dokoła Elka Szabó, nie ma już mowy o żadnych oskarżeniach ani wyrzutach, niech wdowy i sieroty biorą pieniądze, i tak już wszystko jedno, jakoś tam będzie.

Śmiech ustaje dopiero w nocy. Lenke Jablonczay poważnie, bo przychodzi jej na myśl dziecko, którego oczekuje. Na co ono wyrośnie - myśli przerażona - dziecko czarodzieja, biednego, nieodpowiedzialnego, cudownego, czarodzieja? Po

tem tylko patrzy przed siebie w ciemność, na ulicy Domb latem i zimą zostawia się uchylone okna, od lasu napływa pachnąca jesienią, chłodna noc. Nie będę mogła grać na fortepianie - myśli bez szczególnego wzruszenia - zapewne z pisania też nic nie wyjdzie. Bólusce zawsze pomoże Melinda, bo będzie widziała w nim Bclę. Ale kto pomoże temu nowemu dziecku? Tylko ja. Na pewno będzie miało dzieciństwo jak nikt na świecie i będzie rosnać w nierealnej scenerii, wśród nierealnych istot, nigdy nie wiedząc na pewno, czym jest fantazja, a czym rzeczywistość. Ale ono też musi jeść chleb i wszystkie moje wysiłki poświęcę, aby ten chleb dla niego zdobyć.

Nie mogę walczyć z losem - mówi w duchu już po raz trzeci Lenke Jablonczay i dwie muzy - muzyki i literatury i wtapiają się w ciemność nocy. Zastanawia się, czy to boli. Nie bardzo. Śmieje się, bo przypomina sobie, jaką minę zrobił Bela Majthényi, kiedy zdjęła walizki z półki, i jakie spienione, dzikie | burzliwe było jej życie, odkąd tylko przyszła na świat. Mnie właściwi^ nudzi cisza - myśli Lenke Jablonczay. - Może dlatego tak rzadko ją miałam. Ja kocham burzę, mróz, śnieg i mgłę.

Córka Lenke Jablonczay i Elka Szabó przychodzi na świat 5 października 1917 roku, dziewczynka ma pół godziny, kiedy wnoszą bukiet składający się z pięćdziesięciu czerwonych róż dla panny Marii Magdólly Szabó z biletem wizytowym jej ojca. Czarodziej - myśli Lenke Jablonczay. i Dziadowski kalif. Przysiągł, że nie ruszy zostawionych w domu pieniędzy, ale na pewno nie dotrzymał obietnicy albo znów pożyczył. I Lenke Jablonczay zamyśla się, ile też może być wart jej fortepian i czy w tej powszechnej nędzy znajdzie się jeszcze człowiek, którego zainteresuje tak drogi instrument. Kto wie, co zastanie, kiedy wróci z córeczką na ulicę Domb? Jeśli już nie będą mieli w ogóle nic, sprzeda dwa pozostałe klejnoty i fortepian.